

Bogowie wojny

Iggulden Coon

Książka IV z Inspektor



calibre 0.9.43

CONN IGGULDEN

BOGOWIE

WOJNY

Przekład Bogumiła Malarecka

DOM WYDAWNICZY REBIS

CZEŚĆ

ROZDZIAŁ I

Pompejusz grzmiał:

-I dlatego, zważywszy na postępowanie Cezara, ogłasza się go dzisiaj wrogiem Rzymu.

Pozbawia tytułów i zaszczytów. Odmawia prawa dowodzenia legionami. Cezar

zaprzepścił własne życie. Będzie wojna.

Po burzliwej debacie w sali senatu ostatecznie zaległa cisza, choć twarze pozostały spięte. Galijskie legiony przekroczyły Rubikon. Maszerowały co tchu na południe.

Posłańcy, spiesząc do Rzymu z wieściami, zajeździli niejedną parę koni, ale nie

potrafili określić tempa budzącego grozę marszu.

Pompejusz postarzał się przez dwa ostatnie dni, jednak lata pracy w senacie nauczyły go panowania nad salą i teraz, trzymając głowę wysoko, obserwował, jak senatorowie

powoli przytomnieją i jak wymieniają między sobą spojrzenia. Wielu wciąż go

obwinało za chaos w mieście trzy lata temu. To jego legion nie potrafił wówczas

utrzymać porządku i to tamten konflikt zrobił z niego dyktatora. Wiedział, że ten i ów pomrukuje pod nosem, by ustąpił z urzędu i by wybrano nowych konsulów. Samo

miejsce posiedzeń, z wciąż świeżym zapachem wapna i drewna, było jak ciągły wyrzut

sumienia. Popioły po dawnym budynku wymieciono do czysta, ale fundamenty

pozostały, jak nieme świadectwo zamieszek i zniszczenia miasta.

Cisza wciąż trwała i Pompejusz, patrząc po twarzach, wypatrywał tych, którym

mógłby zaufać w nadchodzącej walce. Nie miał złudzeń. Juliusz szedł na południe z

czterema legionami weteranów,

Pompejusz grzmiał:

-I dlatego, zważywszy na postępowanie Cezara, ogłasza się go dzisiaj wrogiem Rzymu.

Pozbawia tytułów i zaszczytów. Odmawia prawa dowodzenia legionami. Cezar

zaprzepścił własne życie. Będzie wojna.

Po burzliwej debacie w sali senatu ostatecznie zaległa cisza, choć twarze pozostały spięte. Galijskie legiony przekroczyły Rubikon. Maszerowały co tchu na południe.

Posłańcy, spiesząc do Rzymu z wieściami, zajeździłi niejedną parę koni, ale nie

potrafilo określić tempa budzącego grozę marszu.

Pompejusz postarzał się przez dwa ostatnie dni, jednak lata pracy w senacie nauczyły go panowania nad salą i teraz, trzymając głowę wysoko, obserwował, jak senatorowie

powoli przytomnieją i jak wymieniają między sobą spojrzenia. Wielu wciąż go

obwinało za chaos w mieście trzy lata temu. To jego legion nie potrafił wówczas

utrzymać porządku i to tamten konflikt zrobił z niego dyktatora. Wiedział, że ten i ów pomrukuje pod nosem, by ustąpił z urzędu i by wybrano nowych konsulów. Samo

miejsce posiedzeń, z wciąż świeżym zapachem wapna i drewna, było jak ciągły wyrzut

sumienia. Popioły po dawnym budynku wymieciono do czysta, ale fundamenty

pozostały, jak nieme świadectwo zamieszek i zniszczenia miasta.

Cisza wciąż trwała i Pompejusz, patrząc po twarzach, wypatrywał tych, którym

mógłby zaufać w nadchodzącej walce. Nie miał złudzeń. Juliusz szedł na południe z

czterema legionami weteranów,

8

Imperator

a Rzym nie dysponował siłą, która potrafiłaby im się oprzeć. Za nie więcej niż kilka dni dowódca z Galii załomocze do bram miasta i niektórzy z siedzących na sali będą

się głośno domagać, by je przed nim otworzyć.

- Stoimy przed trudnym wyborem, senatorowie - powiedział.

Przyglądali mu się uważnie, ważąc jego siłę i jego słabości. Wystarczy, by raz się pośliznął, by upadł raz, a rozerwą go na strzępy. Wdepczą w bruk. Nie, nie stworzy im takiej okazji.

- Mam legiony w Grecji, których nie zaraził entuzjazm rzymskiego motłochu.

Niewykluczone, że w tym mieście znajdzie się paru zdrajców, jednak w naszych prowincjach prawo nie przestało być prawem.

Bacznie obserwował zgromadzonych, by nie przeoczyć choć jednego spojrzenia uciekającego w bok, ale oczy wszystkich spoczywały na jego twarzy.

- Senatorowie, jedyne wyjście to opuścić Rzym, popłynąć do Grecji i zgromadzić tamtejsze armie. Na razie większość sił Cezara pozostaje w Galii, ale wystarczy, by je zawezwał, a kraj padnie jego łupem. Padnie wcześniej, nim umocnimy nasze szeregi i pchniemy w pole dość żołnierzy. Nie chcę stawać do z góry przegranego wyścigu.

Lepiej być pewnym swego. W Grecji stacjonuje dziesięć legionów, które tylko czekają na wezwanie do obrony kraju przed tym zdrajcą. Nie możemy ich rozczarować. Jeżeli

ten zdrajca pozostanie w naszym mieście, wrócimy i rozniesiemy go na mieczach.

Zrobimy to samo, co Sulla zrobił z jego wujem. Musi dojść do bitwy. Ignorując legalne rozkazy senatu, on wyraźnie do niej zmierza. Układy ani pokój nie wchodzą w grę.

Rzym nie może mieć dwóch władców, a ja na pewno nie pozwolę, by jakiś uzurpator zniszczył to, co wspólnym wysiłkiem zbudowaliśmy.

Pompejusz, wciągając w nozdrza woń wosku i oliwy, pochylił się na rostrze do przodu.

Głos mu nieco złagodniał.

-Jeżeli, przez własną słabość, pozwolimy mu żyć i triumfować, wówczas każdy wódz, którego senat wyśle z Rzymu do obrony prowincji, będzie się zastanawiał, czy nie pójść w jego ślady. Dopóki Cezar żyje, nasze miasto nie zazna spokoju. To, co zbudowaliśmy, będzie zniszczone przez wojnę ciągnącą się przez pokolenia, dopóki nie zostanie nic, co by świadczyło o naszej obecności i o tym,

Rozdział I

że strzeżeni przez bogów, byliśmy zwolennikami ładu i porządku. Przeciwwstawiam się człowiekowi, który zamierza ten ład i porządek zburzyć. Rzucam mu wyzwanie. Chcę zobaczyć jego trupa, i zobaczę.

Oczy wielu rozbłysły i ci poderwali się na nogi. Pompejusz ledwo na nich spojrział.

Pogardzał tymi, w których więcej było pychy niż odwagi. Senatowi nigdy nie brakowało mówców, ale rostra należała do niego.

- Mój jeden legion to za mało i jedynie głupiec lekceważyłby znaczenie bitew, jakie ten człowiek stoczył w Galii. Nie zapewnimy sobie zwycięstwa nawet z pomocą straży z

przydrożnych warowni. Nie posądzajcie mnie o lekkomyślność. Przyjmuję wieści z

bólem i gniewem, ale miasta, nad którym sprawuję pieczę, nie obronię samym

szyderstwem. - Niecierpliwym machnięciem dłoni usadził stojących. - Zdrajca, kiedy

się tu pojawi, znajdzie gmach senatu pusty, a drzwi będą wyrwane z zawiasów.

W końcu każdy pojął, że nie zamierza opuścić Rzymu samotnie, i podniosła się

wrzawa. Przeczekał ją spokojnie. Mówił dalej.

-Jeżeli tu zostaniecie, ilu z was, pytam, stanie przeciwko niemu, kiedy przyjdzie tu żądny krwi, kiedy jego legionści będą gwałcić wasze żony i córki? To my jesteśmy

władzą. To w nas bije serce miasta. Rzym jest tam, gdzie my. Bez was, którzy mocą

swojego urzędu nadalibyście moc jego słowom i działaniu, będzie niczym więcej niż

bezlitosnym najeźdźcą. Musimy odmówić mu naszych pieczęci i naszych podpisów.

-Lud pomyśli... - podniósł się głos z tylnych ław, ale Pompejusz mówił dalej.

- Lud przetrwa jego najazd, tak jak przetrwał całą naszą historię! Co do mnie, mogę ruszyć do Grecji sam i sam zebrać armię. Ale wy? Marcellusie, jak długo potrafisz

znosić tortury? A ty, Korneliuszu? Ten oto senat stanie się jego senatem, a wtedy

padnie ostatnia zapora.

Z ław podniósł się sam Cynceron. Przemówił, nie czekając na przyzwolenie.

- Senat, Pompejuz, wysłał do Cezara posłańców. Posłańcy wrócili z odpowiedzią.

Dlaczego nie poddałeś pod obrady warunków, które ten człowiek nam stawia,

dlaczego odpowiedziałeś na nie sam?

10

Imperator

Pompejusz ściągnął brwi na widok potakujących mu wokół głów. Czuł, że nie wykpi się szorstkim słowem.

-Jego warunki są nie do zaakceptowania, Cynceronie, i on dobrze o tym wie. Cezar swoimi obietnicami dąży do wbicia klina między nas wszystkich. Jeśli wierzysz, że przerwie marsz w pół drogi tylko dlatego, że ja opuszczę miasto, to go nie znasz.

Cynceron skrzyżował ramiona na wąskiej piersi i podrapał się po szyi.

- Możliwe, jednak znajdujemy się w miejscu jak najbardziej odpowiednim do dyskusji. Lepiej przeprowadzić ją otwarcie, niż rozprawiać o tym, co nas gnębi, po kątach. Zatem, Pompejuszu, wzywam, byś oznajmił, jaka była twoja odpowiedź.

Zmierzyli się spojrzeniami i Pompejusz ścisnął brzeg mównicy mocniej, starając się nie tracić zimnej krwi. Cynceron był człowiekiem przebiegłym. Choć był też jednym z nielicznych, na których można się było wesprzeć.

- Zrobiłem wszystko, co się dało. W piśmie opieczętowanym pieczęcią senatu zażądałem powrotu do Galii. Nie będę się układał, nie w chwili, kiedy jego legiony znajdują się o rzut włóczni od mojego miasta, i on o tym wie. Jego słowa mają nam jedynie zamącić w umysłach i spowodować zwłokę w naszych decyzjach. Nie znaczą nic więcej.

- Zgoda, Pompejuszu, co nie zmienia faktu, że powinniśmy je znać, tak samo jak twoje

- wytknął Cynceron, po czym odwrócił głowę od Rostry i przemówił do siedzących

wokół senatorów. - Zastanawiam się doprawdy, czy rozmawiamy o rzymskim wodzu,

czy też o kolejnym Hannibalu, którego jedynym celem jest pozbawienie nas władzy. Jakież to Cezar ma prawo domagać się, by Pompejusz opuścił miasto? Czyżbyśmy układali się z najeźdźcami? Stanowimy władzę w Rzymie i oto tej władzy grozi jakiś wściekły pies, prowadzący armie, które sami nauczyliśmy walki i które sami opłacamy. Nie lekceważmy kryjącego się w tym niebezpieczeństwa. Przychyłam się do opinii Pompejusza. Choć będzie to doświadczenie boleśniejsze od poprzednich, musimy się wycofać, musimy zebrać w Grecji lojalne siły. Rządy prawa nie mogą zależeć od kaprysów naszych wodzów, w przeciwnym razie bylibyśmy podobni do pospolitych barbarzyńców.

Rozdział I

11

Cyceron usiadł. W oczach miał błysk rozbawienia. Jego wsparcie mogło wpłynąć na pewną liczbę słabszych senatorów i Pompejusz pochylił głowę w niemym uznaniu.

- Nie czas na długie debaty, przyjaciele - powiedział. - Jutrzejszy dzień nie zmieni niczego poza tym, że Cezar podciągnie bliżej. Zatem przystąpmy do głosowania i

zdajmy się na jego wyniki.

Bunt był raczej nie do pomyślenia i tak jak przewidywał, onieśmieleni surowym spojrzeniem z rostry senatorowie, jeden po drugim, podnosili się z ław, by okazać swoje wsparcie. Nikt nie śmiał postąpić inaczej. Pompejusz z satysfakcją pokiwał głową.

- Przygotujcie rodziny do podróży. Żołnierze, których usunąłem Cezarowi z drogi, pomogą nam w odjeździe.

Juliusz siedział na powalonym drzewie pośrodku pola, ze słońcem za plecami, i gdziekolwiek spojrzał, widział gromadki swoich ludzi, odpoczywających w zbożu i zagryzających zimne mięso surową cebulą. Z chwilą, kiedy wkroczyli na równiny

Etrurii, wydał zakaz palenia ognisk. Owies i pszenica były suche i szorstkie w dotyku i wystarczyłaby iskra, by stanęły w płomieniach całe pola. Juliusz się uśmiechnął;

piętnaście tysięcy najbardziej doświadczonych żołnierzy na świecie po dzieciennemu

cieszyło się z czystego błękitu nieba i otwartych przestrzeni, i śpiewu ptaków znanych wszystkim od dzieciństwa. Scena była prawdziwie idylliczna. Sięgnął w dół, po garść słomianej mierzwy. Znów był w domu.

- Wspaniała... znaleźć się tutaj na powrót - powiedział do Oktawiana. - Czujesz to samo? Prawie zapomniałem, jak to jest mieszkać na własnej ziemi, w otoczeniu

swoich ludzi. Słyszysz, jak śpiewają? Powinieneś poznać słowa, chłopcze. Byliby zaszczyt, mogąc ich ciebie nauczyć.

Głosy Dziesiątego, już złane w zgodny chór, płynęły nad cichymi polami. Juliusz roztarł -w dłoni wilgotną mierzwę i pozwolił okruszkom opaść na ziemię.

- Słyszałem tę pieśń od mężczyzn, którzy poszli za Mariuszem, wiele lat temu - westchnął. - A więc jakoś przetrwała do naszych czasów.

Oktawian, przechyliwszy głowę, popatrzył na swojego wodza badawczo.

12

Imperator

- Czuję to. Czuję, że to jest dom - powiedział. Juliusz się uśmiechnął.

- To już dziesięć lat, jak byłem tak blisko naszego miasta, a wciąż potrafię je wyczuć, nawet za horyzontem. Przysięgam, że potrafię. - Podniósł ramię i wskazał na niskie

wzgórza, nabrzmiące zbożem. - O, tam, już czeka na nas. Możliwe, że się boi, słuchając pogroźek i przechwałek Pompejusza.

Oczy raptownie mu pociemniały. Ciągnąłby dalej, ale przygalopo-wał do niego Brutus, zostawiając za sobą wijącą się w żółtym zbożu ścieżkę. Juliusz podniósł się i obaj

mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Zwiadowcy donoszą o jedenastu, może dwunastu kohortach -oznajmił Brutus.

Juliusz skrzywił się. W drodze na południe wszystkie napotykanne przez nich strażnice i stanowiska legionów ziały pustką. Jego marsz otrząsał je z żołnierzy jak wiatr drzewa z dojrzałych owoców, a

oto nagle pojawia się tuzin kohort. Bez względu na zdolność

bojową, sześć tysięcy żołnierzy to zbyt wiele, by mieć coś takiego na tyłach.

- Zebrali się w Korfinium - ciągnął Brutus. - Miasto wygląda jak nadepnięte gniazdo os. Albo wiedzą, że jesteśmy blisko, albo gotują się do powrotu do Rzymu.

Juliusz rozejrzał się wokół, by sprawdzić, ilu jego ludzi nadstawia ucha, w oczekiwaniu na rozkaz. Myśl o wypuszczeniu ich na rzymskich żołnierzy wydała mu się bluźnierstwem.

Pompejusz dobrze zrobił, odwołując przydrożne straże. Bardziej się przydadzą na murach Rzymu niż w walce przeciw galijskim weteranom. Juliusz zdawał sobie sprawę, że należałoby wydać krwawą bitwę i przypieczętować decyzję podjętą na brzegu Ru-bikonu. Brutus już przestępował z nogi na nogę zniecierpliwiony, ale

Juliusz wciąż jeszcze milczał. Kohorty z Korfinium składały się z niedoświadczonych żołnierzy. To byłaby rzeź.

- Czy to dokładne liczby? - spytał półgłosem. Brutus wzruszył ramionami.

- O tyle, o ile. Nie pozwoliłem zwiadowcom ryzykować i dać się zobaczyć, ale przedpola są czyste. Żadnej zasadzki. Powiedziałbym, że to jedyni żołnierze między nami a Rzymem. Poradzimy sobie. Bogowie wiedzą, że mamy dość doświadczenia w zdobywaniu miast.

Rozdział I

13

Juliusz podniósł oczy prosto na Domicjusza i Cyrona, wraz z Re-gulusem już wynurzających się z łąków zboża. Tuż za nimi podążał Marek Antoniusz. Atmosfera gęstniała. Najwyraźniej czekano rozkazu. Widać na rzymskiej ziemi miała popłynąć rzymska krew. Ale kiedy będą pierwsze ofiary, przeciwko niemu podniesie się każde lojalne w stosunku do Rzymu ramię. Wojna domowa stanie się próbą siły i liczebności szeregów. To może go wiele kosztować. Straty w ludziach mogą być duże. Ocierając

pot z czoła, myślał gorączkowo.

-Jeżeli padną od naszych mieczy, zniszczymy jakąkolwiek nadzieję na pokój w najbliższej przyszłości - powiedział powoli. Do-micjusz i Brutus wymienili spojrzenia.

- Musimy... być przebiegli, silni, a wszystko przeciw własnemu ludowi. Musimy zdobyć jego lojalność, a tego nie da się dokonać, zabijając żołnierzy, którzy kochają Rzym nie mniej niż ja.

-Juliuszu, oni nie pozwolą nam przejść - syknął Brutus, czerwieniejąc ze złości. -

Pozwoliłbyś ty sam, gdyby jakaś armia upominała się o wolną drogę do naszego miasta? Będą walczyć, choćby tylko po to, by spowolnić nasz marsz. Wiesz o tym.

Juliusz zmarszczył czoło. Szybko ponosił go gniew.

- To są nasi ludzie. Nasi, Brutusie. To nie takie proste wystawić ich na śmierć. Nie dla mnie.

-Podjęliśmy decyzję, przekraczając rzekę i ruszając na południe. - Brutus nie zamierzał ustąpić. - Znałeś wtedy jej cenę. A może pójdziesz sam i oddasz się w ręce Pompejusza?

Kilku z tych, którzy stali najbliżej, skrzywiło się na ton jego głosu. Cyron zakołysał

potężnymi ramionami, nie kryjąc gniewu. Brutus nie zwracał na nich uwagi, nie

spuszczając wzroku ze swego wodza.

-Jeżeli zatrzymasz się teraz, Juliuszu, zginiemy wszyscy. Pompejusz nie zapomni, że zagrażaliśmy miastu. Jeżeli będzie musiał, pójdzie za nami choćby do Brytanii. -

Spojrzał Juliuszowi prosto w oczy i głos mu zadrżał. - Nie czyn mi zawodu. Szedłem z tobą od początku i chcę dojść do końca.

Juliusz odwzajemnił błagalne spojrzenie, po czym położył dłoń na ramieniu Brutusa.

-Jestem w domu, Brutusie. Dławię się samą myślą o zabija-

14

Imperator

niu ludzi mojego miasta, więc czy zazdrościsz mi moich wątpliwości?

- Masz wybór?

Juliusz zaczął chodzić po wygniecionych kłosach tam i z powrotem.

-Jeżeli przejmę władzę... - Zamilkł, najwyraźniej przetrawiając w duchu tę myśl, ale po chwili mówił dalej i szybciej: - A gdybym ogłosił, że dyktatura Pompejusza to

bezprawie? Gdybym wkroczył do Rzymu jako ten, który pragnie odnowić republikę?

Oto, jak mają mnie postrzegać. Adanie! Gdzie jesteś? - Celtycki skryba przybiegł czym prędzej, a jemu rozbłyły oczy. - Oto masz swoją odpowiedź, Brutusie. Adanie? Chcę

wysłać list do każdego rzymskiego dowódcy. Upłynęło dziesięć lat, od kiedy byłem konsulem; nic nie stoi na przeszkodzie, bym został nim raz jeszcze. Powiedz im...

powiedz, że nadchodzi koniec dyktatury Pompejusza i że ja sam nigdy miastu jej nie narzucę.

Adan, ponaglany niecierpliwym spojrzeniem Juliusza, zakręcił się wokół przyborów do pisania.

- Niech wiedzą, że będę respektował sądy i senat. Niech wiedzą, że jedynie Pompejusz jest moim wrogiem. Przywitam z radością każdego, kto zechce do mnie dołączyć, gdy

tylko przywrócimy republikę Mariusza i bezpieczeństwo dawnych dni. Rzym się odrodzi, bo to w jego imieniu zwyciężałem i dla niego zdobywałem złoto Galii.

Powiedz im to wszystko, Adanie. Nie przeleję rzymskiej krwi, chyba że pod przymusem, i będę szanował tradycję, czego nie robił Pompejusz. To on spalił budynek senatu, pełniąc przy nim strażę. Bogowie już mu okazali swoją niechęć.

Stojący kręgiem mężczyźni chyba za nim nie nadążali. Juliusz roześmiał się głośno i potrząsnął głową na widok ich niepewnych min.

- Przyjaciele, oni nie mają wyjścia. Muszą mi uwierzyć, nawet jeśli będą się wahać i zastanawiać, czy okażę się orędownikiem dawnych swobód.

- A okażesz się? Na pewno? - spytał łagodnie Adan. Juliusz spojrział na niego ostro.

- Na pewno. Zacznę od Korfinium. Jeżeli mi się poddadzą, oszczędzę ich wszystkich, choćby po to, by wieści o moim czynie poszły w świat.

Jego dobry humor był zaraźliwy i Adan, prowadząc rylec w miękkim wosku, uśmiechnął się wbrew podszeptom wewnętrznego głosu, który go przestrzegał przed zbyt łatwym poddawaniem się urokowi tego człowieka.

- Oni się nie poddadzą - mruknął Domicjusz. - Pompejusz każe ich zabić jako zdrajców. Widziałeś, jak postąpił kiedyś z Dziesiątym.

Juliusz zmarszczył czoło.

- Może i każe, choć jeśli tak, będzie to na moją korzyść. Za kim poszedłbyś, Domicjuszu? Za zwolennikiem prawa, który puszcza wolno uczciwych Rzymian, czy za tym, który każe pozbawić ich życia? Kto bardziej się nadaje na przywódcę Rzymu?

Domicjusz w odpowiedzi pokiwał głową. Juliusz się uśmiechnął.

- A widzisz? Jeżeli okażę łaskawość, trudno im będzie mnie potępić. To pokrzyżuje im plany. Pompejusz nie będzie wiedział, jak zareagować. - Zwrócił się do Brutusa; twarz mu jaśniała dawną energią. - Najpierw jednak musimy przechwycić strażę przydrożne

i zrobić to bez rozlewu krwi. Należy ich wpędzić w tak straszną panikę, by nie zdążyli pomyśleć o walce. Kto im przewodzi?

Brutus, oszołomiony nagłą zmianą nastroju wodza, ściągnął brwi. Nad marszem na południe nieodmiennie wisiała ciężka posepna chmura wątpliwości, ale na chwilę

Juliusz przeistoczył się w siebie z czasów podbojów w Galii. To przerażało.

- Zwiadowcy nie widzieli żadnych proporców czy insygniów legionu - odpowiedział przez zaciśnięte zęby. - Ale dowódcę tak czy inaczej mieć muszą.

- Miejmy nadzieję, że to człowiek ambitny - odrzekł Juliusz. - Dobrze by było skusić jego strażę do wyjścia za rogatki miasta. Wtedy ruszę na nich z Dziesiątym. W polu szybko ich przechwycimy.

Wszyscy przysłuchujący się rozmowie już byli na nogach i już się zbierali, by ruszyć na pierwszy rozkaz. Ogarnęło ich dobrze znane napięcie, towarzyszące zmierzaniu się z

nowym niebezpieczeństwem i trudem.

- Podciągnę z Dziesiątym bliżej miasta, Brutusie. Ty przejmiesz dowodzenie

pozostałymi. Będziemy tak długo kołować w głowach

16

Imperator

tym dzieciakom, aż oślepną i staną się bezużyteczni i bezradni. Roześlij swoich zwiadowców i niech będą dobrze widoczni.

- Wolałbym sam być przynętą - powiedział Brutus.

- Nie tym razem. Jazda wyborowa ma być łącznikiem między nami. Gdyby nas zaatakowano, ty masz tu szybko wrócić.

-A co, jak się uprą i nie wyjdą z miasta? - spytał Domicjusz, zerkając na spiętą twarz Brutusa. Juliusz wzruszył ramionami.

- Wtedy ich otoczymy i przedstawimy nasze warunki. Tak czy owak, zaczynam wyścig o stanowisko konsula i o władzę nad Rzymem. Rozpuść wieści wśród tamtych. To są nasi ludzie i będą traktowani z respektem.

ROZDZIAŁU

Ahenobarbus czytał rozkazy Pompejusza po raz nie wiadomo który, wciąż jednak nie znajdował w nich nic, co by mu pozwalało zaatakować te podstępne legiony z Galii. A przecież, sądząc z meldunków zwiadowców, w końcu nadarzała się okazja do zdobycia sławy. Ogarnięty podnieceniem, jakiego nie czuł od lat, był już bliski samowoli i wymówienia posłuszeństwa zwierzchnikowi. Pompejusz przebaczyłby mu wszystko, to pewne, niechby tylko sprowadził do miasta tego zdrajcę, skutego łańcuchami.

Żołnierze, których zdjęto z każdej przydrożnej strażnicy, każdej rogatki i warowni, obozowali w cieniach murów Korfinium, oczekując rozkazu wymarszu do domu.

Zwiadowcy jeszcze nie zdążyli rozpuścić ostatnich wieści i Ahenobarbus nie widział w szeregach żadnego napięcia.

Potarł kościstą szczękę. Środkowymi palcami obu dłoni rozma-sował pulsujące bólem

skronie. Jego strażę były liczniejsze od sił, które zauważyli zwiadowcy, w meldunkach jednak donoszono o czterech legionach podążających na południe, a najpewniej w

pobliżu kręciły się inne. W najgorszym razie jego ludzie wpadną w pułapkę.

Przyglądał się im, kiedy formowali szeregi, i wcale nie był dobrej myśli. Wielu jeszcze nigdy nie stanęło twarzą w twarz z większym wyzwaniem niż kilku pijanych

wieśniaków. Lata pokoju, kiedy Cezar podbijał Galię, nie wydały na świat takiej siły, której pokonanie rozstawiłoby jego, Ahenobarbusa, imię. Czasami jednak, powiedział

sobie w duchu, człowiek musi się zadowolić tym, co mu dają bogowie.

18

Imperator

Kusiło go przez chwilę, by zapomnieć o meldunkach i dalej iść bezpieczną ścieżką, tak jak to robił od dwudziestu lat. Mógłby dać sygnał do wymarszu i znaleźć się w Rzymie za nie więcej niż trzy dni, rezygnując ze swojej ostatniej szansy, choć z drugiej strony trudno było sobie wyobrazić ogrom

szyderstw młodszych dowódców, gdyby wyszło na

jaw, że odszedł, nie stawiając czoła sile o połowę mniejszej od własnych szeregów. W

końcu domniemane kolejne galijskie legiony mogły się znajdować całe mile dalej. I czyżby zapomniał o dniu, kiedy przysięgał bronić tego miasta? Nie myślał o rzucaniu się w bramy warowni na pierwszy znak o nadciągającym wrogu, kiedy zaciągał się do armii.

- Sześć tysięcy żołnierzy - szepnął do siebie, spoglądając na szeregi mężczyzn

oczekujących na wymarsz. - Legion. Cały legion. Wymarzony legion.

Nie zdradzał się nikomu z takimi myślami, ale w miarę jak przybysze wkraczali do

miasta, liczył ich i teraz nosił głowę wyżej - rozpiełała go duma. W całej swojej

karierze nigdy nie dowodził niczym więcej niż centurią, ale teraz, przez kilka

wspaniałych dni, mógł się równać z każdym wodzem Rzymu.

To prawda, to wszystko prawda, powtarzał w duchu raz za razem, choć strach jak kret podkopywał jego dumę. Jeśli wmaszeruje w pułapkę, straci wszystko. Z drugiej

strony, jeśli nie wykorzysta nadarzającej się sposobności, by zniszczyć człowieka,

którego boi się Pompejusz, wieść się rozejdzie szeroko i niechętnie mu szept będą szły za nim do końca życia. Nigdy nie cierpiał niezdecydowania. A teraz obserwowało go

wielu żołnierzy, zakłopotanych brakiem rozkazów.

- Panie? Czy bramy powinny być otwarte? - spytał stojący obok jego zastępcę.

Ahenobarbus spojrział mu w twarz i na widok młodości i pewności siebie, które z niej wyczytał, ogarnęła go nowa fala irytacji. Mówiono, że Seneka ma powiązania w

Rzymie, to po pierwsze, a po drugie nie sposób było nie zauważyć bogactwa jego szat.

Dowódca z Korfinium czuł się stary, patrząc na swego zastępcę, i samo porównanie do tamtego przypominało mu o łamaniu w stawach. Stawiać czoło tej śmiesznej

protekcjonalności, w takim momencie, doprawdy, tego było za wiele. Niewątpliwie

tamten myśli, że potra-

Rozdział II

19

fi dobrze skrywać arogancję, ale Ahenobarbus widywał dziesiątki jemu podobnych. Za każdym razem, kiedy taki płaszczył się przed nim czy mu nadskakiwał, w jego oczach pojawiał się nieodmiennie ten sam błysk, i za każdym razem Ahenobarbus powiadał sobie, że takiemu nie powinno się ufać. A już nigdy, kiedy wzajemne korzyści wchodziły sobie w drogę.

Ahenobarbus odetchnął głęboko. To wszystko prawda, ale co zrobić, kiedy podejmowanie decyzji jest prawdziwą przyjemnością?

- Walczyłeś już kiedyś, Seneko?

Po chwili zaskoczenia młody człowiek uśmiechnął się przymilnie.

-Jeszcze nie, panie, choć mam nadzieję, że kiedyś nadarzy mi się taka sposobność.

Ahenobarbus uśmiechnął się radośnie.

- Spodziewałem się, że tak odpowiesz, właśnie tak. Nadarzy ci się dzisiaj.

Pompejusz stał samotnie pośrodku pustej sali senatu, zasłuchany we własne myśli. Na jego rozkaz

kowale wylamali drzwi z zawiasów, ale nie do końca; miały wisieć krzywo i cicho poskrzypywać. Odwieczne światło Rzymu sączyło się przez drobinki świeżo

wzniesionego kurzu i kiedy siadał na ławie, lekko odchrząknął.

- Sześćdziesiąt lat - mruknął pod nosem. - Jestem za stary, by iść na wojnę.

Bywały chwile słabości i rozpacz, chwile, kiedy lata osiadały na nim ciężko i jego własne „ja” domagało się odpoczynku. Możliwe, że przyszła pora zostawić Rzym

młodym wilkom, takim jak Cezar. Ostatecznie ten drań udowodnił, że ma

najważniejszą cechę rzymskiego przywódcy - zdolność przeżycia. Kiedy gniew nie

mącił mu myśli, Pompejusz podziwiał karierę młodszego od siebie mężczyzny. Bywały

chwile, kiedy nie założyłby się o miedziaka, że Juliusz wyjdzie cało z tarapatów, w jakie sam się najczęściej pakował.

Tłumy uwielbiały słuchać o jego bohaterskich wyczynach i za to Pompejusz go

nienawidził. Miał wrażenie, że Juliusz nie kupiłby sobie nowego konia, nie wysyłając triumfalnego listu do odczytania w całym mieście. Obywatele tłumnie wylęgali na

ulice, aby wysłu-

20

Imperator

chać najświeższych wieści, choćby najbliższych. Byli w tym nienasytzeni i jedynie

ludzie podobni Pompejuszowi potrząsali głowami na taki brak godności. Nawet

Cyceron zatracił zwykłą bystrość umysłu, podekscytowany rozwojem sytuacji w Galii.

Co mógłby oferować Rzymowi senat, kiedy Cezar pisał o zdobywaniu warownych

miast i o bieli skalistych urwisk gdzieś na krańcach świata?

Pompejusz wydał usta, na nowo zirytowany, żałując, że nie ma przy nim Krassusa -

oburzaliby się razem. Oni dwaj, o ironio, zrobili więcej, by podsycać ambicje Cezara, niż ktokolwiek inny. Czyż on, Pompejusz, własną ręką nie podpisał się pod aktem

triumwi-ratu? Wtedy wydawało się, że skorzystają na tym wszyscy trzej, ale teraz,

kiedy galijskie legiony ciągnęły na Rzym, jedyne, co mu pozostało, to się przyznać do braku rozumu.

Wysłał Juliusza do Hiszpanii, a ten wrócił, by zostać konsulem. Wysłał go, by ujarzmił dzikie plemiona w Galii, lecz czy tamci nie mogli zachować się przyzwoicie i odesłać go do Rzymu w kawałkach? Nie, nie potrafili. Zatem wrócił tu, prężąc się i przeciągając jak syty lew, a obywatele najbardziej ze wszystkiego podziwiają sukces. Pompejusz pomyślał o zdrajcach w senacie i twarz pociemniała mu z gniewu. Mimo wcześniejszych publicznych zapewnień i obietnic tylko dwie trzecie odpowiedziało na jego wezwanie do opuszczenia Rzymu. Reszta zasyłała się po kątach. Woleli czekać na armię najeźdźcy, niż pójść na wygnanie. To był okrutny cios, naj-okrutniejszy ze wszystkich. Ci tchórze wiedzieli, że nie starczy mu czasu, by wyciągać jednego po drugim z ich kryjówek, i mieli rację, ale to działało mu na nerwy. Poza wszystkim innym zrobiło się niebezpiecznie późno i tylko oczekiwanie na straże z dróg prowadzących z północy zatrzymywało go w mieście. Jeżeli Ahenobarbus nie sprowadzi swoich ludzi dostatecznie szybko, trzeba będzie odejść stąd bez nich. Zawiodłyby wszystkie plany, gdyby Cezar, stając pod bramami, zastał go w mieście. Odchrząknął. Gdyby nie wyjeżdżał, przełknąłby gorzką flegmę. Teraz, niby w symbolicznym akcie, splunął na marmur posadzki i od razu poczuł się lepiej. W czasie przemarszu galijskich legionów na forum bezrozumni obywatele będą zachłystywać się ich widokiem, to pewne. Nigdy nie przestawał go zdumiewać brak wdzięcz-

Rozdział II

21

ności Rzymu. Przez blisko cztery lata zapewniał żywność obywatelom i ich rodzinom i sprawiał, że żyli bez lęku przed mordem, gwałtem czy rozbojem. Zamieszki z czasów

Klodiusza i Milona ledwie pamiętano i teraz miasto rozwijało się pomyślnie, choć czy nie dlatego, że jego mieszkańcy doświadczyli chaosu na własnej skórze? Może, ale cóż z tego. Cezar raz po raz wygrywał te swoje bitwy, dając im raz po raz powód do

wylęgania na ulice w stanie radosnego podniecenia. Wtedy łatwo się zapominało o chlebie i bezpieczeństwie.

Pompejusz wsparł się o poręcz ławy i dźwignął na nogi. Bolał go żołądek. Pomyślał, że to może być wrzód. Czuł się zmęczony bez wyraźnego powodu. Niełatwo sobie

powiedzieć, że opuszczenie własnego miasta to właściwa decyzja. To prawda, każdy rzymski wódz wie, że czasami jedynym możliwym wyjściem bywa odwrót, przegrupowanie i atak na własnych warunkach. Mimo to nie było mu łatwo.

Miał nadzieję, że Juliusz ruszy za nim do Grecji. Tam jeszcze nie zapomniano, kto rządzi Rzymem. Tam on, Pompejusz, będzie rozporządzał potężnymi armiami i będzie rozkazywał najzdolniejszym, najbardziej doświadczonym dowódcom na świecie.

Juliusz wreszcie zauważy różnicę między brudnymi barbarzyńcami a rzymskimi żołnierzami i odczuje to na własnej skórze.

Dziwnie było pomyśleć, że Cezar to już nie tamten młody człowiek sprzed lat. Czy z wiekiem i jego bardziej nęka chłód zimy? Czy częściej targają nim wątpliwości?

Jeszcze dziwniejsza była myśl, że on, Pompejusz, zna swego wroga lepiej niż

ktokolwiek w Rzymie. Był czas, kiedy dzielił z nim chleb, kreślił plany i walczył po tej samej stronie przeciw wspólnym wrogom, o te same ideały. To była bolesna zdrada,

ten człowiek nastający na niego, na męża własnej córki. Pompejusz roześmiał się

głośno. Nie wierzył w miłość Julii, to prawda, ale Julia znała swoją powinność o wiele lepiej niż jej żądny przygód tułaczy ojciec. Julia wydała na świat syna, jego syna, i on właśnie pewnego dnia odziedziczy cały świat.

Ciekawe, pomyślał, czy ucieszyłaby się z powrotu ojca. Nie zatroszczył się, by zapytać o to, kiedy odprawiał ją na statek. Mogła sobie być z krwi tamtego, ale już do niego nie należała. Jej młode ciało wciąż podniecało Pompejusza i nie sądził, by była

niezadowolona ze swego losu, nawet jeśli milcząco przyjmowała jego dotyk.

22

Imperator

A gdyby jej tak przyniósł głowę ojca? Byłaby przerażona? Scena, jaką sobie wyobraził, poprawiła mu humor.

Wyszedł z pustego gmachu na zewnątrz, do prężących piersi równych szeregów

żołnierzy. To przez Cezara czuł się tak, jakby świat odstąpił od wszelkich zasad, jakby przestało funkcjonować prawo, jakby zanikła tradycja i miało nie być żadnego jutra.

Czy zatem widok tłumów na forum, ustępujących z respektem miejsca jego ludziom, nie był widokiem kojącym?

Podniesiony na duchu zwrócił się do najbliższego skryby.

- Są jakieś wieści od Ahenobarbusa?

- Nie, panie, nie ma - odrzekł zapytany.

Pompejusz zmarszczył czoło. Miał nadzieję, że ten stary głupiec nie da się zwieść i wciągnąć w bitwę z galijskimi legionami. Jego, Pompejusza, rozkazy, były wyraźne.

Droga ginąca w dali przed maszerującą kolumną była szeroka i pusta. Ahenobarbus z pomrukiem aprobaty odnotował w myślach, w jaki sposób Seneka dowodzi swoimi ludźmi. To prawda, młodemu nobilemu brakowało doświadczenia bitewnego, ale przeszedł odpowiednią zaprawę w legionach i radził sobie z powierzonym obowiązkiem z beztróskim zadufaniem w swoją młodość i pieniądze ojca. Centurie połączono w manipuły, najbardziej doświadczonych dowódców rozstawiono gęstym łańcuchem. Zadęto w rogi i trzy proste sekwencje tonów powtarzano tak długo, aż można się było spodziewać, że usłyszeli je ostatni w szeregach i zatrzyma się, gotów do odwrotu czy ataku. Coś bardziej skomplikowanego sprawiłoby ludziom trudność, uznał Seneka, mimo to wyglądał w marszu na zadowolonego. Żołnierze byli dobrze uzbrojeni, dobrze odżywieni i należeli do najwspanialszego - w ich i jego przekonaniu - bitewnego narodu w całej historii świata, choć każdy legion zaczynał swoją karierę od prostych ćwiczeń i garstki dowódców. Dla przydrożnych straży, na co dzień lekceważonych przez Rzym, któremu wiernie służyły, wybiła godzina prawdy i każdy żołnierz o tym wiedział. Każdy wiedział także, tak samo jak Seneka, że stają przeciw zdrajcom i że miasto jest po ich stronie. To tam większość miała rodziny, a za bliskich walczy się dzielniej niż za ideały. To Seneka też wiedział.

Rozdział II

Oczy wszystkich spoczęły na Ahenobarbusie i ten, choć odpowiedzialność, o którą zresztą modlił się przez całe życie, spadła mu na barki ogromnym ciężarem, poczuł się jak uskrzydłony. Już sam marsz, pośrodku szeregów, sprawiał mu radość trudną do ukrycia. Nie mógłby prosić bogów o więcej i przysiągł sobie, że po tym, jak wydadzą mu Cezara, obliczy swój majątek i złoży im ofiarę przynajmniej z szóstej części.

Zwiadowcy zlokalizowali siły wroga dziesięć mil na północ od Korfinium, a taką odległość siły Ahenobarbusa mogły pokonać w mniej niż trzy godziny. Namawiano dowódcę, by dosiadł konia, jednak jazda nie zaspokoiłaby jego próżności. Ludzie powinni wiedzieć, jak idzie z nimi, i kiedy nadejdzie właściwa pora, jak wyciąga miecz i jak ciska włóczniami z całą resztą.

To Seneka nakreślił plan ataku i, doprawdy, Ahenobarbus był pod wrażeniem jego wiedzy. Co innego wydać rozkaz, co innego utworzyć formacje i wymyślić taktykę.

Zadanie ułatwił mu prosty fakt, że mieli się zmierzyć z rzymskim żołnierzem, powiedział Seneka. Jediną niewiadomą stanowiła konfiguracja terenu. Wszystko inne powinno się potoczyć zgodnie z wiedzą zawartą w podręcznikach, a Seneka, jak powiedział, przeczytał je wszystkie.

Z chwilą, kiedy szeregi nabrały kształtu, Ahenobarbus zmienił swoją nie najkorzystniejszą opinię nie tylko o Senece. Również o najświeższym zaciągu. By pędzić żywot na odludziu, trzeba mieć niemało hartu ducha i ciała, to wiedział na własnym przykładzie; poza tym do przydrożnych warowni, na koniec kariery, trafiło sporo weteranów z Grecji i Hiszpanii. Wszyscy razem maszerowali teraz w doskonale uformowanych kolumnach i Ahenobarbus żałował jedynie, że nie mają bębnow, które wybijałyby rytm.

Czy w takim nastawieniu ducha mógłby nie wyobrazić sobie przyszłych honorów, którymi obdarzy go Pompejusz? Za pojmanie takiego zdrajcy? Przy całej skromności,

czy nie mógł się spodziewać stanowiska trybuna lub co najmniej urzędnika sądowego? Będąc w sile wieku, Ahenobarbus zdawał sobie sprawę, że nie obdarzą go dowództwem nowego legionu, ale to się nie liczyło. Zachowa ten dzień w pamięci bez względu na to, co stanie się potem. Poza tym dowodzenie legionem w jakichś odległych górach, z daleka od domu, niespecjalnie go pociągało. O wiele przyjemniej będzie

24

Imperator

zasiadać codziennie w ławach sędziowskich i pozwolić się przekupywać synom senatorów.

Okolica była podzielona między drobne gospodarstwa i na każdym spłachetku płaskiego gruntu falowały łąny owsa i pszenicy, sycących wiecznie głodny brzuch miasta na południu. Niezajęta pod uprawy była jedynie droga i Ahenobarbus nie patrzył na kupców, którzy zjeżdżali wozami na pobocze, by przepuścić legion. Jego legion.

Juliusz nie zamierzał zwlekać. Dał rozkaz do wymarszu, gdy tylko zwiadowcy donieśli, że Ahenobarbus opuścił Korfinium. Dowódca straży nie skorzystał z okazji do ataku i teraz Juliusz miał nadzieję, że galijscy weterani przechwycą go na drodze do Rzymu.

Nie bał się nie sprawdzonych w wojnach oddziałów. Jego Dziesiąty mierzył się z przytłaczającymi siłami, z pułapką, nocnym atakiem, nawet z rydwanami Brytów.

Jeśli chodziło o sprawność i skuteczność w zabijaniu, Juliusz mógł na nim polegać, bez względu na rodzaj armii przeciwnika. Wzięcie żywych oddziałów straży mogło się okazać trudniejszym wyzwaniem i jeźdźcy wyborowi przez cały ranek krążyli z rozkazami między Brutusem a Dziesiątym. Pomysł z 'wymuszeniem na przeciwniku złożenia broni był dla Juliusza czymś nowym. Poza tym rzecz dotyczyła rzymskich legionistów. Wiedział, że z wyjątkiem obezwładniającej przewagi jego ludzie gotowi są raczej walczyć do ostatniej kropli krwi i ostatniego żołnierza, niż zostawić Rzym

otwarty. Należało ich zmusić do posłuszeństwa już od pierwszego kontaktu z nieprzyjacielem.

Weteran wielu wojen, Dziesiąty, brnął przez zboże, deptąc je wielkimi pokosami. Za nim, jak daleko Juliusz sięgał wzrokiem, ciągnęły szeregi rozległej formacji, jak zagrabiające ziemię olbrzymie metalowe szpony. Choć pofałdowany teren to się wznosił, to opadał, żołnierska ścieżka biegła prosto. Wyborowi jechali przodem, wypatrując rzymskiego wroga. Dziesiąty w marszu poluzował miecze, w oczekiwaniu na przenikliwy jęk rogów, który miał ich pchnąć na linię walki.

Ahenobarbus zobaczył kładącą się w poprzek pól ciemną plamę wroga i serce zabiło mu szybciej. Seneka nakazał zadać w rogi,

Rozdział II

25

a wtedy przez szeregi przetoczył się sygnał ostrzegawczy, od którego zeszywniały plecy żołnierzy i napięły się nerwy. Prawie bezwiednie zwiększono tempo marszu.

- Formuj czworobok! - ryknął Seneka i kolumna się rozsypała, kiedy centurie ruszyły każda na swoje miejsce.

To nie były paradne ćwiczenia; formacja wyłoniła się z szeregów jak obuch ciężkiego młota, z rękojęścią sunącą jego śladem wzdłuż szerokiej drogi. Stopniowo jedno i

drugie stopiło się w zwartą, prącą do przodu ludzką masę. Na solidnych włóczniach

kurczowo zacisnęły się spocone dłonie gotujących się do boju mężczyzn i Ahe-

nobarbus usłyszał pomruk modlitw, w których polecano dusze opiece niebios. On sam

podziękował swoim bogom, za dar takiej chwili i wszedł w zboże, deptąc je wspólnie z

innymi. Nie mógł oderwać wzroku od błyszczących zbroi galijskiego legionu. Ci ludzie zagrażali jego miastu; obserwował ich nadejście z fascynacją i narastającym strachem.

Usłyszał jęk rogów przeciwnika, niosący się przez pola, i zobaczył, jak w odpowiedzi na sygnał szerokie linie łamią się w mniejsze jednostki, i jak te suną nieuchronnie ku niemu.

- Bądźcie gotowi! - zawołał poprzez głowy swoich współziomków, otrząsając niecierpliwie pot z czoła.

Wtedy rozpękła się na dwoje cisza dnia; Dziesiąty ryknął tysiącami gardeł i rzucił się do biegu.

Juliusz był pośród innych. Mocno ściągał wodze, by nie wyprzedzać swoich ludzi, posuwających się do przodu długimi susami. Szacował odległość między nimi a

nieprzyjacielem, która po tym, jak jedni i drudzy jednocześnie przyspieszyli kroku, zaczęła się szybko kurczyć, i zlizywał z ust podnoszący się z pól kurz. Dziesiąty nie odwiązał włóczni; był to znak, że rozumieją jego zamierzenia. Legion pędził przez

otwarty teren w stronę drogi, którą szły straże pełnymi formacjami, i po pierwszym mimowolnym okrzyku jego szeregi zrobiły się ponure i zapadły w budzące grozę milczenie.

Juliusz liczył kroki między dwiema armiami, oceniając zasięg lotu włóczni. Wątpił, by ciżbie, którą prowadził Ahenobarbus, udało się wypuścić włócznie pełną falą, mimo to wołał nie ryzykować życia Dziesiątego i nie podchodzić zbyt blisko.

Zb Imperator

Rozkaz do zatrzymania rzucił w ostatniej chwili i Dziesiąty stanął w miejscu z głośnym tupotem nóg i metalicznym chrzęstem zbroi. Juliusz zignorował wlokącego się ślamazarnie wroga, któremu -nim jego ludzie znaleźliby się w zasięgu włóczni - pozostawało do przejścia nie więcej niż pięćdziesiąt kroków. Patrzył w dal, ponad głowami tamtych Rzymian, wyglądając kurzu, który zwiastowałby pojawienie się jego weteranów na ich tyłach. Kiedy szuranie butów przydrożnych straży zdawało się przewiercać mu uszy, uniósł się w siodle. ,

- Są! - zawołał, z radości balansując niebezpiecznie na jednym kolanie.

Zasłaniani okolicznymi pagórkami Brutus, Domicjusz i Marek Antoniusz zatoczyli

koło i Ahenobarbus został schwytany między dwie siły. Juliusz wiedział, że wystarczy chcieć, a zgniółłby nieszczęśników z łatwością, lecz jemu przyświecał subtelniejszy cel.

Z chwilą, kiedy Ahenobarbus zbliżył się na rzut włóczni, Juliusz uniósł dłoń i obrócił

nią nad głową. Dziesiąty skręcił w prawo. Ruszył do przodu i pomaszerował, zachowując wciąż jednakową bezpieczną odległość, wzdłuż linii wroga. Taki manewr zmusił przydrożne straże, by obróciły się razem z szeregami Juliusza, w przeciwnym razie ich skrzydła pozostałyby nieosłonięte.

Jednak zawrócenie czworobokiem w miejscu wymagało dużo więcej niż kilka prostych sygnałów rogu. Wrogie szeregi tłoczyły się i rozciągały wszcz. Przednie linie usiłowały zrównać krok z Dziesiątym. Drugie, trzecie i dalsze traciły orientację i dawały się ponosić złości. Juliusz, który tylko na to czekał, wyszczerzył radośnie zęby.

Dziesiąty poruszał się dokoła, jak na sznurku, i kiedy zatoczył pełną ćwiartkę, Brutus rozkazał Trzeciemu ryknąć wyzywająco i zbliżyć się do wroga. Juliusz pokiwał głową, rozgorączkowany i podniecony widokiem weteranów biorących oszołomione i

zdezorientowane siły Ahenobarbusa w dwa zataczające łuk ramiona i odcinające im odwrót.

Ahenobarbus, wraz ze swymi strażami przydrożnymi, został schwytany. Kilku z pierwszych szeregów próbowało stawić czoło nowemu zagrożeniu, ale tymczasem zdążyły ich okrążyć wszystkie cztery legiony i w bezradnie falującym środku zapanował nie da-

Rozdział II

21

jacy się opisać chaos. Ze zbitej masy żołnierzy nie mogły poszybować w powietrze żadne włócznie.

Z tratowanych bezlitośnie pól obracające się armie wznosiły tumany kurzu, od

którego gęstniało powietrze, a ludzie kaszleli i kichali jeden po drugim. Ahenobarbus nie widział wyborowych aż do chwili, kiedy podjechali blisko, by zamknąć wyrwy w

okrążeniu. Zdjęty paniką, jak cała reszta, w obliczu nieprzebranych wrogich szeregów nie potrafił sformułować rozkazów, które by wyszły naprzeciw zagrożeniu.

Ahenobarbus wiedział, że przyjdzie mu umrzeć. Galijskie legiony przystanęły, z

włóczykami spoczywającymi na ramionach żołnierzy, i na myśl, że nadchodzi czas zabijania, straż przydrożne wbiły się w środek własnych szeregów.

Ahenobarbus ryknął w stronę swoich ludzi o zachowanie spokoju, ale szeregi i rzędy mieszały się między sobą jak gniewny, wyprowadzony z równowagi motłoch. Seneka zrezygnował z wykrzykiwania rozkazów. Czuł się zagubiony jak wszyscy. O tym, czego był świadkiem, nie pisano w żadnych podręcznikach. Obok niego, ciężko dysząc, z twarzą wykrzywioną grymasem Ahenobarbus oczekiwał na atak. Wielu podniosło miecze w obronnym geście i na widok odwagi w obliczu tak sromotnej klęski serce dowódcy wezbrało dumą.

Obserwował nadciągających jeźdźców w milczeniu. Nie wiedział, czy na myśl, że za chwilę spojrzy im w oczy z pozycji upokorzonego, powinien kipieć gniewem, czy cieszyć się wszystkim, co opóźnia śmierć. Cenna stawała się każda minuta życia.

Zobaczył, że dwóch trzyma tarcze gotowe osłonić trzeciego, i już wiedział, że patrzy na człowieka, który rzucił na kolana Galię i teraz zagraża ich własnemu miastu.

Jeździec nie nosił hełmu, miał na sobie prostą zbroję i wymięty ciemnoczerwony płaszcz, spływający nierównymi fałdami po bokach wierzchowca. W tłumie Ahenobarbus mógłby go nie zauważyć, ale teraz, po sposobie, w jaki rozprawił się z jego strażami, bez jednego pchnięcia mieczem czy rzucenia włócznią, ów człowiek wydał mu się jakimś potworem, który wyłonił się z głębin ciemnej rzeki, by sobie z niego zadrwić. Nietrudno było sobie wyobrazić rzymską krew, która splamiłaby jego płaszcz.

Ahenobarbus wyprostował się.

- Kiedy podejdzie bliżej, przyjaciele, na mój rozkaz rzucimy się na niego. Przekażcie dalej rozkaz. Możliwe, że nie zdołamy pobić tych łotrów, ale jeżeli zabijemy ich wodza, nie zginiemy na próżno.

Seneka wbił w niego spojrzenie, lecz Ahenobarbus przetrzymał je i to tamten musiał

spuścić wzrok. Młody człowiek wciąż myślał, że toczy się jakaś zawiła taktyczna gra i że Rzym otwiera się za nimi na oścież. Jednak niektórzy byli mądrzejsi i Ahenobarbus zobaczył wokół siebie kilka potakujących głów. Czasami, pomyślał, człowiek

zapomina, że życie nie jest najważniejszą sprawą na świecie, że są rzeczy, za które warto umrzeć. Pośród chaosu i porażającego zmysły strachu, bliski zgody na poddanie siebie i swoich ludzi, na szczęście odzyskał przytomność umysłu. Rzymianin czy nie, stał przed nim wróg.

Seneka przysunął się o krok bliżej, tak by jego słów nie usłyszały niczyje postronne uszy.

- Panie, nie możemy teraz atakować. Musimy się poddać, wierz mi - szepnął w ucho dowódcy.

Ahenobarbus popatrzył chłodno na niego i na jego strach.

- Wracaj na swoje miejsce, chłopcze, i niech widzą, że ciągle na nim trwasz. Kiedy tamten będzie już dostatecznie blisko, zabijemy go.

Seneka otworzył usta, niezdolny pojąć mrocznego okrucieństwa, jakie ogarnęło jego dowódcę. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy przedtem. Wstrząśnięty do głębi, zamilczał dalsze słowa i wrócił, gdzie mu kazano.

Ahenobarbus zachichotał nerwowo. Popatrzył na otaczające go ponure legiony, które przerwawszy imponujący pokaz, zamarły w miejscu. Choć niechętnie, musiał jednak

uznać ich przewagę. Wystarczające wrażenie robił sposób, w jaki unieszkodliwiły jego naprędcę sklecone formacje. Jeźdźcy, to było oczywiste, rwali się do walki i widok

tych zimnych zabójców przyprawił go o dreszcze. Wydawali się ogromni, jakby

przyrośnięci do grzbietów wierzchowców, a Ahenobarbus - jak każdy, kto czytał

meldunki z Galii - wiedział, jaką cieszą się sławą. Ale to jedynie dodawało wrogowi

blasku i lepiej było nie myśleć o weteranach tamtego człowieka wpadających między

szeregi jego własnych niedoświadczonych żołnierzy.

Imperator

- Kiedy podejdzie bliżej, przyjaciele, na mój rozkaz rzucimy się na niego. Przekażcie dalej rozkaz. Możliwe, że nie zdołamy pobić tych łotrów, ale jeżeli zabijemy ich wodza, nie zginiemy na próżno.

Seneka wbił w niego spojrzenie, lecz Ahenobarbus przetrzymał je i to tamten musiał

spuścić wzrok. Młody człowiek wciąż myślał, że toczy się jakaś zawiła taktyczna gra i że Rzym otwiera się za nimi na oścież. Jednak niektórzy byli mądrzejsi i Ahenobarbus zobaczył wokół siebie kilka potakujących głów. Czasami, pomyślał, człowiek

zapomina, że życie nie jest najważniejszą sprawą na świecie, że są rzeczy, za które warto umrzeć. Pośród chaosu i porażającego zmysłu strachu, bliski zgody na poddanie siebie i swoich ludzi, na szczęście odzyskał przytomność umysłu. Rzymianin czy nie, stał przed nim wróg.

Seneka przysunął się o krok bliżej, tak by jego słów nie usłyszały niczyje postronne uszy.

- Panie, nie możemy teraz atakować. Musimy się poddać, wierz mi - szepnął w ucho dowódcy.

Ahenobarbus popatrzył chłodno na niego i na jego strach.

-Wracaj na swoje miejsce, chłopcze, i niech widzą, że ciągle na nim trwasz. Kiedy tamten będzie już dostatecznie blisko, zabijemy go.

Seneka otworzył usta, niezdolny pojąć mrocznego okrucieństwa, jakie ogarnęło jego dowódcę. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy przedtem. Wstrząśnięty do głębi, zamilczał dalsze słowa i wrócił, gdzie mu kazano.

Ahenobarbus zachichotał nerwowo. Popatrzył na otaczające go ponure legiony, które przerwawszy imponujący pokaz, zamarły w miejscu. Choć niechętnie, musiał jednak

uznać ich przewagę. Wystarczające wrażenie robił sposób, w jaki unieszkodliwiły jego naprędcę sklecone formacje. Jeźdźcy, to było oczywiste, rwali się do walki i widok

tych zimnych zabójców przyprawił go o dreszcze. Wydawali się ogromni, jakby

przyrośnięci do grzbietów wierzchowców, a Ahenobarbus - jak każdy, kto czytał

meldunki z Galii -wiedział, jaką cieszą się sławą. Ale to jedynie dodawało wrogowi

blasku i lepiej było nie myśleć o weteranach tamtego człowieka wpadających między szeregi jego własnych niedoświadczonych żołnierzy.

Rozdział II

29

- Kto was tu przywiódł? Niech ten człowiek wystąpi do przodu! - poniosł się przez pola czyjś głos.

Twarze zwróciły się ku Ahenobarbusowi. Dowódca uśmiechnął się krzywo i zaczął torować sobie drogę wśród szeregów. W jasnym słońcu własny wzrok wydał mu się nienaturalnie czysty, a kontury rzeczy i ludzi nagle się wyostrzyły.

Ahenobarbus wyszedł przed swoje szeregi. Sam. Czuł na sobie oczy tysięcy, kiedy trzech jeźdźcy podjeżdżali bliżej. Powolnym ruchem obnażył miecz i zaczerpnął powietrza.

Niech tu przyjdą i niech ten zdrajca dostanie to, na co zasłużył, powiedział sobie w duchu. Serce biło mu młotem, lecz twarz miał spokojną.

- Chcę wiedzieć, co tu się dzieje! - zagrział Cezar, czerwieniejąc z gniewu. - Kim jesteś i jak się nazywasz?

Dowódca straży przydrożnych, zaskoczony, wzdrygnął się.

-Ahenobarbus - odrzekł, tłumiąc chęć dodania „panie”. Ludzie za jego plecami zaczęli się potrącać i przepychać, czuł to i był gotów dać rozkaz do ataku.

-Jak śmiesz obnażać miecz w mojej obecności, Ahenobarbusie? Jak śmiesz!

Nadużyłeś zaufania, jakie w tobie pokładałem. Podziękuj bogom, że żaden z twoich czy moich ludzi nie został zabity, w przeciwnym razie wisiałbyś jeszcze przed zachodem słońca.

Ahenobarbus zamrugał, zbity z tropu.

- Mam rozkazy od...

- Rozkazy od kogo? Od Pompejusza? Jakim prawem ten człowiek wciąż jest

dyktatorem w moim mieście? Staję przed tobą jako lojalny Rzymianin, a ty mi

pleciesz bzdury o jego rozkazach. Czyżbyś naprawdę chciał zginąć? I jak ci się zdaje, Ahenobarbusie, kim jesteś, by skazywać na pewną śmierć tak wielu? Czyżbyś był

prawodawcą, a może senatorem? Nie, jesteś już nikim, wodzu. Nie powinieneś być

tutaj. - Juliusz ze wstrętem odwrócił wzrok od niego i podniósł głowę, by pozdrowić obserwujące go bacznie strażę. - Wracam do mojego miasta, aby jeszcze raz zostać

konsulem. Robiąc to, nie łamię żadnych praw. Nie mam powodów, by wchodzić z

wami w zwadę, i nie przeleję krwi własnych ludzi, chyba że będę zmuszony.

Ignorując Ahenobarbusa, Juliusz ruszył wzdłuż pierwszej linii, a za nim towarzysząca mu grupa. Przez ułamek sekundy Ahenobarbus

Imperator

barbus rozważał wezwanie do ataku, ale wtedy napotkał spojrzenie jednego z

jeźdźców, który wyszczerzył zęby w uśmiechu i potrząsnął głową, jakby słyszał jego

myśli. Ahenobarbus przypomniał sobie, że Cezar nazwał go wodzem, i słowa uwięzły mu w gardle.

Głos Juliusza poniósł się poprzez szeregi.

- Za to, co dzisiaj zrobiliście, mam prawo kazać was rozbroić i sprzedać w niewolę.

Nawet teraz widzę w waszych szeregach obnażone miecze i poluzowane włócznie! Nie

wymuszajcie niczego na mnie, żołnierze. Jestem lojalnym wodzem Rzymu. Jestem

dowódcą armii wysłanej do Galii i reprezentuję senat i prawo. Nie radzę podnosić na mnie broni.

Pod gradem takich słów każdy w oddziałach straży zmartwiał z przerażenia.

Ahenobarbus zobaczył, że miecze wracają do pochew i znikają wzniesione włócznie w

tej samej chwili, kiedy Juliusz, wyprostowany w siodle, zawrócił i przejechał z

powrotem wzdłuż pierwszego szeregu.

- Nie wracam tu, po dziesięciu latach wojny, by walczyć ze współobywatelami.

Powiadam wam jedno: zostaliście wprowadzeni w błąd, i daję słowo, że nie zginie ani jeden, jeżeli odłożycie broń. - Omiótł spojrzeniem twarze. - Wybór należy do was,

przyjaciele. Potraktuję was honorowo, wystarczy, jak się przyznacie do swojej

pomyłki. Rozejrzyjcie się wokół. Nie muszę okazywać litości. Będzie to tak, jakbym się rozprawił ze

zdrajcami Rzymu.

Jeszcze raz podjechał do Ahenobarbusa i ten, aby napotkać jego wzrok, musiał patrzeć pod słońce. Oczekujący na odpowiedź Juliusz spotężniał w jego oczach i rozmył się w ciemną plamę.

- No więc? Tu, na to miejsce, przywiodła cię twoja głupota, nic więcej - przemówił

łagodnie Juliusz. - Chcesz zobaczyć ich trupy? Chcesz, by zginęli bezrozumnie i bez przyczyny? Za nic?

Ahenobarbus potrząsnął milcząco głową.

- Zatem zarządz odwrót i przyprowadź do mnie dowódców, Ahenobarbusie. Musimy rozważyć warunki poddania.

- Przekraczając Rubikon, panie, złamałeś prawo - zauważył twardo Ahenobarbus.

W oczach Juliusza pojawiły się ciemne błyski.

-A co z dyktaturą? O ile wiem, miała być tymczasowa. Cóż,

Rozdział II

31

wodzu, bywa, że człowiek musi działać w zgodzie z własnym sumieniem.

Ahenobarbus popatrzył po swoich ludziach.

- Czy dasz mi słowo, że nie będzie żadnej kary? Juliusz się nie zawahał.

- Nie przeleję rzymskiej krwi, wodzu. Nie z własnej woli. Daję słowo.

To, że ten człowiek rozmawia z nim jak równy z równym, znaczyło niewiele, lecz

Ahenobarbusowi odeszła chęć zaprzepaszczenia własnego życia. Skinął głową.

- Dobrze, panie. Zarządzę odwrót.

- Daj mi swój miecz - rzucił krótko Juliusz.

Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, po czym Ahenobarbus wyciągnął

broń i dłoń Juliusza zamknęła się na solidnej rękojeści. Symbolicznemu gestowi

przyglądały się wszystkie straże.

- Dokonałeś słusznego wyboru, wodzu - powiedział spokojnie Juliusz i odjechał do własnych szeregów.

ROZDZIAŁ III

Pompejusz stał na nabrzeżu Ostii, ale patrzył za siebie, w stronę Rzymu. Miasto było spokojne, a więc jego mieszkańcy nie zdawali sobie sprawy, czego są świadkami.

Całkiem możliwe, pomyślał, choć lata sprawowania urzędu w senacie nauczyły go, że całe tysiące obywateli rzadko kiedy zauważają pracę swoich przywódców. Ich życie zawsze biegnie swoim torem. W końcu nieważne, kto jest konsulem, chleb i tak musi być wypiekany, a ryby łowione.

Za jego plecami ogień trawił ostatni z kupieckich statków. Pompejusz odwrócił się i spojrzał na morze. Jednak ktoś zostanie tym dotknięty, pomyślał. Dla pewności, że

Cezar nie będzie miał floty, aby gonić Pompejusza, nim ten będzie gotowy, z

właścicieli statków uczyniono jednym pociągnięciem żebraków. Nawet z pewnej

odległości ryk płomieni robił wrażenie i Pompejusz przyglądał się, jak żółte języki ognia sięgają żagli i błyskawicznie pochłaniają smołowane płótno. Czy jego ludzie

mieli dość rozumu, by przed zatopieniem statki dobrze przeszukać? Pompejusz ufał,

że tak.

Na ostatnich członków senatu i na samego Pompejusza czekały trzy solidne tryremy.

Kołysały się na fali, podczas gdy sprawdzano uszkodzenia wielkich wiosł i oliwiono metalowe obejmy. Tak być powinno: on, Pompejusz, odpłynie ostatni. Patrząc na fale

pędzone wiatrem od brzegu, wiedział, że już czas, nie mógł się jednak otrząsnąć z

dziwnego nastroju, zatrzymującego go na nabrzeżu.

Czy miał jakiś wybór? Uważał, że postąpił sprytnie, wysyłając rozkaz wzywający

Juliusza do powrotu. Każdy inny wódz przybyłby z zaledwie osobistą strażą i

Pompejusz załatwiłby sprawę

prędko i bez rozgłosu. Wciąż jeszcze nie mógł zrozumieć, dlaczego Juliusz tym swoim pędem na południe zaryzykował wszystko. Re-gulus najwyraźniej zawiódł i

Pompejusz zakładał, że zginął, usiłując wypełnić jego ostatnie rozkazy. Możliwe, że niezdarna próba tego człowieka zdradziła Juliuszowi prawdę o jego mocodawcy. Nie

mógł sobie wyobrazić, by Regulus załamał się w czasie tortur, ale czy się nie mylił?

Czy nie nauczyło go doświadczenie, że każdego można złamać? To tylko kwestia czasu. Utrafienia w czuły punkt w duszy. Choć dusza Regulusa, jak mu było wiadomo, wieki temu stwardniała w skorupę nie do przebiccia.

Przybiła ostatnia z łodzi krążących między nabrzeżem a jego statkami i na ląd zeskoczył Swetoniusz. Pompejusz obserwował, jak wciąż jeszcze młody mężczyzna podchodzi pod górę, sztywny z tej swojej wiecznej pychy. Odwrócił się do niego plecami, w stronę miasta, które wyczuwał nawet na odległość. Ahenobarbus nie przybył i należało wątpić, czy jeszcze żyje. To był cios, utracić ludzi, których tamten miał ze sobą, ale jeśli spowolnił marsz Juliusza, warto było ponieść taką stratę.

Pompejusz nigdy by nie uwierzył, ile trzeba zachodu, by wyciągnąć senatorów z ich domów. Nęciło go, by zostawić w porcie nieprzeliczone skrzynie z ich mieniem i

niechby je sobie rozkradli kupcy. Musiał przystać na żony i dzieci, na zło konieczne, ale każdej rodzinie pozwolił zabrać w podróż nie więcej niż trzech niewolników i do miasta odesłano setki pozostałych. Zajęto każdy statek i każdą tryremę na przestrzeni stu mil w górę i w dół wybrzeża, poza kilkoma, a te spalono.

Pompejusz uśmiechnął się słabo, sam do siebie. Nawet Juliusz nie wyczaruje floty z niczego. Armia Pompejusza będzie miała prawie rok, by przygotować się na napaść, a potem, no cóż, potem niech jej dokonują.

W miarę jak Swetoniusz się zbliżał, coraz wyraźniej błyszczała jego zbroja, choć Pompejusz taką dbałość pochwalał. W ostatnich tygodniach senator zrobił się

niezastąpiony, to jedno, a drugie ten człowiek słynął z nienawiści do Cezara. Dobrze było otaczać się ludźmi godnymi zaufania, poza tym Pompejusz wiedział, że

Swetoniusz nigdy nie będzie kwestionował jego rozkazów.

- Twój statek jest gotów, panie - oznajmił przybyły.

Pompejusz kiwnął niechętnie głową.

34

Imperator

- Patrzyłem po raz ostatni na moje miasto - odrzekł. - Minie trochę czasu, nim tu wrócę.

- Wrócisz, panie, to pewne. Grecja to jak drugi dom dla wielu naszych ludzi. Tam położymy kres zdradzie Cezara.

- Położymy, a jakże.

Obok obu mężczyzn przesunęła się smuga dymu z płonącego statku. Pompejusz lekko zadrżał. Zdarzały się chwile, kiedy myślał, że na horyzoncie pojawią się legiony

Cezara, a on będzie tkwił w mieście jak zaklęty. To prawda, nie złożył w świątyniach stosownych ofiar, lecz czyż nie liczyła się każda chwila? Jednak teraz, nawet gdyby rozpoznał twarz nadjeżdżającego wroga, mógł spokojnym krokiem zejść do łodzi i

podpłynąć do statków, zostawiając ich wszystkich za sobą. To była jego pierwsza niespieszna chwila z prawie całych ostatnich dwóch tygodni i pierwsza chwila odprężenia.

- Zastanawiam się, Swetoniuszu, czy on jest już w mieście - powiedział miękko.

- Możliwe, panie. Jeżeli tak, nie zostanie tam długo.

Obaj mężczyźni stali i wpatrywali się we wschodni horyzont, jakby mogli zobaczyć miejsce, które ich zrodziło. Pompejusz skrzywił się na wspomnienie tłumów, które jego wymarsz na wybrzeże pożegnały milczeniem. Nikt nie śmiał zakrzyknąć, nikt, nawet ci z najgęstszych rzędów. Zнали go za dobrze jak na coś takiego. Ale on widział

ich twarze. On czuł się dotknięty. Kto im dał prawo patrzeć takim wzrokiem, kiedy mijają ich sam Pompejusz? Ofiarował im swoje najlepsze lata. Był senatorem, konsulem i dyktatorem. Stłumił powstanie Spartakusa, a także - i to więcej, niż mógł spamiętać - rebelię pomniejszych królów. Doprowadził do upadku samego Tytusa Milona, Rzymianina, kiedy ten zagroził spokojowi jego obywateli. Był ojcem miasta całe swoje życie i kochał ich wszystkich ojcowską miłością, a oni wszyscy stali w ponurej ciszy, jakby nie byli mu nic dlužni.

Wokół obu mężczyzn krążyły w powietrzu czarne popioły, unoszone niewidzialnymi prądami. Pompejusz zadrżał. Poczł się stary. Został zmuszony do zrobienia tego, co zrobił, przez człowieka, który nie dbał o nic i o nikogo. Cezar pozna cenę, jaką trzeba płacić za rządy Rzymem. To miasto ma szpony, a ludzie, którzy wiwatują

Rozdział III

35

na twoją cześć i rzucają ci kwiaty pod nogi, zapomną o tobie, nim przejdzie wiosna czy nastanie jesień.

-Nie zmieniałbym ani jednego roku z mojego życia, Swetoniu-szu. Gdyby się powtórzyło, przeżyłbym je tak samo intensywnie, nawet niechby znów przywiodło mnie tutaj, w to miejsce, do tych statków, które czekają, by ze mną odpłynąć.

Zobaczył zmieszanie na twarzy Swetoniusza i zaśmiał się cicho.

- Ale to jeszcze nie koniec. Ruszaj, musimy być na morzu przed falą przyływu.

Serwilia patrzyła na swoje odbicie w lustrze z polerowanego brązu. Od trzech godzin wczesnego świtu krzątały się przy niej, przy jej włosach i oczach, trzy niewolnice. Ten dzień będzie dniem wyjątkowym, wiedziała dobrze. Każdy, kto przybywał do miasta,

powtarzał jedno: Cezar nadchodzi, a ona chciała, by zobaczył ją tak samo piękną jak kiedyś.

Podniosła się, naga stanęła przed lustrem i wysunęła piersi, by młoda niewolnica

uróżowiła brodawki. Czując, jak twardnieją, delikatnie łaskotane, Serwilia

uśmiechnęła się, a potem westchnęła. Lustra nie dało się oszukać. Uniknęła obwisłego brzucha rzymskich matron, rodzących raz za razem, jednak wiek wysuszył jej skórę,

która teraz, pod lekkim naciskiem dłoni, marszczyła się jak jedwab. Miękkie suknie, które kiedyś służyły do odsłaniania, teraz zakrywały to, czego nie chciała pokazać.

Dalej ubierała się wytwornie, a jazda konna utrzymywała ją w dobrej kondycji, ale w życiu miewa się jedną młodość, a jej - była już tylko wspomnieniem. Stalową szarość włosów ukrywała od dawna i rok za rokiem zadawała sobie dręczące pytanie, czy nie

należy przyznać się do swego wieku wcześniej, nim róże i olejki będą niczym innym jak krzykliwą maską, jak gorzkim upokorzeniem.

Widziała kobiety, które nie zauważały, że się starzeją, i drętwiała na myśl o

dołączeniu do grona tych żałośnie patetycznych kreatur. Lepiej zachować godność, niż się ośmieszyć, lecz dzisiaj przybywał Cezar. Dzisiaj, aby jeszcze raz być piękną,

ucieknij się do każdej kobiecej sztuczki.

Kiedy stała bez ruchu, ciało, natarte olejkami, błyszczało i nietrudno było uwierzyć, że przetrwał w nim ślad dawnej urody.

36

Imperator

Ale wystarczyło drgnąć, by odbicie w lustrze zafalowało tysiącem zmarszczek,

prześmiewając jej wysiłki. To tragiczne, Serwilia westchnęła znowu. Jeszcze nie tak dawno jej skóra była lśniąca i gładka jak aksamit, a pigmenty i olejki kładziono na niej przez zwykłą kobietą próżność.

- Czy on wjedzie do miasta, pani? - spytała jedna z niewolnic. Serwilia popatrzyła na nią, na blask bijący od dziewczęcych ramion.

- O tak, Tali, wjedzie na pewno. Przybędzie na czele armii i wjedzie na forum, aby przemówić do obywateli. To będzie tak, jakby odbywał triumf.

- Nigdy nie widziałam triumfu - szepnęła niewolnica, spuszczać oczy.

Serwilia uśmiechnęła się chłodno. Nienawidziła dziewczyny za jej młodość.

-1 nie zobaczysz dzisiaj, moja droga. Zostaniesz tu i przygotujesz mój dom na jego przyście.

Rozczarowanie dziewczyny było niemal wyczuwalne, lecz Serwilia nie miała zamiaru

ustąpić. Po tym, jak legion Pompejusza wyruszył do Ostii, miasto wstrzymało oddech w oczekiwaniu na Cezara. Ci, którzy dotychczas popierali dyktatora, wpadli w panikę, że się ich wyłuska z tłumów i ukarze. Ulice były niespokojne i zbyt niebezpieczne, by pozwolić ładnej niewolnicy chodzić po nich i przyglądać się wkraczającym do Rzymu

galijskim weteranom. Czy z wiekiem przybywa mądrości, tego Serwilia nigdy nie była pewna, ale wiedziała jedno: przeżyte lata zawsze przynoszą doświadczenie, a to już wystarczy.

Odchyliła głowę i znieruchomiała. Druga usługująca jej niewolnica zanurzyła igłę z kości słoniowej w słoiczku z ciemnym płynem i uniosła ją nad jej oczami.

Uformowana na koniuszku igły drżąca kropla spłynęła w dół, do otwartego oka.

Serwilia poczuła szczypanie i zacisnęła na moment powieki, po czym druga kropla

trafiła do drugiego oka. To była belladonna, śmiertelna trucizna, choć teraz,

rozpuszczona we właściwych proporcjach, sprawiła, że źrenice Serwili zrobiły się

wielkie i ciemne jak u młodej dziewczyny o zmierzchu. Cena, jaką za taki zabieg

płaciło się w ciągu dnia, w jasnym słońcu, była niewielka. Serwilia westchnęła. Łzy, któ-

Rozdział III

37

re zawisły na rzęsach, zostały sprawną dłonią niewolnicy szybko starte. Nie mogły się stoczyć po policzkach. Nie mogły zmarnować pracy całego ranka.

Najmłodsza z trzech niewolnic, trzymając w dłoniach naczynie wypełnione ciemnym

kohlem, czekała na swoją kolej, gdy tymczasem Serwilia przyglądała się sobie w

lustrze. Dzięki belladonnie cały pokój wydawał się jaśniejszy i Serwilia poczuła, że poprawia jej się nastrój. Cezar wracał do domu.

Zgodnie z rozkazem Cezara, Ahenobarbus wmaszerował do kwater Pierworodnych,

znajdujących się na zewnątrz murów Rzymu. Nie były używane przez całą dekadę.

Należało je wyczyścić i doprowadzić do porządku i dowódca straży z Korfinium

zorganizowanie robót polecił Seneca. Sam wciąż jeszcze wytrząsał z sandałów kurz przebytej drogi.

Zostawiony w samotności na kilka cennych chwil, wszedł do głównego budynku, opuścił podróżny skórzany worek z winem w pył podłogi i usiadł przy stole, w sali dowódców. Na zewnątrz jego ludzie wciąż rozprawiali o tym, co im się przydarzyło.

Ahenobarbus potrząsnął głową. On też ledwo w to wszystko wierzył. Z ciężkim westchnieniem wyciągnął dłoń i wlał w gardło strugę cierpkiego płynu.

Niezdługo, pomyślał, pojawi się ktoś z pytaniami. Miasto rozsyłało zwiadowców i szpiegów na mile i dobrze wiedział, że i on jest śledzony. Ciekawe, komu się teraz donosi. Teraz, kiedy Pompejusz opuścił miasto i w Rzymie pierwszy raz od wieków nie ma żadnej władzy, a pamięć o chaosie panującym w okresie rozgrywek band Klodiusza i Milona na pewno wciąż jest świeża w wielu umysłach. Strach każe im czekać na przyjscie nowego władcy, tak podejrzewał.

Słyszac stukot podkutych sandałów, podniósł wzrok. Chrzaknął, widzac uchylajace sie drzwi, a w nich glowe Seneki.

-Wejdz i napij sie, synu. Mamy za soba co najmniej dziwny dzien.

- Musze znalezc... - zaczal mlody czlowiek.

- Siadaj i napij sie, jak ci mowie. Przez chwile poradza sobie i bez ciebie.

38 Imperator

-Tak, panie, masz racje.

Ahenobarbus westchnal. A juz mu sie zdawalo, ze pokonali, przynajmniej po czesci, wzajemna rezerwe, lecz majac przed oczami mury miasta, Seneka zaczal myslec o wlasnej przyszlosci, tak samo jak kazdy inny mlody Rzymianin. Choroba wieku, skonkludowal w duchu starszy mezczyzna.

- Wyslales goncow? Lepiej sie upewnijmy, czy Pompejusz wciaz nie czeka na nas na

wybrzeżu.

- Nie, panie, nie wysłałem! Nie przyszło mi to na myśl - odrzekł Seneka, podniósłszy się od razu.

Ahenobarbus zamachał niedbale.

- Nie spiesz się tak. Nawet nie jestem pewien, czy teraz dałoby się do niego dołączyć.

Oczy Seneki zrobiły się nagle ostrożne i Ahenobarbus z zaciekawieniem patrzył, jak młody mężczyzna udaje zmieszanie.

- Złożyłeś przysięgę Cezarowi, tak samo jak ja, chłopcze. Nie powiesz mi, że nie rozumiesz, co to znaczy.

Pomyślał, że Senekę stać by było na kłamstwo, ale ten podniósł głowę i odwzajemnił mu spojrzenie.

- Rozumiem dobrze, panie. Ale także przysięgałem bić się za Rzym. Jeżeli Pompejusz zabrał senat do Grecji, muszę podążyć za nim.

Ahenobarbus, nim przesunął worek na drugą stronę stołu, jeszcze raz łyknął wina.

- Twoje życie należy do Cezara, chłopcze. Powiedział ci to wystarczająco dobitnie.

Jeżeli po tym, co się wydarzyło, wystąpisz przeciwko niemu, nie będzie miał dla ciebie litości, już nie tym razem.

- Moim obowiązkiem jest trwać przy Pompejuszu - odpowiedział Seneka.

Ahenobarbus patrzył na niego dłuższą chwilę, po czym westchnął głęboko.

- Cóż, twój honor jest twoim honorem. Czy złamiesz przysięgę daną Cezarowi?

- Przysięga dana wrogowi do niczego mnie nie zobowiązuje, panie.

- A mnie tak, chłopcze, ponieważ ją złożyłem. Lepiej się zastanów, nim opowiesz się po czyjejś stronie. Jeżeli pójdziesz do Pompejusza, Cezar obetnie ci jaja.

Rozdział III

39

Seneka poczerwieniał z gniewu. Poderwał się i rzucił zaczepnie:

- Tobie chyba już obciął.

Ahenobarbus trzasnął pięścią w stół, aż wzbiła się chmura kurzu.

- Wolałbyś, by zabił nas wszystkich? To jest to, co zrobiłby Pom-pejusz! Cezar powiedział, że przychodzi zaprowadzić porządek i prawo, a potem dowiódł tego, Seneko, puszczając nas wolno i ufając naszej przysiędze. Wywarł na mnie wrażenie, chłopcze, i gdybyś tak się nie krzątał wokół własnych przyziemnych interesów, zrozumiałbyś dlaczego.

-Widzę, że rzeczywiście wywarł. I to wystarczające, by zapomnieć o lojalności, którą jesteś winien senatowi i dyktatorowi.

- Nie pouczaj mnie, chłopcze! - warknął Ahenobarbus. - Podnieś wzrok znad tych swoich cennych ksiązek i zobacz, co się wydarzyło. Wilki umykają z zagrody, rozumiesz? Umykają, od kiedy Cezar posuwa się na południe. I nie sądz, że Pompejusza interesuje nasza lojalność. Twój szlachetny senat zmiażdżyłby ciebie za jeden dzban wina, gdyby był spragniony.

Zapadło milczenie. Obaj mężczyźni, ciężko oddychając, mierzyli się wzrokiem.

- Zastanawiałem się nieraz, dlaczego człowiekowi w twoich latach powierzono dowództwo jedynie nad warownią — pierwszy odezwał się Seneka. - Teraz to rozumiem. Co do mnie, pouczam i będę pouczał każdego rzymskiego żołnierza, który nie składa swojego życia w ręce jego przełożonych. I niczego mniej nie będę oczekiwał od tych, którzy za mną pójdą. W tym tutaj nie będę tkwił do końca. To by było tchórzostwo, Ahenobarbusie.

Patrząc na pełną pogardy, młodą twarz po drugiej stronie stołu, Ahenobarbus nagle poczuł się zbyt zmęczony, by kontynuować spór.

- Zatem wyleję trochę wina na twój grób, kiedy go znajdę. To najlepsze, co mogę ci ofiarować.

Seneka odwrócił się bez oddania honorów i wyszedł z sali, zostawiając w kurzu, na podłodze, ślady sandałów. Ahenobarbus prychnął z gniewu, podniósł worek z winem i przechylił go do gardła raz jeszcze.

Zaledwie po kilku minutach drzwi otworzyły się ponownie, stanął w nich jakiś przybysz i powiedział bez żadnego wstępu:

40

Imperator

- Przysłała mnie mój pan. Chce wiedzieć, jakie masz wieści.

Na dźwięk obcego głosu Ahenobarbus, zatopiony w niewesołych myślach, podniósł wzrok.

- Kto został w mieście, aby posyłać ciebie czy innych do kogokolwiek? Myślałem, że wraz z Pompejuszem opuścił je cały senat.

Przybysz miał niespokojną twarz i Ahenobarbus uświadomił sobie, że nie podał imienia swojego pana.

- Niektórzy senatorowie nie widzieli potrzeby udawania się w podróż. Mój pan jest jednym z nich.

Ahenobarbus się zaśmiał.

- Chłopcze, biegnij do niego z powrotem i powiedz, że Cezar nadchodzi. Jest jakieś dwie, może trzy godziny za mną. Ma zamiar przywrócić republikę, a ja nie stanę mu na przeszkodzie.

ROZDZIAŁ IV

Wyborowi stali przy swoich wierzchowcach, dyszących u szerokich podwoi bramy

Kwirynalskiej, po północnej stronie miasta. Bramę zostawiono otwartą, mury świeciły pustkami i nie było komu rzucić wyzwania. Teraz, kiedy nadszedł ów moment, miasto

przycichło, a ulice wjazdowe najwyraźniej się wyludniły. Galijscy jeźdźcy wymienili spojrzenia.

Tupot czterech legionów niósł się niby echo dalekiego grzmotu. Wyborowi czuli drżenie ziemi pod stopami. W szczelinach kamiennych płyt migotał kurz. Ku miastu, które nazwało ich zdrajcami, maszerowało piętnaście tysięcy mężczyzn. Szli w szeregach po sześciu, ramię w ramię, a ogon kolumny rozciągał się dalej, niż sięgał wzrok.

Na przedzie jechał Juliusz, na tańczącym czarnym wałachu najlepszej hiszpańskiej krwi. Marek Antoniusz i Brutus podążali tuż za nim, z tarczami w pogotowiu.

Domicjusz, Cyron i Oktawian skierowali swoje włócznie grotami do przodu, a wszystkich ogarnęło napięcie chwili, przemieszane z pewną dozą lęku. Miasto było dla nich jak dom, jak wytęskniona daleka matka, jak senne marzenie. Widok stojących otworem bram i niestrzeżonych murów był dziwny i straszny. Nie rozmawiali ani nie żartowali, wstępując w jego progi, a maszerujący w kolumnie żołnierze też zachowywali ciszę. Miasto na nich czekało.

Juliusz przejechał pod łukiem bramy i uśmiechnął się, kiedy jej cień przeciął mu oczy ciemną pręgą. Widział miasta Grecji, Hiszpanii i Galii, lecz każde mogło być zaledwie odbiciem tego miej-42

Imperator

sca. Zwyczajny ład domów i przyjemny ciąg brukowanych ulic sprawiły, że coś w nim drgnęło. Juliusz usiadł w siodle prościej i ściągnął wodze, by pokierować hiszpańskim wałachem na prawo, tam, gdzie czekało na niego forum. Wbrew powadze chwili chciało mu się śmiać, chciał wykrzykiwać pozdrowienia ku swoim ludziom w swoim własnym domu, straconym dla niego na tak wiele lat.

Ulice powoli się zaludniały. Ciekawość otworzyła drzwi mieszkań, a sklepiki odsłoniły zacienione wnętrza. Mieszkańcy Rzymu chcieli się przyjrzeć galijskim legionom, przyciągani blaskiem wysłuchiwanym całymi latami opowieści. Nie było w mieście mężczyzny ani kobiety, którzy by nie nadstawiali ucha meldunkom płynącym z Galii, nie było i teraz nikogo, kto oparłby się chęci ujrzania tych żołnierzy na własne oczy.

- Rozrzucić monety, Cyronie. Ośmiel ich! - zawołał przez ramię Juliusz i roześmiał się, czując napięcie, jakie ogarnęło legionowego olbrzymia.

Podobnie jak Oktawian, jadący obok Cyron miał uwiązany u siodła pojemny worek i teraz zaczerpnął z niego pełną garść srebrnych monet z wizerunkiem mężczyzny, który ich poprzedzał. Monety zadzwoniły o bruk miasta, a wtedy dzieci wybiegły ze swych kryjówek, aby schwytać je wcześniej, nim zastygną w bezruchu. Juliusz przypomniał sobie, jak stał u boku Mariusza, podczas tamtego triumfu, i jak patrzył na tłum nadstawiający dłonie na deszcz monet. Ale mieszkańcy Rzymu pragnęli czegoś więcej niż srebra, Juliusz to wiedział; monety wydaliby tylko najbiedniejsi. Wielu zatrzyma je jak błogosławieństwo albo zawiesi na łańcuszku na szyi żony czy nałożnicy. Na razie będą unosić w dłoniach twarz mężczyzny, który stał się sławny dzięki swoim bitwom w Galii, a który dla wszystkich, poza nieliczną garstką, był jak obcy.

Piski podekscytowanych dzieci wyprowadziły na ulice ich rodziców. Jedni przez drugich sięgali po monety i śmiali się z ulgą. Kolumna nie przychodziła, by zniszczyć lub ograbić miasto, nie po takiej zapowiedzi.

Cyron i Oktawian szybko opróżnili swoje worki i podano im dwa następne. Tłum zaczynał gęstnieć, jak gdyby połowa Rzymu tylko czekała na jakiś niewidzialny znak.

Nie wszyscy się uśmiechali na widok tak wielu uzbrojonych żołnierzy na ulicach.

Wiele

Rozdział IV

43

twarzą wykrzywiła złość, lecz w miarę jak kolumna torowała sobie drogę kolejnymi ulicami miasta, niechętnie twarze gdzieś się rozplywały i ginęły niepostrzeżenie pośród całej reszty.

Przejeżdżając obok dawnego domu Mariusza, Juliusz obrzucił spojrzeniem bramy i dziedziniec. Bywał tam, będąc chłopcem. Obejrzał się na Brutusa. Wiedział, że w

przyjacielu z dzieciństwa drzemią te same wspomnienia. Stare miejsce było zamknięte i puste, lecz przychodzi czas je otworzyć i przywrócić życiu na nowo. Dobra metafora, pomyślał, należy ją teraz oprawić w odpowiednie słowa i podrzucić tłumom na forum,

kiedy będzie przemawiał. Zawsze chciał, by go uważano za spontanicznego mówcę, ale niewielu wiedziało, że każde zdanie zostało wymyślone jeszcze wśród łąnów zboża i zapisane ręką Adana.

Było coś niesamowitego w odtwarzaniu tej samej drogi, którą maszerował z dawnymi Pierworodnymi, zanim legion został rozbity i rozwiązany przez wrogów jego rodziny.

Jego wuj wszedł prosto po schodach dawnego gmachu senatu i zażądał należnego sobie triumfu. Juliusz potrząsnął głową, rozbawiony, na wspomnienie byczej sylwetki i nieugiętej postawy tamtego Mariusza. Jego wuj lekceważył każde prawo i miasto to w nim uwielbiało - wybierało go konsulem więcej razy niż kogokolwiek w swojej historii. To były inne, szalone dni. To był inny, mniejszy świat.

Na ulicę, przed innych, rzuciło się dziecko. Chciało chwycić toczący się krążek i Juliusz ściągnął wodze, by na nie nie wpaść. Chłopczyk uniósł swój skarb wysoko. Przez krótką chwilę, nim matka odciągnęła go na bok, miał minę triumfatora i oczy pełne szczęścia, Juliusz to widział. Spiął konia, by uskoczyć przed własnymi szeregami, zastanawiając się, jak znawcy znaków i omenów wytłumaczyliby to zdarzenie. Juliusz przypomniał sobie Kabere i serdecznie westchnął za wiernym przyjacielem. Rozstał się z nim na zawsze, grzebiąc go w Galii, w miejscu z widokiem na morze.

Tłum rósł w oczach, jak gdyby wieść rozeszła się po całym mieście, i ci, którzy przychodzili później, tylko poprawiali i tak świąteczny nastrój. Galijskich legionów nie trzeba się było obawiać. Szły dostojnie, obdarowując ulice srebrem, z mieczami w pochwach i włóczniami w wiązках. Wrzawa narastała proporcjonalnie do napływających mas. Uszu Juliusza już dolatywały okrzyki kupców

sprzedających swoje towary. Był ciekaw, ile jego monet zostanie wymienionych na zimne napoje pod gorącym słońcem czy na plaster zimnego mięsa.

Popatrzył za siebie i z przyjemnością zauważył, że jego ludzie odpowiadają tłumom otaczającym drogę. Ci, którzy mieli w Rzymie rodziny, rozglądali się za nimi, a ich twarze miały ten szczególny, skupiony wyraz kogoś, kto nie może się doczekać, by się uśmiechnąć.

Droga legionu, łagodnie wijąca się w dół wzgórza, wychodziła prosto na forum.

Światło otwartej przestrzeni Juliusz zobaczył na długo przedtem, zanim w nią wkroczył. Leżąca w środku miasta, była obrazem, który najmocniej tkwił w jego pamięci przez wszystkie lata oddalenia. Trudno mu było powstrzymać wierzchowca. Nie widział ani bogatych domów, ani wspaniałych świątyń. Patrzył prosto przed siebie. Im był bliżej serca Rzymu, tym jaśniejsze wydawało się słońce.

Ogarnęła go niezwykła fala podniecenia.

Ludzie już tam byli, całymi tysiącami. Niektórzy wiwatowali beztrosko, ale Juliusz wiedział, że za chwilę zażądają od niego widowiska i opowieści, którymi wywrą wrażenie na swoich dzieciach.

Zrobili mu przejście przez sam środek, aż do schodów nowego gmachu senatu. Juliusz popatrzył na miejsce, gdzie stał stary, dawno wyrzucony z pamięci. Rzym to było coś więcej niż domy i gmachy, więcej niż historia. Był oczyszczany niewinnością każdego nowego pokolenia i odradzał się za każdym razem, a on, Juliusz, stanowił część tego odrodzenia.

Patrzył przed siebie i się uśmiechał, podczas gdy wokół niesły się głosy obywateli.

Wiedział, że za plecami ma legiony, lecz przez kilka promiennych chwil mógł się czuć tak, jakby przybywał sam.

W końcu, wzruszony i podniecony, spiął wałacha, w pędzie pokonał biały marmur

schodów i popatrzył w dół, na morze twarzy. Minęło więcej niż dziesięć lat. Poznał, co to strach i ból, i utrata bliskich. Ale Rzym był jego, a on był w domu.

Legiony w dalszym ciągu napływały na forum, formując wielkie, skrzące się od zbroi czworoboki niby wyspy w kolorowym tłumie. Niewolnicy i obywatele, przemieszani,

parli coraz bliżej

Rozdział IV

4S

i bliżej senatu, pragnąc wszystko usłyszeć, być częścią wszystkiego. Najbiedniejsi spośród Rzymian napłynęli całą rzeszą i ci byli hałaśliwi, popychali się i przepychali, aby dojść do najważniejszych z ważnych schodów. Juliusz zobaczył, że kolumna w

końcu się zatrzymuje, że jego dowódcy najwyraźniej postanowili nie gromadzić

wszystkich legionów w jednym miejscu. Nie chcą spowodować chaosu. Nie chcą, żeby forum było niebezpieczne, pomyślał i zaśmiał się radośnie.

- Przyszedłem do domu! - zagrzmiął nad głowami. Pozdrowili go w odpowiedzi, a on opuścił się w siodle i wznosił

dłonie, nakazując spokój. Popatrzył w dół, na Brutusa i Marka Antoniusza, którzy

zatrzymali swoje konie u najniższego stopnia schodów. Obaj mieli pogodne twarze,

byli rozluźnieni. Brutus przechylił się, by szepnąć parę słów Markowi Antoniuszowi, po czym zgodnie zachichotali.

Stopniowo hałaśliwy tłum się uspokoił i stał, wyczekując.

- Rzymianie! Czekałem dziesięć lat, dziesięć, powtarzam, by stanąć tu, przed wami -

rozpoczął Juliusz w uniesieniu, a dobitny głos odbił się echem od świątyń. -

Pokazałem naszą siłę w Galii, czyż nie tak? Obaliłem tamtejszych królów i przywożę ich złoto, by je wydać tutaj.

Tłum zawył entuzjazmem na tę myśl i Juliusz już wiedział, że uderzył we właściwą nutę. Bardziej zawiłe rozumowanie przedstawi im później, kiedy skończy z dzisiejszym dniem.

- Zbudowałem nasze drogi na nowych lądach i wytyczyłem pola, łąki i lasy na gospodarstwa dla naszych obywateli. Jeżeli kiedykolwiek wzięła was chętka na

posiadanie ziemi na własność, mam ją dla was, czeka na was i na wasze dzieci. I to dla was przemierzyłem morza i dla was wykreśliłem nowe mapy. - Przerwał, dając

narosnąc wrzawie. - Rzym nosiłem w sobie przez lata i nigdy nie zapomniałem o moim mieście.

Okrzyki na dole nałożyły się na jego słowa. Jeszcze raz wzniósł dłonie.

-Jednak nawet ta chwila jest splugawiona. Oto stojąc przed wami i oddychając powietrzem, które kocham, wiem, że jest kilku, którzy nawołują przeciwko mnie. -

Rysy mu stwardniały i wtedy zapadła całkowita cisza. -Jestem tu, by odpowiedzieć na każdy za-46
Imperator

rzut wobec mego imienia. Lecz gdzie są ci, którzy oskarżają Cezara? Niech się pokażą, nie mam nic do ukrycia.

Ktoś rzucił odpowiedź, której Juliusz nie dosłyszał, choć ci wokół mówcy roześmiali się i rozgadali.

- Może to być prawda, że Pompejusz opuścił moje miasto? A senat, któremu zaufaliście, że będzie was ochraniał, porzucił Rzym? Powiadam wam: sądzcie ich po czynach. Rzym zasługuje na lepszych przywódców niż oni. Wy zasłujecie na coś lepszego niż mężczyźni wymykający się pośród nocy, kiedy rzuca się wyzwanie ich kłamstwom! Jestem tu, by zostać konsulem, nie by zagrażać czy się chełpić. Kto odmówi mi mojego prawa? Który z was chce się ze mną o prawo spierać?

Omiótł spojrzeniem tłum, który się przesunął i zawirował jak wzburzona rzeka.

Kochał tych ludzi w ich całej wulgarnej, sprze-dajnej, gwałtownej glorii. Kochał ich za nieugiętość, kochał za to, że nie są potulni, i za radosne podniecenie, kiedy pozwalali manipulować swoimi emocjami. Coś takiego zgubiło niejednego przed nim, lecz warto

było podjąć takie ryzyko.

- Oto, co mam do powiedzenia tym, którzy lękają się przyszłości. Widziałem dosyć wojen. Będę zabiegał o pokój z Pompejuszem i senatem, a jeżeli mi go odmówią, tym bardziej będę się o to starał. Nie przeleję rzymskiej krwi, chyba że mnie zmuszą.

Przysięgam.

Gdzieś w tłumie rozległ się piskliwy krzyk i Juliusz zobaczył, że Regulus z dwunastką Dziesiątego wychodzi z szeregów, by sprawdzić, co się dzieje. Forum było wypełnione po brzegi stłoczonymi ludźmi, co właściwie nie pozwalało na aktywną działalność

ulicznych złodziei. Wodząc oczami po tłumie, Juliusz zastanawiał się, kto

wykorzystuje nawet taki dzień, by kraść czy napadać. Pozostawała nadzieja, że

Regulus rozprawi się z nimi jak należy.

-Jeżeli z dyktaturą Pompejusza przyjdzie mi skończyć na polu bitwy, zrobię to daleko stąd. Póki życia we mnie, Rzym będę chronił. Oto moja przysięga i składam ją w

obliczu bogów i tego miejsca. Stanę do legalnych wyborów i jeżeli uczynicie mnie

konsulem, będę ścigał Pompejusza po krańce ziemi, aż go pokonam. Dopóki żyję, on

tu nie wróci.

Błyskawicznym ruchem przerzucił nogę nad siodłem, wypuścił z dłoni wodze i

ukłęknał na białym marmurze. Tłum wyciągnął

Rozdział IV

47

szyje i zaszurał nogami. Każdy chciał zobaczyć, jak się pochyła i jak całuje kamień.

Kiedy wstał i się wyprostował, jego zbroja zajaśniała w słońcu niezwykłym blaskiem.

-Jestem człowiekiem lojalnym. Moje życie należy do was.

Możliwe, że legiony zaczęły wznosić okrzyki uznania, pewien być nie mógł. Ze

wszystkich znanych jego sercu radości nie było nic miłszego niż to, kiedy lud wołał

jego imię.

Ujął wodze raz jeszcze. Pogładził sierść konia, by go uspokoić.

- Dałem wam Galię. Jej ziemia jest czarna i żyzna, i czeka na was, nowych gospodarzy.

Jej złoto zbuduje nowy Rzym, większy niż cokolwiek, co widziały wasze oczy. Nowe

forum, sądy, amfiteatry, cyrki, teatry i łaźnie. To wszystko to mój dar dla was. W

zamian proszę, byście podnieśli głowy. Byście wiedzieli, że chodzicie ulicami środka świata.

Wszystkie drogi prowadzą tutaj, do nas. Wszyscy władcy opierają swój autorytet na nas. Ważcie każdy swój czyn, mając to na uwadze, i postępujcie szlachetnie, bo to my jesteśmy nobilami wszystkich miast. Niesiemy pochodnię, za której płomieniem idzie Grecja, Hiszpania, Galia i Brytania. Najmniejszemu z was, najbiedniejszemu powiadam, pracuj, a będzie chleb na twoim stole. Powiadam tak samo, bij się o sprawiedliwość, a nastanie i dla ciebie.

Widział, nie patrząc, że żołnierze Regulusa złapali winnych tamtego krzyku. Trzech mężczyzn szybko związano i Juliusz przysiągł sobie, że ci, którzy przerwali mu mowę, pożałują tego. Popatrzył na wejście do senatu, na zwisające krzywo ciężkie brązowe drzwi. Mimo woli zachmurzył się i nim znów przemówił, westchnął głęboko.

- Przystąpcie z odwagą do wyborów nowego senatu, bądźcie gotowi zmierzyć się ze skutkami działań uciekinierów. To ludzie bezwartościowi i to właśnie im powiem, kiedy ich schwytam. -Przez forum przelała się fala śmiechu. Mówił dalej: -Jeżeli

Pompejusz odmówi ofiarowywanego pokoju, nie zostawię was bez opieki. Będą was chronić najlepsi spośród moich żołnierzy. Zapanuje tu porządek i prawo. Moje miasto nie będzie zostawione na łaskę losu. Miasta nie można ryzykować.

Tłum zastygł zasłuchany, więc jeszcze raz nabrał otuchy.

- Ale wybiegamy w przyszłość. Dzisiaj moi ludzie pragną wina i towarzystwa pięknych kobiet. Każę wykupić cały skład wina

48

Imperator

w mieście. Będziemy świętować. Galia jest nasza, a ja jestem w domu. U siebie.

Cyron i Oktawian sypnęli srebrnym deszczem między wiwatujących aż do ochrypnięcia mieszkańców Rzymu, a Juliusz skinął dłonią na swoich dowódców, by poszli za nim, do pustego senatu.

Brutus odwrócił się w drzwiach i popatrzył na tłum.

- Co by było, gdyby Pompejusz został?

Juliusz wzruszył ramionami, jednak uśmiech zamarł mu na ustach.

- Zabiłbym go. Rzym jest i zawsze był mój.

•

Rozbrzmiewający echem pustego gmachu senatu nieco się różnił od tamtego, który

Juliusz nosił w pamięci. Wykładane kremowym marmurem ściany świadczyły o

wysiłkach włożonych w odtworzenie wystroju i atmosfery starej kurii, jednak nowa

sala obrad nie była tą samą, gdzie Mariusz i Sulla skakali sobie do oczu czy gdzie nad całą resztą dominował głos Katona. Na dobrą sprawę strata takiej czy innej sali nie powinna go dotyczyć, jednak Juliusz poczuł, jak trzewia wzbierają mu tępy ból.

Podwaliny jego życia legły w gruzach i choćby chciał, nie bardzo miał do czego wracać.

Gdy towarzyszący mu mężczyźni zasiadali w ławach, Juliusz usiłował stłumić ponure

myśli. Mariusz by go nie pochwalił za tego rodzaju słabość. Wspominanie przeszłości przynosi pocieszenie dlatego, że jest bezpieczne. Ale przeszłość odeszła tak samo jak tamci mężczyźni i tamten stary gmach i nie odkryje w niej żadnych tajemnic.

Zmierzenie się z przyszłością, z całą niepewnością, którą ona ze sobą niesie, wymaga odwagi i siły. Zaciągnął się głęboko zapachem świeżo naoliwionego drewna i świeżego wapna.

- Przywołaj mi Adana, Cyronie. Chcę, by spisano moje rozkazy - powiedział.

Popatrzył z uśmiechem na innych. Oktawian, Marek Antoniusz, Brutus i Domicjusz.

Oto ludzie, którym może ufać. Ludzie, z którymi może zacząć budować imperium.

Choć przyszłość ma swoje lęki, jest miejscem na marzenia. Nawet nie śmiał myśleć, dokąd ostatecznie zawiedzie go jego ścieżka.

- A więc, przyjaciele, warto było przekroczyć Rubikon, przynajmniej na razie.

Jesteśmy w dobrym miejscu, by zaczynać.

Adan przyszedł z workiem swoich przyborów. Nie mógł się nie

Rozdział IV

rozejrzeć po sali. Dla niego było to legendarne miejsce; innego nie znał. Oczy mu błyszczały.

- Nim zapadnie noc, musimy znaleźć w mieście kwatery i domy dla naszych ludzi -

ciągnął Juliusz. - Cyronie, to twoje zadanie. Do-micjusz, chcę, by każda kropla wina została rozdzielona. Za darmo. Chcę, by do północy cały Rzym był pijany. Kup je jak najtaniej, ale daj kupcom poczuć pierwszy smak naszego złota i powiedz im, że chcę

widzieć uczyty na każdej ulicy i w każdym wielkim domu. Dostępne dla wszystkich.

Chcę widzieć pochodnie na murach i ścianach. Na skrzyżowaniach dróg i ulic.

Oświetlimy miasto od krańca po kraniec... kup oliwę i niech Dziesiąty pilnuje

porządku dzisiaj, Trzeci jutro. Musimy mieć zapas trzeźwych żołnierzy, aby utrzymać spokój. Oktawianie, ty wyślesz centurię wyborowych do Ostii. Musimy być pewni, że

Pompejusz odpłynął. Nie ma powodu, by nie dowierzać naszym informatorom, lecz

temu staremu lisowi nigdy nie zbywało na przebiegłości.

Przerwał, aby pomyśleć, i Marek Antoniusz odchrząknął.

- A co z senatorami, którzy nie udali się do Grecji? Juliusz kiwnął głową.

- Tych trzeba dobrze potraktować. Będą ziarnem, z którego po wyborach wykiełkuje

ład i stabilność Rzymu. Rozpuść wieści, że są dzielnymi ludźmi, bo oparli się

Pompejuszowi. Zrób ze wszystkich bohaterów. Poprosimy ich o pomoc w

administrowaniu miastem i daj moje słowo, że będą bezpieczni. Potrzebujemy ich.

-A wybory? - ciągnął Marek Antoniusz. - Chciałbym przeprowadzić je jak najprędzej.

-Więc to twoje zadanie. Konsulowie, urzędnicy, senatorowie, kwestorzy i pretorzy

niezbędni w nowych prowincjach w Galii... musimy ich mieć, wszystkich. Każ dawać

ogłoszenia po dwóch dniach, kiedy ulice zaczną trzeźwieć. Szczegóły zostawiam tobie, choć stanowiska mają być obsadzone szybko. Na czele senatu staną dwaj konsulowie,

niech tylko zobaczą, kto z nobilów zdecydował się nie wyjechać. Jeżeli to ci, o których myślę, będą żywym świadectwem korzyści płynących z pozostania w Rzymie. - Czoło

przecięła mu zmarszczka. -Jednak nie Bibulus. Nie chcę go, nawet jak jest w mieście.

Ten człowiek nie nadaje się do sprawowania żadnego urzędu.

50

Imperator

Marek Antoniusz skinął głową i Adan kolejny raz zaskrzypiał rylcem na swoich tabliczkach, ale Juliusz go powstrzymał.

-Wymaż tę część, Adanie. Wymaż do czysta. Moje osobiste uwagi nie powinny być zapisywane. Wystarczy, że usłyszały je wasze uszy.

Odczekał, aż stwardniały i zgrubiały od ciągłego używania kciuk młodego Celta przesunie się parę razy po woskowanej płytce, po czym mówił dalej.

- Zaczynamy od nowa, przyjaciele. Zbudowanie floty zabierze nam miesiące, a ten czas chcę wykorzystać na zrewidowanie praw Rzymu, poczynając od najdawniejszych.

Kiedy stąd odejdziemy, miasto będzie spokojne i bardziej bezpieczne, niż je

zastaliśmy, a prawa będą dotyczyć każdej dziedziny życia. Nasi obywatele zobaczą, że dotrzymuję raz danego słowa. Zacznę od zreformowania sądów. Nie będzie więcej

przekupstwa i protekcji. Oto sposobność, by sprawić, że miasto znów będzie

funkcjonowało tak jak powinno. Jak za naszych ojców.

Przerwał. Rozejrzał się po odpowiadającej mu echem sali i wyobraził ją sobie raz

jeszcze wypełnioną prawodawcami i władcami Rzymu.

- Przyjdzie nam teraz administrować całą Galią. Trzeba kontynuować budowanie dróg

i wytyczanie ziem pod uprawę. Podatki muszą być egzekwowane, a dochody

przeznaczone na publiczne budowle. Znosi się na ciężką pracę. Stacjonujący tam nasi żołnierze będą zadowoleni, kiedy w końcu zwolnimy ich do domu. - Na myśl o

ogromie czekających ich zadań uśmiechnął się od ucha do ucha. - Po zbudowaniu

floty zawezwę na południe wszystkie poza jednym legionem. Za tego pokolenia Galia

drugi raz nie powstanie, nie po tym, cośmy jej zgotowali.

- Czy mamy dosyć ludzi, by pobić Pompejusza? - spytał spokojnie Antoniusz.

Juliusz popatrzył na niego.

-Jeżeli każdy grecki legion przejdzie na jego stronę, mogą nas pokonać, ale czyż nie wybaczyliśmy strażom w Korfinium? Takie wieści dotrą nawet do Grecji. Nawet sami

ludzie Pompejusza zanoszą je tamtejszym legionom i te będą się zastanawiać, czy są po właściwej stronie. Spodziewam się, że przed końcem przejdzie do

Rozdział IV

51

mnie wielu. - Przerwał, by popatrzeć po twarzach mężczyzn, którzy doszli z nim aż

tutaj. - A koniec, po tym jak spotkamy się w polu, może być tylko jeden. Pompejusz

nigdy nie ustąpi mi pierwszeństwa. Dam publicznie do zrozumienia, że każdy, kto

podda się moim siłom, dozna łaski przebaczenia i zostanie nagrodzony za lojalność.

Stanę się symbolem dawnego Rzymu przeciwko nowemu i każę skopiować i

rozprościć moje prywatne listy, w których błagam Pompejusza, by wybrał własne

wygnanie albo śmierć obywateli Rzymu. - Nagle się roześmiał. - To doprowadzi go do

szaleństwa.

- Kto będzie rządził Rzymem pod twoją nieobecność? - To znów był Marek Antoniusz.

Brutus poderwał głowę i zacisnął dłoń na drewnianej poręczy. Juliusz nie patrzył w jego stronę.

- Sprawdziłeś się, Marku Antoniuszu. Nie widzę nikogo, kto by się bardziej nadawał

do administrowania Italią, kiedy ja będę na wojnie w Grecji. Ubiegaj się o urząd

drugiego konsula, razem ze mną. Ufam, że pozostaniesz lojalny do mojego powrotu.

Marek Antoniusz wstał. Nogi mu drżały, kiedy ścisnął swojego wodza.

- Dla ciebie bramy będą otwarte zawsze - powiedział.

Brutus wstał także. Twarz mu zbieleła. Wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć.

Juliusz spojrział na niego pytająco, ale on tylko potrząsnął głową.

- Muszę sprawdzić, co robią żołnierze - powiedział zduszonym głosem. Nie czekając na pozwolenie, ruszył prosto ku krzywym drzwiom.

Marek Antoniusz wyglądał na zakłopotanego; przyzwoitość nakazywała mu zdradzić własne myśli.

- Czy brałeś pod uwagę Brutusa, panie? On zasługuje na ten urząd tak samo jak ja, jeżeli nie bardziej.

Juliusz uśmiechnął się krzywo.

-Wiem, że potrafisz utrzymać w Rzymie porządek, Marku Antoniuszu. Wiem, że będziesz szanował prawo i nie będziesz się bał wyzwań dnia powszedniego. Jednakże nie obraż się na to, co powiem: by pobić Pompejusza w polu potrzebuję odpowiedniego wodza. Ty nim nie jesteś. Ty i Brutus dysponujecie innymi przy-

52

Imperator

miotami ducha. Do przyszłych bitew potrzebuję Brutusa. On umie zbierać zniwo śmierci.

Marek Antoniusz poczerwieniał, niepewny komplementu.

- Myślę, że powinienes mu to powiedzieć, panie.

- Powiem, to jasne - odrzekł Juliusz. -A teraz do dzieła, panowie. Chcę, by tej nocy miasto śpiewało. Na wszystkich bogów, w końcu jesteśmy w domu.

Światło dnia zamknęło się na Brutusie jak żelazne kleszcze. Stał na schodach i ciężko oddychając, patrzył na dryfujące tłumy. Nie zauważał go nikt, nikt nie rzucił w jego stronę słowa pozdrowienia. Stał jak niewidzialny, jak duch. Kusiło go, by krzyknąć, choćby dla usłyszenia własnego głosu, dla odpędzenia złych czarów. Zrobiło mu się

dziwnie zimno, jakby skrywał go ocieniony kamienny łuk, gdzie nigdy nie dociera słońce.

- Zasługuję na coś więcej - wyrwało mu się ze zdławionego gardła. Rozprostował dłoń, bezwiednie zaciśniętą w pięść w momencie, kiedy Juliusz oddawał Markowi

Antoniuszowi wszystko, co najważniejsze. Gdyby wiedział, że ten człowiek stanie się jego konkurentem, wziąłby go na bok w jedną z czarnych galijskich nocy i poderżnął

mu gardło. To była słodka myśl i to ona sprowadziła na niego słuszny gniew. Nad

Rubikonem jeszcze wierzył, że jest potrzebny, że wódz wspólnie z nim i z innymi

zaryzykuje to wszystko. Ale Juliusz przemówił do tłumów tak, jakby przyszedł na

południe sam jeden.

Brutus patrzył na świętujących Rzymian. To, że nie zauważają jego obecności, wydało mu się nagle powiewem wolności. Poczł, jak opadają z niego wszelkie więzy, i prawie się zachwiał, z ulgi i z bólu. Poszukał wzrokiem chłopca, który trzymał jego konia, i zszedł po stopniach schodów oszołomiony. Po paru chwilach wmieszał się w falujący

tłum.

ROZDZIAŁ V

Brutus, w srebrnej zbroi, stał obok białej kolumny niby posąg. Na taki widok

Regulusa przeszył zimny dreszcz. Było coś niesamowitego w milczeniu i bezruchu

wodza patrzącego ponad klębiącą się ciżbą. Nawet z pewnej odległości Brutus

wyglądał blado i Regulus ruszył ku niemu szybkim krokiem, przekonany, że stało się

coś złego. Rozpychając obywateli i ignorując krzyki tych, których powalił na ziemię, nie spuszczał oczu z Brutusa. Ten tymczasem chwycił wodze konia, wskoczył w siodło

i ruszył, przewracając na ziemię jakieś dziecko, które znalazło się zbyt blisko końskich kopyt.

Regulus zawołał za nim przestraszony, lecz Brutus ani się nie zatrzymał, ani nie

obejrzał. Jechał wyprostowany, ze ściągniętej gniewem twarzy odpłynęła mu cała

krew. Prawie się o siebie otarli, lecz Brutus ani nie widział dłoni rozpaczliwie

sięgającej po jego wodze ani nie słyszał swojego imienia.

Regulus zaklął pod nosem, kiedy koń zadudnił kopytami, unosząc jeźdźca. Popatrzył

na budynek senatu, nie wiedząc, czy ma kazać swoim ludziom zatrzymać Brutusa, czy

się dowiedzieć, co się stało. Właściwie niewiele tłumaczyło strach, który zmałcił jego pogodny nastrój. Chwila niezdecydowania wlokła się w nieskończoność, a potem

same nogi poniosły go w górę schodów.

Wcześniej, nim zobaczył wodza z Galii, usłyszał spokojne głosy mężczyzn i zbity z tropu potrząsnął głową. Oczywiście wyobraźni już widział gwałtowne sceny, ale tam, w senatorskich ławach siedział Adan, obłożony jak zwykle glinianymi tabliczkami, a Cyron na widok wchodzącego powoli się podnosił, z pytającym spojrzeniem.

54

Imperator

- Stało się coś? - uprzedził go Juliusz.

Regulus się zawahał, nieskłony wyrazić coś, co wyglądało na dziecinne lęki. Jak mógł sobie pozwolić na takie fantazjowanie?

-Ja... widziałem odjeżdżającego Brutusa, panie. Pomyślałem, że może będą dalsze rozkazy.

Zgromadzeni mężczyźni, poza Markiem Antoniuszem, którego patrycjuszowska twarz pozostawała spięta, wyraźnie odetchnęli.

- Regulusie - powiedział Juliusz - znasz Pompejusza bardzo dobrze, więc dołącz do nas i weź udział w naszej naradzie. O porządek na forum niech zadba ktoś z twoich ludzi.

Regulus poczuł ulgę. Pomylił się i teraz wolał nie wspominać o chwili przesądneho strachu. Lecz siadając, znów przypomniał sobie tamtą dzikość w oczach Brutusa.

Postanowił, że go odnajdzie jeszcze przed nastaniem nocy. Regulus nie lubił tajemnic ani nie był ufnym człowiekiem. Ale raz podjąwszy właściwe postanowienie, mógł zwrócić się ku sprawom bieżącym, a dziwny incydent zepchnąć na dno świadomości.

Dom Serwili nie wiele się zmienił od czasu, kiedy Brutus odjechał z miasta.

Trzypiętrowy budynek był czysty, dobrze utrzymany, a przy jego drzwiach przez wszystkie godziny dnia i nocy płonęła pochodnia.

Zapłacił chłopcu, by mu przypilnował konia, zdjął hełm, przyglądał spocone włosy, wszedł do środka i przedstawivszy się, stał skrepowany, z dala od klientów o pustych twarzach.

Wyszła, gdy tylko usłyszała jego imię. Objął ją niezdarnie, a ona zeszywniała w jego ramionach. Promienny uśmiech zgasł na jej ustach.

- Co się stało? Miasto ogarnęły walki?

Potrząsnął głową, lecz w oczach błysnęły mu łzy upokorzenia.

- Nie. Miasto, na forum, wznosi mu wiwaty. Juliusz jest w senacie.

- Zatem o co chodzi? Jesteś taki blady! Wejdz w głąb domu, Bru-tusie, opowiedz wszystko po kolei.

Omiotany spojrzeniami mężczyzn ruszył za nią, do prywatnych komnat, i tam, tępo patrząc przed siebie, opadł na sofę. Serwilia usiadła tuż obok. Wzięła jego dłonie w swoje. Zobaczył róż na

Rozdział V

55

policzkach i kohl wokół oczu; wiedział, dla kogo to wszystko. Wyszedłby, gdyby czuł władzę w nogach. Wyszedłby natychmiast.

- Mów - powiedziała łagodnie.

Zaskoczyły go łzy na jej rzęsach. Miał ochotę zetrzeć je delikatnie, ale w porę się powstrzymał. Serwilia wzdrygała się przed wszystkim, co mogło zepsuć doskonałość jej twarzy.

- Odchodzę, Serwilio. Uwolniłem się od niego. Potrząsnęła głową, nie bardzo rozumiejąc.

- Co to znaczy? Brutus się skrzywił.

- Właśnie to, co usłyszałaś, matko. Skończyłem z Juliuszem, a on skończył ze mną.

- Powiesz mi, co się stało?

- Na moich oczach uczynił Marka Antoniusza pierwszym w Rzymie i nagle wszystko stało się boleśnie jasne. Juliusz nigdy nie był tym, za kogo go brałem. Nigdy.

Wykorzystywał moją lojalność tak zręcznie, jak żaden spośród tych obłudników

senatorów. Pracujemy dla nich i ginimy dla nich za nic więcej niż ich czcze obietnice i nasze niewiele znaczące zaszczyty.

- Czy to ważne, że honoruje Marka Antoniusza? Ten człowiek ma kwalifikacje do pewnych stanowisk, to wszystko. Dziesiątki jemu podobnych pracują dla Rzymu. Jeśli Juliusz kogoś potrzebuje, to tylko ciebie. Słyszałam, jak to mówił.

Brutus potrząsnął głową.

- Nie, on nie potrzebuje nikogo poza stronnikami. Stałem przy nim o wiele za długo i byłem jego psem przez większą część mego życia. To także ma swój kres, jak wszystko inne. - Zamknął oczy na chwilę, owładnięty wspomnieniami i bólem.

Sięgnęła dłonią do jego policzka, ale się wzdrygnął. Serwilia poczuła się zraniona.

- No więc, co zrobisz ze sobą? - spytała twardym głosem. - Zastanowiłeś się nad przyszłością? Czy mój syn ma być zmuszony do pracy najemnej i drobnych kradzieży?

Co będziesz jadł?

- Nie sądzisz, matko, że dla mnie za późno już, by rozpocząć inne życie? Jestem rzymskim wodzem i umiem postępować z żołnierzami. Dla takich jak ja zawsze znajdzie się jakieś miejsce. Pojadę choćby na koniec świata i będę gromadził armie dla kogoś innego,

56 Imperator

a do Rzymu nie wrócę, dopóki Juliusz go nie opuści. Ty byś wolała, bym został i mył mu nogi przez resztę życia, ale nic z tego.

- Musisz porozmawiać z Juliuszem - powiedziała z błaganiem w oczach. - Albo nie.

Pozwól, że ja to zrobię. Zostań tu przez godzinę, zobaczę się z nim. On kocha cię,

Brutusie, równie mocno jak ja.

Wstał. Wstała razem z nim, nie chcąc pozwolić mu odejść.

- Zrani cię w końcu, ciebie też - powiedział łagodnie. - I nawet tego nie zauważy.

Przechylił głowę, patrząc na łzy toczące się po policzkach matki i rozmazujące starannie nałożony róż. Wreszcie odstąpił o krok, lecz Serwilia przyciągnęła go do siebie z zadziwiającą siłą i długo nie wypuszczała z objęć.

- Jesteś moim jedynym synem - odezwała się w końcu. - Mówiłam ci, jak byłam dumna, kiedy wyszedłeś na piasek areny do zawodów na miecze, a tłum się poderwał i zgotował ci głośną owację? Mówiłam ci to?

- Mówiłaś, choć i bez mówienia bym wiedział - wyszeptał w jej włosy. - Jaśniałaś tą dumą jak słońce, na oczach wszystkich.

- Czy jest coś, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć? Nie ofiarujesz mi tej jednej godziny? To przecież niewiele.

= - Daj spokój, matko - rzucił. Rysy mu znów stwardniały. - Pozwól mi odejść.

- Nigdy. Jesteś dla mnie zbyt cenny.

- Cóż z nas za para głupców. - Podniósł dłoń do jej twarzy i starł kciukiem łzy. Tym razem Serwilia się nie odsunęła. - A pisałem ci, że była taka bitwa, kiedy nosiłem jego hełm i jego płaszcz?

Potrząsnęła przecząco głową, a on, patrząc w przeszłość, wzruszył ramionami.

- Żołnierze myśleli, że idą za nim. Legiony były zmęczone, głodne i obolałe, ale szły, myśląc, że wzywa ich do ostatniego ataku. Nie mógł tego zrobić. Leżał w drgawkach

tej swojej choroby. Poprowadziłem ich, ponieważ kochałem go bardziej niż

kogokolwiek. Był przy mnie całe moje życie i widzieliśmy miejsca, w których istnienie nigdy bym nie uwierzył. Razem podbijaliśmy kraje i, na bogów, powinnaś zobaczyć

ogrom zwyciężanych armii. Byłoby dość, by mały Rzym zapełnić dwa razy, a my przeszliśmy po ich trupach.

Rozdział V

- Dlaczego zatem...?

- Dlatego, że nie mogę oddać całego życia człowiekowi, który nawet nie wie, co mu ofiarowano. Pokazał, ile mnie ceni, tym swoim darem dla Marka Antoniusza. -

Zacisnął pięści. - Mógłbym być czymś więcej, rozumiesz? Gdyby umarł w Galii,

opłakiwałbym go, ale zająłbym jego miejsce i przerąbywał własną ścieżkę. Mógłbym to zrobić, matko. On i ja mamy we krwi coś takiego, czego nie ma nikt w tym

zniewieściałym mieście, nikt. On i ja, jednakowo, mogliśmy wyrosnąć ponad

wszystkich i nie mieć sobie równych... i żadnych władców. Tyle że będąc przy nim,

jestem sługą. Odsyła mnie, więc idę. Każe mi zostać, zostaję. Potrafisz sobie

wyobrazić, jak ja się z tym czuję? - Delikatnie głaskał jej włosy, lecz oczy miał zimne i nieobecne spojrzenie. - Jestem najlepszy spośród mego pokolenia, matko. Najlepszy,

nie inaczej. Tragedia polega na tym, że moje pokolenie jest też jego pokoleniem.

Miałem nieszczęście urodzić się dla Rzymu w tym samym czasie co Juliusz.

Cierpiałem przez to latami. Poświęciłem mu życie, a on tego nie widzi.

Odsunęła się od niego w końcu i potrząsnęła głową.

-Jesteś zbyt dumny, Brutusie. Nawet jak na mojego syna, zbyt dumny. Mógłbyś być wielki, a mimo to lojalny w stosunku do Juliusza.

Gniew wypełził mu na policzki czerwonymi plamami.

- Urodziłem się dla czegoś więcej! W każdym innym mieście rządziłbym, nie

rozumiesz tego? - Westchnął żałośnie. - Ty nic nie wiesz. Nie możesz wiedzieć.

Wygrywałem bitwy, kiedy Juliusz już je poddawał. Dowodziłem ludźmi, którzy

stchórzyliby pod każdym innym wodzem. Wyćwiczyłem dla niego rzesze dowódców.

Są takie miejsca w Galii, gdzie o mojej srebrnej zbroi opowiada się legendy. Nie mów mi, że jestem zbyt dumny. Nie byłaś tam. -W oczach błysnął mu ogień. - Dlaczego

miałbym roztrwonić dla niego własne lata, tak jak wielu innych? Reniusz zginął,

zasłaniając go własną tarczą, a Kabera stracił własne zdrowie, ratując innych na jego nalegania. Tubruk umarł, usiłując ocalić jego żonę. To byli dobrzy ludzie, ale ja nie chcę przejść na drugi brzeg rzeki razem z nimi, nie dla niego. Podbiłem Galię nie w swoim imieniu i nie dla mojej sławy. Zrobiłem to dla Juliusza i niech to będzie koniec.

Dostał ode mnie dość. - Zaśmiał się gorzko. Serwilia zadrżała. - Może

58

Imperator

powinienem przejść na stronę Pompejusza, ofiarować mu swoją wierność. Wątpię, czy by czymś takim wzgardził.

- Nie zdradzisz Juliusza - powiedziała Serwilia z nie ukrywanym przerażeniem w oczach. - Nawet twoja buta nie może sięgać tak daleko.

- Moja buta? Tak to nazywasz? No cóż, dlaczego nie, matko? Czyż świat nie woła o dobrych rzymskich wodzów? Kiedy Juliusz tu przyjdzie i zapyta o mnie, powiedz mu, że znajdzie mnie w Grecji, po drugiej stronie pola bitwy. Może wtedy zrozumie, co we mnie stracił.

Wyrwał dłoń z jej uścisku i uśmiechnął się na widok spustoszenia, jakie płacz dokonał na twarzy matki. Jej wieku nie dało się już ukryć. Nie był pewien, czy jeszcze ją kiedyś zobaczy.

-Jestem twoim synem i doprawdy za dużo we mnie dumy, by iść za nim choćby jeden dzień dłużej.

Popatrzyła mu prosto w oczy, zdecydowane i nieustępliwe.

- On cię zabije, Brutusie.

- Mało masz wiary we mnie, matko. Może to ja zabiję jego. Skinął głową, kończąc w ten sposób rozmowę, ucałował jej dłoń i wyszedł.

Serwilia zapadła się na sofie. Zacisnęła trzęsące się dłonie, po czym sięgnęła po srebrny dzwoneczek. Weszła młoda niewolnica i stanęła w miejscu przerażona. Praca trzech godzin świtu poszła na marne.

- Przynieś swoje róże i olejki, Talio. Musimy naprawić szkody, zanim on przyjdzie.

Brutus kierował koniem przez ulice, wybierając drogę, która zostawiała forum daleko na wschodzie. Za nic nie chciałby spotkać żadnego z tamtych mężczyzn i sama myśl, że miałby z nimi rozmawiać, nakazywała mu pośpiech i wpędzała w jeszcze większe oszołomienie i niedolę.

Jechał, nie zważając na obywateli i niewolników uskakujących mu z drogi. Pragnął zostawić to wszystko za sobą i dotrzeć na wybrzeże, gdzie mógłby kupić miejsce na rybackiej łodzi czy na czymkolwiek, co mogłoby go zabrać w podróż. Miasto, narzucające się ze swoją poufałością, zdawało się kpić z jego decyzji i każdy

Rozdział V

59

zakręt przynosił nowe wspomnienia. Kiedyś myślał, że łączą go więzi z ludźmi, lecz to nie twarze były mu znajome, lecz zawołania kupców, kolory, nawet zapachy zaułków, którymi omijał główne ulice.

Mieszkańcy miasta, w swoim wiecznym pośpiechu i w wiecznej gonitwie z jednego miejsca na drugie, dotrzymywali kroku jadącemu środkiem jeźdźcowi. Płynął z nimi jedną falą i siedząc sztywno w siodle, czuł na sobie spojrzenia właścicieli ulicznych straganów. Wszystko było znajome, mimo to poczuł się zaskoczony, kiedy jego koń

bezwiednie wybrał drogę prowadzącą do sklepu Aleksandrii.

Opadły go nie najweselsze wspomnienia. To tu uczestniczył w ulicznych zamieszkach i tu został poważnie ranny. Lecz czyż ocalenie tych, którzy sami nie potrafili się bronić, nie jest powodem do dumy? Brutus wyprostował się w siodle.

Zobaczył ją z pewnej odległości i choć zwracała twarz w inną stronę, poznałby ją

wszędzie. Już zbierał wodze, by zsiąść z konia, gdy nagle, z dłońmi złożonymi na

wysokim łęku, zastygł w bezruchu. Stojący przy niej mężczyzna objął ją w talii. Objął

zwyczajnie, jak z wieloletniego nawyku. Brutus zacisnął usta i pokiwał głową sam do siebie. Nie licząc niewyraźnego bólu, że w jego życiu zamyka się jeszcze jeden rozdział, nawet go to nie dotknęło. Był zbyt odrętwiały większą stratą, a listy Aleksandrii i tak przestały przychodzić dawno

temu. A jednak trochę się łudził, że czeka na niego, tak jakby jej życie miało się toczyć tylko przy nim. Odwrócił głowę. Z wnętrza między

sklepami przyglądał mu się jakiś brudny, obdarty dzieciak.

- Podejdź tu, chłopcze! - zawołał, podnosząc w górę srebrną monetę.

Zawołany wyszedł, kołysząc ramionami jak tragarz w porcie, i Brutus skrzywił się na widok sterczących na wszystkie strony dziecięcych kości.

- Czy znasz kobietę, która pracuje w tamtym sklepie? Chłopiec obrzucił krótkim spojrzeniem stojącą na ulicy parę. Nie

musiał odpowiadać, by Brutus wyciągnął do niego dłoń z monetą.

- Dobrze jej się wiedzie?

Chłopiec popatrzył na niego zmrużonymi oczami, szacując sztukę srebra i wyraźnie wahając się między strachem a potrzebą.

60

Imperator

- Dobrze, a zna ją każdy. Chociaż mnie nie wpuszcza do środka.

Brutus mrugnął porozumiewawczo.

- Kradłeś jej zapinki, tak? Chłopiec wzruszył ramionami.

- Może. Co chcesz za ten pieniądz?

- Chcę wiedzieć, czy ma na palcu pierścień.

Chłopiec, pocierając zasmarkany nos, myślał przez chwilę.

- To, co noszą niewolnicy?

- Nie, chłopcze - roześmiał się Brutus. - Wąskie złote kółko. To, co noszą zamężne kobiety na czwartym palcu.

Chłopiec zrobił podejrzliwą minę, lecz nie spuszczał wzroku z obiecanej nagrody. W końcu podjął decyzję i sięgnął po nią.

- Widziałem to kółko. Mówią, że w domu ma dziecko. A sklep należy do Tabbika.

Kiedyś mnie uderzył - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Brutus zachichotał i pozwolił, by mała brudna dłoń zacisnęła się na srebrze.

Kierowany impulsem sięgnął do sakiewki i wyciągnął z niej aureusa. Pewny siebie dzieciak nagle wykrzywił twarz w grymasie złości i strachu.

- Chcesz to?

Dzieciak odskoczył na bok i rzucił się do ucieczki. Pewnie nigdy nie widział złota i pomyślał, że za posiadanie czegoś takiego spotka go śmierć. Brutus westchnął. Gdyby tutejsze wilki zwęszyły, że ich szczenię ma taki skarb, tym by się prawdopodobnie

skończyło. Potrząsając głową, schował monetę na powrót do sakiewki.

- Tak też pomyślałem, że to ty, wodzu - odezwał się tuż obok czyjś spokojny głos.

Brutus spojrział w dół. To był Tabbik i klepał po szyi jego konia. Łysa głowa błyszczała od żaru pieców kowalskich, a spod fartucha, na piersi, sterczały siwe włosy, lecz od barów starego biła dawna krzepa.

- Któżby inny - odrzekł Brutus, zmuszając się do uśmiechu. Tabbik, pocierając koński pysk, zezował w górę, prosto w oczy

wciąż czerwone od łez i gniewu.

-Wejdiesz do środka napić się ze mną? Każę chłopcu odprowadzić twojego

wspaniałego wierzchowca do miejskich stajni. -

Rozdział V

61

Widząc wahanie Brutusa, ciągnął: - Na piecu stoi korzenne wino, za dużo go jak na mnie.

Nie patrzył na przybysza. Wolał, jak widać, nie utrudniać mu odmowy. Może dlatego

Brutus kiwnął głową i przerzucił nogę nad siodłem.

-Jeden kubek, ale ma być mocne. Wyjeżdżam jeszcze tej nocy. Daleko.

Wnętrze sklepu niewiele się różniło od tamtego, które Brutus pamiętał sprzed lat.

Wielkie piece wciąż tkwiły pewnie na swoim miejscu, palenisko płonęło zwykłym czerwonym żarem. Ławy i półki na narzędzia miały nowy wygląd, chociaż zapach oleju i metalu był jak wstępowanie w dawną pamięć. Brutus aż się nim zachłysnął i mimo woli uśmiechnął.

Tabbik zauważył zmianę w jego twarzy, kiedy ruszył po stojący na skraju paleniska żelazny kociołek.

- Myślisz o tamtych zamieszkach? To były czarne dni. Mieliśmy szczęście, uchodząc z życiem. Nie jestem pewien, czy podziękowałem ci kiedykolwiek za pomoc.

- Podziękowałeś - odrzekł Brutus.

- Usiądź, chłopcze, lepiej ci będzie smakował mój wywar. Pijam go zwykle zimą, ale coś takiego równie dobrze rozgrzewa w letnie wieczory.

Tabbik napełnił metalowy kubek parującym czerwonym płynem, owinął go kawałkiem płótna i podał Brutusowi.

Brutus przyjął poczęstunek ostrożnie i wciągnął w nozdrza parę razem z zapachem.

- Co tam jest w środku? - spytał. Tabbik wzruszył ramionami.

- Zioła. Kupione na straganie. Mówiąc szczerze, to, co mam pod ręką. Aleksandria powiada, że każdego roku smakuje inaczej.

Brutus pokiwał zgodnie głową, po czym rzucił jakby od niechcienia:

- Widziałem ją.

- Ano tak. Przyszedł po nią jej mąż, chwilę przedtem, nim ciebie zobaczyłem - odrzekł

Tabbik. - To dobry człowiek. Zasłużył na Aleksandrię, a ona na niego.

62

Imperator

Brutus prawie się zaśmiał z jawnie zmartwionej miny starego brązo wnika.

- Nie wracam tu po to, by rozdrapywać dawne rany. Wszystko, czego pragnę, to odejść stąd najdalej

jak można. Nie będę jej niepokoił.

Nie zauważył napięcia w ramionach Tabbika, dopóki stary człowiek się nie odprężył.

Siedzieli otoczeni łagodną ciszą. Brutus powoli, lekko się krzywiąc, opróżniał kubek.

- Kwaśne - zauważył zrzędliwie. Tabbik wzruszył ramionami.

- Nie grzałbym dobrego. Choć poczujesz, że i to ma swoją moc.

Rzeczywiście. Gorzkie ciepło zaczynało poluzowywać zacisk na piersi Brutusa, choć

przez chwilę nawet mu się opierał, nie chcąc pozwolić, by wypaliła się w nim choć

odrobina słusznego gniewu. Gniew, złość i wściekłość, zalewając mu serce, zawsze go cieszyły i uwalniały od odpowiedzialności, a kiedy słabły, powracał żal. Brutus

westchnął i podsunął kubek Tabbikowi, prosząc o następny.

- Nie masz twarzy człowieka, który wrócił do domu nie dalej jak tego ranka - zauważył stary.

Brutus popatrzył na niego. Poczul się zmęczony.

- Może nie mam, a może mam - powiedział.

Tabbik, opróżniając kubek z ostatnich kropli wina i z fusów, siorbnał, otarł brodę, potem czknał cicho w zwiniełą dłoń. Najwyraźniej rozważał usłyszaną odpowiedź.

- Ostatnim razem, kiedy cię widziałem - powiedział w końcu - nie byłeś z tych, którzy mówią zagadkami. Coś się zmieniło?

- A nie przychodzi ci do głowy, że mógłbym nie chcieć o czymś mówić? - odwarknął

Brutus.

Tabbik wzruszył ramionami.

- Jak chcesz, możesz dopić wino i odejść. To niczego nie zmieni. Zawsze będziesz tu mile widziany.

Odwrócił się do Brutusa plecami, by zdjąć ciężki kociołek z paleniska i jeszcze raz napełnić kubki. Brutus usłyszał głośny chlupot ciemnej strugi.

- Zdaje mi się, że zrobiło się mocniejsze - powiedział Tabbik, zaglądając do naczynia. -

To była dobra dostawa.

Rozdział V

63

- Masz do mnie jakieś żale, przyjacielu? - spytał nagle Brutus. Tabbik chrząknął.

- Myślałem, że coś cię martwi. Ja, gdybym mógł, cofnąłbym czas i zmienił parę rzeczy.

Byłbym lepszym mężem, może. Od kiedy matka raz odłączyła cię od piersi, zawsze robisz coś, czego potem żałujesz, ale nie wszystko jest złe, tak przynajmniej sędzę.

Poczucie jakiejś małej winy może sprawić, że niejeden człowiek żyje uczciwiej... stara się wyrównać szale u wagi, nim przejdzie na drugi brzeg.

Brutus odwrócił wzrok od Tabbika. Stary podszedł do ławy i zginając kolana, żeby usiąść, skrzywił się z bólu.

- Zawsze chciałem trochę więcej - powiedział Brutus. Tabbik sączył wino. Gorąca para biła mu prosto w nozdrza. Po

chwili zachichotał.

-A wiesz, że w tym tkwi sekret szczęścia, właśnie w tym. Są ludzie, którzy znają wartość uśmiechniętej żony i dzieci nie przynoszących człowiekowi wstydu. Być może są to ci, co w młodości doświadczyli niejednego, tego nie wiem. Znałem mężczyzn,

którzy musieli wybierać każdego dnia, czy nakarmić dzieci, czy siebie, mimo to nawet wtedy ufali losowi.

Popatrzył na Brutusa, a mężczyzna w srebrnej zbroi poczuł jego wzrok i się zachmurzył.

- No, ale są tacy, którzy rodzą się z dziurą w sobie. Ani jej nie zatkasz, ani niczym nie nasycisz - ciągnął łagodnie Tabbik. - Ci chcą i chcą, i chcą więcej, aż w końcu

rozdzierają się wewnętrznie na strzępy. Nie wiem, co wywołuje taką potrzebę w człowieku i co poza śmiercią może położyć jej kres.

Brutus spojrział na niego spod oka.

- Chcesz powiedzieć, że powinienem znaleźć jakąś uśmiechniętą, łagodną kobietę, czy tak?

Tabbik potrząsnął głową.

- Nie przychodzisz tutaj i nie pytasz mnie, czy mam jakieś żale, nie obnosząc się z paroma własnymi. Cokolwiek zrobiłeś, możesz to naprawić. Mam nadzieję. Bo jeżeli

nie, to coś przyłgnie do ciebie na długo.

- Dolej - powiedział Brutus, wyciągając kubek. Otępienie powoli ogarniało mu zmysły i to było całkiem miłe. - Kłopot z tą twoją

64

Imperator

plebejską filozofią - zaczął, zabierając się do trzeciej porcji - polega na tym, że zawsze musi być kilku takich, którzy chcą i chcą, bo inaczej jacy byśmy byli? - Zmarszczył

czoło, jakby sam rozważał własne słowa.

-Jacy, pytasz? Ano, szczęśliwsi - odpowiedział Tabbik. - To wcale niemała rzecz

założyć rodzinę i ją utrzymać. To może niezbyt wiele dla obnoszących się ze srebrnymi zbrojami wodzów Rzymu, ale zasługuje na mój respekt. Takim jak ja wystarczy proza

życia. Nie potrzebujemy poezji.

Grzane wino na pusty żołądek było mocniejsze, niż Brutus się spodziewał. Wiedział,

że w rozumowaniu Tabbika jest jakiś słaby punkt, lecz brakowało mu słów, by to

udowodnić.

- Potrzebujecie jednego i drugiego - powiedział w końcu. - Musicie mieć marzenia,

inaczej wasze życie nie miałoby sensu. Rodziny zakładają nawet krowy, Tabbiku.

Krowy, rozumiesz?

Tabbik spojrzał na niego z pogardą.

-Jak żyję, nie widziałem mężczyzny o słabszej głowie, przysięgam. O bogowie, krowy!

- Tak, krowy, bo człowiek ma jedną szansę. - Brutus wymierzył palec w starego

brązownika i ciągnął swoje. - Jedną szansę, od urodzenia po śmierć... robić to, co

może. Zapamiętaj to sobie. Jedną szansę. - Osunął się na ławie i zapatrzył na czerwony blask bijący w gęstniejącym zmierzchu od pieca.

Opróżnili kociołek aż po gorzką miazgę zalegającą dno. Brutus przestał się poruszać i zamilkł na długo. Tabbik koniec końców dźwignął go i złożył na łóżku w pokoju na

zapleczu, wciąż w zbroi. Wychodząc, przystanął w drzwiach i popatrzył na bezwładnego mężczyznę, który już zaczynał chrapać.

- Moje córki pamiętają o mnie każdego dnia - powiedział cicho. — Mam nadzieję, że dokonasz właściwego wyboru, chłopcze. Naprawdę ją mam.

Juliusz wydłubał z zębów ziarno kopru, którym doprawiono mięsa. Uśmiechnął się.

Obserwował pijanych gości, a ci, w miarę jak księżyc wędrował po nocnym niebie, stawali się coraz bardziej hałaśliwi i szaleni. Muzyka podobnie. W gardła muzyków wino lało się strumieniami. Bębenki i flety wybijały kontrapunkty rytmu,

Rozdział V

65

podczas gdy grający na cytrach niemiłosiernie szarpali struny ociekającymi tłuszczem palcami. Juliusz, od kiedy się tu znalazł, nie usłyszał ani jednej pieśni żałobnej czy weselnej i całe to szaleństwo, i uginające się pod potrawami stoły, zwłaszcza po

głodówce obozowych racji, wpasowywało się w jego dobry nastrój.

Zaproszenie było jednym spośród całych dziesiątek, które dostarczono przed

zachodem słońca, lecz gospodarz, senator Kasjusz, pozostał w mieście, i Juliusz chciał

mu okazać względy. Na rozmowie i odnawianiu znajomości spędzono tylko pierwszą

godzinę. Darmowe wino dostarczono całemu Rzymowi i wyglądało na to, że

Rzymianie postanowili usłuchać jego rozkazu i świętować. Kiedy księżyc przystanął na chwilę nad wzgórzami, ogarnęło ich szaleństwo.

Juliusz jednym uchem słuchał pijanego kupca, który najwyraźniej doszedł do siebie

po dławiającym go wcześniejszym przerażeniu. Mężczyzna wędrował od tematu do

tematu, nie wymagając od słuchacza niczego ponad rzucane od niechcenia

potaknięcia. I kiedy ów promieniał, nie zamykając ust ani na chwilę, Juliusz mógł

spokojnie przypatrywać się młodym kobietom. Nie wiedział, że większość pojawiła się na uczcie tylko dla niego. Parę z nich bezwstydnie prześcigało się w zawodach o jego spojrzenie i z niejedną gotów był dzielić łożę jeszcze tej nocy. Płonące w kobiecych twarzach, rozświetlonych wypitym czerwonym winem, nie skrywane podniecenie

działało na Juliusza jak słodka hipnoza. On i jego legiony, zajęte ciągłym marszem, okazji do przebywania w kobiecym towarzystwie mieli niewiele. W porównaniu z

obozowymi nierządnicami piękności Rzymu były jak stadko kolorowych ptaków,

roztaczających swoje wdzięki ku ucieście jego oczu. Juliusz czuł w powietrzu

zmieszaną woń ich pachnideł, mocniejszą nawet od przyjemnego zapachu kopru.

Jego towarzysz przy stole w końcu się zająknął i zamilkł w pół słowa. Juliusz spojrzał

ku niemu, nie wiedząc, czy ma odpowiedzieć na jakieś pytanie. Sam był trochę pijany, choć wino mieszał z wodą. Od chwili, kiedy minął łuk bramy Kwirynalskiej, chodził

jak odurzony czekającymi go wyzwaniem i czystą przyjemnością powrotu do miasta

ze swymi ludźmi. Samo wino niewiele miało wspólnego z jego dobrym nastrojem.

66

Imperator

- Moi bracia szczególnie będą ucieszeni, widząc, że po rządach Pompejusza miasto

dostało się w silne ręce - ciągnął kupiec.

Juliusz pozwolił monotonnemu głosowi wtopić się w ogólny zgiełk i dalej obserwował

ludzi wokół siebie. Na myśl o pójściu do łóżka z którąś z Rzymianek poczuł się

pobudzony i to było naturalne, zaczął się jednak zastanawiać, czy jedna, nawet

najbardziej upojna noc to jest to, czego powinien pragnąć. Kiedyś rozśmieszyła go

sama wzmianka o potrzebie spadkobiercy, lecz wtedy był młodszy i wielu z tych,

których nazywał przyjaciółmi, jeszcze żyło. Ale teraz? Juliusz zaczął wnikliwiej

oceniać młode kobiety w tłumie i szukać czegoś więcej niż wdzięczny kształt nogi i

biodra czy bujność piersi. Zawsze pociągała go uroda, lecz być może przyszła także pora, by pomyśleć o przyszłych koneksjach i przymierzach wynikających z zawartego związku. Małżeństwo stanowiło jeden z potężnych czynników w polityce Rzymu i na właściwym wyborze mógłby tyle samo skorzystać, ile na złym stracić.

Nieznacznym gestem przywołał Domicjusza, zajętego rozmową w drugim końcu stołu.

Jednak senator Kasjusz, który postanowił spełnić każdą zachciankę Juliusza i nie spuszczał z niego oka, zauważył ten gest i zakrzętnął się, by wyprzedzić

przywoływanego. Czuł się zaszczycony przybyciem wodza i jego stałe zainteresowanie

pochlebiało Juliuszowi, właśnie tak, jak Kasjusz się spodziewał. Senator był szczupły jak młodzieniec i chętnie się obnosił z tą młodzieńczością pośród gości. Juliusz dodał

mu odwagi kilkoma subtelnymi komplementami. Był pewien, że senator będzie

jednym z tych, którzy wrócą do nowego senatu. Jeżeli inni z pozostałych w mieście

okażą się równie otwarci, wybory, pomyślał Juliusz, przebiegną gładko. W końcu

dłaczego budynek senatu nie miałby się wypełnić wyłącznie jego stronnikami?

Zamierzał porozmawiać o kobietach z Domicjuszem, ale mając przy sobie Kasjusza, zwrócił się do niego, ostrożnie dobierając słowa.

- Zbyt długo byłem poza Rzymem, by wiedzieć, które spośród twoich gości są kobietami niezamężnymi, Kasjuszu.

Kasjusz ożywił się jeszcze bardziej i Juliusz, widząc to, ukrył uśmiech w pucharze z winem.

- Rozważasz jakiś związek, wodzu? - spytał senator, obserwując uważnie twarz tak ważnego gościa.

Rozdział V

67

Juliusz wahał się tylko przez chwilę. Być może sprawił to stan euforii, w jakim się znajdował od swojego powrotu, być może podniecająca bliskość kobiet tego wieczoru,

w każdym razie wiedział, czego chce.

-Mężczyzna nie może żyć sam, a towarzystwo żołnierzy nie wychodzi naprzeciw

wszystkim potrzebom - powiedział, szczerząc zęby.

Kasjusz się uśmiechnął.

- Z prawdziwą przyjemnością dokonam właściwych prezentacji. Mamy tu niewielki

wybór, za to wielce obiecujący.

- Z dobrej rodziny, oczywiście, i ma być płodna - dodał Juliusz.

Kasjusza zaskoczyła taka bezceremonialność, ale natychmiast i z wielkim

entuzjazmem pokiwał głową. Aż się trząsł, żeby rozgłosić rzecz między gośćmi. Juliusz widział, jak usilnie poszukuje wymówki, by odejść i zarazem nie okazać się

niegrzecznym.

Rozwiązanie nadeszło w osobie obcego niewolnika, posłańca, który zamasyście

wkroczył do wielkiej sali i szybko torował sobie drogę między uczującymi, do wodza.

Mężczyzna był ubrany bardzo prosto i nosił na palcu pierścień, wskazujący na jego

stan, lecz na Juliusza oko bardziej wyglądał na jednego z prywatnych strażników niż zwykłego posłańca. Juliusz miał wokół siebie dość żołnierzy, by znać ich sposób bycia, i zauważył, że Domicjusz, zawsze ostrożny, tężeje na widok zbliżającego się obcego.

Jakby wyczuwając zakłopotanie spowodowane swym wejściem, niewolnik uniósł

ramiona, by pokazać, że nie nosi przy sobie broni.

- Wodzu, przybywam od mojej pani. Czeka na ciebie na zewnątrz.

- Żadnego imienia? Kim jest twoja pani? - spytał Juliusz. Tajemne posłannictwo było na tyle intrygujące, by zatrzymać

w miejscu nawet Kasjusza. Niewolnik się zaczerwienił.

- Powiedziała, że będziesz pamiętał perłę, nawet gdybyś zapomniał o niej. Wybacz,

panie. To są słowa, które miałem ci przekazać, gdybyś zapytał.

Juliusz skinął głową w podzięcie, ciesząc się w duchu, że zostawi Kasjusza z okrągłymi ze zdziwienia oczami. I poczuł ukłucie winy; nie spieszyło mu się, by zobaczyć Serwilię przed zachodem słońca

pierwszego dnia powrotu.

68

Imperator

- Nie potrzebuję cię, Domicjuszu - powiedział. - Prowadź - zwrócił się do niewolnika, ruszył za nim na zewnątrz i w dół, szerokimi marmurowymi schodami. Drzwi przed

nim otwarto, tak aby przez nikogo nie zatrzymywany mógł wyjść na ulicę, prosto do oczekującego powozu.

- Nie przyszedłeś do mnie - odezwała się chłodno Serwilia w odpowiedzi na jego uśmiech.

Zawsze wyglądała pięknie w świetle księżyca i przez moment miał ochotę po prostu się nią upajać.

- Dość tego, Juliuszu - rzuciła ostro. - Powinieneś przyjść, tak jak obiecałeś. Jest sporo spraw do omówienia.

Wóznica trzasnął biczem na konia i powóz potoczył się po wybrukowanych ulicach, zostawiając stadko pięknych Rzymianek, by zdecydowały o wyborze wodza bez niego.

ROZDZIAŁ VI

Letni świt nadszedł wcześniej, choć wciąż było szaro i zimno. Brutus wsadził głowę do beczki z wodą w miejskich stajniach otrząsając się, parszcząc i energicznie nacierając dłońmi twarz i kark, powoli zaczynał przytomnieć. Ryzykował, zostając na noc w

mieście. Juliusz na pewno nie tracił czasu i zdążył wzmocnić kontrolę nad Rzymem.

Jego ludzie będą strzec bram i Brutus wiedział, że przejść przez nie nie będzie łatwo.

Rozważał ukrycie zbroi, ale koń nosił znak legionu, a legionistów o wiele bardziej interesują złodzieje koni niż wódz wyruszający na poranną przejażdżkę.

Musiał stanąć na słupku, by wskoczyć w siodło, i koń zatańczył nerwowo pod jego

ciężarem. Brutus ściągnął wodze sztywnymi jak nigdy dłońmi. Towarzystwo Tabbika

było niby balsam na otwartą ranę, co nie znaczy, że wczoraj powinien pojechać do

niego, a nie prosto na wybrzeże.

Z ponurą miną rzucił monetę jednemu ze stajennych chłopców i wśród głośnego stukotu końskich kopyt wyjechał na ulicę. Brama Kwirynalska leżała najbliżej, mimo to skierował się w stronę Eskwili-nu, na wschód. To tędy wwożono do miasta towary i brama Eskwi-lińska bywała zatłoczona wozami i kupcami już od pierwszego brzasku.

Jak dobrze pójdzie i z małą pomocą bogów strażę ledwo zerkną na niego i przepuszczą jeźdźca jednym machnięciem ręki.

Jadąc truchtem przez miasto, nadal o sztywnych plecach, czuł, że razem z potem uwalnia się od jadu minionego dnia. Nie mógł uwierzyć, że nie dalej jak wczoraj dał się ponieść optymizmowi, który go ogarnął przy wjeździe do Rzymu. Najwyraźniej jego naiw-

70

Imperator

ność wciąż nie miała granic. Na tę myśl podniosła się w nim nowa fala gniewu i nie było przechodnia, który mijając go, nie spuściłby wzroku, porażony spojrzeniem niby gromem.

Istniało takie miejsce na świecie, gdzie byłby mile widziany, choć rzucił te słowa matce niby gorzki żart. Ale dlaczego miałby starą przyjaźń stawiać na jednej szali z własnym życiem? Przyjaźń, która przecież nic dla Juliusza nie znaczyła. W końcu

wszystko się wyjaśniło. Nie będzie już dnia, kiedy Juliusz spojrzy mu w oczy i powie: byłeś moją prawą ręką od samego początku, i da mu jakiś kraj czy jakiś tron, czy cokolwiek godnego jego wartości.

Przejechał przez bramę Eskwilińską z łatwością. Juliusz nie pomyślał, by ostrzec strażę, i Brutus odpowiedział na ich honory najzwyczajniej w świecie. Pojedzie do Grecji. Pojedzie do Pompejusza. Niech Juliusz zobaczy, co stracił, lekceważąc go.

Pozostawiwszy Rzym za plecami, Brutus pędził przed siebie, spływając potem i nie zważając na niebezpieczeństwa na drodze. Wysilek szaleńczej jazdy miał być odtrutką neutralizującą opłakane skutki upicia się korzennym winem, choć odrętwiałość

umysłu była mu całkiem na rękę. Nie chciał zaczynać nie kończącego się

wewnętrznego dialogu, a po decyzji opuszczenia Juliusza coś takiego musiało

nastąpić. I choć było nieuchronne i nadciągało jak kolejna pora roku, pochylił się w siodle i skupił na trakcie pod kopytami konia i chłodnym wietrze na twarzy.

Widok maszerującej kolumny wyrwał go z leniwego ośpienia i w okrutny sposób

przypomniawszy o świecie, w którym należy podejmować decyzje. Ściągnął gwałtownie

wodze, a koń, osadzony w miejscu, na ułamek sekundy zawisł w powietrzu przednimi

kopytami. Czy możliwe, by Juliusz wysłał przodem ludzi, chcąc mu przeciąć drogę?

Zmrużył oczy, wpatrując się w długi, wijący się w oddali wąż legionistów. Nie nieśli żadnych proporców. Brutus się zawahał i zatoczył koniem ciasne kółko. W okolicach

Rzymu nie stacjonowały żadne zbrojne siły, których by nie wciągnięto w wiszącą w

powietrzu wojnę. Legion Pompejusza odszedł, razem ze swoim wodzem, a galijscy

weterani bezpiecznie obozowali w mieście. Ale on, ociągając się z wyjazdem, przespał

noc w sklepie Tabbika i Juliusz miał dość czasu, by wysłać za nim pogoń.

Rozdział VI

71

To przypuszczenie na powrót napełniło go gniewem i dumą. Nie uległ impulsowi, by

okrążyć kolumnę, i ostrożnie zaczął się do niej zbliżać, gotów, w razie potrzeby, puścić konia galopem. Juliusz nie wysłałby piechoty, był tego prawie pewien, a kolumna nie miała koni i nawet dowódców, chyba że ci ostatni szli pieszo. Brutus poczuł ulgę. Sam wyuczył wyborowych pogoni za pojedynczym jeźdźcem i wiedział, że dla zdrajcy żaden

nie miałby litości. Nawet dla człowieka, który dowodził nimi w Galii.

Wzdrygnął się bezwiednie. Nie miał czasu na rozważania, co o nim pomyślał ci,

których za sobą zostawił. Nie rozumieją, co nim kierowało. Przyjaciele, którzy znali go od lat, będą przerażeni. Domicjusz w pierwszej chwili nie uwierzy, pomyślał

gorzko. Oktawian będzie załamany.

Ciekawe, czy zrozumie go Regulus. Tak czy owak zdradził własnego wodza i Brutus

wątpił, by serce kogoś takiego potrafiło wezbrać współczuciem. Bezgraniczna lojalność, jaką kiedyś okazywał Pompejuszowi, przekształciła się w ślepe oddanie nowemu panu. Regulus to fanatyk; nic nie robi połowicznie i polowałby na Brutusa dzień i noc, niechby tylko Juliusz wydał taki rozkaz.

Dziwne, ale najbardziej bolała myśl o wyrazie twarzy Juliusza, kiedy przyniosą mu takie wieści. Cezar uzna, że to nieprawda, aż któregoś wieczoru wysłucha Serwili. I mimo jej argumentów poczuje się zraniony, Brutus to wiedział. Knykcie dłoni,

zaciskających się na wodzach, nagle pobieleły. Możliwe, że Juliusz będzie go

opłakiwał, na ten typowy dlań, świętoszkowaty sposób. Będzie potrząsał tą swoją łysą głową i zrozumie, że przez własną ślepotę stracił najlepszego z najlepszych. Potem

wyśle za nim swoje psy. Brutus znał go za dobrze, by oczekiwać przebaczenia za

zdradę. Juliusz nie mógł pozwolić mu dotrzeć do Pompejusza. Nie przeżyłby czegoś

takiego.

Brutus obejrzał się za siebie, nagle przerażony, że mógłby zobaczyć galopujących w ślad za nim wyborowych. Ale rozciągające się wokół pola tchnęły ciszą i spokojem.

Należy trzymać nerwy na wodzy. Kolumna stanowiła bardziej bezpośrednie

zagrożenie i kiedy podjechał bliżej, zobaczył blade owale twarzy zwrócone w jego

kierunku i usłyszał odległy płacz rogów. Opuścił dłoń do miecza, zaśmiał się szeroko; niech no tylko te muły spróbują go pojmać,

72

Imperator

kimkolwiek są. On jest najlepszy w swoim pokoleniu. On jest wodzem Rzymu.

Kolumna się zatrzymała i Brutus rozpoznał, kim są, w tym samym momencie, kiedy

zobaczył brak ładu w szeregach. Straże przydrożne odesłano do dawnych kwater

Pierworodnych, lecz każdy by zgadł, że z godnym podziwu uporem szukają własnego

sposobu na dotarcie do wodza, który dawno już o nich zapomniał. Oni jeszcze nie

mogli wiedzieć, że ten, który zbliża się do nich, jest ich sprzymierzeńcem, ale on miał już w głowie gotowy plan. Prawie się roześmiał. Wyglądało na to, że wystarczy znaleźć się daleko od Juliusza, by myśleć szybciej i skuteczniej. Mógłby być człowiekiem, którym być powinien, gdyby nie padał na niego cień tamtego drugiego.

Słyszając ostrzegawczą nutę rogów, Seneka odwrócił się gwałtownie, przekonany, że zobaczy nadciągające szeregi, tę karzącą rękę Cezara.

Ulga, jakiej doświadczył na widok samotnego jeźdźca, wprawiła go w stan bliski uniesienia i paniczny strach sprzed sekundy teraz wydał mu się śmieszny, a przynajmniej przedwczesny. W głębi ducha martwił się tym, co powiedział Ahenobarbus o przysiędze. Wiedział również, że i na żołnierzy spada jakaś część tej samej winy. Zmrużył oczy podejrzliwie, kiedy jeździec, zbliżywszy się do czoła kolumny, mijał stojące szeregi, nie patrząc w lewo ani w prawo. Seneka rozpoznał srebrną zbroję jednego z wodzów Cezara. Czyżby zostali otoczeni raz jeszcze? Ze strony szeregów, które obróciły się wokół nich jak wrzeciono wokół własnej osi i sprawiły, że wyglądali jak dzieci, wszystko było możliwe.

Nie tylko on tak pomyślał. Połowa ludzi w kolumnie szarpnęła nerwowo głowami, wypatrując charakterystycznego kurzu, który byłby zapowiedzią nadciągającej większej siły. Upalnym latem ziemia była wyschnięta i nawet kilku jeźdźcom nie udało się ukryć swojej obecności. Nie zobaczyli nic, ale żaden nie śmiał odwrócić wzroku po ciężkiej lekcji, której im udzielono na obrzeżach Korfi-nium.

- Ahenobarbusie! Gdzie jesteś? - zawołał Brutus, ściągając wo-

Rozdział VI

73

dze. Jego ciemne oczy zatrzymały się na moment na Senece i wyraźnie go lekceważąc, powędrowały spojrzeniem dalej.

Seneka poczerwieniał i odchrząknął. Pamiętał tego jednego, z negocjacji w namiocie

Cezara. Kpiący uśmiech pojawiał mu się na ustach jak na zawołanie, a oczy mówiły wyraźnie, że widziały więcej wojny i śmierci, niż Seneka mógł sobie wyobrazić. Na potężnym hiszpańskim wałachu był postacią groźną ponad ludzkie wyobrazenie i Senece ze strachu zaschło w ustach.

- Ahenobarbusie, pokaż się! - powtórzył wołanie Brutus. Niecierpliwił się.

-Jego tu nie ma - odpowiedział Seneka.

Wódz potoczył wokół groźnym wzrokiem, a jego koń, kierowany wprawną dłonią, zatańczył w miejscu. Seneka czuł, że pod spojrzeniem tego człowieka wyciekają z niego resztki pewności siebie. Czuł się tak, jakby go osądzono albo uznano winnym nawet bez sądu.

- Nie pamiętam twojej twarzy - powiedział Brutus, dostatecznie głośno, by usłyszał go ostatni w szeregu. -Jak się nazywasz?

- Liwiniusz Seneka, choć twojej też nie pamiętam.

-Jaki masz stopień, że dowodzisz tymi ludźmi? - padło następne pytanie.

Seneka spojrzał na niego wściekle. Kątem oka zobaczył, że kilku ze straży nadstawiło uszu, by usłyszeć odpowiedź. Mimo woli poczerwieniał raz jeszcze.

- Pompejusz zdecyduje, jak nagrodzić moją lojalność - zaczął. -W tym momencie...

-W tym momencie wyprzedzasz, być może, o kilka godzin legiony Cezara. Po tym, jak odkrył, że opuściłeś kwatery - warknął Brutus. - Jako rzymski wódz przejmuję dowodzenie nad tymi kohortami. No więc, dokąd to zmierzacie?

Tego było za wiele nawet dla Seneki.

-Nie masz żadnego prawa, by wydawać tu rozkazy! - wrzasnął. — Znamy swoją powinność i nie zawrócimy w pół drogi. Wracaj do Rzymu sam, wodzu. Nie mam czasu na próżne rozmowy.

Brutus uniósł brwi. Pochylił się do przodu.

- Nie wracam do Rzymu - powiedział miękko. - Zabieram was do Grecji. Będziemy walczyć dla Pompejusza.

74

Imperator

- Nie oszukasz mnie, wodzu. Nie dwa razy. Widziałem cię w namiocie Cezara, pod Korfinium. Chcesz mi wmówić, że stałeś się zdrajcą w jeden dzień? To kłamstwo.

Ku jego przerażeniu wódz w srebrnej zbroi przerzucił nogę nad siodłem i zeskoczył na ziemię. Zrobił trzy kroki i tyle wystarczyło, by Seneka poczuł żar bijący od nagrzanej słońcem zbroi. Jego oczy były straszne.

- Zarzucasz mi kłamstwo, nazywasz mnie zdrajcą, a mimo to spodziewasz się żyć, Seneko? Ja nie służę człowiekowi. Służę Rzymowi. Mój miecz zabił więcej mężczyzn, niż zdołałbym policzyć, a ty śmiesz używać takich słów? Wobec mnie?

Dłoń rzymskiego wodza spoczęła z czułością na rękojeści gla-diusa i Seneka cofnął się przed jego gniewem.

- Powiedziałem ci, dokąd zmierzam - Brutus mówił dalej, nieustępliwie. -

Powiedziałem ci, że będę walczył dla Pompejusza. Nie pytaj mnie o to po raz drugi, synu. Ostrzegam. - Ostatnie słowa wypowiedział chrapliwym szeptem, po czym błysk szaleństwa znikł z jego oczu i głos przybrał bardziej zwykłe brzmienie. - No więc, dokąd idziecie?

- Na wybrzeże - odrzekł Seneka. Czuł na policzkach strugi swędzącego potu, lecz nie śmiał się podrapać.

Brutus potrząsnął głową.

- Nie z dwiema kohortami. Dla tylu z nas nie starczy rybackich łodzi. Musimy

kierować się do portu, z nadzieją, że jest tam jakiś kupiecki statek, którego

Pompejuszowi nie udało się spalić. Brundyzjum leży dwieście mil na południowy wschód od nas. Jest wystarczająco duże.

- Ale zbyt odległe - odpowiedział błyskawicznie Seneka. -Jeżeli wyślą wyborowych...

- Myślisz, że będziesz bezpieczniejszy z morzem za plecami? Zatem jesteś głupcem.

Potrzebujemy statku, a w Brundyzjum kupcy jeszcze nie przestali zarabiać na życie.

- Ale co będzie, jak tamci wyślą jeźdźców? - bronił się rozpaczliwie Seneka.

Brutus wzruszył ramionami.

- To ja uczyłem ich żołnierki. Jeżeli Cezar wyśle przeciwko nam wyborowych, wypatroszymy ich jak zwierzęta.

Rozdział VI

75

Seneka wytrzeszczył oczy, ale Brutus odwrócił się, spokojnie podszedł do konia i wskoczył w siodło. Popatrzył na Senekę z wysoka; czekał na dalsze sprzeciwy. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, pokiwał głową, zadowolony sam z siebie.

- Brundyzjum zatem. Mam nadzieję, że twoi chłopcy są sprawni, Seneko. Koń nie może się mierzyć z ludźmi na długich odległościach. Chcę być w porcie w dziesięć dni lub szybciej.

Nawrócił koniem na południe i zamachał na pierwszy szereg straży. Ku cichej

wściekłości Seneki ludzie zawrócili, by pójść za nim, i kolumna ruszyła z miejsca raz jeszcze. Zrównawszy z nią krok, Seneka uświadomił sobie, że spędzi następny tydzień z końskim zadem przed oczami.

W łagodnym świetle poranka Juliusz chodził tam i z powrotem po marmurowej

posadzce dawnego domu Mariusza, obserwując twarze zawezwanych wodzów. Sam

był blady i wydawał się na skraju wytrzymałości. Ostatnie wieści wyraźnie dodały mu lat.

- Nie chodzi tylko o to, że taka zdrada przyniesie szkodę naszym stosunkom z

senatorami, którzy zostali w mieście - powiedział. - Możemy rzecz utrzymać w

tajemnicy, mówiąc, że został wysłany w pewnej sekretnej misji. Ale on ma doskonałą

wiedzę o naszych siłach, naszych słabościach, nawet naszych sposobach atakowania!

Brutus zna szczegóły każdej stoczony w Galii bitwy. To on stworzył wyborowych, my

z nich tylko korzystaliśmy. Zna nawet sekret twardego hiszpańskiego żelaza. Bogowie, jeżeli zdradzi to wszystko Pompejuszowi, będziemy pobici, nim staniemy w polu.

Powiedzcie mi, jak mam zwyciężyć, mając przeciw sobie jego wiedzę.

- Zabij go, zanim dotrze do Pompejusza - powiedział Regulus w ogólnej ciszy.

Juliusz podniósł wzrok, lecz nie odpowiedział. Oszołomiony Domicjusz zmarszczył

czoło i otarł z twarzy lepki pot. Po szaleńczej uczcie w domu opodal forum z trudem zbierał myśli, wciąż jeszcze przesiąknięte słodkim zapachem wina. By je

uporządkować, potrząsnął raz i drugi głową. Nie mogą rozmawiać o Brutusie jak o

wrogu, powiedział sobie. To niemożliwe. Razem odbierali miarki soli i żołąd, wspólnie przelewali krew i jeden drugiemu opatrywał

76

Imperator

rany. Razem zostali wodzami, w najtrudniejszych latach, i Domicjusz kurczowo

trzymał się myśli, że Brutus do nich wróci. Z wytłumaczeniem. Z żartem. Może z jakąś kobietą, może. To człowiek, który był jak ojciec dla jednego z nich, dla Oktawiana. Czy mógłby to wszystko odrzucić? Przez głupią złość?

Domicjusz potarł twarz stwardniałymi dłońmi. Wbił wzrok w posadzkę. Jak to się

stało, że przyszli do miasta zaledwie wczoraj rano, a już jeden stał się wrogiem?

Marek Antoniusz przemówił w chwili, kiedy Juliusz podjął swój żmudny marsz.

- Roześlijmy wieści, że Brutus dla nas szpieguje. To podkopie jego wiarygodność w

oczach sił zebranych w Grecji i umniejszy jego wartość. Pompejusz nie będzie skłonny mu zaufać. Nie przyjmie oferowanej pomocy, wystarczy czyjeś w porę szepnięte

słowo.

- Być może, ale jak to zrobić? - spytał Juliusz. Marek Antoniusz wzruszył ramionami.

- Wyślij człowieka, którego schwytają na greckim brzegu. Daj mu swój pierścień. Daj

mu coś, co go zdradzi. Przez co uznają go za naszego szpiega. Pompejusz wydobędzie

to z niego torturami i wtedy Brutus straci tę swoją wartość.

Juliusz rozważał pomysł w posępnej ciszy.

- Chcesz powiedzieć, że miałbym wysłać kogoś na zatracenie? Na pewne męki? Nie ma mowy. Pompejusz spędzi nad nim godziny, by się upewnić, że mówi prawdę.

Widziałem kiedyś, co robił ze zdrajcami. Nasz szpieg straci oczy, wypalą mu je rozżarzoną żelazną prętą, a razem z oczami straci nadzieję na przeżycie tak ciężkiej próby. Pompejusz sumiennie i starannie dopełni swego. Czy ty to rozumiesz?

Z człowieka zostaną krwawe strzępy mięsa, nic więcej.

Marek Antoniusz nie odpowiadał. Juliusz parsknął z obrzydzeniem i na nowo zastukał sandałami o marmur posadzki. W najdalszym punkcie przestronnej sali zatrzymał się i zawrócił. W głowie mu szumiało. Nie przypominał sobie ostatniej przespanej nocy.

- Masz rację, mimo wszystko. Musimy złagodzić cios, jaki nam zadał Brutus, przechodząc do nich. Pompejusz, zakładając, że ma dość rozumu, będzie o tym trąbił na cztery strony świata, ale jeśli zasiejemy w nim ziarno nieufności, równie dobrze może zniszczyć

Rozdział VI

77

naszego ukochanego wodza. Czy ludzie już wiedzą, że opuścił Rzym?

- Kilku. Choć o tym, że ruszył za Pompejuszem, nawet nie pomyślą. To nie do uwierzenia.

- Zatem jakiś lojalny człowiek będzie znosił najgorsze męki, by unicestwić tę zdradę - stwierdził posępnie Juliusz. - To pierwsze, co tamten będzie nam winien.

Kogokolwiek wyślemy, wysłany nie może znać prawdy. Prawda musi zginąć razem z nim. Trzeba mu powiedzieć, że Brutus jest wciąż jednym z nas. Że prowadzi subtelny

grę. I pozwólmy mu coś podsłuchać, będzie mniej podejrzliwy. Kogo byście wysłali?

Wodzowie popatrzyli po sobie niechętnie. Pchnąć żołnierza na pierwszą linię, na pewną śmierć, to jedno, ale to tutaj było brudną sprawą i serca mężczyzn zapłonęły nienawiścią do Brutusa.

W końcu Marek Antoniusz odchrząknął.

- Mam takiego, który pracował dla mnie w przeszłości. Jest wystarczająco niezdarzy, by dać się złapać. Nazywa się Cecyliusz.

- Ma rodzinę, dzieci? - spytał Juliusz, zaciskając szczęki.

- Nie wiem.

- Jeżeli ma, kiedy zniknie z miasta, zapłacę im cenę krwi - powiedział Juliusz, choć każdy czuł, że jedno drugiego nie równoważy.

- Wezwę tu Cecyliusza, pozwolisz? - spytał Marek Antoniusz. Juliusza ogarnęła

irytacja. Jak zwykle to on musiał wydać rozkaz

i jak zwykle to on ponosił odpowiedzialność. Marek Antoniusz to nie Brutus; nie

weźmie brzemienia na własne barki. Ale tamten okazał się zdrajcą. Może lepiej być

otoczonym słabszymi ludźmi. Może.

- Niech przyjdzie.

- Trzeba by wysłać z nim mordercę. Dla pewności - wtrącił nieoczekiwanie Oktawian.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego, ale on przyjął spojrzenia z hardo podniesionym czołem. - No więc? Re-gulus powiedział na głos to, o czym wszyscy myślimy. Czy

jestem jedynym, który się do tego przyzna? Brutus był moim przyjacielem, tak samo

jak każdego z was, ale ja nie myślę, że po tym, co zrobił, powinien żyć. Nawet jeśli Pompejuszowi niczego nie zdradzi, nawet kiedy ten szpieg osłabi jego pozycję, Brutus musi być zabity.

78

Imperator

Juliusz objął Oktawiana ramieniem.

- Nie. Nie wyślę żadnych morderców. I nikt inny nie ma prawa podjąć takiej decyzji, Oktawianie. Nie wydam przyjaciela na śmierć.

Oktawian stęzał z gniewu i Juliusz, czując to, ścisnął mu ramiona mocniej.

- Możliwe, że dzielę winę z Brutusem, chłopcze. Możliwe, że nie zauważyłem w nim w

porę pewnych cech charakteru. Możliwe, że byłem głupcem. Ale przyznanie się teraz

do własnej głupoty niczego nie zmieni. Czy Pompejusz mianuje go wodzem, czy nie,

musimy popłynąć do Grecji i walczyć z tamtymi legionami. Jeżeli bogowie zabiją go

przypadkową włócznią czy pojedynczą strzałą, moje ręce pozostaną czyste. Jeżeli

przeżyje nasze zwycięstwo, żyć będzie dalej z mojego rozkazu. Nie pozbawię go życia, dopóki nie usłyszę, co ma do powiedzenia, a nawet może i potem. Łączy nas zbyt

wiele, bym myślał inaczej. Potrafisz to zrozumieć?

- Nie - warknął niepokornie Oktawian. - Nie całkiem. Juliusz lekceważył cudzy gniew, jego własny wypalał mu trzewia.

- Zrozumiesz kiedyś, mam nadzieję. Brutus i ja mamy wspólny udział w śmierci i w

życiu, i więcej wspólnych lat, niżbym pamiętał. Nie zobaczę go na marach z własnego rozkazu. Ani dziś, za to, co zrobił, ani żadnego innego dnia. On i ja jesteśmy jak

bracia. Nieważne, czy o tym pamięta, czy nie.

-:--| |

ROZDZIAŁ VII

Widok Brundyzjum bez zwykłej krzątany kupców i legionowych galer był dziwny jak

na główny port na południu. Kiedy Brutus, z wymęczonymi kohortami straży u boku,

wspiął się na wierzchołek ostatniego wzgórza, ogarnęło go rozczarowanie. Uwiązana u nabrzeża kołysała się na falach jedynie łódź rybacka do połowu homarów. Usiłował

przypomnieć sobie, czy zna kwestora portu, ale szybko dał za wygraną. Mały

kontyngent rzymskich żołnierzy, jeśli tacy stacjonują w mieście, nie potrafi ich

zatrzymać. Na południu, z dala od Rzymu, nie było się czym martwić.

Straże zeszyły za nim do portu, ignorując spojrzenia i wytykanie palcami tych, którzy tam pracowali.

Dla większości było to dziwne uczucie, ale Brutus często miewał do czynienia z nieprzyjaznym terytorium. Szybko i bezwiednie narzucił sobie postawę wyniesioną z Galii. Jeszcze nie tak dawno temu widok żołnierzy dawał poczucie bezpieczeństwa i ładu, teraz jednak, gdy wojna domowa wisiała w powietrzu, uzbrojone szeregi mogą budzić przerażenie tak samo jak uliczni złoczyńcy. Nie było przyjemnie oglądać twarze tych, którzy ustępowali z drogi przed dwiema kohortami straży i nawet Brutus zaczynał się czuć nieswojo, czego, jak wiedział, nie należy lekceważyć, a co wprawiało go w irytację. Tak czy owak doprowadził kolumnę do portowych składów, zostawił ludzi w słońcu, a sam zsiadł z konia i wszedł pewnym krokiem do środka.

Urzędnik kwestora stał i kłócił się z dwoma krzepkimi mężczyznami. Wszyscy trzej odwrócili się do wchodzącego. Brutus oddał

80

Imperator

honory jakby od niechcienia, zgadując, że tematem sprzeczki jest jego przybycie.

- Potrzebuję żywności i wody dla moich ludzi - powiedział szorstko. - To po pierwsze.

Nie sprawimy wam kłopotu, przyjaciele, w każdym razie nie za długo, więc radzę pogodzić się z losem. Po drugie szukam statku, który zabierze mnie do Grecji.

Na wzmiankę o celu podróży urzędnik zerknął ukradkiem na rozłożony na stole plik pergaminów. Brutus uśmiechnął się i zrobił krok w jego stronę, ale adwersarze urzędnika byli szybsi i stanęli mu na drodze. Brutus sięgnął do miecza.

- Żaden z was nie ma broni. Czy na pewno chcecie mnie wypróbować? - spytał.

Jeden oblizwał nerwowo dolną wargę, gotów się odezwać, ale drugi poklepał go po ramieniu. Obaj odsunęli się na bok.

- Świetnie - stwierdził łagodniej Brutus. - A teraz: żywność, woda i... statek.

Sięgnął przez stół do kościstej dłoni urzędnika i stanowczym ruchem zdjął ją z dzienników portowych, następnie przejrzał je pobieżnie. Jego uwagę przykuł zapis dotyczący galery, która przybiła do portu dzień wcześniej, dla uzupełnienia zapasu słodkiej wody. Interesujący był drobny szczegół: galera przyплыnęła z północy i podniosła żagle już po paru godzinach kotwiczenia w porcie.

- Dokąd popłynęła? - spytał krótko.

Urzędnik, potrząsając głową, zamknął usta szybciej, niż je otworzył.

Brutus westchnął.

- Na nabrzeżu stoi tysiąc moich ludzi. Chcemy je tylko opuścić, nie czyniąc nikomu kłopotu, ale dzisiaj jestem wyjątkowo niecierpliwy. Mogę kazać podpalić ten budynek i wszystko inne, co ma dla ciebie jakąś wartość. Albo możesz odpowiedzieć na moje

pytanie. Gdzie galera?

Urzędnik rzucił się biegiem na tyły pomieszczenia, a stamtąd po schodach, w górę, o czym świadczył stukot jego sandałów. Między trzema mężczyznami zapadła

niezręczna cisza, ale Brutusa nie interesowali tamci dwaj. Czekał.

Na schodach znów rozległy się kroki, tym razem podwójne,

Rozdział VII

81

i poprzedzany przez urzędnika stanął w drzwiach jeszcze jeden mężczyzna. Miał na sobie togę, która na pewno była świadkiem lepszych czasów. Brutus westchnął. Przed nim stał kwesor.

- Prowincjusze - mruknął pod nosem i westchnął raz jeszcze. Mężczyzna usłyszał jedno i drugie. Spojrzał groźnie.

- Gdzie masz listy od władz?

Brutus nie odpowiadał. Nie odwracał oczu od tłustych plam na szacie człowieka, aż ten w końcu zrobił się czerwony.

- Nie masz prawa nam grozić - zagrzemiał. - My tutaj jesteśmy lojalni.

- Naprawdę? A wobec kogo?

Niewyraźna mina mężczyzny i wahanie w oczach były na rękę Brutusowi. Mówił dalej.

- Mam dwie kohorty, które są w drodze do Grecji. Chcą dołączyć do Pompejusza i senatu. Do mojej władzy. Twój urzędnik raczył mi pokazać dzienniki portowe. Już wiem, że gościliście tu wczoraj pewną galerę. Powiedz mi, dokąd odpłynęła.

Kwestor posłał bezradnemu słudze spojrzenie pełne jadu, ale chyba nie miał odwrotu.

- Rozmawiałem z dowódcą osobiście - powiedział z ociąganiem. - Patrolował okolice Ariminium, kiedy dosięgła go wiadomość, że ma wyruszyć w drogę. Zmierzał do Ostii.

- Ale od ciebie usłyszał, że Pompejusz już ją opuścił. Zatem, jak sobie wyobrażam, chciał dołączyć do floty gdzieś w połowie drogi i popłynął wzdłuż wschodniego wybrzeża, na południe. Czy tak mniej więcej przebiegała wasza rozmowa?

Kwestor zeszywniał pod zjadliwym tonem głosu.

- Nie miałem dla niego żadnych rozkazów. Śmiem sądzić, że ruszył w morze, by nie stracić statku na rzecz sił... rebelianc-kich.

- Rozważny człowiek - skwitował Brutus. - Ale my, ja i moi ludzie, pozostaliśmy lojalni wobec Pompejusza. Potrzebujemy tamtej galery. Spodziewam się, że ów, jak go

nazwałem, rozważny człowiek powiedział ci, gdzie zawinie po drodze, na wypadek, gdyby zapytała o to właściwa osoba. Do jakiegoś portu, dalej na południe, tak?

Mówiąc to, nie spuszczał wzroku z niespokojnej twarzy urzędni-

przybysz kieruje spojrzenie. Zasepił się i wysunął brodę.

- Skąd mam wiedzieć, że nie trzymasz z Cezarem? - spytał w końcu.

Pytanie wywołało większy efekt, niż kwestor zamierzał. Brutus wydał się nagle potężniejszy, co sprawiło, że małe urzędowe pomieszczenie wydało się jeszcze mniejsze i przytłaczająco gorące. Zabębnił palcami po srebrnym napierśniku.

- Myślisz, że mam jakieś sekretne hasło? - warknął. - Jakiś szczególny znak, by ci udowodnić swoją lojalność? To są trudne dni i to wszystko, co powinieneś wiedzieć.

Jeżeli nie odpowiesz na moje pytanie, spalę port do ostatniego kamienia, budynek po budynku, i ciebie w jednym z nich. Każę moim ludziom zasunąć żelazne sztaby na

wszystkich drzwiach i słuchać, jak w nie drapiesz od środka. Oto, co mogę oferować.

- Tarent. Powiedział, że może zawinąć do Tarentu - rzucił szybko urzędnik, przerywając kłopotliwe napięcie.

Kwestorowi wyraźnie ulżyło, że to nie on zdradził plany dowódcy galery, choć i tak zamachnął się pięścią na swojego człowieka. Brutus nie zajmował się nimi dłużej.

Brutus już myślał. Od Tarentu dzieli go nie więcej niż kilka godzin szybkiej jazdy, przez przesmyk łądu, który galera musi opłynąć...

- Dziękuję, przyjaciele - powiedział prawie w biegu. - Wasza lojalność zostanie nagrodzona.

Mężczyźni przetrawiali słowa obietnicy, obaj tak samo zmieszani i przestraszeni.

Należy przypuszczać, pomyślał Brutus, że niedługo, kiedy kwestia lojalności będzie nabierała coraz większego znaczenia, podobne sceny będą się rozgrywały wszędzie, gdzie sięga Rzym. Wojna domowa zrodziła nieufność, a ta już zaczęła podkopywać fundamenty ich świata.

Na zewnątrz, na nabrzeżu, jego kohorty czerpały wodę ze studni i napełniały swoje worki całkiem sprawnie. A może, zaczął się zastanawiać, może spełnić groźbę, może

podpalić port? Czyż niedługo nie będzie to jedno z tych miejsc, z których Juliusz zechce wysyłać okręty do Grecji? Nie, nie będzie słupami dymu zdradzać swoich pozycji. I niech się Juliusz przeprawi przez morze jak naj-

Rozdział VII

83

szybciej. On potrzebuje tylko kilka miesięcy, by zająć właściwe miejsce w siłach Pompejusza. Potem, witaj, Juliuszu!

- Seneko, mamy galerę. Właśnie płynie do Tarentu. Gonię ją lądem. Ruszaj za mną, gdy tylko zdobędziesz zapasy.

Seneka popatrzył na swoich ludzi. Zacisnął szczęki.

- Nie mamy czym płacić. Nie mamy srebra.

- Człowieku, czy nie widzisz, że przy nabrzeżu nie kotwiczy ani jeden okręt?! Założę się, że składy pękają w szwach. Bierz z nich, co chcesz i czego ludzie potrzebują, i spiesz do Tarentu najszybciej jak potrafisz. Zrozumiałeś?

-Tak, sędzę...

-Tak, panie - warknął Brutus. - Mówisz: „Tak, panie”, a potem oddajesz honory, zrozumiałeś?

- Tak, panie - powtórzył Seneka, a potem oddał honory. Brutus skierował konia ku

studni. Seneka popatrzył za nim złym

okiem. Irytowała go u rzymskiego wodza swoboda, z jaką poruszał się między

strażami, i ich śmiech w odpowiedzi na mimochodem rzucane uwagi. W oczach ludzi,

których jedynym zajęciem było pilnowanie dróg i przydrożnych warowni, rzymski

wódz był bohaterem. Seneka poczuł na skórze dreszcz podobnego podziwu, a w sercu

ukłucie żalu, że nie może zacząć wszystkiego od początku.

Kiedy jednak Brutus odjechał na południe, spojrzenia żołnierzy skierowały się w jego stronę i to od niego jego ludzie oczekiwali rozkazów. Seneka zdał sobie sprawę, że

niewielu z jego pokolenia ma okazję uczyć się wojennego rzemiosła od weterana z

Galii. Wzorem Brutusa podszedł do grupy otaczającej studnię. Dotychczas nie miał zwyczaju mieszać się z podwładnymi i teraz jeden zerknął na drugiego. Drugi na trzeciego. Czwarty podał mu skórzany worek i Seneka się napił.

- Myślisz, panie, że on znajdzie dla nas galerę? - spytał piąty. Seneka otarł usta.

-Módlmy się, żeby znalazł, bo w przeciwnym razie rzuci się w morze wpław, ciągnąc nas za sobą - odparł i w odpowiedzi na śmiech całej piątki sam się zaśmiał. Niby nic, a dawało to więcej zadowolenia z siebie niż całe lata ćwiczeń z tymi samymi ludźmi.

Imperator

Brutus galopował przez wyschnięte kępki trawy południowych wzgórz i pagórków, z oczami utkwionymi w skraj horyzontu. Chciał jak najprędzej zobaczyć morze. Był

głodny, zmęczony i swędziała go skóra pod zbroją, ale jeżeli galera miała zabawić w Tarencie tak samo krótko jak w Brundyzjum, pośpiech był wskazany. Jeszcze nie

dreńczył się myślą, co zrobi, jeśli się spóźni albo jeśli dowódca każe ominąć port i popłynie dalej. Im dłużej żył, tym więcej na jego drodze mnożyło się

niebezpieczeństw, ale martwić się na zapas nie było sensu. Lata pobytu w Galii

nauczyły go lekceważyć wydarzenia, na które nie ma się wpływu. Nauczyły go wkładać

całe serce i siły w przedsięwzięcia, z którymi da się zmierzyć. Teraz miał pokonać mile nierównego gruntu. Teraz skupiał myśli na tym, by zrobić to jak najszybciej.

Zaskoczyło go, że nagle poczuł się odpowiedzialny za strażę. On wiedział to, o czym nie miał pojęcia Seneka. Wiedział, co się stanie, kiedy wpadną w ręce Juliusza. Pod Korfinium przysięgli odstąpić od Pompejusza i Juliusz będzie zmuszony na ich

przykładzie dać nauczki innym. Oczywiście, nim wyda rozkaz, potrząśnie z

przerażenia głową, Brutus go znał, lecz wiedział również, że Juliusz jest wodzem, a człowiekiem bywa rzadko i tylko wtedy, kiedy przynosi mu to korzyść. Straże są

niedoświadczone i nie mają pojęcia, co znaczy potęga walki. Łatwo dadzą się zetrzeć na krwawy proch, między dwiema stronami, ofiary wojny domowej, nim ta się na

dobre zaczęła. Galera musi tam być. Musi na nich zaczekać.

Wybierał między skalistymi polami i dolinami najprostsze ścieżki i drogi, pogrążył się w myślach o

niedalekiej przyszłości. Przyprawiając do Grecji dwie kohorty, od razu zyska pozycję i wpływy, ale sam zda się wyłącznie na widzimisię Pompejusza. To nie była przyjemna myśl. Pompejusz - a znał go nie od dziś - będzie bał się mu zaufać i zamiast obdarzyć dowództwem, pośle na pierwsze linie jak zwykłego piechura.

Srebrna zbroja przyciągnie oczy Dziesiątego jak światło lampy przyciąga ćmy i on, Brutus, nie przeżyje pierwszego starcia. Potrzebuje ludzi Seneki. Może bardziej niż oni jego. Okolice południa były nikłym odbiciem żyznych równin północy. Małe gospodarstwa utrzymywały się tylko dzięki uprawom oliwek i gruboskórych cytryn, więdnących z gorąca na powykręcanych szkieletach drzew. Wychudłe psy ujadają wokół jego konia,

Rozdział VII

85

ilekroć zwolnił, i kurz zdawał się zalegać mu w gardle grubymi pokładami. Ludzie, których stukot kopyt wywabiał z rzadko porozrzucanych domów, odprowadzali go nieufnym spojrzeniem aż po horyzont. Spaleni słońcem, o twardych, wynędzniałych twarzach, byli podobni do ziemi, na której pracowali. Byli ostatnim śladem dawnego imperium. W ich żyłach płynęło więcej greckiej niż rzymskiej krwi. Nikt do niego nie zawołał i można się było zastanawiać, czy ich myśli kiedykolwiek kierują się do wielkiego miasta na północy. Brutus wątpił. Rzym nie był ich światem.

Zatrzymał się przy przydrożnej studni i uwiązał konia u skarłowaciałego drzewa.

Rozglądając się za czymś, czym by mógł sięgnąć do wody, spostrzegł w pobliżu niewielki dom z białego kamienia. Przy drzwiach, na zapadającej się w ziemię ławce, siedział mężczyzna. Obserwował go. Leżący pod ławką wyleniały pies ledwo dyszał z gorąca. Nie zaszczekał na obcego.

Brutus popatrzył niecierpliwie w słońce.

- Wody - zawołał i zwinął obie dłonie przy ustach, pokazując na migi, że jest spragniony.

Mężczyzna, nie spiesząc się, mierzył podejrzliwym spojrzeniem każdy szczegół zbroi i ubrania jeźdźca.

- Masz czym zapłacić? - spytał w końcu z twardym, południowym akcentem.

- Tam, skąd przybywam, nie żądamy zapłaty za kilka kubków wody - odwarknął

Brutus.

Mężczyzna wzruszył ramionami, wstał i ruszył do drzwi. Brutus wbił mu w plecy wściekłe spojrzenie.

- Ile? - spytał, sięgając do sakiewki.

Południowiec zawrócił. Podrapał się w głowę, potarł powoli knykciami o knykcie.

Zastanawiał się.

- Jedna sestercja - oznajmił w końcu.

Cena była niewspółmiernie duża, ale Brutus kiwnął głową, wściekłe pogrzebał w monetach i podał jedną mężczyźnie. Ten obejrzał ją z każdej strony, sumiennie i dokładnie, jakby miał czas do końca świata, i zniknął we wnętrzu domu. Kiedy znów się pokazał, miał ze sobą połatane skórzane wiadro na długim sznurze.

Brutus wyciągnął po nie rękę, lecz mężczyzna szarpnął się gwałtownie i schował wiadro za plecy.

Rozdział VII

85

ilekroć zwolnił, i kurz zdawał się zalegać mu w gardle grubymi pokładami. Ludzie, których stukot kopyt wywabiał z rzadko porozrzucanych domów, odprowadzali go nieufnym spojrzeniem aż po horyzont. Spaleni słońcem, o twardych, wynędzniałych twarzach, byli podobni do ziemi, na której pracowali. Byli ostatnim śladem dawnego imperium. W ich żyłach płynęło więcej greckiej niż rzymskiej krwi. Nikt do niego nie zawołał i można się było zastanawiać, czy ich myśli kiedykolwiek kierują się do

wielkiego miasta na północy. Brutus wąpił. Rzym nie był ich światem.

Zatrzymał się przy przydrożnej studni i uwiązał konia u skarłowaciałego drzewa.

Rozglądając się za czymś, czym by mógł sięgnąć do wody, spostrzegł w pobliżu

niewielki dom z białego kamienia. Przy drzwiach, na zapadającej się w ziemię ławce, siedział mężczyzna. Obserwował go. Leżący pod ławką wyleniały pies ledwo dyszał z

gorąca. Nie zaszczeakał na obcego.

Brutus popatrzył niecierpliwie w słońce.

- Wody - zawołał i zwinął obie dłonie przy ustach, pokazując na migi, że jest spragniony.

Mężczyzna, nie spiesząc się, mierzył podejrzliwym spojrzeniem każdy szczegół zbroi i ubrania jeźdźca.

- Masz czym zapłacić? - spytał w końcu z twardym, południowym akcentem.

- Tam, skąd przybywam, nie żądamy zapłaty za kilka kubków wody - odwarknął

Brutus.

Mężczyzna wzruszył ramionami, wstał i ruszył do drzwi. Brutus wbił mu w plecy wściekłe spojrzenie.

- Ile? - spytał, sięgając do sakiewki.

Południowiec zawrócił. Podrapał się w głowę, potarł powoli knykciami o knykcie.

Zastanawiał się.

- Jedna sestercja - oznajmił w końcu.

Cena była niewspółmiernie duża, ale Brutus kiwnął głową, wściekłe pogrzebał w monetach i podał jedną mężczyźnie. Ten obejrzał ją z każdej strony, sumiennie i dokładnie, jakby miał czas do końca świata, i zniknął we wnętrzu domu. Kiedy znów się pokazał, miał ze sobą połataną skórzaną wiadro na długim sznurze.

Brutus wyciągnął po nie rękę, lecz mężczyzna szarpnął się gwałtownie i schował

wiadro za plecy.

Imperator

- Zrobię to sam - mruknął, kierując się w stronę studni. Wyleniąły pies dźwignął się na nogi, obnażył na Brutusa żółte

zęby i ruszył za swoim właścicielem. Tych ludzi, pomyślał Brutus, wojna domowa ani żadna inna chyba nie dotkną. Będą żyć, wydzierając nieurodzajnej ziemi każdy jej płód, a kiedy raz na jakiś czas zobaczą przejeżdżającego drogą żołnierza, jakie to będzie miało znaczenie?

Patrzył, jak mężczyzna, denerwująco powoli, wpuszcza wiadro do studni, jak je ostrożnie wyciąga i podsuwa koniowi pod pysk. Kiedy w końcu wiadro przeszło w jego rękę, przechylił je gwałtownie i wlał prosto w gardło strumień zimnej wody, potem jeszcze jeden i jeszcze. Zakrztusił się, otarł usta, resztki z dna wlał za zbroję, by schłodzić piersi, i sięgnął do siodła po skórzany worek. Mężczyzna przyglądał mu się z ciekawością.

- Napełnij to - powiedział Brutus.

-Jedna sestercja - odpowiedział południowiec, wyciągając dłoń. Tego było za wiele. Za dużo chciwości jak na biednych, uczciwych wieśniaków.

- Napełnij, inaczej twój pies skończy marnie - wysyczał Brutus, wskazując pustym workiem na studnię.

Zwierzę w odpowiedzi na jego ton ponownie obnażyło zęby. Widok był raczej żalospny,

ale Brutus i tak sięgnąłby do miecza, gdyby nie powstrzymała go myśl, że się

ośmieszy. Ani po psie, ani po mężczyźnie nie było widać strachu i Brutus powziął

nieprzyjemne podejrzenie, że obaj śmiali się w duchu z jego groźby. Ulegając presji otwartej dłoni, Brutus zaklął, wygrzebał kolejną monetę i choć świerzbiły go ręce i język, w milczeniu uwiązał przy siodle worek napełniony równie wolno jak przedtem

połatane wiadro.

Dosiadłszy wierzchowca, pomyślał, że jednak warto się odciąć, lecz nim znalazł

odpowiednie słowa, chciwy południowiec, ze sznurem od wiadra okręconym ciasno

wokół ramienia, już odchodził od studni i znikał wewnątrz domu. Cała okolica znów

zrobiła się równie senna i spokojna jak w chwili, kiedy tu przybył, i nie pozostawało mu nic innego jak spać konia i ruszyć do Tarentu.

Wyjechał z doliny prosto w pierwszy ledwo rozpoznawalny podmuch słonej bryzy.

Wiedział, że od wielkich szmaragdowych przestworzy dzieli go nie więcej niż godzina jazdy. To podnosiło

Rozdział VII

87

na duchu. Wierzył, że zostanie w Tarencie galereę. Nie wątpił w powodzenie swojej misji. Seneka i jego ludzie już za nim maszerują, a on nie może zawieść ich nadziei.

Łąd robił się coraz surowszy, ścieżki coraz mniej przedeptane i coraz bardziej strome i były takie miejsca, gdzie Brutus musiał prowadzić konia albo ryzykować upadek. To

było prawdziwe odludzie i na takim odludziu mógł zdjąć zbroję i dać się schłodzić

bryzie. Właśnie pokonał ostatnie wzniesienie. Stał na szczycie. Popatrzył na miasteczko w dole.

Galera cumowała na końcu mikroskopijnego nabrzeża, które wyglądało równie

mizernie jak całe miejsce. Brutus podziękował wszystkim bogom, że pomyślał o niej,

poklepał, podniecony, szyję konia i pociągnął z worka tęgi łyk wody. Suchy łąd chyba wyssał z niego całą wilgoć. Słońce przypiekało nie do wytrzymania. Ale nie dbał o to.

Wskoczył w siodło, zakrzyknął dziko i zaczął zjeżdżać na dół. Pompejusz zrozumie, ile znaczą, pomyślał. Pójdą listy do wszystkich legionów z wiadomością, że wódz z Galii bardziej sobie ceni honor i senat niż Cezara. Pompejusz i jego ludzie nie wiedzą nic o jego przeszłości i nie dowiedzą się niczego poza tym, co zechce im powiedzieć. Będzie ostrożny. Powstrzyma się od przechwałek. Nie zdradzi się z własnymi błędami.

Rozpocznie życie na nowo. Pójdzie na wojnę przeciw najdawniejszemu przyjacielowi.

Słońce wydało mu się ciemniejsze na taką myśl, ale wruszył ramionami. Dokonał wyboru.

Seneka, ze swymi dwiema kohortami, zjawił się w porcie tuż przed zachodem słońca.

Na pokładzie galery panowała typowa przed wyjściem w morze krzątanina. Żołnierze i załoga stawiali żagle. Widok Brutusa, rozmawiającego na drewnianym pomoście z jakimś dowódcą, sprawił mu ulgę i Seneka nagle sobie uświadomił, jak bardzo polega na tym człowieku i jak się od niego uzależnił.

Zatrzymał kohorty, świadomy aż do bólu, że on i jego ludzie są wystawieni na ocenę mężczyzn zwijających liny i wnoszących na pokład i dalej, do ładowni, ostatnie baryłki świeżej wody. Tym razem w oddanie honorów włożył całe serce i obaj mężczyźni odwrócili się do niego.

- Melduję się, panie.

88

Imperator

Brutus kiwnął głową. Wydawał się zły, a jedno spojrzenie na jego rozmówcę powiedziało Senece, że przerwał jakiś spór.

- Dowódco Gaditykusie: Liwiniusz Seneka, mój zastępca - powiedział oficjalnym tonem Brutus.

Dowódca galery nie raczył obrzucić przybysza choć jednym spojrzeniem, i radość Seneki z wyniesienia go do nowej godności szybko zmała fala niechęci.

- Nie ma tu żadnego konfliktu, dowódco - ciągnął Brutus. - Wziąłeś kurs na Ostię, by przyjąć na pokład ludzi takich jak ci. Co za różnica, popłynąć do Grecji stąd, a nie stamtąd?

Dowódca podrapał się po brodzie; był nie ogolony i chyba ledwo trzymał się na nogach.

- Nie wiedziałem, że Cezar wrócił do Rzymu. Powinienem czekać na rozkazy z miasta, nim...

Brutus przerwał.

- Masz rozkaz od senatu i Pompejusza. Masz dołączyć do nich, panie. Chyba nie

powiniennem ci przypominać o twoich powinnościach. Pompejusz czekał na tych ludzi w Ostii. Już byśmy z nim byli, gdyby mnie nie zmuszono do długiego marszu na wschód, w poprzek kraju. Pompejusz nie będzie zadowolony, jeżeli opóźnisz moje przybycie.

Dowódca spiorunował go wzrokiem.

- Nie obnoś się ze swoimi koneksjami, wodzu. Służyłem Rzymowi przez trzydzieści lat i znałem Cezara, kiedy był świeżo upieczonym dowódcą. Mam władczych przyjaciół, na których mogę się powołać.

- Nie pamiętam, by wspominał twoje imię, kiedy służyłem z nim w Galii — odwarknął Brutus.

Gaditykus zamrugał. Nagle przypomniał sobie tamte zawody.

- Powiniennem cię poznać po zbroi - powiedział, marszcząc czoło; zobaczył Brutusa w nowym świetle. - I to ty idziesz walczyć dla Pompejusza?

- Spełniam swój obowiązek. Spełnij swój. - Brutusowi wyraźnie puszczały nerwy. Miał dość tego nie kończącego się dnia, dość przewycięzania mnożących się trudności i pokonywania czyjegoś głupiego uporu. Popatrzył na galerę kołyszącą się łagodnie na falach i boleśnie zapragnął zostawić stały ląd za sobą.

Gaditykus omiótł wzrokiem kolumnę mężczyzn czekających na

Rozdział VII

89

wybrzeżu. Całe życie wypełniał rozkazy i choć teraz coś tu brzydko pachniało, wiedział, że nie ma wyboru.

- Będzie ciasno, z tyłoma naraz. Jedna morska burza, a pójdziemy na dno - bronił się jeszcze.

Brutus zmusił się do uśmiechu.

- Poradzimy sobie - powiedział i zwrócił się do Seneki: - Bierz ich na pokład.

Seneka znów oddał honory i zawrócił do swoich ludzi. Nabrzeże zadrżało pod krokami kolumny i pierwsze szeregi zaczęły wdrapywać się po trapie na szeroki pokład.

- No więc, stajesz przeciw Cezarowi. Powiesz dlaczego? - mruknął Gaditykus.

- Między nami coś się popsulo - wyznał Brutus uczciwiej, niż zamierzał.

Gaditykus pokiwał głową.

- Co do mnie, nie chciałbym się z nim mierzyć. Nie słyszałem, by przegrał jakąś bitwę

- powiedział, wyraźnie chcąc wyprowadzić Brutusa z równowagi, co mu się zresztą udało.

Brutus zawrzał gniewem.

- To przesadne opowieści - rzucił krótko.

- Mam nadzieję, że tak, przez wzgląd na ciebie - odpowiedział Gaditykus.

Wziął mały odwet za własne ustępstwo, jednak grymas na twarzy Brutusa nie sprawił

mu przyjemności. Gdyby Brutus widział to co on, za tamtych dni w Grecji, kiedy

młody Cezar prowadził szeregi na obóz Mitrydatesa, pomyślałby dwa razy, nimby

stał po stronie Pompejusza. Gaditykus miał nadzieję, że przyjdzie taki czas, kiedy arogancki wódz i ta jego srebrna zbroja otrzymają tęgą lekcję.

Po trapie przeszedł ostatni ze straży Seneki i Gaditykus ruszył za nimi. Brutus został

sam. Chowające się za wzgórzami słońce poraziło mu oczy. Nie mógł patrzeć w stronę

Rzymu. Zaciągnął się powietrzem, wyprostował plecy i wkroczył na pokład. Zostawia

ich wszystkich, pomyślał ogarnięty nagłą falą wspomnień. Głos u wiązł mu w gardle.

Liny zwinięto i odwieszono każdą na swoje miejsce; galera wypłynęła w morze. Pod

jego stopami, jak echo dawnej kołysanki, poniosła się pieśń niewolników i plusk ich wiosel.

ROZDZIAŁ VIII

Na czas głosowania miasto zamknięto, bramy opieczętowano. Tłum na Polu

Marsowym był hałaśliwy i radośnie pobudzony, jak gdyby wybieranie konsulów

równało się publicznemu świętu, a nie odrzuceniu rządów Pompejusza i senatu. Żar
łał się z nieba i wiele pomysłowych rodzin przyniosło na wielkie pole małe płócienne daszki, dające
odpoczynek w cieniu, i wypożyczało je za jednego miedziaka. Zapach
skwierczącego na oliwie mięsa, rozmowy, śmiech i okrzyki sprzedawców,
przemieszane razem, dawały poczucie życia i domu.

Juliusz i Marek Antoniusz wspięli się po stopniach na platformę, którą zrobili dla nich legionowi
cieśle. Stali jeden obok drugiego, obaj w białych togach obszytych purpurą.

Juliusz, jako zwycięski wódz, miał na głowie wieniec ze świeżych liści lauru,
oplecionych złotym drutem. Bez wieńca widywano go rzadko i niektórzy podejrzewali,
że w ten sposób kryje łysinę.

Dziesiąty, lśniąc i błyszcząc, stał w charakterze straży nowych konsulów. Legioniści trzymali
włócznie i tarcze gotowe zasignalizować ciszę, lecz Juliusz cieszył się samym staniem i patrzeniem
ponad głowami nieprzebranych tłumów.

- Ostatnim razem, kiedy w tym miejscu zostałem wybrany na konsula, miałem przed
sobą Galię - powiedział do Marka Antoniusza. - Pompejusz, Krassus i ja byliśmy
sprzymierzeńcami. Wydaje się, że od tamtego dnia upłynęło całe życie.

- Nie traciłeś czasu - odpowiedział Marek Antoniusz i na wspomnienie tamtych lat
uśmiechnęli się obaj.

Rozdział VIII

91

Marek Antoniusz wyglądał nieskazitelnie, jak wykuty z najlepszego rzymskiego
marmuru. Czasami drażniło Juliusza, że ze wszystkich znanych mu mężczyzn właśnie
ten najbardziej odpowiadał wyobrażeniu o konsulu. Miał wyrazistą męską twarz i
potężną sylwetkę, i nosił się z wrodzoną godnością. Juliusz słyszał, że pod jego
spojrzeniem drży i rumieni się każda Rzymianka.

Juliusz przechylił głowę i popatrzył na wyższego mężczyznę. Dokonał właściwego

wyboru, obdarzając go przywództwem senatu. Marek Antoniusz był lojalny, lecz nie lojalnością Regulusa, taką, gdzie jedno nieuważne słowo spadało na wroga śmiercią jak wygłodniały sęp. Był głęboko przywiązany do dawnej republiki i mógł ją ożywić, kiedy Juliusz będzie w Grecji. Okazywał taką pogardę bogactwem, na jaką stać jedynie bogato urodzonych. Można było mu ufać i Juliusz nie musiał się martwić, że pod jego nieobecność jego ukochane miasto może cierpieć. Ze wszystkich ludzi on, Juliusz, najlepiej znał kruchość pozornego pokoju i wciąż nosił w pamięci lekcję, jakiej - gdy go nie było - udzielił Rzymowi Milon i Klodiusz. Rzym, aby rosnąć w potęgę, potrzebował pewnej i niezawodnej ręki i pokoju. Tego Pompejusz nigdy by miastu nie dał.

Juliusz uśmiechnął się krzywo. On sam nie był człowiekiem, który rządziłby nim pokojowo. Za bardzo kochał wojenne rzemiosło, podbijanie Galii i Brytanii, by dopuszczać do siebie myśl o spędzeniu ostatnich lat na usypiających debatach. Dbał o prawo w miarę potrzeb, zwłaszcza wtedy, kiedy mógł je zmieniać według swojej wizji, lecz nudne administrowanie równałoby się powolnej śmierci. Podobnie jak

Pompejusz, zawsze był gotów poświęcić wygodę na rzecz szukania nowych miejsc, nowych wyzwań i to, by dwa ostatnie lwy Rzymu w końcu się ze sobą zmierzyły, miało głęboki sens. Pompejusz uchylił się od zwania z Juliuszem, tu, na miejscu, i w takiej sytuacji, pomyślał Juliusz, nie pozostaje mu nic innego, jak powierzyć władzę

Markowi Antoniuszowi, ruszyć za tamtym i go pokonać. A potem? Potem, być może, ruszyć na podbój Afryki. Albo śladami Aleksandra, na obce lądy. Na wschód.

- Czy pozdrowimy nasz lud, konsulu? - spytał, dając jednocześnie znak centurionowi Dziesiątego.

Żołnierze otaczający platformę uderzyli trzy razy o swoje tarcze. Nad Polem Marsowym zapadła cisza. Tłum stał, pełen szacunku,

niektórych jednak poniosły emocje. Ci zaczęli wiwatować i reszta dołączyła, zanim

Juliusz wypowiedział pierwsze słowo. W prażącym słońcu krzychały tysiące gardeł.

Juliusz popatrzył na Marka Antoniusza. Ze zdziwieniem, przemieszonym z zazdrością,

zauważył łzy w jego oczach. On sam nie przeżywał tej chwili tak mocno. Czy dlatego, że jego myśli już krążyły wokół zbliżającej się kampanii, czy że już raz był konsulem, nie wiedział.

- Przemówisz pierwszy?

Marek Antoniusz pochylił głowę w niemym podziękowaniu, lecz odmówił.

- Po tobie, wodzu. Ci, tam, są twoi.

Juliusz wsparł dłonie na drewnianej poręczy, którą przygotowali dla niego jego ludzie, dokładnie na tej wysokości, jakiej sobie zażyczył. Nabrał powietrza w płuca i jego głos poszybował nad głowami.

- Centurie obywateli Rzymu dokonały dzisiaj wyboru i odcisnęły swoją wolę na ziemi

naszych ojców. Marek Antoniusz i ja stajemy przed wami jako konsulowie, a

Pompejusz usłyszy wasze głosy nawet w Grecji. Dowie się, że w senacie nie ma

miejsca dla nieobecnego. Oto, jak brzmi nasze przesłanie, i to przesłanie do niego

dotrze, to pewne. Żaden człowiek nie może się stawiać ponad Rzym, żaden pojedynczy

człowiek nie może się wynosić ponad tych, których widzę dzisiaj przed sobą.

Tłum zakrzyknął radośnie, tupiąc na znak, że takie słowa przemawiają do serc.

- Pokazaliśmy, że Rzym potrafi przeżyć stratę tych, którzy o niego nie dbają.

Pokazaliśmy, że może być prawo bez korupcji. Czy wypełniłem dane wam obietnice?

Ryknęli nieskładnie, czymś, co mogło uchodzić za potaknięcie.

-Wypełniłem - potwierdził stanowczo Juliusz. - Sądy będą oczyszczone, a

przekupstwo karane publicznie. W moim mieście rządzący nie będą działać

potajemnie. To, co senat ustanowi, będzie podawane do publicznej wiadomości

każdego dnia o zachodzie słońca. Wasze głosy to jak kredyt udzielony władzy, ale

tylko po to, by pracował na waszą korzyść, nie, by was gnębić. Nie zapominam o tym.

Wasze głosy słyszę każdego dnia i zabiorę ich echo do Grecji, by je przekazać tamtejszym armiom.

Rozdział VIII

93

Tłum zgęstniał u jego stóp, a dalsze rzędy wciąż napierały do przodu. Ciekawe, pomyślał Juliusz, ilu przyszło na Pole, by głosować na nowych konsulów. Stali tu od świtu i byli głodni i spragnieni, ich miedziaki dawno temu trafiły do sakiewek sprzedawców. Postanowił się streszczać.

- Legiony w Grecji usłyszą nas, zebranych tutaj i dzisiaj. Zastanowią się, dlaczego wspierają człowieka, który stracił zaufanie ludzi, tych ludzi, którzy liczą się

najbardziej. Bez waszego głosu nie może istnieć żadna władza. To spośród was

wywodzą się niektórzy urzędnicy i kwestorzy, i... tak, to prawda, nawet konsulowie! -Z

uśmiechem na ustach przeczekał ryk odpowiedzi. - W ciągu niewielu ostatnich

miesiący dokonaliśmy wiele. Dość, by kiedy odjadę, wiedzieć, że moje miasto będzie

bezpieczne i spokojne. Zabiorę wasze głosy do Pompejusza i powiem mu, że został

odrzucony przez obywateli. Przez tych samych, którym zawdzięczał swój urząd. Będę

służył wiernie mojemu miastu i Marek Antoniusz będzie waszymi rękami, waszymi

oczami, waszą i tylko waszą wolą w senacie.

Kiedy tłum szalał, on położył dłoń na ramieniu Marka Antoniusza i wysunął go do przodu.

- Teraz - szepnął mu do ucha - są twoi.

Nie obejrzawszy się ani razu, zszedł po stopniach, na ziemię, i zostawił Marka

Antoniusza sam na sam ze zgromadzonymi obywatelami. To było ważne. Każdy

powinien zobaczyć, że konsul działa na własny rachunek. Zszedł z podwyższenia, do

miejsca, gdzie czekał na niego koń, przejął wodze od legionisty Dziesiątego i

przerzuciwszy nogę przez siodło, wyprostował się w nim i głęboko zaciągnął powietrzem.

Gdy Marek Antoniusz zaczął mówić, Juliusz potrząsnął głową rozbawiony. Nawet głos tego człowieka był doskonały. Grzmiał nad tłumem jak dzwon i jeśli nawet Juliusz wiedział, że słowa zostały wykute podczas ostatniej nocnej narady, nie dało się tego poznać.

- Stańcie tutaj, moi bracia, z miastem za nami, oto powód, dla którego się urodziłem..

- usłyszał Juliusz, nim reszta uleciała z wiatrem.

Wyborowi uformowali się wokół niego i razem pokłusowali ku bramom Rzymu.

94

Imperator

Juliusz patrzył w milczeniu, jak dwaj z najsilniejszych mężczyzn zsiadają z koni i podchodzą do płyt z brązu i do woskowych pieczęci. Każdy trzymał w dłoniach ciężki młot i w chwili, kiedy obaj się zamachnęli, zgiełk na Polu zdawał się narastać jak odgłos dalekich fal. Płyty odpadły z trzaskiem i bramy otworzyły się przed nim, by mógł wrócić do swojej pracy. Wybory go uprawomocniły, ale on zabierał swoje legiony za nieprzyjazne morze, do Grecji. Nagła myśl, że zobaczy tam Brutusa, na moment zachwiała jego postanowieniem. Samo jego imię było bólem, który go druzgotał, kiedykolwiek wypływał na powierzchnię. Bogowie nagrodzą go innym spotkaniem z jego najdawniejszym przyjacielem. Nagrodzą albo nie. On poprowadzi swoją armię i zwycięży albo zostanie zabity i jego ścieżka dobiegnie końca. Nie mógł pozwolić sobie na słabość, kiedy już zaszedł tak daleko.

- To tylko następny krok. Zwykły krok - powiedział sobie, przekraczając próg miejskich murów.

Serwilia była w dawnym domu Mariusza, kiedy przybył, spocony i zakurzony od jazdy

przez spalone słońcem ulice. W porównaniu z nim wyglądała świeżo, ale w jasnym

świetle dnia jej wiek rzucał się w oczy ponad wszelką potrzebę. Serwilia zawsze

piękniała wieczorem. Juliusz jeszcze przez chwilę krzątał się przy siodle, by zebrać myśli; nie spieszyło mu się do kolejnej trudnej rozmowy. O wiele łatwiej radzić sobie z tłumami Rzymu niż z Serwilią, pomyślał.

Idąc do komnat, gdzie go oczekiwała, chwycił z rąk niewolnicy kubek mrożonego soku

z jabłek. Opróżnił go łapczywie. Na dziedzińcu szumiała fontanna, a wewnętrzne

pomieszczenia były usytuowane wokół ogrodu i zawsze unosił się w powietrzu zapach

roślin i kwiatów. Dom był piękny i pełen wspomnień, ale w jego murach głos

Mariusza coraz rzadziej odbijał się dawnym echem.

- Konsul, raz jeszcze - powiedział dumnie.

Oczy Serwili złagodniały na ułamek sekundy; od kiedy Brutus odjechał, łagodności w tej kobiecie było bardzo niewiele. Z początku Juliusz myślał, że czuje się winna za zdradę syna, ale potem nabrał rozumu.

- Twoja żona się ucieszy, Cezarze.

Rozdział VIII

95

Juliusz westchnął. Znow miała gniew w oczach. Podeszedł do niej i wziął ją w ramiona.

- Przychodzę do ciebie, Serwilio, nie do żony. Pompeja jest w majątku. Pompeja jest po to, by dać mi syna. Po nic więcej. Nie wydaje ci się, że rozmawialiśmy o tym dość razy? Wnuczka Korneliusza Sulli to najlepsza partia, jaką mogłem zrobić. W żyłach

mego syna popłynę krew dwóch szlacheckich rodów i to mój syn przejmie po mnie

Rzym.

Serwilia wzruszyła ramionami. Wiedział, że to pospieszne małżeństwo nadal ją jątrzy.

- To ty mnie przestrzegałaś, ty, nikt inny, że kiedyś go zapragnę, Serwilio -

wypomniał.

-Wiem o tym - Serwilia parsknęła ze złością - ale wiem także, co pijani żołnierze

mówią o twoim wigorze. Co za radość móc usłyszeć, ile to razy w jedną noc obsiewasz jej pole swoim nasieniem.

Juliusz wybuchnął śmiechem.

- Nie odpowiadam za moich żołnierzy! Powinnaś być mądrzejsza i nie słuchać takich

rzeczy. - Objął ją ramieniem, wyraźnie rozbawiony. - Jestem tutaj; czy nic ci to nie mówi? Pompeja będzie matką moich dzieci, to wszystko. No, nie powiem, że staranie

się

o ojcostwo nie daje żadnej przyjemności. Dziewczyna jest piękna

i nad podziw kształtna...

Serwilia odepchnęła go.

-Widziałam ją. Masz rację. Pompeja jest piękna. Ale nie grzeszy rozumem, a to, jak podejrzewam, przeoczyłeś, zachwycając się jej piersiami.

- Rozumu sam mam pod dostatkiem. I to ja obdarzę nim swojego syna. Kobieta ma być krzepka i zdrowa.

- Przemawia przez ciebie stary koziół - powiedziała, a on się znów roześmiał.

- A to dobre, Serwilio. Koziół, który został konsulem po raz drugi. Koziół, który będzie rządził.

Jego humor był zaraźliwy i Serwilia nie potrafiła mu się oprzeć. Trzepnęła go łagodnie po twarzy, żeby wreszcie spowaźniał.

-Mężczyźni, Juliuszu, w kwestii kobiet zawsze są jednakowo naiwni. Nie boisz się zostawiać jej samej?

96

Imperator

- Nonsens, Pompeja usycha z tęsknoty za mną. Po dotyku Cezara, w nocy, wszystkie kobiety...

Trzepnęła go raz jeszcze, mocniej.

- Wybrałeś ją dla urody i by urodziła ci syna, jednak radzę, nie spuszczać z niej oka.

Jest o wiele za ładna, by udało ci się ją skazać na samotność.

- Wiem i dlatego trzymam ten skarb z dala od wszystkich młodych mężczyzn Rzymu.

A teraz dość, Serwilio. Prawem konsula upominam się o najlepsze potrawy z twojego stołu i najlepsze wina z piwnicy. Spiesz mi się do Ostii. Muszę obejrzeć nowe stępki.

Muszę być na nogach już o świcie. Razem z Markiem Antoniuszem musimy przejąć władzę nad Rzymem. Zapowiada się dobry rok dla miasta, czuję to. Jutro zagrzmie piorun, bo gorliwi kapłani potrzebują jakichś znaków.

Serwilia westchnęła.

- A co będzie, jak nie zagrzmie?

- Wtedy przyjdzie Domicjusz i zamelduje, że słyszał kilka. W przeszłości to się zawsze udawało. Kapłani nie będą zbyt dociekliwi. Tak czy owak wejdziemy w rok pomyślności.

Serwilia tęskniła za jego silnym uściskiem. Mimo żartów z nowej żony i odesłania jej do majątku nie dzielił z Serwilia łoża od kilku tygodni, a ostatni raz kochali się jak na stypie wyprawionej dla dawnej bliskości, o której wciąż nie mogła zapomnieć. Było w nim mało dawnego głodu, nie w stosunku do niej. Chowała dumę głęboko, ale tamto

małżeństwo ją zraniło.

Przychodził do niej, to prawda. Prawdą było też to, że młoda żona spędzała czas za

miastem, mając za towarzystwo same niewolnice. Cóż z tego. Ich poprzednia

namiętność zamieniła się w przyjaźń. Serwilia wiedziała, że musi się z tym pogodzić.

Podobne doświadczenia wyniosła kiedyś ze związku z Krassusem. Ale najlżejszy dotyk

Juliusza czy pocałunek sprawiał, że odżywało w niej wspomnienie wspólnej jazdy

przez odludzia Hiszpanii i postoju przy przewróconym posągu Aleksandra.

Pierwszego przebłysku miłości. To było zbyt bolesne.

Wszedł niewolnik i nim zaczął mówić, pokłonił się Juliuszowi.

- Panie, masz gości u bram.

- Doskonale - odrzekł Juliusz i zwrócił się do Serwili: - Prosi-

Rozdział VIII

97

łem Domicjusza, Oktawiana i Cyrona, by przynieśli mi swoje listy promocyjne. - Przez chwilę poczuł się niezręcznie. - Widzisz, po tym, jak Brutus udał się do Grecji,

musieliśmy dokonać pewnych zmian. Przysłuchasz się naszej rozmowie?

- Nie, nie jestem wam potrzebna - odpowiedziała, zadzierając brodę. Została tu zawezwana tylko po to, by dać się zlekceważyć? Bardzo możliwe, pomyślała, że według niego krótka wymiana zdań kwituje jego wszelkie zobowiązania względem niej. Skrzyżowała ramiona. Juliusz spostrzegł jej rozdrażnienie. Jego oczy z nieuważnych i nieobecnych zrobiły się czułe.

- Powiniennem zostawić sobie dla ciebie całe popołudnie - powiedział, ujmując jej dłonie. - Mam ich odesłać, Serwilio? Możemy wziąć konie i ścigać się tylko we dwoje albo usiąść nad Tybrem i cieszyć się słońcem. Nauczę cię pływać, chcesz?

Nie poddać się urokowi tego mężczyzny było prawdziwym wyzwaniem. Na przekór wszystkiemu, co zaszło między nimi, Serwilia nie mogłaby powiedzieć, że nie widzi blasku, który go otacza.

- Pływać umiem od dawna, Juliuszu. Nie, spotkaj się ze swymi ludźmi i jedź do Ostii.

A w nocy nie zapomnij odwiedzić młodej żony.

Skrzywił się, ale przez korytarze już niosło się echo kroków jego dowódców. Jego czas dla niej się kończył.

- Nawet gdybym się rozdwoił, i tak nie zdołałbym zrobić wszystkiego, co mam do zrobienia - powiedział.

- Gdybyś się rozdwoił, jeden drugiego by zabił - rzuciła w chwili, kiedy do pomieszczenia wszedł Domicjusz.

Mężczyzna rozpromienił się na widok Serwili, a ona nagrodziła go uśmiechem,

wymówiła się jednym słowem i wyszła. Nie minęła chwila, a został po niej tylko słodki zapach. Juliusz już witał pozostałych i wołał niecierpliwie o jedzenie i wino.

Serwilia wreszcie się odprężyła. Była w swoim domu, pogrążona we własnych myślach. To z nich wyrwał ją odgłos kroków na marmurowej posadzce i cicha zapowiedź niewolnika.

- Pani, oto człowiek, którego chciałaś zobaczyć.

Serwilia podniosła się z łoża, podzwaniając cicho złotymi bransoletami. Niewolnik wycofał się szybko, a ona obdarzyła przybysza

98

Imperator

ważnym zainteresowaniem. Nie nosił strojnych szat, choć wiedziała, że gdyby chciał, potrafiłby wyglądać jak biedak lub jak bogacz.

- Mam dla ciebie nowe zadanie, Belasie.

Mężczyzna skłonił głowę w odpowiedzi. Łysieje, a przecież kiedyś nosił włosy do ramion, ciężkie, jasne loki, pomyślała i skrzywiła się na kolejną niesprawiedliwość losu. Wiek dotykał ich wszystkich.

- Gram Dionizosa jeszcze przez trzy dni - powiedział bez żadnego wstępu. - Ci, co odwiedzają teatr, opisują przedstawienie jako wzniosłe. Potem mój czas należy do ciebie.

Uśmiechnęła się do niego. Nietrudno było spostrzec, że mężczyzna wciąż jest w niej trochę zakochany. Może dlatego, że patrzył na nią przez mgłę pamięci, choć, co przyznawała, zawsze wielbił ją wiernie.

-To nie będzie trudne zadanie, Belasie, choć przyjdzie ci spędzić poza miastem parę dni.

- Litości, Serwilio, nie cierpię wsi. Tamtejsze prostactwo nie jest w stanie docenić piękna sztuki Eurypidesa, kłuje ich w uszy każde wulgarnie słowo, każda

nieprzyzwoitość. Nie opuszczałem miasta od prawie dwudziestu lat, bo i po co? Świat jest tutaj i są tu tacy, którzy przychodzą na każde przedstawienie, w którym znajdzie się choć najskromniejsza rola

dla Belasa.

Serwilia nie śmiała się z jego próżności. Chociaż aktor traktował siebie jak niedocenianego geniusza, potrafił być człowiekiem twardym i przebiegłym i w przeszłości był niezawodny.

- To nie będzie żadna wieś ani żadne prostactwo. Chcę, byś poobserwował dla mnie pewien majątek pod Rzymem, pewną kobietę.

- A jest tam, w pobliżu, jakaś tawerna? Bo chyba nie każesz mi leżeć w cuchnących rowach? Dionizos nie powinien zniżać się do takiego poziomu.

- Nie, tam nie ma żadnej tawerny, mój stary lisie, i podejrzewam, że już zgadujesz, dokąd cię wysyłam. Jeśli dobrze pamiętam sztukę, Dionizos za kilka aureusów jest gotów położyć się wszędzie.

Belas wzruszył ramionami. Twarz, którą nosił jak maskę, nieco mu się zmieniła.

- Nowa żona Cezara, czy tak? Całe miasto mówi o tej dziew-

Rozdział VIII

99

czynie. Żadnych zalotów, jak zauważyłem, żadnych wierszy zamawianych u poetów;

złoto, wyłącznie złoto. Sądząc po tym, za jaką posiadłością do kupienia rozgląda się jej ojciec, Cezar nie mógł za nią zapłacić czym innym.

Belas obserwował każde drgnienie twarzy kobiety, która go zawezwała. Nie mógł nie zrobić zadowolonej miny. Jego paplanina trafiała na podatny grunt.

- Od pospiesznej ceremonii mija miesiąc, i wyobraź sobie, wciąż żadnych zapowiedzi

pęczniącego brzucha - ciągnął. - Czy nie wypróbował jej przed ślubem? Pompeja

pochodzi z płodnej rodziny, więc oczekiwałem na szczęśliwe wieści i na więcej

darmowego wina, w którym by Cezar topił naszą zazdrość. Może on i jest łysy pod tym swoim zielonym laurem, ale przecież przedtem spłodził córkę, więc kto tu jest jałowy?

Pompeja?

-Jesteś złośliwym plotkarzem, Belasie, czyż nie powtarzam ci tego za każdym razem? -

odrzekła Serwilia. - Cezar jeszcze nie wyłysiał i nie każdemu małżeństwu bogowie błogosławią dziećmi od pierwszej nocy.

- Słyszałem jednak, że Cezar dzielnie ponawia próby. Z tego co wiem, ogiery z klaczami w rui wyczyniają mniej...

- Dość, Belasie - przerwała mu chłodno. - Sztuka złota tygodniowo, do czasu, kiedy armia ruszy do Grecji. Chyba mi nie powiesz, że zarabiasz więcej w tym swoim teatrze?

- Nie powiem, ale moja publiczność mnie zapomni i potem mogę mieć kłopot ze znalezieniem zajęcia. Widzowie są zmienni w swoich uczuciach, dobrze wiesz, a przez to całe złoto, które Cezar przywiózł z Galii, ceny idą w górę. Dwie sztuki, Serwilio.

Dwie sztuki i ani miedziaka mniej.

- Niech ci będzie, ale chcę, byś miał oko na tamten dom od świtu do nocy i od nocy do świtu. Cały czas. I żadnych wymówek czy szaleńczych opowieści o grze w kości, która cię wciągnęła w swoje sidła wbrew twojej woli.

- Moje słowo to moje słowo. Wiesz o tym dobrze. Serwilia, słysząc powagę w jego głosie, potaknęła.

-Nie powiedziałaś, na co mam zwracać uwagę - ciągnął Belas.

- Pompeja to bardzo młoda dziewczyna, a młodość bywa głupia

Imperator

prawie tak samo jak starość. Obserwuj, czy nie pobłądzi albo czy nie da się skusić jakiemuś miejskiemu piękniśowi.

-A ty, moja królowo, jaki masz w tym interes? Czyżbyś miała nadzieję, że będzie kuszona? Może zatem powinienem podsunąć jej pokusę, niech się potknie. Coś takiego łatwo da się urządzić.

Serwilia zagryzła wargę na tę myśl, ale po chwili potrząsnęła głową.

- Nie. Jeżeli jest głupia, niech to się stanie bez mego udziału.

- No, dobrze. Ale dlaczego tracisz złoto na żonę innego mężczyzny? - Belas zapytał przez czystą ciekawość, ale ku jego zdumieniu Serwilia się zarumieniła.

-Ja... chcę mu pomóc, Belasie. Być mu użyteczną to i tak dużo. To wszystko, co mi po nim zostało.

Belas, łagodniejąc na twarzy, zbliżył się do niej i wziął ją w ramiona.

- Zdarzało mi się być podobnie bezradnym, raz czy dwa razy w życiu. Miłość czyni z ludzi o wielkim sercu głupców.

Serwilia wysunęła się delikatnie z jego objęć.

- Zatem zrobisz to?

- Oczywiście, moja królowo. Zrobię, jak tylko odłożę maskę Dionizosa do skrzyni, a tłumy, żegnając się ze mną, westchną po raz ostatni. Chciałabyś zobaczyć scenę kulminacyjną? To rzadka sztuka, Serwilio.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Mówił od rzeczy, ale łagodził jej smutek.

- Pozwól, że wezwę dziewczęta, Belasie. Wiem, że lubisz popisywać się przed pięknymi kobietami - powiedziała wyraźnie odprężona. Interes został ubity.

- To moje przekleństwo, że potrzebuję takiego natchnienia - przyznał skromnie Belas.

- Czy na koniec dasz mi wybrać jedną z twoich ulubienic? Aktor mojej klasy powinien być nagradzany

-Jedną, Belasie.

-A dwie? Jestem spragniony miłości, Serwilio.

-Jedną. I kubek wina na ugaszenie pragnienia.

Cecyliusz zadrżał, opryskany strumieniem zimnej wody zza burty. Słyszał wokół szum

i uderzenia fal, ale w tę bezksiężycową noc każdemu by się wydawało, że płyną nie po morzu, lecz przez abso-Rozdział VIII

wyłaniające się zza chmur, pozwalały im trzymać kurs na greckie wybrzeże. Żagiel

zwinięto jakiś czas temu i Cecyliusz, choć nie był żeglarzem, czuł, że to coś znaczy.

- Moje aktywa to dwa sztylety i sakiewka greckich monet różnej wartości, choć o nie ustalonej jak dotąd sile nabywczej - powiedział sam do siebie, ale jeden z wiosłarzy syknął między jednym a drugim pociągnięciem wiosła, by go uciszyć, i Cecyliusz

kontynuował wyliczankę już tylko w myślach. W trudnych chwilach, co odkrył dawno temu, pomagało mu jaśniejszym wzrokiem spojrzeć w przyszłość obudowywanie choćby najbardziej bezkształtnej sytuacji odrobiną konkretności.

- Złoty pierścień Cezara, wciśnięty głęboko w zanadrze, przywiązany do grubego skórzanego pasa. Para solidnych sandałów, z wełnianą wyściółką chroniącą stopy przed pęcherzami. Trochę jedzenia, w razie gdybym musiał się ukrywać przez jakieś kilka dni. Sól i oliwa, aby jedzenie doprowadzić do smaku. Skórzany worek, który zdaje się odrobinę przeciekać.

Oto, za pomocą czego ma szpiegować armię Pompejusza, pomyślał załóżnie.

Zważywszy na okoliczności, nie wyglądało to na wiele. Moknąc coraz bardziej, zalewany falą po fali, postanowił wziąć się w garść.

- Głowa nie od parady, dobra znajomość greki, która pozwoli uchodzić co najmniej za greckiego pastucha. Bystre oczy. Doświadczenie i mądrość nabywane przez całe życie.

Wyliczając jeden po drugim swoje talenty, poczuł się lepiej i usiadł prościej.

Ostatecznie to on, nie kto inny, został polecony do tego zadania i Cezar nie wysłałby jakiegoś głupca. Miał jedynie oszacować siłę legionów i liczbę galer, które zgromadził

Pompejusz. Ze swoją greką, pomyślał, prawdopodobnie mógłby się nająć do pracy w jednym z obozów, a każdego miesiąca w umówionym dniu i godzinie udawać się na wybrzeże i dostarczać swoje meldunki. Ostatecznie nie będzie tu tkwił do końca świata. Przyjdzie dzień, kiedy usłyszy od któregoś posłańca z Rzymu, że wykonał zadanie, wskoczy do łodzi i wróci do domu.

- Czy to ty przypłyniesz po mnie? - szepnął do siedzącego bliżej wiosłarza.

Imperator

Mężczyzna syknął ze złością, nim Cecyliusz dokończył pytanie.

- Zamknij się. Wokół stoją galery, a po wodzie głosy się niosą daleko.

Nie dało się porozmawiać, to było jasne, i Cecyliusz, rad nierad, próbował rozsiaść się wygodniej i nie zwracać uwagi na wodę, która chyba znajdowała sobie przyjemność w

przelewaniu się przez burty i pozdrawianiu go jak starego przyjaciela. Zasłaniał się jak mógł, ale następna fala i tak znajdowała drogę do najbardziej intymnych zakamarków

jego ciała.

-Patrząc na sprawę z drugiej strony - powrócił do wyliczania - mam dwa palce, w

których mnie łamie na deszcz. Prawe kolano, które boli, gdy tylko je obciążę. Usilne pragnienie, by tu nie być. Nie wiem, co mnie tam spotka, i istnieje możliwość, że mnie pojną, poddadzą torturom i w końcu zabiją. No i na domiar złego mara dwóch

gburowatych towarzyszy, których nic nie obchodzą moje kłopoty.

Kiedy skończył i tę wyliczankę, obaj wiosłarze zastygli w bez-' ruchu. Cecyliusz

otworzył usta, by wyszeptać pytanie, ale bliższy zacisnął mu dłoń na twarzy. Cecyliusz zamarł, podobnie jak tamci wbił wzrok w ciemności i nadstawił uszu.

Gdzieś z oddali dobiegał cichy szelest fal obmywających żwir na brzegu. Cecyliusz

pomyślał, że to właśnie ten dźwięk kazał im się zatrzymać. Ale zaraz potem coś

skrzypnęło i plusnęło, jakby z -wody wyskoczyła ryba. Szpieg Cezara zmrużył oczy i

jeszcze bardziej wpatrzył się w noc. Nie widział nic, dopóki nie przesunął się po nich jakiś cień, a na dziób ich łodzi zwałił się biały obłok piany.

Przełknął z trudem, czując, jak ich bezbronna łupinka zaczyna się podnosić i kołysać na idącej od galery fali. Wielki statek sunął powoli w ich stronę, potężne wiosła

mieszały wodę, a gdzieś z bardzo bliska dobiegał stłumiony odgłos bębna. Galera

miała zamiar rozbić ich doszczętnie, Cecyliusz był tego pewien. Zdawała się kierować prosto na nich, a on wiedział, że zabraknie mu odwagi, by siedzieć i patrzeć, jak

zgrabna zielona stępka prześlizguje się przez ich łódź, jak ją rozcina na dwoje, a jego, skąpanego we

własnej krwi wyrzuca na pożarcie rekinom. Poderwałby się na nogi,

gdyby nie spadła mu na ramię ciężka dłoń wioślarza. Wywiązała się krót-

Rozdział VIII

103

ka, cicha walka. Cecyliusz się poddał, a potem galera, z pokładem oświetlonym mdłym światłem latarni, wyrosła nad nimi jak czarna góra.

Jego towarzysze, korzystając z hałasu, jaki robiła mijająca ich galera, zanurzyli wiosła w wodę. Kilkoma silnymi pociągnięciami wydostali się z zasięgu śmiertelnej

stępk. Nad głową Cecyliusza, na wyciągnięcie ręki, przesunęły się rzędy wiosel.

Zaklął. Miał prawo bać się śmiertelnie. Miał, ale gburowaci wioślarze znali swoją

robotę i galera popłynęła swoim kursem, a oni swoim.

Cecyliusz dyszał ciężko, podczas gdy obaj mężczyźni bez słowa powrócili do

wiosłowania. Doskonale wyobrażał sobie ich pogardliwe spojrzenia i aby się uspokoić, jeszcze raz przeliczył w myślach swoje aktywa.

Wydawało się, że wieki minęły, nim jego przewoźnicy wciągnęli wiosła raz jeszcze i

jeden wyskoczył w przybrzeżne fale, by utrzymać chybliwą łódź w bezruchu.

Cecyliusz popatrzył na czarną wodę raz i drugi. Przeszyły go dreszcze. W końcu

wyskoczył i stanął w falach po pas, a zimny piasek wciskał mu się między niewidoczne pod wodą palce.

- Powodzenia - szepnął jeden z wioślarzy, popychając go lekko.

Cecyliusz odwrócił się jeszcze, ale jego towarzysze już zniknęli. Przez sekundę

wydawało mu się, że słyszy plusk ich wiosel. Potem wszystko ucichło. Został sam.

ROZDZIAŁ IX

iompejusz, w pełnej zbroi, czekał w słońcu, rozkoszując się jego ciepłem. Koń pod nim rżał cicho. Teren pod parady w Dyrrachium przygotowany zaraz po przybyciu

rzymskiego wodza do Grecji i teraz mury i budynki otaczały wielki plac twardo ubitej czerwonej gliny. Wiatr wiejący od morza kręcił w powietrzu czerwonym pyłem, a w

górze, nad głowami, morskie ptaki nawoływały płacząco jeden drugiego. Błyszczące

zbrojami legiony stały przed nim na baczność, ich szeregi rozciągały się po horyzont.

Pompejusz dokonał przeglądu i teraz żałował, że Cezar nie widzi potęgi ludzi, którzy raz na zawsze skończą z jego pretensjami do rządzenia Rzymem.

Ranek, spędzony na przyjmowaniu parady, minął Pompejuszowi nad podziw prędko i

przyjemnie. Szczególne wrażenie robiły jednostki jazdy. Cezar, jak było mu wiadomo, dysponował zaledwie jedną czwartą ich szeregów. Przeszył go dreszcz, kiedy

przełopowały przez wielki plac, w doskonałej formacji, a potem zawróciły na sygnał

i wysłały w powietrze żądłące roje włóczy, aby zniszczyć ćwiczebne cele. To byli

ludzie, którzy mieli odebrać Rzym z rąk uzurpatora. Cezar był dla nich niczym więcej niż imieniem zdrajcy, i Pompejuszowi pochlebiało gorliwe wsparcie ich dowódców,

kiedy przysięgali mu lojalność.

By dołączyć do ewakuowanego senatu, legiony przemaszerowały przez Grecję, na

zachodnie wybrzeże. Pompejusz uznał, że są dobrze dowodzonymi,

zdyscyplinowanymi żołnierzami o wysokim morale i pławił się w ich oburzeniu jak w

słońcu, oburzeniu na to,

Rozdział IX

105

że rzymskiego wodza zmuszono do opuszczenia ich rodzinnego miasta. Greckie

legiony znały swoją powinność względem Rzymu i jego prawowitych przywódców: on

dał rozkaz, a one przybyły. To nie wszystko. One się rwały do spotkania z wrogiem. I czy nie było zabawne, że meldunki z Galii nieodmiennie napełniały goryczą tych

zawodowych żołnierzy? Rozkoszowali się samą myślą

o obróceniu wniwecz próżności weteranów Cezara, uznając ją za niczym nie

uzasadnioną butę, a teraz nadarzała się okazja, by taką myśl wprowadzić w czyn. Z

tymi ludźmi można pójść na wojnę.

Świetność greckich sił po części wyciszyła nieustanne poirytowanie senatorów, które działało na nerwy Pompejuszowi. Uprawomocniali jego stanowisko, musiał przyznać,

mimo to nieraz żałował, że przyprowadził ich ze sobą. Narzekali na wodę, utrzymując, że wywołuje biegunkę; na upał, na zakwaterowanie w Dyrrachium

1 na tysiąc innych drobnych bolączek. Niewielu rozumiało, jak mało są przydatni

Pompejuszowi teraz, kiedy był w polu. Zamiast dać mu wolną rękę, usiłowali wpływać

na jego decyzje i odgrywać rolę, do której słabo się nadawali. Pompejusz miał wielką ochotę wysłać ich na tymczasowy pobyt na jedną z greckich wysp i tylko to, że ich

stała obecność podtrzymywała jego autorytet, powstrzymywało go od wydania stosownych rozkazów.

Kiedy spał hiszpańskiego rumaka i pogalopował do celu, zwróciły się na niego

wszystkie oczy. Pompejusz poczuł ciepło świszczącego mu w uszach greckiego

powietrza, a w skroniach pulsowanie krwi zlane w jedno z miarowym tętentem kopyt.

Skupił się jeszcze bardziej. Worek słomy, przypominający człowieka, rósł mu w oczach, i Pompejusz pomyślał, że dostrzega każdy ścieg nitki, którą go zszyto.

Wobec zgromadzonych szeregów rzecz należało wykonać perfekcyjnie, ale Pompejusz

nie popełnił błędu. Wiedział o tym już w momencie, kiedy wypuszczał włócznię z

dłoni. Trajektorię lotu śledziły oczy profesjonalistów i było wielu takich, którzy

zgotowali mu owację wcześniej, nim słomiana figura szarpnęła się pod uderzeniem i

okręciła wokół własnej osi. Pompejusz, oddychając ciężko, uniósł dłoń gestem

zwycięzcy. Twarz spływała mu potem, prawe ramię bolało jak wyrwane ze stawu,

trzewia płonęły i kiedy ściągał wodze, czuł, że ma zerwane mięśnie. Lecz jakie to miało 106

Imperator

znaczenie? Rzymianie szanowali siłę i jej pokaz napawał ich dumą z wodza.

Pompejusz zawrócił. Jechał wzdłuż pierwszej linii żołnierzy, przyglądając się ich

surowym twarzom i podziwiając dyscyplinę. Tylko dowódca, Labienus, spojrzał mu w

oczy, i oddał honory, kiedy Pompejusz zatrzymał konia.

-Jestem z nich zadowolony, Labienusie - powiedział rzymski wódz na tyle głośno, by

legioniści go usłyszeli. - Rozpuść szeregi na posiłek, ale miarkuj porcje. Chcę, by byli chudzi, żyłaści i głodni. - Ściszył głos do tonu normalnej rozmowy. - Odprowadź mnie do świątyni, wodzu. Jest jeszcze wiele do omówienia.

-Tak, panie - odparł Labienus. Miał bystre oczy i zauważył, że Pompejusz chroni prawe ramię, ale jeżeli wybrał milczenie, napomknąć o tym znaczyłoby obrazić go.

Labienus ucieszył się, nie widząc na zaczerwienionej twarzy zwierzchnika ani śladu złego samopoczucia. Dyktator był zahartowanym w bojach, dumnym człowiekiem i umiał trzymać się na koniu mimo swoich lat. - Żołnierze są zawsze głodni, panie - dodał. - W tym cię nie rozczarują.

- Nie rozczarują w niczym - potwierdził ponuro Pompejusz. -Rozpędzą te sępy Cezara na cztery wiatry.

Labienus pochylił głowę w odpowiedzi; spuścił oczy. Żaden trud okazać szacunek takiemu człowiekowi. Był pod wrażeniem Pompejusza od chwili jego przybycia.

Dyktator obnosił swój autorytet ze swobodą i godnością, co każdy potrafi

respektować. Labienus wiedział, że legioniści są ludźmi zaufanymi i, to prawda, wielu cieszyło się z okazji do walki ze zdrajcą. Dla niektórych, zwłaszcza dla tych, którzy mieli nadzieję na szybką karierę, pokój w Grecji trwał za długo. O tym, że prędzej

dosłuży się odznaczeń na wojnie niż podczas pokoju, wiedział każdy. Ostatni z

ostatnich, stając przeciw Cezarowi, miał nadzieję zyskać sławę, zostać centurionem i szanowanym przez innych dowódcą.

Pompejusz czekał, aż Labienus dosiądzie swojego wałacha, z przyjemnością

odnotowując w duchu, że ani w dowódcy, ani w jego zachowaniu nie zauważa nic

niewłaściwego. Wódz, o krótko ostrzyżonych włosach i ciemnych oczach w grubo

ciosanej twarzy, nie różnił się wyglądem od reszty. Liczyła się wspaniała przeszłość i Pompejusz bez skrupułów włączył go w szeregi swoich doradców. Cenił

solidność Labienusa i uważał ją za odtrutkę na intrygi senatu. Dowódcy tacy jak on mogli stacjonować w każdym porcie i mieście, które chyliły głowy przed rzymskim prawem. Nie byli przekupni czy zmienni w swojej lojalności. Ich żelazna dyscyplina utrzymywała posterunki przez lata, a kiedy dochodziło do wojny, nie mieli sobie równych w polu. Byli kręgosłupem moralnym Rzymu. Pompejusz skinął głową Labienusowi, nie kryjąc swojej sympatii.

Pod jego dobrotliwym spojrzeniem dowódca rzucił swoim ludziom rozkaz. Szeregi rozwiązały się i bezładna żołnierska masa popłynęła do kwater. Zapach gorącego jedzenia już unosił się w powietrzu i Pompejusz, zgadując, że po tak długim ranku Labienus jest tak samo głodny jak tamci, kazał przynieść swojemu wodzowi najlepsze mięsa. To była niema pochwała i Labienus tak ją rozumiał.

W drodze do świątyni, którą Pompejusz zajął na główną kwaterę, Labienus odchrząknął. Pompejusz zdążył się nauczyć, że nie przemówi, dopóki mu się nie pozwoli. Tak, Labienus był świetnym przykładem dla swoich ludzi.

- Mów, wodzu. Zdradź mi swoje myśli.

-Jeśli pozwolisz, panie, wyślę do Ostii galerę. Niech obserwuje port. Żeby się przygotować na ich przyjęcie, trzeba wiedzieć, kiedy wypłyną. Nasza flota mogłaby zatopić wrogie okręty na pełnym morzu, zanim zobaczą grecki brzeg.

- Będziesz tego żałował, Labienusie, czy tak? To pozbawi nas obu sposobności pobicia go tutaj.

Labienus wzruszył ramionami.

-Trochę, panie, mimo to, by sprawę zakończyć, nie lekceważyłbym niczego.

- Zatem posłuż się moją pieczęcią, wydając odpowiednie rozkazy, ale zapowiedz

dowódcy galery, że ma kotwiczyć daleko od brzegu. Mam w porcie szpiega.

Zawiadomi mnie, gdy Cezar zbierze legiony. Nie damy się im zaskoczyć.

- Liczę na to samo, panie - zgodził się Labienus.

Obaj mężczyźni popatrzyli po sobie i się uśmiechnęli.

Świątynia Jupitera w Dyrrachium nie miała nic z bogactwa jej odpowiednika na rzymskim forum. Wzniesiono ją niegdyś dla całego panteonu greckich bogów, dopiero z czasem zaczęła pełnić obecną rolę, a Pompejusz wybrał ją bardziej ze względu na wielkość

108

Imperator

budowli i centralne położenie niż na religijne pobudki. Niemniej wydawało się stosowne, by Jupiter przypatrywał się jego przygotowaniom. Pompejusz zauważył ponadto, że w sługach i żołnierzach takie otoczenie budzi odrobinę lęku. Wewnątrz murów nie słyszało się przekleństw, z rzadka tylko ich głosy podnosiły się ponad szept. Pompejusz złożył cenną ofiarę kapłanom świątyni, dla nikogo nie było więc niespodzianką, że zaakceptowali jego wybór. Jupiter Zwycięzca był bogiem wojny, tak czy inaczej.

Mężczyźni zostawili konie chłopcom stajennym, minęli rząd wysokich białych kolumn i weszli do środka. Pompejusz zatrzymał się jeszcze w progu. Omiótł wzrokiem zebranych; sprawdzał, czy pod jego nieobecność nie poniechano zajęć.

W świątyni, podobnie jak rano, kiedy ją opuszczał, panowała atmosfera spokojnej krzątaniny. Zarządzaniem jego nowymi legionami zajmowało się więcej niż dwustu dowódców, urzędników i niewolników i teraz klekoczący odgłos sandałów niósł się wzdłuż i w poprzek kamiennej posadzki. Z rozkazu Pompejusza zbito i ustawiono solidne stoły, z przeznaczeniem na mapy, i przy każdym pochylali głowy starsi

dowódcy, robiąc znaki i uwagi i ustalając pozycje. Jego wejście nie zostało niezauważone. Mężczyźni jak jeden wyprężyli się i oddali honory. Pompejusz odpowiedział tym samym. Praca zawrzała na nowo.

Labienus rzucił hełm i miecz niewolnikowi, Pompejusz, już myślami przy nadchodzącej kampanii, krótko zawołał o posiłek i razem ruszyli środkową nawą, do najważniejszej mapy wiszącej na ścianie w dobrze widocznym miejscu. Namalowana na kwadratach miękkiej cielejącej skóry, wygładzonej pumeksem na aksamit, mapa przedstawiała całą Italię i Grecję, obie we właściwych kolorach i z widoczną o każdy szczegół troską.

Pompejusz sprawdził, czy nie ma na rękach brudu. Dotknął głównych portów zachodniego wybrzeża Grecji.

-Chętnie posłucham twojego zdania, Labienusie. Jeżeli Cezar nie potknie się o naszą flotę, do zejścia na ląd będzie miał setki mil wybrzeża, na północy i na południu. Jeżeli zgromadzę armię w jednym miejscu, ominie ją i założy swoje obozy w bezpiecznej odległości. Dysponując pięćdziesięcioma tysiącami ludzi, nie potrafię ustrzec każdej pojedynczej mili Grecji.

Rozdział IX

109

Labienus popatrzył na mapę. Z tą swoją grubo ciosaną twarzą przypominał człowieka pogrążonego w modlitwie.

- Musimy założyć, że wszystkie spośród jego siedmiu legionów przeżyją nasze wyzwanie - powiedział Labienus. - Mało prawdopodobne, niemniej możliwe. W takim razie będą potrzebowali olbrzymich ilości zaopatrzenia i Cezar nie będzie mógł czekać, aż przyjdziemy do niego, chyba że zagłodzi ludzi na śmierć. Wiem, że jedzenie i woda wygrywają bitwy równie łatwo jak potęga armii.

- Poczyłem odpowiednie przygotowania - odrzekł Pompejusz. - Moje największe składy będą się znajdować w Dyrrachium. Miasto aż pęka w szwach od zboża. -

Spodziewał się pochwały i był zdziwiony, kiedy Labienus zmarszczył czoło.

- Może byłoby lepiej nie zostawiać całych zapasów w jednym miejscu. Nie mówię, że tak się stanie, ale gdyby jednak udało mu się nas od nich odciąć, co wtedy? Trudno wykarmić siedem legionów, ale jedenaście jeszcze trudniej.

Pompejusz przywołał skrybę i podyktował rozkaz. W ciągu paru miesięcy od ich pierwszego spotkania zdążył dojść do wniosku, że Labienus ma głowę do takich szczegółów i dobrze się orientuje w problematyce długiej kampanii. Zgromadzenie jedenastu legionów w jednym miejscu niewątpliwie stworzyłoby ogromne trudności w zaopatrzeniu. Labienus doszedł do takiego wniosku, już kiedy tworzył szeregi i szedł przez Grecję na zachód. O ile Pompejuszowi było wiadomo, od pierwszego miesiąca ani jednemu żołnierzowi nie brakowało racji. To było budzące respekt dokonanie.

-Jeżeli ominie naszą flotę i zejdzie na ląd na wschodzie - ciągnął w zamyśleniu

Labienus - będzie na morzu dłużej niż miesiąc i będzie miał kłopoty ze słodką wodą.

Jego ludzie będą musieli przemaszerować setki mil, nim do nas dotrą. Jeżeli nie ucieknie się do pewnych innowacji, które opisałeś, nie brałbym wschodu pod uwagę.

Dla niego byłoby o wiele korzystniej skierować się do jednego z głównych portów na zachodzie, choć tam jest tłoczno od naszych galer. Według mojej oceny to będzie

Dyrrachium na północy albo Apollonia czy Orikum. Stawiałbym na te trzy albo na

jakiś skrawek wybrzeża pomiędzy nimi. Mając na uwadze nasze galery, on nie zechce być dłużej na morzu niż to konieczne.

- A z tych trzech co ty byś wybrał? - spytał Pompejusz.

110

Imperator

Labienus się zaśmiał, krótko i szczekliwie.

-Ja, panie, nie jestem nim. Ale gdybym prowadził jego kampanię, wybrałbym Orikum, wiedząc, że twoje legiony skupią się wokół kilku portów dalej na północy. Wtedy przynajmniej nie musiałbym walczyć na dwóch frontach.

Przerwał im głośny odgłos kroków. Pompejusz podniósł wzrok i spojrzał przez świątynię. Jego doskonały humor się ulotnił. Brutus.

To, że jeden z najbardziej zaufanych ludzi Cezara przeszedł na jego stronę, powinno być powodem do radości, Pompejusz wiedział o tym. Kiedy Brutus wyszedł na brzeg

ze swymi kohortami, greckie legiony ogarnęło podniecenie. Oto człowiek, który ocalał przed gniewem Cezara lojalne szeregi straży przybocznych i teraz twarze tych młodych żołnierzy lśniły podziwem dla weterana z Galii. Brutus ryzykował wiele, przechodząc na stronę Pompejusza i zdecydowanie zasługuje na szacunek. Ach, gdyby to było takie proste.

Pompejusz patrzył chłodno na kroczącego ku niemu główną nawą człowieka. Srebrna zbroja była wypolerowana do połysku. Zobaczył, że rzymski wódz posłuchał jego rozkazu i nie ma przy sobie miecza. Odetchnął głębiej. Czuł na sobie oczy Labienusa i zauważył jego reakcję, choć ten udawał spokój.

Brutus oddał honory.

- Do twoich rozkazów, panie - powiedział.

Pompejusz zmarszczył czoło, nie mogąc sobie przypomnieć, czy zarządził to spotkanie, i nie chcąc dać tego po sobie poznać - nie wobec tych obu mężczyzn.

Bywały czasy, kiedy szczylił się najbłyszczącym umysłem Rzymu, ale wiek przytępił mu pamięć, tak samo jak siły fizyczne. Nagle bardziej rozboleło go ramię, jawny dowód słabości, i kiedy się odezwał, nie potrafił ukryć irytacji.

- Postanowiłem nie zatwierdzać twojego dowództwa nad Piątym, Brutusie. Twoje kohorty dołączą do niego, a ty podporządkujesz się rozkazom legata Selatisa. Będę przyglądał ci się bacznie i jeżeli dobrze sobie poradzisz... jeżeli uznam, że jesteś lojalny, nagrodzony

zostaniesz prędko. Możesz odejść.

Na twarzy Brutusa nie pokazał się najmniejszy cień rozczarowania. Można było pomyśleć, że spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Dziękuję, panie. - Brutus oddał honory i okręcił się na pięcie.

Rozdział IX

111

Za oddalającym się srebrnym wodzem powędrowało spojrzenie każdego w świątyni i Pompejusz westchnął. Ten człowiek był cierniem w jego boku, ale był także legendą.

- Co ty byś z nim zrobił, Labienusie? Zaufałbyś mu?

Labienus się zawahał. Mówienie o innych dowódcach krępowało go i było o wiele trudniejsze niż wyrażanie własnych poglądów co do taktyki czy trudności w zaopatrzeniu.

- Nic ponad to, co zrobiłeś ty, panie, choć byłbym gotów dać mu legion tak prędko, jak tylko byłbym go pewny. Brutus to najbardziej... interesujący dowódca. Nigdy nie

spotkałem kogoś, kto by lepiej od niego władał mieczem. Legioniści, zdaje się, go szanują, a jego doświadczenie świadczy o tym, że jest zdolny dowodzić oddziałami pod twoim zwierzchnictwem. Jeżeli poróżnił się z Cezarem, jak twierdzi, będzie się bardzo starał zdobyć twoje zaufanie.

- Oto sedno sprawy, Labienusie. Jeżeli dostał się do mnie przez podstęp Cezara, wyrządzi tu tyle samo szkód jak pierwszy lepszy legion po ich stronie. Odmówienie jakiegoś kluczowego ataku, rozmyślnie wycofanie się w jakimś krytycznym momencie, nagłe odcięcie armii od zaopatrzenia. Wystarczy jedna z tych rzeczy, a przegram wojnę. Gdybym tylko był naprawdę pewien jego lojalności, kazałbym go uhonorować i niechby przeparadował przed szeregi w tej swojej błyszczącej srebrnej zbroi. Jak długo żyję, nigdy nie przyszło mi na myśl, że będę kiedyś rozkazywał jednemu z

wodzów Cezara. Mógłbym wykorzystać jego zdolności, Labienusie, to prawda. Ale teraz nie śmiem ufać nawet informacjom, które przynosi. Wolę być ignorantem niż człowiekiem doprowadzonym do katastrofy.

- Co prawda, to prawda, panie. Lepiej zachować ostrożność. Poznamy się na jego lojalności, kiedy zabije pierwszego z żołnierzy Cezara. Albo ja każę zabić jego.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i Pompejusz skinął głową. Niech tak będzie.

Przyniesiono posiłek na srebrnych tacach i Pompejusz upewnił się, że Labienus wziął najlepsze kęski. Jedli, stojąc przy mapie i kontynuując dyskusję o problemach kampanii. Tace zostały opróżnione dawno temu, a oni wciąż byli pogrążeni w rozmowie i dopiero

Rozdział IX

111

Za oddalającym się srebrnym wozem powędrowało spojrzenie każdego w świątyni i Pompejusz westchnął. Ten człowiek był cierniem w jego boku, ale był także legendą.

- Co ty byś z nim zrobił, Labienusie? Zaufałbyś mu?

Labienus się zawahał. Mówienie o innych dowódcach krępowało go i było o wiele trudniejsze niż wyrażanie własnych poglądów co do taktyki czy trudności w zaopatrzeniu.

- Nic ponad to, co zrobiłeś ty, panie, choć byłbym gotów dać mu legion tak prędko, jak tylko byłbym go pewny. Brutus to najbardziej... interesujący dowódca. Nigdy nie

spotkałem kogoś, kto by lepiej od niego władał mieczem. Legioniści, zdaje się, go szanują, a jego doświadczenie świadczy o tym, że jest zdolny dowodzić oddziałami pod twoim zwierzchnictwem. Jeżeli poróżnił się z Cezarem, jak twierdzi, będzie się bardzo starał zdobyć twoje zaufanie.

- Oto sedno sprawy, Labienusie. Jeżeli dostał się do mnie przez podstęp Cezara,

wyrządzi tu tyle samo szkód jak pierwszy lepszy legion po ich stronie. Odmówienie jakiegoś kluczowego ataku, rozmyślne wycofanie się w jakimś krytycznym momencie, nagłe odcięcie armii od zaopatrzenia. Wystarczy jedna z tych rzeczy, a przegram wojnę. Gdybym tylko był naprawdę pewien jego lojalności, kazałbym go uhonorować i niechby przeparadował przed szeregami w tej swojej błyszczącej srebrnej zbroi. Jak długo żyję, nigdy nie przyszło mi na myśl, że będę kiedyś rozkazywał jednemu z wodzów Cezara. Mógłbym wykorzystać jego zdolności, Labienusie, to prawda. Ale teraz nie śmiem ufać nawet informacjom, które przynosi. Wolę być ignorantem niż człowiekiem doprowadzonym do katastrofy.

-Co prawda, to prawda, panie. Lepiej zachować ostrożność. Poznamy się na jego lojalności, kiedy zabije pierwszego z żołnierzy Cezara. Albo ja każę zabić jego. Mężczyźni wymienili spojrzenia i Pompejusz skinął głową. Niech tak będzie.

Przyniesiono posiłek na srebrnych tacach i Pompejusz upewnił się, że Labienus wziął najlepsze kaski. Jedli, stojąc przy mapie i kontynuując dyskusję o problemach kampanii. Tace zostały opróżnione dawno temu, a oni wciąż byli pogrążeni w rozmowie i dopiero

112

Imperator

kiedy słońce osuwało się za horyzont, Pompejusz uznał, że pora raz jeszcze odwiedzić głodnych starców z senatu.

Brutus zacisnął dłoń na rękojeści swojego gladiusa i wyszedł. Niech Labienus i ten stary głupiec sami wysmażą sobie te swoje plany. Jeden wart drugiego, pomyślał.

Jeżeli w Labienusie kiedykolwiek płonął jakiś ogień, to wypalił się dawno temu, podczas lat spędzonych w Grecji, a Pompejusz stracił odwagę razem z młodością.

Popatrzył za siebie i chrząknął, dostrzegłszy dwóch ludzi, wyznaczonych przez

Labienusa do pilnowania każdego jego kroku. Początkowo godził się na ich obecność. W podobnej sytuacji zrobiłby to samo. Jak można ufać wodzowi z Galii, który przez tak wiele lat był prawą ręką Cezara? Ale kiedy mijały miesiące i Pompejusz wciąż był powściągliwy, taka niesprawiedliwość zaczynała go jętrzyć coraz bardziej. Brutus dysponował większą wiedzą o wrogu Pompejusza niż ktokolwiek inny i to on umiałby go zniszczyć. Cóż z tego; urzędnicy Pompejusza traktowali go niemal wyniośle i zbywali jego sugestie byle słowem. Brutus zaczynał wątpić, czy przekazują je dalej. Twarz wykrzywiła mu złość. Był przekonany, że tamci dwaj już biegną za nim truchtem. Być może przyszedł czas, by kazać im zdyszeć się bardziej niż zwykle. W końcu za coś im płacą. Po trzech miesiącach stacjonowania w miejscowych kwaterach znał Dyrra-chium całkiem dobrze i choć raz chciał zlekceważyć wewnętrzny głos, który mówił mu, by uzbroił się w cierpliwość. By czekał, aż Pompejusz mu zaufa. Tego dnia nagle miał dość wszystkiego, i kiedy skręcił za róg, rzucił się jak szalony do biegu, pod zdziwionym spojrzeniem mijanego woźnicy i jego wołów. Wpadł w kręty zaułek i popędził nim aż do końca, nie oglądając się za siebie. To była jedna z rzeczy, których nauczył go Reniusz, za ich ostatnim pobytem w Grecji. W pierwszych chwilach ucieczki oglądanie się za siebie może cię tylko hamować, mawiał. Ty wiesz, że oni tam są, że cię gonią. Wziął dwa kolejne zakręty w pełnym pędzie i poczuł w nogach przyjemne ciepło. Dzięki ciągłym ćwiczeniom był tak samo sprawny jak każdy żołnierz w kwaterach, tak samo jak każdy mógł

Rozdział IX

113

nie ustawać w biegu przez cały dzień. Tak mu się przynajmniej zdawało. Jakieś otwarte drzwi kusiły do wejścia; niewiele myśląc, wskoczył w nie, przebiegł w poprzek czyjś domu i wypadł na ulicę, której nie znał. Nie przystanął, by sprawdzić, czy tamci dwaj biegną za nim. Nie zatrzymał się przez dobre pół mili wijących się i

rozwidlających dróg, aż był pewien, że zmylił ślady pogoni.

Nie miał wątpliwości, że mimo strachu przed chłostą tamci dwaj zameldują o zdarzeniu zimnokrwistemu Labienusowi. Wódz greckich legionów nie był okrutny, ale sumiennie i co do joty egzekwował swoje rozkazy i Brutus nie zazdrości! tamtej parze.

O całej sprawie nie może się nie dowiedzieć Pompejusz. Jego podejrzenia wzrosną jeszcze bardziej i na ulice, by je przeczesać, ruszy oddział żołnierzy. W najlepszym razie, pomyślał, ma godzinę, nim zostanie pojmany. Labienus był skuteczny ponad miarę. Zacieśni sieć, nim on się obejrzy. Brutus wyszczerzył radośnie zęby. Wiedział, że jest tylko jedno miejsce warte odwiedzenia w tak krótkiej chwili wolności.

Rozejrzał się wokół, wybrał właściwy kierunek i na nowo zachrząścił sandałami w czerwonym pyłe miasta.

Raz zdawało mu się, że widzi biegnących w oddali, równoległe z nim legionistów, ale ci albo nie byli ciekawi łowów, albo go nie zauważyli. Biegł dalej. Pot zlepiał mu włosy, lecz piersi unosiły się rytmicznym oddechem i tak było do czasu, kiedy dotarł do

środką miasta i do ogrodu, w którym spodziewał się znaleźć córkę Cezara. Pięknego ptaka w klatce.

Podczas miesięcy oczekiwań, by Cezar zbudował flotę i przeprowił się przez morze,

Julia, podobnie jak sam senat, nie odgrywała w Dyrrachium żadnej roli. Jeszcze przez jakiś czas po swoim przybyciu Brutus widywał ją u boku męża, ale w miarę jak

Pompeju-szowi przybywało pracy, ją coraz częściej zostawiano samej sobie. Brutus

został jej przedstawiony oficjalnie, w obecności męża i jego otoczenia, i podczas

tamtego pierwszego spotkania z trudem wydusił z siebie kilka uprzejmych słów, ale w jej oczach, jak mu się zdawało, pojawiła się iskra porozumienia. Niewolnicy

Pompejusza dbali o jej urodę i ubierali w klejnoty właśnie tak, jak to kiedyś

przepowiedziała. Dla Brutusa mieszanka chłodnej rezerwy i ciężkich pachnideł była

niezwykle podniecająca. Była ostrzeżeniem i wyzwaniem.

Imperator

Kiedy pierwszy raz zobaczył ogród, gdzie chroniła się przed upałem popołudnia, odnotował w pamięci wejścia niemal mimochodem. Wiedział, że Pompejusz przesiadywał w świątyni do wieczora, a potem szedł na jedno z tych swoich nudnych spotkań z senatorami. Wiedział, że nie licząc kilku sług, jego żona często przebywała sama.

Brutus przypuszczał, że gdzieś w pobliżu Julii kręcą się żołnierze Pompejusza, lecz za bramą, w chłodzie dziedzińca, nie zobaczył nikogo. Na myśl o niebezpieczeństwie

serce zabiło mu mocniej. Pompejusz wiedział, że Brutus zna Julię z dawnych czasów, z majątku Cezara, i nietrudno by mu było podejrzewać tych dwoje o coś więcej niż o zwykłą znajomość.

Być może chodziło o rozczarowanie, że odmówiono mu dowodzenia legionem, być może o zwykłą irytację z powodu nieustannej nieufności i dystansu narzuconego przez Pompejusza. Na przekór ryzyku Brutus poczuł dreszcz przyjemności.

- Co słysząc, Julio? - spytał cicho przez ozdobne żelazne pręty. Julia, żywy obraz pierwszej żony Juliusza, Kornelii, zeszywniała. Rozejrzała się wokół. Była piękną kobietą i kiedy patrzył na nią, nagle, z zadziwiającą siłą, wróciło do niego wspomnienie ich jednej i jedynej wspólnej nocy.

Pamiętał, było trochę krwi, niewiele, choć może dosyć, by przywiązać ją do niego.

Julia poderwała się z miejsca. Podeszła do bramy.

- Co ty tu robisz? - syknęła. - Mój mąż...

- Snuje z Labienusem te swoje posępne plany, jak zawsze, Julio, i jestem pewien, że wiesz o tym. Nie potrafię zrozumieć, jak można zostawić taką jak ty kobietę samą w

tak piękny dzień.

Uszu Brutusa dobiegł cienki dziecięcy głosik, ciągnący jedną nutę dziecięcej piosenki.

- Twój syn? Kto jeszcze jest z tobą?

- Zamilcz, Brutusie! - Julia rozejrzała się nerwowo jeszcze raz. - Straże Pompejusza

stoją na odległość głosu, poza tym pełno tu niewolników. Nie jesteśmy na osobności.

Z domu wyszedł na chwiejnych nóżkach mały chłopczyk i Brutus mrugnął do niego.

Dziecko się rozpromieniło.

- Urodziwy ten mały. I wprost stworzony do miecza. Widzisz, jakie ma długie ręce?

Rozdział IX

115

Julia, słysząc komplement, trochę się uspokoiła. Popatrzyła na malca.

- Wejź do środka. Pobawimy się za chwilę - powiedziała. Chłopiec skinął poważnie i ruszył z powrotem przez ogród.

- Wpuścisz mnie? - spytał Brutus. Julia potrząsnęła głową stanowczo.

- Zdecydowanie nie. Nie mogę sobie pozwolić, by zobaczono nas razem, i nie sądzę, bym ci mogła ufać.

- Jeśli o mnie chodzi, wciąż pamiętam pewną noc w stajniach - zauważył zadowolony, że się zarumieniła. - Chyba mi nie powiesz, że teraz wolisz Pompejusza?

- Jest moim mężem, Brutusie - odpowiedziała, choć mniej pewnie.

Bezwiednie przyłgnęła do żelaznych prętów. W każdym innym miejscu wziąłby ją w ramiona i pocałował, ale nie tu. Tu by odskoczyła. Wymknęłaby mu się.

- Dlaczego opuściłeś mojego ojca? - spytała nieoczekiwanie. - Nie spodziewałam się tego po tobie. Ja bym nigdy czegoś takiego nie zrobiła, wiem to.

Jego odpowiedź padła tak szybko, że nie zauważyła, jak na ułamek sekundy odwrócił oczy. W ten sposób łatwiej mu się kłamało.

- Twój ojciec jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego znam, Julio. Mimo całej pewności siebie Pompejusz będzie się musiał bardzo starać, by go pobić.

- Więc dlaczego, pytam?

Ciekaw był, co czuje żona, kiedy mąż planuje wojnę przeciw jej ojcu. Julia spojrzała mu prosto w oczy, ale on już wiedział, co odpowie. W końcu, na bogów, to było

ryzyko. Jak bardzo mógł ufać temu, co czytał z jej twarzy? Czy mogłaby go zdradzić?

- Przysięgniesz mi, że nie powiesz Pompejuszowi? - wyszeptał.

- Na życie mego syna - odpowiedziała, jeszcze bardziej pochylając się ku niemu.

- Nie opuściłem Juliusza - powiedział. - Jestem tutaj, by pomóc mu zwyciężyć.

Julia z wrażenia zaniemówiła. Odruchowo wyciągnął dłoń, by pogłaskać ją po włosach, ale ona wysunęła się spod dotyku.

116

Imperator

- Nikt więcej o tym nie wie - ciągnął. - Powiedziałem tobie, bo nie mogłem znieść

myśli, że uważasz mnie za zdrajcę. - Widząc, że jest skłonna mu uwierzyć, omal nie

wybuchnął śmiechem. - Twój mąż mi jednak nie ufa. Nie chce pozwolić, bym

dowodził dużą jednostką. Myślę, że zamierza mnie posłać do pierwszych szeregów, na

pewną śmierć. - Czy nie przesadził? Chciał, by się o niego bała, ale czy utrafił w

odpowiedni ton?

Wciąż nie odpowiadała; na jej twarzy malował się wyraz niezdecydowania. To był

konflikt lojalności, Julia musiała wybierać. Wiedział, że zawsze kochała ojca.

Zaryzykował. Postawił na to, że nie powie Pompejuszowi, bo nie zechce, by go

stracono. Gdyby jej uczucia przechyliły się na stronę dyktatora, jego życie mogłoby być mierzone w godzinach. Już był przestraszony tym, na co się poważył, i wobec

grozy jej milczenia oddałby wszystko, by cofnąć własne słowa.

- Czy mój ojciec chce, byś poprowadził legion? - spytała cicho. Ściągnął usta, żeby się nie uśmiechnąć. A więc miał ją. Zwyciężył.

- Tak, Julio, chce.

- Zatem przekonam męża, by powierzył ci to dowództwo. Udał zaskoczenie, tak, jakby

jemu samemu podobna myśl nigdy

nie przyszła do głowy.

- Możesz to zrobić? On nie lubi żadnych nacisków.

Ziarno trafiło na podatny grunt. Brutus uświadomił sobie, że czas ucieka. Nie mógł dać się schwytać u jej bram, zwłaszcza teraz.

- Znam go dobrze - odpowiedziała Julia. - I mam swoje sposoby. - W uniesieniu przycisnęła twarz do prętów i pocałowała go w usta. - Niech mój ojciec wie, że go nie zapomniałam.

- Bądź pewna, że się dowie, ale teraz muszę już iść.

Przysięgłby, że słyszy w oddali znajomy stukot podkutych sandałów. Powinien być daleko, kiedy go znajdą, najlepiej przy kubku wina i z dziewczyną w ramionach.

Będzie trudne wytłumaczyć się w ten sposób, ale miał nadzieję, że możliwe.

- Kiedy znów cię zobaczę? - spytała.

- Za dwa dni, o tej samej porze. Odpraw niewolników. Przyjdę, jak mi się uda -

powiedział, ciesząc się w duchu. To było o wiele więcej, niż mógł się spodziewać na początek.
Zamiast prostej przy-Rozdział IX

117

jemności zabawiania się z żoną Pompejusza od czasu do czasu, zagrał o znacznie wyższą stawkę.

- Idź już, szybko! - powiedziała, wyczuwając jego nerwowość.

Kiwnął głową na do widzenia i pobiegł. Skręcił za pierwszy róg. Julia popatrzyła za nim, ale już po chwili usłyszała szybkie kroki żołnierzy męża. Brutus się z nimi

zabawi, pomyślała, i pierwszy raz od przybycia do Grecji serce zabiło w niej szaleńczo.

ROZDZIAŁ X

święto Dobrej Bogini, Bona Dea, trwało w najlepsze i Rzym wzięły w posiadanie

kobiety. Tego jednego dnia, każdego roku, mężczyźni zamykali się za drzwiami swoich domów i kładli spać wcześniej, podczas gdy kobiety oddawały się picciu, pieśniom i

tańcom, a niektóre, ciesząc się krótkotrwałą wolnością, publicznie obnażały piersi.

Wielu obywateli wspinało się na dachy swoich domów, by podglądać zabawy, lecz

takiego, który robił to zbyt ostentacyjnie, grad kamieni szybko zmuszał do odwrotu.

Jeszcze inni, gnani ciekawością, wymykali się na ulice, choć ryzykowali znacznie

sroższą karę. Każdego roku krążyły opowieści o młodych mężczyznach, którzy zostali

zapędzeni w jakiś zaułek i których znajdowano rano związanych, nagich i wciąż

zanadto przestraszonych, by chcieć opowiadać o swoich sukcesach.

Belas obserwował dawny dom Mariusza z wysokiego okna naprzeciw. Widział, jak

Cezar, przed udaniem się na całonocne spotkanie z dowódcami ze śmiechem pożegnał

żonę. Konsul opuścił dom późno; lubił pełne godności przejazdy przez miasto i jego

ludzie, maszerując z Kwirynału na forum, jak zwykle robili dużo hałasu. Jednak

podczas tego święta Rzym nie kierował się zwykłymi prawami i Belas cieszył się z

jawnego niezadowolenia konsula. Nie było rzeczą godną opierać się kobiecemu

świętu, nawet jak się piastowało najwyższe urzędy.

Ze swojego punktu obserwacyjnego Belas z zainteresowaniem przyglądał się grupie

westalek podchodzących pod wzgórze z gło-

Rozdział X

119

śnymi okrzykami, pośród zmysłowego rytmu bębenków i fletów. Dwie, idące na czele

pochołu, były na pół obnażone i ich piersi, w opinii Belasa, podskakiwały niezwykle ponętnie, a długie, natarte olejkami nogi lśniły w blasku pochodni jak marmurowe

kolumny. Nie śmiał wychylić się na zewnątrz, tam, gdzie któraś mogłaby spojrzeć w

górze i go zobaczyć. Westalki, zwłaszcza one, tej nocy mogły się okazać bezlitośnie

niegodziwe, gdyby zauważyły mężczyznę. Dotknąć jedną z nich znaczyło dobrowolnie

skazać się na śmierć bez odwołania. Belas wiedział o tym i raz po raz próbował

utwierdzać się w przekonaniu, że dobrze zamknął zewnętrzne drzwi domu po

wynajęciu swojej kryjówki na piętrze na cały wieczór.

W domu Mariusza robiło się coraz tłoczniej i głośniejsze. Nowo poślubiona żona konsula, Pompeja, z miejsca zyskała popularność nobilem i wyraźnie cieszyła się swoją nową

pozycją. Belas obserwował kobiety wielkich rodów przybywające z całego miasta i

bębnił palcami po parapecie, zły, że nie może zobaczyć, co się dzieje wewnątrz.

Większość mężczyzn zawsze była gotowa dołożyć słowo do plotek obiegających miasto

po święcie, ale Belas nie do końca wierzył plotkom. Wiedział, że sekrety Dobrej Bogini są dobrze strzeżone.

Wyteżył wzrok, by zajrzeć przez otwarte bramy, puste między jedną a drugą falą

przybyszów. Choć dom był wielki, mogło się wydawać, że natłok córek nobilem

rozsadzi jego mury. Młode kobiety śmiały się i śpiewały, nawoływały jedna drugą

gardłowymi głosami; wiedziały doskonale, że mężczyźni będą się starali je

podłuchiwać i zgadywać, jakiej rozpuście się oddają.

Belas nie cieszył się swoją misją, powiedział to Serwili, dodając, że Pompeja za nic nie mogłaby przynieść wstydu Cezarowi w taką noc, zwłaszcza w taką. Uważał ją za

wierną i zajął miejsce w pokoju na drugim piętrze, wychodzącym na ulicę, mając za

całe towarzystwo jedynie kawałek chleba i sera. To miała być długa noc samotnego

czuwania.

Kiedy wzeszedł księżyc, na ulicy pojawiły się zwoźnicze błyski ciał. Wyglądało to tak, jakby położono kres wszelkim zahamowaniom. Belas wiercił się niespokojnie,

czekając godzinami, udręczony własną wyobraźnią. Gdzieś w pobliżu chrapała jakaś

kobieta,

120

Imperator

możliwe, że w samych drzwiach jego schronienia. Złany potem, wpatrywał się w

migotliwy blask pochodni i próbował nie przywoływać przed oczy wina, ciemnoczerwonych strumieni, którymi jedna drugiej obmywała złoto skóry.

Zatopiony w marzeniach początkowo nie zauważył nic niezwykłego w postaci, która pięła się samotnie w górę ulicy, z lekka rozkołysanym krokiem. Długie włosy były splecione na karku w ciasny węzeł, a poły płaszcza, rozwiewane wiatrem, odsłaniały czarną jak noc stołę. Kroki ucichły na wprost okna Belasa.

Wynajęty przez Serwilię szpieg spojrział uważniej i kiedy przysunął się bliżej do okna i popatrzył na dół, serce zabiło mu mocniej, ręce zacisnęły się kurczowo na parapecie, a usta wyszeptały przekleństwo. To, co zobaczył, było na pewno niemożliwe.

Postać niosła skórzany worek na wino, pusty i obwisły jak mosz-na starca. W pewnej chwili zadarła głowę, a światło pochodni wydobyło z cienia zarys jej szyi. To nie była kobieta. Twarz była umalowana zręcznie i nawet chód był kobiecy, mimo wyraźnego

przepicia. Jednak Belas grywał kobiece role w niejednym teatrze i był swego pewien.

Skryty w cieniach, przyklasnąłby odwadze ostatniego gościa, gdyby nie myśl, że go zdemaskuje. Północ dawno minęła i żaden mężczyzna nie miał prawa spacerować po mieście o tej porze. Gdy westalki pochwycają intruza, będzie miał szczęście, jeśli ujdzie z życiem, nie wykastrowany. Belas zadrżał na taką myśl i w przyływie męskiej

solidarności zaczął rozważać zaproponowanie obcemu schronienia aż do świtu.

Mężczyzna jednak zajrzał do ogrodu całkiem śmiało. Jego ruchy nabrały większego zdecydowania.

Belas pojął, że obcy udawał przepicie, że nie był żadnym młodym głupcem podjudzonym przez swoich przyjaciół, lecz kimś niebezpiecznym. Czyżby mordercą?

Belas zaklął; nie miał możliwości się skontaktować z Serwilią podczas tego kobiecego święta i teraz, cokolwiek by się wydarzyło, nie ośmieli się opuścić swojej bezpiecznej przystani.

Tymczasem mężczyzna spokojnie chłonał widoki i dźwięki, niedostępne dla Belasa, a

potem wtoczył się w bramy i dalej, do pachnących upojnie ogrodów. Belas został sam, zżerany ciekawością. On, nawet w latach najbardziej szalonej młodości, nie

zaryzykowałby pojawienia się pośród świętujących kobiet.

Rozdział X

121

Przestępując z nogi na nogę, czekał niecierpliwie na nagłą erupcję oburzonych krzyków, znak, że oszustwo mężczyzny wyszło na jaw. Ale nic takiego się nie stało i upłynęła dłuższa chwila, nim zdał sobie sprawę, że mężczyzna nie wyjdzie na zewnątrz, ani zmuszony, ani z własnej woli.

Belas tak się przejął grożącym obcemu niebezpieczeństwem, że kiedy zrodziło się w nim pierwsze podejrzenie, zamarł z oburzenia. Nie wierzył, że obcy mógłby długo oszukiwać kobiety, jeśli w ogóle mógłby, więc na co liczył? Po rozważeniu paru możliwości uznał, że być może mężczyzna to wynajęta na noc prostytutka. Być może właśnie w tej chwili układa Pompeję na jedwabnym pościeliu. Belas zaczął nucić pod nosem. W trudnych chwilach zawsze to robił. Wiedział, że musi zajrzeć do domu naprzeciwko.

W absolutnych ciemnościach pokonał w dół dwa piętra schodów, wymacał dłonią drewno drzwi prowadzących na ulicę, uchylił je ostrożnie i w pierwszej chwili zdrętwiał ze strachu. Kobieta, której chrapanie słyszał od dawna, straciła podparcie i śpiąc dalej, runęła do jęgo stóp. Niewiele myśląc, Belas chwycił ją pod pachy i odciągnął na bok. To była trudna noc. Doprawdy zasługiwał na lepszą zapłatę.

Poleciwszy się opiece wszystkim najbardziej męskim rzymskim bogom i zostawiając za sobą lekko uchylone drzwi, jednym susem przeskoczył przez ulicę. Z przesadną ostrożnością i rozszalałą wyobraźnią rozejrzał się na boki.

Na gołej ziemi, w otwartej bramie, leżała naga kobieta z pustym workiem na wino u boku. Była piękna i chętnie przyjrzałby jej się dokładniej, gdyby nie nagły śmiech niosący się z domu. Z głową wtuloną w ramiona spojrzał w górę i w dół ulicy za

bramami, przerażony, że ktoś go odkryje. Na myśl o tym, co by go spotkało, przeszył go zimny dreszcz. Odruchowo wsunął się głębiej w ogród. Zrobił to w samą porę, by nie dać się zauważyć dwóm kobietom, które przechodząc, prawie się o niego otarły. Osaczony strachem Belas poczuł cierpki zapach własnego potu.

Był prawie gotów uciec, kiedy zobaczył obcego raz jeszcze. Mężczyzna pojawił się w drzwiach domu, wciąż w stoli, choć już bez wierzchniego okrycia. W silnie umięśnionych ramionach trzymał zwiniętą w kłębek, pomrukującą jak kotka kobietę i zmierzał

122

Imperator

w jakieś zaciszne miejsce. Belas zadrżał na tak bezgraniczną zuchwałość. W pewnej chwili kobieta odchyliła głowę do tyłu. To była Pompeja i to ona, na oczach Belasa, zarzuciła ramiona na szyję mężczyzny i przyciągnęła jego usta ku swoim. Rzadko kiedy wyglądała piękniej, Belas musiał to przyznać. Ciemne włosy rozsypały się po ramionach i podczas długiego pocałunku kołysały miarowo, policzki płonęły winem i namiętnością i Belas mimo woli pozazdrościł mężczyźnie, który zaryzykował wszystko, by znaleźć się w tamtym ogrodzie.

Nagle przyszło mu do głowy, że gdyby się stąd wymknął i zachował milczenie, nikomu nie stałaby się żadna krzywda. Połową serca był za takim obrotem sprawy, ale druga połowa w porę przypomniała mu o złocie przyjętym od Serwili.

- Czy ona jest warta twojego życia? - rzucił z bezpiecznych cieni, przy ostatnim słowie podnosząc głos do krzyku.

Niewiele brakowało, by obcy upuścił Pompeję, ale kiedy szarpnął się w stronę głosu, Belas zanurkował w ciemność i nim wszczęto alarm, był już po drugiej stronie ulicy.

Dopełnił swego obowiązku i młody mężczyzna wiedział, że go widziano. Belas westchnął, obserwując ze swojego wysokiego okna narastający na dole chaos. Obcy

zniknął. Może w jakimś ciemnym, bezpiecznym miejscu przeskoczył przez mur

oddzielający posiadłość od ulicy. Cała reszta uczestniczek zabawy, postawiona na nogi przez panią domu, przeszukiwała ogród, głośno złorzecząc. Któraś załomotała w drzwi naprzeciw, ale Belas zamknął je od wewnątrz na żelazną sztabę i teraz mógł się śmiać.

Był ciekaw, czy obcy zdążył znaleźć się w łóżku Pompei, czy dopiero do niego zmierzał.

Ostatecznie, za swoje wysiłki, mężczyzna na coś zasługiwał. Z nadejściem ranka miały nadejść kłopoty.

Juliusz ziewnął, przegryzając zimną jagnięcinę zimną smażoną cebulą,

pozostałościami z wieczornej uczy. W miarę jak szare światło świtu wydobywało z

mroków nocy kształty forum i jego otoczenia, dyskusje zaczęły przygasać i to był znak do rozejścia się do domów. Adan też ziewał rozpaczliwie. Wraz z dwoma innymi

skrybami uczestniczył w całości obrad, przyjmując rozkazy i pilnując zapisów co do najdrobniejszego szczegółu.

m/mm

Rozdział X

123

Dziwnie było znaleźć się w kompletnie pustej kurii. Za to zapełnienie miejsc dowódcami legionów wytworzyło atmosferę wojennej narady i Juliusz żałował, że prawdziwy senat nie może podziwiać sprawności jego ludzi. Podczas nocnych godzin nie tracono czasu na pompatyczne wystąpienia: czekało ich zbyt wiele prawdziwej pracy.

Mimo swobody, jaką zapewniało kobietom święto, nie słyszeli, by ktoś niepokoił nocne straże. Naruszając tradycję, Juliusz wystawił żołnierzy na schodach budynku senatu, aby żadna z ryzykantek nie ośmieliła się podejść za blisko i próbować się wtrącać w nie swoje sprawy. To się chyba udało, niemniej światło nowego dnia wywołało parę uśmiechów na twarzach zgromadzonych; nowy dzień szczęśliwie

zapowiadał kres święta ku czci bogini Bona Dea i umożliwiał spokojne udanie się do łóżek.

Juliusz rozejrzał się z dumą po mężczyznach, którzy stawili się na jego rozkaz. Poza siedmioma wodzami wezwał najstarszych centurionów i trybunów wojskowych, aby każdy poznał ostateczne ustalenia co do wyjścia z Rzymu. W ławach upchnięto ponad trzystu mężczyzn i czasami dyskusja była tak głośnie i żartobliwa jak podczas obrad prawdziwego senatu.

Mimo zmęczenia Juliusz był zadowolony z przygotowań do wojny. Flota czekała w Ostii, gotowa do wyjścia w morze, a on miał dość ludzi, by wypełnić nimi każdy kąt na każdym pokładzie, teraz, kiedy nadciągnęły z południa trzy kolejne legiony i rozstawiły namioty na Polu Marsowym. Marek Antoniusz dzielnie się wywiązywał z powierzonej mu roli konsula, a każdy żołnierz w tym pomieszczeniu znał plany dotyczące pierwszego lądowania w Grecji, choć nie jego ostatecznej daty.

- Jeden miesiąc więcej - mruknął Juliusz do Domicjusza, który siedział u jego boku - a potem znów możemy iść na wojnę.

- Ostatni raz, jak rozumiem - odrzekł Domicjusz, odwołując się do rozmowy nad Rubikonem, sprzed kilku miesięcy.

Juliusz się roześmiał.

- Ostatni raz w tej grze. Choć za każdym razem i przy każdej grze, kiedy wydaje mi się, że to ja nią kieruję, okazuje się, że to mną kieruje ślepa ręka losu. Wysłałem

Cecyliusza do Grecji tylko po to, by został pojmany, a on miesiąc w miesiąc śle nam szczegó-

124

Imperator

łowe meldunki, cenniejsze od złota. To nie człowiek. To przebiegły lis, tak to wygląda, a bogowie mają dziwne poczucie humoru.

Domicjusz kiwnął głową, zadowolony tak samo jak Cezar. Meldunki Cecyliusza stanowiły istotną część ich przygotowań, a ci, którzy wiedzieli, że Cecyliusz został

wysłany tylko po to, by zasiać niewiarę w Brutusa, po cichu się cieszyli, że strategia zawiodła, przynajmniej na razie. Ale i tak nadchodząca wojna była zaledwie połową

zadania, z którym przyszło im się mierzyć. Juliusz obsesyjnie pragnął zabezpieczyć miasto, nim je opuści, i od miesiący pracowali, by przygotować Rzym do przejęcia przez Marka Antoniusza.

Nowi urzędnicy wzięli sobie do serca instrukcję Juliusza: „Pracować szybciej i nie być przekupnym”, i już sam respekt dla wodza, który pokonał Galów, wystarczył, by w parę dni uporali się ze sprawami, które zalegały od miesiący poprzedzających ucieczkę Pom-pejusza. Kilku popadło na nowo w korupcję i tych zdano na łaskę i niełaskę ich

ofiar. Teraz skargi obywateli brano poważnie.

Miasto, na przekór ciągłym wstrząsom, raz jeszcze zaczęło funkcjonować. Rzymianie,

poproszeni o cierpliwość i zaufanie, obdarzyli wodza jednym i drugim, przynajmniej

chwilowo. Juliusz dotrzymał obietnicy złożonej na forum i dostarczył dziesięć pełnych kohort, które miały dopilnować spokoju pod jego nieobecność. Pod najbardziej

doświadczonymi dowódcami straże przydrożne z Kor-finium doskonale się nadawały

do takiej roli i Juliusz z zadowoleniem potwierdził dowództwo Ahenobarbusa.

Na tę myśl Cezar uniósł wysoko kubek i pozdrowił swojego nowego wodza. Nie

żałował, że go oszczędził; beznamiętny brak wyobraźni tego człowieka współgrał z

obowiązkami utrzymania pokoju w Rzymie. I kiedy Ahenobarbus odwzajemnił

pozdrowienie, jego twarz pałała dumą.

Do sali wszedł jeden z wartowników, zostawionych na zewnątrz do pilnowania

solidnych brązowych drzwi senatu. Juliusz poderwał się; w towarzystwie żołnierza, z zadartą do góry brodą, szła Serwilia. Hałasując podkutymi sandałami, reszta poszła w ślady wodza i zastygła w bezruchu. Jedynym dźwiękiem pośród nagłej ciszy był

szczęk strąconego półmiska wirującego po marmurze posadzki, dopóki ktoś go nie przydepnął.

Rozdział X

Serwilia nie uśmiechnęła się, pozdrawiając go. Juliusz odwzajemnił pozdrowienie, ale miał złe przeczucia.

- Co cię tu sprowadza?

Omiotła spojrzeniem gęste rzędy jego dowódców. Wyraźnie nie miała ochoty na publiczną rozmowę.

- Odprawię moich ludzi - powiedział Juliusz. - Tymczasem idź do mojego domu na Kwirynale.

- Nie, konsulu, tam nie - powiedziała z wahaniem.

Juliusz stracił cierpliwość. Ujął ją za ramię i wyprowadził na marmurowe schody górujące nad forum. Czyste powietrze pomogło mu zebrać myśli po długich godzinach oddychania dymem z nasączonych oliwą pochodni.

- Nie czerpię z tego żadnej przyjemności. Powiem krótko. Tej nocy mój człowiek obserwował twój dom.

Juliusz spojrzał na nią wściekle, natychmiast nabierając podejrzeń.

- O tym, czy masz prawo do takich rzeczy, porozmawiamy innym razem. Teraz mów, co widział.

W miarę jak Serwilia wyliczała kolejne szczegóły tego, czego świadkiem był Belas,

Juliusz robił się coraz bardziej oziębły i coraz bardziej gniewny. Kilka minut wcześniej pragnął snu, niczego więcej, ale jej opowieść szybko zburzyła jego dobry nastrój.

Bezwiednie zacisnął pięść, nim zmusił się, by wycedzić nie więcej niż parę słów.

- Dowiem się prawdy od niej.

Oczy Pompei były czerwone od płaczu, kiedy Juliusz, jak burza, wtargnął do jej komnat. Zostawił swoich żołnierzy na ulicy. Wolał nie mieć naocznych świadków najbardziej intymnych chwil w swoim życiu. Niepewna mina żony mówiła sama za siebie: jego poníženie się dopełniło.

- Tak mi przykro - szepnęła na jego widok i nim otworzył usta, rozelkała się jak dziecko.

Pytanie zżerało mu wnętrze jak kwas żołądkowy, ale słowa należało wypowiedzieć pełnym głosem.

- A więc to prawda?

Potaknęła, nie patrząc na niego, chowając twarz w mokrą od

126

Imperator

leż szatę. Stał przed nią, otwierając i zaciskając dłonie i usiłując znaleźć jakieś wytłumaczenie.

- Przyszedł tu? Tej nocy? Czy to był gwałt? - wydusił z siebie w końcu, wiedząc, że coś takiego nie mogło mieć miejsca. Wymuszenie gwałtu podczas święta Dobrej Bogini to

samobójstwo. Jego myśli goniły jedna drugą z zawrotną prędkością. Przeżyty wstrząs

robił z niego głupca, wiedział to, ale wiedział także, że kiedy ostatecznie wpadnie w gniew, stanie się nieobliczalny.

- Nie, to nie to. Ja tylko... ja chyba byłam pijana...

Pochlipywanie tej kobiety zaczynało działać mu na nerwy. Obrazy okrutnych kar, które był w stanie wyegzekwować, pojawiły mu się kusząco przed oczami. Jego ludzie nie odważyliby się wejść do domu, nawet gdyby ją udusił. Dłonie zacisnęły mu się konwul-syjnie, lecz nie podszedł bliżej.

Odwrócił się, prawie z ulgą, na dźwięk podniesionych głosów na ulicy. Pośród innych wybijał się jeden, i kiedy spojrzał znów na Pompeję, zobaczył, że z jej twarzy odpłynęła cała krew.

-O, nie... - wyszeptała, podrywając się i wyciągając ku niemu obie dłonie. - Proszę, nie skrzywdź go. To zwykły głupiec.

Juliusz cofnął się jak przed żmiją. Twarz oszpecił mu gniew.

- On jest tutaj? - spytał niedowierzająco. - On śmie wrócić do mojego domu?

Niewiele myśląc, ruszył do bram, gdzie jego żołnierze przyciskali do bruku jakąś wrzeszczącą postać. Mężczyzna miał zakrwawione usta, mimo to walczył jak szaleniec.

Pompeja, zobaczywszy go, krzyknęła przeraźliwie. Juliusz, zdumiony, potrząsnął głową. Obcy, którego widział Belas, był młodzieńcem, najwyżej osiemnastoletnim, o długich do ramion włosach. Juliusz odnotował to z goryczą. Poczł się stary.

Żołnierze, odkąd zdali sobie sprawę z obecności swojego wodza, trzymali intruza w ponurym milczeniu. Jeden miał rozciętą w szamotaninie wargę i czerwoną z wysiłku twarz.

- Pozwólcie mu wstać - powiedział Juliusz, a jego dłoń odruchowo powędrowała do miecza.

Pompeja krzyknęła powtórnie. "Wtedy on się odwrócił i wymierzył jej policzek, i dopiero to ją uciszyło, choć jej oczy wypełniły się łzami, kiedy młody mężczyzna

podniósł się i stanął twarzą w twarz

Rozdział X

127

ze swymi dręczycielami. Oddychając ciężko, ocierał usta grzbietem dłoni.

- Weź mnie. Jej pozwól odejść - powiedział czystym głosem.

- Zabrać go do środka - warknął Juliusz. - Nie chcę, by przyglądał się temu cały Rzym.

Jego ludzie, zamknąwszy za sobą bramy, położyli na ramionach schwytanego ciężkie dłonie i wciągnęli go do ogrodu i dalej, prosto w chłód kamiennych korytarzy.

Pompeja, z oczami pociemniałymi od strachu i niedoli, ruszyła za nimi.

Młody mężczyzna, ciśnięty bezceremonialnie na marmurową posadzkę, jęknął z bólu i niezgrabnie dźwignął się na nogi. Spojrzał z wyrzutem na Juliusza.

- No więc? - powiedział tenże. - Jak się nazywasz, chłopcze? Dowiem się z przyjemnością, co pomyślałeś, przychodząc tutaj.

-Jestem Publiusz. Pomyślałem, że mógłbyś ją zabić - odrzekł młody człowiek.

Trzymał głowę dumnie i Juliusz stracił na moment panowanie nad sobą. Uderzył go knykciami prosto w usta. Krew trysnęła, ale w oczach Publiusza nadal płonął bunt.

- Mówimy o mojej żonie, chłopcze. Nie masz żadnego prawa do wydawania własnych sądów - powiedział powoli Juliusz.

- Kocham ją. Kochałem, zanim ją poślubiłeś.

Za coś takiego Juliusz nie mógł tego człowieka zabić. Gniew, którego oczekiwał, kazał mu się otrząsnąć ze znużenia i napełnił go niespokojną energią. Musiał skończyć z tym aroganckim głupcem.

- Nie powiesz mi chyba, nierozumne szczenię, że spodziewałeś się ją uratować? Czy mam ci ją oddać i życzyć obojgu szczęścia? No, jak myślisz?

Zakochany w Pompei młody człowiek już zaczynał odpowiadać, kiedy jej mąż jednym ciosem powalił go na ziemię. Publiusz podniósł się raz jeszcze i raz jeszcze stanął twarzą w twarz z Juliuszem. Ciężko dyszał i trzęsły mu się ręce.

Juliusz spojrział w dół, na ciemne smugi krwi na marmurze. Najwyższa pora zapanować nad emocjami, pomyślał. Pompeja znów zaniósła się łkaniem, ale wołał na nią nie patrzeć. Nie chciał wzbudzać w sobie nowej fali gniewu.

- Za niecały miesiąc opuszczam Rzym, by walczyć z armią dwa

128

Imperator

razy tak liczną jak moja. Być może łudzisz się nadzieją, że pozwolę wam tu zostać, razem i tylko we dwoje. Albo nawet, że mogę w ogóle nie wrócić, czy tak? - Zaklął,

zdjęty obrzydzeniem. - Tak młody, jak ty, Publiusz, byłem dawno temu, ale nigdy nie byłem aż takim głupcem. Nigdy. Ryzykujesz życie dla teatralnego gestu, a kłopot z

poezją i z teatrem jest ten, że jedno i drugie rzadko rozumieją, co znaczy ryzykować własne życie. A

ryzykować życie znaczy tyle, że każę moim ludziom, by zabrali cię w odludne miejsce i bili tak długo, aż twoja twarz zamieni się w krwawą maskę.

Rozumiesz? Jak ci się zdaje, jak bardzo poetycznie będziesz wtedy wyglądał?

- Proszę, nie - jęknęła Pompeja. - Proszę, pozwól mu odejść z Rzymu. Nie zobaczysz go już nigdy więcej. Zrobię wszystko, co zechcesz.

Juliusz zwrócił na nią zimne oczy.

- Chcesz powiedzieć, że od dzisiaj będziesz małą, wierną, potulną żoną? Za późno, moja droga. W moim spadkobiercy musi płynąć moja krew. Żadnych podejrzeń, żadnych plotek. To wszystko, co miałaś dla mnie zrobić. - Skrzywił się, niezdolny znieść jej widoku ani chwili dłużej. - Wobec świadków mówię do ciebie po trzykroć: jesteś rozwiedziona, rozwiedziona, rozwiedziona. A teraz precz z mego domu.

Pompeja odstąpiła o krok, niezdolna odpowiedzieć. Oboje z Publiuszem wymienili spojrzenia rozpaczy. Juliusz je podchwycił, i chcąc zranić byłą żonę, dodał jadownicie:

- Wątpię, czy twoje jałowe łono kiedykolwiek zakiełkuje nasieniem, ale gdyby tak się stało, kiedy ja odjadę, dziecko będzie bastardecem.

Zwrócił się znów do Publiusza i parsknął na widok nadziei malującej się na jego twarzy.

- Chyba nie łudzisz się, że wyjdiesz z tego cało, chłopcze, i chyba wiesz, co musi cię spotkać, czy tak?

- Pozwól odejść Pompei, to wystarczy.

Oczy Publiusza jaśniały prawością i Juliusza aż kusilo, by znów go uderzyć. Zamiast tego skinął na dwóch ze swoich ludzi.

- Wyprowadźcie ją i zostawcie na ulicy. Nic, co znajduje się w tym domu, nie należy do niej.

Pompeja krzyknęła, kiedy żołnierze ją schwycili, i krzyczała, wy-

Rozdział X

ciągnąca na zewnątrz. Jej krzyk długo wisiał w powietrzu. Tymczasem Publiusz i

Juliusz mierzyli się wzrokiem.

-Teraz mnie zabijesz? - spytał ten pierwszy, unosząc wysoko głowę.

Juliusz nie wahałby się ani chwili z wydaniem odpowiednich rozkazów, gdyby mu nie zaimponowała odwaga chłopca. Nawet w obliczu pewnej śmierci pozostawał spokojny i pełen dystansu do własnego losu.

- Gdybyś to nie był ty, ta nierządnicą sprowadziłaby sobie do łóżka innego - zauważył łagodnie Juliusz.

Publiusz rzucił się na niego, ale szybko padł pod gradem ciężkich żołnierskich ciosów.

-Nie, nie zabiję cię - usłyszał od pochylającego się nad nim starszego mężczyzny, rzymskiego wodza. - Młodzieniec o takiej odwadze jak twoja przyda się moim legionom. Staniesz w pierwszych szeregach. Tam prędko nauczysz się mojego rzemiosła. Wyruszasz do Grecji, chłopcze.

ROZDZIAŁ XI

Pośród wszechogarniających ciemności lampa na rufie którejś z galer wydawała się Juliuszowi jak odległy świetlik, zawieszony w powietrzu i drgający w rytm ruchów morza.

-Powiedz dowódcy, by podpłynął trochę bliżej - powiedział do Adana. Jeszcze przez chwilę słyszał tupot stóp młodego Celta, ale mrok pochłonął go natychmiast. Pośród takiej nocy równie dobrze wszyscy mogliby być ślepi. Juliusz uśmiechnął się sam do siebie. Taką właśnie wybrał, bezksiężycową, a bogowie zesłali mu chmury, które przesłaniały nawet najmgliściej świecące zimowe gwiazdy.

Żołnierze, stłoczeni na pokładzie galery, albo drzemali, albo kładli ostatnią warstwę oliwy na zbroje, chroniąc je w ten sposób przed szkodliwym działaniem morskiego

powietrza. Jedyne bezbrzeżne zmęczenie mogło przytępić ich czujność i skleić

powieki lekkim snem. Wyprawili się, wiedząc, że to jedyna okazja, by zaskoczyć greckie porty. W razie niepowodzenia wschód słońca zastanie ich wciąż daleko od wybrzeży wroga, a zgrabne galery Pompejusza otoczą ich siły i uśmiercą wszystkich.

- Żadnej zapowiedzi świtu? - spytał nagle Oktawian, zdradzając zdenerwowanie.

Juliusz uśmiechnął się w ciemnościach.

- Nie, wodzu, żadnej. Noc będzie nas osłaniać jeszcze dobrą chwilę.

Mówiąc to, zadrżał pod lodowatą bryzą i mocniej ściągnął płaszcz na ramionach.

Wiatr był silny, ale zmienił się bez zapowie-

Rozdział XI

131

dzi i Juliusz zobaczył, że wiosła sięgają po ciemne fale trzeci raz od opuszczenia

Brundyzjum. Przy tempie, w jakim płynęła galera, niewolnicy pod pokładem szybko

dojdą do granic swoich możliwości, lecz na to nie było rady. Jeżeli nadchodzący dzień zastanie ich na morzu, oni także pójdą na dno.

Przy jednej osłoniętej lampie, z galery z przodu, wskazującej im kierunek, można było pomyśleć, że są sami na morzu. Jednak wokół nich płynęło trzydzieści innych galer,

zbudowanych w Ostii przez najlepszych rzymskich cieśli okrętowych. To one wiozły

cały majątek Juliusza: jego ludzi i jego życie. Z sercem zaprawionym goryczą musiał

przyjąć do wiadomości, że jeżeli zginie w Grecji, nie zostawi po sobie syna i

spadkobiercy. O jego katastrofalnie krótkim małżeństwie plotkowało całe miasto, a on sam wciąż boleśnie odczuwał własne poniżenie. W następstwie takiego rozwoju

wydarzeń znalazł młodą kobietę, Kalpurnię, i poślubił ją w niestosownym pośpiechu.

Jego imię stało się tematem budzących powszechną wesołość wierszy, w których

wrogowie szydzili z jego rozpaczliwej chęci splodzenia syna.

Kalpurnia nie miała w sobie nic z urody Pompei. Jej ojciec przyjął oświadczyni

Juliusza bez chwili wahania, jak gdyby tylko czekał, by się jej pozbyć z domu. Juliusz, z kolei, nie

zwracał uwagi na jej nieco przyciężkie rysy. Wzbudzała w nim niewiele
namiętności, ale pochodziła z rodziny nobilów, podupadłej w trudnych czasach. Nikt
w Rzymie nie mógł kwestionować jej rodowodu i Juliusz wątpił, by ulegała pokusom,
które zgubiły jego drugą żonę.

Skrzywił się na wspomnienie o ich ostatnim widzeniu i o łzach Kalpurni wylanych na
jego szyję. Zważywszy na krótki czas spędzony razem, Kalpurnia płakała więcej niż
jakakolwiek znana mu kobieta. Płakała ze szczęścia, z uwielbienia, a potem na samą
myśl, że ją opuści. Jej comiesięczna krew pojawiła się na dzień przed jego odjazdem i to był kolejny
powód do płaczu. Gdyby nie powiodło mu się z Pompejuszem, już nie
byłoby innej sposobności, by zostawić po sobie coś więcej niż imię. To była jego
ścieżka, jego ostatni rzut kośćmi. To była prawdziwa gra.

Wziął głęboki oddech, by zimne powietrze dotarło do najdalszych zakamarków jego
piersi. Mimo to czuł się zmęczony i wie-

132

Imperator

dział, że ponad wszystko inne potrzebuje snu. Gdzieś w pobliżu pochrapywał z cicha
żołnierz. Juliusz zachichotał. Jego Dziesiąty za nic miał sobie siedemdziesiąt mil
podróży przez ciemności.

Ostatnie trzy dni były ciężkie dla wszystkich. Kiedy koniec końców wydał rozkaz,
siedem legionów pomaszerowało z Rzymu do Brundyjum, pochłaniając odległość od
miasta do miasta w morderczym tempie. Wysłał dwie szybkie galery, by przegnały z
greckiego wybrzeża szpiegowski statek Pompejusza, i flota wyruszyła w pośpiechu, by wziąć na
pokład legiony po wschodniej stronie lądu. To był ostatni moment przed
uderzeniem, ale Juliusz nawet wtedy się wahał, czy nie zatrzymać swojej armii i nie pokusić się o
większą flotę, równą tej, nad którą sprawował władzę Pompejusz.

Jednak każdy dzień ich zwłoki dawał Pompejuszowi więcej czasu na umocnienie

swoich pozycji. Każda godzina. Przy przychylności bogów były konsul nie będzie się spodziewał przybycia Cezara wcześniej niż wiosną.

Juliusz odmówił cichą modlitwę, by się okazało, że miał rację. Jeżeli szpiedzy Pompejusza pierwsi dotarli do greckiego brzegu, świt przyniesie ostatnie godziny światła słonecznego, jakie kiedykolwiek zobaczą. Stawiał wysoko, i to ryzyko przerażało go i ekscytowało zarazem. Na odwrót było za późno. Z chwilą, gdy jego galery odbiły od nabrzeża w Brundyzjum załadowane jego legionami, kurs został wytyczony jednakowo dla nich wszystkich.

Gdy chrapiący żołnierz wydał z siebie dźwięk podobny do krzyku dzikiej gęsi, jeden z jego towarzyszy szturchnął go i zbudził stłumionym przekleństwem. Juliusz zarządził ciszę, lecz noc od szumu fal i skrzypienia lin i belek sprawiała wrażenie pełnej życia. Aby dodać sobie ducha, wywołał z pamięci poprzednie podróże, niektóre tak dalekie, jakby je odbywał w innym życiu. W pewnym sensie zazdrościł wolności młodemu mężczyźnie, którym był wtedy. Tamte wybory wydawały się prostsze i mógł jedynie potrząsnąć głową na myśl, jak niewinnie musiał wyglądać w oczach takich ludzi jak Mariusz czy Sulla.

Wrócił Adan. Stał u jego boku, zataczając się z lekka, podczas gdy galera niezmordowanie pręła fale.

- Klepsydra odwróciła się trzy razy, panie. Świt już niedaleko - powiedział.

Rozdział XI

133

- No to w końcu się dowiemy, czy czekają na nas - odrzekł Juliusz.

Noc, która na początku wydawała się bezkresna, wreszcie mieli za sobą. Wodzowie siedmiu legionów byli na pokładach sąsiednich okrętów, wyczekując niecierpliwie światła. Na najwyższym punkcie każdej galery tkwił obserwator, który miał obwieścić pierwszą

szarą smugę świtu i przeglądać morze, od horyzontu po horyzont, w

poszukiwaniu wroga. Juliusz poczuł się dziwnie wolny, kiedy sobie uzmysłowił, że nie musi już niczego rozkazywać, niczego naprawiać i nikogo poprawiać. To była chwila

ukojenia pośród ciągłego napięcia, chwila spokoju, której od dawna potrzebował, i

brakowało mu jedynie obecności Reniusza. Ile by dał, by stary gladiator zobaczył ich galery i ich legiony pośród tej nocy. Ucieszyłoby go ryzyko, które on, Juliusz, wziął na siebie. Kto jak kto, ale Reniusz widziałby sens w jego wyprawie. Popatrzył przed

siebie. Tyle widm zostało za nim, a przed nim, na wybrzeżach Grecji, był Brutus.

Po sukcesie Cecyliusza, który dotarł do legionów jego wroga, Juliusz wysłał innych

pięciu zaufanych ludzi, z misją przeniknięcia do greckich miast. Cecyliusz donosił o ich egzekucjach miesiąc po miesiącu, aż stał się na powrót jedynym głosem

meldującym o ruchach Pompejusza. To irytowało, pokładać tak wiele zaufania w

pojedynczym szpiegu, i Juliusz zamartwiał się nieustannie, że być może Cecyliusza

nastawiono przeciw niemu.

Wzruszył lekceważąco ramionami; nie miał wpływu na coś, co leżało poza zasięgiem

jego władzy. Jeśli meldunki były dokładne, Pompejusz stacjonował na północy, w

Dyrrachium. Jego legiony przygotowano do obrony zachodniego wybrzeża, ale tego,

gdzie Juliusz wylądował, nie wiedziały i nie mogły wiedzieć aż do momentu, kiedy

będzie za późno. Chyba że już czekają na niego. Zaśmiał się sam z siebie; chwila

spokoju była zwykłym złudzeniem. Nie mógł się powstrzymać od nieustannego

analizowania planów, tak jak nie mógł powstrzymać wiatru, który mroził jego

leżących pokotem ludzi.

Tupot twardych, bosych stóp na drewnianym pokładzie, kazał mu spojrzeć za siebie.

- Nadchodzi świt, panie - powiedział żeglarz, wskazując ku wschodowi.

Juliusz wbił spojrzenie w nie zmienioną ciemność. Kiedy już miał się odezwać, plama szarości stała się widoczna, a wraz z nią czarna linia horyzontu oddzielająca ziemię i wody od niebios. Wschód słońca nad morzem widział już przedtem, jednak kiedy

rozbłysła pierwsza kreska czystego złota i podbrzusze chmur zapłonęło fioletowymi cieniami, wstrzymał oddech.

- Wrogie żagle! - krzyknął inny obserwator, niszcząc czar chwili.

Juliusz ścisnął drewnianą poręcz, błagając bogów, by prędzej zesłali światło. Gdzieś, całkiem niedaleko, jeden z dowódców Pompejusza rzucał rozkaz za rozkazem,

przerażony nagle materializującą się na morzu obcą flotą. W powietrzu zapachniało ładem i na zmianę kursu było za późno. Juliusz wiedział o tym. Wiedział aż do bólu.

Brzask oświetlił jego trzydzieści galer, jednocześnie wydobywając z mroku parę niewyraźnych kształtów, i wtedy pokłady zawrzały ostatnimi przygotowaniami.

Juliusz, czując, jak serce tłucze mu się w piersi, czekał na jedną jedyną zapowiedź:

„Grecja na horyzoncie!”

Jedna z trzech, teraz już dobrze widocznych galer Pompejusza była na tyle blisko, że na jej burtach dało się zobaczyć białe plamy piany tryskającej spod wiosła.

- Ziemia! - padł okrzyk.

Juliusz ryknął z podniecenia i wznosił pięść ku niebu.

Jego żołnierze wyładowali napięcie w niosącym się ponad wodami zbiorowym

wrzasku. Brązowa plama, przecinająca im drogę, oznaczała, że nie będą zaskoczeni na morzu.

Bębny, które milczały całą noc, nagle ożyły, ustanawiając jeszcze szybsze, zabójcze tempo. Serca wybuchły, kiedy przemierzali ostatnią odległość dzielącą ich od lądu, ale bębny biły do ataku i galery skupiły się jedna przy drugiej.

Juliusz już widział domy budzącego się miasta i zdawało mu się, że słyszy buczenie

owadów, ale to były płaczące rogi, wzywające greckich żołnierzy do obrony

mieszkańców. Czyżby Orikum? Na pewno, pomyślał, choć minęło prawie dwadzieścia

lat, kiedy pierwszy raz przybijał do tego portu.

Stał i przyglądał się miastu. Warkot bębenków rozpałał w nim krew coraz bardziej. Na nabrzeżu kotwiczyły trzy galery, pełne biegających, rozkrzyczanych mężczyzn.

Zaśmiał się głośno na myśl

Rozdział XI

135

O ich strachu. Niech mu tylko pozwolą postawić stopę na lądzie, a pokaże im, że Rzym wciąż ma wodza.

Brutus, wybudziwszy się z mocnego snu, podniósł się z twardej maty w swoich kwaterach i przystąpił do serii ćwiczeń, którymi witał każdy nowy świt. Reniusz ustalił ich kolejność. Kabera sprawił, że gibkość ciała dodawała mocy ducha. Po upływie pół godziny słońce stanęło nad odległym Dyrrachium, a ciało Brutusa błyszczało potem. Brutus chwycił za miecz i ruszył w taniec do pozorowanej walki z przeciwnikiem, w sposób wyuczony wspólnie z Juliuszem, wiele lat wcześniej. Zwykle taka walka przywracała mu jasność myśli. Teraz wykorzystał ją na rozważenie swojej pozycji w siłach Pompejusza.

Po pierwszej ucieczce przed strażami Labienusa podjął z nim naprawdę niebezpieczną grę. Grecki wódz wciąż był podejrzliwy

1 Brutus wiedział, że jest szpiegowany od świtu do nocy i od zmierzchu po brzask.

Sądził, że przy pewnym wysiłku uda mu się zmylić depczących mu po piętach

żołnierzy, ale takie próby jedynie zwiększyły nieufność ich rozkazodawcy. Brutus

uciekł się do innej sztuczki. Pochwycił i przywlókł jednego z gorliwców przed oblicze Labienusa i użalając się głośno, wprawił swojego dręczyciela w zakłopotanie.

Bawiło go udawanie oburzenia godnego każdego innego lojalnego wodza. Labienus musiał przeproszać i przyznać się do błędu. Następnego dnia szpiegów, którzy obserwowali Brutusa, zostali zastąpieni nowymi twarzami.

Brutus, powoli uginając kolana do ciosu, który się kończył wypchnięciem. do przodu gladiusa i utrzymaniem go w tej pozycji przez pięć uderzeń serca, uśmiechnął się do siebie. To było odurzające wyzwanie, zobaczyć Julię i zniknąć im z oczu. Ale łowom na niego nie było końca. W dwóch innych sytuacjach, które się zdarzyły po tamtym

spotkaniu w ogrodzie, sytuacjach, kiedy ponownie wykradł dla siebie i Julii trochę czasu, rozkazał ludziom Se-neki umieścić pod strażą dwóch ze swoich prześladowców.

To nie zmieniło niczego. Wiedział, że Labienus nie będzie go absolutnie pewny, dopóki on, Brutus, nie pokona Juliusza w polu. Dopóki nie dowiedzie swojej lojalności ponad wszelką wątpliwość.

Brutus okręcił się lekko, ruchem, którego nauczył się lata wcześniej od plemienia walczącego bronią z brązu. Reniusz nie pochwalał odrywania stóp od ziemi, lecz wyskok w górę był prawdziwym popisem zręczności i pozwalał ukryć ruch miecza. Na krótkie chwile, to prawda, ale to one uratowały mu życie w dwóch różnych potyczkach. Teraz, lądując, uderzył bosymi stopami o drewnianą podłogę kwater.

Deski zatrzeszczały. On raz jeszcze poczuł własną siłę. Był pierwszym mieczem Rzymu i wodzem z Galii. Mieć kogoś takiego jak Labienus, kogoś, kto węszy wokół, kto

posądza go o nielojalność, to była zniewaga. Ten sztywny pyszałek kiedyś za to zapłaci. Zapłaci aż nadto. Nikt z ludzi Pompejusza nigdy się nie dowie, ile jego,

Brutusa, kosztowała zdrada przyjaciela. Wiedział, że przyglądają się jego udziałowi w swych naradach niechętnym okiem. Po części rozumiał potrzebę takich wątpliwości,

lecz czy mógł się nie irytować?

W końcu ułożył miecz do podstawowej pozycji i prawie zapłakał nad ironią swojej nowej roli. Całe życie walczył pod rozkazami Juliusza. Pompejusz nie wytrzymywał porównania z tamtym. Był wodzem, na którym można było polegać, ale brakowało mu wewnętrznego żaru i pomysłów, które Juliusza ratowały z każdej opresji. Dzięki którym przegraną bitwę zamieniał w zwycięstwo. Choć to urażało dumę Brutusa, bywały chwile, w których przyznawał przed samym sobą, że więcej się nauczył od

Juliusza, niż kiedykolwiek nauczy się od Pompejusza.

Cisza nocna została przerwana. Żołnierze wokół niego przebudzili się i poderwali do mycia i ubierania. Tymczasowe kwatery znajdowały się blisko rzeki, która brała swój początek ponad linią śniegu widniejących na horyzoncie gór, i niejeden przeklinał

zimną wodę. Brutus sięgnął pod ubranie, do pachwin, i podrapał się leniwie.

Niedaleko była łaźnia, z ogniem, na którym grzały się wiadra wody, ale ludzie

poczytywali sobie za punkt honoru i powód do dumy, by ich dowódcy wspólnie z nimi

rzucali wyzwanie lodowatej kąpeli. Uśmiechnął się na myśl o przeobrażeniu, jakie się dzięki niemu dokonało w szeregach przydrożnych straży. Nawet Labienus go chwalił

na swój sztywny sposób. Po miesiącach ćwiczeń i pozorowanych potyczek w

kohortach Seneki trudno było rozpoznać niezbornych żołnierzy spod Korfinium.

Brutus szkolił ich sumień-

Rozdział XI

137

nie i z wyrachowaniem. Wiedział, że tylko dzięki nim i ich sztuce walki pozostanie

przy życiu, kiedy Juliusz zjawi się w Grecji.

Nie włożył srebrnej zbroi. Wołał skórę i zwykłe żelazo. Jednym głośniejszym słowem

przywołał niewolnika, który mu przyniósł niezbędne rzeczy, i wyszedł na zewnątrz, w blade poranne słońce.

Leżące w oddali Dyrrachium było spowite w mgłę i obmywane, od zachodu, szarym

morzem. Brutus przechylił głowę, w ironicznym podziwieniu dla przemyślności

Labienusa kwaterującego gdzieś między tamtymi murami. Nie wątpił, że wydając

rozkaz, by ćwiczyć żołnierzy z dala od miasta, Labienus chciał pozbyć się człowieka, który przysparzał mu kłopotów.

Brutus ruszył nad rzekę i przystanął na brzegu, na wprost nacierającego się

energicznie nagiego Seneki. Młody dowódca wyszczerzył się wesoło, ale w tej samej

chwili obaj znieruchomieli. Pod miastem zrobił się jakiś ruch.

-1 któż to do nas dołącza? - mruknął pod nosem Brutus. Plama poruszających się

mężczyzn była za daleko, by rozróżnić szczegóły, i Brutus postanowił szybko wskoczyć do wody i wyszorować się na ich przyjęcie.

Kiedy przez obóz poniósł się jęk rogów i drewniane budynki zatrzęsły się od nagłego zgiełku żołnierzy chwytających za broń, Seneka wiązał na sobie rzemienie i paski,

lśniące od oliwy, a Brutus stał pośrodku rzeki i podejmował bohaterskie próby

zanurkowania pod powierzchnię. Zimno było paralizujące. Kąpiel nie trwała długo.

Wyskoczył na brzeg, ciężko dysząc, wytarł się i czym prędzej ubrał.

- Miałem jeszcze trzy dni na złożenie meldunków - powiedział do Seneki. Nie zdradził

się ze strachem, że Pompejusz mógł się dowiedzieć o jego spotkaniach z Julią. Był

pewny, że Julia go nie wydała, lecz Labienus mógł mieć szpiegów, o których nie

wiedział, a którzy obserwowali ją tak samo jak jego. Potrząsnął głową. Po co wysłać po niego kolumnę, zamiast zastawić pułapkę, gdy będzie składał meldunki?

Brutus i Seneka przyglądali się pochodowi żołnierzy nadciągającemu z Dyrrachium,

wymieniając krótkie, zdumione spojrzenia i pytając się w duchu, czy na ich

sumieniach nie ciąży jakieś przestępstwo. Kohorty, którymi dowodzili, stały w

idealnym porządku

138

Imperator

i Brutus był dumny z wyglądu swoich ludzi. Tamte dni, kiedy potrafili zareagować na zaledwie kilka sygnałów rogu, dawno poszły w niepamięć. Byli zdyscyplinowani i tak

twardzi i to on tego dokonał.

Szeregi prowadził sam Labienus. Jechał na czarnym koniu, Brutus rozpoznał go z

daleka. Zadrżał na widok zastępcy Pompeju-sza przybywającego, by zobaczyć się z

nim osobiście. Nie wróżyło to dobrze i teraz pożałował, że nie włożył w ten dzień

srebrnej zbroi.

Labienuś ściągnął wodze nie dalej niż o krok od oczekujących go dwóch sztywno wyprostowanych postaci. Centurionowie wydali rozkaz do zatrzymania i kolumna stanęła frontem do nich. Labienus zsiadł z konia ostrożnie jak zwykle i Brutus po raz nie wiadomo który odnotował w myślach opanowanie tego człowieka. Bitwy wygrane przez Labienusa były zwycięstwem dyscypliny i właściwego gospodarowania ludźmi. Nigdy nie tracił żołnierzy w bezcelowych akcjach, i to on, nie kto inny, szczylił się największymi dokonaniami w Grecji. Brutus nie cierpiał jego chłodnej powściągliwości. Nie zaprzeczyłby jednak, że zna się na taktyce.

- Wodzu Brutusie - przemówił Labienus, skłaniając głowę w pozdrowieniu.

Choć ten tytuł oficjalnie nadal był w użyciu, Labienus, najwyraźniej z zamierzoną ironią, błysnął spojrzeniem w stronę jego szczupłych sił. Brutus pozwolił, by cisza się przeciągnęła, tak by Labienus poczuł się nieswojo. W końcu pozdrowił go jego własnym tytułem i napięcie zelżało.

- Pompejusz oddaje tych ludzi pod twoje rozkazy, wodzu - ciągnął Labienus.

Brutus skrył radość pod formalną odpowiedzią.

- Doceniam twoją rekomendację. Przyjmij moje podziękowania.

Labienuś lekko poczerwieniał. Zaczął mówić, jak zwykle ostrożnie dobierając słowa i wiedząc, że jawne wyrażenie nieufności doprowadziłoby do honorowego pojedynku, którego być może by nie wygrał.

- To nie moja rekomendacja, z czego, jak wiem, zdajesz sobie sprawę. Pompejusz ma innych doradców. Zdaje się, że przypomniał sobie o twoich Wyborowych i twoich sukcesach w Galii. Po

Rozdział XI

139

pierwszej bitwie będziesz dowodził tymi ludźmi jako siłą wspierającą braki w szeregach tak, jak uznasz za stosowne.

- Po pierwszej bitwie? Dopiero po niej? - spytał dociekliwie Brutus, choć nietrudno mu było odgadnąć całą resztę.

Labienus wyciągnął spod płaszcza zwój pergaminu naznaczony pieczęcią Pompejusza.

Podał go Brutusowi i z ledwo skrywaną satysfakcją mówił dalej.

- Podczas pierwszego zwarcia z wrogiem twoi ludzie staną w pierwszym szeregu.

Taki jest rozkaz Pompejusza. - Zawahał się. Szukał odpowiednich słów. - To znaczy,

Pompejusz ma nadzieję, że przeżyjesz ten pierwszy atak, że będzie mógł w pełni

wykorzystać twoje zdolności w dalszych stadiach wojny.

-Jestem pewien, że powiedział właśnie tak - chłodno odrzekł Brutus.

Był ciekaw, czy rada dotycząca wykorzystania jego zdolności pochodzi z domu

Pompejusza. Julia obiecała wpłynąć na męża. Nikt inny by za nim nie przemówił.

Pompejusz wciąż się miotał między pragnieniem posiadania w swoich szeregach

niezwykle zdolnego wodza a ciągłym strachem, że Brutus mógłby się okazać

szpiegiem największego wroga. Jedno słówko Julii, szepnięte w porę do ucha męża,

wystarczyło być może, by wygrał swoją małą prywatną bitwę.

Labienus obserwował jego twarz z mieszanymi uczuciami. Uznał, że wódz z Galii jest

człowiekiem niezdecydowanym. W ćwiczeniach z greckimi legionami wykazał się

niezwykłą znajomością terenu i ludzi. Choć bywał arogancki, a czasami zachowywał

się w sposób lekceważący czy otwarcie zuchwały. Podobnie jak Pompejusz, Labienus

nie chciał zmarnować człowieka, który miał za sobą więcej lat bitewnego

doświadczenia niż którykolwiek z trzech wodzów w armii Pompejusza. Taki człowiek

mógł odegrać zasadniczą rolę w otwartym ostatecznym ataku Cezara. Gdyby tylko

mogli mu zaufać.

- Nie skorzystam z chwili odpoczynku - powiedział, jak gdyby mu coś takiego

proponowano. - Fortyfikacje są dalekie od ukończenia.

Brutus podniósł oczy na wzmiankę o tym, na co nie miał wpływu. Na rozkaz

Pompejusza rozpoczęto wznoszenie górskich straż-

140

Imperator

nic i murów rozciągających się na mile wokół Dyrrachium. To, jak nic innego, pokazywało, że Pompejusz czuje przed Juliuszem wielki respekt, i być może dawało temu starcowi poczucie bezpieczeństwa, lecz Brutus pogardzał samym pomysłem. Przygotowywanie pozycji obronnych, zanim w ogóle wróg przybył, nie dodawało otuchy ludziom. Co gorzej, Brutus uważał, że świadomość możliwości odwrotu na bezpieczne pozycje nadwątlą odwagę w każdej bitwie.

-Miejmy nadzieję, że nie będą potrzebne, Labienusie - rzucił bardziej szorstko, niż zamierzał. - Kiedy Cezar przybędzie, być może zdołamy pobić jego armię, nie ukrywając się za nimi.

Chłodne oczy Labienusa stwardniały. Poczul się obrażony. Nie wiedział, czy zareagować na obrazę czy nie.

- Rzekłeś - skwitował w końcu krótko i dał znak swoim strażom, by odłączyły się od kolumny i odprowadziły go do miasta. Reszta, targana wiatrem, stała obojętnie na brzegu rzeki.

Brutus był wystarczająco zadowolony, by przestać prowadzić swoją grę. Oddał honory Labienusowi. Zauważył ulgę na twarzy dowódcy, kiedy ten odwzajemniał gest.

- Powiedz Pompejuszowi, że będę posłuszny jego rozkazom. Że mu dziękuję za tych ludzi - powiedział.

Labienus wskoczył w siodło. Skinął głową. Spojrzał twardo w oczy Brutusa. Chyba mu się zdawało, że intensywnością spojrzenia wymusi na nim lojalność. W końcu nawrócił koniem i odjechał sztywno do miasta.

Galery przybiły do nabrzeży, przerzucono pomosty z osęków i legiony Juliusza

znalazły się na brzegu. Statki kotwiczące w porcie zostały zaklinowane, nim zdążyły uciec, i wielu skoczyło na grecką ziemię prosto z ich pokładów, z zimną krwią

zabijając załogi i ruszając dalej.

Orikum, senne portowe miasto, doznało gwałtownego przebudzenia. Kwaterowało w

nim tysiąc legionistów i to właśnie ich należało obezwładnić najpierw. Niektórzy

zdążyli rozpaść ogniska z surowych gałęzi i smugi dymu popłynęły w niebo,

sygnalizując niebezpieczeństwo. Dopóki legiony nie rozeznały się w terenie i nie zajęły pozycji, Juliusz nie pozwolił swoim ludziom na żadną litość i pierwszy tysiąc został

wycięty w pień, na ulicach.

Rozdział XI

141

Trzy galery, które wypatrzyły o brzasku ich flotę, nie próbowały dostać się na ląd, lecz wzięły kurs na północ, niosąc wieść o inwazji. Juliusz wiedział, że aby zyskać jak

największą przewagę, trzeba atakować z nagłą. Gdyby miał więcej ludzi, oczekujących w Brundyzjum na przeprawę przez morze, mógłby liczyć na zabezpieczenie portu i

jego okolic. Ale rzucił na wybrzeże wszystkie swoje siły i teraz musiał mieć swobodę ruchu. Irytował go każdy moment zwłoki, spowodowany wyładowywaniem z galer

ciężkiego sprzętu. Na razie, od strony morza, nic mu nie zagrażało. Za jego plecami nie mogła łatwo przybić do brzegu żadna inna siła, gdyż wejście do portu było

zamknięte. Kiedy ostatnie balisty i potężne skorpiony wydzwignięto na brzeg, kazał

zatopić wszystkie galery.

Nim słońce stanęło w zenicie, weterani byli gotowi do marszu w głąb lądu. Oczekujące na rozkaz kolumny stały w idealnie równych szeregach, w kłębach dymu znad

portowego miasta. Juliusz popatrzył z dumą na swoich ludzi i opuścił ramię, dając

znak rogom.

Do czasu, nim pojawiły się na horyzoncie pierwsze legiony Pompejusza, w pełnym

szyku bojowym, ulice zdążyły ustąpić mizernym polom. Galijscy weterani, nie

ociągając się, ryknęli głośnym wyzwaniem. Kto mógł zgadnąć, czym zabijają ich serca na widok wroga w postaci rzymskich legionów? Kiedy legionieści obserwowali maszerującą w oddali armię, Juliusz zobaczył w ich oczach dziką ciekawość. Bracia wilki mogli rozedrzeć jeden drugiego na kawałki, mimo wspólnoty krwi.

Ten, kto dowodził pięcioma tysiącami żołnierzy, najwyraźniej nie skorzystał z okoliczności, by dać się zmieść z powierzchni ziemi tak przytłaczającej sile. Na oczach Juliusza ocieężała kolumna zmieniła kierunek i ruszyła na północ. Juliusz roześmiał się w głos na myśl o zamieszaniu w tamtych szeregach. Nie spodziewali się go, a teraz

było za późno. Klepnął konia po szyi, płonąc entuzjazmem i rozglądając się po kraju, którego nie widział od paru dziesięcioleci.

Krajobraz był zimowy, z powykręcanyimi konarami bezlistnych drzew i wątłą trawą kurczowo trzymającą się podłoża. Skalistą ziemię pokrywał suchy kurz, tak jak dawno temu, podczas bitwy z Mitry-datesem. Nawet powietrze pachniało trochę inaczej niż

w Rzymie czy w Galii. To był surowy ład, na którym życie rodziło się z tru-

142

Imperator

dem. To było dobre miejsce na wojnę. Omiatając spojrzeniem kolorowe linie swoich legionów, Juliusz pomyślał o Aleksandrze, który był tu przed nim, i na tę myśl wyprostował się w siodle.

Jechał wzdłuż milczących szeregów na płochliwym, tańczącym nerwowo wałachu.

Jeden po drugim, każdy pozdrawiał wodza. Niektórych, takich jak Oktawian,

Domicjusz, Cyron i Regulus, znał od lat. Inni sprawdzili się w Galii i tych nagradzał po zdradzie Brutusa. To dobrzy ludzie, pomyślał, nabierając jeszcze większej pewności

siebie. Wydawało się snem, raz jeszcze postawić stopę na greckiej ziemi, która stała przed nimi otworem. Znow był w swoim żywiole i wszystkie przyprawiające o mdłości

podstępny rozpolitykowanego Rzymu mógł zostawić za sobą. Proporce łopotały,

targane zimowym wiatrem, ale wiatr nie studził w nim zapału i nie umniejszał

przyjemności, jaką odczuwał, znalazłszy się wreszcie w zasięgu swego wroga.

Pompejusz dowodził prawie dwa razy większą siłą i miał tę przewagę, że walczył na lądzie, który jego ludzie znali i zdążyli odpowiednio przygotować. Niech zatem przyjdą, pomyślał Juliusz. Niech spróbują przyjść.

ROZDZIAŁ XII

Pompejusz, ciasno splótłszy dłonie za plecami, chodził tam i z powrotem środkiem świątyni, swego głównego punktu dowodzenia. Wszystkie inne dźwięki wyciszono i ze ścian odpowiadało echo podkutych sandałów, jak gdyby jego kroki przedrzeźniał jakiś niewidoczny wróg.

- A więc on jest wśród nas - powiedział. - Wbrew chełpliwym obietnicom moich dowódców prześliznął się między nimi i pozbawił mnie władzy nad Orikum. Uderza w środek wybrzeża i nie napotyka niczego poza symbolicznym oporem! Powiedz mi, powiedz raz jeszcze, jak to jest możliwe!

Ostatnie kroki zaprowadziły go przed stojącego u wejścia do świątyni Labienusa. Jego twarz była jak zawsze nieprzenikniona, ale on sam szukał sposobu na złagodzenie gniewu wodza.

- Trudno się było spodziewać, że przekroczy morze zimą, panie. To prawda, skorzystał z długotrwałych ciemności potrzebnych do ominięcia floty, ale ląd jest jałowy.

Pompejusz wskazał gestem, by mówił dalej; w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania. Labienus odchrząknął.

- Zaryzykował wiele, aby bezpiecznie przybić do lądu, panie. Dopóki nie dojrzeją wiosenne zboża, jego ludzie, jego zwierzęta juczne muszą przeżyć tylko na zapasach.

W najlepszym razie mogą mieć ze sobą dwutygodniowe racje suchego mięsa i mąki.

Potem osłabną. Taka decyzja mogła być powodowana jedynie rozpaczą, panie. Będzie tego żałował. Będzie, panie.

Imperator

Wydawało się, że oczy Pompejusza na nowo zapłonęły furją.

- Ile jeszcze razy usłyszę, że się przeliczył? Moi doradcy mi mówią, że powinien być martwy od dawna, a on nic, tylko idzie dalej, czy tak? Ten człowiek ma niesamowite

szczęście, Labienusie.

- Panie, my znamy jego możliwości. Rozkazałem naszej flocie zamknąć wybrzeże na

jego tyłach. Nie będzie zaopatrywany przez morze. Nieważne, ile ma szczęścia, i tak nie nakarmi siedmiu legionów ziarnem, którego nie ma. Możliwe, że gdyby miał

chwilę spokoju, najechałby miasta i okradł je z żywności, ale w sytuacji, kiedy

będziemy nękać jego skrzydła, będzie dowodził powoli umierającymi z głodu ludźmi.

- Och, będę tam, Labienusie. Zbierz legiony, niech się sposobią do drogi. Nie pozwolę, by panoszył się w Grecji, jakby była jego!

- Tak, panie! - odpowiedział szybko Labienus. Po godzinie znoszenia cudzych

humorów ucieszyłby go każdy rozkaz. Oddał honory i odwrócił się, by odejść, lecz

napięty głos Pompejusza wbił się w ciszę świątyni raz jeszcze.

- Upewnij się, że Brutus będzie widziany przez wszystkich, którzy idą za Cezarem.

Albo udowodni swoją lojalność, albo zginie.

Labienus skinął głową.

- Mój legion nie odstąpi go ani na chwilę, panie. Ludzie, którym ufam, powstrzymają go w razie zdrady. - Wyszedłby, już nie zatrzymywany, ale musiał powiedzieć, co go

dręczy. - Byłoby łatwiej, panie, gdyby miał ze sobą tylko te swoje kohorty z Korfinium.

Dodatkowy tysiąc, który mu dałeś, będzie stanowić przeszkodę, jeżeli zwróci się

przeciw tobie.

Pompejusz spojrział w bok. Irytowały go chłodne, taksujące oczy wodza greckich

legionów.

-Jeżeli natomiast uszanuje złożoną mi przysięgę, odegra zasadniczą rolę w nadchodzącym konflikcie. Nakładając wędzidła człowiekowi, który najlepiej ze wszystkich zna taktykę Cezara, okazałbym się głupcem. To ostateczna decyzja. Labienus wyszedł, lecz wciąż nurtowało go pytanie, kto wywiera wpływ na Pompejusza. Możliwe, że był to jakiś głos z wygnańczego senatu, który swego czasu rościł sobie tak wiele pretensji do rządzenia. Chociaż czuł się niezręcznie, już tylko dopuszczając do siebie tak nielojalne myśli, nie darzył wielkim szacunkiem wiecznie

145

kłócących się starców, których Pompejusz sprowadził ze sobą z Rzymu. Pocieszał się jedynie, że poważa senatorów za ich pozycję, choćby nie wiem jak nie lubił każdego z osobna. Siedem z jedenastu legionów, którymi dowodził Pompejusz, rozłożyło się obozem wokół Dyrrachium. Główne siły spotkają i wchłoną mniejsze, maszerujące na południe, by przeciwstawić się inwazji. Po przybyciu na miejsce Labienus zobaczył uśmiechnięte twarze i był pewien, że dał Pompejuszowi dobrą radę. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi, zgromadzonych w jednym miejscu, to była największa armia, jaką kiedykolwiek widział. Najdokładniejsze meldunki o legionach Cezara szacowały jego siły na nie więcej niż dwadzieścia dwa tysiące. Labienus był zdania, że Pompejusz żywi za dużo respektu dla pyszałka, który przywłaszczył sobie senat Rzymu. To, że legiony z Galii tworzyli weterani, było poza dyskusją, ale weteran może być podziurawiony włóczniami równie dobrze jak każdy inny żołnierz.

Gdzieś niedaleko Labienus usłyszał ryczenie białego byka, zarzynanego przez wróżbitów. Zobaczy przepowiednię przed Pompejuszem i w razie potrzeby ją odmieni. Stojąc w słońcu, swoim zwyczajem nerwowo pocierał kciukiem czubek rękojeści miecza, polerując go. Nie wyobrażał sobie, że Pompejusz będzie tak wstrząśnięty lądowaniem Cezara w Orikum. Nie może być więcej złych wieści, które

by zachwiał jego pewnością siebie.

Labienus patrzył na zbliżających się posłańców, którzy mieli zanieść jego rozkazy legionom.

- Maszerujemy-powiedział im bez ogródek, myślami już przy nadchodzącej kampanii.

- Dajcie rozkaz do zwijania obozu. Wódz Brutus uformuje strażę przednie, z moim Czwartym na swoich tyłach.

Posłańcy rozproszyli się po drogach wokół miasta, konkurując

o pierwszeństwo w dostarczeniu wieści. Labienus zaciągnął się zimowym powietrzem. Był ciekaw, czy nadarzy mu się sposobność

1 zobaczy twarz wroga, który zachwiał pewnością siebie Pompejusza. Wzruszył

ramionami. Cezar, z tą swoją ambicją, pożałuje przybycia do Grecji. Oni, tutaj, nie zapomnieli rządów prawa.

Julia bawiła się z synkiem, kiedy Pompejusz, po długich naradach, wrócił wreszcie do domu i głośno żądał od sług, by się nim

146

Imperator

zajęto. Pogodny nastrój prysł w jednej chwili. Julia skrzywiła się, słysząc ostry ton męża, a dziecko na jej kolanie, naśladując ją, pociesznie odęło policzki. Chłopiec z wyglądu był miniaturką ojca i Julia nieraz się zastanawiała, czy w przyszłości

odziedziczy jego chmurne usposobienie. Brzęk roztrącanych naczyń świadczył

wyraźnie, że Pompejusz toruje sobie drogę przez główne pomieszczenia, prosto do

niej. Żądał, by mu podano najlepszą zbroję i miecz, słyszała każde słowo. Wiedziała, że ojciec przybył do Grecji. Poderwała się, z bijącym sercem.

- A więc tu jesteś! - powitał ją Pompejusz, wychodząc do ogrodu. Przystanął, by pocałować ją w czoło, co zniosła ze skąpym uśmiechem.

Ich mały synek wyciągnął rączki, ale ojciec go nie zauważył.

- Nadszedł czas, Julio. Będę odjeżdżał i chcę, byś przeniosła się w bezpieczniejsze miejsce.

- On jest tutaj? W Grecji?

Pompejusz ściągnął brwi i zajrzał jej w oczy.

- Tak. Twój ojciec przebił się przez moją flotę.

- Pokonasz go - powiedziała i nieoczekiwanie mocno pocałowała męża prosto w usta.

Pompejusz poczerwieniał, przyjemnie zaskoczony.

- Pokonam - powiedział z uśmiechem. Serce kobiety zawsze było dla niego tajemnicą, ale jego żona przeszła na jego stronę bezboleśnie i bez kłótni. Była właściwą matką dla jego syna.

- A Brutus? Wykorzystasz jego obecność?

- Gdy tylko będę go pewny, dam mu wolną rękę i niech sieje zniszczenie, gdzie może.

Miałaś rację co do jego Wyborowych, Julio. Ten człowiek działa najlepiej, kiedy nie jest za mocno uwiązany do łańcucha rozkazów. Dałem mu dwie inne kohorty.

Julia postawiła synka na ziemię i lekko odsunęła od siebie. Przytuliła się do męża.

Objęła go namiętnie i wsunęła dłoń za tunikę, do męzowskich pachwin. Pompejusz podskoczył, śmiejąc się.

- Bogowie, ja nie mam czasu! - Uniósł jej dłoń do ust i dodał: -Zrobiłaś się jeszcze piękniejsza, żono. Greckie powietrze dobrze ci służy.

- Ty mi dobrze służysz - odrzekła.

Mimo zmartwień Pompejusz wyglądał na zadowolonego.

Rozdział XII

147

- A teraz każ niewolnikom zebrać wszystko, czego potrzebujesz.

- Czy nie jestem tu bezpieczna? - spytała, blednąc lekko. - Nie chcę się przeprowadzać do obcego miejsca, nie teraz.

Pompejusz zamrugnął, nie rozumiejąc żony. Zaczynał się niecierpliwić.

- O czym ty mówisz?

Julia zmusiła się, by sięgnąć po jego dłoń.

- Zostaniesz ojcem powtórnie, Pompejuszu. Nie chcę ryzykować utraty dziecka.

Pompejusz, chłonąc jej słowa i rozważając je w myślach, zmieniał się powoli na twarzy. Spojrzał z ukosa na figurę żony.

- Hmm, nic nie widać.

- Jeszcze nie, ale będzie, a ty wtedy będziesz w polu, może przez miesiące.

Potaknął, podejmując szybką decyzję.

- Doskonale. W końcu miasto leży daleko od działań wojennych. Szkoda, że nie potrafię przekonać senatu, by został z tobą, ale ci starcy zawsze wiedzą swoje i koniecznie chcą towarzyszyć legionom.

- Nie zapominaj, że potrzebujesz ich wsparcia, przynajmniej chwilowo - powiedziała Julia, widząc, że już sama myśl o kwestionowaniu przez senat każdego jego rozkazu wystarczyła, by umniejszyć mu radość z radoszej wieści.

Podniósł na nią rozdrażnione oczy.

- Wierz mi, Julio, to wysoka cena. Ale w sytuacji, kiedy twój ojciec został jeszcze raz obrany konsulem, chcę czy nie chcę, muszę się liczyć z wolą tych głupców. A oni

wiedzą, że ich potrzebuję, i w tym cały kłopot. - Westchnął. - No, przynajmniej

będziesz miała za towarzystwo ich rodziny. Zostawię jeszcze jedną centurię, byś była bezpieczna. Obiecuj, że w razie niebezpieczeństwa wyjedziesz z miasta. Jesteś dla

mnie zbyt cenna i nie chcę słyszeć o żadnym ryzyku.

Pocałowała go znów.

- Obiecuję.

Pompejusz wreszcie spojrzał na syna. Czule zwichrzył mu włosy. Ale kiedy szedł przez dom, wydając nowe rozkazy strażom

148

Imperator

i niewolnikom, jego głos zabrzmiał poprzednim ostrym tonem. Po chwili już go nie

było i w domu na powrót zapanował senny spokój.

- Będę miał braciszka? - spytał piskliwie jej mały synek, wyciągając ramiona, by go podniosła.

Julia uśmiechnęła się, myśląc o minie Brutusa, kiedy mu o tym powie.

- Będziesz miał, skarbie.

Stała pośród zimowego ogrodu, w zimowym słońcu, z chłodem w oczach. Dokonała wyboru. Świadomość tego, że Brutus jest gotów zdradzić Pompejusza, okazała się brzemieniem trudnym do udźwignięcia. Po części bolała nad własną zdradą, ale miłość do ojca i kochanka niewiele zostawiała w jej sercu lojalności wobec męża.

- Panie, naprawdę mamy mało czasu - powiedział Swetoniusz. Cynceron poszedł za nim spojrzeniem i zacisnął usta.

- Dopóki nie każesz mi wywlec za karki tych najszlachetniejszych Rzymian, niewiele jest do zrobienia poza czekaniem.

W ciągu ostatniej godziny zuchwała pewność siebie Swetoniusza ustąpiła miejsca irytacji; nic nie posuwało się do przodu i sam Cynceron, widząc wlewającą się do sali kolejną falę niewolników, był szczerze zdziwiony, jak wiele skrzyń i pakunków

wymagała przeprowadzka senatu. Już sobie wyobrażał zniecierpliwienie Pompejusza.

Poniżej stojącej na podwyższeniu pary mężczyzn wybuchła nowa kłótnia.

- Chyba powinienem zejść do nich - powiedział niechętnie Swetoniusz.

Cynceron zastanawiał się w duchu, co by z tego wynikło. Przynajmniej byłoby zabawnie, pomyślał. W gruncie rzeczy nie darzył senatora szczególną sympatią i nie uważał, by dojrzałość dodała mu rozumu. Swetoniusz jednak był ogniwem w militarnej machinie Pompejusza i jeżeli senat miał zachować jakikolwiek wpływ podczas kampanii, to, na bogów, należało zabiegać o jego względy.

- Oni nie są w nastroju do słuchania rozkazów, Swetoniuszu, nawet gdyby sam Pompejusz był tutaj. Lepiej poczekajmy na zewnątrz.

Jeszcze raz spojrzeli na dół, szukając czegoś, co by potwierdziło, że chaos się zmniejsza. Setki niewolników nosiły dokumenty i przybory do pisania długim, zdającym się nie mieć końca węzłem. Swetoniusz mocniej zacisnął dłoń na poręczu, niezdolny ukryć irytację.

- Może mógłbyś im uświadomić wagę sprawy - warknął.

- Wagę, mój senatorze? Pompejusz dał dość jasno do zrozumienia, że jesteśmy tylko niepotrzebnym ciężarem. Jeżeli nie przywiązuje żadnej wagi do naszej obecności, to co go obchodzą nasze lżejsze czy cięższe skrzynie?

Swetoniusz miał dość tego wszystkiego. Poniechał zwykłej ostrożności.

- Może faktycznie byłoby lepiej, gdyby tu zostali. Jaki z nich pożytek na polu walki?

Cyceron pozieleniał. Mierząc Swetoniusza wściekłym spojrzeniem, wycedził:

- My, senat, mieliśmy sprawować rządy na wygnaniu, młody człowieku, i niech nikt nie próbuje nam odbierać decydującego głosu. Bez nas Pompejusz nie ma prawa toczyć wojny w imieniu Rzymu. Nie jest bardziej uprawniony niż Cezar, a być może nawet mniej. - Wysunął głowę do przodu. Jego oczy, pod krzaczastymi brwiami, płonęły wściekłością. - Tu, w tym miejscu, pozbawieni wygod i szacunku przetrwaliśmy cały rok, Swetoniuszu. Nasze rodziny głośno domagają się powrotu do domu, ale my im powiadamy: wytrwajcie. Wytrwajcie do czasu, aż zostanie odbudowany prawny porządek. Sądziłeś, że nie będziemy uczestniczyć w kampanii? -

Kiwnął głową w stronę krzątających. - Tylko popatrz, tam znajdują się mężowie

rozumiejący najdelikatniejsze odcienie cywilizacji i noszący w sercach najszczytniejsze ideały, a te jeszcze nigdy nie potrafiły się oprzeć sandałowi żołnierza. Pośród nich są ci, którzy ustanawiają prawo, i są matematycy, i najzdolniejsi spośród wielkich rodów, umysły, Swetoniuszu, które muszą pracować dla mnie i dla ciebie, także dla ciebie,

kiedy stajemy twarzą w twarz z takim przeciwnikiem jak Cezar.

Swetoniusz nie dążył do konfrontacji z Cyncerem, ale gdyby to od niego zależało, zostawiłby senat, nie obejrzawszy się ani razu.

150

Imperator

- Może niech zdecyduje sam Pompejusz, panie. To zdolny wódz.

Cynceron parsknął zjadliwym śmiechem i Swetoniusz aż podskoczył.

- Nie bijemy się o to, by nas odesłał na skrzydła! Cezar dowodzi rzymskimi legionami.

Rzymskimi! Przejął władzę nad nowym senatem. Rzecz nie sprowadza się tylko do proporców i rogów; przed zakończeniem wojny trzeba będzie podjąć polityczne decyzje, to pewne. Pompejusz potrzebuje doradców, wie o tym czy nie.

- Być może, być może - potaknął Swetoniusz, chcąc go udobruchać, ale Cynceron nie dał się zbyć byle słowem.

- Czy twoja pycha jest aż tak wielka, że nawet nie próbujesz się spierać? - nacierał

dalej. - A co się stanie, według ciebie, w razie zwycięstwa Cezara? Kto wtedy będzie rządził? No, jak myślisz?

Swetoniusz zeszywniał i potrząsnął głową.

- Nie, panie, on nie może zwyciężyć. My mamy...

Cynceron nie dał mu dokończyć. Raz jeszcze parsknął zjadliwie.

- Moje córki są bardziej rozgarnięte, przysięgam. Podczas bitwy nic nie jest pewne, nic. Stawka jest za wysoka, by ot, tak sobie rzucić armie jedna na drugą i czekać, aż na polu zostanie ostatni żołnierz. Rzym stanąłby otworem i nic by nie powstrzymało

naszych wrogów przed radosnym wmaszerowaniem na forum. Rozumiesz? Któraś z

armii musi przeżyć, gdy skończy się to całe puszenie i te wszystkie przechwałki. -

Westchnął na widok pustej twarzy Swetoniusza. - Co przyniesie nam kolejny rok czy

rok po kolejnym? W razie zdecydowanego zwycięstwa nie będzie nikogo, kto

ograniczy władzę Pompejusza po tym, jak Cezar zginie. Jeżeli postanowi obwołać się królem czy nawet imperatorem, poniechać republiki swoich ojców, uderzyć na Afrykę... powtarzam, nie będzie nikogo, kto mu się przeciwstawi. Kiedy zatriumfuje Cezar, stanie się to samo i nasz świat bezwzględnie się zmieni i nastanie w nim nowy ład. W gruncie rzeczy chodzi nie o wynik tej bitwy, tylko o stabilność Rzymu po wojnie. Oto, kiedy będziemy potrzebni.

Swetoniusz milczał. Zdawało mu się, że słyszy strach w ostrzeżeniach Cyncerona, ale pogardzał troskami tego starca. Jeżeli zatriumfuje Pompejusz, on, Swetoniusz, będzie odczuwał jedynie radość, niechby nawet już tu, na polach Grecji skończyła się republika,

Rozdział XII

151

a zaczęło cesarstwo. Cezar ma mniejszą armię i wkrótce on i jego ludzie zrobią się głodni. Już sama sugestia, że Pompejusz mógłby przegrać, była obrazą. Nie mógł się na koniec oprzeć złośliwej uwadze.

- Być może twój nowy porządek będzie potrzebował świeżej krwi, senatorze.
 - Tam, gdzie nie staje mądrości i ochoty do dyskusji, liczymy na pomoc bogów -
- odpowiedział Cynceron, niezachwiany w swych przekonaniach.

Brutus i Seneka jechali obok siebie na czele mnóstwa legionów zaciemniających, na mile, zimowy krajobraz Grecji. Seneka milczał, przynajmniej raz, i Brutus podejrzewał, że rozmyśla nad rozkazami Labienusa i nad tym, co oznaczają. Choć teoretycznie prowadzenie wielkiej armii było zaszczytem, tych dwóch poddawano próbie lojalności i obaj wiedzieli, że po pierwszym ataku na polu walki mogą zostać ich trupy.

- Przynajmniej nie musimy deptać po łajnie, jak cała reszta - zauważył Brutus, spoglądając przez ramię.

Seneka zmusił się do uśmiechu. Legiony, jeden od drugiego, oddzielały tysiące zwierząt i wozów i prawdą było, że ci bardziej z tyłu musieli maszerować co najmniej nieciekawą drogą.

Gdzieś z przodu znajdowały się legiony, które wyszły na brzeg w Orikum i które prowadził wódz o imieniu brzmiącym dla armii jak symbol zwycięstwa. Swego czasu wszyscy śledzili meldunki z Galii i teraz, mimo że ich siły były liczniejsze, przeczuwali, że nadchodząca bitwa zasłynie z okrucieństwa.

- Myślę, że Pompejusz wysłał nas na zatracenie - powiedział Seneka, trochę zbyt spokojnie jak na wyczucie Brutusa. Czując na sobie spojrzenie wodza, młody człowiek wzruszył ramionami. - Gdy pomyślę, jak daleko zaszedłem od Korfinium, wołałbym nie pójść na rzeź w pierwszych minutach walki, i tylko po to, by wypróbować twoją lojalność.

Brutus spojrział w bok. Myślał to samo i wciąż się zastanawiał nad znalezieniem jakiegoś rozwiązania. Czwarty legion Labienusa maszerował tuż za jego kohortami, a rozkazy były jasne aż do bólu. Jakakolwiek inna interpretacja groziła natychmiastową zagładą ze

152

Imperator

strony ich własnych tyłów. Chociaż to wywołałoby zamieszanie podczas pierwszego ataku Pompejusza, Brutus wiedział, że Labienus jest zdolny do tak bezwzględnych działań, i jedyne, co mu pozostawało, to nie patrzeć za siebie i nie widzieć, że wódz go obserwuje. Czuł na sobie jego oczy nieprzerwanie, tak samo jak w Dyrrachium.

Zaczynał tracić nerwy.

-Wątpię, czy nasz ukochany przywódca zarządzi bezpośredni atak na wroga -

powiedział w końcu. - Wie, że Juliusz będzie planował i spiskował na różne sposoby i darzy go zbyt dużym respektem, by rzucić się na niego zaraz na początku. Juliusz... -

Przerwał i potrząsnął głową w złości. - Cezar prawdopodobnie zastawi pułapki, najeży grunt kolcami, wykopie doły i ukryje swoje skrzydła, gdzie tylko się da. Pompejusz nie da się w to wciągnąć. Obojętne kiedy i gdzie ich spotkamy, tam będzie zasadzka,

zapewniam cię.

- Zatem my dwaj będziemy ludźmi, których śmierć ją odkryje - przesądził ponuro Seneka.

Brutus parsknął.

- Czasami zapominam, że brakuje ci doświadczenia, co zresztą jest komplementem.

Pompejusz zajmie pozycje gdzieś w pobliżu i pchnie naszych zwiadowców, by zbadali okolicę. Mając Labienusa za doradcę, nie wyśle nas tak długo, dopóki nie oczyści

przedpola dla wszystkich. Jestem gotów założyć się o własne życie, że Labienus już to zrobił. - Zaśmiał się, widząc, że duch w Senece wyraźnie rośnie. - Nasze legiony nie rzucały się szaleńczo do ataku od czasów Hannibala i tych jego słoni, Seneko. My

uczymy się na błędach, podczas gdy każdy nowy wróg mierzy się z nami po raz pierwszy.

Seneka uśmiechnął się niepewnie.

- No tak, ale mówimy o Cezarze. Ten zna Pompejusza jak nikt inny. Zna nas.

- Mnie nie - Brutus rzucił ostro. - Mnie nigdy nie znał. I my go złamiemy, Seneko.

Sądząc ze zbiegających knykci, Seneka ścisnął wodze zdecydowanie za mocno. Być może, pomyślał Brutus, jest tchórzem. Gdyby Reniusz był z nimi, warknąłby coś, co by natychmiast postawiło na nogi młodego dowódcę, lecz jemu brakowało potrzebnych słów.

Westchnął.

Rozdział XII

153

-Jeżeli chcesz, tuż przed pierwszym atakiem wyślę cię na tyły. Nie będzie w tym nic wstydliviego. Każę, byś zaniósł Pompejuszowi jakąś wiadomość. - Pomysł sam w

sobie był zabawny i Brutus bawił się dalej. - Coś w rodzaju: „Popatrz no tylko, co zrobiłeś, stary głupcze”. Co ty na to?

Seneka nie podchwycił żartu. Spojrzał na mężczyznę, który jechał obok niego tak

bardzo ufny w siebie.

- Nie. To są moi ludzie. Pójdę tam, dokąd oni pójdą. Brutus przechylił się na koniu i poklepał go po ramieniu.

- To była przyjemność, Seneko, służyć z tobą. A teraz przestań się martwić. Idziemy po zwycięstwo.

ROZDZIAŁ XIII

Włimo zbroi i grubego zimowego płaszcza, chroniącego go przed najsroższym

chłodem, Pompejusz marzył. Jedynie gorzki płyn, który wtewał w siebie bez umiaru,

rozpalał mu gardło i jelita. Ale też czynił słabym. Marsz przez płowe pola pokryte

zmarzniętymi grudami ziemi był zmuśny i powolny. W młodości potrafił lekceważyć

najgorsze tarapaty, rzecz nieuniknioną w prowadzeniu kampanii, ale teraz mógł

jedynie zacisnąć szczęki i nie dzwonić głośno zębami. Z nozdrzy jego konia unosił się podwójny pióropuszczyk, Pompejusz wyciągnął dłoń i w rozstępieniu poklepał

zwierzę po szyi. Jego myśli krążyły wokół armii, którą widział w oddali.

Nie mógłby marzyć o lepszym punkcie widokowym. Legiony Cezara stacjonowały

czterdzieści mil na wschód od Orikum, na skraju równiny otoczonej lasami.

Zwiadowcy Pompejusza dotarli na wierzchołek najbliższego wzniesienia i

zobaczywszy je, natychmiast wrócili z meldunkiem, do głównych sił. Brutusa i Senekę minęli bez jednego spojrzenia. Pompejusz wysunął się naprzód, aby potwierdzić

otrzymane wieści, i obserwował podejrzaną ciszę.

Ostre powietrze miało przynajmniej jedną zaletę - nie było zamglone, i chociaż siły Cezara znajdowały się w odległości jakichś dwóch mil, na tle karłowatej trawy rzucały się w oczy. Z daleka wyglądały na dość żałosne zagrożenie, niby wpięte w szary płaszcz ziemi dziecinne zapinki o metalicznym połysku. Stały cicho, podobne łatom lasów

pokrywających okoliczne stoki wzgórz, i Pompejusz zmarszczył czoło.

Rozdział XIII

- Co on właściwie robi? - mruknął między jednym a drugim szczęknięciem zębów.

Nawet by się cieszył ze znalezienia wroga na wyciągnięcie ręki, gdyby nie wrodzona

ostrożność. Juliusz nigdy nie ryzykował przeżycia, stawiając na zwykłe starcie wrogich armii. Równina, na którą przyprowadził swoje siły, doskonale nadawała się do ataku i Pompejusz wiedział, że jego jazda rozbiłaby w puch mniejsze oddziały wyborowych,

które Juliusz sprowadził ze sobą do Grecji. To było aż nadto kuszące i Pompejusz

potrząsnął głową.

- Ile legionów możesz się doliczyć, Labienusie? - spytał. - Tylko sześciu, panie - odparł

natychmiast Labienus. Minę miał

kwaśną i Pompejusz wiedział, że podziela jego wątpliwości.

- Więc gdzie jest siódmy? Co go tak zajmuje, gdy my tu stoimy i obserwujemy resztę?

Roześlij zwiadowców szeroką ławą. Chcę zlokalizować tamtych, zanim ruszymy.

Labienus wydał rozkaz i najszybsze konie z ich jazdy pogalopowały we wszystkich

kierunkach.

- Czy nas zobaczono? - spytał Pompejusz.

W odpowiedzi Labienus wskazał tam, gdzie ledwo widoczny jeździec kłusował wzdłuż

linii drzew, wytyczających granice doliny. Na ich oczach mężczyzna podniósł

proporzec i dał znak siłom Juliusza.

- Nie podoba mi się to - powiedział Pompejusz. - Z lasem nigdy nic nie wiadomo,

może coś kryje, może nie. Chociaż wygląda jak zasadzka, zastanawiam się, czy to w

nią mamy być wciągnięci.

- Masz dość ludzi, panie. Za twoim pozwoleniem wyślę legion, by tamtych sprawdzić...

powiedzmy, panie, kohorty pod wodzą Brutusa.

- Nie. Sam Brutus to za mało. Mogą ominąć pułapkę, jeżeli jest jedna, podejda za

blisko i stracimy ludzi, nic nie zyskując. A większej liczby kohort nie wyślę, dopóki nie będę lepiej poinformowany. Każ się ludziom odprężyć do czasu powrotu zwiadowców.

Niech dostaną gorący posiłek, ale niech będą gotowi na wszystko.

Pod koniec dnia wiatr przybrał na sile. Dyrrachium było daleko za nimi i Pompejusz wiedział, że jego ludzie są zmęczeni. Może byłoby lepiej, pomyślał, założyć na noc warowne obozy i dopiero o świcie ruszyć dalej. Podejrzewał, że jego ostrożność nie robi

156

Imperator

wrażenia na Labienusie, lecz on pamięta, jak Juliusz zebrał wokół siebie resztki

Pierworodnych i zrobił z nich tron słynnego Dziesiątego. Nawet ci, którzy Cezara

nienawidzili, potrafili się wznieść ponad nienawiść i docenić jego dar odnoszenia

sukcesów mimo wszelkich przeciwieństw. Jego rozliczne umiejętności były

wspominane w meldunkach i Pompejusz wiedział, że Cezar jest jednym z niewielu,

którzy panują nad bitwą od początku do końca. Galia czy wybrzeża Brytanii nie

upadły na własne życzenie. Jego ludzie są lojalni przede wszystkim wobec niego, nie wobec senatu i Rzymu. Kiedy żąda, by szli na śmierć, idą, bo żąda on. Ich wiara w

niego jest ślepa i możliwe, że to przez tę wiarę przyzwyczaili się do zwycięstw. Nie, on, Pompejusz, nie będzie się zdawał na opinię Labienusa, kogoś, kto nawet nie zna

Cezara. Nie będzie jeszcze jednym imieniem wpisanym na listę pobitych przez

Juliusza. Poczul w żołądku ukłucie bólu i przesunął się niespokojnie w siodle.

- Panie! Ależ oni ruszają na wschód! - zakrzyknął jeden ze zwiadowców i to samo

uświadomił sobie Pompejusz. W dziesięć uderzeń serca po tym, jak wrogie legiony

zaczęły się przemieszczać, doleciał do nich z wiatrem daleki jęk rogów.

- Co powiesz, wodzu? - mruknął Pompejusz.

- Może próbują wciągnąć nas głębiej - odrzekł powątpiewająco Labienus.

-Mnie też tak się zdaje. Niech zwiadowcy oplotą nas jak najszerszym łańcuchem,

kiedy ruszymy. Chcę, by cały czas jeden widział drugiego.

Labienus rzucił zatroskane spojrzenie w stronę otaczających ich lasów. Konary i

gałęzie nawet zimą tworzyły nieprzeniknioną gęstwę i to nie był teren nadający się do kontaktów wzrokowych.

- Za kilka godzin zrobi się ciemno, panie.

- Więc wykorzystaj te kilka - warknął Pompejusz. - Gdy nadejdzie noc, chcę, by czuli na karkach nasz oddech. Na razie niech się boją. Jutro będzie dość dnia, by zabić ich wszystkich.

Labienus oddał honory i odjechał wydać rozkazy. Legioniści, którzy już zaczęli zbijać się w gromadki w oczekiwaniu na posiłek, zostali poderwani na nogi przez

centurionów. Labienus wolał nie słyszeć mrukliwych narzekań, gdy przejeżdżał

między nimi, wioząc dowódcom słowo Pompejusza. Żołnierze uwielbiali krytyko-

Rozdział XIII

157

wać niewygodę żołnierskiego życia, wiedział dobrze, ale ci mieli za sobą lata

doświadczeń i ich narzekania brały się bardziej ze zwyczaju niż z realnej potrzeby. Od samego początku każdy wiedział, że zimowa kampania będzie próbą ich sprawności i

wytrzymałości. Spodziewał się, że nie zawiodą.

Kiedy wielka kolumna ruszyła do przodu, Brutus zawrócił i przejechał wzdłuż linii

zwiadowców. Jego srebrna zbroja przyciągała spojrzenia mijanych po drodze

dowódców. Lekko poczerwieniały z emocji zbliżył się do Pompejusza. Wódz na jego

widok usztywnił się jeszcze bardziej i zacisnął usta w białą kreskę na tle spalonej na brąz skóry.

Brutus stanął z nim koń w koń i oddał honory.

- Panie, moi ludzie są gotowi do ataku. Na twój rozkaz dam im wolną rękę.

- Wracaj na swoje pozycje, wodzu - odpowiedział Pompejusz, krzywiąc się z bólu

trawiącego jelita. - Nie zarządzę starcia na gruncie, który on miał czas przygotować.

Brutus nie zareagował na wyraźną odprawę.

- On się przemieszcza, panie, i to jest błąd. Nie miał czasu zastawić pułapek na całej równinie. - Wyraz twarzy Pompejusza się nie zmienił i Brutus mówił bardziej nagłaco.

- On zna nas obu, panie. Spodziewa się, że będziemy czekali i rozważali jego plany, nim uderzymy. Robiąc to teraz, możemy go dopaść i upuścić mu trochę krwi jeszcze

przed zapadnięciem nocy. Potem zarządzimy odwrót, ale zwycięstwo podniesie

morale naszych żołnierzy i zburzy jego pewność siebie.

Pompejusz, który najwyraźniej czekał na koniec tyrady, zrobił dłonią, w której trzymał wodze, lekki gest. Labienus zrozumiał sygnał. Podjechał do Brutusa.

- Dość, wodzu. Już dostałeś swoje rozkazy - powiedział.

Brutus spojrział na niego tylko raz, ale to wystarczyło, by Labienus zeszywniał, po czym ponownie oddał honory i odjechał do pierwszych szeregów.

Pompejusz zabębnił palcami po wysokim łęku siodła. Było jasne, że Brutus go

zirytował, Labienus nie przerwał ciszy, pozwalając wodzowi zagłębić się we własnych myślach.

Tymczasem marsz trwał. Zwiadowcy przynosili wieści co godzi-

158

Imperator

nę, aby w gęstniejącym mroku główne siły nie zeszły z właściwego kursu, ale zimowa

noc zapadała szybko i Pompejusz czekał z narastającym zniecierpliwieniem, by w

legionach wroga rogi zadęły na postój.

-Jeżeli zaraz się nie zatrzymają, spędzą noc pod gwiazdami -powiedział, nie mogąc

ukryć zdenerwowania. - Połowa z nich zamarźnie na śmierć.

Zmrużył oczy i wpatrzył się w cienie drzew w oddali, choć niczego nie było widać.

Wróg zniknął w mroku, lecz najbardziej wysunięci do przodu zwiadowcy wciąż

donosili o kontynuowaniu marszu. Pompejusz zacisnął szczęki z zimna. Zastanawiał

się, czy to jakaś kolejna próba sił. Możliwe, że Juliusz miał nadzieję ich zgubić albo po prostu zamęczyć, każąc maszerować przez wszystkie równiny Grecji.

- Może mają przygotowany obóz, panie - zauważył niewinnie Labienus.

Miał zdrętwiałe wargi i wiedział, że Pompejusz powinien dać ludziom odpocząć, inaczej zaczną zasypiać w marszu albo padać pod nogi towarzyszy. Wiedział, lecz tłumiał każdą oznakę rozdrażnienia, w sytuacji kiedy Pompejusz jechał dalej, albo obojętny na cierpienia tych, którzy go otaczali, albo niczego nieświadomy. Labienus wolał nie ryzykować gniewu wodza i nie podpowiadać mu żadnych rozwiązań, ale wiedział także, że jeżeli szybko nie rozbiją obozu, ryzykują utratę przewagi, na którą tak ciężko pracowali.

Dźwięk kopyt galopującego konia wyrwał obu mężczyzn z zamyślenia i kazał otrząsnąć się z zimna.

- Zatrzymali się, panie! - zameldował zwiadowca. - Część z nich jedzie prosto na nas.

Pompejusz podniósł głowę jak węszący pies.

- Co to znaczy, część?

Nawet w ostatnim szarym świetle Labienus zdołał zobaczyć, że zwiadowca z zimna ledwo trzyma się w siodle. Podjechał bliżej i wyjął wodze z zeszywniałych palców.

- Twój wódz, chłopcze, pyta o dokładną liczbę nadjeżdżających.

Zwiadowca zamrugał, przytomniejąc.

- Trzej jadą, panie. Z proporcem rozejmu.

Rozdział XIII

159

- Rozkaż wznieść warowny obóz, Labienusie - powiedział w końcu Pompejusz. - Do czasu, gdy przybędą, chcę, by nas otaczały wysokie mury. Nie ma wątpliwości, że po powrocie doniosą Cezarowi

o każdym szczególe. Wszystko ma być na swoim miejscu. - Przerwał i wyprostował

plecy, by ukryć własne cierpienie. - Przyślij mi medyka. Potrzebuję trochę tej jego kredy i mleka, by uspokoić żołądek.

Labienuś wysłał ludzi, by spełnili rozkaz. Zmęczona i zmarznięta armia pięćdziesięciu tysięcy w parę chwil rozbiła obwałowane obozy. Żołnierze mieli we krwi takie prace i Labienus ucieszył się, widząc, jak szybko kwartały namiotów nabierają kształtu, i

kiedy las rozbrzmiał znajomym hukiem toporów, powoli zaczął się odprężać. Na

miejscu Pompejusza, on, Labienus, podjąłby decyzję wcześniej. Nie narażałby ludzi na wypadki, a nie da się ich uniknąć, jeżeli noc zostanie żołnierzy przy pracy.

Trzej mężczyźni, których Cezar wysłał do Pompejusza na pertraktacje, niepokoiłi go o wiele bardziej. O czym tu można mówić na tak późnym etapie? Chyba nie o poddaniu,

nie w sytuacji, kiedy żadna ze stron nie wypuściła w powietrze nawet jednej

śmiercionośnej włóczni. Labienus, otoczony gęstniejącymi ciemnościami, wykrzywił

twarz. W końcu mógłby wysłać naprzeciw grupie kilku swoich jeźdźców i byłoby po

kłopotach. Nie bał się następstw. Gdyby dobrze ukryć ciała, Pompejusz pomyślałby, że Cezar, grając na zwłokę, chwytając się różnych sposobów. Labienus miał kilku zaufanych ludzi, którym mógłby powierzyć zabójstwo w ciemnościach. On i oni mieliby swoją

kolejną drobną tajemnicę, a wiedział z doświadczenia, że takie drobne tajemnice nie trzymają się długo ludzkiej pamięci.

Ewentualnie mógł też podsycać w Pompejuszu to coś, co uznawał za strach przed

wrogiem. Wyglądało na to, że pewność siebie, która tak mu imponowała podczas ich

pierwszych spotkań, opuściła rzymskiego wodza z chwilą wylądowania w Orikum

wojsk Cezara. Labienus widział, w jaki sposób Pompejusz przyciska dłoń do żołądka, i bał się, że choroba niszczy w nim coś więcej niż zdrowie. Pompejusz zestarzał się

wcześniej niż jego dowódca i wodzowie

I Labienus został obsadzony w roli zastępcy, która wykaczała poza wszystko, czego

się spodziewał.

160

Imperator

Już miał przywołać do siebie tych kilku, którym ufał, kiedy zameldował się jeden ze zwiadowców. Trzej jeźdźcy dotarli do mili wytyczającej granice obozów, gdzie przejęły ich straże. Labienus wyrzucił pięścią w łęk siodła, zirytowany, że przez własne

niezdecydowanie stracił szansę. Być może to w tym tkwi tajemnica geniuszu Cezara, pomyślał, uśmiechając się krzywo. Ci, którzy stawiali mu czoło, nigdy nie byli w stanie przewidzieć jego następnego posunięcia. Ciekawe, czy on sam okazałby się tak nieodporny na przeciwności losu, jak wydaje się Pompejusz. Labienus popatrzył na miasto namiotów i na żołnierzy, których przyprowadzili z północy, i nabrał otuchy. Pomysłowość Cezara mogła nie mieć granic, jednak nigdy jeszcze nie zmierzył się z siłą rzymskich legionów. Galia nie przygotowała go na ich gwałtowność.

Do czasu, nim trzej jeźdźcy wyłonili się z ciemności, obozy nabrały kształtu. Tysiące legionistów wykopało rowy i usypało ziemię do wysokości dwóch mężczyzn. Każde drzewo na przestrzeni paru mil wokół zostało ścięte i przepiłowane, zakołkowane i ściągnięte na miejsce. Zwały ziemi i darni, odporne na ogień i pociski wroga, wsparły drewniane słupy. W kilka godzin z niczego zbudowano fortece, przystanie bezpieczeństwa i ładu pośród dziczy. Pochodnie tkwiły w żelaznych obejmach, co parę kroków, i rozświetlały noc żółtym migotaniem. Labienus wciągnął w nozdrza zapach gotowanego mięsa. Zaburczało mu w brzuchu. Jego własne potrzeby miały być zaspokojone trochę później. Lekceważył sobie słabości własnego ciała.

Trzech jeźdźców wprowadzono w końcu do środka obozu. Nosili insygnia Dziesiątego legionu i zbroje centurionów. Juliusz wysłał do Pompejusza dojrzałych ludzi, zauważył w duchu Labienus. Zmuszono ich do przejścia przez obronne kręgi, z mieczami wymierzonymi w ich plecy, i teraz obserwował ich zmrużonymi oczami. Na jego rozkaz zabrano im konie, a ich samych sprawnie otoczono.

Labienus podszedł ku nim po zmarzniętej ziemi. Wymienili między sobą spojrzenia i ich przywódca przemówił pierwszy.

- Przychodzimy na rozkaz Gajusza Juliusza Cezara, konsula Rzymu - powiedział.

Wszyscy trzej stali prosto i pewnie, jak gdyby nie otaczał ich

pierścień ludzi przy pierwszym gwałtownym ruchu gotowych położyć każdego jednym ciosem.

-Jak na posłańca wydajesz się nieco pewny siebie, żołnierzu -odrzekł Labienus. -

Mów, co masz do powiedzenia. Stygnie mi kolacja.

Centurion potrząsnął głową.

- Mam przesłanie dla Pompejusza, Labienusie, nie dla ciebie. Labienus popatrzył na nich zirytowany do najwyższych granic.

Znali jego imię. Było godne zastanowienia, ilu szpiegów Cezar ma w Grecji. Powinien ich zabić, nim stanęli przed nim, pomyślał ponuro.

- Z bronią, przyjaciele, możecie nie dostać się przed oblicze wodza - powiedział.

Kiwnęli głowami. Pośród wycia wiatru i szaleńczego trzepotu najbliższych pochodni miecze i sztylety upadły do ich stóp.

- Rozbierzcie się do naga. Potem was ubierzemy w coś naszego.

Posłańcy nie stawiali oporu ani nie protestowali. Rozebrali się do naga i trzęsąc się, zaprezentowali Labienusowi pokryte sznurami blizn ciała. Było widać, że każdy

walczył przez lata. Mężczyzna, który przemówił, miał na skórze zbiór szczególnie

okazały. Labienus pomyślał, że ktoś taki mógł przeżyć jedynie dzięki najlepszym

uzdrowiaczom i że na jego życiu musiało Cezarowi szczególnie zależeć. Labienus

gotów był nawet przyznać, że trochę ich podziwia, za blizny i za to, że stoją bez

skrępowania, prostując plecy pod wiatr, niemniej ich buta działała mu na nerwy i już był bliski poddać każdego bardziej intymnym przeszukaniom, ale się rozmyślił.

Pompejusz czekał. Pewnie dziwił się zwłoce.

Niewolnicy przynieśli szorstkie wełniane okrycia, którymi centurionowie owinęli swoje, już siniejące ciała.

Labienus sprawdził ich sandały, szukając czegoś niezwykłego, a w końcu wzruszył

ramionami i cisnął je tamtym pod nogi.

- Odprowadźcie ich do obozu pierwszego, do namiotu dowódców - powiedział.

Popatrzył bacznie po trzech twarzach, lecz mężczyźni dali się otoczyć żołnierzom, nie zdradzając żadnych uczuć. Labienus wiedział, że jego kolacja może trochę poczekać.

Zżerała go ciekawość.

162

Imperator

Musiał się dowiedzieć, dlaczego Cezar przysłał tak wartościowych ludzi na całkiem nieważne spotkanie.

Obóz pierwszy, główne ogniwo w łańcuchu rozkazów, liczył jedenaście tysięcy żołnierzy i był otoczony czterema innymi podobnej wielkości. Z góry całość wyglądała jak czterolistna koniczyna. Trzy drogi przecinały serce obozu i kiedy Labienus szedł

wzdłuż via Principalis, ku dowódczemu obozowi Pompejusza, nie uszło jego uwagi, że trzech centurionowie chłoną obraz całości, tak samo jak wypatrują każdego szczegółu.

Sposepniał na myśl, że z tak cenną wiedzą już niedługo wrócą do swoich obozów i jeszcze raz rozważył możliwość pozbycia się ich. Nie chcąc zmarnować kolejnej

sposobności, opuścił grupę, rzucił parę krótkich poleceń trybunowi swojego

Czwartego i ten nie zawahał się ani chwili; oddał honory i odszedł, by zebrać

dwunastkę innych. Labienus, spokojniejszy, pospieszył główną drogą za ludźmi

Cezara.

Narady wojenne odbywały się w wielkim skórzanym namiocie, rozbitym u północnych

bram obozu. Wzmocniony belkami i napiętymi linami, sprawiał wrażenie równie

solidnego jak budynek z kamienia i odpornego na deszcz czy wichurę. Całą przestrzeń wokół oświetlały oliwne pochodnie, częściowo przesłonięte żelaznymi kratownicami,

a żółte, targane wiatrem języki ognia rzucały dziwne cienie. Labienus, zostawiwszy

swoich ludzi na zimnie, rzucił hasło zewnętrznym strażom, uchylił połę namiotu i

wszedł do środka, gdzie Pompejusz był zajęty rozmową z dwunastką swoich dowódców. Namiot miał proste wyposażenie - jeden długi solidny stół, ozdobne dębowe krzesło dla Pompejusza, proste ławy pod ścianami dla uczestników narad - i spartańską atmosferę, którą Labienus pochwalał. Co ważniejsze, w namiocie było nieporównywalnie cieplej niż na zewnątrz. Kociołki z żarem, rozstawione na ubitej ziemi, buchały gorącem, od którego powietrze zrobiło się ciężkie i usposabiało do spania, a czoło Labienusa w jednej chwili spłynęło kroplami gęstego potu.

- Przyprowadziłeś ich tutaj? Nie gdzie indziej, tylko właśnie tutaj? - spytał Pompejusz, masując dłońią żołądek.

- Kazałem im się rozebrać i przeszukałem ich, panie. Za twoim pozwoleniem moi ludzie wprowadzą ich do środka.

Rozdział XIII

163

Pompejusz wskazał na rozłożone na stole mapy. Jeden z dowódców zebrał je szybko, każdą zgrabnie zwinął i odstawił w kąt. Naczelny wódz zasiadł na swoim krześle, wyprostował plecy i ułożył togę w idealnie równe fałdy.

Postawieni przed oblicze Pompejusza trzej centurionowie zachowali godną postawę.

Ich krótko przycięte włosy i szramy i blizny na ramionach bezbłędnie wskazywały na ich status. Straże, z obnażoną bronią, zajęły pozycje pod ścianami namiotu. Labienus zapomniał o głodzie. Ciężko dysząc, czekał, co będzie dalej.

- Zatem słucham, co Cezar ma mi do przekazania. Co aż tak ważnego, by zdecydował się ryzykować życie trzech swoich ludzi - odezwał się Pompejusz.

Pośród ogólnej ciszy słyhać było jedynie trzask ognia w żelaznych kociołkach.

Centurion, ten sam, który przedtem przemówił do Labienusa, zrobił krok do przodu, na co strażę w namiocie drgnęły jak jeden mąż i niespokojnymi dłońmi sięgnęły do

sztyletów. Mężczyzna popatrzył na nich. Przewrócił oczami, jakby rozbawiła go ich postawa.

- Nazywam się Decymus, panie. Centurion Dziesiątego legionu. Spotkaliśmy się kiedyś, w Ariminium.

- Pamiętam cię - powiedział Pompejusz. - Ze spotkania z Kras-susem. Byłeś przy tym, jak Cezar przywiózł złoto z Galii.

- Byłem, panie. Konsul Cezar wybrał na posłańca człowieka, którego byś rozpoznał i wiedział, że konsul Cezar działa w dobrej wierze.

Pompejusz poczerwieniał z gniewu.

- Nie posługuj się w mojej obecności fałszywymi tytułami, Decymusie. Mężczyzna, za którym idziesz, nie ma prawa głosić się konsulem, nie wobec mnie.

- Cezar został wybrany przez głosujące centurie miasta, panie, zgodnie z odwieczną tradycją. Domaga się uznania swojej władzy i praw, które mu nadali obywatele Rzymu.

Labienus zmarszczył czoło. Zastanawiał się, co Decymus zamierza osiągnąć, wyprowadzając z równowagi Pompejusza na samym początku spotkania. Nie mógł się pozbyć dręczącej myśli, że słowa są przeznaczone dla pozostałych mężczyzn, którzy mogliby je przytaczać w długich rozmowach z przyjaciółmi i kolegami. Pompejusz

164

Imperator

zdawał się dzielić te podejrzenia; popatrzył po ludziach w namiocie szparkami groźnych oczu.

-Jako dyktatorowi, mnie i moim rozkazom winni być posłuszni nawet fałszywi

konsulowie, Decymusie, ale jak przypuszczam, nie przybywasz tu po to, by wieść spór co do tej sprawy.

- Nie, panie. Rozkazano mi zażądać, by żołnierze lojalni wobec Rzymu opuścili ten

obóz, jak również otaczające go pola, albo dołączyli do legionów Cezara

prowadzonych przeciwko tobie.

Wrzawa wybuchła natychmiast. Pompejusz poderwał się z miejsca i na jego znak trzej posłańcy uderzeniami w tył głowy zostali powaleni na kolana przez najbliższe straże.

Nie złorzeczył ani nie zaklął zaden, ale Pompejusz i tak z trudem panował nad sobą.

-Twój pan jest zuchwały, Decymusie. Między nami nie ma zdrajców.

Cios w tył głowy chyba oszołomił Decymusa. Podniósł dłoń, by potrzeć bolące miejsce, ale w pół gestu się rozmyślił. Jeden ruch więcej, a straże wokół niego były gotowe go zabić, on to wiedział. Mówił dalej.

- Na wypadek, gdyby jego żądaniom stało się zadość, mam pełnomocnictwa do zaoferowania pokoju, panie. Dla dobra Rzymu konsul Cezar prosi, byś go posłuchał.

Pompejusz z trudem pamiętał o swojej godności. Podniósł dłoń, gotową skazać centurionów na śmierć. Decymus śledził jego ruchy oczami odbijającymi blask pochodni.

- Uważaj, Decymusie - wysyczał w końcu Pompejusz. - Nie będę upominany we własnym obozie. Dobieraj słowa ostrożnie, inaczej zginiesz.

Decymus skinął głową.

- Cezar życzy sobie, by każdemu było wiadomo, że służbę dla Rzymu przedkłada ponad własne bezpieczeństwo i ambicje -ciągnął. - Nie chce, by rzymskie armie wybiły się nawzajem. Coś takiego pozbawiłoby miasto obrony na całe pokolenie. Oferuje pokój, choć pod pewnymi warunkami.

Pompejusz zacisnął uniesioną pięść i jeden z ludzi Decymusa drgnął lekko, spodziewając się lada chwila dotyku zimnego żelaza na karku. Decymus nie zareagował na groźbę ani nie odwrócił oczu od rozwścieczonej twarzy Pompejusza.

Rozdział XIII

Na zewnątrz namiotu podniosły się głosy. Sekundę później do środka wkroczył

Cycon z dwoma innymi senatorami, wnosząc na płaszczach, w rozgrzane powietrze,

białe kryształki lodu. Twarze wszystkich trzech były pobielale od zimna, lecz Cycon pojął sens rozgrywającej się sceny w jednej chwili. Skłonił się przed Pompejuszem.

-Wodzu, przybywam, by podczas tego spotkania reprezentować senat.

Pompejusz przeniósł wściekle spojrzenie z Decymusa na starego człowieka, niezdolny go odprawić na oczach trzech centurionów.

-Witaj, Cyconie. Labienusie, przyciągnij ławę dla senatorów, niech będą świadkami zuchwałości Cezara.

Senatorowie zajęli wskazane miejsca i Decymus uniósł pytająco brwi.

- Czy mam powtórzyć swoje słowa, wodzu?

Jak na człowieka, nad którym zawisła groźba śmierci, posłaniec Cezara trwał w nienaturalnym spokoju i Labienus skłonny był przypuszczać, że przed przyjściem do wrogiego obozu on i dwaj inni żuli korzenie, które stępują strach i znieczulają zmysły.

Pompejusz usiadł na powrót; jego długie palce błędziły wokół fałd togi. Myślał.

- Cezar oferował nam pokój - powiedział w końcu do Cycona. - Podejrzewam, że to jeszcze jeden wybieg, za pomocą którego chce zaprowadzić niezgodę wśród naszych ludzi.

Decymus skłonił na chwilę głowę. Wziął głęboki oddech.

-Mój pan domaga się praw nadanych mu przez lud Rzymu mocą legalnych wyborów.

Kiedy je otrzyma, w miarę możliwości przyjmie na siebie odpowiedzialność za uniknięcie wojny. Mój pan się obawia, że konflikt między nami pozostawi Grecję wyniszczoną do ostatka i bezbronny Rzym. On ma na względzie przede wszystkim dobro Rzymu.

Cycon wysunął głowę z ramion jak stary jastrząb.

- Czyżby na pewno? Nie sędzę, by Cezar najpierw mierzył się z naszą flotą i stawiał armię w Grecji, a potem potulnie rezygnował ze swoich ambicji.

Decymus się uśmiechnął.

- Na pewno, senatorze. Cezar szuka pokojowego rozwiązania, bo nie chce osłabić Rzymu.

166

Imperator

- Co zatem proponuje? - drążył Cynceron.

Pompejusz poczerwieniał. Nie lubił, jak ktoś wysuwał się przed niego, lecz duma mu nakazywała, by w obliczu swoich starszych dowódców trzymać nerwy na wodzy.

Decymus, wyczuwając niezręczną sytuację naczelnego wodza, powtórnie zwrócił się do niego.

- Cezar proponuje rozejm między dwiema armiami. W tym czasie nikt nie poniesie kary i nikogo nie obarczy się odpowiedzialnością za postępowanie dowódców.

Decymus wziął drugi głęboki oddech i Labienus stężał, czując ciężar zadania, jakim obarczono tego człowieka.

- Prosi jedynie, żeby Pompejusz wziął ze sobą garstkę osobistych straży, opuścił Grecję i udał się, powiedzmy, do pokojowo nastawionych sprzymierzeńców. Jego armia

wróci na swoje pozycje, a na legionistach, za podniesienie broni przeciwko legalnie wybranemu konsulowi Rzymu, nikt nie będzie brał odwetu.

Pompejusz poderwał się raz jeszcze. Stał nad klęczącymi ludźmi. Dławił się furją.

- Czy twój pan myśli, że przyjmę pokój pod takimi warunkami? Prędzej zamienię się w popiół, niż zdam się na jego wielkoduszność!

Labienus popatrzył po innych dowódcach. Zalewała go gorycz i żal i wiedział, że powinien zabić posłańców, nim stanęli przed Pompejuszem. Kto zdoła powiedzieć, ile szkód wyrządzi propozycja Cezara, kiedy dotrze do tysięcy szeregów?

- Przekażę mu twoją odpowiedź, wodzu - powiedział Decymus.

Pompejusz potrząsnął głową. Twarz mu stwardniała.

- Nie, nie przekażesz. Zabić ich.

Cyceron poderwał się z ławy, przerażony. Decymus, słysząc rozkaz, podniósł się i z szyderczym uśmiechem otworzył ramiona na przyjęcie ciosu.

- Nie nadajesz się na przywódcę Rzymu, Pompejuszu - zdążył powiedzieć na chwilę wcześniej, nim zakrztusił się ostatnimi łykami powietrza.

Żołnierz wbijał mu gladius prosto w pierś. Ból zniekształcił centurionowi Cezara rysy, ale go nie powalił. Chwytał za rękojeść obie-Rozdział XIII

167

ma dłońmi i wydając zwierzęcy ryk gniewu, pod osłupiałym spojrzeniem Pompejusza pchnął miecz głębiej. Kiedy dwóm pozostałym otwarto gardła, Decymus osunął się na ubitą ziemię. Po namiocie rozszedł się mdły odór krwi. Ten i ów spośród zebranych zamachał dłonią, przepędzając złe duchy. Sam Pompejusz był wstrząśnięty niezwykłą odwagą centuriona. Kurcząc się w swoim dębowym krześle, długo nie potrafił oderwać wzroku od ciał u swoich stóp.

Wydanie odpowiednich rozkazów zostawiono Labienusowi i to on kazał usunąć strażom trupy. Nie mógł uwierzyć w to, co zrobił Decymus, ani w jego absolutną pogardę wobec własnej śmierci. Cezar mądrze dobrał posłańców, Labienus musiał to przyznać. Nim wstanie świt, każdy żołnierz w obozie Pompejusza dowie się o słowach centuriona i o jego czynie. Żołnierze szanowali odwagę ponad wszystko inne.

Zmarszczył czoło, zastanawiając się, jak najlepiej pokierować sprawą. Może stępić siłę opowieści za pomocą sprzecznych pogłosek? To byłoby trudne, przy tak wielu

świadkach. Znał swoich żołnierzy. Niektórzy na pewno się zastanowią, czy poszli za właściwym człowiekiem.

Wyszedł na zewnątrz, prosto w wyjący wiatr. Szczelniej owinał się płaszczem. Czekając

ich spotkanie z bezwzględnym wrogiem, to pewne. Tym bardziej będzie się

rozkoszował ostateczną klęską Cezara.

Popatrzył w dal, zastanawiając się nad własnym dowódcą. Labienus znał ludzi, którzy żyli latami z wrzodami żołądka czy z przepukliną. Przypomniawszy sobie dawnego

towarzysza, z którym dzielił jeden namiot, a który uwielbiał obnosić się z błyszczącym guzem, sterczącym mu między żebrami, i nawet brał miedziaki od próbujących

wepchnąć go palcem do środka. Labienus miał nadzieję, że choroba Pompejusza nie

osłabi w nim ducha. Gdyby tak było, czekałoby ich tylko gorsze.

ROZDZIAŁ XIV

J uliusz nie przypominał sobie, by kiedykolwiek był tak zmarznięty. Wiedząc, że

wejdzie do Grecji zimą, zapłacił dość, by wyposażyć swoich ludzi w najlepsze płaszcze i wełniane owijacze na ręce i nogi. Po marszu przez noc, po zaledwie kilku kęsach

gumowatego mięsa dla podtrzymania sił, jego myśli wydawały się płynąć wolniej,

jakby miał głowę skutą lodem.

Noc, podczas której jego legiony szerokim łukiem obeszły obóz Pompejusza, minęła

bez katastrofy. Dopełniający się garbaty księżyc dawał dość światła, by się nie zgubić w terenie, i weterani wypełniali zadanie bez słowa skargi.

Spotkał legion Domicjusza dziesięć mil na zachód od obozu Pompejusza i zatrzymał

się tam dwie godziny, podczas których zwierzęta pociągowe były siłą i biciem

zmuszane do ruchu. Je także chroniły przed zimnem derki i jadły lepiej niż żołnierze.

Kiedy nadszedł świt, jedyne, co mógł zrobić, to stwierdzić, jak daleko doszli na północ.

Armia Pompejusza była przygotowana do marszu na porzucone pozycje i nie upłynęło

wiele czasu, nim jego nieobecność zostanie odkryta. Potem będą ścigani przez

wypoczęte i dobrze odżywione szeregi. Nie trzeba wiele, by Pompejusz szybko odgadł

cel jego ucieczki; siedem legionów zostawiło za sobą ślad trudny do zatarcia. Ich

podkute sandały odcisnęły w ziemi szeroką drogę, na którą trafiłoby nawet dziecko.

-Ja... ja nie pamiętam, by w Grecji było tak zimno - wyjąkał Juliusz do szczerze spowitego w płaszcz i derki Oktawiana jadącego u jego boku.

Rozdział XIV

169

Twarz młodszego mężczyzny była schowana za tak wieloma warstwami wełny, że tylko biała para oddechu wskazywała na to, że gdzieś pod nimi kryje się człowiek.

- Mówiłeś, że legionista powinien się wznosić ponad niewygodę ciała - roześmiał się cicho Oktawian.

Juliusz popatrzył na niego rozbawiony. Jego krewniak zdawał się pamiętać każde słowo, jakie kiedykolwiek padło między nimi.

- Powtarzałem słowa Reniusza. Stary mówił, że widział, jak umierający mężczyźni maszerują cały dzień, nim upadną. Mówił, że prawdziwa siła tkwi w umiejętności nieprzejmowania się własnym ciałem. Czasami myślę, że ten człowiek był spartaninem z ducha, poza tym że pił. - Popatrzył za siebie, na kolumnę maszerujących w posępnej ciszy legionów. - Mam nadzieję, że uda się nam ubiec naszą pogoń.

Oktawian wystawił głowę z fałd kaptura. Spojrzeli sobie w oczy.

- Nasi ludzie wiedzą, po co tu przyszli - powiedział Oktawian. - Nie pozwolimy ci zginąć.

Juliusza coś ścisnęło za gardło, coś, co nie miało nic wspólnego z zimnem.

- Wiem, chłopcze. Naprawdę wiem - odrzekł łagodnie.

Wiatr wiał im prosto w twarze i powstrzymywał w marszu jak czyjaś ostrzegawcza ręka. Z dumy, która go rozpierała, Juliusz nie mógł mówić. Pomyślał, że ledwo zasługuje na wiarę, jaką ludzie pokładają w jego przywództwie. Odpowiedzialność za

to, by przeżyli swój czas w Grecji, spadała tylko na niego i dobrze wiedział, co bierze na siebie za ich zaufanie.

- Pompejusz pewnie już dotarł do naszego obozu - zauważył nagle Oktawian, patrząc na słońce, które wyłoniło się znad wzgórz na wschodzie. - Ruszy szybciej, jak tylko zobaczy, dokąd zmierzamy.

- Wybijemy ich co do nogi - powiedział Juliusz. Nie był pewien, czy sam w to wierzy.

Przed opuszczeniem Rzymu planował i przygotowywał się do wyprawy jak mógł najlepiej, ale teraz rzecz rozbijała się o prosty fakt - teraz głód zaglądał im do oczu.

Cecyliusz donosił, że Pompejusz zamienił Dyrrachium w olbrzymie składy żywności i dlatego Juliusz pchał swoje legiony na północ, poprzez noc i zmęczenie.

170

Imperator

Miasto przyciągało go jeszcze z innych powodów, ale bez odnowienia zapasów jego kampania zostałaby zatrzymana w pół drogi, i to w sposób druzgocący, a wszystko, o co się bili, przepadłoby raz na zawsze.

Bał się pościgu. Chociaż jego ludzie, przygotowując pozorowany marsz na wschód, mieli dość czasu na dobry odpoczynek, w takich warunkach nie mogli iść bez końca.

Nieważne, jaką miarę przykładał Reniusz do ducha walczących mężczyzn, tak daleko mogli ich zaprowadzić tylko mięśnie. Juliusz, powodowany zwykłym strachem,

obejrzał się za siebie. Wiedział, że gdy na horyzoncie pojawi się armia Pompejusza, będzie musiał podwoić tempo. Jego ludzie tymczasem, pozbawieni odpoczynku w

drodze, zaczęli padać, a Dyrrachium wciąż nie było widać.

Po cichu uważał, że każdy etap kampanii zdaje się graniczyć z katastrofą. Może po

przejęciu składów w mieście będzie miał czas odetchnąć, bez deptającej mu po piętach armii Pompejusza. Jedyнным powodem do optymizmu było to, że o ile znał

Pompejusza, mógł się nie obawiać, że przejmie on inicjatywę albo że zaatakuje na

ślepo. W razie potrzeby Domicjusz był gotów wziąć Dyrrachium w pojedynkę, podczas

gdy Juliusz wabiłby wroga dalej na wschód, lecz Pompejusz zachował się właśnie tak, jak się tego po nim spodziewano.

Juliusz nie przestawał sobie powtarzać, że należy być ostrożnym, choć z drugiej strony nigdy się nie spodziewał, że Pompejusza stać na porzucenie Rzymu. Nie mógł się

otrząsnąć z podejrzeń, że dyktator stracił apetyt do wojny. Gdyby taka była prawda, Juliusz wiedział, że powinien za wszelką cenę podsycać strach w Pompejuszu.

Popatrzył na słońce i poddał się nieuniknionemu.

- Obwołaj postój. Niech ludzie coś przegryzą i niech się wyśpią. Ruszamy za cztery godziny.

Zsiadł z konia na pierwszy sygnał rogów, z trudem prostując kolana. Wszędzie

siedzieli legioniści, a każdy usiadł tam, gdzie stał, i sięgnął do niesionego na plecach ekwipunku po tę odrobinę jedzenia, co mu jeszcze została. Suszone mięso było twarde jak kamień i Juliusz popatrzył podejrzliwie na swoją rację, kiedy mu ją przyniesiono.

Wymagała dużo żucia, by dało się ją przełknąć.

Rozdział XIV

171

Dygocząc na całym ciele, z brodą trzęsącą się jak u starca, wcisnął pierwszy kęs

między zdrętwiałe wargi i pociągnął z worka łyk wody, aby go zmiękczyć. Z zanadrza

płaszczu wyjął pęczek wysuszonej rzezuchy. Usłyszał kiedyś, że to ziele powstrzymuje łysienie, i wepchnął je pod policzek szybkim, ukradkowym ruchem. Gdy jego szczęki

pracowały zawzięcie, jego oczy wypatrywały miękkich chlebów i owoców, czekających na nich w Dyrrachium.

Pompejusz był dziesięć godzin za nimi, może mniej, i mógł nadrobić stracony czas

podczas krótkiego zimowego dnia. Juliusz, mając to w pamięci, oddał wodze

żołnierzowi z pierwszej zmiany straży i położył się na twardym gruncie. Chwilę

później spał.

Oktawian uśmiechnął się z czułością na widok wymęczonej, bladej twarzy. Sięgnął do siodła po dodatkową derkę i przykrył nią swojego wodza.

Pompejusz włożył dłoń w nie wystygłe jeszcze popioły ogniska. Zmarszczył czoło.

Żołądek mu się buntował na samą myśl o jedzeniu, a nie miał nic w ustach od wczorajszego południa. Przełknął gorzką ślinę i skrzywił się, czując pieczenie w gardle.

- Co z tropicielami śladów? Mają coś? - spytał głosem ochrypłym z głodu i bólu.

- Mają, panie - odrzekł Labienus. - Droga prowadzi na południe i zachód, a potem skręca na Dyrrachium.

Stał wyprostowany, wystawiając twarz na wiatr i zimno, podczas gdy głowa płonęła mu myślami. Ludzie będą wiedzieli, i to bardzo dobrze, że Pompejusz stracił dwudziestotysięczną armię przez własną ostrożność. To nie podniesie morale, nie po tym, jak wczoraj podeszli na tyle blisko, by tamtych zobaczyć. Obudzili się po nocy, spięci i kłótlivi jak przed każdą bitwą, ale bić się nie było z kim. Wróg zniknął.

- Wiem to - Pompejusz warknął wściekle. - Jak tylko usłyszałem, że poszli, wiedziałem dokąd. - Uderzył się pięścią po udzie. - I jeżeli naprawdę idą na Dyrrachium, to w obozach mamy szpiegów. Nie inaczej.

Labienus wbił oczy w odległy horyzont.

- Jak mogli obejść nas dookoła i nie dać się zauważyć żadnemu z naszych zwiadowców,

Labienusie? Odpowiedz mi, proszę!

172

Imperator

Obeszli, zatem mogli. Labienus wiedział równie dobrze jak Pompejusz, że to było najprostsze wytłumaczenie. Szeroki łuk pozwolił Cezarowi ominąć obóz Pompejusza na dwie mile, a te wystarczyły, by nie zauważyli ich ani zwiadowcy, ani strażę.

Pompejusz chyba nie czekał na odpowiedź.

- Wygląda na to, że muszę iść za nim - rzucił ze złością. - Wyprzedzają nas o całą noc.

Możemy ich dogonić?

Labienus spojrział na słońce. Szacował stracone godziny. Pomyślał z goryczą, że rzecz jest prawie niemożliwa, jednak wolał nie być tym, który uzmysłowi skwaszonemu

Pompejuszowi niemiłą prawdę.

- Przy najszybszym z możliwych kroków, jedząc w marszu i nie śpiąc, powinniśmy uderzyć na ich tyły wcześniej, nim znajdą się w mieście - odpowiedział wykrętnie. -

Twoje nowo wzniesione mury mogą spowolnić ich marsz. - Aby mówić dalej, musiał zważać na słowa. Naczelnemu 'wodzowi należało oszczędzać zmartwień. - Jednak gdyby weszli do miasta, uzupełnienie zapasów zajmie im ładne parę godzin. Może dzień. Możemy im na to nie pozwolić.

Labienus starał się, by w jego głosie nie pojawiła się bodaj najdelikatniejsza nuta krytyki, choć był przerażony obrotem wydarzeń. Nie powinno się pozwolić legionom

Cezara, by uderzyły na Dyr-rachium - kluczowy port na zachodnim wybrzeżu Grecji i wciąż główny punkt zaopatrzenia armii. Labienus wiedział, że część odpowiedzialności spoczywa na jego barkach, ale rozpamiętywanie dawnych błędów do niczego nie prowadziło. Jego pozycja, jak na razie, była nie do podważenia.

Pompejusz toczył dookoła wściekłym wzrokiem.

- Najwyższa pora opuścić to pustkowie. I każ narzucić armii najszybsze tempo.

Wszystko, poza racjami i wodą, zostaje z tyłu. Senat także. Ci starcy nie dotrzymają nam kroku.

Labienus oddał honory. Pompejusz, sztywny z gniewu i złości, dosiadł konia. Nie wspomniał, że jego rodzina i rodziny senatu przebywają w Dyrrachium. Kiedy Juliusz potraktuje ich jak zakładników, niepomnie wzmocni swoją pozycję. Pompejusz potrząsnął głową, by uwolnić myśli od nienawiści i strachu. Z chwilą, kiedy podjął

decyzję, jego żołądek przycichł. Miał nadzieję, że biała

Rozdział XIV

173

papka, zażyta rano, złagodzi mu bóle przynajmniej na parę godzin. Legiony ruszyły i popłynęły wokół niego, ale ich tysiące już nie przynosiły mu pocieszenia.

Juliusz obliczał pokonaną odległość, żałując, że nie ma przed sobą mapy. Marsz trwał dwanaście godzin i przez kilka ostatnich ludzie wlekli się noga za nogą ostatnim

wysiłkiem i z ponurymi minami. Kilku zataczało się i Juliusz w końcu dał rozkaz, by ci podciągnęli i wsparli się na ramionach pierwszych szeregów. Jego armia bardziej

przypominała zniedołężniałych starców czy uciekinierów z pola bitwy niż legiony

Rzymu, ale każda mila była jedną dalej od wroga za nimi.

- Do tej pory powinno się już pokazać - mruknął Oktawian, nie odstępujący go jak zwykle.

Zmierzony ostrym spojrzeniem odwrócił głowę w bok, a wtedy Juliusz wpatrzył się w

dal, szukając na horyzoncie pierwszych zapowiedzi miasta. Na zachodzie srebrzyło się morze, co dawało nadzieję, że są gdzieś blisko. Juliusz potarł oczy, piekące od

niewyspania i kurzu. Mógłby je zamknąć. Mógł zaufać koniowi, ale wiedział, że jego ludzie nie lubią w wodzu słabości.

Juliusz nosił w pamięci inny marsz, marsz tropem armii niewolników Spartakusa. W

tamtych łowach to on polował na umykającą zwierzynę i to dawało mu olbrzymią

przewagę. Bycie tropionym nadwątla wolę, by iść dalej, i Juliusz zobaczył, że coraz więcej i więcej głów wykręca się do tyłu i obrzuca okolicę niespokojnym spojrzeniem.

Już miał warknąć słowo przygany, ale uprzedził go Domicjusz. Jeździł wzdłuż

szeregów i głośnymi poleceniami zaprowadzał porządek.

Ziemia, którą przydeptywały tysiące stóp, była poznaczona ciemnymi plamami uryny.

Nie było łatwo robić coś takiego w marszu, lecz nikt nie narzekał i każdy nabrał

odpowiednich nawyków dawno temu. Tyły maszerowały po rozmiękłym gruncie przez

całą drogę do Dyrrachium. Podczas postojów dla odpoczynku nie było czasu na

kopanie latryn i żołnierze podcierali się liśćmi, jeżeli jakieś udało im się znaleźć.

Przezorniejsi zabrali ze sobą kawałki płótna, które potem zwilżali wodą, ale taka rzecz robiła się śliska i cuchnęła po pierwszej nocy i pierwszym dniu. Długi marsz był

jednakowo

174

Imperator

parszywy dla wszystkich, a zimno zżerało im siły o wiele bardziej niż upał lata.

Dzień zdawał się trwać wieki i chociaż Juliusza zirytowała uwaga Oktawiana, on także sądził, że Dyrrachium mogłoby się wreszcie pokazać. Słońce już zaczynało opadać w

stronę horyzontu i rozkaz do kolejnych czterech godzin cennego odpoczynku miał

paść wkrótce.

Ostrzegawcza nuta przyłączyła się od tyłu kolumny i Juliusz, odwracając się w siodle,

wyciągnął szyję. W oddali, pośród płożącego się po ziemi kurzu, coś błysnęło.

Potrząsnął głową w rozpacz. Jeszcze chwila, a zarządziłby postój i przestrzeń między dwiema armiami by się zamknęła. Zatrzymałby swoich zboliałych, wyczerpanych ludzi

w najbardziej niebezpiecznym momencie. Jeszcze raz popatrzył na potykające się,

chwiejne szeregi ludzi. Musiały iść dalej.

Dwaj z wysłanych na zwiady Wyborowych przygalopowali do jego stanowiska i

nawracając końmi, oddali honory.

-Jakieś wieści? - spytał niecierpliwie.

- Widać miasto, panie. Trzy mile przed nami.

Juliusz spojrział na słońce, a potem na swoją kolumnę. Zrobi się ciemno, zanim staną pod murami, ale taka wieść mogła ludziom dodać sił mimo wszystko.

- Przed miastem, panie, jakieś dwie mile stąd, wznosi się mur. Wygląda na obsadzony.

Juliusz zaklął głośno. Pompejusz okazał się pracowity. Myśl o przełamaniu się przez linie obronne, z dyszącą za plecami armią Pompejusza, była prawie nie do zniesienia.

-Jadę z wami - powiedział szybko. - Chcę to zobaczyć na własne oczy. - Ściskając mocniej wodze, popatrzył przez ramię na Oktawiana. - Powiedz ludziom, niech zachowają zwykłe odstępstwa między szeregami. Nie chcę się wstydzić przed wrogiem. I każ zwiększyć tempo na ostatnich milach. - Widząc, że Oktawian się waha, że najwyraźniej nie śmie wyrazić obaw co do takiego rozkazu, dorzucił: - Oni mnie nie zawiodą. Mój Dziesiąty ich poprowadzi.

W nikłych cieniach gasnącego dnia armia Cezara przeszła dreszczem strachu serce każdego żołnierza stojącego na nie dokończo-

Rozdział XIV

175

nych murach wokół Dyrrachium. Z wysokości dwóch rosnących mężczyzn i z kilkoma tysiącami ludzi obrońcy mogli mieć nadzieję na powstrzymanie galijskich legionów, tyle że -więcej niż jedno przęsło stanowiły gołe belki. Trochę za mało, jak na mur obronny.

Na ostrzegawcze okrzyki dowódców Pompejusza greccy cieśle porzucili narzędzia i popędzili do domów. Paru żołnierzy o ponurych twarzach, których zostawiono w mieście, zajęło pozycje zgodnie z rozkazem, dobyło mieczy i zamieniło między sobą kilka ostatnich słów. Nie rozważali odwrotu, chociaż czekając na wroga, dygotali na wietrze.

- Trzymać pozycje aż do zmiany straży - ryknął stary centurion. Głos poniósł się po murach, wzdłuż szeregu, i obrońcy podnieśli tarcze i stanęli w pogotowiu. Każdy

wiedział, że nie będzie żadnej zmiany, i choć to było dziwne, słowa wlały im w serca trochę nadziei.

Legiony Cezara podchodziły bliżej i bliżej, aż twarze stały się widoczne mimo

zapadającego zmierzchu. Galijskie legiony sięgnęły ostatniej zapory przed

Dyrrachium. Obie strony ryknęły wyzwaniem, ale przez nie zamurowane przesła popłynęła ludzka fala i obrońcy zostali wycięci w pień, a ich ciała rozdeptane.

Dziesiąty Juliusza, prawie nie zwalniając biegu, dopadł nie chronionego miasta.

ROZDZIAŁ XV

Juliusz jechał powoli przez ciemne ulice, zmagając się ze skrajnym wyczerpaniem.

Jemu i jego ludziom wskazywał drogę miejscowy człowiek, popychany obnażonym gladiuszem, ale zagłębianie się w labirynt nieznanymi placów i zaułków w każdym wzbudzało zrozumiałe niepokój.

Do miasta pozwolono wejść tylko Dziesiątemu. Pozostałe sześć legionów zobaczyło z niego nie więcej niż wzniesione rozkazem Pompejusza mury. To było wrogie terytorium i Juliusz postanowił nie puszczać ich samopas. Wciąż się otrząsał na wspomnienie miasta w Galii, tamtego, gdzie stracił panowanie nad swoimi ludźmi. Za każdym razem, kiedy serce mu przyspieszało od zgiełku atakujących szeregów czy łopotu proporców na wietrze, miał przed oczami Awarikum i wygląd jego ulic z nadejściem świtu. Nie pozwoli, by pod jego dowództwem powtórzyły się tamte sceny. Gdyby greckimi legionami dowodził jakikolwiek inny człowiek, Juliusz spodziewałby się ataku jeszcze tej nocy. Dowódcy Pompejusza znali miasto dobrze. Możliwe, że prowadziły do niego różne przejścia. To było dość, by kazać trwać ludziom na murach, choć z drugiej strony nie sądził, by Pompejusz ryzykował życie tych, których zostawił w Dyrrachium. Dni beztróskiej młodości były za nimi oboma.

Jego przewodnik mruknął coś po grecku i wskazał na osadzone w murze, szerokie bramy. Oświetlała je lampa na grubym brązowym łańcuchu i Juliuszowi przyszła do głowy śmieszna myśl, że zawieszono ją celowo, na jego powitanie. Na ledwo widoczny gest

wodza dwaj mężczyźni z młotami wystąpili do przodu. Na cichej ulicy rozległ się dźwięk podobny biciu w dzwony i Juliuszowi się zdawało, że czuje na sobie oczy wszystkich domów w sąsiedztwie. Czekaając, aż puszczą zamki, zaciągał się chłodnym nocnym powietrzem i myślał o wrogu na zewnątrz murów Dyrrachium.

Prowadzenie wojny w sposób przebiegły i przy odpowiednim manipulowaniu ludźmi było zajęciem niebezpiecznie odurzającym. Juliusz obracał na swoją korzyść zalety i wady Pompejusza. Tak samo wykorzystywał jego siłę, jak i słabości. Wysłał ludzi, by podkopali autorytet tamtego w jego własnym obozie, choć wysłał na pewną śmierć.

Wojna, którą przynieśli do Grecji, była okrutna, ale doszedł za daleko i stracił za wiele, by ją przegrać do końca.

Nagły hałas wyłamanych i beztrosko ciśniętych o bruk żelaznych bram zbudził dom i wewnątrz zapłonęły lampy, a ich blask podziałał jak iskra na najbliższych sąsiadów, kiedy ci poderwali się ze snu i szukali światła, by odpędzić przerażenie.

Na podwórzu zawrzało i w okamgnieniu dziura w murze wypełniła się żołnierzami o groźnych minach. Juliusz nie od razu przemówił. Najpierw z zainteresowaniem i przyjemnością popatrzył, jak domowe straże sprawnie zwierają tarcze przed nagłym natarciem.

- Spóźniliście się, przyjaciele - powiedział wreszcie, zsiadając z konia. - Gdybym nie czekał na was, byłbym już w środku.

Pięć setek jego Dziesiątego już obstawiało ulicę w dół i w górę. Ostre nocne powietrze falowało ich spiętymi oddechami. Juliusz to czuł. Jedno jego słowo, a byłoby po

obrońcach. Popatrzył w oczy centurionowi straży przy bramach, ale nie było w nich cienia strachu. Dowódca nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć, i ledwo odwzajemnił jego spojrzenie. Pompejusz znał się na ludziach.

-Jestem konsulem Rzymu - rzucił wyzywająco Juliusz, robiąc krok do przodu. - Nie

śmiej mi stawać na drodze.

Mężczyźni w bramie, słysząc słowa, których sensu uczono ich od dzieciństwa,

przestąpili z nogi na nogę. Centurion zamrugał i Juliusz zobaczył, że sięga do jednego, by go uspokoić.

- Moje rozkazy pochodzą od Pompejusza, konsulu - powiedział centurion. - Nikt nie ma prawa naruszać spokoju tego domu.

Juliusz ściągnął brwi. Mord na przyzwoitym człowieku, wypełniającym swoją

powinność, nie byłby dobrym początkiem jego no-

178

Imperator

wej polityki. Z drugiej strony ograniczyć własne prawa znaczyłoby znaleźć się w ślepej uliczce.

- Czy pozwolisz mi wejść? Samemu? Będę bez broni - powiedział, wkraczając w zasięg wymierzonych weń mieczy.

Centurion zmrużył oczy i Juliusz usłyszał głośny syk wciąganych oddechów

Dziesiątego. Legion nie lubił, gdy on narażał się na niebezpieczeństwo, ale nie miał wyboru.

- Przepuście mnie! - zawołał ktoś z głębi domu. Juliusz uśmiechnął się, słysząc znajomy głos.

- Człowiek, któremu każecie czekać, jest moim ojcem. Nie obchodzą mnie niczyje rozkazy, puście mnie do niego. Szybko!

Żołnierze przy bramach znów przestąpili z nogi na nogę, tym razem w potwornym zakłopotaniu. Juliusz zaśmiał się z nich głośno.

- Nie sądzę, byście mogli ją powstrzymać, przyjaciele. Targnąłby się któryś na żonę Pompejusza? Chyba nie. Moja córka robi, co chce, i chodzi, gdzie chce.

Chociaż mówił do wszystkich, jego oczy spoczywały na centurionie; wiedział, do kogo należy decyzja. W końcu dowódca rzucił kilka krótkich słów i tarcze opuszczono.

Julia stała za nimi, z synem w ramionach. Juliusz aż się zachłysnął na jej widok i dopiero teraz poczuł zapachy ogrodu, jakby to ona je ze sobą przyniosła.

- Zaprosisz mnie do środka, Julio?

Julia obrzuciła pogardliwym spojrzeniem nieszczęśników strzegących wyłamanych bram. Twarz jej płonęła rumieńcem i Juliusz pomyślał, że jego córka nigdy nie wyglądała piękniej niż tej nocy, w blasku jednej lampy.

- Twoi ludzie mogą odejść, centurionie - powiedziała. - Ty sam biegnij do kuchni i każ przynieść jakieś przekąski. Mój ojciec jest zmęczony i głodny, to widać.

Centurion nie zdążył zaprotestować; Julia mówiła dalej:

- Życzę sobie najlepszego zimnego mięsa, świeżego chleba, gorącego wina z piwnicy mojego męża, sera i trochę owoców.

Udręczony żołnierz patrzył na ojca i córkę długą chwilę, nim się poddał i wycofał ze sztywną godnością.

- Mój dom jest twoim domem, konsulu - oznajmiła i z tego, jak

Rozdział XV

179

zaiskrzyły się jej oczy, Juliusz wiedział, że ucieszyło ją małe zwycięstwo nad strażami.

- Twoja wizyta jest dla mnie honorem.

- Uprzejma jesteś, moja córko - odrzekł, przedrzeźniając jej formalny ton. - Powiedz mi, czy rodziny senatu nadal są w mieście?

- Są, konsulu.

Juliusz odwrócił się do legionistów Dziesiątego. Grek, który wskazywał im drogę przez miasto, stał wśród nich i trząsł się ze strachu.

- Zaprowadzisz moich ludzi do tych rodzin - powiedział Juliusz. - Nie stanie im się żadna krzywda, przysięgam. - Grek pochylił głowę, ale Juliusz już nie patrzył na niego.

- Zabierzcie ich do... - przerwał. Popatrzył na córkę. - Nie znam miasta. Jest tu jakiś budynek senatu, sala narad?

- Wątpię, ale jest za to świątynia Jupitera. Każdy ją zna - odrzekła Julia.

- Świetnie. Pamiętajcie, przyjaciele, że chroni ich mój honor. Jeden siniak, a każdy zawiśnie. Czy to jasne?

- Tak, panie - odpowiedział za wszystkich centurion.

- Wyślij ludzi do wodza Domicjusza. Niech zaczną ładować zapasy na nasze wozy.

Chcę opuścić miasto wczesnym rankiem.

Żołnierze Dziesiątego odmaszerowali. Dudnienie ich kroków, powtarzające się echem w uśpionej ulicy, powoli ucichło.

- A więc to jest mój wnuk - powiedział Juliusz. Dziecko było wyrwane ze snu i kleiły mu się oczy. Nie poruszyło się, kiedy Juliusz położył delikatnie dłoń na drobnej

główce. - Naprawdę jestem tu mile widziany, Julio? - spytał cicho.

-Jesteś moim ojcem, konsulu.

-Ale prowadzę wojnę z twoim mężem i zrozumiałbym twoją rozterkę.

Wyciągnęła rękę do mężczyzny, którego nie było przy niej przez całe jej dzieciństwo i większość jej życia. Nie miał czasu ani sposobności, by popełniać błędy typowe dla

ojców. Nigdy nie widziała, by uderzył psa czy się upił, czy okazał małosłowną

złośliwość. Znała go tylko jako wodza, konsula Rzymu. To prawda, nienawidziła go z

całą namiętnością młodej dziewczyny, kiedy oddawał ją Pompejuszowi za żonę,

jednak podziw, którym go otaczała od dziecka, przetrwał w niej mimo wszystko.

Dzięki Brutusowi pierwszy raz

180

Imperator

w życiu wciągnięto ją w spiski ojca, i to, że nagle stała się wartościowa dla tego

człowieka, wprost ją odurzyło. To było coś wspaniałego, coś, na co brakowało słów, i tylko nie wydając Pompejuszowi Brutusa, mogła udowodnić swoją wierność ojcu.

- Gdyby w moich żyłach nie płynęła twoja krew, Brutus już by nie żył - wyszeptała mu do ucha.

- Co ci powiedział? - spytał, usiłując nie okazać poruszenia.

- Że jego zdrada jest częścią twoich planów. - Juliusz zacisnął powieki. Zobaczyła to, ale nie rozumiała, co się z nim dzieje. - Nikomu nic nie powiedziałam. Nawet więcej namówiłam męża, by dał mu dwie inne kohorty.

Zadarła brodę, dumna po dziecinnemu, a on, zraniony tą dumą, nagle poczuł wyczerpanie długim marszem na północ, jak gdyby organizm tylko czyhał na taki moment. Zatoczył się lekko. Oparł dłoń o ścianę.

-W porządku, Julio, w porządku - powiedział nieuważnie. -Nie przypuszczałem, że mógłby ci się zwierzyć.

- Zaufał mi - odrzekła Julia. - A ja ufam tobie, że oszczędzisz mojego męża, gdy wpadnie w twoje ręce. Przemyślałam to, ojczy. Jeżeli zwyciężysz, chcę, byście żyli obaj.

Patrzyła na niego błagającymi oczami. Nie przeszłyby mu przez gardło słowa, że została oszukana, że między nim a Brutusem nie ma żadnego tajnego porozumienia. To by ją zniszczyło.

- O ułaskawieniu pod Korfinium mówiło się tu przez miesiące - dodała jeszcze. - Możesz dla niego zrobić przynajmniej tyle?

Juliusz ujął jej rękę z niezwykłą czułością.

- Dobrze, Julio. Jeżeli będzie to w mojej mocy, będzie żył.

Świątynia Jupitera w Dyrrachium była prawie tak samo zimna jak ulice na zewnątrz.

Oddech Juliusza zamienił się w parę, kiedy tam wszedł, podczas gdy jego ludzie zajmowali miejsca pod ścianami równie sprawnie, jak głośno.

Cały zgiełk umilkł, kiedy postukując podkówkami sandałów, ruszył przez główną nawę, ku wielkiemu białemu posagowi boga. W końcu dostrzegł rodziny senatorów, ledwo rozbudzone, mrugające nieporadnie w świetle lamp. Przypominali

uciekierów po tak pospiesznym zawezwaniu przez uzbrojone straże. Ci, dla których

Rozdział XV

181

nie starczyło miejsca na ławach, siedzieli na zimnej marmurowej posadzce. Strach ożył w nich na nowo, na sam widok wodza, którego ich ludzie mieli zniszczyć. To w tym celu przybyli do Grecji. Juliusz zignorował badawcze spojrzenia dziesiątek paciorkowa-tych oczu. Zatrzymał się przed Jupiterem i przykląkł na jedno kolano.

Pochylił głowę. Trzeba było niemałego wysiłku, by się skupić i zdusić w sobie strach, o który przyprowadziła go córka. Brutus był zahartowanym w bojach uwodzicielem i

szybko się zorientował, jak zagrać na jej uczuciach. Ale rozkochać w sobie kobietę w tak bezduszny, oszukańczy sposób? Juliusz, owszem, oddał córkę Pompejuszowi bez

najmniejszych skrupułów, ale jako ojciec miał do tego prawo. Wódz, który klęczał

przed najwyższym bogiem, dołożył kolejną informację do tego, co już wiedział o siłach Pompejusza. Brutus kochał ryzyko i możliwe, że to da się wykorzystać. Juliusz był

wściekły do granic rozsądku. Jako ojciec. Jako mężczyzna.

- A więc zamkniesz drzwi i każesz nas zabić? - powiedział ktoś surowym głosem, sprowadzając go do rzeczywistości.

Wstał. Popatrzył spode łba przez świątynię. Rozpoznał żonę Cyncerona, Terencję.

Wyglądała jak kruk, spowita w czerń, z ostrymi rysami i jeszcze ostrzejszym spojrzeniem.

Juliusz zmusił się do uśmiechu, chociaż efekt był taki, że kilkoro młodszych dzieci zaczęło płakać, co jeszcze bardziej podziałało mu na nerwy.

- Jestem konsulem Rzymu, pani. Nie walczę z kobietami i dziećmi - powiedział chłodno. - Zapewnienie wam bezpieczeństwa to dla mnie sprawa honoru.

- Zatem mamy być zakładnikami? - dopytywała się Terencja. Jej głos miał do tego stopnia piskliwe brzmienie, że można się było zastanawiać, co Cynceron w niej widział.

-Na dzisiaj noc. Moi ludzie zrobią wszystko, by zapewnić wam wygodę.

- Co planujesz, Cezarze? - Terencja nie spuszczała z niego ptasich oczu. - Pompejusz nigdy ci tego nie zapomni, uświadamiasz to sobie? Nie spocznie, dopóki nie dokona rzezi na twoich armiach.

Juliusza zalała fala gniewu.

- Zamilcz, kobieto - warknął, po czym podniósł głos: - Nie wiesz nic o moich ani Pompejuszowych działaniach. Zostaw pogrózki dla

182

Imperator

swoich sióstr. Moi ludzie walczą dlatego, że kochają Rzym, i dlatego, że kochają mnie.

Nie waż mi się o nich mówić.

Na widok strachu w twarzach, po fali gniewu, na Juliusza spłynęły potoki gorzkiego

wstydu. Prawie go zemdliło od własnej słabości. Zebrał się w sobie. Splótł trzęsące się dłonie za plecami.

Terencja podniosła buntowniczo głowę.

- No tak, Cezarze - zaczęła szydzić. - Nie wolno mi o nich mówić, bo jesteś jednym z nich. Wy, mężczyźni, wbijacie miecze w ciała waszych wrogów i myślicie, że to coś

wspaniałego. Równie dobrze rzeźnik mógłby śpiewać pieśni o zabijanych każdego

dnia świniach. - Któraś z kobiet dotknęła jej ramienia, ale Terencja strząsnęła

uspokajającą dłoń. - Jesteś tutaj z własnego wyboru, Cezarze, nie zapominaj o tym!

Równie dobrze mógłbyś wrócić do Galii, razem z tymi twoimi legionami, które

podobno cię kochają. Gdybyś sobie cenił ich życie, oszczędzałbyś je.

Reszta zamarła, zdjeta niemal dotykającym strachem. Coś w rozpalonym do białości

gniewie Juliusza kazało Terencji uzmysłwić sobie, że posunęła się za daleko.

Przygryzając wargi, odwróciła wzrok. Po długiej przerwie Juliusz przemówił ze

straszliwą siłą:

- Mężczyźni umrą, to pewne, ale każdy oddaje życie w imię czegoś, czego ty nigdy nie rozumiałaś i nigdy nie zrozumiesz. Jesteśmy tutaj, by stanowić o naszej przyszłości, kobieto. Co najmniej. Nie będą nami rządzić królowie. Dla twojego bezpieczeństwa...

dla bezpieczeństwa naszych obywateli w Hiszpanii i Grecji, i w Galii... jesteśmy tutaj, by odbudować republikę. To marzenie, ale marzenie szlachetne. Co nas różni od

plemion galijskich czy od Greków? Oni i my jemy, śpimy, kupujemy i sprzedajemy.

Ale jest jeszcze coś więcej, Terencjo. Więcej niż wygodne życie i więcej niż złoto.

Więcej nawet niż rodzina, którą musisz żywić. Szydzisz, bo nie potrafisz zobaczyć, że przychodzi taki czas, kiedy człowiek podnosi oczy znad swojego znoju i mówi: „Nie.

Tego nie da się już wytrzymać”.

Przed odpowiedzią powstrzymał Terencję surowy szept kobiet. Ustąpiła pod

piorunującym wzrokiem Juliusza. Więcej na niego nie spojrzała.

-Jeżeli jesteś rozsądna - ciągnął Juliusz - powiesz senatowi, że w Grecji mam tylko jednego wroga i że zamiast tego konfliktu zaproponowałem mu wygnanie. Pokazałem

w Korfinium, ile jest wart

Rozdział XV

183

mój honor. Powiesz im, by pamiętali, że jestem konsulem dzięki tym samym

obywatelom, którzy także ich obdarzyli władzą. Rzym jest ze mną. Ze mną,

powtarzam. - Popatrzył po ich nieustępliwych twarzach i wzruszył ramionami. -

Zgłóście moim ludziom swoje osobiste potrzeby. W granicach rozsądku. Będę na

murach. Prześlę słowo waszym mężom i ojcom, że jesteście bezpieczne, całe i zdrowe.

To wszystko.

Juliusz obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem ku wielkim drzwiom świątyni. Oczy swędziały go od niewyspania i myśl o rzuceniu się na miękkie łoże obezwładniła go z siłą pożądania. Wiedział, że jego sponiewierane ciało mogło go nieść trochę dłużej, ale wołał nie narażać się na atak swojej choroby podczas tej jednej, rozstrzygającej nocy.

Wciąż poruszał się na krawędzi niemożliwego i jedna pomyłka, jedno nieostrożne

posunięcie mogło go kosztować przegraną wojnę.

Kiedy dotarł do swoich straży, centurion spojrzał mu w oczy i szybko skinął głową; słyszał wszystko. Juliusz odwzajemnił gest z nikłym uśmiechem, już wychodząc na zewnątrz, w zimną ciemność. Świt wciąż był daleko, a sparaliżowane strachem miasto wołało milczeć. Najeźdźca szedł jego ulicami.

Pompejusz popatrzył na mury miasta, wdzięczny bogom za skrywające jego rozpacz ciemności. Odprawił Labienusa prawie niegrzecznie, wściekły, że nie dotarli do Dyrrachium przed Cezarem i że ten przechadza się teraz bezpiecznie po jego ulicach. Być może z tej wściekłości ból trawiący mu żołądek zamiast ustawać, narastał z godziny na godzinę. Papka z kredy i mleka, która pomagała na początku, przestała działać. Pompejusz pomyślał w duchu, że jest żywcem zjadany od środka. Jęknął, ugniatając pięścią jelita. Otarł usta. Z chorobliwym strachem popatrzył na czerwone plamki na białej todze. Przeciwno mu obraca się nawet moje własne ciało, pomyślał ze złością i dźgnął sztywnymi z zimna palcami najbardziej obolałe miejsce. Nie mógł sobie pozwolić na chorowanie. Żądania senatu stawały się coraz bardziej natarczywe, tak jak ból coraz bardziej ostry. Tak, jakby zwęszyli jego słabość i byli gotowi rozerwać go na kawałki.

Tylko zawzięty opór jego żołnierzy powstrzymał Cyncerona i resz-

184

Imperator

tę senatorów przed wdarciem się do jego namiotu. Co by dała jeszcze jedna kłótnia dyskusja? Pompejusz nie potrafiłby być uprzejmy wobec tych przerażonych mężczyzn, pobekujących jak kozły o swoich drogocennych żonach i niewolnikach.

Nie wiedział, co Cezar zrobi z miastem. Składy, to jasne, znikną w wygłodniałych żołądkach jego legionów. Pompejusz wysłuchał beznamiętnej oceny Labienusa co do

ich własnych zapasów, teraz, kiedy Dyrrachium zamknęło się przed nimi.

Podziękował bogom, że był na tyle przezorny, by usunąć z miasta całe tony ziarna, zanim zaczęła się wojna. Kiedy Juliusz będzie tyć od solonego mięsa i słodkiego buraczanego syropu, jego, Pompejusza, ludzie przynajmniej nie będą głodować.

Zastukały końskie kopyta. Z ciemności wyłoniła się niewyraźna postać Labienusa.

Pompejusz jęknął, ale stanął prościej i opuścił dłoń wzdłuż uda. Wciąż dbał o to, by nie zdradzać się z bólem przed swoim dowódcą.

- Coś nowego? - warknął, patrząc, jak Labienus zsiada z konia.

- Posłaniec od Cezara, panie. Przybywa, niosąc w dłoni proporzec rozejmu.

Obaj mężczyźni jednocześnie pomyśleli o trzech centurionach, którymi Juliusz posłużył się poprzednio. Każdy zapytywał się w duchu, czy ten przybywający także zasieje niezgodę w obozie.

- Każ przyprowadzić go do mojego namiotu, Labienusie. Nie informuj o sprawie nikogo, jeżeli cenisz sobie swoje stanowisko.

Pompejusz zmagął się z sobą, by zachować obojętny wyraz twarzy, podczas gdy ból przewiercał mu wnętrzności. Nie czekając na odpowiedź, minął strażę i wszedł do swego namiotu, gotowy się dowiedzieć, czego chce człowiek Cezara.

Ledwo zdążył usiąść, kiedy Labienus przyprowadził mężczyznę przed jego oblicze. Na czoło Pompejusza wystąpił pot, mimo zimna. Otarł go skrajem togi, nieświadomy, że widnieją na niej brązowe plamy zakrzepłej krwi.

Posłaniec był wysokim, szczupłym żołnierzem z krótko przyciętymi włosami i

ciemnymi oczami, które chłoneły każdy szczegół otoczenia. Pompejusz, bojąc się, że te oczy odkryją także jego chorobę, wziął się w garść. Cezar nie mógł się dowiedzieć o jego niedomaganiu.

Rozdział XV

- Więc? - zapytał niecierpliwie.

-Wodzu, mój pan życzy sobie, byś wiedział, że rodziny senatu są całe i zdrowe. O świcie odeśle je do ciebie. Do południa Dyrrachium wróci w twoje ręce. Mój pan zabronił grabieży i wyrządzania jakichkolwiek innych szkód.

Pompejusz zobaczył, że Labienus mruga ze zdziwienia. To było niesłychane, by jakaś armia oddawała przewagę, którą tak łatwo zdobyła.

- Czego chce w zamian? - spytał podejrzliwie.

-Trzech dni, panie. Oferuje ci rodziny i miasto za zapasy, które tam zebrałeś, i za trzy dni rozejmu dla uporządkowania spraw. Pyta, czy przyjmiesz te warunki.

- Labienusie, zabierz go gdzieś, muszę pomyśleć. Zostawiony sam sobie, Pompejusz zacisnął ramiona na brzuchu.

Zgiął się wpół. Trwał tak do chwili, kiedy usłyszał kroki powracającego Labienusa.

Wtedy się wyprostował, ale twarz lśniła mu od potu.

- Jesteś chory, panie? - spytał Labienus wprost.

- Przejściowa dolegliwość. Powiedz mi, co myślisz o takich warunkach.

Jego umysł, przyćmiony bólem, był niezdolny do formułowania sądów. Labienus, jak gdyby to rozumiejąc, powiedział szybko:

- Wydają się wielkoduszne, choć nasi ludzie raz jeszcze zobaczą Cezara w roli męża stanu. Zobaczą uwolnione rodziny i dni rozejmu staną się jeszcze jednym jego

zwycięstwem, a nam pozostanie zgodzić się na granie drugorzędnej roli. - Labienus

przerwał. Myślał albo udawał, że myśli. - Gdyby stawka nie była tak wysoka,

zaatakowałbym o świcie, kiedy otworzą się bramy dla naszych rodzin.

- Ależ one wtedy zginą - warknął Pompejusz. Labienus potaknął.

-To jest ryzyko, choć wątpię. Cezar pozbawiłby się okazji zaprezentowania swojej

wspaniałomyślności wobec nas wszystkich. W naszych obozach morale jest niskie i właśnie ujęto trzech następnych dezertersów.

- Nie poinformowano mnie o tym! - zezłościł się Pompejusz. Labienus wytrzymał jego spojrzenie.

186

Imperator

- Byłeś, panie, nieprzystępny.

Pompejusz przypomniał sobie jego wcześniejszą niegrzeczną odprawę i poczerwieniał.

- Każ ogłosić, że dezertersów straci się na oczach całej reszty. Ich krew przypomni żołnierzom o obowiązkach względem armii.

- Może warto byłoby najpierw ich przepytac, panie, poza tym...

- Dość. Zabij ich o swiecie. W ramach nauczki dla innych. - Zawahał się, złość brała w nim górę nad potrzebą odesłania człowieka i zajęcia się swoim bólem. - Przyjmę

rozejm, Labienusie. Nie mam wyboru, jeżeli moja dyktatura ma być odnowiona.

Rodziny senatu muszą być bezpieczne.

-A miasto, panie? Jeżeli pozwolimy mu odejść bez żadnego sprzeciwu, on, z naszymi zapasami, przetrwa w polu trzy miesiące albo i więcej. Musimy zaatakować, gdy tylko rodziny senatu znajdą się za murami.

- A jak ci się zdaje, ile czasu minie, nim obozy obiegnie wieść, że złamałem słowo? Czy on zostawił mi jakiś wybór?

-Doprowadzilibyśmy rzecz do końca, panie... - Labienus zawiesił głos.

Pompejusz powędrował wzrokiem do naczynia z resztką utartej przed godziną papki.

Miał dość tego człowieka i jego rad. Dobrze pamiętał chwilę, kiedy przysięga wyniosła go do obecnej pozycji.

- Wyjdź, wodzu. Cezar zaoferował dobrą cenę za trzy dni rozejm-u. Po trzech dniach wznowimy wojnę. Ani słowa więcej.

Labienuś sztywno oddał honory.

- Przekażę posłańcowi twoje słowa, panie.

Wreszcie sam, Pompejusz kazał wezwać medyka i zacisnął powieki. Zżerał go ból.

186

Imperator

- Byłeś, panie, nieprzystępny.

Pompejusz przypomniał sobie jego wcześniejszą niegrzeczną odprawę i poczerwieniał.

- Każ ogłosić, że dezertarów straci się na oczach całej reszty. Ich krew przypomni

żołnierzom o obowiązkach względem armii.

-Może warto byłoby najpierw ich przepytąć, panie, poza tym...

- Dość. Zabij ich o świącie. W ramach nauki dla innych. - Zawahał się, złość brała w nim górę nad potrzebą odesłania człowieka i zajęcia się swoim bólem. - Przyjmę

rozejm, Labienusie. Nie mam wyboru, jeżeli moja dyktatura ma być odnowiona.

Rodziny senatu muszą być bezpieczne.

-A miasto, panie? Jeżeli pozwolimy mu odejść bez żadnego sprzeciwu, on, z naszymi

zapasami, przetrwa w polu trzy miesiące albo i więcej. Musimy zaatakować, gdy tylko rodziny senatu znajdą się za murami.

- A jak ci się zdaje, ile czasu minie, nim obozy obiegnie wieść, że złamałem słowo? Czy on zostawił mi jakiś wybór?

-Doprowadzilibyśmy rzecz do końca, panie... - Labienus zawiesił głos.

Pompejusz powędrował wzrokiem do naczynia z resztką utartej przed godziną papki.

Miał dość tego człowieka i jego rad. Dobrze pamiętał chwilę, kiedy przysięga wyniosła go do obecnej pozycji.

- Wyjdź, wodzu. Cezar zaoferował dobrą cenę za trzy dni rozejmu. Po trzech dniach

wznowimy wojnę. Ani słowa więcej.

Labienuś sztywno oddał honory.

- Przekażę posłańcowi twoje słowa, panie.

Wreszcie sam, Pompejusz kazał wezwać medyka i zacisnął powieki. Zżerał go ból.

ROZDZIAŁ XVI

Juliusz skończył posiłek i westchnął z zadowoleniem. Każdy wóz każdego legionu

uginął się pod ciężarem wywiezionych z miasta zapasów. Od chwili przybycia do

Grecji ludzie pierwszy raz mogli najeść się do syta. Maszerowali z nową pewnością

siebie i nawet zimny wiatr zdawał się kąsać ich twarze mniej zaciekle.

W namiocie dowódczym jego wozowie w jowialnych nastrojach próbowali greckich

win i zagryzali je mięsem i świeżym chlebem upieczonym z greckiego ziarna. To, że

jedzenie pochodziło z zapasów Pompejusza, dodawało każdemu kęsowi szczególnego

smaku.

Juliusz popatrzył po siedmiu mężczyznach, których zwołał w to miejsce, dumny ze

wszystkich. Wiedział, że nastaną trudniejsze dni, ale dlaczego nie mieli się śmiać i żartować?

Wywiedli Pompejusza w pole, a potem zmusili, by zaakceptował rozejm w

zamian za miasto. To było posunięcie, któremu on i tych siedmiu przyklasnęło

bardziej niż legioniści. Ci czuli się oszukani. Nie wynieśli z miasta własnych łupów.

Ale ich wiara w Juliusza była tak wielka, że narzekania szybko umilkły. Jako żołnierze, cieszyli się z podstępu, który upokorzył ich wroga bez bitwy.

- Przyjaciele! - Juliusz zabębnił palcami po stole, aby przyciągnąć ich uwagę. - Przybyli zwiadowcy. Mamy wieści. - Zasłonił dłonią usta, beknął i uśmiechnął się na

wspomnienie długiego, ciężkiego marszu do miasta. Bogowie sprzyjali jego

przedsięwzięciu i chociaż sam siebie napominał przed nadmierną pewnością siebie,

najświeższe meldunki potwierdziły to, co musiało nastąpić.

188

Imperator

- Armia Pompejusza nie opuściła Dyrrachium. Wódz kontynuuje wznoszenie warowni

i murów obronnych. Dzięki nam zauważył ich przydatność.

Oktawian klepnął Domicjusza po plecach. Juliusz się uśmiechnął. Entuzjazm jego ludzi zawsze podnosił go na duchu.

- W samym mieście mamy tylko Cecyliusza, a ten, działając w pojedynkę, nie jest w stanie nas informować. Jesteśmy zdani wyłącznie na meldunki zwiadowców. Możliwe, że Pompejusz zamierza otoczyć Dyrrachium linią solidnych warowni, zanim stanie w polu raz jeszcze. Możliwe, że całkiem stracił zapał do wojny. To już nie ten sam człowiek. Kiedy pomyślę, jak walczył ze Spartakusem, powiem jedno - zmienił się nie do poznania.

- Postarzał się - zauważył Regulus.

Juliusz spojrział mu w oczy. Wiedział, że Regulus zna Pompejusza jak nikt.

-Jeszcze nie ma sześćdziesiątki, chociaż nie przychodzi mi na myśl żaden inny powód, dla którego przyjmowałby taką obronną strategię. Ma dwa razy tyle żołnierzy co ja,

mimo to tkwi uparcie w Dyrrachium i nie robi nic poza odgradzaniem się od nas murami.

- Może się nas wystraszył - rzucił Oktawian między jednym a drugim kęsem solonego wołu. - W końcu ma do tego powód. Wodziliśmy go za nos po całej Grecji.

Senatorowie odzyskali żony i córki dzięki twojej wielkoduszności i muszą wiedzieć, że mogłeś spalić Dyrrachium, gdybyś tylko chciał.

Juliusz kiwnął głową. Myślał.

-Miałem nadzieję, że do tej pory jakiś jego legion dołączy do nas. Zrobiłem wszystko, poza tym, że nie pojechałem prosić go osobiście, a mimo to wciąż tylko kilku ośmiela się sprzeciwić Pompejuszowi i senatowi. Zwiadowcy donoszą, że więcej niż

osiemdziesiąt głów zdobi jego nowe mury, honorowych mężczyzn, którzy

odpowiedzieli na nasze wezwanie i zostali pochwyceni. Znacznie mniej dotarło do naszych obozów.

- Głowy na murze na nic mu się nie zdadzą - powiedział Domicjusz. - Z każdym

straconym za dezercję traci szacunek następnego. Zabijanie własnych ludzi służy naszej sprawie.

- Mam nadzieję, chociaż życzyłbym sobie więcej udanych prób - westchnął Juliusz. -

Lojalność tamtych ludzi okazuje się trudną do

i

Rozdział XVI

189

pokonania przeszkodą. - Podniósł się na nogi i zaczął krążyć od ściany do ściany

namiotu. - Dopóki nie przerzedzimy jego szeregów, nie zyskamy więcej niż chwilę

wychnienia. Na jak długo starczy nam zdobytego mięsa i ziarna? Pompejusz może

zaopatrywać się drogą morską, podczas gdy my musimy wszystko nieść ze sobą. -

Potrząsnął głową. - Nie wolno nam wpadać w samozadowolenie. Próbowałem pobić

go bez rozlewu krwi, ale sądzę, że nadszedł czas zaryzykować trochę więcej.

Juliusz wziął do ręki pisemny meldunek i popatrzył na słowa na pergaminie raz

jeszcze.

- Aby wznieść te mury, jego legiony musiały się rozciągnąć w ciekłą linię. Na

pozycjach wysuniętych najdalej na wschód stacjonuje tylko sześć kohort. Jeżeli

wezmę jakiś pojedynczy legion, nie obciążony żadnym ciężkim sprzętem, możemy

odciąć je od niego i zmniejszyć jego siły. Co ważniejsze, nasze zdecydowane

zwycięstwo skłoniłoby więcej jego ludzi do przejścia na naszą stronę.

Nastrój w namiocie zmienił się w jednej chwili, gdy tylko zdali sobie sprawę, że dni planowania i strategii były za nimi. Półmiski odsunięto na bok, dzbany z winem

odstawiono. Siedem par oczu śledziło kroki przywódcy, a uczucie dawnego

podniecenia każdemu na nowo prostowało plecy.

- Nie chcę dać się wciągnąć w jakąś poważną operację, panowie. To ma być szybkie

uderzenie i szybki odwrót. Cyronie, być może pamiętasz, w jaki sposób na tej samej ziemi pobiliśmy Mitry-datesa. To właśnie mam na myśli. Zniszczymy te kohorty i wycofamy się, nim Pompejusz zdoła zebrać całą armię.

Przerwał, aby rozejrzeć się po twarzach mężczyzn, którym ufał.

- Domicjusz, obejmiesz dowodzenie nad czterema kohortami i uderzysz na nich z jednej strony, a ja z drugiej. Zaskoczmy ich w ciemnościach i szybko będzie po wszystkim.

- Tak, panie - odrzekł Domicjusz. - Czy cztery kohorty wystarczą?

- Z czterema moimi tak. Mała siła porusza się sprawnie i cicho. Trochę większa, a Pompejusz może mieć czas na przygotowanie kontrataku. Wszystko zależy od szybkiej akcji. Wymaszerujemy po ciemku, rozbijemy ich i znikniemy. - Potarł czubek głowy.

Jeszcze się nad czymś zastanawiał. - No tak, coś takiego może urazić am-

190

Imperator

bicję Pompejusza. Może popchnąć go w pole. Gdyby tak się stało, wszystkie legiony mają wycofać się na południe, aż znajdziemy się w miejscu odpowiednim do obrony.

- A jak nie ruszy się z miejsca? - spytał Cyron.

- Wtedy straci nerwy kompletnie i senat, jak przypuszczam, dokona zamachu i zastąpi go kimś z greckich legionów, a ja zacznę negocjować od nowa. Bez Pompejusza każda

akcja podjęta przez nich będzie nielegalna i na naszą stronę powinno przejść więcej dezertersów. - Chwycił kubek z winem i przepił do swoich ludzi. - Mamy bezksiężycową

noc. W sytuacji, kiedy oni kryją się za murami, inicjatywa należy do nas.

Mimo zimowych ciemności prace przy wznoszeniu murów Pompejusza nie ustawały

ani na chwilę. Żołnierze mozolili się, zmiana za zmianą, pod trzepoczącymi na wietrze pochodniami. Labienus patrzył ponad stokiem, wsłuchany w nawoływania i rozkazy,

podczas gdy jego legion budował kolejny odcinek fortyfikacji wokół Dyrrachium.

- To czyste szaleństwo - mruknął pod nosem.

Choć stał samotnie, rozejrzał się wokół, czy nikt z jego ludzi go nie słyszy. Od czasu, gdy Dyrrachium zostało na powrót przekazane w ręce Pompejusza, Labienus

zauważał, że coraz bardziej nie staje mu cierpliwości ani dyscypliny, którą sam sobie narzucił. Musiał patrzeć, jak Pompejusz niweczy szansę na zakończenie wojny,

marnując ludzi na murach i w warowniach wokół miasta, które już straciło swoją

jedyną prawdziwą wartość. Następne zapasy co prawda już przybiły do portu, ale

marnowanie czasu i sił na ochranianie skrawka wybrzeża, podczas gdy Cezar

przepędza swe wojska wzdłuż i w poprzek Grecji, przeczyło instynktowi

samozachowawczemu Labienusa. W skrytości ducha mówił sobie, że Pompejusz po

prostu jest przerażony. Czy to była choroba, którą daremnie usiłował ukrywać, czy

tylko to, że opuściła go odwaga, nie wiedział. Choć mniejsza o przyczyny, powiedział

sobie. Największa armia, jakiej Grecja nie widziała od pokoleń, słabła albo z

bezczywności w mieście, albo przy budowaniu bezużytecznych linii obrony.

Labienusa irytowało, że lojalne legiony stają się ponure i ner-

Rozdział XVI

191

wowe. Tylko tego ranka Labienus - na rozkaz Pompejusza - przeprowadził egzekucję

kolejnych czterech ludzi. W rejestrze kar zapisano, że zachowali się zuchwałe. To

prawda, jednak dopiero po tym, jak Pompejusz wydał wyrok. Zaczęło się od chłosty za przyniesienie kości na czas pełnienia straży i trzech z nich byli za głupi, by umieć nie okazać złości.

Labienus kurczowo zacisnął pięść. Jednego znał osobiście i z bólem serca musiał

odrzucić jego odwołanie. Zaryzykował prośbę o łaskę, ale Pompejusz raczył go przyjąć dopiero po egzekucji.

Rozumiał, że trudno się nie poddać strachowi, kiedy się -widzi wrogów nawet pośród

własnych ludzi. Ale Pompejusz przenosił swoje rozczarowanie na greckie legiony i

najgorsze ze wszystkiego było to, że żołnierze wiedzieli, co się dzieje, i mieli za co nim pogardzać. Labienus wyczuwał ich nerwowość i narastający gniew. W końcu

najbardziej lojalni żołnierze zbuntowaliby się na takie traktowanie.

W niepewnej atmosferze podejrzeń Labienus bolał nad ryzykiem, do którego go zmuszono. Każda próba zasięgnięcia rady u Pompejusza spełzała na niczym. Wódz zbywał go milczeniem albo nie dopuszczał do siebie. Mimo to rozkazy płynęły swoim trybem i jak zwykle nieprzerwanym strumieniem. Labienus nie mógł pozwolić, by jego podwładni zobaczyli słabość naczelnego wodza. Dla zachowania pozorów każdego ranka wydawał polecenia, naśladowując ton i sformułowania Pompejusza z nadzieją, że dyktator się opamięta i zapanuje nad sytuacją. To była samobójczo niebezpieczna gra, ale wydawało się, że Pompejusza interesują wyłącznie mury obronne, rzucone w grecki krajobraz jak zwałowiska poogry-zanych kości. Przez pośpiech, którego się domagał, ginęli budujący je ludzie i nastrój w legionach psuł się coraz bardziej każdego dnia. Wiedzieli, że ich siły i liczby nie powinny iść na marne, nawet jeżeli sam Pompejusz tego nie wiedział.

Nie dalej jak tego ranka Labienus musiał odesłać swoich trybunów. Ci ludzie poruszyli sprawę zasadności przywództwa Pompejusza. Nie rozumieli, że jemu, Labienusowi, nie wolno wątpić. Jego lojalność, publicznie, musiała być poza wszelkim podejrzeniem, inaczej łańcuch rozkazów zostałby przerwany. To było zbyt niebezpieczne, nawet jak na samą rozmowę, i wciąż roznosiła go złość

192

Imperator

z powodu ich głupoty. Choć jeszcze bardziej niepokoiła go myśl, że jeżeli starsi rangą ośmielają się podnosić taką kwestię - korzenie na pewno sięgają głębiej, po ostatniego żołnierza w ostatnim szeregu.

Labienus przypuszczał, że nie przez przypadek odesłano go na tak dalekie pozycje.

Możliwe, że Pompejusz, człowiek podejrzliwy, już teraz wątpił w jego lojalność.

Labienus zauważał to nieraz, a ostatnio wtedy, kiedy znaleziono jeden z krążących wśród żołnierzy pisemnych apeli Juliusza i Pompejusz, w jego obecności, zawrzał gniewem na zdrajców we własnych szeregach, obiecując bardziej okrutne środki odwetu. Kopiowanie takich listów zaczęto karać śmiercią. Ale i tak się pojawiały. Pompejusz uparł się przeczytać słowa Cezara na głos i brnął przez nie do końca, nie zważając na ślinę i resztki kredowej papki pieniaące się w kącikach jego ust. W następnym dniu zarządził nagłe inspekcje legionów w całym mieście. Najmniejsze niedociągnięcie karał okrutną chłostą.

Labienus nie mógł pozbyć się myśli, która drażyła go od jakiegoś czasu, a której nigdy nie wypowiedziałby głośno; zanim Pompejusz dojdzie do siebie po tym, co go nęka - cokolwiek to jest - może zniszczyć ich wszystkich. Labienus, choć prawie z bólem, rozważał także inną myśl. Wiedział, że przyjdzie czas, kiedy sam będzie musiał nad wszystkim zapanować.

Tak, mógł liczyć na poparcie senatu. Niech tylko ci ludzie sami dojrzeją do tego, by obalić władzę Pompejusza. Dyktatura, którą odnawiali co roku, wygasła za parę dni.

Będzie trwać dalej, jeśli w tych dniach nic się nie wydarzy albo Pompejusz przegra.

Ale jeśli by on, Labienus, na własną rękę podburzył legiony, senatorowie by się sprzeciwili, to pewne. Oni już tacy są. Nastąpi chaos. Jedni pójdą za nim, inni, może liczniejsi, zdezerterują do Cezara. Labienus zadrżał. Powiedział sobie, że to tylko zimno.

Juliusz leżał na plecach na twardej ziemi i czuł, jak przenikają go dreszcze. Ukryty w ciemnościach, bardziej niż w poszyciu krzaków, obserwował prace przy wznoszeniu murów przez pełną godzinę, notując w pamięci każdy szczegół.

Żołnierze, którzy znosili drewno i cegły, nigdy nie oddalali się za daleko od swojej broni. Jedynie to, że nie rozstawiono straży na mile, świadczyło, że czują się

bezpiecznie. Juliusz zagryzł wargi,

Rozdział XVI

zastanawiając się, czy to znaczy, że jakieś większe siły znajdują się dość blisko, by odpowiedzieć na wezwanie ich rogów. Tego nie mógł wiedzieć bez przekroczenia linii

obronnych Pompejusza i dlatego Domicjusz wziął dwa tysiące ludzi Trzeciego i rozstawił ich szerokim kręgiem, od północy. Kiedy Juliusz wyrzuci w powietrze płonące strzały, oni i on wbijają się w obie strony obozu jednocześnie. Przy pomocy bogów zagłada nastąpi prędko.

A jeżeli tam, pośród wrogich szeregów, znajduje się Brutus? Jeżeli przewiduje taki atak? Obaj przeszli jednakową zaprawę w Galii. Czy ostrzeże Pompejusza? Juliusz potrząsnął nerwowo głową, zły, że dopuszcza do siebie takie myśli. Widywał, co przydarzało się tym, których przezorność prowadziła do niezdecydowania. Zacisnął szczęki przed zimnem i skupił się na rzeczach realnych.

W głębokich ciemnościach straże zdawały się znikać między pochodniami wyznaczającymi granice obozu. Mury także były nimi obwiedzione i błyszcząc w ich świetle, ciągnęły się daleko w stronę Dyrrachium.

Popatrzył tam, gdzie wschodziła Wenus. Czekał już dostatecznie długo, by Domicjusz zajął swoje pozycje. Powoli obnażył miecz i w tej samej chwili zaszeleścił każdy krzak.

Żołnierze Trzeciego zrobili to samo. Nie mruknął ni sapnął ani jeden, musiał im to przyznać. Nic nie zakłócało milczenia nocy. Wybrał ich po części dlatego, że byli legionem Brutusa. Wiedział, że muszą się wykrwawić bardziej niż cała reszta.

Doświadczyli sporo szyderstw i poniżenia po zdradzie, której dopuścił się ich wódz, i wciąż się za nią wstydzili. Ta noc miała przywrócić im dumę.

- Przekaż słowo łucznikom - szepnął Juliusz, pochylony tak nisko nad ziemią, że

prawie czuł jej ciężki zapach. Do ataku na obóz przyprowadził całą setkę i teraz tylko czekał, by płonące strzały wzbily się w nocne niebo i zasiały zamęt w szeregach wroga.

Z krzemieni strzeliły iskry. Bystrookie straże mogły zauważyć światło i podnieść alarm, ale tak się nie stało i płomienie w końcu zamigotały szybko wzdłuż linii i

podпалиły setki strzał.

- Teraz! - zawołał, kiedy płonące pociski wzniosły się wysoko w powietrze.

Domicjusz zobaczy je i nadejdzie z drugiej strony, by zniszczyć obóz.

194

Imperator

Juliusz poderwał się na nogi.

- Za mną - powiedział, już biegnąc w dół stoku. Trzeci pobiegł

za nim.

Domicjusz czołgał się pośród głębokiej nocy, mając za przewodnika wyłącznie gwiazdy. Droga, wybrana przez czysty przypadek, zaprowadziła go szczęśliwie za nie

dokończone mury oświetlone pochodniami i światło wroga pozwoliło mu ocenić

własne pozycje. Na obrzeżach nie było straży i jego dwa tysiące nadal pozostawały nie odkryte. Oby tak dalej, modlił się w duchu. Domicjusz wiedział, że Juliusz bez niego nie zaatakuje.

Powierzając mu dowództwo, Juliusz okazał zaufanie, które każdego mogło napawać

dumą, ale Domicjusza przyprawiało o niepokój i napięcie. Zmęczony, przecierając co

chwila szczypiące od potu oczy, przekradał się w ciemnościach przez nieznaną

okolice. Gdy Juliusz da sygnał, powinien znaleźć się na miejscu. I znajdzie się, on to wiedział.

Popatrzył za siebie, na ludzi, którzy szli do ataku. Z twarzami uczernionymi węglem drzewnym, prawie niewidoczni. Kiedy podniosą się do ataku na skrzydło wroga,

będzie wyglądać tak, jakby przyszli znikąd. Domicjusz chrząknął. Zaczepił biodrem o ostry kamień. Zaschło mu w ustach, ale wypad miał być błyskawiczny. Nie zabrali ze

sobą nic i teraz dziękował bogom, że nie musi ciągnąć za sobą, po ziemi, ciężkiego

skórzanego worka czy tarczy. Ich jedynym obciążeniem były miecze i nawet te,

zaplątane w korzenie, utrudniały posuwanie się naprzód.

Podskoczył. Do jego boku przyczołgało się dwóch z wysłanych przodem zwiadowców i

bliźszy wyszeptał:

- Rzeka przed nami, panie.

- Głęboka?

- Na to wygląda, panie. Zastępuje nam drogę.

Domicjusz się skrzywił. Chociaż czas uciekał, kazał ludziom znieruchomieć. Wenus zbliżała się do zenitu i Juliusz, pewny wsparcia Domicjusza, za chwilę ruszy do akcji.

Zgięty wpół, przebiegł sto kroków, aż zatrzymała go szumiąca wstęga czerni. Nagle ogarnął go strach.

- Daleko do drugiego brzegu?

Rozdział XVI

195

- Nie wiem, panie. Kiedy woda sięgnęła mi do piersi, wróciłem, by cię ostrzec - odpowiedział zwiadowca. - Tam jest straszny prąd. Nie przepawimy się, panie.

Domicjusz złapał człowieka za ramiona i niewiele brakowało, by cisnął nim w ciemne fale.

- Przepawimy, bądź pewien! To dlatego wysłałem cię przodem. Uwiąż sznur i ruszaj na drugi brzeg. Ja wracam po ludzi.

Po paru chwilach jego ludzie stali nad wodą i wpatrywali się w ciemności. Mijały minuty. Jego człowiek nie dawał żadnego znaku. Domicjusz zacisnął pięści, raz i drugi. Wymacał sznur uwiązany do zwalonego drzewa i poczuł słabe szarpnięcie. To był błąd. Nie uzgodnił ze zwiadowcą żadnego sygnału i choć nietrudno było nie pamiętać o takich drobiazgach w tak gorących chwilach, teraz musiał czekać nie wiadomo na co. Zwiadowca mógł się utopić. Równie dobrze mógł zawrócić i powoli, trzymając się sznura, brnąć do ich brzegu. Domicjusz jeszcze raz sięgnął do sznura i zaklął pod nosem. Sznur zwisał luźno.

Światła lamp w obozie wroga, na tamtym nieosiągalnym brzegu, wyglądały w

ciemnościach jak krążki złotych monet. Domicjusz patrzył w nie, zmartwiony, długą chwilę.

- Dwaj inni do sznura i do wody - rozkazał w końcu. - Dziesięciu w dół i w górę rzeki.

Znaleźć bród. Musimy się przeprawić.

Kiedy to mówił, nocne niebo przecięły ogniste strzały. Juliusz przystąpił do ataku.

- O, bogowie, nie - wyszeptał Domicjusz.

Labienusa przywrócił do rzeczywistości czyjś głośny krzyk. Kiedy zobaczył ciemne postaci w kałużach światła i krwawą rzeź dokonaną na jego pierwszym legionście, wahał się nie dłużej niż przez ułamek sekundy.

- Dąć w rogi! - zagrział. - Atakują nas! Dąć w rogi!

Zaczął biec ku wrogowi jednocześnie z pierwszymi rozrywającymi nocną ciszę natarczywymi nutami, wiedząc, że musi zapanować nad sytuacją. Potem się zatrzymał i powoli zawrócił na drugą stronę obozu, prosto w bezpieczne ciemności. Zdał sobie sprawę, że reaguje tak, jak spodziewał się po nim Cezar.

- Pierwsza kohorta: bronić zachodu!

196

Imperator

Żołnierze zmienili kierunek na jego rozkaz i dopiero wtedy podbiegł do swojego konia i wskoczył w siodło. Jego legion tworzyli doświadczeni ludzie. W odpowiedzi na

wezwania centurionów śpieszące wokół niego postaci już formowały strukturę szeregów i z pierwszych chwil chaosu zaczęła się wyłaniać pierwsza linia obrony.

Obnażył zęby.

- Bronić wschodu! - ryknął. - Zewrzeć tarcze! Wzniesć włócznie! - Spiął konia i pogalopował przez obóz tam, gdzie szczęk żelaza mieszał się z chichotem śmierci.

ROZDZIAŁ XVII

Juliusz wiedział, że są w opałach. Legion, z którym się zmierzył, nie tracąc czasu, uformował linię obronną i rozpoczął się kontratak. Wszędzie, gdzie spojrzał, widział żołnierzy śpieszących na swoje pozycje. Ktokolwiek nimi dowodził, znał się na swojej robocie, to pewne, i Juliusz wyczuł nagle zachwianie własnych szeregów. Ich atak zaczął słabnąć i zwalniać.

- Naprzód, Trzeci! - rzucił w noc.

Pierwotny plan, zakładający zniszczenie wroga i natychmiastowy odwrót, legł w gruzach. Juliusz nie mógł się wycofać i skazać kohorty Domicjusza na zagładę.

Chociaż moment zaskoczenia został stracony, Juliusz wiedział, że jeżeliby wytrwał odpowiednio długo, Domicjusz zasiałby dreszcz strachu między obrońcami i wciąż jeszcze mógł ocalić atak, a Trzeci miałyby wolne pole do odwrotu. Jednak w liniach wroga nie było żadnej słabości. Juliusz musiał patrzeć, jak jego ludzie są zbijani z nóg i jak coraz liczniejsze szeregi nadciągają z pomocą dla obrońców. To była rzeź.

Od linii śmierci oddzielały Juliusza trzy szeregi ludzi. Widział, jak żołnierze - im więcej ich pada - oglądają się na niego, chcąc, by zarządził odwrót. Ziemia była pokryta ciałami o usmolonych na czarno twarzach i w zimnie otwarte rany wyraźnie parowały; rzymska krew użyźniała grecką glebę.

Juliusz czekał, coraz bardziej zrozpaczony. Domicjusz musiał nadejść wkrótce, inaczej stracą wszystko.

- Łucznicy! Ponowny sygnał! - zagrzmiął rozkazem, chociaż wielu z nich już nie żyło.

198

Imperator

W legionistów, którzy go usłyszeli, wstąpił nowy duch, lecz bez tarcz ich pozycje były nie do obrony i ludzie Pompejusza wykorzystali przewagę, taranując ich własnymi

tarczami, powalając i łamiąc kości podkutymi sandałami. Juliusz skrzywił się, słysząc krzyki, i równo z tym, jak płonące strzały popłynęły nad ich głowami raz jeszcze,

wyczuł w swoich ludziach jakąś zmianę. Nie widział, gdzie to się zaczęło, lecz tam, gdzie szeregi jeszcze trzymały pozycje, tam nagle zawróciły i rzuciły się do ucieczki.

Juliusz stał, nie wierząc własnym oczom. Żołnierze, których własnoręcznie uczył wojennego rzemiosła, omijając go z jednej i drugiej strony, pędzili przed siebie na oślep. Na nic się zdały wściekle rozkazy centurionów. Trzeci doznał porażki i przerażenie wzięło górę nad rozsądkiem.

Gdzieś z daleka, z tętentem końskich kopyt, nadjeżdżała odsiecz. Juliusz zamarł; nadchodził Pompejusz i jego ludzi czekał pogrom. Niewiele myśląc, wyrwał z rąk mijającego go w biegu żołnierza proporzec Trzeciego legionu.

- Trzeci do mnie! - ryknął, wymachując drzewcem na wszystkie strony.

Tłum biegnących mężczyzn nie przerwał ucieczki, podczas gdy ciemna masa jeźdźców rosła w oczach i Juliusz już wiedział, że kiedy zaatakują, czeka go śmierć. Pośród szalejącej kipieli pogromu poczuł, jak spływa na niego nieziemski spokój. Nie mógł zmobilizować Trzeciego. Wiedział, że wkrótce zostanie sam. Nagle rozboleły go ramiona. Ciekawe, pomyślał, jak Brutus przyjmie wieść o jego śmierci. W morzu innych żalów ten był pierwszy, ale oto ziemia się zatrzęsła, wypluwając z ciemności tysiące wyborowych Pompejusza.

Prawie nie zauważył, że kilku z Trzeciego odpowiedziało na jego rozkaz i zwarło szereg. To nie miało znaczenia. Tak samo jak to, że powietrze rozdarł kolejny jęk rogów i rozpędzeni jeźdźcy osadzili konie w miejscu. Nie liczyło się już nic. Nie mógł tamtych zwieść ani prześcignąć, ani przed nimi uciec. Czekał na swój koniec i tylko się dziwił brakowi jakichkolwiek wzruszeń. Katastrofa spadła na niego za szybko, by mógł zrozumieć nagłą odmianę fortuny. Pompejusz nie miał innych przeciwników w Rzymie. Marek Antoniusz zostanie odsunięty na bok, wygnany czy po cichu zabity.

Rozdział XVII

199

Juliusz, ciężko dysząc, oparł się na drzewcu proporca. Nie odezwał się do otaczających go w ciemności mężczyzn. Gardził nimi. Poznał strach zbyt dawno temu, żeby go

pamiętać, tak jak nie pamiętał, od kogo pobierał najtrudniejsze lekcje odwagi. Może od Re-niusza. Może od ojca. Może od Tubruka, który ze stoickim spokojem znosił

wszystkie przeciwności losu. Nieważne, jak wiele człowiek dokona, wszystko jest nic niewarte, jeżeli jego czynami rządzi strach. Że ktoś się boi bólu? Bólowi należy stawić czoło i zdusić go w sobie. Poza tym co to jest ból? Rany się zablizniają. Rany nie

przynoszą wstydu. Juliusz widział mężczyzn, którzy mimo potwornych okaleczeń

wciąż mieli w sobie dumę. Nosili swoje blizny z taką samą odwagą, z jaką na nie zapracowali.

Podniósł głowę wysoko, kiedy szeregi jeźdźców zafalowały, czekając na rozkaz, który rzuci ich ku niemu. On nie krzyknie. Nie ucieknie.

Pompejusz jechał na czele swoich jeźdźców w ciemnościach i ze wzrokiem zamglonym

bólem. Przerwał przegląd oddziałów, aby pospieszyć z odsieczą, gdy tylko wiatr

przywiał z oddali płaczliwy jęk rogów, i teraz na widok uciekających legionistów

Juliusza wpatrywał się w noc, mrużąc niedowierzająco oczy.

Na spienionym wierzchołku przygalopował ku niemu Labienus, oddając honory w biegu.

- Co się stało? - spytał Pompejusz.

- Nocny napad, panie. Odparliśmy ich. Atak jazdy rozstrzygnął rzecz do końca.

Obaj mężczyźni popatrzyli przez obóz w stronę znikającego w ciemnościach wroga.

Samotna daleka postać powiewała proporcem i to przyciągnęło wzrok Pompejusza.

Mężczyzna, który wbił godło legionu w twardą ziemię, stał nienaturalnie cicho,

zwrócony ku jeźdźcom białą plamą twarzy. Pompejusz zmarszczył podejrzliwie czoło.

- To zwycięstwo, panie - powiedział Labienus ponagłajaco. - Za twoim pozwoleniem

wzmę wyborowych i najadę tamtych.

- Nie, Labienusie, nie. To pułapka, jestem tego pewny. Słyszałeś kiedykolwiek, żeby legiony Cezara uciekały w strachu? On chce nas jedynie wciągnąć w noc, w coś, co tam czeka. Nie, trzymaj obronione pozycje aż do świtu.

Imperator

Labienus syknął powietrzem przez zaciśnięte zęby. Próbował nad sobą zapanować.

- Panie, nie wierzę w żadną pułapkę. Oni stracili całe setki przeciw moim szeregom.

- A on wysłał trzech na śmierć w moim namiocie, tylko po to, by rozpowszechnić kłamstwa pośród lojalnych szeregów, Labienusie. Powinno ci to mówić o jakości tego człowieka. To oszust, a ja nie dam się oszukiwać. Słyszałeś moje rozkazy.

Oczy Pompejusza były nieprzejednanie zimne. Labienus wiedział, że albo musi go zabić, albo posłuchać. Innego wyboru nie było.

- Tak, panie - rzekł, spuszczać głowę. - Każę moim ludziom zawrócić.

Pompejusz, mimo bólu, który przetaczał się przez niego jak wielkie fale przyływu, nie mógł nie zauważyć strapienia swojego wodza. Zmusił się do kilku słów pochwały.

- Świetnie się spisałeś, wodzu. Nie zapomnę twojej lojalności.

Popatrzył jeszcze raz w stronę samotnie trwającego przy legionowym proporcu człowieka, ale ten właśnie się odwrócił i dał się połknąć ciemnościom. Proporzec powiewał dalej niewyraźną smugą kolorów. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Labienusa, Pompejusz nawrócił koniem i odjechał. Jego jeźdźcy ruszyli za nim.

Labienus wiedział, że ci ludzie są tak samo rozczarowani jak on. To nie była pułapka.

Labienus widział dość bitew, by umieć rozpoznać moment, kiedy wróg się załamuje.

Czasem wystarczy, by cisnął mieczem o ziemię jeden jedyny tchórz. Czasem, niby na niewidzialny sygnał, odwaga opuszcza całe szeregi. Opuszcza ludzi, którzy godzinę wcześniej nie znali uczucia strachu. Wpatrzony w ciemność zacisnął gniewnie pięści.

Jego zastępca stał wyczekująco u jego boku, ale Labienus nie śmiałby zdradzić swoich myśli.

W końcu skrył swoje uczucia pod sztywną maską dowódcy.

- Niech ludzie rozłożą się obozem wokół obwarowań - rozkazał. - To spowolni prace,
ale jakie to ma znaczenie?

Zacisnął usta, żeby nie powiedzieć za dużo. Zastępca oddał honory i odszedł, by podać rozkazy dalej. Labienus czuł na sobie spojrzenia żołnierzy. Zastanawiał się, ile

rozumieją z rozegranej przed chwilą bitwy.

200

Imperator

Labienus syknął powietrzem przez zaciśnięte zęby. Próbował nad sobą zapanować.

- Panie, nie wierzę w żadną pułapkę. Oni stracili całe setki przeciw moim szeregom.

- A on wysłał trzech na śmierć w moim namiocie, tylko po to, by rozpowszechnić
kłamstwa pośród lojalnych szeregów, Labienusie. Powinno ci to mówić o jakości tego
człowieka. To oszust, a ja nie dam się oszukiwać. Słyszałeś moje rozkazy.

Oczy Pompejusza były nieprzejednanie zimne. Labienus wiedział, że albo musi go
zabić, albo posłuchać. Innego wyboru nie było.

-Tak, panie - rzekł, spuszczając głowę. - Każę moim ludziom zawrócić.

Pompejusz, mimo bólu, który przetaczał się przez niego jak wielkie fale przyływu,
nie mógł nie zauważyć strapienia swojego wodza. Zmusił się do kilku słów pochwały.

- Świetnie się spisalesz, wodzu. Nie zapomnę twojej lojalności.

Popatrzył jeszcze raz w stronę samotnie trwającego przy legionowym proporcu
człowieka, ale ten właśnie się odwrócił i dał się połknąć ciemnościom. Proporzec
powiewał dalej niewyraźną smugą kolorów. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na

Labienusa, Pompejusz nawrócił koniem i odjechał. Jego jeźdźcy ruszyli za nim.

Labienus wiedział, że ci ludzie są tak samo rozczarowani jak on. To nie była pułapka.

Labienus widział dość bitew, by umieć rozpoznać moment, kiedy wróg się załamuje.

Czasem wystarczy, by cisnął mieczem o ziemię jeden jedyny tchórz. Czasem, niby na

niewidzialny sygnał, odwaga opuszcza całe szeregi. Opuszcza ludzi, którzy godzinę wcześniej nie znali uczucia strachu. Wpatrzony w ciemność zacisnął gniewnie pięści. Jego zastępca stał wyczekująco u jego boku, ale Labienus nie śmiałby zdradzić swoich myśli. W końcu skrył swoje uczucia pod sztywną maską dowódcy.

- Niech ludzie rozłożą się obozem wokół obwarowań - rozkazał. - To spowolni prace, ale jakie to ma znaczenie?

Zacisnął usta, żeby nie powiedzieć za dużo. Zastępca oddał honory i odszedł, by podać rozkazy dalej. Labienus czuł na sobie spojrzenia żołnierzy. Zastanawiał się, ile rozumieją z rozegranej przed chwilą bitwy.

Rozdział XVII

201

- To była dobra robota - pochwalił ich impulsywnie. - W końcu zraniliśmy Cezara. Żołnierze zakrzyknęli radośnie, ucieszeni pochwałą wodza, i do szeregów zaczął wracać porządek. Kohorta, którą wysłał na zachód, właśnie się pojawiła, nie zmęczona i pełna blasku w porównaniu z tymi, którzy zostali na miejscu. Choć nie było to potrzebne, i dla nich znalazł kilka ciepłych słów, a potem wrócił do swojego namiotu, by spisać oficjalny meldunek. Przez długi czas siedział w świetle jednej lampy i wpatrywał się w pustą przestrzeń.

Juliusz włókł się noga za nogą w zimnych ciemnościach. Potykał się ze zmęczenia i każdy krzak i cień zdawał się stawać mu na drodze i utrudniać posuwanie się naprzód. Wielu z Trzeciego legionu dołączyło do niego, choć odpowiedź, gdzie podziła się reszta, znali jedynie bogowie. To była najgorsza porażka, jaką widział od lat. Odrętwiali i oszołomiony, nie mógł zrozumieć, co się stało. Kiedy jazda nie zaatakowała, porzucił swoje pozycje, zostawił proporzec, zatknięty drzewcem w ziemi, i obrócił się plecami do Pompejusza. Nawet wtedy oczekiwał, że go stratią.

Rozpoznał dyktatora, otoczonego blaskiem pochodni i spowitego w czerwony, targany wiatrem płaszcz. Łatwo mógł sobie wyobrazić jego szaloną radość, gdyby mu

przyniesiono ciało Juliusza. Przez chwilę wydawało mu się, że Pompejusz patrzy prosto na niego. Ale potem pozwolono mu zniknąć w cieniach nocy i udać się w bezpieczną przystań własnych linii.

W pobliżu zadudniły kroki maszerujących szeregów. Juliusz wyciągnął miecz przekonany, że w końcu nadchodzą ludzie Pompejusza. Na widok Domicjusza nie odezwał się; nie był zdolny wymówić słowa do żadnego z jego ludzi. Legioniści Trzeciego ściągnęli hańbę sami na siebie. Wiedzieli to i maszerowali przez wertepy z głowami pochylonymi w cichej niedoli, nierównym krokiem, w chaotycznie przemieszanych szeregach, bardziej przypominając zbiorowisko niedobitków niż zdyscyplinowane wojsko. Nie padały żadne rozkazy. To było tak, jakby porażka odarła ich z wszelkich praw do bycia żołnierzami Rzymu. Juliusz jeszcze nigdy nie widział tak przygnębionej grupy ani nie miał żadnego współczucia dla któregokolwiek z nich.

202

Imperator

Do czasu, nim się zbliżyli do głównego obozu, wstał dzień i wraz z jego szarym światłem Juliusz w końcu uwierzył, że Pompejusz stracił zimną krew. Nie było innego wytłumaczenia. Domicjusz próbował coś powiedzieć, lecz zmierzony piorunującym spojrzeniem ucichł szybko. Straże nie zatrzymały ich w bramach ani nie spytały o wieści. Żałosne miny i wleczone po ziemi włócznie mówiły same za siebie.

Juliusz wszedł do namiotu, cisnął hełm i miecz o podłogę i usiadł przy stole z rozłożoną mapą. Na chwilę podparł głowę dłońmi, rozważając ostatnie wydarzenia.

Był przerażony, kiedy poczuł na sobie spojrzenie Pompejusza, rzucone z drugiej strony obozu, ale być przerażonym to żaden wstyd. Mężczyźni potrafią przetrwać niejedno, pocąc się ze strachu. Potrafią oprzeć się bólowi, wyczerpaniu i słabości.

Potrafią zdusić to wszystko w sobie i stać w jednym szeregu pośród innych. Na tym polegała siła Rzymu i jego ludzie o tym wiedzieli równie dobrze jak on. A jednak

Trzeci uciekł.

Odgłos kroków kazał mu się wyprostować i nabrać do płuc dużo powietrza. Pierwszy szedł Cyron, za nim Regulus, Oktawian i Domicjusz. Na tego ostatniego Juliusz popatrzył oczami bez wyrazu. Czy on też stracił odwagę tej nocy?

Usmolony węglem i brudny Domicjusz wyglądał na krańcowo zmęczonego. Wyciągnął miecz i położył go na stole Juliusza.

- Panie, proszę, byś zwolnił mnie z dowodzenia - powiedział, ale nie doczekawszy się reakcji wodza, mówił dalej. - Ja... nie mogłem dotrzeć na czas na wyznaczone pozycje, panie. To mnie nie usprawiedliwia. Zrezygnuję ze swego stanowiska i wrócę do

Rzymu.

- Gdyby na czele naszych wrogów stał człowiek, który wie, jak zwyciężać, już bym nie żył - stwierdził spokojnie Juliusz.

Domicjusz patrzył prosto przed siebie. Milczał.

- Powiedz mi, co się stało - zażądał Juliusz. Jego wódz wziął głęboki oddech.

- Napotkaliśmy rzekę za głęboką, by pokonać ją wplaw, panie. Zobaczyłem umówiony sygnał, kiedy stałem na tamtym brzegu. Zanim znaleźliśmy przeprawę, legiony

Pompejusza odpowiedziały na wezwanie rogów i było za późno. Choć i wtedy mogłem jeszcze atakować. Nie zrobiłem tego z własnego wyboru. Przekroczyliśmy

Rozdział XVII

203

rzekę i oto jesteśmy. - Nie powiedział, że zaatakowanie legionów Pompejusza byłoby samobójstwem. Rozkazy nie pozwalały na samodzielne podejmowanie decyzji. Juliusz zabębnił palcami po stole.

- Czy wiesz, dlaczego Pompejusz wstrzymał atak? - Widziałem, jak rozmawiał ze swoimi dowódcami, ale byli za

daleko i głosy ulatywały z wiatrem - odrzekł Domicjusz zawstydzony, że nie potrafi

dostarczyć nawet skrawka informacji.

-Jeszcze nie postanowiłem o twoim losie, Domicjuszu. Teraz wyjdź i zbierz Trzeci przed tym namiotem. Każ mojemu Dziesiątemu doprowadzić ich jako więźniów.

Domicjusz oddał honory trzęsącą się dłonią. Juliusz odczekał, aż opadnie za nim poła namiotu. Dopiero wtedy zwrócił się do pozostałych.

- Nigdy nie myślałem, że zobaczę własny legion uciekający w przestrachu. - Popatrzył na swoich wodzów, lecz ci nie śmieli odwzajemnić mu spojrzenia. - Trzymałem porządek legionu, a moi legioniści go zignorowali. Ominęli mnie. - Potrząsnął głową, przypominając sobie tę gorzką chwilę. - Zostawiłem legionowe godło dla Pompejusza. Pozbawił ich honoru, równie dobrze może mieć ich porządek.

Na zewnątrz rozległy się okrzyki i tupot nóg. Zbierał się Dziesiąty i Trzeci. Juliusz siedział, wpatrzony w jeden punkt. Jego wodzowie czekali. Porażka zdawała się go postarzać i kiedy wstał w końcu, oczy miał puste i zmęczone.

- Zajmijcie swoje miejsca, panowie. Dzień musi toczyć się swoim torem - powiedział, wskazując wyjście. Cyron, Regulus i Oktawian bez słowa opuścili namiot, a on wyszedł za nimi w blade słońce.

Trzeci legion stał cichymi szeregami na zmarzniętej ziemi. Wielu wciąż miało na twarzach sadze, chociaż większość już je wytarła. Mieli ze sobą tarcze i miecze i czekali jak skazańcy na egzekucję, ze strachem w oczach.

Za ich plecami stał Dziesiąty; starsi i twardsi mężczyźni. Juliusz pamiętał czas, gdy niektórzy z nich, walcząc przeciw Spartakusowi, uciekli z pola bitwy. Ciekawe,

pomyślał, czy śni im się po nocach tamten krwawy dzień, kiedy Pompejusz rozkazał zdziętkowanie ich szeregów. Żołnierzy odliczono i co dziesiąty został pobity na

204

Imperator

śmierć pięściami najbliższych przyjaciół. W tamtym czasie był to najokrutniejszy z

okrutnych czynów, jakim Juliusz przypatrywał się na własne oczy, choć to dzięki niemu utworzył swój Dziesiąty i dał mu taką, a nie inną nazwę.

Trzeci legion czekał na jego słowa w milczeniu. Zimny wiatr przewiewał szeregi.

Juliusz dosiadł konia.

- Walczyliście ze mną w Galii. Czy mam wymienić tamte plemiona i tamte bitwy?

Helwetowie, Swebowie, Belgowie, Nerwiowie, czy wystarczy? Walczyliście ze mną w

Gergowii, Alezji, przeciw Wer-cyngetoryksowi i walczyliście w Brytanii. Byliście ze mną, kiedy wybaczyłem strażom z Korfinium. Wzięliście ze mną Dyrrachium. -

Przerwał zdjęty odrazą i zamknął na chwilę oczy. - Uciekając, zostawiliście swój honor na polu bitwy. Ostatniej nocy wasze wszystkie poprzednie czyny zamieniły się w

popioły. Znieważyliście i zawstydziliście mnie, a przecież nigdy nie sądziłem, że

przyjdzie mi dożyć takiej chwili. Nie przez was. Tylko mój Dziesiąty został dłużej u mego boku.

Z wysokości końskiego grzbietu Juliusz omiół krótkim spojrzeniem wszystkie szeregi.

Oczy żołnierzy były puste, ale kilku trzęsło się, jak przed ojcem, który poucza

skruszonych i zawstydzonych synów.

- Przegraliście życie - powiedział, zmuszając się do surowego tonu. - Za tchórzostwo jest tylko jedna cena.

Oktawian dosiadł konia i mijając milczące linie, podjechał do Juliusza. Wychylił się do przodu.

- Panie - powiedział półgłosem - Dziesiąty ma niedobory w żołnierzach. Pozwól im

wybrać najlepszych spośród tych tutaj.

Juliusz popatrzył na swojego krewniaka zaczerwienionymi oczami i po chwili

zastanowienia przytaknął. Podniósł głowę, by przemówić do Trzeciego raz jeszcze.

- Nie spłodziłem synów. Nie potrzebowałem ich, mając was. Zakończmy to, co było

między nami. Zaszliśmy za daleko. - Odchrząknął i podniósł głos jak mógł najbardziej.

- Mojemu Dziesiątemu brakuje ludzi. Przejdą między wami i kilku z was dopełni ich

szeregi. Resztę się zdziesiątkuje. Ci, co przeżyją, zajmą miejsca zabitych na polach chwały. W chwili

obecnej jesteście bezużyteczni.

Szeregi Trzeciego zafalowały śmiertelnym przerażeniem. Juliusz

Rozdział XVII

205

wyłowił z pomruku błagalną nutę i to jedynie usztywniło jego stanowisko.

- Dziesiąty wystąp! Wybrać najlepszych. Dopilnować tego, co nastąpi potem.

Nie odwrócił wzroku, kiedy centurionowie Dziesiątego wystąpili spośród swoich szeregów. Był wyczerpany i przepełniała go rozpacz. Nie dalej jak kilka godzin temu zginęły lub trafiły w ręce wroga setki jego ludzi. Jednak wciąż pozostawało mu więcej niż trzy tysiące weteranów. Nie mógł rozwiązać ich tutaj, tak daleko od Rzymu. Żeby przeżyć, napadaliby na wsie i miasteczka Grecji. Zesłałby plagę na rzymskich

obywateli. Polowano by na nich i mordowano. Nie miał wyboru. Musiał naznaczyć

rozpoczynający się dzień ich krwią. Uciekli z pola bitwy.

Dowódcy Dziesiątego dokonywali wyboru szybkim dotknięciem ramienia. Każdy wybrany żołnierz otrząsał się, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało, po czym, zostawiając po sobie puste miejsce w szeregach, odchodził do Dziesiątego, z

jednakowo wielkim upokorzeniem, jak z ulgą.

Kiedy akcja zaczęła się przeciągać, Juliusz spojrzał podejrzliwie na Oktawiana.

Młodszy mężczyzna wpatrywał się w niego, sztywny z napięcia, i kiedy Juliusz otworzył usta, by rzucić rozkaz „dość”, potrząsnął nieznacznie głową. W oczach miał błaganie. Juliusz przeniósł wzrok na legiony i nie powiedział nic.

Wybranych mężczyzn uformowano w trzecią grupę i ustawiono obok Dziesiątego.

Oficerowie zinterpretowali rozkazy Juliusza na swój sposób. Cezar zgadywał, że za tym pomysłem stoi Oktawian. Jedyne, co mógł zrobić, to obserwować, jak kolejny żołnierz, poklepany w ramię, maszeruje na nowe pozycje. Po Trzecim został pusty plac i Juliusz zobaczył rysującą się w twarzach nadzieję.

Skinął na Oktawiana, by podjechał bliżej. Pochylił się ku niemu.

- No więc, co zrobiłeś? - spytał półgłosem.

- Teraz ich życie, panie, należy do Dziesiątego - odpowiedział Oktawian. - Pozwól, proszę, by tak zostało.

- Podkopałeś mój autorytet - syknął Juliusz. - I co, nie zamierzasz ich ukarać?

- Trzeci legion już nie istnieje, panie. Ci ludzie są na powrót twoi. Daj im szansę, a nigdy ci tego nie zapomną.

206

Imperator

Juliusz przyjrzał się uważnie Oktawianowi; zauważał nie pierwszy raz, jak daleko

zaszedł tamten dziesięciolatek, mały chłopiec, którego znał wiele lat temu. Wojownik i wódz stojący przed nim dawno wyrósł z wieku młodzieńczego. Juliusz dał się zwieść,

wiedział o tym, ale czerpał dziwną dumę z poczucia, że manipuluje nim człowiek, w którego żyłach płynie jego krew.

- Zatem są twoi, wodzu. Domicjusz poprowadzi Dziesiąty. Oktawian przesunął się niespokojnie w siodle.

- Uczynisz mu ten zaszczyt, panie? Juliusz potaknął.

- Jak widać, wciąż potrafię cię zaskoczyć. Na razie jednak to jedyne wyjście. Nasz

„nowy” legion dla ciebie zrobi wszystko, bo to ty ich ocaliłeś. Gdybym Domicjuszowi pozwolił dowodzić ludźmi o mniejszym morale niż mój Dziesiąty, ten człowiek

straciłby twarz, a to rozprzęgłoby jego wewnętrzną dyscyplinę. Dać mu Dziesiąty, to znaczy nie obarczać go winą za porażkę. - Przerwał, chwilę milczał. - Bo go nie

obarczam. Planując tamten atak, powinienem pomyśleć o przeszkodach na drodze i

uzgodnić inny system sygnałów. Za późno na żale, ale odpowiedzialność za to, co się stało, jeśli spada na niego, spada także na mnie.

Oktawian, widząc, że udał mu się podstęp z ocaleniem Trzeciego, wyraźnie się

odprężył. Postawił Juliusza przed wyborem: albo upokorzy i Oktawiana, i Dziesiąty,

albo zrobi z tego jak najlepszy użytek. Juliusz cenił sobie pomysłowość innych jak

żaden rzymski dowódca.

- Masz dla nich imię? - spytał ciekaw, czy Oktawian przemyślał rzecz od początku do końca.

Oktawian odpowiedział natychmiast.

- To będzie Czwarty Grecki, panie.

-Jeden już się tak nazywa - skwitował chłodno Juliusz. - Ten, z którym walczyliśmy tej nocy. Dowodzi nim Labienus.

- Wiem, panie. Kiedy następnym razem moi ludzie spotkają się z tamtym, będą walczyć na śmierć i życie. Zechcą zachować imię dla siebie - powiedział Oktawian, zerkając ukradkiem na twarz Juliusza, aby wyczytać z niej aprobatę.

Juliusz wyciągnął dłoń i klepnął go po ramieniu.

- To mi się podoba - powiedział - ale jeżeli jeszcze raz uciek-

Rozdział XVII

207

ną, ukrzyżuję ich co do jednego. Ciebie, Oktawianie, też nie ocalę. Nadal chcesz nimi dowodzić? Oktawian się nie wahał.

- Chcę, panie - odrzekł. Oddał honory, zgarnął wodze i pokłusował z powrotem do szeregów.

Juliusz został sam.

- Mój Dziesiąty kupił dla was nowy honor - zadudnił wielkim głosem nad szeregami. -

Jeżeli legionieści zobaczą, że jesteście tego warci, nie będę się sprzeciwiał. Trzeci już nie istnieje, a jego imię zostanie wymazane z list senatu po naszym powrocie do

Rzymu. Nie pójdzie za nim historia. Jedyne, co mogę wam ofiarować, to nowy

początek i nowe imię. Czwarty Grecki. Wszyscy wiemy, że noszą je ludzie, którzy tej nocy stanęli z wami twarzą w twarz. Macie je po nich. Kiedy spotkacie się w bitwie, odzyskacie swój honor razem z imieniem.

Żołnierze, których uchroniono przed zdziesiątkowaniem, z ulgą podnieśli głowy.

Wielu zadrżało, czując wielkość chwili. Juliusz poczuł satysfakcję; dokonał właściwego wyboru.

-Wódz Domicjusz jest wolny od winy. Na znak, że darzę go szacunkiem, będzie dowodził Dziesiątym. Wódz Oktawian poprosił

o dowodzenie Czwartym i ja na to przystaję. Czwarty ma pamiętać, że jego życie

zrodziło się z honoru mojego Dziesiątego i że ten honor ma nieść ze sobą dalej. Nie przynieście wstydu Dziesiątemu.

Omiótł spojrzeniem tysiące stojące przed nim i poczuł się obmyty ze wstydu za minioną noc, przynajmniej po części. Wiedział teraz, że Pompejusz stracił dawną odwagę. Pompejusza da się pobić.

Labienus stał nieruchomo na placu ćwiczeń w Dyrrachium. Przed nim, w czerwonym pyłe, klęczało ponad dwustu żołnierzy z Trzeciego legionu Cezara, ze związanymi za plecami dłońmi

i twarzami pochylonymi przed wiatrem, który nawiewał im w oczy kłujące drobiny piasku.

Labienus wciąż pałał gniewem do człowieka obserwującego całe postępowanie z grzbietu wspaniałego hiszpańskiego wałacha. Znał jednak swą powinność i nie zawahał się z wydaniem rozkazu do rozpoczęcia egzekucji. Dwunastu dowódców przebywało pod

208

Imperator

strażą w innych kwaterach i z tych, torturami, miano wydobyć informacje. Reszta miała służyć za przykład.

Labienus spojrzał na Pompejusza. Czekał na sygnał. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że trzy legiony zebrane na placu z jego rozkazu nie muszą oglądać kolejnych potoków

rzymskiej krwi. Żołnierze mieli dość przelewania własnej, by dzisiejsze widowisko miało nauczyć ich czegoś nowego. Ono nie jest dla nich, pomyślał. Jest dla Pompejusza. Być może coś temu starcowi podszeptywało, że nie pozwalając atakować wyborowym, postąpił niemądrze. O pierwszym brzasku Labienus wysłał swoich tropicieli śladów i ci nie znaleźli nic, co by świadczyło o obozowaniu w pobliżu większej siły. Dobrze wiedział, że informacja o tym przeniknie do szeregów i morale ludzi osłabnie jeszcze bardziej.

Kiedy spojrzenia obu się spotkały, Labienus zdał sobie sprawę, że to jego Pompejusz obserwuje i być może odgaduje jego myśli. Pospiesznie oddał honory, by pokryć zmieszanie. Pompejusz wyglądał tak, jakby jeden silniejszy powiew wiatru miał go strącić z konia, a napięta na sterzących kościach skóra dziwnie pożółkła. Pomyślał, że wódz umiera, ale dopóki senat nie odwoła jego dyktatury, dopóty on, nie kto inny, będzie decydował o życiu i śmierci ich wszystkich.

Pompejusz szarpnął głową i Labienus odwrócił się do pięciu mężczyzn, których wyznaczono do tego zadania. W ich twarzach nie było zachwyty, choć tę piątkę wybrał osobiście spośród swoich szeregów i choć każdy cieszył się okrutną sławą bezwzględnego mordercy.

- Zaczynajcie - powiedział.

Czterech wystąpiło do przodu, z obnażonymi sztyletami, ale piąty się zawahał.

- Panie, to niesłuszne. To przecież Rzymianie.

- Zamilcz - warknął Labienus. - Centurionie! Do mnie! Żołnierz potrząsnął głową na widok zbliżającego się dowódcy.

- Wybacz, panie. Ja tylko myślałem...

- Ten człowiek sprzeciwił się mojemu rozkazowi. Dołącz do innych - uciał krótko Labienus.

Żołnierz otworzył usta do krzyku, ale centurion uderzył go pięścią, by nie okrył

legionu jeszcze większą hańbą. Kolejne dwa ciosy powaliły mężczyznę na kolana i

Labienuś przyglądał się bezna-

Rozdział XVII

209

miętnie, jak odbierają mu broń i krępują ramiona na końcu szeregu jeńców. Ci nie spojrzeli na niego.

Labienuś oddychał powoli. Chciał w ten sposób uspokoić rozszalały puls. Pompejusz tak samo jak on był świadkiem zajścia, lecz wydawało się, że naczelny wódz postanowił je zlekceważyć. Labienuś zacisnął pięści za plecami. Legionista grzeszył zuchwałością i w spokojniejsze dni kazałby go wychłostać, ale Pompejusz, przez głupotę jednego żołnierza, był w stanie przeprowadzić egzekucję całej centurii.

Uniknięto przynajmniej tego i Labienuś ofiarował bogom cichą modlitwę. Oby go wspierali do końca dnia.

Czterech pozostałych katów bez ociągania przystąpiło do swojego zajęcia. Zaszli

klęczących jeńców od tyłu i jednym okrągłym ruchem zaczęli podrzynać gardło po

gardle. Jedno krótkie szarpnięcie, po nim jedno pchnięcie, umierający padał na twarz, i ruszali dalej. Czerwony pył na polu ćwiczeń zrobił się jeszcze czerwiejszy od krwi, aż ziemia się przepełniła i nie mogła przyjąć ani kropli więcej. Wtedy krew, powolnymi strugami, rozpełzła się na wszystkie strony, jak konary zwałonego na ziemię

czerwonego drzewa.

Pompejusz odczekał, aż śmiertelne drgawki ogarną ostatniego z jeńców. Dopiero wtedy przyzwał Labienusa.

- Senat domaga się spotkania ze mną, wodzu. Dziwne, że tak szybko i tak

bezpośrednio po wydarzeniach ostatniej nocy, nie sądzisz? Zastanawiam się, czy przypadkiem ktoś spośród twoich szeregów nie doniósł im, co się stało.

Labienuś wytrzymał jego spojrzenie, nie śmiejąc mrugnąć. Pomyślał o liście, który

napisał i zostawił nie podpisany, ale nie pokazał po sobie niczego. Było za późno, by tego żałować.

- To niemożliwe, panie. Nie spuszczałem z nich oka od powrotu do obozu.

Pompejusz chrząknął i wzruszył ramionami.

- Możliwe zatem, że chodzi o potwierdzenie mojej dyktatury. Za dwa dni należy ją odnowić, choć to czysta formalność. Twój ludzie muszą wrócić do prac na murach, wodzu. Ale najpierw niech spalą te ciała.

Labienus patrzył za opuszczającym pole parad Pompejuszem, żałując, że nie może słyszeć, co mu powie senat. Podejrzewał, że ta chwila ukształtuje przyszłość.

ROZDZIAŁ XVIII

Ośmielacie się sugerować, że sobie nie radzę?! - krzyknął Pompejusz, czerwony na twarzy. - Moje zdrowie nie ma tu nic do rzeczy.

Ściągną ramion napięły mu się jak postronki, kiedy stojąc twarzą w twarz z senatem, kurczowo ścisnął krawędź rostry. Sala obrad była przepełniona i wielu poderwało się na nogi, gotowych do zabrania głosu, lecz to nie była rzymska kuria z jej tradycyjnym porządkiem obrad. To było greckie Dyrrachium i tu panował chaos. Pompejuszowi

przerwano już dwa razy. Gdyby dysponował choć jeszcze jednym miesiącem do chwili odnowienia dyktatury, wyszedłby, zostawiając ich samym sobie. Tymczasem ci starcy doskonale wiedzieli, jak daleko sięgają ich wpływy, i wyglądało na to, że są zdecydowani z nich skorzystać.

Kiedy Cynceron podniósł oczy znad trzymanego w ręku pergaminu, reszta umilkła, z dyscypliną, której nigdy nie przejawiali wobec Pompejusza. Wódz dałby wiele, by wiedzieć, kto jest autorem skreślonych słów.

- Owszem, ma, choroba bowiem nie pozwala ci działać w najlepszym interesie Rzymu

- oznajmił rozjuszony Cynceron, jeszcze raz przenosząc wzrok na pergamin. - Do czasu, kiedy wyzdrowiejesz, powinieneś ustąpić z urzędu, Pompejuszu. Gdyby chodziło o

kogoś innego, pierwszy byś tak powiedział.

Pompejusz popatrzył na niego wściekle, czując, że spojrzenia ich wszystkich niszczą jego linię obrony. Ból w jelitach rozpalił się tymczasem do czerwoności i resztki sił

tracił na to, by się z nim nie zdradzić.

- Nie byłeś tak zuchwały, kiedy Rzym płonął, a mnie obdarzo-

Rozdział XVIII

211

no dyktaturą - powiedział. - Zaprowadziłem porządek, kiedy nikt inny nie potrafił

tego zrobić. Zwyciężyłem Spartakusa, kiedy armia zagrażała nam wszystkim.

Pamiętasz to, prawda? Pamiętasz i śmiesz sugerować, że nie jestem zdatny do

dowodzenia? Dlaczego nie przeczytasz na głos tego donosu, który ściskasz w dłoni,

zamiast robić aluzje do jego treści? Nie boję się żadnej krytyki, ani twojej, ani niczyjej innej. Historia mojego życia mówi za mnie.

Z ław podniósł się szmer aprobaty. Ku zadowoleniu Pompejusza Cynceron nie cieszył

się całkowitym wsparciem wśród senatorów. Wielu przerażała już sama próba

zakończenia dyktatury w taki sposób. Gdyby byli w Rzymie, nigdy by czegoś takiego

nie rozważano, lecz Pompejusz wiedział, że kampania nie idzie dobrze. Senat składał

się w większości z ignorantów, nie znających się na prowadzeniu wojny, i ci cierpieli z braku wygód i szacunku, jakim darzono ich w ich własnym mieście. Wiedział, że musi

znaleźć odpowiednie słowa, by nimi wstrząsnąć.

- Twoje dokonania nie mają sobie równych - powiedział Cynceron - ale teraz oblewają

cię poty, Pompejuszu, teraz przeżywasz męczarnie. Ustąp na miesiąc. Sprowadzimy ci

najlepszego medyka. Wyzdrowiejesz szybko i będziesz kontynuował wojnę.

-A jeżeli nie wyzdrowieję? Wypowiedz swoje groźby głośno, Cynceronie, tak, byśmy je

usłyszeli wszyscy. Pozwól nam się dowiedzieć, jaką rozważasz zdradę - zażądał

surowym głosem Pompejusz, wychylając się z rostry.

Kolejne pochlebne pomruki wprawiły Cyncerona w zakłopotanie, niemniej nie

pozbawiły go głosu.

- Twoja dyktatura - mówił dalej - wygasa za dwa dni, o czym dobrze wiesz,

Pompejuszu. Lepiej, gdybyś nie podejmował jej przed powrotem do zdrowia.

Obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. Ten człowiek nie ośmieli się powiedzieć

wprost, że choroba pozbawiła go odwagi, Pompejusz wiedział. Od dawna słyszał, co

szepta o nim po kątach, ale gardził szepcącymi i tym, co mówią. Już się zbierał do

odpowiedzi, kiedy z ław podniósł się Swetoniusz. Wskazał dłonią, by przemówił. Nie

mógł głosować sam na siebie i teraz, kiedy obaj z Cyncerem usiedli, wstąpiła w

niego rozpaczliwa nadzieja.

Swetoniusz odchrząknął.

212

Imperator

- Ta kwestia nigdy nie powinna być podniesiona - zaczął. Cynceron poderwał się

gwałtownie, lecz Swetoniusz przygwoździł go piorunującym spojrzeniem. - Teraz ja

mówię - warknął. - W każdej kampanii zdarzają się porażki, o czym dobrze wiedzą

mężowie z wojennym doświadczeniem. To na wezwanie Pompejusza zebrały się

greckie legiony. To on wywabił Cezara z bezpiecznego Rzymu w miejsce bardziej

odpowiednie do prowadzenia wojny. To tu chcieliśmy widzieć tego zdrajcę i że

zobaczyliśmy go, zawdzięczamy jedynie zręczności Pompejusza. Który z was był na

tytu przewidyjący, by zrozumieć, że wojna musi się toczyć w Grecji? Pompejusz podjął

twardą decyzję w imieniu nas wszystkich. Jego dyktatura zrodziła się po to, by Rzym przetrwał zagrożenia zbyt wielkie dla zwykłych rządów prawa. Pompejusz dopełnił

swoich powinności i rozważanie

o pozbawieniu go władzy na tym etapie wojny jest niebezpieczną grą. - Przerwał,

omiatając spojrzeniem zebranych mężczyzn. - Nie wiem nic o żadnym innym wodzu

zdolnym pobić Cezara. Wiem za to dobrze, że Pompejusz najbardziej się do tego nadaje. Będę głosował za przedłużeniem dyktatury. Nie widzę żadnego innego honorowego wyjścia.

Swetoniusz usiadł, pośród licznych potaknięć. Pompejusz, odrobinę podniesiony na duchu, nie od razu podniósł się z miejsca; czując narastającą w żołądku kolejną fazę bólu, wyciągnął zza togi kawałek najdelikatniejszego płótna i otarł nim spieczone wargi. Nie popatrzył, czy znów poczerwieniało.

Cyceron też zwlekał ze wstaniem. Wiedział, że choroba Pompejusza jest cięższa, niż ten przyznawał. Pozostawiony na stanowisku naczelnego wodza, łatwo mógłby oddać zwycięstwo Cezarowi. Koniec końców może byłoby to lepsze wyjście. Jeżeli w polu stanie Labienus, obie armie wybiją się nawzajem i co będzie z Rzymem? Do niedawna

żywił nadzieję, że po usunięciu Pompejusza potrafią się jakoś dogadać z Cezarem, ale teraz czuł zamęt w myślach i nie wiedział, jak poradzić sobie z senatem. Kroczył po trudnej ścieżce. Wielu chciało, by Pompejusz prowadził otwartą wojnę, bez przerw

i bez litości. W końcu po to przyszli do Grecji. On, Cyceron, mógł jedynie potrząsnąć głową nad ślepotą takich ludzi. Nie dbał o Pompejusza, jeszcze mniej o Cezara.

Przyszłość Rzymu przeważała nad jednym i drugim.

Rozdział XVIII

213

Jego zwlekanie nie zostało niezauważone. By odzyskać pole manewru, powiedział szybko:

- Przemawiam w imieniu Rzymu i dla jego dobra, Pompejuszu, chyba temu nie

zaprzeczysz. Czekałem, byś wygrał tę wojnę, ale tobie, jak do tej pory, nie udało się nawet spotkać wroga. To nie są żadne porażki kampanii, jak utrzymuje Swetoniusz.

Zabiłeś więcej swoich ludzi tylko dlatego, że się buntują, niż zabił ich Cezar. Morale jest niskie, a ty odrzuciłeś wszystkie okazje, jakie miałeś, by pchnąć Labienusa do ataku. - Zaczerpnął tchu, wiedząc, że dokonuje niebezpiecznego wyboru. - Przed

iloma jeszcze będziesz się wzbraniał?

-A więc w końcu docieramy do sedna - powiedział Pompejusz.

Nagle się skrzywił i popatrzył na swoje dłonie. Cynceron pomyślał z nadzieją, że oto inni dostrzegą jego cierpienie i przejrzą na oczy. Niech tylko upadnie albo krzyknie i będzie po wszystkim.

Pompejusz powoli podniósł głowę. Oczy mu błyszczały jak w gorączce.

- Ośmielasz się sugerować, że straciłem odwagę, Cynceronie? Czy tym rozpoczynasz ten osobisty atak? Wzniosłem mury, by obronić miasto, które już raz było wzięte przez

Cezara. Szukałem go w polu. Cóż, umknął mi. - Ból zmaćił mu na chwilę myśli i

Cynceron jakby tylko na to czekał.

- Masz dwa razy tyle żołnierzy co on i cztery razy więcej jazdy -wtrącił czym prędzej. -

W lepszych czasach już byś zwyciężył. Twoja choroba...

- Moja choroba, jak rzecz nazywasz, jest niczym więcej jak zwykłą dolegliwością

żołądka, leczoną papką z mleka i kredy - warknął Pompejusz. - Nie będę tu stał i nie będę się tłumaczył przed nikim.

-Twoja dyktatura... - Cynceron spróbował raz jeszcze.

- Dosyć! - wrzasnął Pompejusz. - Spiesz ci się do wojny? A więc dobrze, dam ci ją!

Wyprowadzę armię z miasta i skończę z tym wszystkim raz na zawsze. Czy to jest to,

co chciałeś usłyszeć? Zmiażdżę Cezara i przyniosę ci jego głowę albo umrę. Oto moje słowo. Ty głosuj sobie nad moją nową dyktaturą albo sobie nie głosuj, jak wolisz. Do czasu, nim obecna wygaśnie, będę w polu.

214

Imperator

Większość senatu przyjęła zapowiedź owacją i Cynceron zbladł. Nie leżało w jego

intencjach podżeganie Pompejusza do tak nierozważnego pośpiechu. Ostatnią rzeczą,

której pragnął, była otwarta konfrontacja.

-Dla dobra Rzymu... - zawołał, ale nadaremnie.

Senat poderwał się na nogi. Pompejusz, rzucając ostatnie jadowite spojrzenie na

Cyncerona, przyjął ich zgodę, zszedł z rostry i precyzyjnie przeszedł przez tłum do wyjścia.

Swetoniusz i inni trybunowie ruszyli za nim. Cyceron został sam. Powoli zapadł się w swoje miejsce na ławie i zapatrzył w pustkę.

Brutus stał w namiocie z wyciągniętymi w górę ramionami, powoli i głęboko oddychając. Ciało miał oskrobane z brudu i naoliwione, skórę błyszczącą zdrowiem.

Był myślami przy nadchodzącej bitwie. Ledwo zauważył, kiedy milczący niewolnicy włożyli mu przez głowę togę, obciągnęli ją po bokach i związali w supeł na karku. Jego zbroja wisiała na drewnianym stojaku i teraz zmierzył ją krytycznym okiem,

wypatrując miejsc po starych zadrapaniach i szczerbach, starannie wyklepanych i wypolerowanych. Srebro, chociaż miększe od żelaza, nie straciło połysku od ciągłego używania; Brutus wiedział, że jego blask będzie bił w oczy z daleka. Juliusz zobaczy je, gdy tylko armie się spotkają.

Stał nieruchomy jak posąg. Niewolnicy zapięli mu na biodrach szeroki skórzany pas i ułożyli pod nim równe fałdy ciemnego płótna. Brutus napiął ramiona; sprawdzał, czy

zostawiono mu swobodę ruchów. Znajomy rytuał ubierania zawsze wprawiał go w

dobry nastrój. Nic, co nosił, nie było nowe, a wełniane spodnie i tunika pochodziły jeszcze z czasów galijskich i prane tysiące razy straciły barwę, ale były wygodne.

Pochylił głowę. Niewolnicy założyli mu na szyję lekką przepaskę, chroniącą przed

otarciem skóry. Poluzował ją odrobinę dwoma palcami i wbił wzrok w pustą

przestrzeń, myśląc o zmierzeniu się z Juliuszem.

Pompejusz wrócił choć raz ze spotkania z senatem z ogniem w oczach i groźną

zapowiedzią, że nikt nie spocznie, dopóki nie pobiją wrogów w Grecji. To było to,

czego Brutus pragnął od początku, i wiedział, że jego cztery kohorty będą walczyły w pierwszej linii.

Rozdział XVIII

215

Przeszły go ciarki. Jeżeli Juliusz wyśle Dziesiąty do swojej pierwszej linii, to mimo miesięcy ćwiczeń jego czeka ciężka i krwawa robota. Znał ich i widział, jak walczą, dość razy, by wiedzieć, że żaden się nie podda ani nie ustąpi, chyba że po śmierci. To byli weterani niezliczonych bitew i greckie legiony nawet w połowie nie miały ich

doświadczenia.

-Jesteśmy liczniejsi - mruknął do siebie.

Niewolnicy przerwali ubieranie i spojrzeli na niego pytająco.

- Róbcie swoje - powiedział głośnie.

Jeden z mężczyzn klęknął u jego stóp, zawiązał na kostkach rzemienie sandałów i

pieczołowicie sprawdził, czy są dobrze naprężone. Wełniane owijacze, ściśnięte skórą, wybrzuszyły się i Brutus poruszył palcami jednej i drugiej nogi w górę i w dół i w

końcu rozsunął wygodnie wszystkie dziesięć. Podniósł ramiona raz jeszcze i kiedy

zawiązano mu w pasie skórzany fartuch chroniący pachwiny, poczuł dreszcz

niecierpliwego oczekiwania. Obaj niewolnicy sięgali po zbroję.

Na myśl o dłoniach, które wykuły napierśnik, ogarnęły go słod-ko-gorzkie

wspomnienia. Aleksandria kochała go i dlatego stworzyła rzecz nieprzemijająco

piękną. Rysunek na metalu przedstawiał Marsa i Jowisza zaciskających dłonie na

gardle postaci uosabiającej władzę. W czasie gdy niewolnicy spinali sprzączkami obie części zbroi, przednią z tylną, Brutus nabrał powietrza, po czym je z sykiem wypuścił.

Zbroja, jak druga skóra, nie mogła go krępować ani ograniczać jego ruchów. Pokręcił

głową z boku na bok, czując, jak ogarnia go zwykle w takich sytuacjach podniecenie.

Oba naramienniki schodziły się przy gardle, aby je zabezpieczyć. Pokręcił głową raz jeszcze. Wolał mieć pewność, że nic go nie będzie uwierać. Potem wysunął lewą nogę

po srebrny nagołennik, sięgnął po ostatni element bojowego ekwipunku i opuścił go

na głowę. Hełm, ozdobiony równie pięknym wzorem jak napierśnik, lśnił nawet w

półmroku namiotu. Brutus wiedział, że to lśnienie ściągnie na niego oczy wroga.

Umocował sprzączki płytek, które zabezpieczały policzki, i zamknął głowę w metalu.

Seneka wszedł do namiotu w chwili, kiedy Brutus sprawdzał każdy zaciągnięty węzeł i każdą zapiętą przez niewolników sprzączkę.

Seneka wiedział, że nie należy przerywać rytuału, lecz Brutus popatrzył na niego i się uśmiechnął.

-Jesteś gotów? - spytał.

-Jestem, panie, ale nie dlatego tu przychodzę. Chce się z tobą zobaczyć jakiś obcy.

Mówi, że przybywa z miasta.

- Odeślij go, skądkolwiek przybywa, i niech czeka. Ruszamy

o świcie.

- Chciałem tak zrobić, panie, ale on dał mi to.

Na dłoni Seneki leżał dobrze Brutusowi znany pierścień. Zwykła złota pieczęć, i kiedy po nią sięgał, ręka lekko mu zadrżała.

- Wiesz, co to jest?

Seneka potrząsnął głową. Brutus potarł palcami skrzyżowane strzały, godło, które kiedyś należało do Mariusza, a teraz parzyło mu wewnątrz dłoni. Podziękował bogom, że dla Seneki jego znaczenie było nieczytelne. Gdyby pierścień wpadł w ręce Pompejusza albo któregoś ze starszych żołnierzy, Brutus już by się żegnał z życiem.

- Przeprowadź go do mnie - powiedział, odprawiając niewolników.

Seneka popatrzył ciekawie na wodza, ale oddał honory i oddalił się bez słowa.

Brutus spłynął potem. Po chwili zastanowienia podszedł do stołu, gdzie leżała jego

broń, i sięgnął po krótki rzymski miecz, ten sam, którym wygrał zawody dla chwały

Rzymu. Miecz był równie piękny jak zbroja, doskonale wyważony i zrobiony z

najlepszego żelaza na świecie. Najchętniej wyciągnąłby ostrze, by sprawdzić, czy nie ma na nim jakiejś nowej rysy, tak jak to robił tysiące razy, ale wrócił Seneka,

prowadząc ze sobą obcego.

- Zostaw nas samych, Seneko - polecił Brutus, patrząc na przybysza.

Widok nie był porywający; mężczyzna wyglądał jak każdy inny grecki wieśniak, który

przybył do miasta na targ. Brutusowi przyszło na myśl, że znalazł pierścień i chce

zażądać nagrody, ale czemu przynosi go właśnie jemu?

- Gdzie to znalazłeś? - spytał, ujmując pierścień w dwa palce

1 zawieszając go w powietrzu.

Mężczyzna sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Zanim się odezwał, wytarł czoło z potu.

Rozdział XVIII

217

- Dostałem go, panie. 2 jego ręki, panie.

- Imię - szepnął Brutus.

- Cezar - odpowiedział Cecyliusz równie cicho. - Jestem jego szpiegiem.

Brutus zacisnął na moment powieki. Wisiało nad nim niebezpieczeństwo. Czy

Labienus poddaje go jeszcze jednej próbie? Wódz greckich legionów był

wystarczająco przebiegły, by coś takiego wymyślić. Możliwe, że czeka na zewnątrz z

całą centurią i za chwilę się do niego zabierze. Czy Seneka nie zachowywał się

nerwowo? Czy to nie sygnał, że coś jest nie tak?

- Dlaczego przynosisz to do mnie? - Brutus opuścił dłoń na rękojeść miecza, bardziej dla większej pewności siebie niż dla groźby.

Cecyliusz zobaczył ten ruch i drgnął.

- Przesłano mnie tutaj, bym meldował o ruchach armii Pompejusza, panie. Przed

opuszczeniem Rzymu dowiedziałem się, że nie przestałeś być wierny Cezarowi.

Widywałem cię tu wiele razy, ale wolałem nie podchodzić za blisko, żeby nie ściągnąć niebezpieczeństwa na nas obu.

-Jednak w końcu przychodzisz. Dlaczego? - Podwójna gra, pomyślał Brutus. Gdyby

człowiek był prawdziwym szpiegiem, dlaczego Juliusz miałby mu kłamać? Nie, to nie ma sensu.

- Opuszczam Dyrrachium, panie. Ktoś musi ostrzec Cezara, a ze wszystkich jego

szpiegów tylko mnie się udało przeżyć. Nie spodziewam się tu wrócić i pomyślałem, że chcesz, bym zaniósł słowo od ciebie.

- Nie ruszaj się - warknął Brutus. Podeszedł do wyjścia, odrzucił na bok połę namiotu i rozejrzał się na obie strony. Nie zobaczył nic niezwykłego. Żołnierze przygotowywali się do wymarszu. Wykrzykiwano rozkazy. Nigdzie nie czaił się Labienus czy

Pompejusz. Żadnego znikąd zagrożenia. Potrząsnął niepewnie głową i wrócił na miejsce.

Jeżeli ten mizerny człeczyna jest mordercą, Juliusz dokonał złego wyboru, pomyślał.

Bez żadnej zapowiedzi chwycił Cecyliusza za ramię i przeszukał go gruntownie. Myśl jak błyskawica przemknęła mu przez głowę, że zyskałby w oczach Pompejusza, przyprowadzając mu szpiega - i jak błyskawica zgasła. Człowiek, który zawierzył

Brutusowi, musiał grać podwójną rolę. Na nic się nie zda podzielić

Rozdział XVIII

217

- Dostałem go, panie. Z jego ręki, panie.

- Imię - szepnął Brutus.

- Cezar - odpowiedział Cecyliusz równie cicho. - Jestem jego szpiegiem.

Brutus zacisnął na moment powieki. Wisiało nad nim niebezpieczeństwo. Czy

Labienus poddaje go jeszcze jednej próbie? Wódz greckich legionów był

wystarczająco przebiegły, by coś takiego wymyślić. Możliwe, że czeka na zewnątrz z

całą centurią i za chwilę się do niego zabierze. Czy Seneka nie zachowywał się

nerwowo? Czy to nie sygnał, że coś jest nie tak?

- Dlaczego przynosisz to do mnie? - Brutus opuścił dłoń na rękojeść miecza, bardziej dla większej pewności siebie niż dla groźby.

Cecyliusz zobaczył ten ruch i drgnął.

- Przysłano mnie tutaj, bym meldował o ruchach armii Pompejusza, panie. Przed

opuszczeniem Rzymu dowiedziałem się, że nie przestałeś być wierny Cezarowi.

Widywałem cię tu wiele razy, ale wolałem nie podchodzić za blisko, żeby nie ściągnąć niebezpieczeństwa na nas obu.

-Jednak w końcu przychodzisz. Dlaczego? - Podwójna gra, pomyślał Brutus. Gdyby człowiek był prawdziwym szpiegiem, dlaczego Juliusz miałby mu kłamać? Nie, to nie ma sensu.

- Opuszczam Dyrrachium, panie. Ktoś musi ostrzec Cezara, a ze wszystkich jego szpiegów tylko mnie się udało przeżyć. Nie spodziewam się tu wrócić i pomyślałem, że chcesz, bym zaniósł słowo od ciebie.

- Nie ruszaj się - warknął Brutus. Podeszedł do wyjścia, odrzucił na bok połę namiotu i rozejrzał się na obie strony. Nie zobaczył nic niezwykłego. Żołnierze przygotowywali się do wymarszu. Wykrzykiwano rozkazy. Nigdzie nie czaił się Labienus czy

Pompejusz. Żadnego znikąd zagrożenia. Potrząsnął niepewnie głową i wrócił na miejsce.

Jeżeli ten mizerny człeczyna jest mordercą, Juliusz dokonał złego wyboru, pomyślał.

Bez żadnej zapowiedzi chwycił Cecyliusza za ramię i przeszukał go gruntownie. Myśl jak błyskawica przemknęła mu przez głowę, że zyskałby w oczach Pompejusza, przyprowadzając mu szpiega - i jak błyskawica zgasła. Człowiek, który zawierzył Brutusowi, musiał grać podwójną rolę. Na nic się nie zda podzielić

218

Imperator

się takimi podejrzeniami z Pompejuszem tuż przed wymarszem. Gotów jego, Brutusa, zostawić w obozie.

Coś z tych myśli odbiło mu się na twarzy i Cecyliusz wzdrygnął się pod jego spojrzeniem.

- Panie, jeżeli nie masz żadnej wieści, odejdę. Zostało mi niewiele czasu, nawet jeżeli wyruszę zaraz.

Brutus przyjrzał mu się uważnie. Mężczyzna wydawał się szczery, to Juliusz wprowadził go w błąd. Celowo, ale po co? Chyba po to, żeby wpadł w ręce Pompejusza. Poddany torturom, zdradziłby się ze swoją wiedzą i on, Brutus, byłby skończony. Zachichotał. Podszedł raz jeszcze do stołu z bronią i wybrał sztylet ze srebrną rękojeścią. Wyjął go z pochwy.

Cecyliusz przyglądał mu się z narastającym niepokojem.

- Panie, pozwól mi odejść. Muszę spieszyc do Cezara. Muszę go ostrzec.

- Tak, tak, rozumiem - mruknął Brutus. Jedną dłonią schwycił Cecyliusza za włosy, drugą podciął mu gardło i puścił go na ziemię. Szpieg, przebrany za greckiego wieśniaka, wpił się palcami w ranę w śmiertelnej udręce. - Ale chodzi o to, żebyś go nie ostrzegł.

Wytarł ostrze sztyletu dwoma palcami. Zaklął. Na świeżo naoliwionej srebrnej zbroi nabrzmiewały ciężkie krople krwi. Znow musi kazać ją czyścić.

ROZDZIAŁ XIX

.Dziesięć mil na południe od Dyrrachium Juliusz stał na siodle swojego konia.

Obserwował daleką kolumnę. Poły czerwonego płaszcza trzepotały na wietrze jak skrzydła ptaka i szarpały zapięcie na ramionach. Oktawian stał obok, z wodzami w jednej ręce, drugą trzymał Juliusza za kostkę u nogi. Obaj mężczyźni byli szarzy od kurzu i głodni po całodniowym marszu.

- Idzie prosto na nas - stwierdził Juliusz. - Cecyliusz milczy?

- Milczy. Jeżeli nie jest w obozie Pompejusza, zostawiono go na tyłach. - Oktawian przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. -Widzisz ich dokładnie, panie?

Z daleka kolumna Pompejusza była czarną smugą na tle krajobrazu, z maleńkimi, jak pełzające w trawie chrząszcze, figurkami konnych zwiadowców.

-Nie widzę, ale, o bogowie, on chyba ciągnie za sobą całą armię - odpowiedział

Juliusz. - Jak myślisz, czy nasz ukochany dyktator stracił do nas cierpliwość?

- To nieważne, panie, i tak go zgubimy. Po zmierzchu. Juliusz popatrzył na podtrzymującego go wodza.

-Nie po to przypląnałem do Grecji, chłopcze. Nie każę moim legionom uciekać przed Pompejuszem, nie po tym, jakiego najedli się wstydu ludzie, którymi teraz dowodzisz. Mamy dość żywności i jesteśmy silni jak przedtem. Mogę postawić naszych weteranów przeciw armii dwa razy takiej jak nadciągająca, a i tak zwyciężę.

Juliusz zamilkł wpatrzony w szeregi naprzeciw, powoli nabierające kształtu. Wiedział od początku, że Pompejusz w końcu wychyli

ROZDZIAŁ XIX

Lyziesięć mil na południe od Dyrrachium Juliusz stał na siodle swojego konia.

Obserwował daleką kolumnę. Poły czerwonego płaszcza trzepotały na wietrze jak skrzydła ptaka i szarpały zapięcie na ramionach. Oktawian stał obok, z wodzami w jednej ręce, drugą trzymał Juliusza za kostkę u nogi. Obaj mężczyźni byli szarzy od kurzu i głodni po całodniowym marszu.

- Idzie prosto na nas - stwierdził Juliusz. - Cecyliusz milczy?

- Milczy. Jeżeli nie jest w obozie Pompejusza, zostawiono go na tyłach. - Oktawian przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. -Widzisz ich dokładnie, panie?

Z daleka kolumna Pompejusza była czarną smugą na tle krajobrazu, z maleńkimi, jak pełzające w trawie chrząszcze, figurkami konnych zwiadowców.

- Nie widzę, ale, o bogowie, on chyba ciągnie za sobą całą armię - odpowiedział

Juliusz. - Jak myślisz, czy nasz ukochany dyktator stracił do nas cierpliwość?

-To nieważne, panie, i tak go zgubimy. Po zmierzchu. Juliusz popatrzył na podtrzymującego go wodza.

- Nie po to przypląnałem do Grecji, chłopcze. Nie każę moim legionom uciekać przed Pompejuszem, nie po tym, jakiego najedli się wstydu ludzie, którymi teraz dowodzisz.

Mamy dość żywności i jesteśmy silni jak przedtem. Mogę postawić naszych weteranów przeciw armii dwa razy takiej jak nadciągająca, a i tak zwyciężę.

Juliusz zamilkł wpatrzony w szeregi naprzeciw, powoli nabierające kształtu. Wiedział od początku, że Pompejusz w końcu wychyli

220

Imperator

się zza bezpiecznych murów Dyrrachium, ale wychylił się wcześniej, nim zostały

skończone, i obie armie zbliżyły się do siebie za dużo, by to nie groziło bitwą. Juliusz udawał pewność siebie, choć jej nie czuł. Zrobił co mógł, żeby nadwątlić morale

greckich legionów. Każdy żołnierz słyszał propozycję złożoną Pompejuszowi, a każdy

złapany dezertor zostawił po sobie dziesiątki przyjaciół i kolegów. Ci widzieli, że zwrócił Dyrrachium razem z rodzinami senatu, i taki czyn musiał przemówić do serc

greckich legionów. Tym ludziom honor był drogi. Bronili Rzymu z dala od jego

spisków i knowań. Gdyby mu dano jedną jedyną godzinę! Gdyby mógł do nich

przemówić! Wszystko, co zrobił, zrobił po to, by zasiać wątpliwości pośród ich

szeregów, i miał nadzieję, że bezwzględność Pompejusza dalej będzie wystawiać ich

lojalność na próbę.

Widok tak wielu żołnierzy niosących zagładę powinien przyprawiać o dreszcz trwogi,

ale Juliusz zamiast lęku poczuł gniew. Pompejusz chełpił się swoimi tysiącami, jednak ci, którzy z nim maszerowali, nie byli jego ludźmi. Byli żołnierzami Rzymu,

przekonani, że wypełniają swój obowiązek. Legiony weteranów z Galii należały tylko do niego.

Juliusz popatrzył przez ramię na szeregi, które pchnął dalej na południe. Mógł je

dogonić konno dość łatwo i został z tyłu, by samemu osądzić wielkość armii

przeciwnika. Był pod wrażeniem. Nie widywało się takiej liczby legionów

wyurszających w pole. Teraz już bliższe szeregi powiewały proporcami, a orły z brązu błyszczały w

zachodzącym słońcu. Gdyby to nie byli wrogowie, rozkoszowałby się

samą demonstracją siły. Przez całe lata doświadczeń nie widział tak wielu rzymskich wojowników i to go poruszyło. Armia Helwetów była o wiele liczniejsza, ale ci tutaj byli legionistami. Ta sama krew, te same zbroje. Wspólna historia. Jeżeli dojdzie do walki, będzie to jak walka braci i goręcz zawładnie sercami na pokolenia. Wiedział to.

Weterani Dziesiątego nigdy nie przebaczą Rzymianom, którzy stanęli przeciwko nim.

- Możemy ich pobić - powiedział. Oktawian spojrział w górę. Kąciki ust Juliusza

wykrzywiał zagadkowy uśmiech. Juliusz mówił dalej: - Widzieli upokorzonego

Pompejusza w Dyrrachium. Widzieli, jak marnuje sposobność, która trafiła się

Labienusowi. Nie zechcą umierać za takiego człowieka, Oktawianie, i to ich osłabi.

Rozdział XIX

221

Przyglądał się nadchodzącej kolumnie; wiedział, że musi szybko ruszyć w ślad za swoimi oddziałami, inaczej dostanie się w ręce zwiadowców.

- No, bliżej, bliżej - powiedział niemal z czułością. Oktawian nie zrozumiał słów, chciał o nie zapytać, ale najbliżsi już zauważyli obu mężczyzn i zadęli w rogi na alarm.

- Musimy odjechać, panie. - Oktawian popatrywał nerwowo, jak zwiadowcy popędzają konie do galopu i zaczynają się zbijać w jedną gromadę.

Juliusz nie drgnął.

- Panie, musimy...

- Dużo ich, Oktawianie. Właśnie tyle, by przerzedziły nas same pierwsze szeregi, ale dlatego tu przyszliśmy. To dlatego przekroczyliśmy Rubikon. Nie mamy innego

miejsca na ziemi poza Rzymem. Znajdź mi dobre stanowisko, a rozbijemy ich doszczętnie.

Ku uldze Oktawiana Juliusz opuścił się w siodło i sięgnął po wodze. Oktawian

wskoczył na grzbiet swojego wałacha. Zostawiając za sobą długie cienie, zniknęli z

oczku nadjeżdżających zwiadowców. Kilku jeźdźców Pompejusza tropiło ich ślad jakąś milę, po czym zawrócili. Rozpłynęli się w falującym powietrzu, pośród żałobnego jęku rogów. Falujące powietrze przeciął rozkaz do postoju. Brutus ściągnął ostro wodze. Widział legiony Juliusza wciąż maszerujące przed siebie i wiedział, że każdą straconą do nich milę będą odrabiać następnego dnia. Zdjął go strach, kiedy pomyślał o tamtych szeregach. Walczył pośród nich przez lata i potrafił wyobrazić sobie głosy przyjaciół i kolegów równających linie. Serce, być może, pragnęłoby wrócić do dawnej zażyłości, ale nie miał odwrotu. Pragnął konfrontacji. Tam był Juliusz i kiedy już będzie po wszystkim, on, Brutus, zobaczy jego trupa.

Do czasu, nim wzniesiono obwałowania i wykopano rowy, zapadł zmrok i zapalono pierwsze lampy. Pompejusz zarządził jeden obóz dla całej armii. Na pustkowiu wyrosło miasto i wewnątrz jego bezpiecznych granic greckie legiony nadawały ostatni połysk swoim mieczom i jadły w milczeniu, siedząc wokół ognisk. Wielu ustanawiało ostatnią wolę, a ci, którzy umieli pisać, zarabiali dodat-

222

Imperator

kowe miedziaki. Nikt się nie śmiał. Nie śpiewano obozowych pieśni. Przewyższali wroga liczebnie i do tej pory powinni ochrypnąć od głośnych przechwałek. Zamiast tego nastroje robiły się coraz bardziej kwaśne i Brutusa coś ścisnęło za gardło.

Podszedł do miejsca, gdzie Seneka, żując leniwie ostatni kęs pieczonego mięsa, wpatrywał się w płomień ogniska. Ciasny krąg straży rozstąpił się na boki. Brutus usiadł, ciężko westchnął, rozejrzał się po twarzach. Były spięte. Ciekawe, pomyślał, o czym rozprawiano przed jego przyjściem.

-Witam radosną grupę - powiedział do Seneki. - Zdawało mi się, że ktoś tu

podśpiewuje, jeśli nie śpiewa. - Seneka uśmiechnął się bez słowa i Brutus uniósł

pytająco brwi. - No więc, o co chodzi? Czy mało dla was zrobiłem? Czy nie zdobyłem

galery, nie przewiozłem was do Grecji, nie trwonilem na każdego własnego czasu i nie dzieliłem się

z każdym własnym doświadczeniem? A czy któryś wypolerował moją

zbroję? Czy w dowód wdzięczności podzielił się swoim żołdem? Nie. Poczęstował winem? Też nie.

Seneka, patrząc na mężczyznę w lśniącej srebrnej zbroi, zachichotał i sięgnął za siebie po amforę.

- Służę łykiem, wodzu.

- Nie. Nie łykiem. - Brutus wyjął z rąk najbliższego żołnierza cynowy kubek, jeszcze pełen. Mężczyzna zamrugał zdziwiony. -Idziemy po zwycięstwo, o tym chyba wie

każdy. - Przepił do Seneki. - On nie potrafi nas powstrzymać, kiedy go otoczy nasza jazda, tak czy nie? A kiedy raz wdrzemy się w jego szeregi, zwiną się przed nami jak wytarty stary dywan. Uciekali przed Labienusem? Uciekali. Więc jak wam się zdaje,

co zrobią na widok całej armii?

Kiedy Brutus usłyszał o rozgromieniu swojego starego legionu, był pewien, że Juliusz prowadzi jakąś przebiegłą grę. Wyjechał o pierwszym brzasku, by zbadać teren, ale

nie trafił na żaden ślad zasadzki. Wciąż jednak nie mógł dać wiary wieściom, choć w pewnym sensie taka klęska byłaby wstydlivym pocieszeniem. Pod jego dowództwem

Trzeci nigdy nie ratował się ucieczką. Możliwe, że wdzięk Juliusza przestał działać na ludzi.

Wypił wino, sięgnął pod zbroję po woreczek z kośćmi, wybrał dwie, na ślepo, i zagrzechotał nimi w kubku. Oczy grzejących się przy ogniu mężczyzn zapłonęły ciekawością.

Rozdział XIX

223

- No, wreszcie coś was zainteresowało - powiedział pogodnie. -Czy któryś przed spaniem da mi się ograć? Myślę o kupnie nowego konia, a w sakiewce poza dnem nie widać niczego.

Kiedy Labienus przechodził tamtędy godzinę później, Brutus, na jego oczach, bezwstydnie zgarniał dłonią stertę monet. Wokół zgromadziły się tłumy. Śmiech i krzyki przyciągnęły gapiów i na obrzeżach jeden stawiał przeciwko drugiemu.

Warowny obóz rozciągał się wzdłuż i wszerz i wtapiał w noc. Labienus uśmiechnął się do siebie i ruszył dalej.

Pompejusz wstał z łóżka o pierwszym brzasku. Próbując dotknąć wzdętego, obolałego

brzucha, zazgrzytał ze złości zębami i kazał wezwać uzdrowiacza. Czy w końcu ma się dać pokroić? Zdarzały się noce tak pełne bólu, że najchętniej chwyciłby za sztylet i z czystej udręki zrobił to własnoręcznie. Bywały ranki, kiedy śnił na jawie o wyjątkowo cienkim ostrzu, by za jego pomocą uwolnić się od gazów i ropy. Potem, przemagając

ból, ubierał się. Starannie obwiązywał opuchliznę. Nikt nie miał prawa się jej domyślić.

Szorstką dłonią otarł twarz z błyszczącego nocnego potu. Przetarł sklezione ropną wydzieliną powieki. Był wściekły na własne ciało, że go zawiodło.

Siedział na brzegu pośłania i ciasno objęty ramionami kołysał się miarowo. Wezwany uzdrowiacz, zaniepokojony samym widokiem, odłożył na bok worek z medykamentami, podszedł do chorego i przycisnął mu do czoła zimną dłoń.

Potrząsnął głową.

- Masz gorączkę, panie. Czy w kale pojawiła się krew?

- Rób, co masz robić, a potem się stąd wynoś - warknął Pompejusz.

Uzdrowiacz wiedział, z kim ma do czynienia, i wołał nie marnować czasu na zbędne dyskusje. Podszedł do stołu, ustawił na nim rząd zakorkowanych buteleczek i słoiczków, glinianą miskę i ucieracz i na oczach Pompejusza przygotował śluzowatą białawą miksturę.

-Wierzę, że lek okaże się skuteczny. To sproszkowana kora zmieszana z oliwą z oliwek, wodą i mlekiem. Korę kupiłem w Dyr-rachium, a ten, co mi ją sprzedał, zaklinał się, że pomaga na każdą brzuszną dolegliwość.

224

Imperator

-Wszystko razem wygląda jak męskie nasienie - powiedział Pompejusz przez

zaciśnięte zęby.

Uzdrowiacz poczerwieniał, ale Pompejusz traktował go jak powietrze.

Zniecierpliwiony wyciągnął dłoń po miskę.

- Dawaj mi to - warknął niecierpliwie i posługując się palcami, zjadł całą miksturę.

Była bez smaku, ale ból zelżał już po chwili.

- Zrób drugą dawkę. Nie mam czasu, by wzywać cię za każdym razem, jak ból się nasila.

- Pomaga, panie? - ucieszył się uzdrowiacz. - Gdybyś tylko dał się uwolnić od trucizny, zrobiłbym...

- Zrób dwie dawki i zapieczętuż je woskiem, na później - przerwał mu Pompejusz. -

Dwie dawki, pamiętaj. I trzecią, zwykłej papki z kredy i mleka.

Nagle się wzdrygnął. Przypomniało mu się, jak w dzieciństwie, ściągając

nieumiejętnie skórę z zabitego królika, przeciął jeszcze nie wystygłe jelito. Zielona cuchnąca maź poplamiała mu ręce i zanieczyściła całe mięso. Musiał je wyrzucić, ale

tamtego odoru nie mógł zapomnieć. Przypomniały mu się brzuchy pokłute

włóczniami i wylewające się z nich wnętrzności. Przypomniał mu się widok śmierci,

która zwykle po czymś takim następowała.

-Jak sobie życzysz, panie. Ale sproszkowaną korę mam w swoim namiocie. Każę ci ją

przysłać - odpowiedział urażony mężczyzna i odprowadzany morderczym

spojrzeniem, ruszył do wyjścia.

Pompejusz został sam. Wiedział, że legiony są gotowe do wymarszu. Że stoją w

równych szeregach i czekają już tylko na niego. Ale nie mógł zawołać na niewolnika.

Nie mógł dać się ubrać, dopóki nie obwiązał brzucha. Tylko uzdrowiacz widział, jak

wygląda chore ciało, skrywane w dzień pod warstwami płótna, ale nawet on nie

widział krwi, którą Pompejusz pluł w nocy. Za dnia, pomiędzy ludźmi, połykał

gumowatą masę, za każdym razem, gdy zbierała mu się w przełyku, ale z dnia na

dzień zbierało jej się coraz więcej i polykanie robiło się coraz trudniejsze.

Stał i przeklinał cicho. Kręciło mu się w głowie. Twarz spływała nowymi strumieniami słonego potu.

- Proszę o jeszcze kilka dni, o nic więcej - wyszeptał nie wiadomo do kogo. Może do bogów. Może do zżerającej go choroby.

Roztrzęsionymi dłońmi sięgnął po długi, sztywny od wczorajsze-

Rozdział XIX

225

go potu zwój płótna. Owinął się nim ciasno, najciaśniej jak potrafił, i kiedy stercząca góra ciała się spłaszczyła, wyprostował się, odetchnął głęboko, ochlapał twarz wodą i włożył tunikę.

Przyzwani niewolnicy stanęli przed nim ze spuszczonej oczami i zaczęli ubierać go w zbroję. Mało go obchodziło, czy ktoś się domyśla przyczyny spóźnienia czy nie.

Bogowie dadzą mu czas, zdąży upokorzyć swojego ostatniego wroga. Kiedy Juliusz będzie martwy, wtedy niech go kroją, ale dopiero wtedy. Ani dnia wcześniej.

Nie mógł zaprzeczyć, mikstura uzdrowiacza zdecydowanie przyniosła mu ulgę. Po odprawieniu niewolników dotknął dłonią rękojeści gladiusa i podniósł wysoko głowę.

Był gotów do wyjścia do oczekujących go żołnierzy. Jeszcze przystanął. Wziął głęboki oddech. Może uspokoił go lek, może zawierzył własnemu przeznaczeniu, ale wreszcie

się nie bał. Pierwszy raz od miesiący nie bał się wroga.

Trzeciego ranka marszu na południe zwiadowcy wrócili do kolumny Juliusza na spienionych koniach. Każdy spieszył z tymi samymi wieściami i każdy chciał być pierwszy. Nie dalej jak kilka mil przed nimi rozciągała się wielka i pusta równina.

Farsalos.

W szeregach niewielu znało tę nazwę, ale po grzbietach tych, którzy znali Grecję, przeszły pierwsze ciarki podniecenia. W końcu dotarli na miejsce wymarzone na bitwę.

Zrządzeniem losu wrogię armie miały stoczyć rozstrzygającą bitwę na wzór dawnych rzymskich bitew. Płaska dolina nie mogła kryć żadnych zasadzek ani nie dawała przewagi żadnej ze stron. Błotnista bura rzeka, biegnąc jej południowym skrajem, wytyczała naturalną granicę walki. W takim miejscu wszystko będzie zależało od taktyki wodzów, sprawności i siły każdego żołnierza, Juliusz to wiedział. Wodzowie i dowódcy staną naprzeciw siebie, każdy pośród własnych szeregów, i ich armie zderzą się i będą nawzajem zabijać tak długo, aż któraś nabędzie praw do powrotu do Rzymu. Scypion Afrykański pochwaliłby taki wybór. Juliusz szybko podjął decyzję. Zatrzyma się tu, pod Farsalos.

Galijskie legiony weszły na równinę dwie godziny później. Kolumna nie zatrzymała się ani nie zwolniła w marszu przez odkryty

226

Imperator

teren. To było pustkowie, smagany wiatrem czarny krajobraz wyschniętych traw i rumowiska głazów, które wyglądały jak ciśnięte na ziemię ręką olbrzyma. Twardy grunt przynosił ulgę nogom, ale też wzbijały się w powietrze tumany kurzu, w którym znikwały w oddali niewyraźne kształty popiskujących zdziczałych zwierząt. Legioniści pochylali się pod wiatr i zasłaniali twarze przed piaskiem sypiącym im w oczy i chrzęszczącym w zbrojach.

Samo Farsalos leżało na południe od niemrawo płynącej rzeki, za daleko, by dało się je zobaczyć, i nie zaprzętało Juliuszowi myśli. Tamtejszym obywatelom nic do bitwy, chyba że zmuszony do odwrotu będzie szukał schronienia za ich wysokimi

kamiennymi murami. Wypatrując dogodnych do przeprawy brodów, potrząsnął głową. Nie będzie żadnego odwrotu.

- Maszerujcie na drugi koniec równiny - zwrócił się do Domitiusza, przekrzykując wycie wiatru. - Tam, na tamym wzniesieniu, chcę widzieć solidny obóz.

Wyborowi płynęli wokół niego szeroką falą. Po raz pierwszy od dawna nie musieli

pilnować skrzydeł armii. Wróg był z tyłu i nigdzie poza tym i Juliusz słyszał okrzyki swoich jeźdźców, kiedy znęcani otwartą przestrzenią, popędzali konie do galopu. On

sam także nabrał ducha i mocniej ścisnął wodze.

- Zatrzymamy ich tutaj! - krzyknął do Oktawiana.

Tym, którzy go usłyszeli, błysnęły dziko zęby. Każdy wiedział, że Cezar nie ma innych wrogów poza Pompejuszem. Kiedy tamten starzec zostanie pobity, ich służba

Rzymowi dobiegnie końca. Ci, którzy się zestarzelili w bitwach, wyczuwali wiszącą w powietrzu zmianę i mimo zmęczenia maszerowali trochę dumniej. Nikt nie dbał o

obolałe kości i w każdym wokół Juliusz widział szaleńczą pewność siebie tych, którzy powalili Galię na kolana.

Tylko nowy Czwarty, pod dowództwem Oktawiana, milczał z uporem i przemierzał równinę z ponurymi twarzami. Ci ludzie raz jeszcze musieli udowodnić swoje prawo do maszerowania z Cezarem.

ROZDZIAŁ XX

IN ad równiną pod Farsalos rozlało się pierwsze światło brzasku, przecinane pędzącymi po niebie chmurami. Armie Rzymu obudziły się na długo przedtem i do nadchodzącego dnia przygotowywały się jeszcze przy blasku pochodni. Ekwipunek złożono ze zwykłą dbałością. Skórzane namioty zwinięto i powiązano w ogólnej ciszy.

Parujące duszone mięso zjedzono i miski wytarto do czysta świeżym chlebem z glinianych pieców. Solidne racje miały dać siłę do nadchodzącego dnia. Ciągący za obozem kupcy stali z boku, z pochylonymi z szacunkiem głowami. Milczały nawet obozowe prostytutki, zbite w gromadki po kilka i obserwujące wymarsz legionów na równinę. Rogi jęknęły ze wszystkich stron i tupot stóp zabrzmiał jak bicie serca.

Weteranom z Galii spieszyło się do walki. Ich szeregi rwały naprzód jak pełnokrwiste konie i trzeba było wyrównać niejedną linię i wykrzyzczyć niejedyn rozkaz, aby

zachować miarowy legionowy krok. Żołnierze, którzy walczyli ramię w ramię za długo, by dało się zliczyć lata, przerzucali się żartami i kpili jeden z drugiego i na nic się zdały wysiłki centurionów i

ich zastępców usiłujących zamknąć tysiące ust. Nawoływania i

kpiny przycichły i ponura cisza zapadła dopiero wtedy, kiedy wyrosła przed nimi

armia Pompejusza. Każdy gotował się na to, co miało go spotkać.

Formacje pieszych i konnych zmieniały się nieustannie, w miarę zbliżania się do

siebie obu armii. Początkowo Juliusz umieścił swój Dziesiąty w środku pierwszej linii, ale potem odesłał weteranów na prawe skrzydło, aby je wzmocnić. Pompejusz

zauważył ten ruch

228

Imperator

i jego własne szeregi przepłynęły błyszczącą strugą z jednego miejsca na drugie, dla zdobycia choćby najmniejszej przewagi. To była zwykła gra pozorów, a obaj wodzowie

przestawiali formacje jak mali chłopcy gliniane figurki żołnierzy.

Pompejusz na widok legionów Cezara, gotowych w końcu stawić mu czoło, i się

przestraszył, i ucieszył. To, że wróg wybrał otwartą równinę, świadczyło o niezwyklej pewności siebie. Kto inny szukałby terenu, gdzie dałoby się urządzić zasadzki i

uciekać do podstępów. Przesłanie Cezara było całkiem niedwuznaczne i skierowane

do żołnierzy Pompejusza. Nie bał się ich. Być może to spowodowało, że Pompejusz

ustawił swoje legiony w trzy szerokie i głębokie na dziesięć szeregów linie, ciągnące się w poprzek greckiej równiny na ponad milę. Mając rzekę za osłonę prawego

skrzydła, lewym mógł uderzać jak młotem.

Juliusz na widok tej wielkiej formacji jeszcze bardziej zhardział. Zamykanie żołnierzy w ciężkich, z trudem przemieszczających się szykach, mogło świadczyć o jednym - ich dowódca sądzi, że jego ludzi można pokonać i osłania ich jak potrafi. Juliusz wiedział, że greckie legiony wyczują w Pompejuszu brak wiary w zwycięstwo, co jeszcze

bardziej osłabi ich morale. Uwzględnił to w swoich planach i zasypał swoich wodzów

serią nowych rozkazów. Armie tymczasem podciągnęły bliżej.

Jechał stępą, na ukochanym hiszpańskim wałachu, otoczony zwiadowcami

wyczekującymi na rozkazy, ale przekazywanie ich do najdalszych szeregów, przy tak

szeroko rozciągniętych liniach, odbywało się niebezpiecznie powoli. Juliusz musiał

zawierzyć inicjatywie swoich wodzów. Znał ich od dawna, znał ich dobre i złe strony, ich siłę i ich słabości tak samo jak własne. Pompejusz prowadził liczniejsze szeregi, ale tej przewagi nie miał.

Juliusz zobaczył, że tamten koncentruje swoich jeźdźców na lewym skrzydle. Sama ich liczba mogła onieśmielać, Cezar więc rozkazał, by natychmiast odłączyć tysiąc ludzi i uformować z nich ruchomą czwartą linię. Gdyby pozwolił, by jego weteranów oskrzydliło tak wielu, nie byłoby dla nich ratunku. Sam, ze swoim Dziesiątym, zajął pozycje na prawym skrzydle i w ten sposób on i Pompejusz mieli stanąć naprzeciw siebie. Dotknął rękojeści miecza. Raz po raz przebiegał wzrokiem szeregi, wypatrując słabych punktów.

Rozdział XX

229

Przeżył dosyć bitew, by wiedzieć, że należy się spieszyć. Złudzenie, że się ma dość czasu na wybieranie najlepszych pozycji, zwykle rozwiewało się szybciej niż poranna mgła. Nawet doświadczeni dowódcy wyzbywali się go za późno. Znał takich i aby

samemu nie popełnić podobnego błędu, postanowił nie zwlekać i przejąć inicjatywę.

Odpowiedź zaś zostawić Pompejuszowi.

Wiatr przycichł i spirale kurzu zostały zdeptane przez dwie maszerujące

nieuchronnie ku sobie armie. Juliusz patrzył zmrużonymi oczami na wrogą formację.

Gdyby miał jeszcze jeden tysiąc wyborowych, mógłby zagrozić dalekiemu skrzydłu

armii Pompejusza i zmusić go do rozdzielenia jazdy. Ale nie miał i dlatego Pompejusz ustawił całą w jednym miejscu. Za zbitą masą koni i jeźdźców ziemia była czarna od

łuczników ochraniających stanowisko samego Pompejusza. To tam się wszystko

zacznie.

- Pędź do dowódcy Oktawiana i każ jego Czwartemu wrócić na środkowe pozycje -

rozkazał najbliższemu zwiadowcy. - Kiedy się zacznie, musi natrzeć z maksymalną

prędkością. - Rozejrzał się i drugi rozkaz rzucił innemu, ledwo wyrosniętemu chłopcu.

- Wyborowi zostają na skrzydle.

Zwiadowca ruszył biegiem. Mimo wiatru i zimna Juliusza oblał pot. Gryzł się w duchu. Czy pomyślał o wszystkim? Jego skorpiony i ciężkie maszyny już stały na pozycjach, przyciągnięte przez woły poganiane krzykiem i popędzane przez żołnierzy przez całą długą drogę. Pompejusz także zgromadził swoje i Juliusz zadrżał na myśl o mającym nastąpić spustoszeniu. Pompejusz miał liczniejszą armię i więcej ciężkich maszyn. O wiele więcej, niż on potrafił ściągnąć na to pole. One również będą decydować o losach bitwy.

Dzieliło ich dwa tysiące stóp, kiedy obaj przystanęli i przyglądając się nawzajem swoim formacjom, wypatrywali w nich słabych punktów. Ustanowiono linie bojowe i to, co miało nastąpić, miało być dla jednego i dla drugiego próbą odwagi i sprawdzianem umiejętności. Poza drobnymi potyczkami i mało znaczącymi bitwami, nigdy dotąd nie przeciwstawili sobie najlepszych rzymskich legionów na twardym, suchym lądzie. Wynik był nie do przewidzenia.

Juliusz nie przestawał wydawać rozkazów; wiedział, że Pompejusz musi robić to samo. Patrząc na zbliżające się do siebie armie, był niemal zahipnotyzowany rytualnymi krokami wojennego tańca.

230

Imperator

Było to zwyczajne, ale też przerażające. Ciekawe, pomyślał, czy Pompejusz, aby rozpocząć ostateczny atak, zatrzyma się w miejscu dokładnie określonym przez podręczniki. Zabrzmiały mu w uszach, jak żywe, oschłe głosy dawnych nauczycieli:

„Odległość między wrogimi armiami stojącymi do bitwy na płaskim, ubitym gruncie

powinna wynosić sześćset stóp. Krok więcej i ludzie osłabną, nim zewrą się z wrogiem w połowie drogi. Krok mniej, a zaryzykują utratę przewagi pierwszego miażdżącego

uderzenia". Juliusz sięgnął do hełmu i nasunął go głębiej, aby ukryć twarz. Zasuwki zamknęły się ze szczękiem, wiatr, owiewający metal, zadudnił mu w uszach głucho, a z włosów skapnęły pierwsze krople potu.

Rozległe linie znajdowały się około tysiąca stóp dalej i Juliusz, jadąc na czele swoich legionów, wyraźnie wyczuwał w ludziach napięcie. Koń pod nim, mocno ściągany

wodzami, parskał raz po raz i wyginał szyję do tyłu. Nakarmiono legionistów.

Nakarmiono legionowe zwierzęta. Chłopcy stajenni nieśli worki pełne wody.

Kamienne osetki ostrzyły krawędzie mieczy całą ostatnią noc. Zrobił wszystko, co w jego mniemaniu mogło osłabić przeciwną armię.

Nie wiedział jednak, czy zrobił dość, i na tę myśl poczuł dawne symptomy strachu, nękające go w młodości podczas każdej bitwy. Ucisk pęcherza, choć opróżnił go, zanim dosiadł konia. Wyschnięte od wzbijającego się w powietrze kurzu usta.

Nadmiernie wyostrzony wzrok. Każdym zmysłem chłonał wszystko, co go otaczało, ziemię i ludzi. Wiedział, że może umrzeć na tej równinie, ale gardził myślą o śmierci.

Był dwa razy konsulem i podbił Galię i Brytanię. Podbił sam Rzym. Zostawił miastu spuściznę w postaci nowych praw i nie będzie łatwo zapomniany.

Gdzieś pośród szeregów wroga wypatrywał srebrnej zbroi. Bru-tus tam był, to pewne, i Juliusz znał go aż za dobrze, by nie wyobrazić sobie, jakim torem pobiegną jego myśli, czy błysku oczu w momencie spotkania obu armii. Wciąż bolała go tamta zdrada i wciąż pragnął znów zobaczyć Brutusa, nawet gdyby miała ich dzielić jedna długość miecza.

Popatrzył przez szeregi, na Oktawiana. Ogarnął go żal, że nie zostawia po sobie

synów, którzy by kontynuowali jego dzieło, ale jego ród przetrwa, tak czy inaczej. Czy powiedział kiedykolwiek Oktawianowi, jaki jest z niego dumny? Chyba powiedział.

Rozdział XX

-Jeżeli ja zginę, on niech przeżyje - wyszeptał pod zatrzaskiem hełmu. - Na Marsa, obyśmy przeżyli obaj.

Pompejusz patrzył na nadchodzące legiony. Nie odwoływał się do bogów, nie czuł ich obecności. Myśli mąciła mu pamięć o zwycięstwach Cezara w Galii. O pobiciu plemion Helwetów. Wsluchując się w pulsujące bólem trzewia, tracił pewność siebie.

Byli tacy w Rzymie i w Grecji, według których Cezar uchodził za największego wodza na przestrzeni wieku, a teraz on, Pompejusz, będzie próbował go zabić. Żałował, że w obliczu takiego wroga nie ma w sobie dawnej szaleńczej odwagi z lat młodości. Było mu zimno. Uwierało go siodło. Zamroczony bólem ledwo widział na oczy. Pot spływał mu pod ciężką zbroją grubymi kroplami i wilgotna tkanina tuniki boleśnie ocierała szyję.

Popatrzył na lewo, tam, gdzie Labienus siedział na koniu sztywny z gniewu. Wódz legionów greckich sprzeciwiał się rozkazowi rozmieszczenia ludzi w tak głębokich szeregach, lecz Pompejusz znał ich lepiej. Obserwował bacznie twarze i widział w nich niechęć, to coś, co zabija ducha walki. Ci ludzie bali się legionów z Galii. Strach minie, kiedy jego jazda rozniesie wrogie skrzydło, ale dopiero potem. Teraz nie śmiał im ufać.

Kiedy legiony weteranów podeszły bliżej, szeregi nie drgnęły. Trwały na swoich pozycjach, ale na twarzach ludzi pojawiło się wahanie.

- Przyzwijcie do mnie wodza Labienusa - rzucił w stronę posłańców.

Dwaj z nich pokłusowali wzdłuż przesuwających się do przodu linii i po chwili

Labienus zatrzymał konia dwa kroki przed Pompejuszem.

- Zatrzymamy się przy sześciuset stopach i będziemy czekać na ich atak - powiedział

Pompejusz.

- Słucham, panie? - Labienus był zbyt wstrząśnięty, by powiedzieć coś więcej.

Pompejusz kiwnął na niego, by podjechał bliżej.

- Rozpierzchną się przy pierwszym ataku, chyba że każemy im stać. Zarządziłem głębokie linie i teraz je wykorzystam. Każ przygotować szeregi do zatrzymania.

Przynajmniej ich włócznie poszybują

232

Imperator

celnie. - Przerwał. Oczy mu rozbłysły. -Jeżeli moi wyborowi rozniosą tamto skrzydło tak szybko, jak się spodziewam, ich legiony mogą nie mieć sposobności do wyrzucenia swoich!

- Panie, nie wolno ci...

Pompejusz odwrócił się od niego gwałtownie.

- Dostałeś rozkazy. Wykonaj je.

Labienus, powodowany instynktem samozachowawczym, oddał honory, nim z nowymi rozkazami odjechał z powrotem do swoich legionów. Pompejusz poczuł na sobie wzrok zdziwionych żołnierzy, ale patrzył uparcie przed siebie. Gdyby okazali więcej ducha, pozwoliliby im zaatakować weteranów. Zamiast tego będą jego murem przeciw atakowi.

Kiedy armie zmniejszyły odległość do tysiąca stóp, wrzawa tak wielu maszerujących mężczyzn narosła do grzmotu. Pod podeszwami sandałów zadrżała ziemia. Setki proporców powiewały po obu stronach, a orły z brązu trzymano dumnie i wysoko, by odbijały słońce. Przy ośmiuset stopach po obu stronach rozwiązano pęki włócznie.

Przednie linie były oznaczone ciężkimi machinami i ci, którzy maszerowali na wprost nich, poczuli pierwszy dotyk przerażenia.

Przy sześciuset stopach Pompejusz zobaczył, że cała pierwsza linia Cezara drgnęła, jak gdyby spodziewano się, że jego ludzie zaczną atakować. Zamiast tego on podniósł i

opuścił miecz, w trzy kroki zatrzymując pięćdziesiąt tysięcy. Rozkazy rozbrzmiewały echem wzdłuż i wszerz linii i Pompejusz, w gorączce oczekiwania, zaczął oddychać

szybciej. Poprzez wąską przerwę między długimi na milę liniami widział twarze

wroga.

Po obu stronach skorpiony wbito w podstawy i wyrzucono strzały długości rosłego mężczyzny tak prędko, że przecięły niebo niby ciemne błyskawice. Tor ich spadania na szeregi znaczyły porozrywane ludzkie ciała, plątanina rąk i nóg.

Kiedy jazda Pompejusza zaczęła przyspieszać na skrzydle, Cezar, z odległości niecałych dwustu stóp, rzucił do ataku swoich ludzi i wyschnięty grunt zadudnił pod ich nogami. Po obu stronach poszybowało w górę dwadzieścia tysięcy włóczni, przesłaniając pas ziemi niczyjej wijącym się cieniem.

Jeżeli krzyczano, krzyki pochłonał huk zderzenia.

Rozdział XX

233

Przez milę lądu tysiące uzbrojonych mężczyzn uderzyło w tarcze i miecze swoich wrogów. Nikt nie myślał o braterstwie. Zabijano z dzikim okrucieństwem, nie oszczędzając nikogo i nikt litości się nie spodziewał. Na równinie pod greckim Farsalos rozpoczęły się krwawe zniwa.

Wyborowi Pompejusza ruszyli galopem w stronę mniejszych jednostek jazdy. Dla tych nie było ratunku. Pompejusz otarł pot z oczu i wyciągnął szyję, by lepiej widzieć.

Kiedy jego konni zaczęli spychać do tyłu skrzydło wroga, wiedząc, że w tym momencie ważą się losy bitwy, nie odrywał od nich oczu. To jego ludzie wbijali się w jazdę

Cezara, przerzedzając i tak rzadsze szeregi, i każdy jego jeździec miał do czynienia z dwoma lub trzema jeźdźcami Pompejusza.

- Rozbić ich! Rozbić! Dać mi go! - krzyknął na wiatr.

Wtedy odpowiedział Dziesiąty. Weterani rozciągnęli swoją linię, by zgarnąć ze

skrzydła wrogą jazdę, i Pompejusz zobaczył, jak rozpruwają brzuchy jego wspaniałych koni i jeźdźców, kiedy ci zwolnili, wplątani w tłum. Pompejusz krzyknął, widząc, jak prą ku niemu. Rzucił krótkie spojrzenie na centurionów strzegących jego pozycji i się uspokoił. Miał przy sobie najlepsze ze swych straży i najlepszych łuczników i mógł

urządzić rzeź każdej sile, która by mu zagroziła. Był dostatecznie bezpieczny.

Miecze Dziesiątego nie na długo powstrzymały jazdę Pompejusza i linia walki wyrzuciła się na wschód, tam, gdzie jeźdźcy Cezara rozpaczliwie usiłovali zatrzymać natarcie.

Pompejusz ponad głowami tysięcy dostrzegł Juliusza. Cezar, trzymając się prosto w siodle, spokojnie wydawał rozkazy. Jego wróg omiółł wzrokiem własne, stojące nieruchomo linie piechoty, i ponownie spojrział na atakującą jazdę. Wyborowi Cezara, pokonani, odwróceniem plecami odjeżdżali w pełnym galopie. Pompejusz, w nagłym przyływie radości, wyciągnął w górę ramiona. Zapomniał o bólu.

Ludzie i konie konali na ziemi śliskiej od krwi. Pompejusz zobaczył, jak jego dowódcy odłączają dwie setki jeźdźców od najdalszego krańca linii i wysyłają ich za

uciekającym wrogiem. Potaknął z daleka ostrym szarpnięciem głowy. Podziękował bogom. Wszystko toczyło się tak jak powinno. Posłańcy nie spuszczaali z niego

234

Imperator

wzroku, oczekując nowych rozkazów, ale nie było potrzeby, by je wydawać.

Hałas przerażał. Kurz wisiał nad szeregami gęstą chmurą. Jeźdźcy i piesi wylaniali się z niego jak cienie. Pompejusz zobaczył, jak jego jazda zaczyna się przeformowywać, i już wiedział, że kiedy uderzą w pełnym galopie, utworzą sobie drogę do samego serca weteranów. Kiedy będą walczyć po obu stronach, nie powstrzyma ich nawet Dziesiąty.

Sława, jaką otoczył się Cezar, pryśnie jak bańka mydlana.

Cztery kohorty Dziesiątego obróciły się sprawnie, by przyjąć na siebie nadchodzący

atak, i Pompejusz przeklął wirujący w powietrzu kurz. Chciał zobaczyć poniżenie tych, na których wyrosła legenda Cezara. Chciał zobaczyć poniżenie ich dowódcy. Juliusz

był gdzieś pośród gęstych mas żołnierzy, ale zobaczyć cokolwiek było coraz trudniej.

- Dalej, naprzód. Rozpędźcie ich - powiedział łamiącym się głosem. - Atakujcie wreszcie.

Brutus, walcząc pośrodku pierwszych linii, pchnął umierającego człowieka do tyłu i zasłonił się tarczą przed ciosem. Zabito mu konia. Ledwo zdążył zeskoczyć z siodła i nie dać się przygnieść padającemu zwierzęciu. Nie wiedział, czy Juliusz, wysyłając

swój stary legion przeciwko niemu, działał celowo. Jeśli tak, jeśli w ten sposób chciał

spowolnić jego rękę i osłabić wolę, to się przeliczył. Choć własnoręcznie uczył walki ludzi, którzy szli mu naprzeciw, chociaż byli dla niego jak bracia, zabijał każdego bez namysłu.

Srebrna zbroja działała jak magnes, tak jak przewidział. Weterani, łamiąc szeregi, starali się go dopaść jeden przez drugiego. Dopaść i zabić.

- Boicie się swojego dawnego nauczyciela? - zawołał do nich, śmiejąc się dziko. - Jest tam choć jeden, który stawia mi czoło? Wypróbujcie mnie, przyjaciele. Podejdźcie

bliżej i wypróbujcie.

Dziesiąty usłyszał wezwanie. Ryknął i runął na niego. Nie mogąc w ścisku wydobyć miecza, Brutus szarpnął się, prosto pod cios wymierzony od tyłu. Hełm mu pękł.

Przekrzywił się na bok. On sam upadł, ale poderwał się szybko i tarczą rozbił głowy dwóch najbliższych stojących legionistów.

Rozdział XX

235

Wówczas ruszyli na niego następni. W jednej chwili wyrwano mu mordercze

narzędzie z ręki, razem ze skórą i opuszkami palców. Krzyknął z bólu, uchylił się

przed ciosem czyjegoś miecza i wbił swój, od dołu, w czyjąś pachwinę. Pośliznął się na czyjejś martwej twarzy, przeoranej ćwiekami jego sandała. Spojrzał w dół. Prosto w

zaciągnięte mgłą śmierci oczy Seneki.

Brutus zatracił się w walce. Ciął wszystko, na długość ramienia i miecza, i rzucał pod adresem wrogich linii buntownicze, choć coraz cichsze pogroźki. Zaczynał tracić siły, kiedy mignęła mu przed oczami wierna kopia jego srebrnej zbroi. Ryknął wyzywająco;

znał człowieka, który ją nosił. To był Oktawian, i ten, usłyszawszy wyzwanie, szarpnął

niespokojnie głową w jego stronę. Brutus czekał na niego. Nie miał dość miejsca, by swobodnie oddychać, i niepostrzeżenie opuściła go niewyczerpana energia młodości.

Tuż za jego plecami Labienus wzywał Czwartego do natarcia. Krzyk najwyraźniej zelektryzował dawny legion Brutusowy. Szeregi zakrzyknęły raz jeszcze i ludzie zaczęli walczyć jak oszaleli, nie bacząc na odnoszone rany. Między nimi przepychał się

Oktawian. Brutus, zmagając się sam ze sobą, zbryzgany czyjąś krwią, kiwał na niego omdlałą dłonią. Tym, którego chciał zobaczyć, był Juliusz.

Ostrze jego miecza zwróciło się bezużytecznie przeciw tamtej tarczy. Nie widział ciosu, który powalił go na kolana, ani drugiego, od którego padł na plecy.

- Gdzie jesteś? - zawołał do starego przyjaciela, patrząc w niebo. Wtedy czyjś miażdżący ciężar wycisnął mu z płuc ostatnie resztki powietrza i złamał, z głośnym chrupnięciem, prawe ramię. Brutus zapadł się w ciszę.

Dwie setki jeźdźców Pompejusza pędziło galopem przez równinę. Mężczyźni zostawili daleko za sobą zgiełk i krew, i śmierć, i teraz uszy wypełniało im jedynie rytmiczne dudnienie kopyt i chrapliwy oddech ich wierzchowców. Krzycząc w radosnym podnieceniu, wznosząc wysoko nad głowami długie miecze, ścigali pobitego wroga.

Kazytas otrzymał stopień dekuriona, służąc Rzymowi w Grecji, i dowodził swoją dziesiątką w latach względnego pokoju. Nigdy nie widział bitwy i nigdy by nie przypuszczał, że może być

236

Imperator

aż tak ekscytująca. Pędząc pośród innych, śmiał się głośno. Czuł się tak, jakby frunął.

Nagle wszystko się odmieniło. Wyborowi Cezara, w odpowiedzi na pojedynczy róg, zwarli szeregi jak na paradzie i uciekająca kolumna zwolniła, by zawrócić ku toczącej się bitwie.

Kazytas nie wierzył własnym oczom. Dopiero pierwszy dreszcz strachu kazał mu zrozumieć, że najeżdża na nich, w doskonałym szyku bojowym, większa część z dwóch tysięcy pobitej jazdy. Spojrzał do tyłu, na armię Cezara. Czy potrafiłby nie dopuścić, by pobici zwarli swoje szeregi ponownie? Spojrzał do przodu, na ciemny las

rozpędzonych koni. Odpowiedź nasuwała się sama.

- Wracamy na pozycje. Tam wypatroszymy im bebechy, nie tutaj! - krzyknął i

poprowadził za sobą całą resztę. Czuł, że jego ludzie popatrują nerwowo przez ramię, i sam ledwo oparł się takiej pokusie. Tamci byli blisko. Niebezpiecznie blisko. Już czuł

ich oddech na plecach.

Tysiące jazdy Pompejusza, które zostały na miejscu, z daleka wyglądały jak jedna zbita masa ludzi i koni, kłębiąca się pośród chmury ciemnego kurzu. Kazytas krzyczał na wiatr, by ich ostrzec, ale krzyczał na próżno. Nie słyszał go nikt.

Juliusz grzmiał rozkazami do ludzi, których ledwo widział za zasłoną kurzu. Jego Dziesiąty walczył dzielnie i szybko zapełniał wyrwy we własnych szeregach. To była męka patrzeć, jak są poddawani tak ciężkiej próbie, ale Juliusz nie mógł rzucić

wszystkich sił na jeden odcinek, do walki z żołnierzami skupionymi wokół

Pompejusza. Na krańcach masa jeźdźców już formowała linie do ataku. Poprzez kurz i szcęk oręża już słyszał odległe rzenie koni i każdy nerw i każdy mięsień był w nim napięty do granic możliwości. Jeżeli rozbiją jego linie od tyłu, wiedział, że bitwa będzie przegrana. Rozglądał się za czymś, co mogłoby osłabić nadchodzący atak, ale

na próżno.

Popatrzył ponad liniami, tam, gdzie ginęli kolejni z Dziesiątego, walcząc, jak

przystało, do ostatka, i uzmysłowił sobie, że kurz oślepi konie. Nawet solidny mur tarcz zostanie rozbity, kiedy w nich uderzą. Przeszyły go dreszcze. Dziesiąty nie mógł

zewrzeć tarcz i jednocześnie bronić głównej linii. Legion zginie.

236

Imperator

aż tak ekscytująca. Pędząc pośród innych, śmiał się głośno. Czuł się tak, jakby frunął.

Nagle wszystko się odmieniło. Wyborowi Cezara, w odpowiedzi na pojedynczy róg,

zwarli szeregi jak na paradzie i uciekająca kolumna zwolniła, by zawrócić ku toczącej się bitwie.

Kazytas nie wierzył własnym oczom. Dopiero pierwszy dreszcz strachu kazał mu zrozumieć, że najeżdża na nich, w doskonałym szyku bojowym, większa część z dwóch tysięcy pobitej jazdy. Spojrzał do tyłu, na armię Cezara. Czy potrafiłby nie dopuścić, by pobici zwarli swoje szeregi ponownie? Spojrzał do przodu, na ciemny las rozpedzonych koni. Odpowiedź nasuwała się sama.

- Wracamy na pozycje. Tam wypatroszymy im bebechy, nie tutaj! - krzyknął i poprowadził za sobą całą resztę. Czuł, że jego ludzie popatrują nerwowo przez ramię, i sam ledwo oparł się takiej pokusie. Tamci byli blisko. Niebezpiecznie blisko. Już czuł ich oddech na plecach.

Tysiące jazdy Pompejusza, które zostały na miejscu, z daleka wyglądały jak jedna zbita masa ludzi i koni, kłębiąca się pośród chmury ciemnego kurzu. Kazytas krzyczał na wiatr, by ich ostrzec, ale krzyczał na próżno. Nie słyszał go nikt.

Juliusz grzmiał rozkazami do ludzi, których ledwo widział za zasłoną kurzu. Jego Dziesiąty walczył dzielnie i szybko zapełniał wyrwy we własnych szeregach. To była męka patrzeć, jak są poddawani tak ciężkiej próbie, ale Juliusz nie mógł rzucić wszystkich sił na jeden odcinek, do walki z żołnierzami skupionymi wokół Pompejusza. Na krańcach masa jeźdźców już formowała linie do ataku. Poprzez kurz i szcęk oręża już słyszał odległe rzenie koni i każdy nerw i każdy mięsień był w nim napięty do granic możliwości. Jeżeli rozbiją jego linie od tyłu, wiedział, że bitwa będzie przegrana. Rozglądał się za czymś, co mogłoby osłabić nadchodzący atak, ale na próżno.

Popatrzył ponad liniami, tam, gdzie ginęli kolejni z Dziesiątego, walcząc, jak przystało, do ostatka, i uzmysłowił sobie, że kurz oślepią konie. Nawet solidny mur tarcz zostanie rozbity, kiedy w nich uderzą. Przeszyły go dreszcze. Dziesiąty nie mógł zewrzeć tarcz i jednocześnie bronić głównej linii. Legion zginie.

- Panie! Popatrz na wschód! - krzyknął jeden ze zwiadowców.

Mężczyzna został wybrany z szeregów wyborowych i być może wierność im sprawiła,

że ich wypatrywał. Juliusz obrócił się w siodle. Serce skoczyło mu do gardła. Na pole bitwy wracali jeźdźcy Pompejusza. Za nimi pędzili jego wyborowi, w pełnym galopie.

Juliusz przyglądał się, z zaschniętymi ustami, jak ci pierwsi, czując oddech wroga na plecach, usiłują schronić się między własne szeregi. Przyglądał się powstałemu

chaosowi i próbom zaprowadzenia porządku i uformowania linii ataku. Obie spełzły

na niczym i wtedy jego wyborowi uderzyli na tamtych od tyłu.

Jeźdźcy Pompejusza nie wiedzieć kiedy zostali rozgromieni. Jedni padli pod ciosami, drudzy na cofających się w panicznym strachu koniach znikali w dławiącym tumanie

kurzu, by na koniec wyłonić się z niego w strzępach niedobitków. Niektórzy umierali i spadali z siodła. Inni szarpali nadaremnie za wodze ponoszących koni.

Szeregi Dziesiątego, mając wolną drogę, runęły naprzód bez zastanowienia. Juliusz

krzyknął i z oczami wbitymi w stojącą na uboczu samotną postać Pompejusza,

pokierował koniem w sam chaos bitwy. W tumany kurzu. Za swoimi ludźmi.

Skrzydło Pompejusza wygięło się jak uwolnione od wielkiego napięcia i niewiele

brakowało, by wpadli wprost na łuczników otaczających dyktatora. Juliusz już chciał

rozkażać, by podniesiono tarcze, ale łucznicy także zbiegli z szeregów i Dziesiąty

wyrznął tych, którzy odważyli się pokazać plecy.

Gdy kurz się rozwiął, Juliusz zobaczył, że jazda Pompejusza opuszcza pole bitwy i

rzuca się do ucieczki. Jego wyborowi nie ruszyli w pogoń. Wycinali w pień i rąbali na kawałki tylne linie wroga, jedną po drugiej. To była prawdziwa odmiana fortuny i

Juliusza zaczęła rozsadzać radość.

Wodza pobitej armii nigdzie nie było. Juliusz, szukając go, prowadził konia po ciałach łuczników, skłutych mieczami każdego szeregu, który tamtędy przeszedł. Spod

końskich kopyt strzelały w górę skrzepy krwi i grudy ziemi, uderzały go po nogach i ześlizgując się, zostawiały po sobie ciemne smugi brudu.

Gdzieś w oddali jęknęły rogi. Juliusz szarpnął się w siodle. To była nuta wzywająca do poddania i

nagle ogarnęło go przerażenie.

238

Imperator

Możliwe, że podczas gdy on był zajęty na prawym skrzydle, jego weteranom albo się nie poszczęściło, albo zawiedli. Usłyszał szczęk rzucanej na ziemię broni, nie wiadomo czyjej. Nie wiedział, czy zwyciężył czy przegrał.

Wzdłuż linii jechał w jego stronę Oktawian, ciężko dysząc, ze zwisającym na jednym rzemieniu nagolennikiem, z pogiętą i poobijaną zbroją i tak samo zmalretowanym ciałem, z okiem zamkniętym opuchlizną, ale jakie to miało znaczenie. Oktawian przeżył i na jego widok serce Juliusza zabiło radośnie.

- Poddali się, panie - powiedział, oddając honory i drżąc z emocji. - Poddali się, ledwo Pompejusz opuścił pole. Już po wszystkim.

Juliusz zapadł się w siodle, pochylił do przodu i zwiesił głowę. Minęła długa chwila, zanim znów się wyprostował i popatrzył na północ. Nie powinien pozwolić, by

Pompejusz uciekł, ale walka mogła rozgorzeć na nowo, mógł ją sprowokować byle drobiazg. Jego obowiązkiem było trwać na równinie i wydawać rozkazy, a nie ścigać człowieka, który przegrał. Wiedział to, lecz najchętniej przyzwałby swoich wyborowych z powrotem i popędził za Pompejuszem. To były sprzeczne uczucia i należało się z nich otrząsnąć.

- Każ wszystkich rozbroić. Każ zacząć odstawiać rannych do obozu Pompejusza -

powiedział. - Przyzwij do mnie dowódców i potraktuj ich jak najuprzejmiej. Poddając się, postąpili mądrze, ale czują się zranieni. Niech wiedzą, że nie będziemy się mścić.

To nie są wrogowie.

- Tak, panie. - Oktawianowi głos drżał lekko.

Juliusz popatrzył na niego i uśmiechnął się krzywo. Z przekrwionych oczu młodszego mężczyzny przeziierało oddanie i uwielbienie.

-Jako konsul Rzymu, przyjmę od nich nową przysięgę na wierność. Powiedz im, że wojna się skończyła.

Sam ledwo mógł w to uwierzyć i wiedział, że prawda o tym, co się stało, nie dotrze do niego w godzinę czy dwie. Walczył przez całe życie i ta walka przywiodła go na równinę pod Farsalos, w samo serce Grecji. To było dość.

- Panie, Brutus padł. Widziałem.

- Gdzie? - warknął Juliusz, nagle przywołany do rzeczywistości.

- Pośrodku linii, panie. Walczył z Labienusem.

-Prowadź! - Wodza, który przed chwilą wygrał bitwę, oblał

Rozdział XX

239

zimny pot. Nie potrafił opanować nagłego drżenia rąk ściskających wodze.

Obaj jeźdźcy przejechali wzdłuż szeregów żołnierzy systematycznie porządkujących pole bitwy, od lat obeznanych ze swoim zajęciem. Odebrane wrogowi miecze ułożono

w wysokie stopy. Ci, którzy nie pili od wielu godzin, teraz podawali sobie wodę z rąk do rąk. Na widok mijającego ich wodza legiony zagrzmiały triumfalnymi okrzykami.

Juliusz ledwo to słyszał, wpatrzony w wyciąganą spomiędzy sterty ciał bezwładną

postać w srebrnej zbroi. Zsiadł z konia ze zdławionym gardłem. Kiedy nowy Czwarty z szacunkiem odstąpił na bok, by zrobić mu miejsce, przyklęknął na kolano i popatrzył

na białą jak najbielszy marmur twarz najdawniejszego przyjaciela.

Widok był straszny. Spuchnięte i zniekształcone usta i policzki; strużka krwi ciekąca z ucha; krew wszędzie, krew zakrzepła, krew zmieszana z ziemią. Juliusz wyjął z

zanadrza skrawek płótna i delikatnie zaczął ją wycierać.

Brutus otworzył oczy. Jęknął. Przytomniał i choć spojrzenie, które zwrócił ku

Juliuszowi, wydawało się nieobecne, spomiędzy spuchniętych ust wydobył się szept.

Juliusz pochylił się niżej.

- Zabijesz mnie teraz? - usłyszał.

- Nie, nie zabiję.

Brutus wydał z siebie długi, drżący oddech.

- A więc umieram, czy tak?

Juliusz popatrzył na niego oczami zimniejszymi od śmierci.

- Możliwe. Zasługujesz na to.

- A Pompejusz?

- Uciekł. Ale go dopadnę.

Brutus próbował się uśmiechnąć, lecz zmógł go kaszel.

- A więc przegraliśmy - powiedział cicho, nadaremnie usiłując splunąć krwią na ziemię. Chyba ubywało mu sił. - Wiesz, martwiłem się, że cię już nigdy nie zobaczę.

Myślałem, że już po mnie.

Juliusz smutno potrząsnął głową.

- I co ja mam z tobą zrobić? - mruknął. - Myślałeś, że cię nie cenię? Myślałeś, że nie tęskniłbym za tobą, gdybyś został w Rzymie? Nie uwierzyłem twojej matce, kiedy mi

to mówiła. Nie mógłbyś mnie zdradzić, powiedziałem jej, nie ty. Zraniłeś mnie wtedy.

Ranisz mnie wciąż.

240

Imperator

Do oczu Brutusa napłynęły łzy, wyciśnięte bólem i niedolą.

- Czasami chciałem po prostu coś zrobić i nie myśleć, że wielki Juliusz zrobi to lepiej.

Nawet kiedy obaj byliśmy młodzi, chciałem tego. - Przerwał. Z zaciśniętymi szczękami czekał, aż minie skurcz bólu. - Do wszystkiego, czym jestem, doszedłem sam.

Przebiłem się przez rzeczy, które innych, słabszych, by złamały. Kiedy ja biczowałem sam siebie, tobie wszystko zdawało się przychodzić bez wysiłku. Bo i przychodziło.

Jesteś jedynym człowiekiem, na którego patrząc, zawsze czułem, że marnuję własne

życie.

Juliusz patrzył na pokonanego, zbolełego człowieka, którego znał od niepamiętnych czasów.

- Dlaczego nie mogłeś być szczęśliwy u mego boku? - spytał łamiącym się głosem. -

Dlaczego mnie zdradziłeś?

- Chciałem być ci równy - odpowiedział Brutus, obnażając czerwone od krwi zęby.

Kolejny spazm bólu pozbawił go tchu. - Nie przypuszczałem, że Pompejusz okaże się takim głupcem - dodał jeszcze słabszym głosem. Popatrzył prosto w zimne oczy

Juliusza. Wiedział, że decyduje się jego los, gdy tymczasem on sam leży bezradnie. -

Wybaczysz mi? Wybaczysz nawet to? - wyszeptał, podnosząc głowę. - Czy mogę cię prosić o tę ostatnią rzecz?

Odpowiedź nie padła od razu. Nie padała długo. Za długo. Brutusowi oczy się zamknęły, głowa opadła.

-Jeżeli przeżyjesz - powiedział w końcu Juliusz - zapomnę o przeszłości. Rozumiesz?

Potrzebuję cię, Brutusie.

Nie wiedział, czy przyjaciel go słyszy. Marmurowobiała twarz zbielała jeszcze bardziej i tylko pulsowanie żyły na szyi wskazywało na resztki życia. Najostrożniej jak umiał

otarł usta przyjaciela z krwi i dotknął bezwładnego złamanego ramienia. Wstał.

Oktawian był wstrząśnięty. Słyszał każde słowo i nie dowierzał własnym uszom.

- Zaopiekuj się nim, Oktawianie. Jest ciężko ranny.

- Panie, proszę...

- Daj spokój, chłopcze. Za długo szliśmy razem, by rozłączyła nas jakaś jedna zdrada.

Po długiej chwili Oktawian pochylił głowę.

- Tak, panie - powiedział.

ROZDZIAŁ XXI

Wv arowny obóz Pompejusza rozbito na wzgórzu wznoszącym się wprost nad polem bitwy. Szare głązy przezierały spod zielonych porostów niby spróchniałe kości, a ponurą ciszę, pośród której Juliusz torował sobie drogę do bram, zakłócało wycie i pojękiwanie wiatru. Poprzedniej nocy służba obozowa Pompejusza rozpałała wielkie pochodnie i teraz nad równiną snuły się serpentyny czarnego dymu.

Juliusz przystanął, by popatrzeć na równinę. Jego dowódcy właśnie zaprowadzali porządek na polu bitwy, lecz najbardziej rzucała się w oczy ciągła linia trupów, wskazująca, gdzie zmierzyły się obie armie. Ciała leżały tam, gdzie upadły. Z wysoka wyglądało to jak wybrzusząca się w poprzek równiny szrama, jak coś, co było nieodłączną częścią krajobrazu, nie zaś miejscem śmierci tysięcy. Owinął się ciaśniej płaszczem. Pompejusz wiedział, gdzie wznieść swoją jednodniową twierdzę. Stroma ścieżka prowadząca na płaski szczyt była wąska i tak zarośnięta, jakby unikały jej nawet dzikie kozy. Juliusz nie popędzał ostrożnie stąpającego konia. Zawierzał jego instynktowi.

Wciąż był oszołomiony nową rzeczywistością i tak samo przytłoczony ciężarem wspomnień. Całe życie walczył z wrogami. Wyrósł i określił się w ich cieniu. W cieniu Sulli, Katona, wreszcie Pompejusza. Bez nich świat był inny. Bez nich on sam był wolny, ale w wolności kryła się niewiadoma.

Szkoda, pomyślał, że tej twierdzy na wzgórzu nie zobaczy Ka-bera. Stary człowiek zrozumiałby jego egzaltację w tym momencie. Być może sprawiał to wiatr i wysokość, ale łatwo było sobie

242

Imperator

wyobrazić duchy tych, którzy zginęli. W śmierci nie ma żadnego sensu. Ludzie tacy jak Reniusz i Tubruk leżeli w grobach jednakowo długich i szerokich jak groby Katona czy Sulli. Koniec końców wszystko, co jest ciałem, zamienia się w proch.

Podziękuje bogom i złoży im ofiary później. Teraz, pnąc się pod górę, był jak

sparaliżowany. Zaledwie parę godzin temu stał twarzą w twarz z olbrzymią armią i zwycięstwo było zbyt świeże, by było realne.

Wielki obóz warowny, prawdziwa twierdza, którą wzniósł Pom-pejusz, zawisł nad nim jak gradowa chmura. To, że każdą jego część przyniesiono z nizin, świadczyło o rzymskiej pomysłowości i sile. Nie spali go, pomyślał, stając wreszcie na płaskim szczycie. Niech będzie pomnikiem dla tych, którzy umarli. Stosowne było zostawić im coś w tym pustym krajobrazie, gdzie w szalejącym wietrze zniknie wkrótce nawet krwawy kurz. Za kilka dni, kiedy legiony stąd odejdą, opuszczony obóz stanie się schronieniem dla dzikich zwierząt, aż czas i rozkład dokonają swego.

Bramy, pozbawione straży, stały otworem. Tysiąc legionistów Dziesiątego sapało tuż za jego plecami, kiedy mijał obwałowania, patrząc na schludny porządek ostatniego obozu Pompejusza, na doły po kuchniach i na szeregi niestrzeżonych namiotów. To było opustoszałe miejsce i Juliusz zadrzał na myśl, jak wielu z tych, którzy opuścili je o świcie, stygło teraz na pobliskiej równinie. Być może już wtedy wiedzieli, że mu się poddadzą, ale żołnierska powinność nakazywała trwać na pozycjach, dopóki

Pompejusz nie uciekł z pola bitwy.

Stary senat Rzymu uformował milczące szeregi wzdłuż głównej ulicy obozu i stał z pochylonymi głowami. Juliusz nie patrzył na nich; jego oczy przykuwał namiot wodza, miejsce, gdzie Pompejusz obudził się tego ranka. Zsiadł przed nim z konia. Rozwiązał rzemienie, które zamykały dostęp wiatrowi. Jego Dziesiąty wystąpił do przodu, by mu pomóc, i dwóch legionistów odrzuciło na bok grube skórzane poły i umocowało je solidnie.

Juliusz wstąpił w mrok. Rozejrzał się wokół. Onieśmielony ciemnym wnętrzem czuł się jak intruz. Stał i czekał, aż jego ludzie zapalą lampy i rozżarzą kociołki, a migoczące złoto ognia rozświetli wnętrze. Zimno było przejmujące i Juliusz zadrzał.

Rozdział XXI

- Zostańcie na zewnątrz - polecił żołnierzom i w jednej chwili był sam.

Wszedł za zasłonę, gdzie gładko pościelone, czekało na Pompejusza jego łóżko i gdzie wyczuwało się porządek - dzieło rąk niewolników, po tym, jak armia wyruszyła na

bitwę. Juliusz podniósł z ławy glinianą miskę i powąchał zaschniętą w niej białą

papkę. Otworzył skrzynię. Szybko przejrzał jej zawartość. Czuł się nieswojo, tak jakby w każdym momencie w wejściu do namiotu mógł stanąć Pompejusz i zapytać, co on tu

robi.

Przeglądał dalej osobiste rzeczy dyktatora. Wierzył, wbrew rozsądkowi, że został tu gdzieś pierścień z pieczęcią senatu, lecz pierścienia nie było. Potrzęsął głową.

Istotnie, co on tu robi?

Ruszając przez ubitą ziemię do wyjścia, zahaczył wzrokiem o stojący pod ścianą stół i leżący na nim spory zwój pergaminów. Powodowany impulsem, wyciągnął dłoń i

szarpnął za supeł na czerwonym jedwabiu, którym były przewiązane. Powinien je

przeczytać, to pewne. Dziennik i listy dopełniłyby obrazu człowieka, z którym walczył, przemieszczając się wzdłuż i wszerz Grecji. Wyjawiłyby jego błędy, błędy ich obu;

odsłoniłyby najskrytsze myśli. Gdzieś pośród tysiąca innych słów byłoby słowo o

Brutusie, byłyby szczegóły, które Juliusz pragnął poznać aż do bólu.

W żelaznym kociołku głośniejsz trzasnął ogień. Juliusz chwycił zwój i nie dając się

zwieść ciekawości, cisnął nim w płomienie. Nie wyciągnął dłoni, by wyciągnąć

pergaminy z powrotem. Nie rozmyślił się. Stał i patrzył, jak się zwija, powoli

brązowieje i zwęgla czerwona opaska i jak płomienie obracają w popiół słowo po

słowie.

Dym nie był gęsty, mimo to długo gryzł w oczy. Juliusz zmrużył je, wychodząc na

powrót w słabe światło słoneczne i patrząc z dumą na postawę tysięcy Dziesiątego,

który już uformował szeregi. Utrudzeni bitwą mężczyźni oczekiwali, że poprowadzi

ich z powrotem do Dyrrachium, aby negocjować z senatem Pompejusza w mieście

zamiast na polu bitwy. Wiedział, że należy dokończyć raz rozpoczęte dzieło. Do

zrobienia pozostawało tysiąc rzeczy. Przede wszystkim - wypłacić żołd legionom. Z tą myślą po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że wraz z dobrodziejstwem zwycięstwa bierze na siebie odpowiedzialność także za tamte, którymi dowodził Pompejusz. One się

także spodziewały, że w porę otrzymają swoje srebro,

244

Imperator

tak samo jak gorącą kolację, żołnierski ekwipunek i schronienie. Należało poza tym wznieść i zapalić stosy dla zmarłych.

Juliusz podszedł na skraj wzgórza i popatrzył w dal. Pompejusz był pokonany. Nie

było potrzeby ścigać go dalej. To prawda, zabrał ze sobą pierścień senatu, ale po

powrocie do Rzymu Juliusz mógłby wysłać okręty i listy pozbawiające go władzy.

Dyktator byłby zmuszony zabrać resztki swojej jazdy z rzymskich ziem i zniknąć raz na zawsze.

Juliusz odetchnął. Jego legiony latami walczyły dla chwili, która wreszcie nadeszła.

Mężczyźni złożą broń i założą gospodarstwa, tak jak im obiecał, i za srebro i złoto zbudują wygodne domy w podbitych prowincjach. Podzielił się z nimi tym, co zdobyli

w Galii, ale zasługują na tysiąc razy więcej. Dali z siebie wszystko.

W górę wijącej się drogi jechał ku niemu Oktawian. Starał się nie okazywać po sobie zmęczenia, ale twarz pokryta bitewnym kurzem i błyszcząca świeżym potem mówiła

sama za siebie.

- Rozkazy, panie? - spytał, oddawszy honory.

Juliusz popatrzył ku dalekiemu horyzontowi. Widok rozciągał się na mile i Grecja jeszcze nigdy nie wydawała mu się tak rozległa i pusta, jak z tego wzgórza.

- Zostanę tu na noc, Oktawianie. Trzeba pogrzebać zmarłych. -Odetchnął głęboko,

czując w kościach zmęczenie. -Jutro ruszę za Pompejuszem. Będą mi potrzebni

wyborowi, Dziesiąty i Czwarty. Do innych przemówię i odeślę ich do domów.

Oktawian podążył wzrokiem za spojrzeniem wodza.

- Oni nie zechcą wracać, panie - powiedział po chwili milczenia. Juliusz obrócił się do niego twarzą.

-Napiszę do Marka Antoniusza. Otrzymają należny żołd, a ci, którzy zechcą, dostaną obiecaną ziemię. Dotrzymam przysięgi wobec każdego i wobec wszystkich.

- Nie, panie, to nie tak. Oni nie chcą być odesłani, podczas gdy ty idziesz dalej.

Słyszałem, co mówią. Cyron, jak chcesz wiedzieć, nawet przyszedł do mnie, prosząc, bym się za nim wstawił. Oni chcą zobaczyć, jak to się skończy.

Juliusz pomyślał o obietnicy złożonej córce. Czy Julia znienawidzi go, jeżeli zabije Pompejusza? Wyobraził sobie scenę, jak ściąga pierścień z jego martwej dłoni. Być

może tyle by wystarczyło,

P

Rozdział XXI

245

by on sam wreszcie zaznał spokoju. Być może. Ale jedno wiedział na pewno: dopóki

nie stanie przed dyktatorem, wojna się nie skończy. Sulla zostawił Mitrydatesa przy życiu, na tej samej ziemi, i ceną za to była rzymska krew.

Gwałtownie potarł twarz. Potrzebował kąpieli, świeżego ubrania i czegoś do zjedzenia.

Ciało zawsze jest słabe.

-Przemówię do ludzi. Ich lojalność... - Przerwał. Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. - Trzeba zadbać o bezpieczeństwo Rzymu. Odarliśmy go ze wszystkiego, idąc

tutaj. Wezmę ze sobą Czwarty, Dziesiąty i wyborowych, nikogo więcej. Powiedz Cyronowi, by wyznaczył na swoje miejsce starszego trybuna. Cyrona wezmę ze sobą.

Myślę, że ci, którzy byli nad Rubikonem, powinni zobaczyć, co dalej.

Juliusz uśmiechnął się do tej myśli, ale zobaczył, że twarz Oktawiana tężeje.

- Brutus też, panie? Co każesz z nim zrobić? Uśmiech Juliusza zbladł.

- Każę go zabrać. Niech go położą na któryś z wozów z zaopatrzeniem. Wyzdrowieje w

drodze.

-Panie...

- Rzekłem, Oktawianie. Brutus był ze mną od samego początku. Będzie dalej.

Brutus leżał pośród rannych współtowarzyszy, pogrążony w ciemnościach i w bólu.

Pole bitwy widoczne przez odrzucone poły namiotu, zalane białą poświatą księżyca,

sprawiało upiorne wrażenie. Brutus zamknął oczy. Jedyne, czego pragnął, to zapaść

ponownie w sen. Ramię mu nastawiono i włożono w łubki, żebra, pęknięte pod

ciężarem martwego żołnierza, obwiązano. Ból narastał przy każdym ruchu i za

ostatnim razem, kiedy pełen pęcherz zmusił go, by usiadł, musiał zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć.

Naczynie pod łóżkiem polowym było pełne po brzegi, coraz ciemniejsze i coraz bardziej cuchnące.

Wciąż miał zawroty głowy i krótką rozmowę z Juliuszem,

kiedy po bitwie leżał we krwi i brudzie, pamiętał jak przez mgłę, a myśl o niej paliła go do żywego, bardziej niż rany.

Czyjś mimowolny okrzyk bólu przeszył go dreszczem. Żałował, że nie ma siły, by wyjść z cuchnącego namiotu w nocne powietrze.

246

Imperator

Pocił się nieustannie i w chwilach, kiedy myśli miał jasne, wiedział, że trawi go

gorączka. Zachrypiał, by podano mu wodę, ale nadaremnie. Nikt się nie zjawił i nikt mu jej nie podał.

Wyczerpany osunął się w jeszcze czarniejsze otchłanie i w spokój.

Ze snu, podobnego do śmierci, wybudziło go gwałtowne szarpanie za ramię. Wokół

stali mężczyźni. Znał każdego. Każdy był z nim w Hiszpanii i w Galii. Kiedyś byli

braćmi, ale teraz ich twarze ziały nienawiścią. Jeden z nich pochylił się nad nim. Miał

w dłoni krótki sztylet.

-Jeżeli zostało ci choć trochę honoru, poderzniesz sobie gardło - bluznął słowami.

Brutus nie wiedział, na jak długo stracił przytomność, ale kiedy znów ją odzyskał,

mężczyźni wciąż stali nad nim, a między jego ramieniem i obwiązaną piersią tkwiło

zimne stalowe ostrze.

- Trzeba mu pomóc, sam tego nie zrobi - któryś warknął chrapliwie.

Inny kiwnął głową i sięgnął po sztylet. Brutus zaklął, próbując się wywinąć obmacującym go palcom. Był za słaby. Ze strachu przed umieraniem w cuchnącym namiocie próbował krzyczeć, lecz opuchnięte, suche gardło odmówiło mu posłuszeństwa.

- Włóż mu to w dłoń - usłyszał i poczuł z przerażeniem, że ktoś otwiera mu bezsilne palce.

W mrok namiotu wdarł się niespodziewanie jakiś nowy głos.

- Co tu się dzieje?

Oprawcy odskoczyli od ofiary i popędzani krzykiem nowo przybyłego, rzucili się do wyjścia. Brutus leżał na plecach. Ciężko dyszał. W dłoni zaciskał bezwiednie krótkie narzędzie mordy. Usłyszał zbliżające się kroki i popatrzył w twarz pochylającego się nad nim centuriona.

- Potrzebuję straży - szepnął.

- Nie mam ludzi na zbyciu - odparł chłodno mężczyzna.

Na zewnątrz, na równinie, płomienie ze stosów grzebalnych rozjaśniły noc. Ciemności namiotu nieco się rozproszyły i spojrzenie centuriona padło na miskę zupy na

drewnianym stołku. Po wierzchu pływał kawałek flegmy. Centurion się skrzywił.

- Przyniosę ci czystą miskę i czyste naczynie na szczyzny - powiedział, zdjęty obrzydzeniem. - To mogę zrobić.

Rozdział XXI

247

- Dziękuję ci - wyszeptał Brutus, zamykając oczy na ból.

- Nie dziękuj. Nie chcę od ciebie niczego - odwarknął centurion.

Brutus, na dźwięk oburzenia w jego głosie, sięgnął po sztylet.

- Zostawili to.

- Wiem. Słyszałem wszystko. Może mają rację. Choć nie oni to zrobią. Nie podczas moich straży. Ale radziłbym ci pomyśleć. Jak zrobisz to sam, sprawa będzie czysta.

Odrzucona słabą ręką Brutusa broń uderzyła o ziemię gdzieś niedaleko. Centurion nie powiedział nic więcej. Opuścił namiot.

Płonące na zewnątrz stosy trzeszczały godzinami. Brutus wysłuchał paru modlitw, potem raz jeszcze osunął się w sen.

O świcie krzyki rannych w namiocie zrobiły się głośniejsze. Legionowi uzdrowiacze myli i zszywali, i brali w łubki połamane kości, najlepiej jak który potrafił. Zakażenie i choroba miały się później pojawić u większości.

Brutusa jednak nie obudziły ani jęki, ani poranna krzątanina. Obudziła go nagła cisza.

Podniósł głowę. Do namiotu wchodził Juliusz. Mężczyźni nie pozwoliliby sobie na jęki w obecności konsula i tych, którzy jęczeli przez sen, obudzono potrząśnięciem.

Brutus, zmagając się sam z sobą, podniósł się najwyżej jak mógł. Ranni leżący obok wpatrywali się w niego otwarcie. Wyczuwał ich niechęć i zaciskając szczęki, postanowił nie zdradzać się z własnym bólem.

Patrzył, jak Juliusz zamienia z każdym parę słów i jak każdy, po jego odejściu, siedzi dumnie, tłumiąc najgorsze cierpienie. Czy tylko mu się zdawało, czy napięcie w

namiocie rzeczywiście rosło, w miarę jak Juliusz zbliżał się do niego, nie był pewien; tak czy inaczej w końcu Cezar przyciągnął stołek do jego boku i siadł na nim ciężko.

Miał zaczerwienione od dymu oczy. Ale jego zbroja była wypolerowana i w porównaniu z rannymi wydawał się spokojny i wypoczęty.

- Dbają tu o ciebie? - spytał, spoglądając na łubki i płótna, które spowijały pogruchotane kości.

- Kwiaty i winogrona każdego ranka - odrzekł Brutus.

248

Imperator

Chciał mówić dalej, ale słowa uwięzły mu w gardle. W intensywnie niebieskich

oczach, które patrzyły na niego tak spokojnie, nie krył się żaden podstęp. Trudno było uwierzyć, ale w jakiś sposób mu przebaczone. Serce tłukło niu się w piersi jak szalone, przed oczami migotały czerwone iskry. Wiedział, że nadal ma gorączkę, i najchętniej na powrót pogrążyłby się w bezpiecznych ciemnościach. Nie mógł patrzeć Juliuszowi

w twarz. Odwrócił oczy.

- Dlaczego mnie nie zabiłeś? - wyszeptał.

- Dlatego, że jesteś moim najdawniejszym przyjacielem - odpowiedział Juliusz,

przysuwając się bliżej. - Ile razy ocaliłeś mi życie przez te wszystkie lata? Myślisz, że mógłbym odebrać ci twoje? Nie mógłbym.

Brutus pokręcił głową. Nic z tego nie rozumiał. Nocą myślał, że wstyd go zabije, i

gdyby mógł, sięgnąłby po odrzucony sztylet.

- Ludzie uważają, że powinieneś - powiedział, myśląc o nocnych odwiedzinach i

cudzej flegmie w misce z jedzeniem.

- Ludzie nic nie rozumieją.

Brutus nienawidził go za jego wspaniałomyślność. Każdy obywatel Rzymu się dowie,

jak to Juliusz oszczędził przyjaciela, który go zdradził. Już sobie wyobrażał

wyciskające łzy strofy poetów. Pluł na to.

Nie okazał, co myśli, kiedy znów podniósł wzrok na Juliusza. Po Farsalos świat był

inny. Po Farsalos on, Brutus, narodził się po raz drugi. Możliwe, że potrafi zacząć wszystko od początku. Wyobraził sobie, że wyczołga się z przeszłości jak wąż z

martwej skóry i raz jeszcze stanie u boku Juliusza jako jego przyjaciel. Ale równy nie będzie mu nigdy. Między nimi stanęła murem, raz na zawsze, ta przyprawiająca o

mdłości szlachetność, ten sławiony przez tysiące dar wybaczenia. Żyje, bo tak

zdecydował Juliusz, ale czy potrafi żyć z taką świadomością?

Mimo woli zacisnął zęby i jęknął, przytłoczony nadmiarem wzruszeń. Poczul na czole

dłoń Juliusza.

- No, nie przejmuj się, ciało zawsze jest słabe - usłyszał jego głos.

Brutusowi oczy zwilgotniały. Pragnął rozpaczliwie cofnąć czas o dwa lata albo umieć pogodzić się z tym, co się stało. Ale to było nie do zniesienia. Nie do zniesienia.

Rozdział XXI

249

Zacisnął oczy, by nie widzieć człowieka siedzącego u jego boku. Kiedy znów je otworzył, Juliusza nie było, a na niego były skierowane oskarżycielskie spojrzenia rannych żołnierzy. Ich zauroczenie postawą wodza powstrzymało go od wypłakania swojej nienawiści i swojej miłości.

ROZDZIAŁ XXII

.Legiony Dziesiąty i Czwarty były zmęczone i w nie najlepszych nastrojach po tylu dniach marszu. Wozy ogołocono z zapasów, a wiosenne zboże ledwo kielkowało zielonymi pędami. Woda w amforach już dawno skwaśniała. Głód nękał każdego i nawet koniom wyborowych sterczały żebra pod powłokami ciemnego kurzu, mimo to legiony nie ustawały w drodze. Za każdym razem, kiedy Juliusz myślał, że dłużej nie wytrzymają, kolejna napotkana wieś dostarczała wieści o jeźdźcach Pompejusza i to działało jak magnes i ciągnęło ich coraz dalej na wschód. Wiedzieli, że są blisko uciekiniera.

Juliusz potarł piekące oczy. Stał na nabrzeżu i patrzył ponad szarymi falami na sześć galer, smukłych i śmiercionośnych jak krwiożercze ptaki. Strzegły cieśniny między

Grecją a Azją Mniejszą i czekały na niego.

Pompejusz dotarł na wybrzeże tylko noc wcześniej i Juliusz miał nadzieję go schwytać, zmusić do stanięcia twarzą w twarz z armią, która go goniła. Stało się inaczej; okręty dyktatora były gotowe do zabrania go na morze. Pompejusz przerwał ucieczkę ledwo na chwilę i teraz równiny Grecji zostały za nim.

- Dojść tak daleko... -Juliusz jęknął na głos.

Czuł na sobie spojrzenia swoich ludzi. Gdyby droga była wolna, wcale by się nie

wahał. Jednak wschodnie wybrzeże Grecji było zatłoczone kupieckimi statkami i to wyprowadzało go z równowagi. Zmrużył oczy, obserwując, jak okręty Pompejusza wypływają na pełne morze, jak ich dzioby rozgarniają białą pianę. Nie mogły być dobrze obsadzone, w końcu Pompejusz stracił najbardziej

Rozdział XXII

251

bitnych żołnierzy, ale to nie była żadna pociecha. Na otwartym morzu rozbiliby w

drzazgi niewielkie łupinki kupców. Teraz, kiedy zobaczono jego legiony, nawet nocna przeprawa niewiele dawała. W tej sytuacji nie mógł liczyć na zaskoczenie wroga, teraz Pompejusz odpowiedziałby na atak z całą zaciekleścią.

Zdjęty rozpaczą Cezar zastanawiał się, jak wiele statków stoi na kotwicy w dół i w górę skalistego wybrzeża. Były jak mur z drewna i żelaza, którego on nie mógł pokonać.

Jego ludzie czekali cierpliwie. Chociaż Pompejusz ogołocił port prawie ze wszystkiego, wody było dosyć, by obmyć z kurzu twarze i napełnić skórzane worki i drewniane

baryłki. Rozsiedli się w grupach po ośmiu czy dziesięciu po całym nabrzeżu, grając w kości i dzieląc się okruchami jedzenia, które jeszcze zdołali znaleźć. Zmartwienie, jak przepłynąć morze, w końcu nie było ich zmartwieniem. Oni swoją część zadania już

wykonali.

Juliusz zacisnął pięść i uderzał nią miarowo o grubą drewnianą kolumnę, o którą się opierał. Nie mógł zawrócić i pozwolić Pompejuszowi uciec. Doszedł za daleko. Jego

spojrzenie padło na rybacką łódź, której właściciele byli zajęci przy linach i żaglach.

- Zatrzymać tych ludzi - rozkazał.

Trzej żołnierze Dziesiątego rzucili się do łodzi, nim rybacy zdążyli odpłynąć. Żagiel już łopotał na wietrze, kiedy Juliusz przeszedł statecznym krokiem przez kamienny

falochron.

- Zabierzcie mnie do tamtych okrętów - powiedział, przekrzykując kłótnie głosy

protestów.

Rybacy popatrzyli na niego bez wyrazu. Przyzwał Adana.

- Powiedz im, że zapłacę za przewóz - poprosił Celta, swojego wieloletniego skrybę i tłumacza.

Adan sięgnął do sakiewki i rzucił mężczyznom dwie sztuki srebra. Pokazywał na migi to na okręty, to na Juliusza tak długo, aż gniewne czoła się rozpozodziły.

Juliusz popatrzył na niego niedowierzająco.

- Czy nie miałeś uczyć się greki? - spytał.

- To trudny język - odrzekł Adan zakłopotany. Podeszedł do nich Oktawian i popatrzył na maleńką łódź.

- Panie, chyba nie zamierzasz popłynąć sam - zachnął się. - Oni cię zabiją.

252

Imperator

- Jaki mam wybór? Jeżeli popłynę z wojskiem, galery zaatakują. Mnie samego mogą wysłuchać.

Oktawian, niewiele myśląc, oddał swój miecz pierwszemu z brzegu żołnierzowi i zaczął zdejmować zbroję.

- Co robisz?

- Idę z tobą, ale nie umiem pływać w czymś takim, a mogą nas zatopić. - Popatrzył znacząco na napierśnik wodza, ale Juliusz zlekceważył spojrzenie.

- Wchodź zatem. Jeden więcej nie robi różnicy - powiedział i popatrzywszy, jak Oktawian, kręcąc nosem na mdły zapach ryb, radzi sobie z poruszaniem się między śliskimi sieciami, ruszył za nim. Łódź zakołysała się niebezpiecznie. - Ruszamy - powiedział do rybaków, po czym ciężko westchnął i wskazał dłonią, co mają robić.

Łódź odbiła od nabrzeża w kilka chwil. Juliusz popatrzył przez ramię na zmartwione miny swoich żołnierzy. On sam, zadowolony z siebie, wyszczerzył radośnie zęby.

- Wciąż cierpisz na morską chorobę, Oktawianie? - spytał.

- Ależ skąd. Żołądek mam jak z żelaza - skłamał beztrząsko młodzieniec.

Majaczące w oddali galery wprawiły obu mężczyzn w niewytłu-maczalnie dobre nastroje. Łódź rybacka wypłynęła z bezpiecznej zatoki i Juliusz odetchnął głęboko, rozkoszując się kołysaniem fal.

- Zobaczyli nas - powiedział po chwili.

Dwie galery cofnęły wiosła i zawróciły na spotkanie łodzi, która rzuciła wyzwanie głębokiej wodzie. Kiedy podpłynęły bliżej, Juliusz usłyszał krzyk z wieżyczki obserwacyjnej. Być może załoga rybacka zostałaaby zignorowana, lecz widok żołnierzy na pokładzie wystarczył, by galery poczuły się zaalarmowane. Proporce wciągnięto na najwyższe maszty i z raz obranego kursu zaczęły zawracać kolejne śmiercionośne jednostki.

Dobre nastroje przysły. Juliusz siedział nieruchomo, z wyprostowanym karkiem, gdy tymczasem galery wiosłowały ku niemu co sił, a rybacy opuścili żagiel. Poza pluskiem mieszanej wiosłami wody jedyny hałas robiły rzymskie gardła, wykrzykujące rozkazy.

Juliusza ogarnęła tęsknota za dawnymi dniami, na szybkich okrętach, na innym wybrzeżu.

Rozdział XXII

253

Galery podciągnęły bliżej. Juliusz popatrzył w górę, na szeregi żołnierzy. Bał się, lecz nie zamierzał zmieniać raz powziętej decyzji. Nawet gdyby chciał, nie mógłby im

uciec. Galery dogoniłyby małą łódź, pracując samymi wiosłami. Przełknął nerwowo.

Burty galer były zielone i oślizłe, znak, że podczas gdy on miesiącami walczył z

Pompejuszem, rzymskie okręty wciąż pływały po morzu. Z uniesionych wiosł

bryznęła w dół zimna woda, prosto na zadartą twarz Juliusza. Zadrzał, ale w

momencie, kiedy łódź przepływała pod nimi, pośród żołnierzy pojawiła się zbroja centuriona.

- Kto ty jesteś? - spytał mężczyzna.

- Konsul Gajusz Juliusz Cezar. Rzuć mi linę.

Obie jednostki kołysały się na falach i choć próbował, nie mógł wytrzymać wzroku centuriona. Rozumiał jego trudną sytuację. Niewątpliwie Pompejusz wydał ścisłe rozkazy, by zatapiać i palić tych, którzy szli za nim z pogonią.

Nie uśmiechnął się, kiedy długa sznurkowa drabina stuknęła o bok galery, a jej obciążony koniec zniknął pod wodą. Ryzykując wypadnięcie z łodzi i nie zważając na ostrzegawcze krzyki rybaków, wychylił się, by po nią sięgnąć.

Wspinał się ostrożnie. Trudno mu było zachować zimną krew, kiedy obserwowały go załogi co najmniej trzech galer, ani nie pomagała mu myśl, że w razie gdyby spadł, utonie pod ciężarem własnej zbroi. Dyszał ciężko, chwytając za krawędź burty, i aby się przewinąć przez nią, przyjął pomocne ramię dowódcy. Liny zaskrzypiały raz

jeszcze. Za nim wspinał się Oktawian.

- Twoje imię, dowódco? - Juliusz spytał, ledwo dotknął stopą pokładu.

Mężczyzna nie odpowiedział. Stał, marszczył czoło i stukał palcami o palce.

- W takim razie powiem ci moje raz jeszcze. Jestem Juliusz Cezar. Jestem konsulem Rzymu i jedyną wybraną władzą, jakiej przysiągłeś służyć. Wszystkie rozkazy wydane przez Pompejusza są odwołane. Od tego momentu przechodzisz wyłącznie pod moje.

Dowódca galery otworzył usta, ale Juliusz ciągnął swoje, nie chcąc stracić chwilowej przewagi. Mówił tak, jakby nie było najmniejszej możliwości, by go nie posłuchano.

254

Imperator

- Przekażesz wieści innym galerom. Zawiesz ich dowódców na swój pokład, po moje rozkazy. Mam sześć tysięcy ludzi i koni oczekujących na załadowanie. To ty mnie przewieziesz do Azji Mniejszej, dowódco.

Odwrócił się, by pomóc Oktawianowi pokonać burtę. Zrobił to rozmyślnie. Kiedy ponownie stanął twarzą w twarz z dowódcą, po raz pierwszy łypnął gniewnie okiem.

- Człowieku, czyżbyś nie rozumiał rozkazów? Jako konsul, w podróży jestem senatem. Rozkazy, które ja wydaję, mają pierwszeństwo przed jakimikolwiek, które otrzymałeś do tej pory. Albo je uznasz, albo zwalnię cię ze służby Rzymowi.

Dowódca zmagął się z odpowiedzią. Znalazł się, to jasne, w beznadziejnym położeniu. Kazano mu wybierać między dwoma wodzami i ten konflikt uczuć wypełził mu na policzki krwistą czerwienią.

- Uznawaj! - wrzasnął Juliusz, przysuwając się doń bliżej. Dowódca zamrugał rozpaczliwie.

- Tak, panie. Rozkazy są uznane. Władza należy do ciebie. Prześlę sygnały na inne galery.

Biedak stał i się pocił, podczas gdy Juliusz ostatecznie przypieczętował sprawę kiwnięciem głowy i załoga rzuciła się do wciągania proporców przyzywających na jej pokład innych dowódców.

Juliusz czuł na sobie natrętny wzrok Oktawiana, jednak nie śmiał się roześmiać.

-Wracaj do portu - zwrócił się do krewniaka - i każ ludziom przygotować się do wyjścia w morze. Idziemy dalej.

Brutus stał na kamiennym nabrzeżu, zdrapując strupy pod łubkami i obserwując

galery. Jego ramię i żebra w końcu wracały do zdrowia, choć podróż na

podskakującym wozie początkowo doprowadzała go do szaleństwa. To było czyste

złamanie, ale widział dosyć ran, by wiedzieć, że nawet po takim odbudowanie mięśni i zrośnięcie kości wymaga czasu. Wciąż nosił ten sam miecz co pod Farsalos, jednak

mógł po niego sięgnąć tylko lewą ręką i czuł się niezdarny jak dziecko. Brutus

nienawidził słabości. Żołnierze Dziesiątego i Czwartego, wykorzystując to, poczynali sobie coraz

zwałała mu się uskarzać. Choć to bolało do żywego, skrywał wściekłość i czekał na lepsze czasy.

Razem z nim stali Domicjusz, Oktawian, Regulus i Cyron, wyraźnie zdenerwowani, wpatrując się w ciemniejące morze. Oktawian wrócił z wieściami i wszyscy obserwowali, jak dowódcy galer wiosłują w stronę tej, na której mieli się spotkać z wrogiem Pompejusza. Nie padło ani słowo, od kiedy ostatni wspiął się na pokład, i napięcie narastało przez jakąś godzinę.

-A jeśli go zatrzymają? - rzucił nerwowo Domicjusz. - Nigdy nic nie wiadomo.

-Jeśli nawet, to co możemy zrobić? - odpowiedział Oktawian. - Przejąć te opasłe

kupieckie statki i wypowiedzieć im bitwę? Nim się do nich zbliżymy, już nas zatopią, dobrze wiesz - mówił, nie spuszczać oczu ze smukłych kształtów galer, kiedy te się kołysały na falach na zewnątrz portu. - To był jego świadomy wybór i jego ryzyko.

Cyron zerknął na zachodzące słońce. Zachmurzył się.

-Jeżeli nie wróci przed nocą, trzeba będzie wyskoczyć na morze. Załadujemy się na

pojedynczy statek. To wystarczy, by zaatakować jedną z galer. Przejmie się jedną, to przejmie się i drugą.

Brutus popatrzył na Cyrona zaskoczony. Lata odmieniły człowieka, którego znał, a przynajmniej tak mu się zdawało. Cyron zdążył się przyzwyczać do dowodzenia i nabrał pewności siebie. Odpowiedział mu bez namysłu.

-Jeżeli go zatrzymają, właśnie tego będą się po nas spodziewać. Zakotwiczą tak daleko jak się da, i spędzą noc w zamkniętym szyku. Chyba że poześlą z Juliuszem prosto

do Azji Mniejszej i wydadzą go Pompejuszowi.

Oktawian, słysząc te słowa, zeszywniał.

- Stul pysk - szczeknął. - Nikim nie dowodzisz. Jesteś tutaj, ponieważ mój wódz nie uznał za stosowne kazać cię dobić. Nie masz nam nic do powiedzenia.

Brutus obrzucił go wściekłym wzrokiem, lecz dostrzegając zgodną wrogość w oczach

pozostałych mężczyzn, spojrzał w bok. To nie ma znaczenia, powiedział sobie, choć

był zaskoczony, jak bardzo i jak wciąż potrafią go ranić. Zauważył, jak patrzyli na Oktawiana pod nieobecność Juliusza. Możliwe, że to była kwestia tej

256

Imperator

samej krwi. Sapnął z gniewu i jego prawa ręka sama przekręciła się w łubkach.

Opanował się jednak.

-Nie sądzę... - zaczął.

Oktawian napadł na niego.

- Gdyby to ode mnie zależało, ukrzyżowałbym cię tu, na tym nabrzeżu. Myślisz, że

ludzie by się sprzeciwili?

Brutus nie musiał myśleć. Znał odpowiedź bardzo dobrze.

- Nie. Coś takiego było po ich myśli. Ale ty im na to nie pozwolisz, prawda, chłopcze?

Ty wykonasz jego rozkazy, choćbyś miał stracić wszystko, co cenisz.

- Wciąż próbujesz uzasadniać to, co zrobiłeś? - wysyczał Oktawian. - Brakuje słów, by nazwać taką bezczelność. Nie pojmuję, dlaczego przyprowadziliśmy cię tutaj, ale

powiem ci jedno: jeżeli Juliusz się spodziewa, że będziesz na powrót jednym z nas, to nie przy moim udziale. Tylko spróbuj wydać mi rozkaz, a poderżnę ci gardło.

Brutus pochylił się do przodu. Oczy miał jak szparki. - Teraz jesteś dzielny, chłopcze, ale kości się zrosną. Zapewniam cię. A wtedy...

- Zrobię to teraz! - krzyknął Oktawian, nie panując nad sobą. Rzucił się na Brutusa.

Regulus i Cyron powstrzymali rękę, w której błysnęło ostrze. Brutus zatoczył się do tyłu, unikając ciosu.

- Ciekawe, jak wytłumaczysz moją śmierć Juliuszowi - zauważył złośliwie, podczas gdy młodszy mężczyzna wciąż usiłował go dosięgnąć. - Może raz okaże się okrutny,

Oktawianie. Może dlatego pozwolił mi żyć.

Oktawian przestał się szamotać, kiedy Cyron wytrącił mu sztylet z ręki, ale nie ustawał w swych pogroźkach.

- Myślisz, że wyzdrowiejesz, Brutusie? A gdybym tak kazał ludziom zabrać cię w odludne miejsce i roztrzaskać ci rękę do końca? Tak, byś nigdy więcej nie posłużył się mieczem?

Uśmiechnął się, widząc w oczach Brutusa cień strachu.

- To by cię zraniło, prawda? Już nigdy nie dosiadłbyś konia. Nigdy nie podpisał własnym imieniem. To by w końcu pozbawiło cię tej twojej wyniosłości.

- To prawda, Oktawianie, ale mam do czynienia ze szlachetnym człowiekiem - zakpił Brutus. - Żałuję, że brak mi twoich zasad.

Rozdział XXII

257

Oktawian ledwo panował nad nienawiścią.

- Jedno słowo więcej, a na bogów, zrobię to. Nikt mnie nie powstrzyma, nie, żeby cię ocalić. Wiedzą, że zasługujesz na śmierć i na nic więcej. No, dalej, wodzu. Jedno jedyne słowo.

Brutus wpatrywał się w niego przez długi czas, po czym potrząsnął głową z odrazą, odwrócił się i odszedł od grupy. Oktawian, roztrzęsiony, pokiwał gwałtownie głową.

Ledwo czuł ściskającą go za ramię dłoń Domicjusza.

- Nie powinieneś okazywać swoich uczuć - powiedział Domicjusz, patrząc za pokonanym mężczyzną, którego kiedyś szanował.

Oktawian prychnął.

- Nic na to nie poradzę. Po wszystkim, co zrobił, staje obok nas, jakby miał do tego prawo. Nie wiem, co Juliusz sobie myślał, przyprawdzając go tutaj.

- Ja też nie wiem - odrzekł Domicjusz. - Ale to sprawa między nimi.

Regulus wciągnął z sykiem powietrze i wszyscy znów spojrzeli na morze. Słońce

chowało się za zachodnim horyzontem, a galery, zamiatając fale wielkimi wiosłami, kierowały się ku portowi.

Oktawian popatrzył na resztę.

- Dopóki nie wiemy, czy jest bezpieczny, chcę, by ludzie stanęli pełną formacją, by odeprzeć atak. Przygotować włącznie. Domi-cjuszu, każ wyborowym stanąć z tyłu, w

charakterze posiłków. Nic tutaj po nich.

Wodzowie Cezara ruszyli z rozkazami. Żaden nie pomyślał, by zapytać, jakim prawem nimi dowodzi. Oktawian został sam. Obserwował nadpływające galery.

Mały port nie mógł pomieścić wszystkich sześciu. Cztery zbiły się w gromadkę przy falochronach. Dwie wpłynęły do zatoki i Oktawian patrzył, jak jeden rząd wiosła schowano, zostawiając drugiemu pokonanie ostatniego odcinka drogi. W szybko zapadającym mroku ledwo mógł rozróżnić pojedyncze osęki pomostu, który z głośnym trzaskiem rzucono na brzeg. Załoga przebiegła po nim z linami, a potem, na drewnianej stromiźnie, Oktawian zobaczył Juliusza. Odetchnął z ulgą.

Cezar uniósł ramię w oficjalnym pozdrowieniu.

pazAjs oj ouniu e 'nuiop po o>pjBp ->\v\ pAq dbSouj 'Auump iupoqoBz t TupoipsM

'3Dubj}| o8a(i?qo jbuz 5pśq - Ezsnb;uiOQ op ^BizpsiMod - nuiAz^ op sdojm

uii^sAzstw tuAj od Apai^i -

Lwoyod nuiai^uajrai njj \p\ A{EqDAdod e{soia\ uias -ezouiAj Ap8 'nqoizp praż

AuEid iuiBjdoj:>| iuiAuuiiz pod

fedojs pfeu^pop Aq 'BTU3juşEjd z

o psaiModo 5i

uiAjujbi o i

Azjd '

I !OJX Auiai 5ts

-fepod q3i>(D3idn>(m.oj5j>jo ai '|8y bf

Aoou^od bu saizp§ {

31>[SUIAzJ 13U

A^oazJO i z 'rupa po poqosAi bu

g ziu

BJBZ3] BJOJ5| 'BIUJ3IZ 'q3T>[lsAzSAi \0\U Bjp B1UJ3IZ BAiOU

•3iui3iqo uapd sis {BMBpAM jj3ubj i Ausotas. AqDnuipod szsAuaid 5ts ojnzo pod

otmbj qoAujq3JS 3B(njjBdAA AuB^jipd b 'is5§ qoAuAiOjp5M jnuzs |feuA|d 3iq3iu oj

bzjoui op ojsojd iuiADBzpoq3s iuibjoS iuuAuopizojBzs 'iujAisiib5|s ajšiood 'bzs i(zv 3zazjqAAi tuiiu

•3iu>ppn 3iu uit zsnfaduiobj 'A^i

BZSJJŠTM {nZOOd 'tlZSJBUI IU p 3IJ|z5ID 3U(3|O>[q

uiouounjuao zb>jzoz DB(nzB>pzid 'Bqon op

po 5ts

Azd 5 {Bj zsni^nf až 'afeizpBU ^btui poqo 'Ajs|b§ iSo^bz psouD3qo Ai aiu

BTU3DnZjAM Op ipAM.O}O8 I q3B.bBUUOJ O {BIUUJodSAI 3IJSJ tUIAjOl>J

'}Zpn| Op {pSZSpO T AiOUOq ^BppO UBIAiBI^O

•(apqAzs 5q3Ojj fezstu b 'Bjuazpaf AsBdBz a^z

-3IU BS 3IZpB {>fOd BU 3Z 'UJT ZpaiMOJ - -MOA\O{ Z3ZS3jp OAiOU BU O§

BJjiuazJd >|b('DB[nz3 ' {BAuazJd - i|pBdop 08 AuisAq aiAiBid •||nuisj mp BAip

aiA^pajBZ 9iuoj| oSsf A^zoiAiazjd Aj3|bo biusdbjjs op ns -ezo bui aifsj -o>[qAzs 3jAq 'qDT (BzpBAiojds (Zsv.^pzo od bu ox-

•pBiMizpBZ 08 3TUBjsazJd 3]u Ap8iu BqAqo zsni^nf az

' Z 3B|SAUI 'UB {AVB3>fO ^BIZp3IA\OdpO - 3IUBd 'BS -

BZ - iBIUBAiO} 5.J>[OEZ Op TAIoJoS BS STZpflJ AZ3 -

mowę mego miasta. Zastać tutaj naszych żołnierzy, nasze prawa i okręty. Czy to nie wspaniałe?

Domicjusz zaśmiał się z entuzjazmu Juliusza, sam nim zarażony. Chociaż pościg przez Grecję był ciężki, w legionach zapanował odmienny nastrój. Może to było pokłosie

Farsalos, równiny, na której zdali sobie sprawę, że lata ich żołnierskich zmagañ

dobiegają końca. Widok Juliusza dowodzącego galerami wroga jeszcze bardziej to

ureczywistniał. Już nie byli na wojnie. Ich ostatnie zadanie sprowadzało się jedynie do wygaszenia popiołów po rządach Pompejusza. Ci, którzy byli z Juliuszem od

czasów Hiszpanii i Galii, odczuwali to najsilniej i zebrani przy burtach każdej z

sześciu galer śmiali się najgłośniej.

Domicjusz popatrzył w górę, tam, gdzie Adan wspiał się na maszt. Głos Celta

wyśpiewującego melodie z własnego dzieciństwa słyhać było nawet z tak wysoka.

Kwestor maleńkiego portu, niski, śniady mężczyzna, chociaż dorastał z widokiem na

miejscowe żołnierskie kwatery, wciąż mówił czystą łaciną. Pochylił się w ukłonie, gdy Juliusz wszedł do budynków portowych, i nie wyprostował, dopóki mu wyraźnie nie

pozwolono.

- Konsulu - powiedział. - Jesteś tu mile widziany.

- Kiedy jeźdźcy Pompejusza opuścili to miejsce? - przerwał mu niecierpliwie Juliusz.

Ugrzeczniony człowiek nie zawahał się z odpowiedzią, co znaczyło, że Pompejusz nie

zostawił żadnych rozkazów, by zatrzymać pościg. Nie przypuszczał, jak widać, by

przeprawili się na drugi brzeg na jego galerach. To napawało nadzieją, że trochę

zwolnił kroku.

- Dyktator odpłynął minionej nocy, konsulu. Czy masz do niego jakąś pilną sprawę?

Powiedz słowo, a wyślę na południe posłańców.

Juliusz zamrugał zdziwiony.

- Nie. Ja ścigam tego człowieka. Nie chcę go ostrzegać. Kwestor wyglądał na zmieszanego. W ciągu dwóch dni widział

więcej obcych żołnierzy niż kiedykolwiek w życiu. Jego dzieci zachłysną się z wrażenia, kiedy usłyszą, że dzień po dniu rozmawiał z dwoma władcami Rzymu.

- Zatem owocnych łowów, konsulu - rzucił na pożegnanie.

ROZDZIAŁ XXIII

J eźdźców Pompejusza zobaczyli po czterech dniach ciężkiego marszu. Posuwali się na południe szybkim krokiem i kiedy w końcu zwiadowcy przywieźli wieści, ludzie

Juliusza zagrzmieli głośnymi okrzykami. To były długie łowy, ale kiedy rogi zabrzmiały, a szeregi uformowały się do ataku, byli gotowi rozbić wroga po raz ostatni.

Ludzie Pompejusza usłyszeli sygnał i Juliusz mógł wyobrazić sobie strach i zamieszanie w ich szeregach. To byli ci sami wyborowi, którzy uciekli spod Farsalos.

Ci sami, którzy już raz zostali pobici, i Juliusz nie wątpił, że jego ludzie mogą ich pobić po raz drugi. Teraz, odwrotnie niż pod Farsalos, przewaga liczebna była po jego stronie. Teraz się dowiedzą, jakie to uczucie zmierzyć się z tak wieloma wojownikami, bezwzględными w swojej zaciekłości i chęci zniszczenia przeciwnika.

Szeregi rzymskich jeźdźców zatoczyły koło i zawróciły, aby stawić czoło zagrożeniu. To był gest rozpacz, ale Juliusz podziwiał ich odwagę. Może, pomyślał, chcą w ten

sposób zmyć z siebie hańbę poprzedniego pogromu. Ich konie ruszyły na Dziesiąty miarowym kłusem, a on obnażył zęby, wypatrując czerwonego płaszcza Pompejusza.

Legioniści Dziesiątego i Czwartego sięgnęli po włócznie. Kiedy dobiegł ich grzmot kopyt, ogarnięci żądzą okrucieństwa zmieszana z radością, wznieśli groty.

- Odjeżdżaj, panie, proszę! Pozwól nam ich tu zatrzymać! -krzyknął do Pompejusza dekurion Kazytas.

Dyktator siedział na koniu jak skamieniały. Nie odezwał się od tego przerażającego momentu, kiedy przemówiły za nimi rzymskie wojenne rogi. Nie był to dźwięk, który spodziewał się usłyszeć raz jeszcze.

Grzbietem dłoni starł z ust ciemną plamę. Obserwował z daleka legiony spod Farsalos i rozważał atak resztkami swojej armii. Możliwe, że byłby to wspaniały gest. Poeci

Rzymu upamiętniliby go w strofach sławiących jego życie.

Ból, któremu nie było końca, zamglił mu oczy. Nie było takiej zbroi, która by

pomieściła jego rosnący z dnia na dzień brzuch. Bywały chwile, kiedy oddałby

wszystko, byleby się zapaść w ciszę i mrok. Noc w noc śnił o jakimś końcu męczarni i teraz, poklepując konia po szyi, nagle zapragnął, by zwierzę rzuciło się do galopu.

Ostatniego galopu.

- Panie! Możesz wyjść z tego cało. Do wybrzeża nie dalej jak parę mil - grzmiał

Kazytas, próbując za wszelką cenę wydobyć wodza z odrętwienia.

Pompejusz zamrugał powoli. Zobaczył wyraźniej legiony Cezara i to pozwoliło mu

zapanować nad bólem. Popatrzył na dekuriona, na błaganie w jego oczach. Ten

człowiek rozpaczliwie pragnął jego odjazdu.

- Rób, co w twojej mocy - powiedział w końcu i ponad rzeniem koni jego głos dotarł do Kazytasa.

Dekurion, ledwo skinąwszy głową, zaczął rzucać rozkazy najbliższym stojącym.

- Odłączaj, Kwintusie! Weź Lucjusza i ruszajcie z konsulem. My zatrzymamy ich tak długo jak się da.

Zawezwani jeźdźcy odłączyli od formacji i stanęli u boku Pompejusza. Wódz

popatrzył po ludziach, którzy byli tak daleko od ojczyzny. Wydawało się, że tumany

mgły, spowijające jego umysł za każdym razem, kiedy choroba się nasilała, rozstały się na kilka cennych chwil.

- Służyliście mi dobrze! - zawołał do nich.

Odwrócił się plecami i kiedy odjeżdżał, usłyszał rozkaz do rozpoczęcia natarcia. Do zadania ostatniego desperackiego ciosu żołnierzom Cezara.

Morze, jak mu powiedziano, było niedaleko. Morze pełne okrę-

262

Imperator

tów, które uniosą go w dal, daleko od rzymskiej ziemi. Zaszyje się gdzieś, gdzie Rzym nie ma władzy, i Juliusz, choćby szukał go latami, nie znajdzie go nigdy i nigdzie.

Poklepał przywiązany do siodła skórzany worek pełen złota. Konsul Rzymu nie będzie zebrał w portach Egiptu. Będzie miał czym zapłacić egipskim medykom i uzdrowiaczom. Egipcjanie usuną jego ból.

Dziesiąty i Czwarty wyrzuciły włócznie z odległości mniejszej niż trzydzieści stóp od atakującej jazdy. Pierwszy szereg padł i zamknął drogę następnym. Legiony

weteranów szybko parły naprzód. Rozpruwały brzuchy zwierzętom i ścigały z siodeł ludzi. Legiony, po walkach z jazdą w Galii, nie czuły żadnego lęku przed stojącymi dęba, oszalałymi ze strachu zwierzętami.

Jeźdźcy Pompejusza nie oddawali życia łatwo i Juliusz był do głębi poruszony ich męstwem. Walczyli z zawziętą rozpaczą, świadomi przegranej. Ledwo mógł uwierzyć, że to ci sami żołnierze, którzy uciekli z równiny pod Farsalos.

Pole wypełniły gardłowe krzyki zmieszane z tęnym łoskotem metalu tnącego ludzkie i zwierzęce mięso. Jeźdźcy Juliusza oskrzydłili niewielką siłą ze wszystkich stron.

Kopyta ich koni zdeptały fioletowe kwiaty. Ziemia spływała czerwienią i ręce mdlały od zabijania.

Kiedy ludzi Pompejusza zostało mniej niż tysiąc, Juliusz dał znak trębaczom i na dźwięk rogów jego legiony odstały od stosów poszarpanego mięsa. W ciszy, jaka

nagle zapadła, obwieścił koniec rzezi.

- Co zyskacie, ginąc tutaj? - krzyknął do nich.

Człowiek w zbroi dekuriona podjechał do niego i oddał honory. Twarz miał posępną.

- To nic wielkiego umrzeć tu - powiedział. - Śmierć przywraca utracony honor.

-Ja go przywracam, dekurionie. Tobie i twoim ludziom. Zaoferuj im pokój. Wybaczam każdemu.

Kazytas uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Zbytek łaski - rzucił krótko, nawracając koniem.

Juliusz dał mu czas na dojechanie do współtowarzyszy; dopiero

Rozdział XXIII

263

wtedy wysłał swoje legiony raz jeszcze i wybicie wroga zabrało mu parę godzin. Kiedy na czerwonym polu stało, chwiejąc się ze zmęczenia, nie więcej niż kilku mężczyzn,

zaoferował pokój ostatni raz, ale znów spotkał się z odmową. Ostatni spośród żywych stracił konia, a mimo to podniósł miecz, kiedy zwalano go z nóg.

Legioniści nie świętowali zwycięstwa. Stali, skrwawieni i dyszący jak zziajane psy.

Cisza zaległa na polu i wielu w szeregach szeptało modlitwy za ludzi, z którymi się zmierzyli.

Juliusz pokręcił głową nad dokonaną rzezią. Kiedy mu doniesiono, że wśród trupów

nie ma ciała Pompejusza, popatrzył na południe. Twarz miał zamyśloną.

- Nie zasługuje na taką lojalność - powiedział. - Poszukajcie jakiegoś czystego miejsca na obóz i odpoczynek. Ruszamy jutro, po oddaniu czci naszym rzymskim zmarłym.

Nie róbcie między nimi różnicy. Byli ludźmi tego samego miasta.

Na trzech kupieckich statkach przeprowaiało się do Aleksandrii dwa tysiące

ukochanego Dziesiątego Juliusza. Tylu, ilu przeżyło. Jego wyborowi zostali z

Czwartym, w oczekiwaniu na kolejny transport. Nie miał pojęcia, czy znajdzie tam

Pompejusza. Ziemia, do której płynął, nigdy nie była podbita przez Rzym i o

miejscowych zwyczajach wiedział nie więcej, niż nauczyli go kiedyś jego mentorzy.

Egipt i Aleksandria stanowiły dla niego dwa odrębne światy. Miasto - założone przez Aleksandra, było miejscem odpoczynku młodzieńczego króla, którego ubóstwiał przez

całe życie. Było nazwane jego imieniem. Aleksander zostawił w nim po sobie trwałą

ślad, a egipscy królowie wywodzili się od jednego z jego wodzów, Ptolemeusza. Juliusz przyplłynąłby tutaj, nawet gdyby Pompejusz nie kazał się gonić przez morza;

przyplłynąłby, by podziwiać wspaniałości, o których opowiadano mu od dzieciństwa.

Pamiętał także dzień, gdy zatrzymał się przy powalonym posągu greckiego króla i gdy się zastanawiał, czy z równym pożytkiem przeżyje własne życie. Teraz stanie na

egipskiej ziemi jako władca największego imperium świata. Nie musi przed nikim pochylać głowy.

Ta myśl przyniosła falę tęsknoty za domem. Na forum w Rzymie za dzień, może dwa rozkwitnie wiosna. Oratorzy będą przemawiać do tłumów, za parę miedziaków będą nauczać istoty filozofii i pra-

264

Imperator

wa. W miejscu, gdzie się urodził, z blisko dwudziestu ostatnich lat Juliusz spędził

tylko kilka miesięcy. W służbie dla tego miasta się zestarzał. Zostawił swoją młodość na obcych lądach i stracił więcej, niż Rzym mu dał kiedykolwiek.

Co zyskał w porównaniu z życiem mężczyzn, których nazywał przyjaciółmi? To

prawda, zarobił sobie na prawo bycia pierwszym w mieście, ale to żadna radość.

Możliwe, że ścieżka, na którą wstąpił dawno temu i szedł nią konsekwentnie, odmieniła go, ale oczekiwał więcej.

Główne wejście do portu w Aleksandrii prowadziło przez głębokie wody, między zwierającymi się dwoma ramionami skały, które mogły zachmurzyć czoła najbardziej doświadczonych żeglarzy. Przesmyk był wystarczająco wąski, by zamknąć go w razie

potrzeby, i Juliusz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że port to naturalna pułapka.

Kiedy statki pod żaglami sunęły ku nabrzeżu, upał zdawał się z chwili na chwilę

gęstnieć. Juliusz otarł pot z czoła. Żołnierze na pokładzie wskazywali w zdumieniu na ogromne gładkie kolumny z białego marmuru, wzniesione na krańcu portu.

Przewyższały wszystkie budynki Rzymu i Juliusz poczuł nostalgię za dniami, kiedy nie bał się niczego poza chłostą z ręki nauczycieli. Wtedy latarnia na Faros wydawała się niemożliwie daleko. Nigdy się nie spodziewał, że będzie mijał ją z tak bliska.

Wyciągnął szyję, wraz z innymi zatracając się w podziwie. Gdzieś w mieście

znajdowała się największa biblioteka świata, a w niej wszystkie dzieła filozoficzne i matematyczne, które kiedykolwiek napisano. Sprowadzać swoje złaknione krwi

legiony w takie miejsce wydało mu się nie-przyzwoitością, ale wkrótce, jak ufał, jego zemsta się dopełni, a on, wolny od żołnierskich powinności, będzie miał dość czasu, by nasycić oczy tutejszym bogactwem i mądrością.

Na wodzie roiło się od setek innych jednostek, przewożących towary ze wszystkich

stron świata. Właściciele kupieckich statków Juliusza musieli się bardzo starać, by dopłynąć cało do wąskiego cypla, doskonałego miejsca kotwiczenia, które kiedyś

oczarowało Aleksandra.

Juliusz spojrział wreszcie w stronę samego miasta. Zmarszczył czoło. Niewyraźne z

daleka postaci, oczekujące na nabrzeżu, po-

Rozdział XXIII

265

woli nabierały wyglądu wojowników. Ponad ich głowami wznosiły się łuki i włócznie,

ale przednie, najlepiej widoczne szeregi miały na sobie jedynie krótkie spódniczki, na nogach sandały, w rękach owalne tarcze osłaniające nagie piersi. To nie byli

Rzymianie.

Na ich czele stał wysoki mężczyzna w dziwnych, lśniących w słońcu szatach. Jego

spojrzenie czuło się nawet z daleka i Juliusz przełknął nerwowo. Czy przyszli go

powitać, czy wzbronić wyjścia na ląd? Przeszył go pierwszy dreszcz niepokoju;

najbliżej stojący obnażyli brązowe miecze, błyszczące jak złoto.

- Pozwól mi zejść pierwszemu - szepnął mu nad ramieniem Oktawian.

Legioniści Dziesiątego zamilkli na widok armii na obcym lądzie. Nadstawili uszu.

- Nie - odpowiedział Juliusz, nawet się nie odwracając. Nie okaże strachu wobec tych dziwnych ludzi. Konsul Rzymu szedł tam, dokąd postanowił iść.

Opuszczono pomost z osęków i Juliusz, przeszedłszy po nim, usłyszał za sobą stukot żelaznych ćwieków. Miał za plecami swoich ludzi. Tuż obok wyczuwał obecność

Oktawiana. Z godnością podszedł do mężczyzny, który na niego czekał.

- Jestem Porfirios, dworzanin króla Ptolemeusza Trzynastego - zaczął mężczyzna dziwnie świszczącym głosem. - Władcy Dolnego i Górnego Egiptu, noszącego insygnia władzy królewskiej i naznaczonego boskością. Ukochanego przez...

- Szukam pewnego Rzymianina - przerwał mu Juliusz, natężając głos do krzyku. Za nic miał złość i oburzenie w oczach Porfirio-sa. - Wiem, że tu przybył, i chcę, by go do mnie przyprowadzono.

Porfirios pochylił głowę. Chyba wolał nie zdradzać się z niechęcią.

- Kupcy już nas powiadomili o twoich poszukiwaniach, konsulu. Wiedz, że Egipt jest przyjacielem Rzymu. Mój król był przygnębiony myślą, że wasze armie zewrą się w kruchych murach naszych miast i przygotował dla ciebie podarunek.

Juliusz zmrużył oczy, kiedy szeregi uzbrojonych mężczyzn rozstały się i do przodu, miarowym krokiem, ruszył muskularny niewolnik. W wyciągniętych ramionach niósł

przed sobą przepięknie zdobione gliniane naczynie.

266

Imperator

Postawił je u stóp Juliusza, cofnął się i uklęknął na kamieniach nabrzeża. Juliusz napotkał wzrok królewskiego wysłannika, ale się nie poruszył; jego pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Powoli puszczały mu nerwy. Doprawdy, czego oni się po

nim spodziewają?

- Gdzie jest Pompejusz? - spytał władczo. -Ja...

- Proszę, otwórz naczynie - nalegał mężczyzna.

Juliusz niecierpliwym szarpnięciem zdjął pokrywę. Krzyknął z przerażenia. Pokrywa wysunęła mu się z palców i rozbiła o kamienie.

Spod zapachu wonnych olejków patrzyły w górę niewidzące oczy Pompejusza. Na woskowobladym policzku błyszczał pierścień senatu. Juliusz powoli dotknął zimnego ciała. Wziął w dwa palce złoty krążek i zadrżał. Ogarnęły go wspomnienia.

Po raz pierwszy spotkał Pompejusza w dawnym budynku senatu, kiedy ledwo

wyrastał z dzieciństwa. Przywołał w pamięci lęk, jaki go ogarnął w obecności takich żywych legend jak Mariusz, Cy-ceron, Sulla, w obecności młodego wodza o imieniu

Gnejusz Pompejusz. To on właśnie oczyścił marę Internum z piratów w czterdzieści

dni. To on stłumił rebelię Spartakusa. Choć stali się wrogami, aby rządzić Rzymem, to z nim Twrapak swoją rodzinę i swój los. To z nim i z Krassusem utworzył triumwirat.

Na liście śmierci było za dużo imion, za dużo tych, których zmogły wojny i bitwy.

Pompejusz był dumnym człowiekiem. Zasługiwał na coś więcej niż ścięcie głowy rękami obcych, daleko od domu.

Juliusz zapłakał na oczach wszystkich.

CZEŚĆ

•

ROZDZIAŁ XXIV

Kiedy drzwi komnaty otworzyły się cicho, Juliusz na widok tego, co zobaczył, wstrzymał oddech. Spodziewał się, że posłuchanie przyjmie formę prywatnego spotkania, ale obszerna sala była wypełniona setkami ludzi stojących wokół ścian.

Tylko środek, prowadzący do tronu, był wolny. Głowy się odwróciły, ciekawe

przybysza. Był zdziwiony mnogością i nasyceniem kolorów. Znalazł się na dworze króla, tęczo barwnym i całym w klejnotach.

Przekroczył próg. Ruszył pod nieprzeliczonymi rzędami lamp zwisających skądś z wysoka na grubych łańcuchach. Usiłował nie okazać zmieszanego z podziwem lęku, lecz nie było to łatwe. Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie, zza szeregów dworzan, wyłaniały się czarne bazaltowe posągi egipskich bogów. Pośród nich rozpoznał greckie bóstwa i potrzęsnał głową w zdumieniu, kiedy w jednym z nich rozpoznał rysy samego Aleksandra. Grecka spuścizna była widoczna wszędzie, od kształtu murów do kroju szat, subtelnie zmieszana z egipską, i coś takiego można było zobaczyć tylko w Aleksandrii.

Cierpki zapach kadzideł podziałał na Juliusza usypiająco, gdy tymczasem, jak nigdy dotąd, musiał zachować przytomność umysłu. Miał na sobie najlepszą zbroję i płaszcz, ale na tle wyszukanych strojów dworzan i poddany oględzinom setek par oczu czuł się prawie jak nędzarz. Zirytowany podniósł głowę. Widział krańce świata. Nie zastraszy go złoto i granit.

Tron królewski stał na dalekim końcu sali i Juliusz zmierzał prosto ku temu, kto na nim zasiadał. Na głośny stukot jego sandałów

270

Imperator

dworzanie, barwni niby rój owadów w godowych szatach, zastygli w bezruchu. Juliusz zerknął przez ramię, tam gdzie dotrzymywał mu kroku bezszelestny Porfirios. Do Rzymu od dawna docierały wieści o eunuchach w służbie królestw Wschodu i teraz Juliusz był ciekaw, czy towarzyszący mu osobnik to jedno z tych dziwnych stworzeń. Długi marsz ku tronowi zdawał się trwać całe wieki. Stał on na kamiennym podwyższeniu, co zmuszało Juliusza do patrzenia na króla z pozycji petenta. Zatrzymał się, kiedy wyrosli przed nim dwaj osobiści strażnicy Ptolemeusza i

zagrodzili mu drogę skrzyżowanymi złotymi laskami. Juliusz ściągnął brwi, nie chcąc pokazać, że jest pod wrażeniem. Pomyślał, że król przygląda mu się z

zainteresowaniem, choć może się mylił. Król nosił złotą fryzurę i złoto- ' tą maskę, która skrywała całą twarz, poza oczami. W szaty miał wplecione nitki tego samego metalu i błyszczał od stóp do głów. Wachlowali go niewolnicy, mimo to Juliusz mógł jedynie

zgadywać, jak może być gorąco w takim przebraniu w dusznej komnacie. Porfirios wystąpił do przodu.

- Przedstawiam ci Gajusza Juliusza Cezara - powiedział - konsula rzymskich ziem, Italii, Grecji, Cypru i Krety, Sardynii i Sycylii, Galii, Hiszpanii i kilku prowincji Afryki.

-Jesteś tu mile widziany - raczył odrzec Ptolemeusz.

Juliusz ukrył zaskoczenie. Łagodny, cienki głos młodego chłopca nie pasował do bogactwa i władzy, widocznych na każdym kroku, ani do królowej, słynnej z urody i inteligencji. Juliusz się zawahał. Od dławiących oparów mirry gotów był się rozkaszać.

-Jestem wdzięczny za przydzielone mi kwatery, wielki królu -powiedział po chwili.

Przy boku złotej postaci stanął mężczyzna i pochylił się, by szepnąć do złotego ucha, a potem się wyprostował. Juliusz popatrzył na przebiegłą fizjonomię rodowitego

Egipcjanina. Jego powieki były powleczone czymś ciemnym i błyszczącym, co dodawało mu niesamowitej, prawie kobiecej urody. W tym jednym nie ma kropli greckiej krwi, pomyślał Juliusz.

- Przemawiam głosem Ptolemeusza - oznajmił mężczyzna, patrząc Juliuszowi prosto w oczy. - Darzymy respektem wielki Rzym, który wymienia z nami swoje towary od pokoleń. Przyglądaliśmy

Rozdział XXIV

271

się, jak wyrósł z prostych pastuchów i jak obrósł we wspaniałą siłę, którą chlubi się dzisiaj.

Juliusza ogarnęła kolejna fala irytacji. Nie wiedział, komu ma odpowiedzieć, królowi czy dworzaninowi. Nie chciał zaczynać od pogwałcenia miejscowych obyczajów. Oczy

króla błyszczały zainteresowaniem, ale nie dawały żadnej wskazówki.

-Jeżeli chcesz mówić do mnie, wyjaw mi swoje imię - warknął w końcu na dworzanina.

Salą wstrząsnął dreszcz. Ptolemeusz wychylił się nieco do przodu, z nieskrywaną ciekawością. Egipcjanin nawet nie drgnął.

- Nazywam się Panek, konsulu. Przemawiam głosem króla.

- Zatem zamilcz, Panku. Nie jestem tu po to, by rozmawiać z tobą - powiedział Juliusz.

Za jego plecami rozległ się szmer głosów. Bezszelestny Porfirios głośno wciągnął powietrze. Juliusz zignorował wszystko; zwrócił się do Ptolemeusza:

- Mój naród jest istotnie młodym narodem, podobnie jak naród Aleksandra, kiedy grecki król przyszedł tutaj - zaczął. Ku jego zaskoczeniu, na dźwięk tego imienia każda głowa w komnacie szybko się pochyliła.

Przerywając wywód Juliusza, Panek przemówił raz jeszcze:

- My czcimy boga, który dał początek naszemu wielkiemu miastu. To tu, jako znak naszej miłości do niego, spoczywają jego doczesne szczątki.

Juliusz czekał, aż komnata utonie w ciszy, po czym zmierzył Panka wściekłym

wzrokiem. Mężczyzna odwzajemnił spojrzenie ze spokojną obojętnością, jakby

zapomniał, z kim ma do czynienia. Juliusz potrząsnął głową, by oczyścić ją z oparów kadzidła. Z trudem układał myśli w słowa, które wcześniej zamierzał powiedzieć.

Aleksander bogiem?

- Przede mną przybył tu pewien rzymski konsul - rzucił gniewnie. - Jakim prawem pozbawiono go życia?

Komnata tonęła w ciszy. Złota postać króla była jednakowo nieruchoma jak jego

bazaltowe posągi. Spojrzenie Panka wydawało się ostrzejsze i Juliusz pomyślał, że w końcu wyprowadził go z równowagi.

- Drobne kłopoty Rzymu nie powinny być przenoszone na teren

272

Imperator

Aleksandrii. To są słowa króla - zagrzemiał Egipcjanin tak, że usłyszała go cała sala. -

Na wasze armie i wasze wojny tu nie ma miejsca. A głowę twojego wroga dostałeś jako dar od Ptolemeusza.

Juliusz popatrzył twardo na darczyńcę; król mrugał. Czy był nerwowy? Trudno było osądzić poprzez grubą warstwę złota. Postanowił okazać gniew.

- Śmiesz nazywać głowę konsula Rzymu darem, Panku? Odpowiedz mi, Wasza Wysokość, sam, czy pozwolisz tej umalowanej kreaturze mówić za ciebie?

Król poruszył się niespokojnie i Panek pośpiesznie opuścił dłoń na jego ramię. W oczach Juliusza wyglądało to na ostrzeżenie. Z natartej olejkami twarzy zniknął ostatni cień spokoju. Panek przemówił tak, jakby słowa paliły mu usta.

- Gościnność, jakiej ci udzielono, rozciąga się tylko na siedem dni, konsulu. Potem wsiądziesz na swoje statki i opuścisz Aleksandrię.

Juliusz zlekceważył Panka, wlepiął wzrok w złotą maskę. Ptolemeusz nie poruszył się tym razem i po jakimś czasie Juliusz spojrział w bok wściekły. Czuł gniew straży wokół siebie i nie dbał o to.

- Zatem nic po słowach. Wasza Wysokość, czuję się zaszczycony.

Odwrócił się gwałtownie. Porfirios, zaskoczony, dogonił go dopiero przy drzwiach.

Kiedy zamknęły się za nimi, dworzanin zagroził mu drogę.

- Konsulu, masz talent do robienia sobie wrogów.

Juliusz milczał. Po chwili Porfirios ugiął się pod jego spojrzeniem.

-Jeżeli król uzna, że go obraziłeś, to będzie jak wyrok na twoich żołnierzach - powiedział.

- Ludzie rozszarpią ich na kawałki.

Juliusz popatrzył w ciemne oczy mężczyzny.

- Ciekawi mnie, czy jesteś eunuchem, Porfiriosie. Porfirios zamachał niespokojnie dłońmi.

- Co takiego? Nie słyszysz, co do ciebie mówię?

- Słyszę, tak samo jak słyszałem groźby tuzina królów. Co to dla mnie, jedna więcej?

Porfirios wlepił w niego zdumione oczy.

- Król Ptolemeusz jest bogiem, konsulu. Jeżeli zażyczy sobie twojej śmierci, nie ocali cię nikt i nic.

Rozdział XXIV

273

Juliusz zdawał się rozważać taką ewentualność.

- Przemyślę to. Teraz zaprowadź mnie na powrót do moich ludzi, do tego wspaniałego pałacu, który twój bóg nam przydzielił na kwatery. Tu mdli mnie zapach kadzideł.

Porfirios spuścił oczy zakłopotany. Skłonił się.

- Tak, konsulu - powiedział i ruszył przodem.

Nocą Juliusz chodził tam i z powrotem po marmurowej posadzce swoich kwater, rozmyślając. Pałac, który mu przydzielono, był większy i przestronniejszy niż jakikolwiek dom, w którym kiedykolwiek mieszkał w Rzymie, a pokój, w którym zjadł kolację, był jednym spośród całych tuzinów innych, tak samo dostępnych. Porfirios, dla jego wygody, dostarczył mu niewolników, ale Juliusz zwolnił ich po powrocie z dworu króla. Przedkładał towarzystwo swojego Dziesiątego nad szpiegów i potencjalnych morderców.

Zatrzymał się przy otwartym oknie, patrząc na port i chłodząc oburzenie w wiejącej od morza bryzie. Wieczny płomień na Faros przyciągał oczy tak samo jak tysiące świateł

na ulicznych straganach, w domach i składach. W porcie tłoczyły się statki i sterty towarów; noc i

ciemność niczego tam nie zmieniły. W innym nastroju pewnie by się delectował tym widokiem, ale teraz zaciskał dłoń na kamiennym parapecie ledwo świadomy urody miejsca. Na początku czuł się porażony poziomem kunsztu zdobniczego w mieście. Bogactwo jego kwater nie było niczym wyjątkowym, nawet okoliczne mury były oblicowane błękitną ceramiką i powleczone listkami złota. To szybko wywoływało przesyt. Może dlatego, że od tak dawna był w polu, może przez to, że korzeniami tkwił w mniej wyrafinowanym Rzymie. Przestał krążyć, jakby się bojąc, że jego kroki zniszczą delikatne rzeźby pod każdą ze ścian.

- Spotkało mnie w życiu wszystko poza odprawą, Oktawianie! - powiedział, zaciskając dłonie za plecami. - Nie potrafisz sobie wyobrazić arogancji tych upudrowanych, wymalowanych, całych w pachnidłach i olejkach dworzan. Stadko kolorowych ptaków, z ptasimi mózdkami. To nie jest towarzystwo dla przyzwoitego Rzymianina.

- Co powiedział ich król o Pompejuszu? - spytał Oktawian. Siedział na wyłożonej poduszkami ławie wyrzeźbionej z czegoś, co wyglądało na jednolitą bryłę granitu. On także doświadczył ze strony Egipcjan odpowiedniego przyjęcia; półnogie straże zabroniły jego ludziom poznawania miasta. Domicjuszowi udało się ich zwieść na jakąś godzinę, potem przyprowadzono go z powrotem jak zbłąkane dziecko, potrząsając głowami z dezaprobatą.

- Król równie dobrze mógłby być niemy. Z tych kilku słów, które wypowiedział, sądziłbym, że jest nieletnim chłopcem. Nawet nie widziałem jego słynnej królowej.

Jeszcze jedna zniewaga! Jego dworzanie są realną władzą w tym mieście i to oni odprawili nas jak natrętnych kupców. Coś niesłychanego! Pomyśleć, że to jest miasto Aleksandra i że nadarzyła mi się sposobność je poznać. W samej bibliotece mógłbym spędzić cały dzień, a potem, być może, ruszyłbym w głąb lądu, by zobaczyć Nil. Rzym poczekałby chwilę dłużej na mój powrót.

- Dostałeś to, po co przyszedłeś, Juliuszu. Głowę Pompejusza i pierścień...

- Rzeczywiście. Mam te potworne resztki po wielkim człowieku. Jego życie nie należało do nich, Oktawianie. Na bogów, doprowadza mnie do furii sama myśl, że zabili go ci złotoskórzy eunucho-wie.

Pomyślał o obietnicy danej córce, że powstrzyma się od odebrania życia

Pompejuszowi. Jak Julia zareaguje, kiedy usłyszy takie wieści? Pompejusz nie umarł z jego ręki, ale może umierało mu się trudniej, tak daleko od ojczyzny i swoich ludzi.

Zacisnął szczęki w gniewie.

-W ich ustach to brzmi tak, jakbyśmy złupili miasto, goniąc za nim, Oktawianie.

Jakbyśmy byli plemieniem dzikusów, których da się udobruchać kilkoma perłami i paroma naczyniami i którzy dadzą się odesłać precz! Pompejusz był moim wrogiem, ale zasługiwał na coś -więcej niż śmierć z rąk tych ludzi. Przynajmniej jako konsul Rzymu. No powiedz, mam im to puścić płazem?

- Myślę, że tak.

Oktawian wiedział, że Juliusz potrafiłby wydać miastu wojnę za samą śmierć

Pompejusza. Do portu w każdej chwili mogły zawinąć statki z prawie czterema

tysiącami żołnierzy i koni, o czym wieść być może jeszcze nie dotarła do dworzan i ich króla. Juliusz mógłby wysłać słowo do Grecji i rozkazać maszerować lądem jakimś

Rozdział XXIV

275

tuzinowi legionów. Jedna iskra i Oktawian wiedział, że znów nie zobaczyłby Rzymu przez lata.

- Egipcjanie byli przekonani, że robią dobrze, dając ci głowę Pompejusza - powiedział.

- Postępują według swoich zwyczajów i we własnym przekonaniu potraktowali nas uprzejmie. Czy to obraza otrzymać pałac na żołnierskie kwatery?

Postanowił nie wspomnieć o upokorzeniu Dziesiątego przez pałacowe strażę. Juliusz bardziej dbał o swój ukochany legion niż o własne życie. Gdyby usłyszał, że

potraktowano go źle, rogi wezwałyby do wojny jeszcze przed wschodem słońca.

- Na siedem dni! - odwarknął Juliusz. - Czy mam chować ogon pod siebie? Mam

potulnie słuchać rozkazów złotolitego chłopca? Jeśli w ogóle są to jego rozkazy, a nie kaprys jednego z rządzącej nim dworskiej kliki. Aleksander byłby przerażony, gdyby

mógł zobaczyć, że to miasto traktuje mnie w taki sposób. Mówiłem, że czczą go jak

boga?

- Mówiłeś - odrzekł Oktawian, choć Juliusz go nie słuchał. Zapatrzonego w pustkę,

wyglądał tak, jakby w głowie lęła mu się jakaś idea.

-Jego posągi zdobią świątynie ich bogów. Palą przed nim kadzidła i składają ofiary. To zdumiewające. Porfirios powiada, że sam Ptolemeusz ma boskie przymioty. Dziwni z

nich ludzie, Oktawianie. I po co miałyby się obcinać jądra mężczyźni? Czy to czyni go silniejszym, czy umożliwia większą zdolność koncentracji? Co za korzyść z tego

rodzaju praktyk? U boku króla byli tacy, którzy mogliby uchodzić tak samo za

mężczyzn jak za kobiety, nie umiałbym powiedzieć. Może byli wykastrowani. Przez

lata wojen widziałem kilka dziwnych rzeczy... pamiętasz czaszki Swebów? Nie do

uwierzenia.

Oktawian przyglądał się Juliuszowi bacznie, z nadzieją, że jego tyrada wreszcie

dobiegnie końca. Nie śmiał zostawić wodza w takim gniewie, ale nie mógł się

powstrzymać przed ziewaniem. Noc mijała i świt był blisko.

Przez ciężkie drzwi z brązu wkroczył Domicjusz.

Oktawian poderwał się na widok wyrazu twarzy przyjaciela.

-Juliuszu - Domicjusz uśmiechnął się - powinieneś to zobaczyć.

276

Imperator

- Co takiego?

- Nie jestem pewien, czy wiem. U bram stoi człowiek rozmiarów Cyrona. Niesie

dywan.

Juliusz popatrzył na niego tępo.

- Sprzedaje go?

- Nie, panie, powiada, że to dar od królowej Egiptu.

Juliusz wymienił spojrzenie z Oktawianem i ten wzruszył ramionami.

- Może się rozmyślili i chcą cię ugłaskać.

- Przyślij go tu - rozkazał Juliusz.

Domicjusz zniknął i wrócił z człowiekiem, którego ciężkie kroki dały się słyszeć dużo wcześniej, nim stanął w drzwiach. Domicjusz nie przesadził w swoim opisie.

Mężczyzna był wysoki, brodaty, potężnymi ramionami obejmował rulon złotej tkaniny.

- Bądź pozdrowiony, konsulu - powiedział nieskazitelną łaciną. -Przynoszę dar od

Kleopatry, córki Izydy, królowej Egiptu, czcigodnej żony Ptolemeusza.

Mówiąc to, złożył swój ciężar na podłodze, najostrożniej jak potrafił. Coś poruszyło się w środku i Oktawian wyciągnął miecz z pochwy z głuchym poświstem.

Mężczyzna podskoczył jak użądłony. Zasłonił się otwartą dłonią.

- Tylko nie to. Nic wam nie grozi.

Oktawian wysunął się do przodu, nie chowając miecza. Mężczyzna szybko przyklęknął i jednym szarpnięciem rozwinął dywan.

Wytoczyła się z niego i spadła na ręce i kolana, jak kot na cztery łapy, młoda kobieta.

Juliusz zaniemówił z wrażenia. Piersi niespodziewanego gościa zakrywał wąski skrawek żółtego jedwabiu. Inny, równie skąpy, spowijał talię. Długie nogi były

odsłonięte aż po bosc stopy. Całości dopełniały ciemnozłota skóra, potargane włosy i kilka kosmyków opadających na twarz zarumienioną z gorąca i zakłopotania. Juliusz

mógłby przysiąc, że kobieta zakłęła pod nosem.

Na oczach zdumionych Rzymian wysunęła dolną wargę, dmuchnęła na kosmyk i

wstała powoli. Przyjmując bardziej godną postawę, utkwiała wzrok w Juliuszu.

-Jestem Kleopatra - oznajmiła. - Będę mówić tylko z tobą, Cezarze.

Juliusz był oczarowany. Miała ciało tancerki, ciężkie powieki i peł-

Rozdział XXIV

277

ne usta, świadczące o wyjątkowej zmysłowości. W jej uszach błyszczały złote kolczyki, a czerwony granat widniał na szyi jak kropla krwi. Była tak piękna, jak o niej

mówiono.

- Zostawcie nas - rzucił w przestrzeń.

Oktawian wahał się przez chwilę. Dopiero po wymownym spojrzeniu wodza skierował się ku drzwiom, razem z Domicjuszem i brodatym sługą królowej.

Juliusz podszedł do stołu. Napełnił dwa srebrne puchary czerwonym winem; musiał mieć czas na zebranie myśli. Kleopatra wzięła swój w obie dłonie.

- Dlaczego dostarczono cię tutaj w taki sposób?

Nim odpowiedziała, napiła się łąpczywie. Ciekawe, pomyślał, jakie to uczucie dać się uwięzić na tak długo w dusznej materii dywanu.

- Gdybym przysła prostą drogą, dworzanie by mnie uwięzili. Nie jestem mile widziana w Aleksandrii.

Nie spuszczała wzroku z Juliusza. Skrępowany jej otwartością, wskazał na ławę.

Poszła za nim i usiadła na podwiniętych nogach.

-Jak kto możliwe, by królowa nie była mile widziana?

-Jestem w stanie wojny, Cezarze. Moi lojalni wojownicy obozują przy granicy z Syrią, nie mogą wkroczyć do Egiptu. Moje życie nie byłoby nic warte, gdybym tu przysła za dnia.

- Nie rozumiem.

Pochyliła się ku niemu. Zapach ciężkich pachnideł płynął niemal dotykającą falą od jej nagiej skóry. Juliusz usiłował nie okazać, jak bardzo podnieca go bliskość na pół

nagiej kobiety.

- Mój królewski brat Ptolemeusz ma trzynaście lat - powiedziała. - Przy Pątku nie ma nic do powiedzenia w sprawie rządzenia moim krajem.

- Twój brat?

Skinęła potakująco głową.

- Mój brat i mój mąż. Jednocześnie. - Zobaczyła jego minę i zaśmiała się gardłowo, co się Juliuszowi spodobało. - To tutejszy zwyczaj, Rzymianinie. Chodzi o zachowanie ciągłości królewskiego rodu. On jest królem, ja królową. Mój ojciec też poślubił

własną siostrę. Kiedy Ptolemeusz dorośnie, powinnam urodzić jego dzieci, aby po nas rządziły.

Rozdział XXIV

277

ne usta, świadczące o wyjątkowej zmysłowości. W jej uszach błyszcząły złote kolczyki, a czerwony granat widniał na szyi jak kropla krwi. Była tak piękna, jak o niej

mówiono.

- Zostawcie nas - rzucił w przestrzeń.

Oktawian wahał się przez chwilę. Dopiero po wymownym spojrzeniu wodza skierował się ku drzwiom, razem z Domicjuszem i brodatym sługą królowej.

Juliusz podszedł do stołu. Napełnił dwa srebrne puchary czerwonym winem; musiał mieć czas na zebranie myśli. Kleopatra wzięła swój w obie dłonie.

- Dlaczego dostarczono cię tutaj w taki sposób?

Nim odpowiedziała, napiła się łąpczywie. Ciekawe, pomyślał, jakie to uczucie dać się uwięzić na tak długo w dusznej materii dywanu.

- Gdybym przysła prostą drogą, dworzanie by mnie uwięzili. Nie jestem mile widziana w Aleksandrii.

Nie spuszczała wzroku z Juliusza. Skrępowany jej otwartością, wskazał na ławę.

Poszła za nim i usiadła na podwiniętych nogach.

-Jak kto możliwe, by królowa nie była mile widziana?

-Jestem w stanie wojny, Cezarze. Moi lojalni wojownicy obozują przy granicy z Syrią, nie mogą wkroczyć do Egiptu. Moje życie nie byłoby nic warte, gdybym tu przyszła za dnia.

- Nie rozumiem.

Pochyliła się ku niemu. Zapach ciężkich pachnidła płynął niemal dotykającą falą od jej nagiej skóry. Juliusz usiłował nie okazać, jak bardzo podnieca go bliskość na pół

nagiej kobiety.

- Mój królewski brat Ptolemeusz ma trzynaście lat - powiedziała. - Przy Panku nie ma nic do powiedzenia w sprawie rządzenia moim krajem.

- Twój brat?

Skinęła potakująco głową.

- Mój brat i mój mąż. Jednocześnie. - Zobaczyła jego minę i zaśmiała się gardłowo, co się Juliuszowi spodobało. - To tutejszy zwyczaj, Rzymianinie. Chodzi o zachowanie ciągłości królewskiego rodu. On jest królem, ja królową. Mój ojciec też poślubił

własną siostrę. Kiedy Ptolemeusz dorośnie, powinnam urodzić jego dzieci, aby po nas rządziły.

278

Imperator

To były zdumiewające rewelacje. Juliusz poczuł się zagubiony. Usiłował powiedzieć coś, co by przełamało nagłą ciszę.

- Pięknie mówisz moim językiem — zaryzykował. Znow się zaśmiała. Znow ku jego radości.

- Nauczył mnie go mój ojciec, choć jak chcesz wiedzieć, jestem pierwszą osobą z jego rodu, która mówi po egipsku. Wolisz, byśmy prowadzili rozmowę w języku Greków?

To był język mojego dzieciństwa.

- Miło mi to słyszeć - powiedział szczerze. - Zawsze podziwiałem Aleksandra. Być tutaj z potomkinią jego wodza, to doprawdy odurzające.

- Egipt wzywa mnie, Cezarze. Płynie w moich żyłach jak pożar - powiedziała.

Jej skóra była gładka, miedzianozłota, każdego dnia nacierana olejkami. Wiedział, że w dotyku będzie nadzwyczajna.

- Ale nie możesz odzyskać tronu, boisz się - powiedział cicho. Kleopatra prychnęła.

- Nie moich ludzi. Oni są wierni bogini, która jest we mnie. Juliusz zmarszczył się, słysząc takie stwierdzenie z ust tak młodej

kobiety.

- Nie wierzę w takie rzeczy. Popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Ciało, które widzisz, jest niczym, Cezarze. Moje ka jest boskie, przebywa we mnie aż do mojej śmierci. Nie możesz go zobaczyć.

- Twoje ka?

-Mój... duch. Moja dusza. Płomień zamknięty w lampie, jeśli wolisz.

Juliusz potrząsnął głową. Jej pachnidła zdawały się wypełniać jego każdy oddech, tak blisko siedzieli obok siebie. Nie zauważył, by się przysuwała, ale odległość między nimi jakby się kurczyła, a w komnacie robiło się coraz goręcej.

- Nie powiedziałaś, dlaczego przysłaś do mnie.

- Czy to nie oczywiste? Słyszałam o tobie, Cezarze. Modliłam się do Izydy, by

przywiodła mnie z wygnania, i zesłała mi ciebie. Ty masz armię, która może przechylić szalę zwycięstwa w samym sercu Aleksandrii. - Jej oczy błagały.

- A twoi żołnierze?

Rozdział XXIV

279

-Jest ich za mało i szpiedzy krążą jak muchy wokół ich obozu. Ryzykowałam życie, by dotrzeć do ciebie, Cezarze. Jestem sama, nie mam tu nikogo. - Dotknęła jego twarzy

zimną dłonią. - Potrzebuję człowieka honoru, Cezarze. Potrzebuję go rozpaczliwie.

Masz prawo nie wierzyć, ale to dlatego bogowie cię tu przyprowadzili.

Juliusz pokręcił głową.

- Przyprowadziła mnie tu chęć pochwylenia Gnejusza Pompejusza, tego samego,

którego wyście zamordowali, tu, na waszym nabrzeżu.

Nie odwróciła spojrzenia.

- A co kazało mu przybyć do Aleksandrii? Jest wiele innych portów. Jeżeli nie chcesz mi wierzyć, zatem pozwól mi się zemścić, tak jak ty się mścisz! Rozkaz zabicia

Pompejusza okrywa hańbą imię mojej rodziny. Panek posługuje się pieczęcią królewską jak własną. Pomożesz mi, Rzymianinie?

Juliusz obezwładniony jej kobiecością podniósł się niezdarnie z ławy. Spodobała mu się idea rzucenia aroganckich dworzan na kolana. Już obliczał w myślach, czy jego wyborowi, a także żołnierze maszerujący pieszo z Azji Mniejszej, dotrą do Aleksandrii przed upływem wyznaczonych mu siedmiu dni.

- Ilu ci wasi dworzanie mają ludzi?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Rozsunęła podwinięte nogi. Palce u nóg dotknęły zimnego marmuru posadzki.

Domicjusz i Oktawian przyglądali się Juliuszowi chodzącemu tam i z powrotem z nową energią. Nie spał i nie zdążył się ogolić, chociaż słońce stało już nad miastem i zgiełk ulicy wpadał do środka przez wysokie okna pałacowej komnaty.

- To nie jest nasza walka, Juliuszu - burknął Oktawian, zmartwiony i wytrącony z równowagi. Widoki na zobaczenie Rzymu w najbliższym czasie malały i z miejsca poczuł niechęć do kobiety, która była tego przyczyną.

- Będzie, jeśli taką ją uczynię. Ja, Juliusz Cezar. - Przerwał, chcąc, by młodszy mężczyzna go zrozumiał. - Jeśli wmieszamy się w ich sprawy, może pewnego dnia to miasto będzie częścią naszego imperium, a z nim cały Egipt. Wyobraź sobie! Miasto starsze niż Grecja i wrota na wschód.

280

Imperator

Oczy mu błyszczały i Oktawian wiedział, że nie zawróci go do domu żadna siła.

- Mam nadzieję, że jej uroda nie wpłynęła na twój osąd. Juliusz zacisnął gniewnie szczęki, po czym wzruszył ramionami.

- Nie jestem zimny jak głaz, ale zważywszy na interesy Rzymu, przecięcie supła ich powikłanej polityki to okazja, o jakiej trudno marzyć. Jeżeli bogowie są po naszej stronie, są rzymskimi bogami! To do mnie przemawia, Oktawianie.

- Może i przemawia, tymczasem Rzym woła o twój powrót! -warknął Oktawian, niespodziewanie dla obu. - Wygrałeś wszystkie swoje bitwy. Czas wrócić po nagrody, tak czy nie? Ludzie tylko czekają na twoje słowo.

Juliusz potarł brodę. Wydawał się zmęczony.

-Jeżeli wrócę, mogę już nigdy nie opuścić Rzymu. Za bardzo się zestarzałem, by planować nowe kampanie. Ale nie aż tak, by się bać jeszcze jednej o słuszną sprawę. Jak mogę nieść przez morza światło naszej cywilizacji, a potem odwrócić się od niego?

Skupiając się wyłącznie na wewnętrznych sprawach, zmarnujemy raz zdobyty wpływ na bieg świata. - Stał przed Oktawianem. Ścisnął go za ramię. - Zamierzam wykorzystać to, co przyniosły mi kolejne wygrywane bitwy. Albo dołączysz do mnie z własnej woli i z ochotą, albo wracaj, dokąd chcesz.

- Bez ciebie? - spytał Oktawian, choć znał odpowiedź. Juliusz kiwnął głową, a on westchnął. - Moje miejsce jest po twojej prawej ręce. Jeżeli mówisz, że musimy iść dalej, będę z tobą, jak zawsze byłem.

-Jesteś dobrym człowiekiem, Oktawianie. Jak bogowie nie obdarzą mnie synami, będę dumny, widząc cię na moim miejscu. -Zaśmiał się cicho. - Gdzie mógłbyś przejść lepszą szkołę, jak nie w Egipcie! Tu nauczę cię więcej polityki, niżby ci dały lata posiedzeń senatu. Pomyśl o przyszłości, Oktawianie. O tym, co się stanie po mojej

śmierci. To jest miasto Aleksandra i może się ono okazać nagrodą dla Rzymu. Kto lepiej niż my potrafi nim zarządzać?

Oktawian pokiwał głową i Juliusz poklepał go po ramieniu.

- Ilu właściwie mamy przeciw sobie? - milczący dotąd Domi-cjusz sprowadził na

ziemię jednego i drugiego.

- Zbyt wielu jak na sam Dziesiąty - przyznał Juliusz. - Musimy

as

/

Rozdział XXIV

281

czekać na przybycie Czwartego. Ale nawet wtedy możemy potrzebować armii

Kleopatry. Choć jej ludzi otacza tak szczelny pierścień informatorów, że wystarczy, by zwinęli obóz, a dworzanie Ptolemeusza już będą o tym wiedzieć. Musimy zdobyć

przewagę od pierwszej chwili, kiedy wciąż się spodziewają naszego odejścia. Musimy ich zaskoczyć. Mając Czwarty, uderzymy w najczulsze miejsce.

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Oktawian też. Wbrew własnym wątpliwościom czuł podniecenie.

- Co masz na myśli? - spytał.

- W obozowej grze w żołnierzyki zaczyna się od pojmania króla.

ROZDZIAŁ XXV

Jyła noc. Legiony czekały, upchnięte w każdym kącie rzymskich kwater. Juliusz

osobiście powitał na nabrzeżu żołnierzy Czwartego. Przybyli, spodziewając się dalszej pogoni za Pompejuszem, przez nowy kontynent, lecz oto włączono ich do spisku

mającego na celu porwanie króla-chłopca. Być może za przyczyną ciepłych nocy, może przez świadomość, że Pompejusz nie żyje, a oni wreszcie są wolni, popadli w

niezwykły nastrój dziecinnego podniecenia. Poszturchiwali jeden drugiego i

uśmiechali się w ciemnościach. Cezar zatriumfował nad swoimi wrogami - każdy to widział.

Juliusz czekał obok ciężkich drzwi, spoglądając na księżyc. Obserwując przesuwające się cienie, słuchał parskania któregoś z rzymskich koni. Zwierzęta, tygodniami

wyglądniałe, już odpały się na egipskim ziarnie. Pałac także był pełen zapasów, najlepszych towarów z Cypru, Grecji, nawet z Sycylii. Na nabrzeżach Aleksandrii rzymskie złoto było w cenie.

Mimo napięcia Juliusz nie mógł ukryć zadowolenia z siebie. Cyron, Brutus i Regulus przyплыnęli do Egiptu. Zgromadził swoich wodzów raz jeszcze i czuł się wspaniale.

Czuł, że żyje.

Brutus, stojący u jego boku, nie dzielił beztroski innych. Kości ramienia zrosły mu się podczas tygodni pogoni, ale mięśnie wciąż były za słabe, by miał ryzykować takie

przedsięwzięcie. Marzył, by iść z nimi, żeby wszystko było jak dawniej. Czasami

zapominał to, co złe, i wyobrażał sobie, że nadal są w Galii czy w Hiszpanii, związani przyjaźnią i braterstwem. Nie mógł nie zauważać niechętnych spojrzeń,

przypominających mu o jego nowej pozycji. Kiedy

Rozdział XXV

283

czuł, że Oktawian go obserwuje, wpatrywał się w pustkę, aż tamten odwracał oczy. To się zmieni, niech tylko odzyska siły. On sam to zmieni. Tymczasem godził się na to, by zabezpieczać pałacowe wejścia i być gotowym na ich powrót.

Wpatrzony w noc, Juliusz nie od razu zauważył Kleopatę. Weszła do zatłoczonego

przedsiionka cicho i bez zapowiedzi, torując sobie drogę między zaskoczonymi

żołnierzami. Juliusz obrócił się w samą porę, by zobaczyć jej uśmiech, kiedy jeden z jego ludzi gwizdnął cicho, a resztę ogarnęła fala śmiechu. Nie wiedział, jak tego

dokonała, ale miała na sobie jedwabie w innych kolorach i te odsłaniały ciało tylko trochę mniej niż tamte, z których wywinęła się z dywanu. Poruszała się wdzięcznie,

jak młoda dziewczyna, jednak w oczach miała powagę. Włosy przytrzymała złota

opaska, a nogi i goły brzuch przyciągały dziesiątki ukradkowych spojrzeń.

Żołnierze mieli własny pogląd na jego nagłe zainteresowanie Egiptem. Juliusz,

wiedząc o tym, poczuł, że się czerwieni, kiedy podeszła wprost do niego. Jego

wodzowie spotkali ją wcześniej, mimo to stali jak przykuci. Kleopatra zakręciła się w miejscu.

- Słyszałam o odwadze Rzymian - powiedziała czarującym głosem. - I widzę, jak honorowo niesiecie mi pomoc. Poznacie wdzięczność królowej, kiedy na powrót obejmę mój tron.

Pokłoniła się bezlitosnym zabójcom Rzymu i w tamtej chwili poszliby za nią wszędzie.

Mieli dość rozumu, by nie wznosić owacji kobiecie, która stała skromnie między nimi, ale przez pałac przeszedł cichy szmer uznania.

-Już pora - powiedział Juliusz, patrząc dziwnie na królową.

Jej skóra błyszczała w mroku, a oczy były jasne od księżyca, kiedy wreszcie spojrzała na niego. Nim zdążył zareagować, zrobiła krok, pocałowała go lekko w usta.

Poczerwieniał raz jeszcze; była co najmniej o połowę młodsza i wiedział, nie patrząc, że jego ludzie szczerzą zęby i wymieniają spojrzenia.

Odchrząknął, usiłując nabrać godności.

- Dostaliście rozkazy, przyjaciele. Radzę pamiętać, że nie nawiązujemy walki z wrogiem, dopóki nie będzie to konieczne. Znajdujemy króla i wracamy na swoje kwatery, zanim tamci zbiorą dość sił, by nam przeszkodzić. Kiedy Ptolemeusz będzie pojmany, rogi

284

Imperator

zagrają na odwrót, a wtedy bierzcie nogi za pas. W razie rozproszenia zbieramy się tutaj. Wyrażam się jasno?

Pomruk zrozumienia zabrzmiał zgodnie i wyraźnie. Juliusz, już w drzwiach otwartych na zalany księżycem ogród, skinął głową.

- Zatem za mną - powiedział, odpowiadając błyskiem zębów na ich jasne oczy i przytłumione śmiechy. - Za mną.

Wyciągnęli miecze i poderwawszy się na nogi, wysunęli, jeden po drugim, w ciemność. Upłynęło sporo czasu, zanim ostatni opuścił najdalsze zakątki pałacu. Na

miejscu zbiórki pozostała tylko jedna kohorta. Brutus zamknął drzwi, pogrążając

wszystkich w głębszych niż przedtem ciemnościach. Odwrócił się do nich i zawahał w

obecności królowej, która obserwując go, stała jak pachnący posąg-

- Zatkać okna i zabezpieczyć wszystkie wejścia - rozkazał. Po dudniącej echem ciszy nawet własny głos wydał mu się chrapliwy. - Zużyć worki z ziarnem i wszystko inne,

co każdy da radę udźwignąć. Im co cięższe, tym lepsze.

Kohorta z miejsca przystąpiła do akcji i sześciu centurionów warczało rozkazami tak długo, dopóki nie miał zajętych rąk ostatni z najsłabszych. W pustym przedsionku

zostali jedynie królowa i Brutus, skrępowany jej obecnością.

Z cieni dał się słyszeć czyjś głos.

- Wódz w srebrnej zbroi...

Księżyc rzucał na jej ramiona świetlisty blask. Brutus zadrżał. -We własnej osobie, pani. A może mam cię nazywać boginią? -Jej Królewska Mość to jeden z moich

tytułów, chociaż noszę w sobie boginię. Czy to dla ciebie obraza, Rzymianinie? Brutus wzruszył ramionami.

- Widziałem dużo obcych lądów. Widziałem plemię, które maluje swoje ciała na niebiesko. Niewiele mnie już zadziwi.

- Pewnie byłeś z Cezarem przez wiele lat.

Odwrócił oczy, nagle wyprowadzony z równowagi. Czyżby Juliusz mówił jej o nim?

- Więcej, niż chciałbym pamiętać - powiedział.

- Gdzie cię zraniono? W jego służbie?

Parsknął w duchu. Wraz z potokiem pytań narastała w nim złość.

Rozdział XXV

285

- W bitwie, Wasza Wysokość. Myślę, że mogłaś już słyszeć o paru szczegółach.

Podniósł wziętą w łubki rękę, jakby miała ochotę ją obejrzeć. Podeszła bliżej.

Wyciągnęła dłoń. Wbrew sobie pod jej chłodnym dotykiem znowu zadrżał. Miała na palcu gruby złoty pierścień, a osadzony w nim rubin w mroku był tak czarny jak nocne niebo.

- To ty go zdradziłeś - powiedziała z fascynacją w głosie. - Powiedz mi, dlaczego pozwolił ci żyć?

Zdumiała go jej otwartość. Była kobietą przyzwyczajoną do otrzymywania odpowiedzi na każde pytanie, do zaspokajania każdego swojego kaprysu. Wydawało się, że nie jest świadoma zadawanego bólu.

- Nie mógł znaleźć lepszego wodza. Sieję popłoch na polu bitwy, chociaż nie w stanie, w jakim mnie widzisz.

Zaprawił swoje słowa ironią, ale kiedy nie odpowiadała, zrobił obojętną minę.

- Dorastaliśmy razem - powiedział. - Popełniłem błąd i on mi przebaczył. To wszystko.

- Zaskoczyła go własna szczerość. Snucie baśni było mniej bolesne.

-Ja bym cię zabiła - mruknęła, zagryzając wargę.

Brutus czuł, że mówi prawdę. Była przyzwyczajona do absolutnej władzy, od najmłodszych lat. Była równie groźna jak czarne żmije znad Nilu.

- Nigdy nie przebaczam zdrady, wodzu. Twój Cezar jest albo wielkim człowiekiem, albo głupcem. Zgodzisz się ze mną?

-Myślę, że ty i on macie ze sobą wiele wspólnego. Nie odpowiem ci jednak ani nie będę się dłużej tłumaczył.

- Poszedł tej nocy pojmać mojego męża, mojego brata i mojego króla. Widział dopiero znikomą część armii, którą Egipt może rozwinąć w polu. Możliwe, że umrze podczas zmagania. Możliwe, że mój brat padnie pod gradem strzał. To wielka gra, wodzu.

Chodzi o dużą stawkę. A ty słuchaj, co do ciebie mówię. Pozwolił ci żyć, bo ma bielmo na oczach. Nie wie, co się dzieje w twoim sercu.

Przycisnęła otwartą dłoń do jego szyi. Żeby tak pachnieć, pomyślał, musi się kapać w olejku z kwiatu lotosu. Poczul delikatne draśnięcie, jak od kolca. Mógłby się szarpnąć, ale zagrały w nim

Imperator

zmysły i zapragnął odetchnąć chłodnym powietrzem nocy. Jej słowa dotarły do niego, stłumione warstwami zwiewnych jedwabii.

- Znam ciebie, -wodzu. Znam twoje każde drobne przewinienie i każdy wielki grzech. Znam twoje serce tak, jak Cezar go nie znał i nie pozna nigdy. Znam twoją nienawiść. Znam zazdrość. Znam ciebie.

Opuściła dłoń, ale Brutusowi się zdawało, że nadal czuje wpijające mu się w skórę paznokcie. Zatoczył się.

- Bądź lojalny, wodzu, w przeciwnym razie możesz mierzyć własne życie uderzeniami serca. Los związał go z Egiptem, ze mną. A moje ramię sięga daleko. Nie ścierpię kolejnej zdrady, nawet jej cienia.

Brutus był oszołomiony. Zbiła go z tropu intensywność jej uczuć. Poczul, że miękną mu kolana.

- Egipska dziwko, co ty mi zrobiłaś?

- Ocaliłam ci życie, Rzymianinie.

Jej usta ułożyły się w kształt uśmiechu, ale oczy były zimne i czujne. Odeszła bez słowa, oparła się bezwładnie o najbliższy filar i potrząsnęła głową jak ranne zwierzę.

Droga Kanopska przecinała samo serce Aleksandrii. Dwa legiony biegły nią na wschód, dudnieniem sandałów burząc spokój nocy. W ciemnościach główna arteria miasta robiła niesamowite wrażenie. Świątynie obcych bogów unosiły się nad nimi jak duchy, a posągi wyglądały tak, jakby za chwilę miały ożyć. Uliczne lampy kładły cienie na posępnych mężczyzn, spieszących z wyciągniętymi mieczami w stronę pałacowej dzielnicy.

Juliusz dotrzymywał im kroku, powoli wyrównując oddech i rozluźniając mięśnie nóg.

Uczucie ekscytacji nie mijało, przeciwnie, czuł się młody, kiedy liczył mijane ulice.

Przy piątej wskazał na lewo. Wtedy wąż jego legionistów skręcił ku obrzeżom pałacu, trzymając się tej samej drogi, którą Porfirios prowadził Juliusza trzy dni wcześniej.

Pałac królewski stanowił kompleks wielu budynków i przybudówek rozmieszczonych w ogrodach wypełnionych rzeźbami. Pierwsze bramy były obsadzone przez podenerwowane strażę, od dłuższej chwili zaalarmowane dudnieniem licznych stóp.

Żołnie-

Rozdział XXV

287

rze Dziesiątego wystąpili do przodu z ciężkimi młotami i kilkoma szybkimi uderzeniami rozbili żelazne zasuwę. Pierwsza krew tego wieczoru została przelana w tym samym momencie, kiedy strażę wzniosły miecze. Pierwsi w szeregu zabili strażników, a reszta zdeptała ciała i legiony zniknęły w przepastnej ciemności za bramami.

Główny budynek, w którym Juliusz zobaczył króla, jaśniał światłami wszystkich okien. Nie musiał wskazywać swoim ludziom kierunku. Kolejne napotykanne po drodze strażę umierały dzielnie, ale Dziesiąty rozciągnął się w linię bojową i jego legionistów powstrzymałaby tylko armia.

Pałac ogarnęła panika. Sporadycznie tylko stawiano opór. Juliusz odniósł wrażenie, że rodzina królewska nigdy nie brała pod uwagę bezpośredniego ataku. Zewnętrzne

bramy cieszyły się swoim kunsztem, ale nie zapewniały solidnej ochrony, a wśród dezorientowanych obrońców z miejsca zapanował chaos.

Uzbrojeni żołnierze, wysypując się z mroku i z pałacowych żołnierskich kwater, zaczęli rozpaczliwie formować szeregi. Dziesiąty wyróżnął ich jak bydło i niewinne owieczki; krew popłynęła po schodach, do głównego wejścia. Drzwi z brązu, które otworzyły się przed Juliuszem podczas pierwszej wizyty, teraz zamknięto mu przed nosem i zasunięto od środka na żelazne zasuwę. Niewiele myśląc, podziękował bogom

za sekret, który mu zdradziła Kleopatra, zawołał o młoty, wskoczył na kamienny mur obok schodów i pobiegł do bocznego wejścia.

Z oddali dobiegły dźwięki metalu podzwaniającego o metal. W odpowiedzi na nie gdzieś blisko zaczął dzwonić dzwon alarmowy, ale Juliusz wysłał centurię i dzwon natychmiast zamilkł.

Boczne drzwi były wykonane solidnie i Juliusz musiał pohamować niecierpliwość.

Sprawdził krawędź miecza, na wypadek gdyby musiał go jeszcze raz splamić cudzą

krwią. Wtedy zabrzmiał sygnał do ataku i drzwi padły. Dziesiąty z krzykiem wpadł do środka, gdzie natychmiast podniosły się krzyki. On sam trzymał się w pobliżu

pierwszej linii, wykrzykiwał rozkazy i kierował nimi najlepiej jak potrafił. Pałac

wyglądał całkiem inaczej niż za jego pierwszej wizyty i musiało minąć kilka chwil, nim zorientował się w sytuacji.

- Dziesiąty do mnie! - krzyknął, pędząc korytarzem.

288

Imperator

Usłyszał u swego boku dyszenie Oktawiana i Domicjusza i pozwolił sobie zwolnić

kroku. Nie byłoby dobrze, gdyby to on wpadł jako pierwszy na miecze obrońców

zebranych wokół króla, nie mówiąc o tym, że dwójce dowódców łatwiej było oczyścić drogę niż jemu samemu.

Ledwo to pomyślał, już czarny korytarz zdał się wypełniać zewsząd napływającymi

ludźmi. Na jego oczach, bezlitośnie wywijając mieczami, Oktawian i Domicjusz

wpadli w tłum. Jedyne światło dawała daleka lampa i przeraźliwa walka w cieniach

trwała krótko. Rzymskie zbroje wytrzymały napór brązowych mieczy pałacowych

straży; w kilka chwil pierwsi z Dziesiątego przestąpili przez zabitych i ruszyli dalej.

- Którędy? - spytał Oktawian, plując krwią z rozciętej wargi.

Juliusz zawołałby o więcej światła, gdyby nie wypatrzył w mroku białego połysku marmurowych schodów, którymi, jak mu się teraz zdawało, wchodził wieki temu.

- Tędy! - zawołał, wskazując na nie.

Oddech zrobił mu się chrapliwy, a miecz, wbity w pachwinę strażnika, stracił połysk, mimo to Juliusz zadudnił sandałami, biegnąc w górę razem z innymi. Wiedział od

Kleopatry, gdzie sypia jej brat, i skręcił bez namysłu z sali posłuchań w korytarz, lepiej oświetlony niż pozostałe w całym labiryncie. Raz jeszcze zobaczył, że Oktawian i

Domicjusz zajmują pozycje na przedzie. Nagle krzyknął, by się zatrzymali.

Minęli drzwi, które wydawały się zrobione z grubego złota. Juliusz rozejrzał się za ludźmi niosącymi młoty.

-Tutaj! On jest tutaj - zawołał. - Młoty do mnie! - Rzucił się całym ciężarem na drzwi, ale nie czuł, by ustąpiły.

- Gdybyś odstąpił na bok, wodzu... - powiedział znad jego ramienia krzepki żołnierz Dziesiątego.

Juliusz posłuchał, wtedy człowiek wraz z dwoma innymi, zamachnąwszy się żelaznym obuchem, zaczął rytmicznie uderzać. Wszystkie stanowiska obronne wzięto i korytarz był ostatnią przeszkodą do pokonania.

Grube warstwy złota gięły się jednak pod każdym ciosem i nie minęło wiele czasu, zanim jedno z dwóch wielkich prostokątnych skrzydeł zawisło na pękniętym zawiasie.

Rozdział XXV

289

Przez wybity otwór wpadła strzała, odbiła się od obucha młota i utkwiała w pończuku żołnierza. Ranny wyszarpnął ją z głośnym przekleństwem. Trzej Dziesiątego osłonili go własnymi ciałami, a strzałę z wściekłością połamali na drobne kawałki.

Podniesiono tarcze, kiedy padła druga połówka drzwi i kiedy, nie robiąc nikomu krzywdy, jęknęły w powietrzu dwie kolejne strzały. Dziesiąty skoczył do środka.

W królewskich komnatach, w świetle zapalonych lamp, zdziwiony Juliusz zobaczył

dwie nagie łuczniczki. Obie próbowały napiąć cięciwę, piszcząc przeraźliwie ze strachu. Legioniści wyszli do przodu wzgardliwym krokiem. Wyrwali łuki z rąk jednej i drugiej i odepchnęli szaleńczo walczące kobiety od drzwi, których strzegły.

Sypialnia królewska była ciemna, ale Rzymianie prawie się nie zawahali. Wierzyli, że tylko pośpiech może ich ocalić. Skoczyli w ciemność, przetoczyli się po ziemi i poderwali do zabijania.

- Tu jest - odkrzyknął jeden do tyłu. - Tu, i to sam.

Kiedy Juliusz minął zewnętrzną komnatę, zobaczył na ścianie jaśniejsze plamy po zerwanych z niej łukach. Inną broń trzymano na wypolerowanym marmurze. Czyżby Ptolemeusz, to dziecko, sam zabawiał się bronią? Kobiety wyglądały bardziej na nałożnice niż strażniczki, Juliusz zgadywał, patrząc na nie. Król najwyraźniej mógł wybierać w pięknościach Aleksandrii.

Łoże Ptolemeusza było wielkie niczym gmach i dominowało nad resztą prywatnych pomieszczeń. Sam chłopiec stał po jego jednej stronie i tylko pogniecione prześcieradła wskazywały miejsce, z którego się poderwał chwilę wcześniej. Dziwne było zobaczyć jego twarz w mdłym świetle, po tamtym pierwszym spotkaniu, i Juliusz był pod wrażeniem odwagi drobnej postaci, na pół nagiej, ale ze sztyletem w zaciśniętej dłoni.

- Odłóż to - powiedział Cezar. - Nie stanie ci się żadna krzywda. Chłopiec go rozpoznał. Z sykiem wciągnął powietrze. Żołnierze

Dziesiątego obstąpili króla, a on, mierząc Juliusza wściekłym spojrzeniem, jednym ruchem zbliżył sobie ostrze do gardła.

Legionista ścisnął królewski nadgarstek. Sztylet z brzękiem potoczył się po marmurze, a król krzyknął z bólu i niedowierzania i zaczął wołać o pomoc. Ten, który go więził, uderzył w chłopięcą szczękę, po czym chwycił w ramiona bezwładne ciało.

Imperator

- Niech odezwą się rogi. Mamy króla - powiedział Juliusz, już gotów do odwrotu.

- Panie, do tego czasu zbiegnie się ich więcej - przestrzegł Do-micjusz, patrząc na niesionego korytarzem zemdlonego Ptoleme-usza, na przetaczającą się z ramienia na

ramię królewską głowę, na zwisające bez czucia ramiona.

Walka, jeszcze bardziej zaciekle niż przedtem, rozgorzała na nowo, kiedy legiony

usiłowały wycofać się do ogrodów. Widok nieprzytomnego króla zmusił miotających

się na wszystkie strony Egipcjan do większego wysiłku i trzech z Czwartego odniosło rany, co spowolniło odwrot. Ale paradne straże nie były przeciwnikiem godnym

zahartowanych w bojach żołnierzy Rzymu i ci wywalczyli sobie drogę przez ogrody,

zaścielając ją gęsto trupami.

Gdy dotarli do prowadzących bezpośrednio na ulice, wyłamanych bram, powietrze

przeszyły włócznie. Jedna powaliła na ziemię zdyszanego zastępcę centuriona. Dwóch

z jego pięćdziesiątki dźwignęło go na nogi i choć darł się wniebogłosy, jeden, chcąc go ratować, szarpnął za drzewce, ale złamał je niefortunnie. Rannego Rzymianina, ze

sterczącym z pleców, nasiąkniętym krwią odłamkiem drewna, wyniesiono na ulice

razem z nieprzytomnym egipskim królem.

Zamieszanie w pałacu postawiło na nogi całą Aleksandrię. Juliusz ponaglił

legionistów. Wiedział, że zbierające się tłumy na widok króla dźwiganego jak wór

pszenicy zafalują oburzeniem i mogą rzucić się do ataku. Miał prawo do niepokoju,

który narastał w nim z każdą chwilą.

Legiony zadudniły sandałami po Drodze Kanopskiej raz jeszcze. Oddech palił

legionistom płuca żywym płomieniem, ślina w ustach zamieniała się w gęstą zupę. W

pełnej zbroi mila drogi zdawała się dłuższa niż przedtem, ale tłumy rozdzieliły się przed nimi i legioniści raz jeszcze nie zawiedli.

Wydawało się, że minęły godziny, nim Juliusz zobaczył otwarte bramy swoich kwater

i przebiegł przez nie, sapiąc z ulgi. Pałac znów zaczął się wypełniać jego ludźmi, ale tym razem nie musiało się zarządzać ciszy. Pohukiwano i krzyczano, ciesząc się

zwycięstwem, podczas gdy rannych podawano nad głowami tam, gdzie czekali

uzdrawiacze z szyciem i czystymi płótnami. Nie zginął ani

Rozdział XXV

291

jeden żołnierz, chociaż nie zanosilo się na to, by zastępca, który zatrzymał włócznię własnym ciałem, miał kiedykolwiek chodzić

o własnych siłach. Trzeba było dodać mu otuchy i Juliusz spędził z nim krótką chwilę.

Kiedy jako ostatni znalazł się w środku, drzwi zamknięto i na powrót zastawiono

wszystkim, co było pod ręką. Zapalono każdą lampę, którą Brutusowi udało się

znaleźć. Juliusz zobaczył, że okna są zatkane ciężkimi workami i kamieniami. Pałac

stał się warownią. Wreszcie można było niecierpliwie wyczekiwać świtu.

- Teraz niech sobie płaczą i niech dalej się chełpią - powiedział do mężczyzn wokół siebie. - Teraz, kiedy my mamy ich króla.

Zakrzyknęli radośnie, a on wysłał rozkazy, by otwarto kuchnie

i przygotowano posiłek. Jego centurionowie wystawili pierwsze strażę, na wypadek kontrataku, a on w końcu miał chwilę dla siebie.

- Gdzie Kleopatra? - spytał. Brutus był blisko. Obserwował go.

- Zajęła komnaty piętro wyżej - odpowiedział z dziwnym wyrazem twarzy. - Czeka tam na ciebie.

Juliusz uśmiechnął się do niego, wciąż promieniejąc zwycięstwem.

- Opowiem ci wszystko, ale najpierw chcę ją zobaczyć. Znajdź jakieś bezpieczne miejsce dla naszego nowego gościa i postaw przy nim strażę. - Przerwał, aby zaczerpnąć tchu, aby się uspokoić. - To było łatwe, Brutusie.

-Jeszcze na nas uderzą, zobaczysz - odpowiedział Brutus, chcąc umniejszyć dumę w

Juliuszu. - Powiedziała, że widzieliśmy tylko znikomą część ich armii.

Głowa bolała go potwornie, jakby trzeźwiał po przepiciu. Królowa zaszczyliła go rozmową, to pamiętał, ale szczegóły tej rozmowy były mgliste i niewyraźne.

Juliusz nie zauważał jego cierpienia.

-Jak mogą uderzyć, kiedy ich król jest w naszych rękach? Upokorzę mężczyzn, którzy nim rządzą, Brutusie. Niech tylko tu przyjdą. - Zaśmiał się na tę myśl i wyszedł na spotkanie z Kleopatram.

Brutus został sam.

292

Imperator

Pomieszczeń, które zajęła Kleopatra, nie tknął żaden żołnierz. Pozostałe były odarte ze wszystkiego, co mogło się przydać do podparcia drzwi i zatkania okien, ale jej

komnaty pełne dywanów i miękkich tkanin były ciepłe i przytulne. W żelaznych

kociołkach, ustawionych pod jedną ze ścian, trzeszczał ogień, choć Juliusz ledwo to zauważył. Jego oczy przyciągnęła smukła postać królowej, której cień poruszył się za półprzezroczystą zasłoną, na łóżku rozmiarów łoża Ptolemeusza. Rozpoznawał

kształty, te same, które podnieciły go podczas ich pierwszego spotkania. Zastanawiał się, dlaczego ona nic nie mówi.

Serce biło mu mocno, kiedy zamykał za sobą drzwi. Jego kroki niesły się echem

pośród ciszy. Powietrze pachniało i parowało ciepłą wilgocią, której źródło znajdowało się w sąsiednim pomieszczeniu. Kąpała się, pomyślał oczarowany, i to jego ludzie, nie miał wątpliwości, nanieśli wody i podgrzali ją, ochoczo zastępując odprawionych

niewolników.

- Mamy go, Kleopatro - powiedział miękko. Zbliżył się do łóżka. Czując, że się poruszyła na jego głos, rozsunął szeleszczącą jak szept zasłonę.

Leżała na plecach. Jej nagość przykrywały jedynie cienie, a jej skóra lśniła złotem.

Popatrzyła na niego badawczo.

- Nic mu nie jest? - spytała.

Juliusz potrząsnął głową, niezdolny odpowiedzieć. Wstrzymując oddech, powędrował wzrokiem ku złocistemu ciału.

Kleopatra podniosła się zwinnie i przycisnęła swoje usta do jego ust. Juliusza owiał odurzający zapach słodkich goździków, gorzkiego miodu i wonnych olejków.

Szarpnęła palcami za rzemienie zbroi. Musiał jej pomóc i napierśnik spadł na marmur posadzki z brzękiem metalu. Podskoczyli oboje. Dłonie dotykające jego skóry były

chłodne, a potem już był tylko nagi i jej ręce sięgnęły do jego bioder. Przyciągnęła go łagodnie do swoich ust. Krzyknął, drżąc cały. Zamknął oczy.

- Czy to moja nagroda? - spytał gardłowym głosem.

Uśmiechnęła się powoli, wodząc opuszkami palców po jego starych bliznach i patrząc

mu w oczy. Potem przekręciła się zwinnie na brzuch i sięgnęła za siebie, by wziąć w dłonie gorące ciało mężczyzny.

- Zapowiedź nagrody - odpowiedziała.

ROZDZIAŁ XXVI

Ś

wit jeszcze nie wstał, kiedy Juliusz już kroczył przez dolne korytarze, kiwając głową do wyprężonych na baczność straży.

- Zachowywał się spokojnie? - spytał.

Nim legioniści zdążyli odpowiedzieć, posypał się grad piskliwych przekleństw i obelg, ledwo tłumionych grubym drewnem.

- Robi tak od kilku godzin - powiedział żołnierz.

- Otwórz drzwi - rozkazał Juliusz, zaciskając usta. - Pomówię z nim.

Brutus odarł tymczasowe pomieszczenie króla ze wszystkiego. Nawet dokładniej niż

całą resztę pałacu. Nie wstawiono tu żadnego łóżka, a twarda krótka ławka i wiadro

służyły za jedyne wyposażenie. Na ścianie, równym płomieniem, paliła się pojedyncza lampa i w jej

świetle Juliusz zobaczył na skórze chłopca białe smugi kurzu. Król

Egiptu najwyraźniej spędził noc na zimnej podłodze.

Ptolemeusz stał sztywno, z godnością. Skrzyżowawszy ramiona na wąskiej piersi, mierzył wzrokiem swojego porywacza. Pod nagą skórą rysowały się rzędy żeber, a policzki były poznaczone smugami brudu, jak od wycieranych brudną ręką strumieni łez.

- Witaj - powiedział Juliusz, siadając na ławce. - Razem ze śniadaniem każę przynieść ci jakąś szatę. Nie ma potrzeby, byś marzył czy znosił niewygody.

Ptolemeusz rzucił mu spojrzenie pełne nienawiści. Był niższy, niż Juliuszowi zdawało się noc wcześniej, twarz miał bladą i delikatną, jakby nigdy nie oglądała słońca. Jego rysy świadczyły o tym, że często popadał w zły humor i łatwo ulegał gniewowi. Ciemne 294

Imperator

oczy i długie rzęsy były bliźniaczo podobne do oczu i rzęs Kleopatry i Juliusz, na myśl o pokrewieństwie obojga, stłumił w sobie dreszcz niechęci.

Pozwolił, by cisza potrwiała trochę dłużej, po czym wstał.

- No cóż - powiedział - chyba wrócę do swoich zajęć. Odwrócił się, a 'wtedy

Ptolemeusz bluznął słowami do jego pleców.

- Uwolnisz mnie natychmiast! - krzyknął bezbłędną łaciną. Juliusz spojrzał mu w

twarz i tym razem nie mógł powstrzymać

uśmiechu.

- Nie, nie uwolnię, Wasza Wysokość. Potrzebuję ciebie, rozumiesz?

- Potrzebujesz mnie czy złota? - Chłopiec wykrzywił pogardliwie usta.

- Chcę zobaczyć Kleopatę na powrót na tronie. Jako królową. - Cezar przyglądał się chłopcu bacznie, zastanawiając się, czy naprawdę tego chce. Przed spotkaniem z

Kleopatą tej nocy jego cele były jasne. Teraz myśl o oddaniu jej na powrót w

kazirodcze ramiona brata nie wydawała mu się pociągająca.

-Wiedziałem, że ona stoi za tym! - wybuchnął Ptolemeusz. -Wiedziałem to! Myślisz, że chcę jej

powrotu? Kleopatra traktuje mnie jak dziecko.

- Bo nim jesteś - warknął Juliusz, natychmiast tego żałując. Westchnął. Usiadł na ławce raz jeszcze. - Twój dworzanie spełniają każde twoje życzenie, jak sądzę?

Ptolemeusz się zawahał.

- Kiedy postępuję z honorem i zgodnie z tradycją, tak. Oni szanują urząd i ród, mimo mojej młodości. - Mówiąc to, nie patrzył na Juliusza, ale po chwili znów zapłonął

gniewem. - Twój ludzie napadli na mnie! W moich prywatnych komnatach! Będziesz spalony! Rozerwany na strzępy, niech tylko...

- Z tego, co widziałem, Panek ledwo cię słucha - mruknął Juliusz.

W oczach Ptolemeusza pojawiły się błyski.

- Nie wiesz nic o moim życiu, Rzymianinie! Jestem dzieckiem i jestem królem. Noszę w sobie boski płomień. Panek jest...

Zawahał się znów, na co Juliusz odezwał się szybko, chcąc wypróbować, do jakiego stopnia to dziecko jest słabe.

Rozdział XXVI

295

- Panek jest władzą zza tronu. Tak myślę. Oczekujesz, że usunie się w cień, kiedy

dorośniesz? Coś takiego nigdy nie nastąpi. Przytrafi się jakiś wypadek... koń, który poniesie i wyrzuci jeźdźca z siodła czy nagła a nieuleczalna choroba... i Panek będzie rządził dalej, dopóki nie dorośnie kolejne dziecko. Wiem, co to obsesja władzy,

chłopcze. Przyjmij ode mnie tę przestrożę, przynajmniej to.

Chłopiec rozważał jego słowa dziwnie spokojnie. Przychodząc tutaj, Juliusz prawie był pewien łez, a przemawiano do niego jak do równego czy jak do sługi. Król mógł być sobie dzieckiem, ale miał bystry umysł i potrafił myśleć i planować.

- Panek wpadnie w szal, kiedy usłyszy o moim porwaniu - powiedział w zamyśleniu

Ptolemeusz.

Juliusz zobaczył, że ta myśl rozbawiła chłopca. Czekał na więcej.

- Musisz mu udowodnić, że jestem cały i zdrowy, w przeciwnym razie zrówna to miejsce z ziemią.

- Nie muszę, ale mogę. - Ptolemeusz zerknął na niego ciekawie, a on mówił dalej: -

Mógłbyś nie chcieć do niego wrócić. Pomyślałeś o tym? Mógłbym zażądać, by twoi dworzanie zostali wygnani, a ty rządziłbyś z Kleopatą bez ich wpływu.

Oczy chłopca były ciemne i niezgłębione. Juliusz nie znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, czy trafił mu do przekonania.

- Dlaczego to robisz? - Ptolemeusz powiedział w końcu. - Czy pożądasz mojej siostry?

Czy to moje młode ciało cię kusi?

Juliusz stłumił gniew.

- Gdybyś był moim synem, zbiłbym cię za takie słowa. Choć i tak mogę to zrobić.

- Nie śmiałbyś - odpowiedział Ptolemeusz z taką pewnością siebie, że Juliusz zaniemówił. Zastanawiał się, czy nie zawołać o giętką różgę, ale złożył dłonie na kolanach i nakazał sobie spokój.

- Byłeś bardzo niemiły dla Panka - mówił dalej chłopiec, wyraźnie ciesząc się na to wspomnienie. - Potem musiał się położyć, chłodzić zimnymi napojami i kazać

niewolnikom wymasować z niego gniew. Jesteście grubiańskimi ludźmi, tak sędzę.

- To szakał, do tego irytujący.

Ptolemeusz zrobił się mniej spięty; Juliusz w końcu potracił właściwą strunę.

296

Imperator

- Czy mogę zobaczyć twój miecz? - spytał nagle chłopiec. Juliusz obnażył krótki gladius i podał mu go bez słowa. Zdumiony chłopiec natychmiast wycelował ostrze w siedzącego Rzymianina.

- Nie boisz się, że cię zabiję?

Juliusz, wodząc oczami za każdym jego ruchem, potrząsnął głową powoli.

- Nie. Sama broń, bez człowieka, który nią włada, nic nie znaczy. Nie zdążyłbyś uderzyć, a już bym ci ją odebrał.

Ptolemeusz popatrzył mu w oczy. Poza szczerością nic w nich nie było. Odwrócił się i spróbował wywinąć mieczem, ale ugiął mu się nadgarstek.

- Chciałbyś się nauczyć nim posługiwać?

Ptolemeuszowi pojaśniała twarz, ale ciekawość chłopca szybko przesłoniła chmura podejrzania. Obrócił mieczem niezręcznie i oddał go właścicielowi, rękojeścią do przodu.

- Nie udawaj przyjaźni, Rzymianinie. Jestem dla ciebie przedmiotem negocjacji, niczym więcej, prawda? Jesteś moim wrogiem i ja o tym nie zapomnę. - Przerwał i zacisnął pięść. - Kiedy wyrosnę na mężczyznę, potrafię ci przypomnieć, jak mnie więziłeś. Przyjdę do ciebie z armią liczną jak szarańcza. Będę patrzył, jak rozbijają ci stawy młotami i jak płonie na tobie skóra. Wtedy się dowiesz, kim jestem!

Juliusz wpatrywał się jak zahipnotyzowany w wykrzywioną okrucieństwem chłopięcą twarz.

- Najpierw musisz trochę podrosnąć - odpowiedział spokojnie, podnosząc się z miejsca.

Myślał przez chwilę, że Ptolemeusz zaatakuje go gołymi pięściami. Ale chłopiec odwrócił się w bezsilnej złości. Został sam w ciasnym pomieszczeniu.

Panek przybył z delegacją dworzan o pierwszym brzasku dnia. Zbliżył się do straży,

które Juliusz wystawił w ogrodach, i musiał znieść spokojnie dotyk żołnierskich dłoni szukających ukrytej w szatach broni, zanim trzem najstarszym pozwolono wejść do

środka.

Juliusz stał, kiedy przyprowadzono ich przed jego oblicze. Zimne oczy Panka na nowo wezbrały falą

niechęci, ale dla niego nie miało to znaczenia, nie teraz, kiedy więził

króla.

Rozdział XXVI

297

Juliusz wskazał na kamienną bryłę, a sam usiadł na wyściełanej poduszkami sofie, na wprost delegacji Egipcjan, rozbawiony ich niewygoda. Pięciu żołnierzy Dziesiątego

stało w pobliżu, a Oktawian zajął pozycję tuż za plecami dworzan, co wprawiało ich w zdenerwowanie. Twarz i szyja Panka lśniły może od olejków, może od potu,

Juliuszowi trudno byłoby powiedzieć. Oczy miał nie umalowane i może dzięki temu w

porannym świetle wyglądał trochę bardziej po męsku. To zaniechanie o czymś

świadczyło.

- Nie miej nadziei, że przeżyjesz taką zbrodnię. - Panek wydusił z siebie te słowa tak, jakby okazanie choćby cienia grzeczności miało sprawić mu ból. - Jeżeli obywatele się dowiedzą, że przetrzymujesz króla, nic nie poradzę na ich gniew. Rozumiesz, co do

ciebie mówię?! Wieści się rozejdą w parę godzin, a potem ludzie wykurzą cię z tego

gniazda dymem i ogniem.

- Nie boję się ludzi nieprzywykłych do broni - rzucił swobodnie Juliusz. Dał znak strażnikowi, by przyniósł mu wino, i zaczął je popijać drobnymi łykami.

- Co zatem chcesz za chłopca? Jestem przekonany, że masz swoją cenę - wycedził

Panek, podnosząc na niego złe oczy.

Juliusz doszedł do wniosku, że człowiek, z którym ma do czynienia, nie jest

najlepszym negocjatorem. Jego gniew był zbyt oczywisty i gdyby to była tylko kwestia złota, usłyszawszy tak szydery ton, zażądałby więcej.

- Oczywiście zaczniemy od kwestii opuszczenia miasta - powiedział. - A więc,

zapomnijmy o twoich siedmiu dniach. Chcę zobaczyć bibliotekę i grób Aleksandra.

Mógłbyś dostarczyć moim dowódcom przewodników.

Panek zamrugał. Chyba nie dowierzał własnym uszom. - Motłoch cię rozerwie na

kawałki, konsulu. Spróbuj tylko postawić stopę na zewnętrznych schodach tego pałacu.

- Naprawdę? A to pech - stwierdził Juliusz, marszcząc czoło. - Dalej, żądam, by dwór opuścił Egipt. Mam statki, które zabiorą was na Cypr czy Sycylię, daleko od trudów waszego tujszego życia. Przypuszczam, że dożyjecie tam swoich dni w spokoju, i

jestem pewien, że uda mi się wysupłać trochę złota, by umilić wam to dożywocie.

Trzej Egipcjanie zneruchomieli. Oczy Panka błysnęły niebezpiecznie.

298

Imperator

- Szydzisz ze mnie w moim własnym mieście, konsulu. Myślisz, że ci nie odpowiem?

Armia została przyzwana. Miasto jest pełne żołnierzy, a ci głośno wyrażają swój gniew z powodu tego, czego się dopuściłeś. Jeżeli nie zwrócisz nam króla, zaleją twoją małą siłę jak powódź. Zrozum, że nie kłamię.

- Chłopiec nie przeżyje ataku na to miejsce - powiedział im Juliusz. - Zabijecie go sami, wystarczy wasz jeden obnażony w gniewie miecz. Radzę zachować spokój.

- Nie możesz go tu przetrzymywać wiecznie - odpowiedział Panek. - Jak myślisz, na jak długo starczy ci jedzenia? A wody?

Juliusz wzruszył ramionami.

- Wszystkiego mamy pod dostatkiem. Choć może macie rację. Nie powinniśmy grozić sobie nawzajem. Na ile wycenicie jego życie? Co możecie mi zaproponować za waszego króla?

Trzej mężczyźni przez długą chwilę naradzali się w swoim języku. Potem Panek przemówił raz jeszcze, tym razem doskonale panując nad gniewem.

- Moglibyśmy doprowadzić do wymiany towarów między Rzymem i Egiptem. Mogę sprawić, że wasi kupcy będą mieli pierwszeństwo w dostępie do naszych rynków.

- Znakomicie - powiedział Juliusz, dając znak, by przyniesiono wino dla Egipcjan. -

Sądzę, że negocjacje się rozpoczęły.

Ostateczne porozumienie osiągnięto w trzydzieści dni. Ani Juliusz, ani Panek nie uczestniczyli w żadnej z porad; obaj ograniczyli się do składania propozycji i przyjmowania ofert drugiej strony poprzez swoich podwładnych. Nie mogło się to odbywać bez pomocy Kleopatry, która zdawała się wiedzieć w najdrobniejszych szczegółach, jak dalece delegacja dworzan może ustąpić w każdej z negocjowanych dziedzin.

Sama, podobnie jak główni negocjatorzy, nie uczestniczyła w żadnym ze spotkań. Spędzała dni z młodszym bratem, któremu dzięki Rzymianom udało się wyrwać spod opieki Panka. Dziwnie było patrzeć na tę parę spacerującą korytarzami, pogrążoną w rozmowie, i równie dziwny dla Juliusza był ich związek. Ona była starszą siostrą i dojrzałą żoną przyzwyczajoną do intryg dworskich. On słuchał jej jak nikogo innego i jego wybuchy złości nie powtórzyły się ani razu.

Rozdział XXVI

299

Którejś nocy powiedziała Juliuszowi, jak bardzo jej brat nienawidzi dusznego życia dworu. Wyjaśniła, że żadna jego prośba czy najbliższe żądanie nie może być spełnione bez aprobaty Panka i że Ptolemeusz w końcu go przejrzał i przyznał się do nienawiści do tego człowieka. Że zanim Juliusz go wykradł, chłopiec właściwie we wszystkim był ograniczany; to Panek przemawiał jego głosem i to tego eunucha słuchała armia.

- Ale na bogów, twój brat jest królem! - wykrzyknął Juliusz. -Dlaczego najzwyczajniej w świecie nie każe Panka wyprowadzić przed pałac i wychłostać?

-Jest tylko chłopcem. Poza tym nigdy nie poznał innego życia. Panek go przeraża - powiedziała. - Mnie nie, ale nawet ja ucierpiałam z powodu jego żądzy władzy. - Przerwała i zacisnęła dłonie na prześcieradłach. - Rok temu przyniósł rozkazy od króla, na mocy których zostałam wygnana. Wiedziałam, że nie mogą pochodzić od

mojego brata, ale nie pozwolono mi bronić swojej sprawy. Ci, którzy byli mi lojalni, udali się ze mną na wygnanie, a kobiety rwały włosy z głowy i wcierały popiół w piersi.

Wierz mi, Panek jest zbyt przebiegły, by chłopiec mógł mu się oprzeć.

Trzydziestego dnia Juliusz miał gotowy tekst porozumień. Przyprawiono

Ptolemeusza, by złożył pod nimi swój podpis. Przyszła z nim Kleopatra. Na jej widok Panek aż się zatoczył.

- Moja królowa! - wyjąkał, padając jej do kolan i dotykając głową posadzki.

Inni dworzanie poszli w jego ślady i Kleopatra się uśmiechnęła.

- Wstań i dokończ, co rozpoczęłeś, Panku. Złotem związałeś nas z Rzymem, zgodnie z moim życzeniem i z wolą twojego króla.

Panek strzelił oczami tam, gdzie siedział obserwujący go Ptolemeusz. Ten powoli pokiwał głową.

- Osiągnęliśmy ugode, mój brat i ja - słodko niby kot mruczała Kleopatra. - Nadszedł

kres twoich wpływów, Panku. Zajmiemy nasze miejsca na tronach obu królestw,

Górnego i Dolnego, raz jeszcze. Będziemy rządzić, choć nie odejdziesz nie nagrodzony za swoją pracę.

Na oczach Panka Ptolemeusz podsunął jej pergamin i Kleopatra napisała szybko

„niech się stanie”, tak samo jak podpisywała wszystkie urzędowe dokumenty. Arkusze papirusu zawierały urno-300

Imperator

wę hamującą rozwój Aleksandrii, nie mówiąc o bolesnej dziesięcinie w złocie, która miała być posyłana Rzymowi przez lata. W zamian Juliusz przedłożył zdumiewającą propozycję zwrócenia Egiptowi Cypru. Taka szczodrość Rzymian głęboko

zaniepokoiła Panka. Dworzanin nie wiedział, że to był pomysł samej Kleopatry. Cypr

utracono po śmierci Aleksandra i odzyskanie go było niemal warte tygodni

zadręczania i upokarzania króla. Panek zdał sobie sprawę, że za pertraktacjami stała królowa i że to za jej przyczyną wydały się jego knowania, a jego strategia została zniweczona. Stał jak człowiek

złamany i pokłonił się sztywno królewskiej parze.

- Będę oczekiwał twojego powrotu, Wasza Wysokość - powiedział do Ptolemeusza.

- Odzyskasz go jutro o świcie - powiedział Juliusz, któremu nie spodobała się wymiana spojrzeń między oboma.

Panek zebrał swoje kopie dokumentów wraz z przyborami do pisania i wyszedł, otoczony swoimi niewolnikami i świtą. Pomieszczenie zdało się puste bez napięcia, które wywoływał samą swoją obecnością. Kleopatra obróciła się do brata, by wziąć go w objęcia.

- Teraz będziesz prawdziwym królem, Ptolemeuszu, tak jak życzyłby sobie tego nasz ojciec. Panka każę zabić, a moja armia będzie cię chronić przed jego knowaniami.

Chłopiec poddał się uściskowi. Znad ramienia siostry popatrzył na Cezara.

- Jesteś dziwnym człowiekiem, Rzymianinie - powiedział. - Moja siostra ci ufa, choć zastanawiam się, czy to dobrze.

- Z mojej strony nic wam obojgu nie grozi - zapewnił go Juliusz. Ptolemeusz pokiwał głową.

- Chcę wyjść stąd już o świcie. Ludzie muszą wiedzieć, że jestem bezpieczny. W

Egipcie nastanie teraz nowy porządek. Nie pozwolę odebrać sobie żony raz jeszcze.

Juliusz, czując na sobie intensywne spojrzenie, zastanawiał się, jak wiele Ptolemeusz wie o jego związku z Kleopatram. Małżeństwo brata i siostry było, według niego,

śmiechu warte, a jeszcze śmieszniejsza była myśl, że staje między mężem a żoną.

Kleopatra, mimo ich bliskości, wciąż była dla niego tajemnicą. Możliwe, że po prostu chciała na nowo urządzić swój dwór i na nowo wejść w rolę kró-

Rozdział XXVI

301

lowej, a potem grzecznie odprawić Rzymianina, który jej to umożliwił.

- Mam dla ciebie podarunek - zwrócił się do chłopca i skinął na czekającego w pobliżu zbrojownika Dziesiątego.

Do przodu wystąpił krzepki mężczyzna z zawiniątkiem pod pachą. Juliusz rozwinął je i odsłonił miecz o rozmiarach odpowiednich dla chłopca. Oczy Ptolemeusza zrobiły się okrągłe ze zdziwienia i radości. Na życzenie Cezara Domicjusz pokazał mu wcześniej kilka prostych sposobów ataku i obrony, ale miecze legionistów były dla chłopca nie do udźwignięcia. Teraz chłopięcy uśmiech króla odbił się w twarzy Juliusza jak w zwierciadle.

-Jest wspaniały - powiedział Ptolemeusz, pocierając kciukiem brąz i skórę rękojęści.

Juliusz skinął głową.

- Mam nadzieję, że znajdziesz czas, by kontynuować lekcje.

- Postaram się. Dziękuję za dar, Rzymianinie.

Juliusz roześmiał się, słysząc w słowach podziękki lekko drwiący ton. Pamiętał rozwścieczonego małego chłopca, którego poznał pierwszego ranka, trzy tygodnie wcześniej.

- Zatem do jutra - powiedział.

O świcie armia dworu Ptolemeusza zebrała się na ulicach Aleksandrii, aby przywitać powracającego króla. Juliusz wyjrzał przez szczelinę w zasłoniętych oknach i gwizdnął z wrażenia. Czekały tysiące. To był prawdziwy pokaz siły.

Mieszkańcy wyszli, by popatrzeć na Ptolemeusza. Nie było żadnych tłumów, które by zagrażały pałacowi, i Juliusz się zastanawiał, czy Panek, strasząc go, nadrabiał miną, czy jego wpływy sięgały głębiej, niż wiedziała sama Kleopatra.

Na płytach marmuru zadudniły kroki Ptolemeusza. Chłopiec podszedł do wielkich drzwi. Trzymał się prosto i Juliusz się ucieszył na widok małego miecza przypiętego do szczupłego biodra.

Uchylił drzwi trochę szerzej, tak by Ptolemeusz mógł zobaczyć armię zebraną ku jego czci.

-Jesteś gotowy? - spytał.

Ptolemeusz nie odpowiedział. Ku zdumieniu Juliusza miał w oczach łzy.

302

Imperator

- Nie ufam Pankowi - wyszeptał, patrząc przez nie na szeregi dalekich wojowników.

- Musimy cię odesłać. Twoja armia musi zobaczyć, że żyjesz. Musisz być uwolniony, to będzie dowód naszej dobrej wiary. Pa-nek nie jest głupcem. Wie, że zjednoczyłeś się ze swoją siostrą. Nie będzie cię więził, nie ośmieli się. Zabiłbym go, o tym też wie.

Położył dłoń na ramieniu Ptolemeusza i zaczął go popychać ku drzwiom. Młody król szarpnął się i uchwycił dłoni Juliusza.

- Jemu nie można ufać! On ma za nic umowy i porozumienia, wiem to dobrze. Jeżeli mnie odeślesz, będę tak samo bezsilny jak przedtem. Pozwól mi zostać. Znajdziemy jakieś inne rozwiązanie.

Juliusz powoli odsunął ręce chłopca.

- Ptolemeuszu, kończą się nam zapasy. Kończy się jedzenie i woda. Dałem słowo, że cię uwolnię. Negocjacje dobiegły końca. -Głos mu stwardniał. - Teraz rób, co do ciebie należy. Zobaczę cię na twoim tronie za jakieś parę godzin. Najpierw muszę cię oddać twoim ludziom.

Po policzkach Ptolemeusza stoczyły się dwie łzy; z rozpaczą ścisnął Juliusza za ramię.

- Ty nic nie rozumiesz! Tam, na zewnątrz, znów będę królem. Boję się!

Juliusz odwrócił oczy zakłopotany. Gdzie jest Kleopatra? Starsza siostra miała swoje sposoby na uspokojenie młodszego brata. Juliusz już miał kazać ją przywołać, kiedy

Ptolemeusz ze złością otarł twarz i puścił jego ramię.

- Wyjdę do nich.

Juliusz nie mógł zrozumieć jego przerażenia. Bez względu na zamiary Panka

Ptolemeusz będzie bezpieczny przez kilka godzin, podczas powrotu do swojego pałacu. Potem pojawi się Kleopatra i rzymskie legiony.

- Odwagi, chłopcze - powiedział miękko i lekko go popchnął.

Król odetchnął głęboko. Wprostował ramiona. Jego dłoń, gestem podpatrzonym u Rzymian, dotknęła rękojeści miecza. Skinął głową na pożegnanie i wyszedł w słońce. Na widok kruchej postaci na szczycie schodów armia zakrzyknęła radosnym powitaniem. Ramiona zafalowały w górze, co dało Juliuszowi do myślenia. Czyżby ci tutaj byli rzeczywiście lepszymi

Rozdział XXVI

303

żołnierzami niż strażę pałacowe, na które się natknął, porywając króla? Nawet z wysokości schodów nie potrafił oszacować ich pełnej liczby.

Brutus stał obok, razem z Oktawianem. Jeden starannie omijał wzrokiem drugiego.

Razem z Juliuszem patrzyli za królem-chłop-cem schodzącym po stopniach wprost do pierwszych szeregów, gdzie z pochyloną głową czekał na niego Panek.

Zadęto w rogi w chwili, kiedy Ptolemeusz stanął przed armią Egipcjan. Linie się rozdzieliły. Juliusz i inni przyglądali się widowisku jak zaczarowani.

- Co tu się dzieje? - spytał Oktawian. W odpowiedzi Juliusz pokręcił głową.

Na ich oczach podano do przodu złote szaty, które zdobiły Ptolemeusza podczas ich

pierwszego spotkania, i zarzucono je na chłopięce ramiona. Rzymianie zmrużyli oczy, kiedy wschodzące słońce zgęstniało wokół całej postaci, sprawiając, że Ptolemeusz

rozbłysnął. Tymczasem Panek wznosił ku bogom dziękczynną pieśń. Wznosił także złotą maskę.

Ptolemeusz stał i czekał, aż maska osunie mu się na twarz. Nie poruszył się długo, a potem powoli obrócił do rzymskich żołnierzy pełniących strażę przy drzwiach i

oknach. Twarz ze złota, kryjąca dziecięce rysy, tchnęła wrogością. Juliusz się

zachmurzył. W rozedrganym od wczesnego gorąca powietrzu wydawało się, że czas zwalnia bieg.

-To niemożliwe, on nie może... - szepnął Brutus, nie wierząc własnym oczom, ale złota postać wzniosła dłoń i przecięła gwałtownie powietrze. Armia, ryknąwszy bitewnym gniewem, popłynęła w stronę pałacowych ogrodów.

Juliusz, nie wierząc własnym oczom, szarpnął się do tyłu. Nie było czasu, by rozważać sens ataku.

- Wszyscy do środka. Zamykać drzwi! - krzyknął. - Łuki i włócznie na dach.

Nadchodzą!

ROZDZIAŁ XXVII

Armia egipska zabiła wszystkie konie wyborowych. Rzymianie wewnątrz pałacu słyszeli rozpaczliwe rzenie swoich wierzchowców.

Wysoko ponad ich głowami ponad setka Czwartego, która wspięła się na dach, wysyłała miazdzący ogień na napierające na pałac tłumy. Trudno było chybiać celu wobec takiej masy napastników.

W chaosie pierwszych kilku minut Egipcjanie dźwignęli drągi zakończone hakami i rzucili w powietrze grube sznury, licząc na występy w murze, o które dałoby się je zaczepić. Niektóre odcięto wcześniej, nim mężczyźni na dole zaczęli się po nich wspinać, choć Egipcjanie mieli własnych łuczników, i legioniści, tnąc sznury i odrąbując drągi, padali pod ich strzałami. Atak był głośny i gwałtowny, ale pałac nie był miejscem łatwym do atakowania. Tylko najwyższe okna zostawiono otwarte, wszystkie otwory poniżej szczelnie pozamykano i zabezpieczono zaporami, tak że nawet ci wojownicy, którym udało się przylgnąć do parapetów i występów w murze, nie znajdowali drogi do środka. Kiedy ręce bezradnie macały wokół okien, miecze przechodziły przez szczeliny i posyłały zachłystujących się bólem ludzi na głowy ich współtowarzyszy.

Armia Ptolemeusza zaatakowała główne drzwi potężną drewnianą belką. Łucznicy na dachu, zaalarmowani głuchym łomotem, zesłali na dół deszcz śmierci, ale im szybciej umierali jedni, tym więcej drugich ruszało do przodu. Juliusz rozkazał całą zawartość komnat Kleopatry spiętrzyć pod drzwiami, na wypadek, gdyby

miały nie wytrzymać naporu. Nie miał czasu na rozważanie strategii przeciw wrogiej armii. Wiedział, że nie potrafi opierać się jej w nieskończoność, i żałował, że powiedział królowi o kończących się zapasach jedzenia. Nawet gdyby zmniejszył racje o połowę, i tak umrą z głodu w ciągu tygodnia.

Sam Ptolemeusz stał poza zasięgiem włóczni, mimo to Juliusz wysłał na dach Cyrona, by ten pokazał, co potrafi. Nagła zmiana w zachowaniu króla nie mieściła się Rzymianom w głowie. Tylko Kleopatra zdawała się je rozumieć; kiedy jako przyczynę wskazała złote nakrycie głowy, Juliusz przypomniał sobie ostrzeżenie Ptolemeusza, że na zewnątrz chłopiec znów będzie królem.

Pierwszy atak się nie powiódł, a ci, którzy usiłowali rozbić drzwi, w końcu ustąpili, zasypywani lecącymi z dachu ciężkimi ceramicznymi płytami. Juliusz jednak uznał

odwrot za chwilowy. Był przekonany, że wrócą i przyprowadzą liczniejsze szeregi tych, którzy będą trzymali tarcze nad ich głowami. On by tak zrobił.

Przekrzykując ogólny zgiełk, Juliusz zawołał w stronę swoich wodzów:

- Brutusie! Biegnij do Kleopatry. Potrzebuję jej rady. Nie możemy trwać w tym miejscu i pozwolić, by je zrównali z ziemią, albo dać się wykurzyć dymem.

- Dopóki ja tu jestem, nie będzie żadnego pożaru. Nie ośmielą się wykurzać dymem własnej królowej - odpowiedziała Kleopatra, która stała w korytarzu od dłuższej chwili, przez nikogo nie zauważona.

Juliusz chciał w to wierzyć, lecz ryzykować nie mógł. - Jesteśmy otoczeni, Kleopatro.

Nie ma tu jakichś podziemnych tajemnych przejść?

Kleopatra potrząsnęła głową.

- Gdyby były, już bym z nich skorzystała - warknęła ze złością.

Juliusz zaklął pod nosem. Odwrócił się, by wyrzeć przez szczeliny światła dziennego na

wojowników na zewnątrz. Pałac przyprawiał go o klaustrofobię, poza tym nienawidził bierności. Poza ludźmi na dachu nie miał żadnego sposobu zaatakowania wrogów, chyba że wysłałby legiony do bezpośredniego ataku, co równałoby się próbie samobójczej.

- Czy oni mają ciężką broń, katapulty i temu podobne? - krzyk-

306

Imperator

nał najgłośniej jak potrafił. Ciężka broń mogłaby zamienić pałac w gruzy. Nagle wyobraził to sobie i zaczął się bać.

-Nie w pobliżu - odpowiedziała Kleopatra. Oblizwała wargi, smakując kurz z powietrza, i zmarszczyła czoło. - Chodź ze mną na dach, to ci je pokażę.

Juliusz się zawahał. Nie lubił opuszczać swoich ludzi. Brutus wysunął się o ćwierć kroku przed Domicjusza i Oktawiana.

-Idź, panie. Powstrzymamy ich sami. Przynajmniej na chwilę.

Juliusz skinął głową i pospieszył za Kleopatram przez piętra, nie zwalniając kroku na żadnym. Stał zasapany u szczytu schodów, po czym wspiął się na drabinę, prosto w słoneczny blask.

W Aleksandrii tymczasem zawitało lato i jego żar poczuł jak uderzenie. Rzędy dachówki biegły we wszystkich kierunkach, choć wzrok Juliusza natychmiast przyciągnęła linia legionowych zabójców, których wysłał na krawędź dachu. Był między nimi Cyron i wybierając z namysłem cel, cisnął włócznią pod dziwnym kątem. Zadowolony ze skutku wyszczerzył zęby, a inni zaczęli poklepywać go po ramionach, ale grad strzał zmusił ich do odskoczenia do tyłu. Juliusz nie zatrzymał się przy nich. Odebrawszy honory, machnięciem dłoni odesłał ich do ich obowiązków.

Widok na miasto i morze z takiej wysokości zapierał dech w piersiach. Port ścielił się poniżej jak dziecinna układanka, a horyzont był podzielony między pełne morze i

brązową plamę egipskiego lądu.

Kleopatra stała za nim. Włosy puściła na wiatr.

- Kwatery ich armii znajdują się w Kanopach, dwa dni drogi na wschód, wzdłuż wybrzeża - powiedziała, wskazując na zamgloną szarą dal. - Tam mają katapulty i okręty, które mogą je przewieźć.

Juliusz dłuższą chwilę przyglądał się wejściu do portu. Galery straży portowych krążyły tam i z powrotem. Statki kupieckie wpływały do zatoki pod żaglami albo wprawiane w ruch wiosłami, a dziesiątki innych stały bezpiecznie na kotwicy.

Aleksander, pomyślał jego naśladowca, budując miasto trzysta lat temu, dokonał dobrego wyboru.

- A co zrobią, jeżeli zamknę wejście do portu, zatapiając w nim parę galer?

Kleopatra wzruszyła ramionami.

Rozdział XXVII

307

-Odetniesz im drogę morską. Wszędzie indziej wybrzeże jest skaliste i niebezpieczne.

Marsz przez ląd opóźni ich przybycie o kilka dni.

- Marsz z machinami wojennymi? Potrafią to zrobić?

-W razie konieczności, owszem. Egipcjanie to pomysłowi ludzie, Juliuszu.

Przesuwał wzrokiem po wybrzeżu, centymetr po centymetrze.

- Mógłbym zapętlić liny na dachu i spuścić po nich ludzi - powiedział w końcu.

Podszedł do dalekiej krawędzi, popatrzył na dół. Kiedy zobaczył, jak daleką drogę jego ludzie mieliby do ziemi, przełknął boleśnie. Jakaś strzała, wytracając pęd, zabuczała koło niego. Zignorował ją.

Kleopatra stanęła obok. Popatrzyła na armię swojego brata.

- Mój niewolnik, Ahmos, mógłby zanieść przesłanie do mojej armii - powiedziała. -

Siły by się wyrównały i mógłbyś się wyrwać z oblężenia.

- To nie wystarczy - odrzekł Juliusz. - Wyślij go, jeśli chcesz, ale nie mogę tkwić tutaj, nie wiedząc, czy dotarł do nich, czy go zabito w drodze. Nie mamy jedzenia na dłużej niż parę dni.

Szedł wzdłuż krawędzi, patrząc na otaczające pałac niższe budynki. Dotarł na drugą stronę i błogosławiąc w duchu starą dachówkę za jej szorstką suchą powierzchnię, ostrożnie okrążył stromy odcinek. Z tyłu pałacu znajdowały się mniejsze zabudowania, wykorzystywane przez niewolników i sługi. Uśmiechnął się, kiedy je zobaczył.

- Możesz na to popatrzeć? - spytał i nie czekając na odpowiedź, przyklęknął i położył

się na brzuchu. Dolny dach błyszczał na tyle blisko, by móc tam skoczyć albo spuścić się na linach. Stamtąd dałoby się przedostać na labirynt dachów domów i świątyń

prowadzący w głąb miasta.

- No tak - powiedział. - Wystarczy, jak nasi ludzie dostaną się na dach pod nami, a przejdziemy nad głowami żołnierzy Ptolemeusza nawet nie zauważeni. Wypatrzysz

jakieś okno na tym samym poziomie?

Kleopatra położyła się płasko obok niego, wykręciła szyję nad krawędzią i kiwnęła

potakująco. Oboje jednocześnie zdali sobie sprawę ze swojej bliskości. Juliusz, wciąż urzeczony egipską królową-308

Imperator

wą, chętnie by się poddał urokowi chwili, gdyby nie świadomość, że jego ludzie ich obserwują.

- Schodzę na dół. Muszę znaleźć pomieszczenie z oknami wychodzącymi na tamte dachy.

- Powinieneś podziękować Izydzie. Darzy cię łaskami, Juliuszu, pokazując ci tę drogę - powiedziała Kleopatra.

Juliusz zmarszczył czoło.

-Powiniennem podziękować moim bogom za dar bystrych oczu.

Kleopatra zaśmiała się i poderwała na nogi z wdziękiem młodej krwi. Nim zdążył poczuć się przy niej stary, pocałowała go.

Cyron i Domicjusz wychylili na chwilę głowy z tylnego okna, popatrzyli w dół i szarpnęli ramionami z powrotem. Egipscy łucznicy byli dobrzy i Rzymianie woleli nie ryzykować.

- Dwadzieścia stóp w dół i jakieś sześć w poprzek - powiedział Domicjusz. - Damy sobie radę, chyba że nas zobaczą. Co dalej, nie wiem. Nie będziemy wiedzieli, dokąd dochodzą dachy, dopóki nie skoczymy.

- Nie ma innej drogi - odpowiedział Juliusz. Wszyscy słyszeli uderzenia młotów i falowanie armii w ogrodach. -Jak tylko sprowadzą katapulty, będziemy skończeni, chyba że wcześniej zabraknie jedzenia i wody. Musimy odciągnąć na bok kilku, co najmniej kilku.

- Pozwól mi, panie - powiedział Domicjusz - bym z kohortą najmłodszych ludzi spróbował dotrzeć do okrętów.

Juliusz popatrzył na niego.

- Doskonale. Cyronie, idź z nim. Niech twoi ludzie będą gotowi do zachodu słońca.

Brutus przyszedł zobaczyć, co zatrzymuje jego wodza. Wydawał się zdenerwowany.

-Ja też chciałbym pójść - powiedział. Juliusz ściągnął brwi.

- Twoje ramię ledwo się zrosło. Jak spuścisz się po linie, dwadzieścia stóp?

Brutus poczuł ulgę. To nie była zwykła odmowa.

- Ześliznę się, to proste. - Podniósłszy prawe ramię, otworzył i zamknął pięść.

Rozdział XXVII

309

Juliusz potrząsnął głową.

- Nie tym razem, Brutusie. Jedynie bogowie wiedzą, czy i jak da się przejść przez

dachy. Co gorsza, jeżeli ramię ci osłabnie i upadniesz, dowiedzą się, że próbowaliśmy się wydostać.

Brutus wciągnął powietrze.

-Jak rozkażesz, panie - powiedział z wypisanym na twarzy rozczarowaniem.

- Moglibyśmy przywiązać mu linę do nadgarstków - przemówił za nim Domicjusz. -

Nie upadnie, nawet jak mu ramię nie wytrzyma.

Brutus odwrócił się zdumiony do Domicjusza, a Juliusz zrozumiał, jak bardzo jego stary przyjaciel pragnie powrotu do walki.

- Po zatopieniu okrętów będziecie musieli płynąć. Całkiem możliwe, że nie wrócisz.

Rozumiesz?

Brutus potaknął. W głosie zabrzmiała mu nuta dawnego szaleństwa.

- Pozwól mi iść. Proszę - powiedział.

-W porządku, ale jeśli ramię ci trzaśnie, zostaniesz na tym dachu na zawsze.

-Tak, panie - odrzekł Brutus. Jego twarz wyrażała napięcie. Klepnął Domicjusza po ramieniu, kiedy Juliusz się odwrócił.

Chociaż słońce zaszło, okolice pałacu oświetlały ogniska i z różnych stron, od czasu do czasu, wzbijały się strzały wycelowane w dach i w okna. Armia Ptolemeusza

postanowiła wziąć ich głodem. Albo czekała na przybycie katapult. Juliusz przyglądał

się wszystkiemu, dobrze ukryty za framugą jednego z górnych okien. Nienawidził

niewoli i nawet nie śmiałyby wyznać, ile wiąże nadziei z ludźmi spuszczanymi się na niższe dachy na tyłach pałacu.

Wiedział, że w końcu będzie musiał wysłać legiony przeciw oblegającej armii. Innym

razem, w jakiejś odpowiedniej chwili, spróbowaliby miażdżącego uderzenia, ale mając

przeciw sobie takie mrowie przeciwnika, bał się, że wyśle ludzi prosto na śmierć.

Wiedza Kleopatry o taktyce i sile Egipcjan była nieoceniona, ale mimo to Dziesiąty i Czwarty zmierzyłyby się z olbrzymią przewagą wroga. Bywały chwile, kiedy po cichu

żałował, że nie opuścił miasta w ciągu siedmiu wyznaczonych dni. Choć potem szybko

opadała go złość. Nie będzie uciekał przed motłochem obcych żołnierzy.

310

Imperator

W razie czego zdobędzie zapasy i wyśle po posiłki z Grecji i Hiszpanii. Egipcjanie dowiedzą się, co znaczy grozić człowiekowi, który rządzi Rzymem.

Z tyłu pałacu Domicjusz obwiązywał nadgarstki Brutusa nawo-skowanym płótnem, aby wysłać go po linie w dół, w ramiona oczekujących legionistów. Przemieszczanie się pięciu setek żołnierzy w absolutnej ciszy było trudne, ale nie rozległ się żaden głos wzywający do alarmu i akcja toczyła się zgodnie z planem.

Domicjusz szarpnął za węzeł i wtedy poczuł na sobie wzrok Brutusa.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi - powiedział Brutus. Domicjusz parsknął lekceważąco.

- Możemy być znów, kolego. Ludzie z czasem cię zaakceptują, choć Oktawian... no, ten może nie.

- Cieszę się, że przemówiłeś za mną. Domicjusz ścisnął go za ramię.

- Dla własnej dumy i gniewu ryzykowałeś życie nas wszystkich. Bywały chwile, że przyłożyłbym ci nóż do gardła.

- Gdybym mógł to odmienić, zrobiłbym to - wyznał Brutus zgodnie z prawdą.

Domicjusz kiwnął głową i pomógł mu przerzucić nogi przez krawędź.

- Stałem z tobą na białych urwiskach Brytanii. Zabiłeś toporem tamtego niebieskoskórego olbrzyma, nikczemnika, który śmiał mnie powalić na plecy. To się liczy - powiedział cichym, poważnym głosem. - Nie mogę nazwać cię bratem po tym, co zrobiłeś. Ale spróbujmy żyć bez plucia jeden drugiemu w chleb.

Brutus skinął głową.

- Cieszę się - dodał Domicjusz, spuszczaając go na dół.

Brutus zachłysnął się powietrzem, kiedy lina opadła, i po pierwszym szarpnięciu ruszył powoli na dół. W połowie drogi, tam gdzie pod nim nie było niczego poza

otchłanią ciemności, lina zawirowała niespodzianie, objając go o mur. Zamachał bezradnie nogami. W końcu, wyęzając osłabłe mięśnie, zdołał odkręcić się z powrotem i jazda w dół zaczęła się od nowa. Ramię bolało go bardziej, niżby się przyznał, ale zacisnął zęby i nie minęła chwila, a znalazł się w ramionach mężczyzny na dachu poniżej. Ci bez słowa odwią-

Rozdział XXVII

311

zali mu nadgarstki i wręczyli miecz, aby przypiął go sobie do pasa. Tak jak on, nie mieli na sobie zbroi ani nie nosili tarczy. Ich twarze były umazane sadzą i tylko biel zębów i białka oczu zdradzały pozycje ludzi trzymających się dachów jak kęp trawy.

Pośród nich siedział w kucki poważny i milczący potężny niewolnik Kleopatry, Ahmos.

Nim Brutus dał krok od liny, przetoczył mu się po plecach, z głuchym łoskotem,

Domicjusz. Brutus rozciągnął się jak długi.

-Jestem ostatni - usłyszał szept, kiedy świeżo odzyskany przyjaciel wiódł go między ludźmi na frontowe linie.

Dachówki nie mogły nie trzeszczeć pod ciężarem mężczyzny i Rzymianom pozostawała

jedynie nadzieja, że nikt nie śledzi ich poczynań ani nie przygotowuje łuczników, by ci powitali ich na dole ogniem strzał. Pierwszy dach łączył się z drugim, ale trzeci był za daleko, by przeskoczyć dzielącą go od drugiego odległość.

- Potrzebny ktoś, kto by tam skoczył - powiedział Domicjusz.

W świetle księżyca ciemna otchłań wydawała się większa niż powinna. Młody żołnierz

z Czwartego wystąpił do przodu. Odpiął miecz i ledwo kiwnąwszy w stronę

swoich dowódców, wziął dwa kroki rozbiegu i skoczył do przodu. Stukot, z jakim

wylądował, zmroził wszystkich, ale pałac i jego ogrody pozostały gdzieś daleko w tyle, i kiedy nikt się nie pojawił, legionście rzucono linę. Brutus poszedł na pierwszego, ufny, że ramię utrzyma jego ciężar. Dotarł na drugą stronę spocony, ale radosny.

Cztery następne dachy pokonali w ten sam sposób, aż wreszcie dotarli do przerwy za

szerokiej, by przerzucić przez nią linowy most. Pierwszy szereg położył się na brzuchach i popatrzył na dół. Ulica poniżej wydawała się pusta. Przykurczeni mężczyźni zawrócili do reszty i donieśli, że droga jest wolna, po czym zrzucili podskakujące liny na kamienie.

Brutus wolał otrzeć dłonie do żywego mięsa, ześlizgując się, niż znów obciążać ramię ciężarem całego ciała. Ogarnięty złymi przeczuciami, zdał sobie sprawę, że nie będzie mógł wrócić tą samą drogą. Ahmos zsunął się za nim bezszelestnie. Uśmiechnął się,

wzniósł dłoń w stronę Rzymian i odszedł w noc. Brutus życzył mu szczęścia w sprowadzaniu armii Kleopatry. Nawet gdyby udało im się zamknąć port, Juliusz potrzebował przewagi.

312

Imperator

Kohorta pobiegła przez ulice w prawie całkowitej ciszy. By móc się poruszać po pochyłych dachach, dla lepszej przyczepności ludzie Domicjusza owinęli sobie sandały i teraz grube płótna głużyły ich kroki. Przez całą drogę na nabrzeże nie padło pod ich adresem żadne wyzwanie.

Port w Aleksandrii był dobrze oświetlony i ruchliwy. Domicjusz zatrzymał ludzi w ostatnich plamach ciemności, nakazując pełną gotowość. Liczył się z tym, że wcześniej czy później ktoś ich wypatrzy i na wdarcie się na statki, zanim odpowie im armia, będą mieli niewiele czasu.

Ktoś wypatrzył wcześniej; ktoś zaczął krzyczeć, dwaj inni pokazywali na nich palcem.

- A więc stało się. Ruszamy - powiedział Domicjusz, wybiegając w światło.

Statków kupieckich, ładujących i wyładowujących swoje towary, było co najmniej tuzin. Kohorta pięciu setek rzymskich legionistów, nie zważając na przerażone krzyki kupców, wpadła na nabrzeże, rozdzieliła się na cztery grupy i każda grupa wbiegła przez pomosty ładunkowe na najbliższą jednostkę.

Załogi były przerażone nagłym atakiem i trzy poddały się bez wahania. Dwaj żeglarze czwartej

zareagowali bardziej instynktownie niż rozumnie, próbując zadźgać

legionistów, którzy pierwsi wdarli się na pokład. Obu zabito, a ich ciała wrzucono przez burtę do brudnej wody. Reszta nie stawiała oporu i dopóki Rzymianie nie przejęli statków, robiła to, co im kazano.

Po krótkim zamieszaniu postawiono żagle i ściągnięto albo przecięto cumy. Wszystkie cztery statki zaczęły odbijać od nabrzeża, zostawiając za sobą cztery krzyczące załogi.

Brutus zobaczył, jak ten i ów rzuca się biegiem w ciemne ulice, by zaalarmować armię Ptolemeusza. Należało sądzić, że do czasu, kiedy wypełnią nocne zadanie, na nabrzeżu robi się ciasno od żołnierzy. Z drugiej strony Brutus miał nadzieję, że w ten sposób Juliusz zyska chwilę wytchnienia. Nie żałował, że jest z ludźmi Domicjusza, i pierwszy raz od miesiący rozchmurzył się na dobre, kiedy żagle zatrzepotały, a statki kupieckie wzięły kurs w stronę pełnego morza.

- Dwóch na punkty obserwacyjne! - rozkazał i uśmiechnął się

Rozdział XXVII

313

na wspomnienie dni, kiedy sam się na nie wspinał. Teraz nie wyobrażał sobie takiego wyczynu, za to z przyjemnością przypominał sobie podróż przez Grecję, w

towarzystwie Reniusza, kiedy świat stał przed nimi otworem. Tymczasem legionista,

ten, co pierwszy był na dachach, już się wspinał na maszt, choć jeszcze nie

przebrzmiały słowa rozkazu. Brutus pomyślał, że należałoby poznać i zapamiętać jego imię. To wstyd nie rozróżniać swoich ludzi. Za długo był odsuwany od zadań

legionów. Nawet gdyby miał nie przeżyć nocy, nie żałował, że znów dowodzi.

Brakowało mu tego bardziej, niż przypuszczał.

Światła portu nikły w oddali i teraz przez spokojne, czarne wody zatoki prowadził ich księżyc. Falochrony, które chroniły Aleksandrię przed sztormami, przepuszczały

jedynie najlżejszą bryzę i wyglądało na to, że wcześniej upłynie noc, niż Rzymianie staną między ich ramionami. Coś takiego nie odpowiadało nastrojowi na pokładach.

Wszyscy, źli i zdjęci niepokojem, odwrócili się, by popatrzeć na wielki ogień latarni na Faros. Ostrzegali okręty na mile, a teraz wyłaczał twarze legionistów i kładł na

pokładach ich długie cienie.

- Straże portowe na widnokręgu! - zawołał człowiek na maszcie.

Brutus widział je wyraźnie, ciemne sylwetki na tle jasnego blasku. Trzy galery, wiosłując zawzięcie, zmieniły kurs, by ich przechwycić. Brutus był ciekaw, jak są obsadzone. Witał je z zadowoleniem, w pełni świadomy, że w przeciwnym razie będzie musiał dopłynąć do brzegu o własnych siłach.

Skaliste cyple, najdalej wysunięte wrota portu, mrugając światełkami, którym nigdy nie pozwalano zagasnąć, robiły się coraz wyraźniejsze. Brutus kazał swoim ludziom prowadzić statek prosto na nie. Widział, że dwie inne jednostki mogą pierwsze dotrzeć do celu. Widział również, że pogoń przyspiesza. Potrząsnął głową, patrząc na podpływające coraz bliżej galery. Juliusz powiedział: topory lub ogień, ale przerąbywanie się przez dolne ładownie trwałoby za długo. Zatem ogień.

- Znajdźcie mi jakąś lampę albo krzemień i krzesiwo! - zawołał do ludzi.

Znaleziono osłoniętą lampę i zapalono ją bezzwłocznie, a Brutus pilnował płomienia, podkreślając knot. Kupieckie statki były zbudowane ze starego drewna i płonąć, mogły przyćmić Faros.

314

Imperator

Dwie ze zdobycznych jednostek już się kołysały pomiędzy cyplami, a ich tymczasowe załogi przywiązywały jedną do drugiej, Brutus to widział i ostatecznie był wdzięczny bogom za nie wydęte żagle i słabą bryzę. Podjęli się delikatnej operacji i każdy silniejszy wiatr mógłby ich zepchnąć na pełne morze.

Rzucono i naciągnięto liny; statek, którym dowodził Brutus, zaskrzypiał i zajęczał, aż - wreszcie zatrzymał się w miejscu i poddał kołysaniu głębokiej fali zza falochronu.

Kiedy wyrzucono za burtę kotwice, straż portowe ich dopadły i gdy już szły burta w burtę z jego jednostką, Brutus zawołał na swoich ludzi, by zwiążali parę luźnych

desek, które dałoby się przerzucić na wrogi pokład, w charakterze pomostu z osęków.

- Podpalić je! - ryknął z nadzieją, że jego głos dotrze do innych statków. Rozlał oliwę z lampy na stertę połamanego drewna i płomienie pobiegły wzdłuż nasmołowanych lin.

Ich pęd był zatrważający. Brutusowi pozostawała nadzieja, że nie działał za szybko.

Kiedy ogień się rozprzestrzenił, usłyszał na galerze gniewne krzyki i wtedy jego statek zadygotał. Byli staranowani. Brutus zaśmiał się w głos na myśl o rozbitym, przeciekającym kadłubie. Straż portowa wykonała za nich zadanie.

Kiedy kupiecki statek zaczął się przechylać, Brutus kazał swoim ludziom dźwignąć nad głowy powiązane deski i spuścić ten niby--pomost na burty taranującej ich galery.

Rzecz nie była solidna, przesuwiała się wraz z ruchem fal i zdawało się, że lada chwila wpadnie do morza. Wiosła galery już się odwracały, z wyraźnym zamiarem

odpłynięcia. Legioniści wiedzieli: teraz albo nigdy, i skoczyli na tamten pokład w ostatniej chwili. Przerażoną załogę zaatakowali w pełnym biegu.

To była rzeź. Galery, tak jak Brutus miał nadzieję, były obsadzone skromnym tuzinem na pokładzie, a skuci łańcuchami niewolnicy pod pokładem nie mogli dołączyć do

walki. W kilka sekund czerwona krew zabarwiła ciemne drewno i legioniści przenieśli się na galere, pozwalając prowizorycznemu pomostowi opaść swobodnie w morze.

Za nimi huczał ogień, zamieniając przechylający się statek w morze płomieni.

Jednostka kupiecka szybko tonęła i Brutus na moment się wystraszył, że zanurzy się za głęboko i wejście do portu

Rozdział XXVII

315

nadal będzie wolne. Przyglądał się dziełu zniszczenia z bijącym sercem, do czasu,

kiedy statek wreszcie znieruchomiał; osiadł na dnie, z jedną trzecią kadłuba sterczącą ponad wodą. Kleopatra miała rację. Port nie był pogłębiany ani oczyszczany od

pokoleń i podczas niskiego przyływu grzęzły w nim statki nawet o płytkim zanurzeniu.

Brutus, uniesiony radością, odwrócił się, by popatrzeć na swoje dzieło. Inne galery zatrzymały się w pół drogi, chcąc uniknąć fatalnego losu pierwszej. Nie wahał się,

widząc płomienie skaczące po wszystkich czterech okrętach. Wysłał ludzi na dół, z

rozkazem, by niewolnicy chwycili za wiosła raz jeszcze, i wyszczerzył zęby, kiedy

galera zawróciła pchana wiatrem. Nie będą musieli pływać.

Podczas gdy statki płonęły, morską bryza ożywiła się i w górę strzeliły gorące iskry. Do czasu, kiedy Brutus wypełnił swoją galerę ostatnimi z kohorty, zrobiło się gorąco jak w kuźni i wielu z tych, którzy czekali na swoją kolej, ucierpiało od oparzeń. Na morzu skwierczał tłusty popiół, ale jeszcze więcej przyłgnęło do olinowania zakotwiczonych statków. Brutus zaśmiał się, widząc, jak zaczynają

polewaniem się morską wodą dla własnego bezpieczeństwa.

Trochę popiołu spadło na wysuszone słońcem dachy zabudowań, skupionych wokół portu. Lizał je powoli i lśnił, i rozszerzał się coraz dalej.

Juliusz przysłuchiwał się nieznacznej zmianie w tonie i brzmieniu rozkazów

Ptolemeusza. Widział posłańców nadbiegających od strony portu i zgadywał, że jego ludzie doprowadzili do ogólnego chaosu. Wykrzywione złością twarze zwróciły się ku pałacowi i on, niewidoczny, uśmiechnął się do nich.

W świetle ich własnych pochodni Juliusz zobaczył Panka przybywającego skądś, gdzie zapewne przesypiał noc, pokazującego na port i wydającego gorączkowe rozkazy.

Setki mężczyzn zaczęło formować szeregi, które ruszyły na wschód. Juliuszowi trafiała się niepowtarzalna okazja. Świt stał tuż za horyzontem.

- Niech ludzie będą gotowi! - krzyknął na dół, do Regulusa i Oktawiana. -

Wychodzimy.

ROZDZIAŁ XXVIII

Vvojownicy Aleksandrii nie nosili ani zbroi, ani hełmów. Metal, odbijający żar egipskiego słońca, prawie wrzał na skórze i pokonanie w marszu jakiegokolwiek odległości stawało się niemożliwe.

Juliusz wybrał do ataku najchłodniejszy moment dnia. Słońce ledwo wstawało nad horyzontem i rzymskie legiony mogły wykorzystać chwilową przewagę. Drzwi do pałacu otwarto szeroko i legionie Dziesiątego i Czwartego, zasłonięci tarczami, z miejsca narzucili

sobie mordercze tempo.

Przetoczyli się jak fala przez ogrody i wyborowi ryknęli gniewem na widok stosów swoich martwych wałachów, już oblepionych muchami. Najlepsze z najszlachetniejszych ras legionowych koni leżały z poczerniałymi językami; serce każdego jeźdźca przepełniło się nienawiścią, a oczy obrzydzeniem.

Centurionowie i ich zastępcy z trudem powstrzymywali swoich ludzi od wybiegania do przodu. Pierwsze linie wyrzuciły włócznie z cichym chrząknięciem, kładąc pokotem Egipcjan próbujących stawić czoło nagłemu zagrożeniu. Potem mur tarcz oparł się o wroga i siejące śmierć szeregi wbiły się w niego, walcząc na wszystkie strony.

Rzymskie zbroje rozstrzygały wiele. Gdziekolwiek by uderzyła armia Ptolemeusza, napotykała na dzwonienie metalu. Weterani używali swoich hełmów do uderzania głową, nagołenników do łamania goleni, mieczy do odcinania rąk i nóg wroga. Byli zamknięci i obleżeni, podczas gdy ludzie Ptolemeusza szydzili i posyłali im swoje pociski. Teraz przyszła pora na zapłatę za każdą zniewagę.

Rozdział XXVIII

317

- Regulusie, rozciągnij linię! - krzyknął Juliusz.

Czwarty, posłuszny rozkazowi, spowolnił pęd na oślep w środek Egipcjan i zaczął atakować na coraz dłuższym odcinku coraz nowymi mieczami. Juliusz spojrział przez ramię na pałac, gdzie wyłaniającym się spoza drzwi jego ludziom wciąż nie było końca. Spojrział przed siebie, tam gdzie jego szeregi oczyszczały drogę. Ruszył wraz z nimi, a kiedy siły Ptolemeusza zaczęły odpowiadać kontruderzeniem, podniósł tarczę przeciw strzałom i nie zwolnił kroku. Jego legion parł do przodu i nie liczyło się nic więcej.

Człowiek idący obok Regulusa upadł pod nogi innym, ze strzałą w udzie. Poderwał się, ale kiedy próbował iść dalej z raną tryskającą krwią, zastępca centuriona chwycił go i pchnął przez linie na tyły. Juliusz to widział. Był pełen podziwu dla obu.

Kiedy słońce weszło legioniści spocili się natychmiast i zaczęli dyszeć jeden przez drugiego. Okolice pałacu pozostały z tyłu, a wąskie uliczki ścieśniały ich szeregi. Mimo to cięli, zabijali i szli po trupach.

Ku zdumieniu Juliusza wraz ze wschodem słońca wyszli z domów tutejsi obywatele.

Tysiące Egipcjan krzyczało i płakało, wypełniając drogi wokół walczących armii. Wielu z nich było pod bronią i Juliusz zaczął rozważać odwrót do pałacu. Jego Dziesiąty i Czwarty wycinały wojowników Ptolemeusza, ale tamci wciąż byli liczniejsi.

Na prawo, od strony nabrzeża, Juliusz usłyszał ostrzegawczy sygnał rogów. Doskoczył do niego jeden z konnych zwiadowców. W zbryzganej krwią twarzy oczy i zęby wydawały się nienaturalnie białe.

- Wróciła kohorta, którą wysłałeś do portu, panie. Juliusz otarł gryzący pot z oczu.

- Żadnego śladu po tych drugich?

- Nie, panie.

Juliusz zaczął się zastanawiać, co się stało z ludźmi Ptolemeusza, którzy mieli zabić rzymską kohortę. Gdyby król wiedział, kim jest ich dowódca, być może skierowałby

tam o wiele więcej żołnierzy.

- Jak uda ci się do nich przedostać, powiedz Brutusowi, by uderzył na skrzydło -

rozkazał Juliusz. - Jeżeli zobaczą Ptolemeusza, mają go zabić.

318

Imperator

Zwiadowca oddał honory i zniknął w tłumie.

Ile czasu minęło, od kiedy wyszli z pałacu i wbili się we wrogą armię? Juliusz nie

mógłby powiedzieć, choć słońce już rozjaśniło horyzont. Krok po kroku jego legiony

szły do przodu i pośród brązowych ciał Egipcjan byli ludzie, których znał i z którymi walczył od lat. Zazgrzytał zębami i ruszył dalej.

Brutus głośno przeklinał swoje słabe ramię, gdy tymczasem jego poczerniała od dymu

kohorta pędziła ulicą. Słyszał odgłosy bitwy i pierwszy raz w swoim życiu nie cieszył się ani nie czuł zwykłego w takich chwilach podniecenia. Pułapka, którą przygotowali w porcie dla Egipcjan,

ujawniła mu jego własną słabość. Ale i tak rzymscy weterani

przełamali siłę wroga, jakby to były ćwiczenia. W ciemnej, wąskiej ulicy, z boku od nabrzeża, napadli na Egipcjan jak wilki na owce i rozszarpali ich na kawałki.

Brutus trzymał swój miecz nieporadnie, czując, jak ciężki gla-dius nadweręza słabe mięśnie. Domicjusz rzucił na niego okiem w chwili, kiedy daleki zgiełk i wrzawa bitewna zamieniły się w bliski widok falujących linii. Zobaczył rozgoryczenie na twarzy Bru-tusa. Rozumiał je.

- Weź to! - krzyknął, rzucając mu sztylet.

Brutus złapał broń lewą dłonią. Nie miał na sobie srebrnej zbroi. Nie zasłaniała go tarcza. Pierwszy cios ledwo zadrapał czyjąś nagą pierś, a jemu samemu wykręcił rękę.

Gdyby nie Cyron, który ciął człowieka przez nadgarstek, już by nie żył... Cyron ocalił mu życie.

Zbliżając się do armii króla, uformowali w poprzek ulicy szereg z sześciu, z Cyronem pośrodku. Ludzie na skrzydle Ptolemeusza odwrócili do nich twarze i cała szóstka

wybrała swoje cele, oznajmiając swój wybór jeden drugiemu głośnym wołaniem.

Uderzyli na egipskich żołnierzy i na ich podniesione tarcze w pełnym biegu. Cyron samym swoim ciężarem powalił wybranego człowieka na plecy, ale krańce linii

nieprzyjaciela trzymały się mocno i atak Rzymian się załamał. To Cyron pokonał

resztę. Wywijał gla-diusem jak żelaznym prętem, a drugą, wolną ręką posługiwał się

jak maczugą. Uderzał dłonią na płask albo krawędzią z jednakowo olbrzymią siłą i

górował nad przeciwnikiem. Brutus parł za nim w ścisku, kłując sztyletem. Gladiusem tylko się zasłaniał, ale i tak

Rozdział XXVIII

319

każdy cios wstrząsał nim do bólu. Nie wiedział, jak długo wytrzyma.

Przydepnął upuszczoną przez kogoś tarczę. Z ukłuciem żalu cisnął o ziemię miecz,

wygrany podczas rzymskich zawodów. Podniósł tarczę i stanął przy prawym boku

Cyrona, aby go ochraniać. Domicjusz, z inną tarczą, stanął przy jego prawym boku.

Tak uformowana rzymska linia bojowa posuwała się dalej w klaustrofobicznym sercu bitwy.

To było coś całkiem odmiennego od rozległej greckiej równiny pod Farsalos. Ludzie wspinali się na bramy i posągi, i stamtąd cięli mieczami tych, którzy na nich napierali.

Strzały krążyły w powietrzu bezładnie. Na tle bitewnego zgiełku Egipcjanie zanosili bogom modlitewne pieśni, w sobie tylko znanym języku, głosami gardłowymi i budzącymi grozę.

Choć nie zdało im się to na wiele. Nie chronieni zbrojami, ginęli łatwo, a powrót

kohorty Domicjusza przeszył dreszczem ich szeregi. Śpiewanie zamieniło się w głuchy jęk strachu, który poniósł się płaczącym echem przez narastające tłumy na ich tyłach.

Brutus zobaczył dwóch wyborowych broniących się dzielnie, dopóki obu nie pokonały pałki i sztylety mieszkańców Aleksandrii.

Gdzieś w pobliżu zadudniła ziemia pod setkami stóp. Brutus jęknął. Widział wokół wystarczająco dużo rzymskich szeregów, by wiedzieć, że Juliusz rzucił do walki wszystkie.

- Nadchodzą posiłki wroga! - krzyknął do Domicjusza.

Na potwierdzenie jego podejrzeń zagrzmiały obce rogi i w tym samym momencie

przyjął na tarczę paraliżujące uderzenie. Krzyknął, przypominając sobie ostatnie

swoje chwile spod Farsalos, i w dzikim szale wbił sztylet w miękkie ciało, a potem w drugie i w następne. Tylko czyjaś śmierć mogła stłumić jego gniew.

- Chłopiec jest tam! - ryknął Domicjusz, wskazując dłonią.

Król błyszczał jak drugie słońce i otoczony dworzanami, dosiadał konia. Jego dwór

przyglądał się bitwie z powściągliwością, która rozwścieczyła Rzymian. Legioniści u boku Brutusa zapomnieli o zmęczeniu. Ruszyli do przodu raz jeszcze, usiłując sięgnąć po tego, który w ich przekonaniu zdradził ich. Chyba nie było człowieka, który by nie zamienił paru słów z królem-

chłopcem podczas miesiąca jego uwięzienia. Zwrócenie

się przeciw nim, przeciw Ce-

320

Imperator

żarowi, po świeżo zawiązanej przyjaźni, wystarczyło, by rzymscy zabójcy ciągnęli do niego jak ćmy do płomienia lampy.

Złota maska Ptolemeusza obserwująca śmierć jego zwolenników szarpnęła się w bok.

Na twarzy Panka, który stał obok niego i wydawał rozkazy, nie było śladu strachu.

Brutus zobaczył, jak posłańcy kłaniają się dworzaninowi i biegną tam, skąd

dochodziło grzmienie rogów. Gdyby się okazało, że posiłki są duże, Brutus wiedział, że żaden z nich może nie przeżyć ranka.

Parli naprzód. W pewnej chwili Cyron schylił się i podniósł z ziemi rzymską włócznię, oblepioną krwią i kurzem. Przyjrząwszy się Ptolemeuszowi, warknął głucho, uniósł ją wysoko i wyrzucił w powietrze. Brutus nie widział, gdzie upadła, ale kiedy szeregi

znów się rozdzieliły, król trwał niewzruszenie na swoim miejscu. Panka u jego boku

nie było i tego, czy jeszcze żyje, Brutus też nie wiedział. Przyjął kolejny cios na ramię trzymające tarczę i zawył z bólu. Tarcza była za ciężka, by podnieść ją i się nią

zasłonić, i Domicjusz uratował go przed ostrzem z brązu po raz trzeci.

Cyron zbierał z ziemi włócznię po włóczni i rzucał nimi raz po raz. Brutus zobaczył, że dworzanie Ptolemeusza zaczynają pierzchać na boki. I kiedy gardła legionistów w

przednich liniach ryknęły zawodem, jego zmęczona kohorta, bez rozkazu i

zapowiedzi, wycięła sobie drogę mieczami do rzymskiego skrzydła, które wyszło z

pałacu w pełnym bojowym wyposażeniu. Świeżo połączone siły zdawały się tryskać

świeżą energią. Czwarty był na dalekim skrzydle, gdzie zatrzymywał posiłki egipskie, ale Dziesiąty mógł swobodnie przeć w stronę króla.

Z tłumu zaczęło padać coraz więcej pocisków. Zakrzepłe krowie łajno było dość

nieszkodliwe, ale kamienie i dachówki stanowiły nieustanne zagrożenie i skutecznie

rozpraszały uwagę legionistów.

Brutus, dysząc z przejęcia, torował sobie drogę do Juliusza przez walczący czworobok Dziesiątego. Mało kto nań spojrzał.

Juliusz zaśmiał się, widząc, jak bardzo jest poobijany.

- Nie powstrzymają nas! - krzyknął ponad hukiem bitwy. - Myślę, że król przegrywa.

- A co z posiłkami? - krzyknął Brutus prosto w ucho Juliusza. W tym momencie obaj poczuli zmianę w napierających liniach.

Rozdział XXVIII

321

Juliusz odwrócił się i zobaczył, że Czwarty jest spychany. Czwarty nie uciekł. Każdy jego legionista został ocalony dzięki Dziesiątemu, po bitwie z Pompejuszem, i teraz by nie ustąpił. Ale sądząc po wybrzuszonych liniach, egipskie posiłki były olbrzymie.

- Dziesiąty! Kohorty jeden na czterech! Dołączyć do Czwartego! Ruszać ze wsparciem!

Jeden na czterech!

Juliusz nie przestawał grzmieć rozkazami, aż kohorty usłyszały go i zaczęły się posuwać. Całe lewe skrzydło były ściśnięte i Juliusz pokręcił głową.

- Gdyby ci egipscy łajdacy nie wyrznęli naszych koni, przynajmniej bym widział z siodła, co się dzieje - powiedział z goryczą. Nagle coś zauważył. - Co ona tu robi?! - wyszeptał zbielełymi ustami.

Brutus szarpnął głową i poszedł za jego wzrokiem. Zza legionów wyszła Kleopatra.

Zręcznie wspięła się na podstawę najbliższego posągu Izidy, stanęła na stopach bogini i popatrzyła na obie armie.

- Zabierzcie ją stamtąd! - krzyknął Juliusz. - Zabierzcie, nim tę kobietę dostrzegą łucznicy!

Kleopatra miała w dłoniach róg i nim Juliusz odgadł jej zamiary, podniosła go do ust i zadęła. Wydobyta z rogu nuta była głęboka i niska; niosła się coraz dalej, aż królowa straciła oddech. Głowy powoli odwróciły się w jej kierunku i Juliusz był przerażony, że za chwilę zostanie strącona z posągu i rozdarta na pół chmurą strzał.

- Zatrzymajcie się! - zawołała. - Zatrzymajcie w imię Kleopatry, waszej królowej.

Wróciłam do was i każę wam odstąpić od walki!

Juliusz zobaczył wyciągające się ręce i usłyszał głosy Rzymian błagające ją, by zeszła.

Zignorowała je. Zawołała raz jeszcze. Jej wołanie sięgnęło linii egipskich żołnierzy i ci doznali wstrząsu. Pokazywali na nią jeden drugiemu, z oczami rozszerzonymi

strachem. Nie wiedzieli o jej powrocie do miasta. Miecze zaczęły wędrować w dół i

Dziesiąty natychmiast rzucił się do przodu, zabijając masowo i na oślep.

- Niech się zatrzymają! Dać w rogi! - warknął rozkazem Juliusz. -Szybko!

Echo zaniósło jęk rzymskich rogów do Kleopatry i na spływające krwią ulice opadła niesamowita cisza.

322

Imperator

-Wróciłam do ciebie, mój ludu. Ci żołnierze to moi sprzymierzeńcy. Zaprzeście zabijania! Zaprzeście natychmiast!

Jej wezwanie, nie zagłuszone szczękiem oręża, wydawało się głośniejsze, a głos silniejszy niż przedtem. Armia Ptolemeusza była najwyraźniej oszołomiona jej

powrotem i Juliuszowi przyszło na myśl, że być może celowo wybrała posąg Izidy, ale może po prostu stał na jej drodze. Juliusz był otoczony przez ciężko dyszących,

zakrwawionych mężczyzn i miał w głowie pustkę.

- Zastanawiam się, co też ona... - zaczął i nie dokończył. Lud Aleksandrii oprzytomniał i rzucił się na kolana.

Juliusz patrzył, nie wierząc własnym oczom. Razem z ludem uklękli żołnierze

Ptolemeusza, jedni i drudzy pochyłili głowy i przycisnęli je do ziemi. Legiony Rzymu stały jak porażone. Czekały na rozkazy Juliusza.

- Dziesiąty i Czwarty, na kolana! - zagrzmiął, powodowany nagłym impulsem.

Jego ludzie popatrzyli po sobie, ale każdy posłuchał rozkazu, choć dłonie zaciskały się na mieczach. Cyron, Regulus i Domicjusz opadli na jedno kolano. Brutus, czując na

sobie oczy Juliusza, poszedł za ich przykładem i tylko sam Juliusz i Oktawian wciąż stali.

- Oszczędź mi tego - powiedział cicho Oktawian.

Juliusz patrzył mu w oczy. Czekał. Oktawian skrzywił się i uklęknął.

Naprzeciw łanu tysięcy pochylonych głów po drugiej stronie pola bitwy w oddali stała nieugięta jedna jedyna grupa. Dworzanie króla trzymali głowy wysoko, przyglądając

się rozwojowi wydarzeń w chorobliwym przerażeniu. Juliusz zobaczył, jak jeden z

nich kopie żołnierza, wyraźnie żądając kontynuowania walki. Mężczyzna wzdrygnął

się, ale nie podniósł. Są jak stado przemalowanych szakali, pomyślał Juliusz, mierząc każdego wzrokiem i rozkoszując się strachem w ich błyszczących twarzach.

- Gdzie jest mój brat, Ptolemeusz? Gdzie jest mój król? - zawołała do nich Kleopatra.

Zeskoczyła lekko ze swojego podwyższenia i ruszyła długim krokiem przez rozplątane

ciała i między klęczącymi ludźmi. Szła dumnie. Mijając Juliusza, pomachała mu.

- Gdzie jest mój brat? - zapytała raz jeszcze.

Rozdział XXVIII

323

Jej głos poraził dworzan jak grom. W miarę jak podchodziła, zdawali się wiednąć i

maleć, tak jakby sama jej obecność była ciężarem nie do udźwignięcia. Rozstąpili się, kiedy weszła pomiędzy nich. Juliusz szedł tuż za nią. Jego wściekły wzrok prowokował

do podniesienia na nią ręki.

Ptolemeusz leżał blady i bez kropli krwi na zakurczonym złotym płaszczu. Jego członki były ułożone z godnością, prawa ręka - wysoko na piersi, w miejscu otwartej rany.

Roztrzaskana złota maska spoczywała w brudzie u jego stóp. Juliusz popatrzył na

chłopięce rysy, na mały miecz u boku i zdjął go żal. Kleopatra tymczasem pochyliła się nad bratem, pocałowała go w usta i usiadła obok, na ziemi. Oczy miała rozszerzone

bólem, ale nie było w nich łez.

Juliusz rozejrzał się za Pankiem. Dworzanie siedział w kurzu ulicy. Oddychał

chrapliwie. Cezar podszedł doń, na nowo rozpalony gniewem, ale oczy, które obróciły się na niego,

były puste, a pierś rozszarpana. Panek umierał. Juliusz nie miał mu nic do powiedzenia.

Od morza powiało silniejszym wiatrem, ale z tłumu nie dochodził żaden dźwięk.

Kleopatra podniosła się na nogi.

- Król nie żyje - powiedziała, a wypowiedane słowa odbiły się echem przez ulice. -

Niech mój lud zanieś mego brata do jego pałacu. Niech mój lud wie, że czyniąc to, położy dłonie na boga.

Kleopatrze głos się załamał. Zawahała się. Juliusz dotknął lekko jej ramienia, ale wydawało się, że nic nie czuje.

-Ja, która jestem Izydą, wróciłam do was. Moja krew została dzisiaj przelana. Śmierć dokonała się nie za przyczyną mężczyzny z dalekiego Rzymu, ale przez zdradę mojego

dworu. Podnieś się, mój ludu, i opłakuj ją. Rozdzieraj na sobie szaty i wcieraj popiół w skórę. Uczcij swojego boga żałobą i łzami.

Drobne ciało Ptolemeusza, spowite w płaszcz królewski, podniesiono ponad głowy.

Kleopatra długo nie mogła oderwać oczu od ciała brata. W końcu odwróciła się twarzą do dworzan.

- Czy nie było waszym obowiązkiem pilnować swojego króla? - wysyczała, podnosząc dłoń do najbliższego gardła. Widać było, że człowiek stara się nie drgnąć pod dotykiem palców, które dziwnie obscenicznym, pieszczotliwym gestem przesunęły się po jego szyi i szczęce.

324

Imperator

- Cezarze, zobowiązuję cię do ukarania tych ludzi. Będą służyć mojemu bratu w jego grobie.

Dworzanie, oniemiała ze strachu i niedoli, wreszcie padli na twarz. Juliusz dał znak Domicjuszowi, by przynieść sznury. Kiedy ich wiązano, przez powietrze zaczęły płynąć cienkie smugi dymu. Kleopatra podrzuciła głowę, łowiąc nozdrzami zapach gorącego,

dusznego powietrza. Ruszyła na Juliusza z nagłą furią.

- Co zrobiłeś mojemu miastu?! Odpowiedział jej Brutus.

- Dobrze wiesz, że spaliliśmy okręty w porcie. Możliwe, że płomienie przeniosły się na portowe zabudowania.

- A wy pozwoliliście im płonąć, czy tak? - warknęła, odwracając się do niego.

Brutus popatrzył na nią chłodno. Wzruszył ramionami.

- My robiliśmy swoje. Odpowiadaliśmy na atak. Kleopatra zaniemówiła. Zwróciła lodowate oczy na Juliusza.

- Twoi ludzie muszą powstrzymać pożar, zanim obejmie miasto.

Juliusz zmarszczył czoło. Nie podobał mu się jej ton. Kleopatra zdawała się wyczuwać narastającą w nim irytację.

- Proszę, Juliuszu - powiedziała uprzejmie.

Juliusz skinął głową i dał znak swoim wozom, by wydali odpowiednie rozkazy.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział, zaniepokojony błyskawicznymi zmianami nastroju królowej. Straciła brata i odzyskała tron, pomyślał. W taki dzień wiele można jej wybaczyć.

Kleopatra stała w miejscu. Czekwała, aż strażę królewskie przyniosą ocienione podwyższenie. Juliusz widział, jak dumne były ich twarze, kiedy na własnych ramionach nieśli swoją królową do jej pałacu.

-Każ kopać doły dla trupów, Oktawianie - rozkazał, śledząc spojrzeniem oddalający się pochód. - Tylko patrzeć, jak słońce je rozłoży. I wolałbym, żeby Czwarty ruszył na płonące nabrzeże. Bez chwili zwłoki.

Kiedy to mówił, wiatr powiał mu nad głową zimnym popiołem. Wciąż oszołomiony ostatnimi wydarzeniami, stał i patrzył, jak srebrzysty pył osiada na pobliskim murze.

Król Ptolemeusz, dziecko,

Rozdział XXVIII

325

które tak niedawno czepiało się jego ramienia, nie żyje. Bitwa wygrana.

Nie wiedział, czy osiągnąłby zwycięstwo bez interwencji królowej. Jego weterani

starzeli się coraz bardziej. Nie wytrzymałoby długiego boju, nie w oślepiającym oczy, podnoszącym się nad horyzontu egipskim słońcu. Możliwe, że niewolnik Kleopatry

sprowadziłby posiłki. Możliwe, że on, Juliusz, wykrwawiłby się w egipski piach.

Nie było jej przy nim, ale jej zapach wyczuwał ponad gorzkim smakiem zmieszanego z dymem powietrza. Poznał ją jako kobietę. Jako królowa wprawiała go w niepokój i fascynowała od chwili, kiedy tłum i żołnierze uklękli w kurzu na jej słowo. Popatrzył jeszcze raz za kierującym się do pałacu pochodem. Ciekawe, jak zareagowałoby obywatele Rzymu, gdyby sprowadził ją do ojczyzny.

- Jesteśmy wolni, Juliuszu - zauważył Oktawian. - Możemy wracać do Rzymu.

Juliusz się uśmiechnął. Nie wyobrażał sobie rozstania z Kleopatą.

- Walczyłem przez więcej lat, niżbym mógł spamiętać - powiedział. - Rzymowi nic się nie stanie, jak poczeka na mnie jedno lato dłużej.

ROZDZIAŁ XXIX

Wielka Biblioteka Aleksandryjska spłonęła o wschodzie słońca. Tysiące zwojów rozgrzało powietrze do czerwoności i żołnierze Rzymu nie mogli się do niej zbliżyć.

Marmurowe kolumny, wzniesione przez Aleksandra, rozpękły się i roztrzaskały pośród milionów straconych myśli i słów. Legioniści Czwartego, walcząc ze słońcem, uformowali łańcuch ratowników aż po nabrzeże. W końcu opadli z sił, a pokryta pęcherzami skóra dłoni i ramion poczerwieniała od krwi i poczerniała od popiołów.

Najbliższe budynki zostały ogołoczone ze wszystkiego, a ich mury i dachy nasiąkły wodą, ale biblioteki nie dało się uratować.

Juliusz stał z Brutusem, obserwując, jak olbrzymi drewniany szkielet dachu, tańcząc w płomieniach, wygina się, a potem opada na pracę pokoleń. Obaj mężczyźni byli

skrajnie wyczerpani. Ich twarze pokrywała gruba warstwa sadzy. Słyszeli

wykrzykiwane rozkazy i dudnienie kroków, kiedy żołnierze biegli zdeptywać języki ognia i - niczym natarczywą melodię - nieustannie poskrzypywanie sznurów na

ramionach nosicielei wody.

- To straszne przyglądać się czemuś takiemu - mruknął Juliusz.

Zdawał się porażony zniszczeniem. Brutus zerknął na niego, ciekaw, kiedy jakiś płomień opadnie mu na ramiona. Okrętom płynącym z Kanopów z katapultami na pokładach zatopione statki wzbronily wejścia do portu, ale irytowała go myśl, że wygrano bitwę, zanim mogłyby wesprzeć oblegających.

- Niektóre z tych zwojów trzymał w dłoniach sam Aleksander -

Rozdział XXIX

327

powiedział Juliusz, pocierając ręką czoło. - Platon, Arystoteles, Sokrates, setki innych.

Uczeni przebywali tysiące mil, by czytać ich dzieła. Mówią, że był to największy zbiór na świecie.

A my go po prostu spaliliśmy, ironicznie dokończył w myślach Brutus. Głośno nie odważyłby się na takie słowa przy Juliuszu.

- Ich praca na pewno przetrwała w innych miejscach - powiedział, żeby sprawić mu przyjemność.

Juliusz zaprzeczył.

- Nic podobnego. A jeśli, to niekompletna.

Brutus zerknął spod oka, niezdolny połapać się w nastroju tego człowieka. On sam

czuł respekt wobec rozmiaru zniszczeń. Był nimi zafascynowany i spędził część ranka, po prostu przyglądając się szalejącemu ogniovi. Nie dbał o przerażone twarze

Aleksan-dryjczyków.

- Tu się już nic nie da zrobić - mruknął.

Juliusz skrzywił się, ale przytaknął i ruszył przez milczący tłum, który przyszedł

popatrzeć na spustoszenie. Trwali w niesamowitej ciszy i dziwnie było człowiekowi

odpowiedzialnemu za to, co się stało, poruszać się między nimi i nie być

rozpoznanym.

Grób Aleksandra był wzniesioną w sercu miasta świątynią białych kamiennych kolumn poświęconą człowiekowi uznawanemu za boga. Widok srogich rzymskich legionistów kazał obywatelom powstrzymać ciekawość, gdy tylko Juliusz stanął w progu. Serce biło mu jak oszalałe, kiedy podniósł wzrok na trumnę ze szkła i złota.

Stała na podwyższeniu, ponad głowami, i z każdej strony prowadziły do niej białe stopnie, by czciciele boga mogli wspiąć się po nich i go zobaczyć. Juliusz nawet z dołu widział spoczywającą w trumnie postać. Poczul się nieswojo. Jako chłopiec widział ten grób oczami greckiego nauczyciela. W Hiszpanii pocałował Serwilię u stóp posągu

Aleksandra. Wysłuchał opowieści o każdej jego bitwie i wielbił go nieustannie.

Wspiął się po stopniach do kamiennego postumentu, oddychając płytko unoszącym się w powietrzu kadzidłem. Tu, w miejscu chłodnej śmierci, której już nie groził rozkład jak ciałom na ulicach, jego zapach wydawał się stosowny. Juliusz położył dłonie na szkłe, podziwiając talent dawnego rzemieślnika, spod którego dło-

Rozdział XXIX

327

powiedział Juliusz, pocierając ręką czoło. - Platon, Arystoteles, Sokrates, setki innych.

Uczeni przebywali tysiące mil, by czytać ich dzieła. Mówią, że był to największy zbiór na świecie.

A my go po prostu spaliliśmy, ironicznie dokończył w myślach Brutus. Głośno nie odważyłby się na takie słowa przy Juliuszu.

- Ich praca na pewno przetrwała w innych miejscach - powiedział, żeby sprawić mu przyjemność.

Juliusz zaprzeczył.

- Nic podobnego. A jeśli, to niekompletna.

Brutus zerknął spod oka, niezdolny połapać się w nastroju tego człowieka. On sam

czuł respekt wobec rozmiaru zniszczeń. Był nimi zafascynowany i spędził część ranka, po prostu przyglądając się szalejącemu ognioowi. Nie dbał o przerażone twarze

Aleksan-dryjczyków.

- Tu się już nic nie da zrobić - mruknął.

Juliusz skrzywił się, ale przytaknął i ruszył przez milczący tłum, który przyszedł popatrzeć na spustoszenie. Trwali w niesamowitej ciszy i dziwnie było człowiekowi odpowiedzialnemu za to, co się stało, poruszać się między nimi i nie być rozpoznany.

Grób Aleksandra był wzniesioną w sercu miasta świątynią białych kamiennych kolumn poświęconą człowiekowi uznawanemu za boga. Widok srogich rzymskich legionistów kazał obywatelom powstrzymać ciekawość, gdy tylko Juliusz stanął w progu. Serce biło mu jak oszalałe, kiedy podniósł wzrok na trumnę ze szkła i złota.

Stała na podwyższeniu, ponad głowami, i z każdej strony prowadziły do niej białe stopnie, by czciciele boga mogli wspiąć się po nich i go zobaczyć. Juliusz nawet z dołu widział spoczywającą w trumnie postać. Poczł się nieswojo. Jako chłopiec widział ten grób oczami greckiego nauczyciela. W Hiszpanii pocałował Serwi-lię u stóp posągu

Aleksandra. Wysłuchał opowieści o każdej jego bitwie i wielbił go nieustannie.

Wspiął się po stopniach do kamiennego postumentu, oddychając płytko unoszącym się w powietrzu kadzidłem. Tu, w miejscu chłodnej śmierci, której już nie groził rozkład jak ciałom na ulicach, jego zapach wydawał się stosowny. Juliusz położył dłonie na szkłe, podziwiając talent dawnego rzemieślnika, spod którego dło-

328

Imperator

ni wyszły szklane płyty i delikatna, opinająca je sieć listewek z brązu. Kiedy już był gotów wewnątrz, spojrział w dół i wstrzymał oddech.

Ciało i zbroja Aleksandra były obłożone listkami złota i skąpane w blasku słońca,

spływającym prosto z egipskiego nieba. Słońce rozjaśniało wszystko wokół i tylko cień Juliusza pozostał ciemny. Juliusz, pełen respektu, podziwiał wspaniałość tego miejsca.

- Odbijam się w tobie, Aleksandrze - wyszeptał, chłonąc każdy szczegół i każdą chwilę, by zapamiętać jedno i drugie na zawsze. Oczy zwycięskiego wodza dawno się zapadły i po nosie została tylko dziura, ale Juliusz mógł zobaczyć kości i złote skamieniałe ciało.

Mógł się domyślać, jak legendarny Grek wyglądał za życia. To nie była stara twarz.

Na początku myślał, że niesłusznie traktuje się Aleksandra jak jednego z bogów

Egiptu. Potem, w jego świątynnym grobie, wydało mu się to odpowiednim

zaszczytem. Juliusz rozejrzał się, czy nikt go nie podgląda, ale wejścia były zastawione potężnymi plecami jego żołnierzy. Był sam.

- Ciekaw jestem, co byś mi powiedział - szepnął po grecku. - Ciekaw jestem, czy akceptujesz zuchwałego Rzymianina w swoim mieście.

Pomyślał o dzieciach Aleksandra i o tym, że żadne nie doczekało wieku dojrzałego.

Pierworodny greckiego króla został uduszony, kiedy miał czternaście lat. Juliusz

potrząsnął głową, zaglądając w tajemnice śmierci. W takim miejscu nie mógł się nie

zastanowić nad własną. Czy sto lat później jakiś inny mężczyzna stanie nad jego

doczesnymi szczątkami? Czy nie lepiej obrócić się w proch? Bez synów wszystko, co

osiągnął, wymknie mu się z rąk raz na zawsze. Z jego córką senat nie będzie się liczył, a jej synowi, podobnie jak synowi Aleksandra, nie pozwolą przeżyć. Juliusz

zmarszczył gniewnie czoło. Nazwał Oktawiana swoim spadkobiercą, ale nie był

pewien, czy młody człowiek jest na tyle zręczny, by żeglować po mętnych wodach

rzymskiej polityki. Prawdę mówiąc, nie mógł uwierzyć, by ktokolwiek inny miał dar

budowania na jego osiągnięciach. Doszedł tak daleko, ale nie doprowadził rzeczy do

końca i nie doprowadzi, dopóki nie da początku męskiej linii swojego rodu.

Rozdział XXIX

Gdzieś w oddali Aleksandria tętniła życiem. W ciszy świątyni Gajusz Juliusz Cezar

ugiął się pod ciężarem własnych lat.

Zwłoki Ptolemeusza uroczystie złożono w sali wyłożonej złotem. Od chwili, kiedy król Egiptu wkroczył na ścieżkę śmierci, towarzyszyły mu niezliczone wizerunki Horusa i

Ozyrysa. Jego wystygłe ciało zostało umyte i oczyszczone. Otwarto mu lewy bok i

usunięto narządy jak zwykłemu śmiertelnikowi. W tym wypadku królewskość nie

miała nic do rzeczy. Po zakończeniu obowiązujących rytuałów Ptolemeusz miał zająć

należne mu miejsce w panteonie bogów, jak równy równym.

Kiedy Juliusza przyprowadzono, by zobaczyć króla-chłopca, w sali było gorąco i

duszno. Znad rozgrzanych do czerwoności ogromnych żelaznych kociołków podnosiły

się leniwie spirale słodka-wego dymu. Ciało Ptolemeusza wypełniono natronem, by je

wysuszyć, i intensywna gorzka woń mieszała się z zapachem kadzideł. Wszystko

razem przyprawiało Juliusza o zawrót głowy. Grób Aleksandra - w porównaniu z taką

wystawnością - był zimny, ale bardziej odpowiedni dla istoty śmierci.

Kleopatra klęczała przy zwłokach brata, pogrążona w modłach. Juliusz stał. Wiedział, że nie potrafi się zmusić do czczenia wroga, który spowodował śmierć kilku spośród

najbardziej oddanych mu ludzi. Oczy chłopca były zaszyte, skóra błyszczała, natarta lepкими olejkami. Na widok czterech naczyń, ustawionych wokół zmarłego, Juliusz

mimo woli zasłonił dłonią usta. Wiedział, co zawierają. Nie rozumiał całego procesu preparowania ciała, nie rozumiał rytuału śmierci ani rozmodlenia Kleopatry. Jeszcze niedawno brat pozbawił ją korony, a jego armia zagrażała jej życiu, mimo to teraz

oddawała mu cześć i nie wymawiała się od uczestniczenia w obrzędach, które miały

trwać prawie dwa miesiące. Potem król Egiptu miał być złożony do grobu.

Kleopatra, jednostajnie zawodząc, modliła się w języku swoich ludzi. Oczy miała jasne i spokojne. Juliusz nie widział, by zapłakała od dnia, kiedy Ptolemeusz umarł. Wciąż nie potrafił zrozumieć tej kobiety. Jej armia powróciła z pogranicza z Syrią, by zająć swoje pozycje wokół pałacu królewskiego i już pierwszego dnia doszło do incydentów

między Rzymianami a wojownikami, którzy prze-

Imperator

szli ciężką szkołę życia na pustyni. Juliusz musiał kazać wychłostać trzech swoich ludzi za wszczęcie, po pijanemu, bijatyki w mieście, która skutkowałą dwoma zabitymi. Dwaj inni czekali na odbycie kary za grę fałszywymi kośćmi z żołnierzami Kleopatry, co tych ostatnich uwolniło od ciężaru kilku sztuk broni i sporej ilości srebra.

Irytowało go czekanie, podczas gdy obrzędy niespiesznie odprawiano. Juliusz uważał, że chłopiec powinien szybko znaleźć się w ziemi. Wiedział, co może zrobić żar lata, nawet z królewskim ciałem. Zamiast tego dni pełzły z senną powolnością, a on

niecierpliwił się coraz bardziej, tak samo jak jego ludzie.

Oktawian postawił sprawę otwarcie: chce wrócić do Rzymu i po nagrody, na które wszyscy sobie zapracowali. Juliusz czuł również, że miasto go przyzywa, poprzez morza i lądy. Pragnął przejechać pod sklepieniem tamtych bram i stanąć na tamtym forum raz jeszcze. Spełniło się każde jego chłopięce marzenie. Jego wrogowie zamienili się w pył i proch. Mimo to wciąż czekał.

Patrzył, jak Kleopatra, rozpoczynając jakiś nowy obrzęd, rozpala gliniane naczynia z kadzidłem. W Aleksandrii śmierć splatała się z życiem. Ludzie zdawali się

przygotowywać na nią od urodzenia i nic nie było w stanie zachwiać ich wiarą w przyszłą egzystencję. To był fatalizm posunięty do najdalszych granic. Juliusz nie mógł być jego wyznawcą.

Kleopatra wstała i skłoniła głowę przed zmalłym, skurczonym ciałem Ptolemeusza.

Cofnęła się dwa kroki, uklękła raz jeszcze i w końcu podniosła się na dobre.

-Jesteś cierpliwym człowiekiem, Juliuszu. Przypuszczam, że twój lud szybciej radzi sobie z takimi sprawami.

-Tutaj czuje się dostojeństwo śmierci - odpowiedział, starając się dobierać właściwe słowa.

Podniosła brwi, nagle rozbawiona.

- Cierpliwy i taktowny, prawda? Przejdziesz się ze mną przez ogrody? Ten dym zanedo odurza, muszę chwilę odetchnąć.

Widok zwłok króla-chłopca nie należał do najprzyjemniejszych i Juliusz przystał na jej propozycję z ulgą. Wyszli na słońce. Kleopatra zdawała się nie zauważać, jak niewolnicy padają przed nią na twarz, nie śmiejąc spojrzeć na królową, która oplakuje swojego brata.

Rozdział XXIX

331

Ciepłe powietrze i ożywczy zapach ogrodów pomogły Juliuszowi przyjść do siebie.

Poczuł się tak, jakby mu zdjęto z ramion jakiś ciężar, ale na wspomnienie niedawnego biegu przez te same ścieżki, pod tymi samymi drzewami, szybko się zachmurzył. Wy-budzenie ze snu i porwanie z łóżka egipskiego króla jeszcze tak niedawno wydawało

mu się śmieszną przygodą. Wtedy nie myślał o konsekwencjach. Teraz skutki nocnej wyprawy okazały się tragiczne. Egipski król leżał w grobie królewskim, a aleksandryjskie nabrzeże pokrywały grube warstwy popiołów.

- Twoi ludzie wiele mi o tobie opowiadali - powiedziała Kleopatra.

Juliusz obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

- Błogosławią ci bogowie, jeżeli przeżyłeś tamte wszystkie bitwy. Nie odpowiedział.

Zatrzymał się na ścieżce wysypanej szklistym

kamieniem, by dotknąć czerwonego kwiatu, wychylającego się spośród zielonych liści.

- Mówią, że jesteś bogiem wojny. Wiedziałaś o tym?

-Tak mówią - odpowiedział niechętnie. - Przechwalają się na mój rachunek.

- Rozumiem. To nie ty pokonałeś miliony wojowników w Galii -stwierdziła obojętnym tonem, pieszcząc płatki tego samego kwiatu.

-Ja, choć straciłem na to dziesięć lat życia.

Kleopatra uszczknęła kwiat z łodyżki i zaciągnęła się jego zapachem. Juliusz raz jeszcze zadał sobie pytanie, jak zareagowałby Rzym, gdyby ją tam sprowadził.

Obywatele prawdopodobnie by się nią zachwycili, ale senat odrzuciłby jej żądanie, by uznano jej boskość. Rzym miał wystarczająco dużo bogów. Nie ośmieliliby się

powiedzieć słowa przeciw zamorskiej nałożnicy, ale gdyby chciał ją wziąć za żonę, wielkie rody nobilów wpadłyby w szal. W dodatku nie był pewien, czy w ogóle by chciała z nim pojechać.

- Przebaczyłeś swojemu wodzowi, Brutusowi, kiedy cię zdradził - powiedziała, idąc

dalej. - To dziwny czyn, jak na władcę. A tymczasem oni wciąż cię szanują. Więcej, oni cię czczą, wiedziałeś o tym? Pójdą za tobą wszędzie, i nie dla twego urodzenia, ale z powodu tego, kim jesteś.

Juliusz postukał za plecami dłonią o dłoń, nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

Rozdział XXIX

331

Ciepłe powietrze i ożywczy zapach ogrodów pomogły Juliuszowi przyjść do siebie.

Poczuł się tak, jakby mu zdjęto z ramion jakiś ciężar, ale na wspomnienie niedawnego biegu przez te same ścieżki, pod tymi samymi drzewami, szybko się zachmurzył. Wy-budzenie ze snu i porwanie z łóżka egipskiego króla jeszcze tak niedawno wydawało

mu się śmieszną przygodą. Wtedy nie myślał o konsekwencjach. Teraz skutki nocnej

wyprawy okazały się tragiczne. Egipski król leżał w grobie królewskim, a

aleksandryjskie nabrzeże pokrywały grube warstwy popiołów.

-Twoi ludzie wiele mi o tobie opowiadali - powiedziała Kleopatra.

Juliusz obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

- Błogosławią ci bogowie, jeżeli przeżyłeś tamte wszystkie bitwy. Nie odpowiedział.

Zatrzymał się na ścieżce wysypanej szklistym

kamieniem, by dotknąć czerwonego kwiatu, wychylającego się spośród zielonych

liści.

- Mówią, że jesteś bogiem wojny. Wiedziałeś o tym?

- Tak mówią - odpowiedział niechętnie. - Przechwalają się na mój rachunek.

- Rozumiem. To nie ty pokonałeś miliony wojowników w Galii - stwierdziła obojętnym tonem, pieszcząc płatki tego samego kwiatu.

-Ja, choć straciłem na to dziesięć lat życia.

Kleopatra uszczknęła kwiat z łodyżki i zaciągnęła się jego zapachem. Juliusz raz jeszcze zadał sobie pytanie, jak zareagowałby Rzym, gdyby ją tam sprowadził.

Obywatele prawdopodobnie by się nią zachwycili, ale senat odrzuciłby jej żądanie, by uznano jej boskość. Rzym miał wystarczająco dużo bogów. Nie ośmieliliby się

powiedzieć słowa przeciw zamorskiej nałożnicy, ale gdyby chciał ją wziąć za żonę, wielkie rody nobilów wpadłyby w szal. W dodatku nie był pewien, czy w ogóle by chciała z nim pojechać.

- Przebaczyłeś swojemu wodzowi, Brutusowi, kiedy cię zdradził - powiedziała, idąc

dalej. - To dziwny czyn, jak na władcę. A tymczasem oni wciąż cię szanują. Więcej, oni cię czczą, wiedziałeś o tym? Pójdą za tobą wszędzie, i nie dla twego urodzenia, ale z powodu tego, kim jesteś.

Juliusz postukał za plecami dłonią o dłoń, nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

332

Imperator

- Nie wiem, z kim rozmawiałaś, ale ten człowiek popuścił wodze własnemu językowi.

Zaśmiała się. Rzuciła kwiat na ścieżkę za nimi.

-Jesteś dziwnym człowiekiem, Juliuszu. Widziałam ciebie z nimi, pamiętasz?

Potrafisz być tak wyniosły jak król, tak wyniosły jak ja sama. Pasujemy do siebie,

choć myślę, że nie lubisz powolnego rytmu tutejszej egzystencji. Mój kraj widział

pięć tysięcy lat życia i śmierci i zdążyliśmy się już zestarzeć pod tutejszym słońcem; twój lud jest młody w porównaniu z nami. Was rozsadza energia młodości i nie

myślicie o niczym innym, jak tylko pędzić przez lądy i kraje, jak letnia nawałnica.

Wasz pęd, w porównaniu z moją senną Aleksandrią, to straszna rzecz, ale mnie się podoba.

Odwróciła się twarzą do niego. Jej bliskość była odurzająca. Nie namyślając się, objął ramieniem smukłą talię.

- Moi doradcy ostrzegają mnie każdego dnia, że jesteś zbyt niebezpieczny, by pozostawać w Egipcie - powiedziała. - Oni widzą w twoich ludziach żądzę i siłę, i nic poza tym. Przypominają mi, że spaliłeś moją piękną bibliotekę, a twoi żołnierze śmieją się i grają w kości pośród jej popiołów.

- Żołnierze to żołnierze - zachnął się Juliusz. - Nie możesz oczekiwać...

Jej śmiech go uciszył i na policzki i szyję wypełził mu krwisty rumieniec.

-Taki jesteś szybki w bronienu ich! - Przysunęła się i pocałowała go w podbródek, i położyła głowę na jego piersi. - Moi doradcy nie rządzą tutaj - powiedziała. - Zamilkli na wieść, że zwracasz nam Cypr. To nie był akt jakiegoś najeźdźcy. Tym aktem

przysporzyłeś sobie życzliwości mojego ludu. Widzą to jako znak, że odżywa nasza dawna wspaniałość. Obserwują nas i czekają, czego dokonamy razem.

Juliusz nie chciał zepsuć nastroju, musiał jednak przemówić.

- Przyjdzie czas, kiedy będę musiał wrócić do mojego miasta. Doczekam końca pogrzebu twojego brata, ale muszę stąd odpłynąć.

Uniosła głowę i odsunęła się od niego.

- Czy tego właśnie chcesz? - Głos Kleopatry nie zdradzał jej myśli.

Rozdział XXIX

333

Juliusz potrząsnął głową.

- Nie. Chcę tutaj zostać i zapomnieć o latach bitew. Chcę mieć ciebie u swego boku.

Napięcie, które wyczuwał w niej chwilę wcześniej, nagle zniknęło bez śladu.

Przyciągnęła jego głowę do pachnących ust.

Kiedy usta obojga się rozłączyły, jej twarz płonęła. Jemu oczy pojaśniały.

- Niedługo będę wolna od obowiązków. Jak zostaniesz, pokażę ci wielki Nil.

Najpiękniejsze niewolnice Egiptu będą ci wkładały do ust winogrona i owoce. Muzycy będą grali dla nas każdego wieczoru, kiedy będziemy mknęli po wodach. Będę twoją każdej nocy, każdej godziny. Zostaniesz dla czegoś takiego?

- Nie potrzebuję najpiękniejszych niewolnic Egiptu - odpowiedział. - A od waszej muzyki bolą mnie uszy. Ale jeżeli będziesz przy mnie i tylko dla mnie, zostawię Rzym, niech jeszcze przez chwilę radzi sobie sam. W końcu przeżył beze mnie tyle lat.

Taka była prawda, wiedział o tym, ale ta prawda wciąż go zdumiewała. Zawsze marzył o triumfalnym powrocie do miasta, gdzie się urodził, do zaszczytów i nagród, na które zarabiał latami. Ale wystarczyło jedno jej słowo, a wszystko przestało się liczyć.

Możliwe, że przez krótką chwilę uwolniłby się od trosk i zmartwień, które wydawały się istotą jego życia. Możliwe, że mógłby rzucić wszystko i upajać się słońcem w towarzystwie pięknej porywającej kobiety, która była królową Egiptu.

- Jestem dla ciebie za stary - powiedział półgłosem. Pragnął, by temu zaprzeczyła.

Kleopatra roześmiała się i pocałowała go raz jeszcze.

- Udowodniłeś mi, że nie jesteś! - Położyła mu dłoń na udzie. Juliusz czuł żar jej dłoni na gołej skórze i jak zawsze, pobudziło go to bezlitośnie. - Gdybyśmy mieli syna -

ciągnęła - odziedziczyłby po nas Egipt i Rzym, jedno i drugie. Byłby drugim

Aleksandrem.

Juliusz spojrział w dal. Głowę miał pełną marzeń.

- Oddałbym wszystko, żeby tego dożyć. Nie mam innych synów - powiedział z uśmiechem.

Jej dłoń poruszyła się lekko na jego udzie. Juliusz wstrzymał oddech.

- Zatem módl się do swoich bogów, by dziecko, które noszę,

Imperator

było chłopcem - powiedziała poważnie. Nie dała mu się objąć. -Kiedy żałoba się skończy, odsłonię przed tobą wszystkie tajemnice Egiptu - zawołała przez ramię, odchodząc.

Juliusz zaniemówił. Nim pojął sens jej słów, Kleopatra znikła w drzwiach pałacu.

Od zgiełku aleksandryjskich uroczystości Rzymianom dzwoniło w uszach. Bębenki i rogi dudniły i zawodziły na każdej ulicy, a głosy ludzi wznosiły się w niebo jednym wielkim krzykiem radości; Ptolemeusza oddawano w ręce bogów. Juliusz zadrżał na wspomnienie ostatniego rytuału, któremu się przyglądał.

Ciało króla-chłopca było suche jak wysuszona skóra, kiedy zawodzący swoje śpiewy kapłani przyszedli po niego po raz ostatni. Kleopatra nie nalegała na obecność Juliusza.

Zjawił się tam z własnej woli. Wiedział, że może nie mieć drugiej okazji do podejrzenia tajemnic egipskiej śmierci.

Spomiędzy otaczających Ptolemeusza kapłanów wystąpił jeden i dłutem, wykutym z meteorytu, przesunął po zamkniętych ustach, aby je otworzyć. Bez tłumacza, którego przysłała Kleopatra, Juliusz pogubiłby się w symbolach i przeraził profanacją ciała.

Świszczący szept mężczyzny, prosto w ucho zmarłego, jeszcze długo miał przyprawiać go o dreszcze.

- Ozyrysie królu, obudź się! - powiedział kapłan. - Rozsunąłem ci usta żelazem zesłanym przez bogów. Żyj na nowo, odmładzany dzień po dniu, i niech bogowie ochraniają cię jak jednego spośród siebie.

Dym z kadzidła zawirował wokół delikatnej postaci i kiedy dopełniono ostatniego

rytuału, kapłani wyszli na zewnątrz, by przekazać wieści miastu. Grób opieczętowano brązem, złotem i miedzią.

Wtedy zabrzmiały tysiące rogów. Hałas narastał, a każda lampa i każdy żelazny kociołek płonął światłem, sprawiając, że Aleksandria rozbłysła jak drugie niebiosy. Bogowie zobaczą jasność i będą wiedzieć, że jeden z nich jest gotów na przyjście. Juliusz obserwował święto śmierci z wysokich okien pałacu królewskiego z Brutusem u boku. Oktawian i inni dowódcy ruszyli w miasto, by się upić i utopić żale w ramionach kobiet. W noc śmierci króla nie było rzeczy niedozwolonych ani żadnych zakazów

Rozdział XXIX

335

i Juliusz miał nadzieję, że jego ludzie przeżyją i żałobę, i rozpustę, nie wywołując zamieszek. Prawdopodobnie nadzieja była próżna, ale choć raz to nie on będzie

odpowiedzialny za ewentualne zło. Barka Kleopatry kołysała się na falach portu, czekając, by go zabrać i ruszyć w górę Nilu. Muszą przeżyć bez niego, nim wróci.

Wiedza, którą podzieliła się z nim Kleopatra, przesłoniła wszystko inne.

Rozmyślania przerwał mu Brutus, wpatrzony w miasto błyszczące jak za dnia.

Wyczuwał dziwne podniecenie Juliusza, choć nie zgadywał jego przyczyny.

- Wiesz, kiedy wrócisz?

- Przed końcem roku. Legiony mają swoje kwatery. Ludzie zasłużyli na odpoczynek.

Wysłałem listy do Marka Antoniusza. Mniej więcej za miesiąc powinien nadejść żołd.

Pozwól im zamieszkać w tutejszych domach, Brutusie. Pozwól im utyć i niech odeśpią wszystkie nieprzespane noce.

- Mówisz tak, jakbyś ich nie znał - odparł Brutus. - Już musieliśmy ukarać dwóch następnych za ograbienie świątyń. Jestem pewien, że nie minie tydzień, a będę musiał wysłać ich na pustynię. W przeciwnym razie wszystko, co da się ruszyć z miejsca i dźwignąć, zniknie z Aleksandrii. Po naszym powrocie, to pewne, Rzym zaleją tutejsze wyroby.

Juliusz zachichotał. Brutus się uśmiechnął. Wydawało się, że najmroczniejsze chwile przeszłości zostały między nimi zapomniane. Brutus odzyskał siły. Każdego dnia, nim słońce wypłynęło zza horyzontu, odbywał z Domicjuszem godzinną porcję ćwiczeń.

Jego miecz nie był tak szybki jak podczas wygranych - dawno temu - zawodów, ale potrafił utrzymać go w ręku. Nie powiedział Juliuszowi o centurionie, który szydził z niego dzień wcześniej. Wyprowadził człowieka na obrzeża miasta i pobił prawie na śmierć.

Choć może Juliusz wie o tym, tak samo jak o wszystkim, co się dzieje w szeregach, pomyślał teraz, patrząc na powoli odzyskiwanego przyjaciela.

- Oktawian się wścieka, że wróciłem do szeregów - mruknął. - I o to, że nie odmówiłeś sobie przyjemności podróżowania po Nilu. Trudno zgadnąć, o co bardziej.

- Oktawian chce, bym spędził swoje ostatnie lata na sennych po-

Rozdział XXIX

335

i Juliusz miał nadzieję, że jego ludzie przeżyją i żałobę, i rozpustę, nie wywołując zamieszek. Prawdopodobnie nadzieja była próżna, ale choć raz to nie on będzie

odpowiedzialny za ewentualne zło. Barka Kleopatry kołysała się na falach portu, czekając, by go zabrać i ruszyć w górę Nilu. Muszą przeżyć bez niego, nim wróci.

Wiedza, którą podzieliła się z nim Kleopatra, przesłoniła wszystko inne.

Rozmyślenia przerwał mu Brutus, 'wpatrzony w miasto błyszczące jak za dnia.

Wyczuwał dziwne podniecenie Juliusza, choć nie zgadywał jego przyczyny.

- Wiesz, kiedy wrócisz?

- Przed końcem roku. Legiony mają swoje kwatery. Ludzie zasłużyli na odpoczynek.

Wysłałem listy do Marka Antoniusza. Mniej więcej za miesiąc powinien nadejść żołąd.

Pozwól im zamieszkać w tutejszych domach, Brutusie. Pozwól im utyc i niech odeśpią wszystkie nieprzespane noce.

- Mówisz tak, jakbyś ich nie znał - odparł Brutus. - Już musieliśmy ukarać dwóch

następnych za grabież świątyń. Jestem pewien, że nie minie tydzień, a będę musiał wysłać ich na pustynię. W przeciwnym razie wszystko, co da się ruszyć z miejsca i dźwignąć, zniknie z Aleksandrii. Po naszym powrocie, to pewne, Rzym zaleją tutejsze wyroby. Juliusz zachichotał. Brutus się uśmiechnął. Wydawało się, że najmroczniejsze chwile przeszłości zostały między nimi zapomniane. Brutus odzyskał siły. Każdego dnia, nim słońce wypłynęło zza horyzontu, odbywał z Domicjuszem godzinną porcję ćwiczeń.

Jego miecz nie był tak szybki jak podczas wygranych - dawno temu - zawodów, ale potrafił utrzymać go w ręku. Nie powiedział Juliuszowi o centurionie, który szydził z niego dzień wcześniej. Wyprowadził człowieka na obrzeża miasta i pobił prawie na śmierć.

Choć może Juliusz wie o tym, tak samo jak o wszystkim, co się dzieje w szeregach, pomyślał teraz, patrząc na powoli odzyskiwanego przyjaciela.

- Oktawian się wścieka, że wróciłem do szeregów - mruknął. - I o to, że nie odmówiłeś sobie przyjemności podróżowania po Nilu. Trudno zgadnąć, o co bardziej.

- Oktawian chce, bym spędził swoje ostatnie lata na sennych po-

336

Imperator

siedzeniach senatu - prychnął Juliusz, zły i wyprowadzony z równowagi. -

Przypuszczam, że dla tamtych młodszych wydajemy się starcami, którzy nie nadają się do niczego więcej, jak tylko do poklepywania jeden drugiego po plecach i wspomnienia minionej chwały.

Brutus zerknął na nagle spiętą twarz swojego wodza, spalonego słońcem na brąz.

Juliusz odżył i odmłodził przez miesiące pobytu w Egipcie, choć nie z powodu rysującej się w końcu perspektywy pokoju. Obaj doświadczyli gorzkiego smaku wielu lat wojny i niedostatku. Możliwe, że nagrodą był po prostu koniec zmagania. Brutus nie mógł sobie wyobrazić, by Juliusz oddawał się przyjemnościom rzecznych podróży, gdyby Pompejusz wciąż żył czy Sulla zagrażał miastu.

Nie mógł darzyć miłością człowieka, który przebaczył mu pod Farsalos, chociaż kiedy Juliusz powierzył mu dowództwo w Aleksandrii, poczuł krótką, niczym nie zmaconą radość.

Westchnął w duchu. Rzym wydawał się daleki, ale wiedział, że należy myśleć o przyszłości. Miną lata, nim przestanie się wstydzić za przejście na stronę Pompejusza. Juliusz zaufał mu, powierzając władzę nad ludźmi, i takiego zaufania nie powinien zmarnować. Nadszedł czas na odbudowywanie kariery, która chyba tylko zrzędzeniem bogów nie zakończyła się na greckiej równinie. Ostatecznie Rzym wzniesli ludzie obeznani z klęską i niepowodzeniem.

Brutus wpatrywał się w Juliusza. Tęsknił za dawną przyjaźnią. W przeszłości zdarzały się cenne chwile, kiedy myślał, że rozumieją się w sposób niemożliwy do wyrażenia.

Teraz jednak, całkiem zniecka, ogarnęło go uczucie starej zazdrości i prowadzącej do samozniszczenia dumy. Być może, pomyślał, z czasem zelżeją w nim i te uczucia.

- To odwieczna ziemia - powiedział Juliusz, przerywając Brutu-sowi tok myśli. - Może się stać drugim Rzymem, bliźniaczą stolicą imperium. Nie jestem za stary na takie marzenia. Wiem, że przed nami jeszcze wiele zadań, ale teraz chcę na chwilę zapomnieć o wszystkim, a Rzym chcę powitać razem z moją królową.

Brutus pochylił głowę. Szukał odpowiednich słów.

- Zabierzesz ją ze sobą?

Rozdział XXIX

337

- Sądzę, że tak - odrzekł Juliusz i jego twarz nabrała wyrazu rozmarzenia. - Ona wlała w moje stare kości nowe życie. Z nią u boku mógłbym dorównać podbojom

Aleksandra. Słuszne byłoby zrobić jego miasto drugim sercem imperium.

Brutusa przeniknął dreszcz chłodu.

- A więc będziesz królem? Jak Ptolemeusz?

Juliusz odwrócił się ku niemu. Wydawało się, że przewierca oczami najstarszego

przyjaciela.

-Jak inaczej miałbym się nazywać? Jestem pierwszym obywatelem Rzymu. Rzym jest pierwszym miastem świata.

- A co z moją matką, Serwilią? Pozbędziesz się jej, jak Pompei? Co z Kalpurnią, twoją żoną? Też się z nią rozwiedziesz?

Juliusz się zawahał, ślepy na narastający w Brutusie gniew.

- Za wcześnie planować takie rzeczy. Kiedy wrócę do domu, zrobię, co konieczne.

Kalpurnią nie będzie się opierać, wiem o tym.

- Kalpurnią może nie, ale senat nie ścierpi twoich ambicji. Senat ci się oprze - powiedział cicho Brutus.

Juliusz się zaśmiał.

- Nie ośmieli się, mój przyjacielu. Respektują mnie i będą respektować królową, którą sprowadzę do miasta. Rzym był zbudowany na królach. Królowie odrodzą się z mojej linii.

- Z twojej córki? - spytał Brutus.

Juliusz popatrzył na Aleksandrię. Oczy miał jasne i jego dłonie zaciskały się na kamiennym parapecie jak dłonie właściciela.

- Nie potrafię mieć przed tobą tajemnic, Brutusie. To mnie przerasta. Z mojego syna, który dopiero się urodzi. Królowa jest brzemienna, a jej astrologowie utrzymują, że przyjdzie na świat chłopiec. Syn, wyobraź sobie, i będzie on rządził dwoma imperiami.

-Roześmiał się głośno, zachwycony. To będzie chłopiec, pomyślał. Musi być. Bogowie nie okażą się tak okrutni, by było inaczej.

Brutus odsunął się o krok. Jego spokój roztrzaskał się w nim na drobne. Jaka przyjaźń mogłaby przeżyć tak bezwzględne ambicje? To było oczywiste, że Juliusz nie zaspokoi swojego apetytu Egiptem. Powróci do Rzymu z większymi marzeniami niż

którykolwiek z tych, których zniszczyli. Ani Sulla, ani Katon, ani nawet Pompejusz nie sięgali tak daleko i po tyle.

Imperator

- Republika... - zaczął, wstrząśnięty do głębi.

Juliusz potrząsnął głową.

-...była wspaniałym doświadczeniem. Szanuję ją, ale spełniła swoje zadanie. Kiedy wrócę do Rzymu, raz jeszcze będziemy imperium.

ROZDZIAŁ XXX

Nil niósł ich na południe przez ziemie, które jego wody uczyniły żyznymi. W górze nad przepływającą królewską barką fruwały i pokrzykiwały ptaki. Białe czaple

kroczyły dumnie między bydłem, kiedy wieczorami kierowali się ku płyciznom. W

takiej scenerii Juliusz choć raz wyrzucił z pamięci odwieczne troski. Ataki nie nękały go od miesięcy i czuł się silny. Rzym był daleko, a on mógł się zatracić w Kleopatrze.

Kochali się w nocy i kochali się w dzień. Na początku z trudem godził się ze stałą

obecnością niewolników. Przed ich spojrzeniami osłaniał królową jedynie baldachim z najcieńszego jedwabiu. Ta, którą obsługiwano od urodzenia, śmiała się z jego

zakłopotania i respektu dla własnej osoby, aż któregoś dnia zebrał się na odwagę,

zsunął szaty z ramion i zaczął całować ją po szyi, zamieniając jej śmiech w głębsze rytmy oddechu.

Barcę prowadziło szesnaście wiosł, osiem po każdej stronie. Ich pióra były pokryte srebrem i błyszczały pod wodą jak zatopione monety. Nil przewijał się dzień po dniu przez doliny i rozległe równiny i bywały chwile, kiedy Juliusz wyobrażał sobie, że

podróż będzie trwała wiecznie.

Wieczory wypełniały mu dyskusje z astrologiem królewskim, Sosigenesem, który

przepowiedział narodziny syna. Początkowo uchylał się on od rozmowy z rzymskim

wodzem, ale w miarę jak mijały tygodnie, Juliusz zbliżył się do niego całkiem

naturalnie. Łaknął potwierdzenia wróżb i chociaż najpierw wątpił w ich moc, powoli

nadzieja w nim rosła. Grek miał bystry umysł i Juliusz spę-

Imperator

dził -wiele godzin, dyskutując nad układem planet, porami roku i nawet nad

kalendarem. Sosigenes usiłował nie okazywać pogardy wobec rzymskiego systemu.

Powiedział, że nawet rok egipski nie jest doskonały. Jak wynikało z jego obliczeń,

trzysta sześćdziesiąt pięć dni, po dodaniu co cztery wiosny sześćdziesiątego szóstego, rozwiązałyby problem. Juliusz zażądał dowodu na jego twierdzenie i astrolog nie

uchylił się od rzuconego wyzwania. Pokrył pokład płachtami papirusu i robił na nim

znaki węglem drzewnym tak długo, aż od ruchu planet i gwiazd Juliuszowi zakręciło

się w głowie. W Rzymie najwyższy kapłan ujmował lub dodawał dni na koniec

każdego roku, ale zamiłowanie Sosigenesa do prostoty wprowadziło Juliusza w niemały

zachwyt. Zastanawiał się, jak zareagowałby senat, gdyby po powrocie z Egiptu

spróbował narzucić taki system obywatelom Rzymu.

Kleopatra, w miarę jak jej brzuch okrągłał, gorzej znosiła upał i spędzała popołudnia w zacienionym miejscu. Juliuszowi pozostawało patrzeć na złowieszcze kształty

krokodyli, wygrzewających się w sitowiu i czyhających na nieostrożne ibisy albo

cielęta. Jedynie krótki jak błyskawica moment, kiedy rzucały się na ofiarę, zakłócał

długi sen Nilu. Wiosła podnosiły się i opadały. Zastygały w bezruchu tylko wtedy, gdy wiatr wypełniał purpurowe żagle nad ich głowami. Kiedy słońce stawało się nie do

zniesienia, Juliusz przysiadł przy Sosigenesie i kazał opowiadać sobie historie, i wsłuchiwał się w nie godzinami. Magia legend sprawiała, że czuł się częścią mijanego krajobrazu, częścią jego przyszłości.

W chłodzie przedświtów niewolnicy Kleopatry wykąпали ją i ubrali. Umalowali oczy

czarnym kohlem. Starannie wydłużyli kącki czarną kreską, wygiętą w górę. Nagi

Juliusz, wsparty na łokciu, przyglądał się codziennemu rytuałowi. Już nie krępowały go młode niewolnice, chociaż odmówił propozycji Kleopatry, by zabawiały go bardziej intymnie. Nie sądził, że są niechętne. Wprost przeciwnie. Niewolnica królowej, kąpiąc go na pokładzie, nie kryła swego zainteresowania jego ciałem i drażniąc się z nim,

więcej wody wylała na swoje pełne piersi niż na niego. Może to był upał, może półnaga obecność

młodych kobiet, ale orzeźwiony pływaniem w zatokach czystej wody,
nacierany wonnymi olejkami przez zręczne dłonie, karmiony jak zwierzę
przeznaczone do rozplódu ciał, że

Rozdział XXX

341

dni na Nilu atakują go swym erotyzmem. Powiódł dłonią po prężnych mięśniach
brzucha. Taki sen na jawie był jak woda dla duszy wysuszonej długim wojowaniem.
Ale patrząc każdego ranka na kolejne wschodzące słońce, wiedział, że wiecznie
odpoczywać nie można. Każda jego myśl kryła pragnienie czynu, silniejsze z godziny
na godzinę. Rzym czekał na niego. Coraz trudniej przychodziło mu ignorować jego
wezwanie.

Popatrzył, jak dziecko, które nosiła, wypycha jej brzuch coraz bardziej. Leżał
oczarowany, aż zakryła ją szata tak cienka, że mógł przez nią zobaczyć zarys jej nóg.

Kiedy podeszła do niego, podniosła brew na igrający na jego twarzy uśmiech.

- Będiesz chodził między ludźmi nagi? - spytała słodko. Juliusz zachichotał.

- Przyglądałem się tobie i myślałem, że za chwilę obudzę się w jakimś namiocie, przy dźwięku
rogów bojowych i ryku dowódców wzywających do ostatniego ataku.

Nie zaśmiała się z jego słów. Zbyt wiele razy słyszała, jak krzyczy przez sen, i budziła się chyba
tylko po to, by zobaczyć twarz wykręconą bólem i złością. Nie pamiętał

swoich snów, albo przynajmniej nie martwił się nimi w ciągu dnia. Przesunęła
wzrokiem po bliznach na jego ciele i pokręciła głową.

- Ubierz się, Cezarze. Zobaczysz coś nowego - powiedziała. Nim zdążył zapytać,
zakryła mu usta dłonią, po czym zostawiła

samego, by go ubrały jej jasnookie niewolnice. Westchnął, wstał i skinął na nie, by przyniosły jego
najlżejszą szatę.

Barka kierowała się do brzegu, do miasteczka, które jak wiele innych, schodziło nad brązowe wody

małym drewnianym pomostem. Juliusz popatrzył na klucz rudych gęsi przelatujących nad ich głowami z głośnym gęganiem. Popatrzył na ścieżkę wymoszczoną świeżo zerwanym sitowiem, prowadzącą wprost od rzeki, na setki ludzi w tęczy kolorowych szat. Wydawało mu się, że każde oko spoczywa na nim. Poczł się nieswojo. Odwrócił wzrok. Tymczasem niewolnicy odwrócili wiosła i barka podpłynęła do pomostu. Podniesiono i opuszczono trap wystarczająco szeroki, by przeszedł po nim szereg legionistów pełną linią.

Kleopatra zesła na ląd; tłum uklęknął w błocie i pochylił głowy. Odezwały się bębenki. Królowa popatrzyła za siebie, na Juliusza.

342

Imperator

Miała te same zimne rysy, które zapanowały nad armią w Aleksandrii. Juliusz zarzucił na rzece zwyczaj noszenia miecza i jego palce zacisnęły się na pustym powietrzu. Poszedł za nią, z głośnym chrzęstem deptanego sitowia. Kiedy dotarł do jej boku, odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

- Chciałam, żebyś to zobaczył - powiedziała.

Jej strażę, w liczbie dziesięciu, zajmując pozycje za nimi, zadudniły po rozchybotanym pokładzie. Przeszła przez tłum z Juliuszem, a on zobaczył, że linia klęczących mężczyzn i kobiet ciągnie się przez całe miasto.

- Skąd wiedzieli, że przybywasz? - mruknął.

-To rocznica dnia, kiedy zostałam królową. Oni o niej pamiętają.

Miasto było czyste i dobrze utrzymane, chociaż kiedy jego mieszkańcy klęczeli w pyłe drogi, sprawiało wrażenie wyludnionego. Kleopatra od czasu do czasu wyciągała dłoń, by dotknąć pochyłonych głów, a Juliusz, idąc za nią, patrzył na lzy wdzięczności.

Ścieżka z sitowia kończyła się u wejścia na maleńki plac, wymieciony do czysta z kurzu. Dziesiątka straży ruszyła przodem, by sprawdzić świątynie z czerwonego

marmuru, które błyszczały w porannym słońcu. Wokół panowała niesamowita,

budząca grozę cisza. Juliuszowi przypomniało się opuszczone miasteczko w

Hiszpanii, dokąd kiedyś wyprawił się z Serwilią i gdzie po raz pierwszy zobaczył posąg Aleksandra. Powtórka z tamtego doświadczenia tutaj, na ziemiach tamtego króla,

wytrąciła go z równowagi.

Juliusz, pozwalając płynąć myślom, zapłakał w duchu nad wszystkim, co przepadło od tamtego czasu i tamtego miejsca. Ostatnich śladów niewinności pozbawiono go w

Galii i Grecji. Może to z tego powodu wylewał łzy nad martwą twarzą Pompejusza.

Przypomniał sobie chłopca, którym był kiedyś, ale ów chłopiec odsunął się za daleko w przeszłość, by pamiętać jego marzenia. Jego ojciec, Mariusz, Tubruk; wszyscy byli cieniami, niczym więcej. Wydarzyło się zbyt wiele tragedii, za dużo wspomnień

odeszło w niepamięć. Wykopał dół na wilki, by złapać Swetoniusza, a potem pozwolił

mu żyć. Gdyby ten egipski ranek dał mu podobną sposobność raz jeszcze, zabiłby

tamtego pryszczatego wyrostka bez namysłu.

Możliwe, że to czas uczynił go twardym albo okrutne wybory,

Rozdział XXX

343

przed którymi stawał podczas każdej kampanii. Zarządzał odwrót, wiedząc, że tym

samym skazuje na śmierć innych lojalnych żołnierzy. Ocalał wielu kosztem niewielu.

Kierował uzdrowiaczy do tych, którzy mieli szansę przeżyć. Ale także wysłał do obozu Pompejusza trzech z gruntu porządnych ludzi, wiedząc, że nie uda im się dostarczyć

jego przesłania i przeżyć. Możliwe, że takie na chłodno podejmowane decyzje z

czasem przesączają się do kości, powodują odrętwienie umysłu i odbierają radość

życia. Nawet słońce Egiptu nie mogło do niego przemówić, chociaż do Kleopatry

mogło. Nagle zwilgotniały mu oczy.

Straże wróciły. Juliusz i Kleopatra ruszyli powoli w mrok, pośród rozchodzącego się pod kopułą dachu, wysoko nad głowami, echa własnych kroków. Najwyraźniej było to

miejsce kultu, choć celu wyprawy Juliusz nie znał. Ściany pokrywały płaskorzeźby wysadzone żółtymi agatami gwiazd, ciemniejsze linie biegły przez kamień jak żyły krwi, a z zakamarków w głębi dobiegało ciche miauczenie. Juliusz, nie wierząc własnym uszom i oczom, zobaczył, jak do Kleopatry biegnie na miękkich łapach co najmniej tuzin kotów.

Mrucząc egipskie pieszczotliwe słowa, królowa wyciągnęła rękę i pozwoliła, by się o nią ocierały. - Czyż nie są piękne? - spytała, klękając między zwierzętami.

Juliusz pokiwał głową. Współczuł nieszczęśliwcowi, który musiał sprzątać marmurową posadzkę. Kleopatra zobaczyła jego minę i jej śmiech wzbił się pod kopułę.

-To są strażnicy świątyni, Juliuszu. Widzisz ich pazury? Znasz złodzieja na tyle odważnego, by rzucił im wyzwanie?

Wstała, a-koty, wyginając grzbiety, mrucząc z zadowolenia i wachlując zadartymi ogonami, ruszyły za nią całym stadem.

W dalekim krańcu świątyni, w niewielkiej niszy, stał posąg. Juliusz zadarł głowę, by mu się przyjrzeć, i z wrażenia zmylił krok. Bryła białego kamienia wznosiła się nad obojgiem tak wysoko, że głowa Kleopatry sięgała zaledwie jej kolan.

Juliusz przenosił wzrok z posągu na żywą kobietę i z powrotem na kamień. W wyniesionych wysoko rysach rozpoznawał rysy królowej. Posąg trzymał w ramionach małe dziecko, chłopca, i patrzył przed siebie z dumą. Taki wyraz twarzy był mu dobrze znany. Kleopatra się uśmiechnęła.

344

Imperator

-To jest Izyda, Cezarze, matka Horusa, którego do siebie tuli.

- Izyda z twoją twarzą - szepnął zdumiony Juliusz.

- Świątynia ma tysiąc lat, wzniesiono ją jeszcze przed Aleksandrem. A przecież ta

bogini żyje we mnie. - Juliusz milczał. Koty ocierały się o jej nogi. - Mój syn będzie bogiem. Twój syn, Juliuszu. Czy teraz to rozumiesz?

Przyszły ojciec boga przyjrzał się dokładniej posagowi. Kobieta wyrzeźbiona w

kamieniu była trochę starsza od Kleopatry, miała inny zarys szczęk i szerzej

rozstawione oczy, a jednak... to było zadziwiające. Kleopatra skinęła głową, rada z jego reakcji.

- Pomodlisz się do niej razem ze mną? - poprosiła. Juliusz ściągnął brwi.

-Jeżeli ona jest w tobie, to jak się możesz do niej modlić?

Kleopatra błysnęła białymi zębami.

-Jesteś bezceremonialny, Rzymianinie. Zresztą, czego mogłam się spodziewać.

Tajemnica jest tajemnicą, rozumiesz? Noszę w sobie jej płomień, więc to jest tak,

jakbym nosiła ją. Kiedy będę podróżować ścieżką śmierci, to będzie jak powrót, nie

jak początek. Zrozum to, a zrozumiesz mnie. Spraw mi tę przyjemność i pomódl się

do niej. Ona pobłogosławi naszego syna i zachowa go w swojej opiece.

Wpatrywała się w niego, więc jak miał odmówić? Uklęknął i pochylił głowę,

zadowolony, że robi to bez świadków.

Kwatera skrybów w królewskim pałacu w Aleksandrii z tysiącami uczonych

pracujących w jej murach przypominała miasto. Po pożarze wielkiej biblioteki lampy

palily się tam noc i dzień, a dzieła mistrzów, zaklęte w słowa i spisane, sprowadzano z całego Egiptu i z Grecji i z niezwykłą troską kopiowano.

Jedno skrzydło rozległej przybudówki zajmowała rzymska administracja i Brutus

upomniął się dla siebie o najlepsze pomieszczenia. Na jego rozkaz legionowi

rzemieślnicy odarli je z rzeźb i złota. Załadowali je w skrzynie, a skrzynie odnieśli do portu, aby mogły odpłynąć do ojczyzny. Ogołoczone ściany, niby rzymską świątynię,

obłożyli jasnym rzeźbionym dębem. Dla Czwartego i Dziesiątego zbudowano nowe

kwatery, gdy już przebrała się miara w łupieniu miasta. Na początku Brutus pozwolił

im trochę zdziżyć, ale było

Rozdział XXX

345

dla niego oczywiste, że dyscyplina na tym ucierpi, ledwo minie parę tygodni, i chcąc nie chcąc, musiał narzucić szeregom dawny surowy porządek. Kilku się użalało, a

paru głupców nawet podpisało protest, ale ci dzień jego doręczenia zakończyli

marszem na pozycje pustynne. Miasto było spokojne i pod nieobecność Juliusza

Brutus bezgranicznie korzystał ze swojej wolności.

Ci, którzy mieli przewagę nad jego słabością po Farsalos, teraz usuwali ekskrementy w gorącym słońcu aż do pierwszego omdlenia. Po Farsalos zatroszczył się o to, by

zapamiętać każdą twarz, i teraz czerpał satysfakcję z powierzania im najbrudniejszych zajęć, jakie udało mu się wymyślić. Niejeden cierpiał od skaleczeń i zadrapań, które szybko ulegały zakażeniu. Brutus dokładał starań, by odwiedzać ich w

pomieszczeniach dla chorych jak najczęściej, jak żaden inny sumienny dowódca, i do

czasu powrotu Juliusza biegły pod Aleksandrią dobre rzymskie ścieki.

W pomieszczeniu, w którym przyjmował swoich dowódców, Brutus nie spuszczał oka

z Oktawiana, ciesząc się z jego wewnętrznych zmaganiań.

- ...tak więc pozostawiam ten kłopot tobie, wodzu - ciągnął. - Swego czasu Juliusz

zawezwał nowe legiony do Egiptu i teraz trzeba je nakarmić, opłacić i zakwaterować.

W razie gdybyś nie potrafił wypełnić swojego obowiązku, ja...

- Nic mi o tym nie mówił - przerwał Oktawian i Brutus zmarszczył czoło.

Napięcie między nimi nie malało. Na początku Brutus myślał, że Oktawian nie uzna

władzy, którą powierzył mu Juliusz przy wyjeździe. Wciąż pamiętał groźby młodszego

mężczyzny rzucane na greckim nabrzeżu i teraz, kiedy odzyskał siły, chętnie

usłyszałby je ponownie. Mimo starań z jego strony, zauważanych przez innych

dowódców, do konfrontacji nie doszło. Oktawian wydawał się zadowolony, balansując

między obowiązkiem a bezczelnością, a Brutus był gotów godzić się na tę grę, dopóki Oktawian zdoła to znieść. Zawsze, pomyślał, łatwiej naciskać w dół, niż przeć do góry.

- Doświadczenie mnie nauczyło - Brutus rzucił jakby od niechcenia - że przy

podejmowaniu decyzji Juliusz nie ma zwyczaju radzić się młodszych dowódców.

Żołnierzy, o których tu mowa,

346

Imperator

wezwał listownie. Czy ma to być straż przyboczna, czy siła okupacyjna, mało mnie obchodzi. Do jego powrotu odpowiadasz za nich ty.

Przez twarz Oktawiana przemknął cień złości i Brutus usiadł prościej, czekając na

pierwszą rysę na gładkiej tafli spokoju. Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż odesłanie Oktawiana do domu w niełasce. Bez względu na okoliczności, senat

postąpiłby surowo z każdym, kto nie usłuchał rozkazu wyznaczonego przez Rzym

dowódcy. Gdyby Oktawian sięgnął po miecz czy podniósł pięść, byłby skończony.

Oktawian dostrzegł jego gotowość i w pierwszej chwili powstrzymał swoją niechęć.

Już miał oddać honory, kiedy nagle chwycił go gniew nie do opanowania.

- Czy to dlatego, że nie chcesz oglądać twarzy ludzi, z którymi walczyłeś jako zdrajca?

- warknął. - Czy dlatego, że nie chcesz wyjść i choćby ich zobaczyć?

Brutus uśmiechnął się triumfalnie.

- A więc jest jakiś sposób, bym porozmawiał z twoim przełożonym, chłopcze? Jest czy nie? Myślę, że posunąłeś się dzisiaj trochę za daleko. Chyba powinienem zażądać

przeprosin, na wypadek gdyby Juliusz spytał mnie o to kiedyś.

Oktawian nie był głupcem. Brutus obserwował go, porównując wiek i stanowiska.

Młodszy mężczyzna podjął decyzję.

- Nie nadajesz się na swoje stanowisko - powiedział spokojnie. - On powinien dwa

razy pomyśleć, nim ci znów zaufa.

Brutus wstał. Rozsadzała go satysfakcja. Przyjemnie się prowokowało Oktawiana przez cały miesiąc, ale właściwa chwila nadeszła.

- Każę Domicjuszowi przyjść tutaj i załatwić rzecz formalnie albo wyjdziemy na zewnątrz tylko we dwóch, znajdziemy jakieś spokojne miejsce i nauczę cię dobrego zachowania. Co wolisz?

Oktawian posunął się za daleko, by się wycofać pod wpływem pierwszej lepszej groźby. W odpowiedzi postukał palcami po rękojeści miecza. Brutus wyszczerzył zęby, zachwycony perspektywą ciężkiej pracy od samego ranka.

- Zapiszę to w legionowym dzienniku jako ćwiczenia. - Wskazał na drzwi. - Idziesz pierwszy, chłopcze. Ja idę za tobą.

1

Rozdział XXX

347

Mijane straże oddały honory odruchowo. Brutus szedł za Oktawianem po schodach i dalej, korytarzem, którego ściany wciąż nosiły ślady rzymskiego polowania na egipskie skarby. Brutus wywijał ramionami, rozluźniając mięśnie.

Plac ćwiczeń był pełen ludzi, tak samo jak każdego ranka. Tylko w przepaskach na biodrach i w sandałach, opaleni egipskim słońcem Rzymianie ćwiczyli się w podnoszeniu skórzanych kul i żelaznych odważników, by utrzymać prężną sylwetkę.

Inni walczyli w parach, obciążonymi ołowiem mieczami. Po ciszy panującej w pałacu szczeł i podzwanianie metalu wydawały się głośniejsze niż w rzeczywistości.

-Wracajcie do swoich obowiązków, przyjaciele - powiedział Brutus, nie spuszczać oczu z Oktawiana. Czekał spokojnie, aż żołnierze odłożą swój sprzęt i zostawią ich samych. Wyczuwał ich ciekawość, lecz widownia nadałaby inny charakter lekcji, której zamierzał udzielić i w której nie zamierzał oszczędzać przeciwnika.

Kiedy ostatni człowiek zniknął za najbliższym rogiem, Oktawian odwrócił się, obnażył miecz gładkim ruchem i ruszył przez piaszczysty grunt na jedną z pozycji. Brutus, przypominając sobie, że jego przeciwnik również wygrał srebrną zbroję w zawodach Juliusza, wypatrywał w nim słabych punktów. Oktawian był młody i szybki, ale Brutus sięgnął do miecza tak, jakby broń była przedłużeniem jego ramienia. Odnalazł go między trupami Egipcjan wcześniej, niżby to zrobili zamiatacze ulic, i ćwiczył, pokonując ból, by odzyskać pełną sprawność właśnie na ten moment. Zajął stanowisko naprzeciw i podniósł miecz do pozycji wyjściowej.

- Miałeś mi złamać ramię powtórnie. Pamiętam twoje groźby - mruknął, zaczynając zataczać kółka. - Spróbujesz teraz?

Oktawian był głuchy na jego słowa. Zmienił krok tak szybko, że Brutus prawie dał się zaskoczyć. Pierwszy cios, podparty ciężarem Oktawiana, był sprawdzianem jego siły.

Brutus przyjął go łatwo, ze szczękiem metalu.

- Nie napinaj w ten sposób biodra, chłopcze. To ogranicza ci ruchy - poradził.

Przez kilka chwil walczyli w milczeniu. Oktawian próbował kombinacji ciosów, które zakończył wypadem na kolano przeciwnika. Brutus odbił ostrze.

348

Imperator

- Tak lepiej - powiedział. - Choć widzę, że to szkoła Domicjusza. On uwielbia takie krótkie pchnięcia.

Zobaczył, że Oktawian tańczy zbyt blisko i rzucił się na niego. Miecz został odbity, ale nim od siebie odskoczyli, udało mu się wbić pięść w policzek przeciwnika. Oktawian

dotknął twarzy i podniósł otwartą dłoń, by pokazać, że nie ma na niej krwi.

- Myślałeś, że to walka do pierwszej krwi, chłopcze? - zakpił Brutus. - Jesteś tak naiwny jak Juliusz. Może dlatego on cię lubi.

Mówiąc to, rozpoczął serię uderzeń, które przybierały na prędkości. Obaj mężczyźni

zderzyli się ze sobą i Oktawian uderzył Bru-tusa łokciem w tył głowy.

- Starzejesz się - powiedział i zatańczył raz jeszcze.

Brutus spojrział na niego wściekle. To była prawda. Stracił oślepiającą prędkość młodości, ale miał wystarczająco dużo doświadczenia, by upokorzyć zadufanego w sobie szczeniaka, był tego pewien.

-Jestem ciekaw, czy Juliusz zdradził ci plany co do swojego powrotu - powiedział.

Obaj już się spocili. Oktawianowi oczy się zwięzły i Brutus czekał na atak. - To miasto ma się stać drugą stolicą imperium, powiedział ci to? Wątpię. Nie zawracałby sobie

głowy. Ty zawsze jesteś pierwszy w kolejce do całowania go po nogach. Co za różnica, klękać przed wodzem czy królem?

Odpowiedź była szybka i szczęk mieczy nie ustawał. Brutus zaczynał ciężko oddychać.

Jego obrona była nie do przebicia i Oktawian równie dobrze mógłby atakować cały

dzień. Młodszy mężczyzna wyczuł pewność siebie starszego i cofnął się na skraj swojej pozycji.

- Powściągnij swój język, starcze - powiedział. - Ty kłamco, ty zdrajco. Ty tchórze!

Oczy mu błyszczały. Czekał na atak, ale Brutus tylko się zaśmiał, wprawiając go w zmieszanie.

- Spytaj go, chłopcze, kiedy wróci. Spytaj, co myśli o twojej ukochanej republice.

Powiedział mi... - Zwarli się raz jeszcze i Brutus odciął Oktawianowi płąt skóry z nogi.

Krew popłynęła jak woda, a on ironizował dalej, wiedząc, że razem z krwią

przeciwnikowi zacznie ubywać sił. - Powiedział mi, że dni senatu są policzone, ale

może przed tobą będzie kłamał, może zechce oszczędzić twoją urażoną dumę.

/

Rozdział XXX

349

Krążyli wokół siebie wolniej. Brutus nie narzuczał tempa.

- Zdaje ci się, że walczymy w imię republiki? - spytał szyderczo. - Może tak było za naszej młodości, ale teraz on ma królową, a ona jest brzemienna jego synem.

- Kłamca, jeszcze raz kłamca! - ryknął Oktawian i rzucił się do przodu.

W nodze czuł pożar, ale widział, nawet poprzez mgłę bólu, że Brutus powoli zaczyna się męczyć. Jakiś nędzny cios rozciął mu lewą dłoń; nie zdążył szarpnąć nią do tyłu.

Zacisnął pięść odruchowo i spomiędzy palców pociekła krew.

- Zastanawiam się, czy pod Farsalos nie byłem po właściwej stronie. Mimo wszystko - powiedział Brutus, zmieniając taneczny rytm kroków.

Oktawian się potknął. Wyglądał na oszołomionego, chociaż czy od słów czy ran, Brutus nie wiedział.

- Nie udawaj, że umierasz, chłopcze. Znam się na takich sztuczkach - zadrwił.

Oktawian wyprostował się nieznacznie i wymierzył przepisowy cios. Ostrze zaczepiło o naramiennik. Przecięło rzemień. Brutus zaklął, szarpnął za uszkodzoną część zbroi i odrzucił ją na bok.

- To piękna kobieta. I urodzi mu pięknego syna. Ale dlaczego to cię złości? - Zatrzymał się. Wypadł z rytmu. - Chyba nie oczekiwałeś dziedzictwa po naszym Cezarze? Choć właściwie, czemu nie? Jest łysy i stary w porównaniu z tobą. Czemu miałbyś nie

patrzeć w przyszłość i nie chcieć zająć kiedyś jego miejsca? Bogowie, wiedzieć, że to się nie zdarzy, to dopiero rozpacz. Kiedy jego syn przyjdzie na świat, jak myślisz, ile znajdzie czasu dla dalekiego krewnego?

Towarzyszący słowom szyderczy śmiech wytrącił Oktawiana z równowagi. Wbrew rozsądkowi rzucił się znów do ataku. Brutus uskoczył i wymierzył cios w ten sam policzek.

- Pasujesz do sklepu rzeźnika - powiedział, patrząc na rozplątane ciało. - Poza tym, chłopcze, zwalniasz z każdą chwilą.

Obaj dyszeli, mimo to przy ponownym zwarciu jeden i drugi uderzał tak, żeby zabić.

Brutus wbił kolano w pachwinę Oktawiana, lecz udany cios tamtego rozciął mu nogę.

Brutus krzyknął.

- Boli, prawda? - warknął Oktawian.

350

Imperator

- Łaskocze - syknął Brutus, już nabierając prędkości.

Miecze z błyskiem przecięły powietrze. Zadzwoniły jeden o drugi. W ogniu walki cios padał za ciosem, ale walczący ich nie czuli. Nagle srebrna zbroja wgięła się do środka.

Oktawian chrząknął. Miecz Brutusa przebił metal i trafił go między żebra. Mężczyzna, dysząc, podniósł rękę do rany. Światło na polu ćwiczeń nagle wydało mu się za jasne.

Nogi miał mokre od krwi. Osunął się na kolana, czekając na cios w gardło.

Brutus kopnął jego gladius w piach i stał, przyglądając się klęczącemu.

- Nic, co nie mogłoby być zsyte, chłopcze - powiedział i oparł dłonie o swoje kolana. -

Zastanawiam się, czy mam ei złamać ramię.

Owalna rana na udzie bolała go okropnie, ale przeżył gorsze.

Oktawian popatrzył w górę.

-Jeżeli chce mieć imperium, dam mu je - powiedział.

Brutus westchnął. Zwinął dłoń w pięść i na pół przytomnie uderzył tamtego po karku.

-Jesteś głupcem. To wszystko - powiedział do rozciągniętego na ziemi mężczyzny.

ROZDZIAŁ XXXI

JAiedy w ostatnich dniach lata pojawiła się na wodach królewska barka, rogi

odezwały się w całej Aleksandrii. Brutus na spotkanie powracających wysłał tuzin

wyszorowanych do białości rzymskich galer, a ze składów portowych wydzielono

jedzenie, którego starczyłoby na parę uczt. Purpurowy żagiel widać było z daleka i u wejścia do portu dołączyły do pochodu setki rybackich łodzi, towarzysząc statkowi

królowej jak ruchliwe stado kolorowych ptaków.

Dni powoli się kurczyły, ale powietrze wciąż było ciężkie od upału. Kleopatra,

wachlowana przez swoje niewolnice, stała na pokładzie i obserwowała nadpływającą flotę. Jej coraz bardziej widoczny stan położył kres spokojnym dniom na Nilu. Nie mogła wytrzymać w żadnej pozycji i Juliusz wiedział, że nerwy ją zawiodą i że należy obchodzić się z nią ostrożnie. Teraz, na widok rzymskich galer, w jej oczach pokazały się błyski gniewu.

- Sprowadziłeś tutaj swoją armię? - spytała, patrząc na niego.

- Znikomą część - odpowiedział. - Nie kazałabyś mi chyba zostawić Aleksandrii niebronionej, kiedy przyjedziesz do Rzymu.

- Moi wojownicy bronią nas skutecznie. I to od lat - odpowiedziała oburzona.

Juliusz ostrożnie dobierał słowa.

- Nie chciałbym narazić Egiptu nawet na najmniejsze ryzyko - mruknął. - Galery ochraniają dziedzictwo naszego syna. Zawierz mi, proszę.

Kleopatrze przeszły dreszcze. Czyżby już straciła tron na rzecz

352

Imperator

tego Rzymianina? Pięć tysięcy lat to dość, by Egipt poczuł się zmęczony. Wiedziała, że jego wrogowie czyhają na każdą jego słabość. Młody, silny Rzym niby płonąca

pochoźnia trzymałby chciwe żeru wilki daleko od jej obu krain. Juliusz rozpałił jej krew w żyłach, mówiąc o bliźniaczych stolicach, ale widok legionistów rojących się na jej nabrzeżu napawał ją lękiem. Mógł być czuły dla kobiety, mógł być uprzejmy jako

człowiek, ale jako wódz był niszczącą nawałnicą. I właśnie jej miasto przyciągnęło jego uwagę.

Juliusz zobaczył, że drży, wziął szal z rąk niewolnicy i otulił nim jej ramiona. Jego czułość wciąż ją zaskakiwała.

- Musisz mi wierzyć - powiedział cicho. - To dopiero początek.

Legionowe centurie stały w idealnym porządku na nabrzeżu, kiedy barka królowej

przybiła i jej niewolnicy rzucili cumy. Rzymianie uczcili powrót swojego wodza,

zwycięzcy i konsula Rzymu głośnymi okrzykami. Dla Kleopatry sprowadzono lektykę.

Skryta pod baldachimem, wysoko na ramionach niewolników, uniknęła prostackich

spojrzeń. Juliusz stał po prawej stronie, chłonąc zmiany, jakie zaszły podczas jego nieobecności.

W ruchliwym porcie wreszcie zaprowadzono jakiś porządek. By wiedzieć, kto go zaprowadzał, Juliusz nie musiał patrzeć na przechadzające się w tłumie rzymskie straże. Zbudowano nowe komory celne albo zarekwirowano stare, aby zapanować nad bogactwem przepływających przez Aleksandrię towarów. Brutus wyraźnie się napracował.

Kiedy pochód torował sobie drogę przez miasto, do pałacu królewskiego, obecność legionistów była jeszcze bardziej widoczna. Przepisowo wyprężeni żołnierze stali na każdym rogu i gdy tylko Juliusz się pojawiał, oddawali honory. Obywatele

Aleksandrii, którym prawdopodobnie przyszłoby na myśl towarzyszyć swojej królowej nieprzeliczonym tłumem, zostali zatrzymani przez zapory rozstawione u wylotu każdej ulicy. Główna arteria była wolna.

Juliusz się skrzywił. Nie był pewien, jak taka typowa, żołnierska sprawność wygląda w oczach Kleopatry. Przed podróżą nietrudno było wysłać rozkazy do Grecji. Ale

realność tych dwudziestu tysięcy Rzymian więcej, czujących się na tutejszych ulicach jak u siebie w domu, okazała się dziwnie niepokojąca. Kiedy tu przy-Rozdział XXXI

353

był, Aleksandria była obcym miejscem i dla niego, i dla jego ludzi. Teraz legioniści zamieniali ją pracownie w przyczółek Rzymu.

W pałacu, wokół Kleopatry, zebrali się podnieceni niewolnicy. Królową bolały stopy i była znużona, ale nim wkroczyła do chłodniejszych komnat, stanęła na schodach raz

jeszcze. Odwróciła się do Juliusza.

-Jak mogę ci wierzyć? - spytała.

- Nosisz mojego syna, Kleopatro. Ale nawet gdybyś nie nosiła, byłabyś dla mnie cenna jak nic na świecie. Pozwól, że będę cię chronić.

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, ale po namyśle zacisnęła je w cienką kreskę dezaprobaty.

Juliusz westchnął. Oboje mieli przed oczami tysiące jego żołnierzy.

- No cóż, moja królowo. Pozwól, bym przynajmniej pokazał ci moich ludzi.

Ukląkł przed nią bez słowa. Kleopatra popatrzyła na jego płonąca twarz i kąciki jej ust drgnęły uśmiechem.

- Nigdy nie widziałam mężczyzny klękającego z taką dumą -szepnęła mu do ucha.

Roześmiał się.

Po kąpeli i posiłku Juliusz zawezwał swoich galijskich wodzów. Nowi dowódcy z Grecji musieli czekać na audiencję trochę dłużej. Wybrał pomieszczenie w kwaterach skrybów, to, z którego korzystał Brutus, i czekając na zawezwanych, rozejrzał się wokół, ciekawy zmian.

Brutus i Domicjusz zjawili się pierwsi. Po oddaniu honorów usiedli na wskazanych miejscach. Po nich przyszedł Regulus. Od powrotu Juliusza jego zwykle chmurna twarz nabrała łagodniejszego wyrazu. Oktawian i Cyron dosiadali się w momencie, kiedy Domicjusz nalewał wino dla reszty.

Juliusz patrzył, jak biorą do ręki puchary i podnoszą je ku niemu. Wszyscy byli w doskonałej kondycji, spaleni egipskim słońcem, a Cyron najbardziej: mógł uchodzić za rodowitego Egipcjanina. Oktawian miał na policzku nową brzydką bliznę i zachowywał się najbardziej powściągliwie ze wszystkich. Juliusz nagle zatęsknił

354

Imperator

za łączącą ich kiedyś koleżeńską. Nie było go tutaj niecałe sześć miesięcy, ale to wystarczyło, by między nim a nimi zapanowało niewygodne milczenie.

- Czy powinienem poprosić o formalne sprawozdanie, przyjaciele? - zaczął. - A może będzie lepiej, jak spędzimy dzień na picu i rozmowie? Co wy na to?

Regulus się uśmiechnął, ale inni zachowywali się dziwnie ostrożnie. Ciszę przerwał

Oktawian.

- Rad jestem, że wróciłeś, panie.

Brutus patrzył na młodszego mężczyznę z czymś, co dałoby się nazwać uprzejmym zainteresowaniem, i Juliusz zaczął się zastanawiać, co zaszło między jednym a drugim. Nie miał ochoty słuchać o sprzeczkach czy wzajemnej niechęci. Czas spędzony na Nilu sprawił, że tego rodzaju rzeczy wydawały się mało ważne, jeśli nie prostackie.

-W mieście panuje spokój, Juliuszu - odezwał się Brutus. -W końcu stacjonuje w nim bez mała trzydzieści tysięcy naszych legionistów. Mieliśmy parę przypadków grabieży i kilku ludzi odbywa karne ćwiczenia w kwaterach na pustyni. Poza tym nie wydarzyło się nic, nad czym nie dałoby się zapanować. Założyliśmy mieszkańcom przyzwoity system ścieków i zaprowadziliśmy trochę porządku na nabrzeżu. Dla niektórych spośród nas były to chwile przyjemnego odpoczynku. Jak się czuje królowa? Juliusz skinął głową Brutusowi, zadowolony; żadnych kłopotów, żadnych kwasów między ludźmi.

- Dziecko przyjdzie na świat za parę tygodni, może nawet szybciej - odpowiedział i oczy mu złagodniały.

- Syn i spadkobierca - rzekł Brutus, patrząc na Oktawiana, na co Juliusz nie zwrócił uwagi. - Po powrocie musisz zrobić jakiś pojednawczy gest wobec Kalpurnii.

Juliusz potaknął, sącząc wino. Myśl o ostatniej żonie, łkającej mu na piersiach, nie była przyjemna.

- Poślubiając ją, nie mogłem przewidzieć przyszłości - powiedział w zadumie. - Tak wiele się zmieniło, od kiedy wyruszyłem do Grecji.

- Czy jak dziecko się urodzi, ruszymy do domu? - spytał nieoczekiwanie Oktawian.

Rozdział XXXI

355

Juliusz popatrzył na niego. Nie rozumiał napięcia w jego twarzy.

- Wrócimy. Zostawię tu dwa legiony, by pilnowały spokoju. Napiszę do Marka

Antoniusza, niech dopilnuje spraw związanych z naszą podróżą. Na bogów, co to

będzie za radość, zobaczyć jeszcze jednego przyjaciela i odwiedzić stare miejsca. Samo mówienie o tym tutaj wzmacnia moją tęsknotę za Rzymem.

Rozejrzał się wokół. Jego twarz nabierała coraz bardziej skupionego wyrazu.

- Zabierzemy doczesne resztki Pompejusza i pochowamy je w naszym mieście.

Wniosę mu posąg, prawdopodobnie w jego teatrze. Nawet teraz sposób, w jaki

umarł, przyprawia mnie o mdłości. Napisałem do mojej córki, aby donieść jej o tym, i uczczę go po śmierci przynajmniej ze względu na nią.

Przerwał, wpatrując się w pustkę. Od bitwy pod Farsalos minął rok, a dzień, w którym przekroczył Rubikon, wydawał się niesamowicie odległy. Nagle zdał sobie sprawę, że

przerwa w jego życiorysie, która przytrafiła mu się na leniwie toczącym wody Nilu,

odmieniła go. Siedzący obok inni mężczyźni wciąż mieli wygląd wygłodniałych

wilków, zahartowanych latami konfliktu. Niewiele miał z nimi wspólnego.

- Dziwnie będzie znaleźć się w odnowionej republice po tylu latach konfliktu -

mruknął Oktawian, wpatrując się uporczywie w swój puchar z winem. - Miasto

przywita cię jako wskrzesiciela dawnych dni. - Poczul na sobie zamyślony wzrok

Juliusza. Chcąc nie chcąc, musiał spojrzeć mu w oczy.

- Być może - powiedział Juliusz. - Okaże się po powrocie, jak się sprawy mają. - Zajęty dopełnianiem srebrnego pucharu, nie zauważył błysku nadziei w twarzy Oktawiana. -

Choć czas płynie i wszystko się zmienia - ciągnął. - Powolna rzeka dała mi wiele czasu na myślenie. Los zesłał mi sposobność do wydzwignięcia Rzymu ponad jakiegokolwiek

inne miasto. Nie powinienem jej zmarnować. - Podniósł puchar w stronę Oktawiana. -

Tu, w tym miejscu, marzenia Aleksandra ożywają w moich snach. Stąd, z tego

miejsca, sięgam wzrokiem dalej. Moglibyśmy nieść światło Rzymu całemu światu.

Moglibyśmy świecić jak latarnia na Faros. - Uśmiechnął się. Nie zauważał niepokoju

Oktawiana. - Moglibyśmy stworzyć imperium.

- Czy to pomysł królowej? - spytał cicho Oktawian.

356

Imperator

Juliusz popatrzył na niego zaintrygowany.

-Moja krew połączyła się w niej z jej krwią. Egipt i ja to już jedność. Rzym przyjdzie tu ze mną. -
Wskazał pucharem na okno. Wino zagrzewało mu myśli. - Mamy przed sobą

złote lata, Oktawianie. Widzę je.

-Witaj, panie. Witaj z powrotem - powiedział Brutus.

Juliusz przemierzał salę pałacu, krzywiąc się przy każdym krzyku Kleopatry. Jego syn przychodził na świat i Cezar nie pamiętał, by kiedykolwiek był bardziej

zdenerwowany. Dworzanie królowej przyszli do jego kwater, zbudzili go, a on ubrał

się pospiesznie w togę i sandały, wołając na Brutusa, by mu towarzyszył.

Obaj mężczyźni wpadli biegiem do sali przyjęć tylko po to, by usłyszeć, że prywatność królowej nie może być niczym zakłócona. Ku irytacji Juliusza drzwi do jej komnat

były strzeżone przez jej ludzi i jego zostawiono, by zamartwiał się w samotności.

Godzina mijała za godziną. Jego pusty żołądek zaczynał się buntować. Posłańcy przychodzili i wychodzili biegiem, nosząc wiadra parującej wody i sterty białych płócien. Juliusz słyszał głosy kobiet i krzyczącą, w miarowych odstępach, Kleopatę.

Zacisnął bezradnie pięści. Ledwo zauważył miskę ciepłego kleiku, którą wcisnął mu do ręki Brutus.

O świcie w drzwiach stanął Sosigenes. Rzucił do oczekujących niewolników kilka krótkich rozkazów o więcej płócien. Astrolog miał czerwoną twarz i spieszył się wyraźnie, ale jedno spojrzenie rzucone na twarz Juliusza kazało mu na chwilę przystanąć.

- Twój syn jest w drodze, Cezarze. To wspaniały znak na przyszłość, że przyjdzie na świat o brzasku dnia - powiedział.

Juliusz ścisnął go za ramię.

- A ona? Mów, co z nią!

Sosigenes uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Powinieneś odpocząć, konsulu. Zostaniesz wezwany już niedługo. Moja królowa jest młoda i silna, tak samo jak kiedyś jej matka. Uspokój się.

Odwzajemnił uścisk szybkim dotykiem dłoni, potem minął strażę i zniknął w drzwiach, za którymi rozległ się ponowny, długi i przeraźliwy krzyk. Juliusz jęknął.

Rozdział XXXI

357

- Na bogów, nie zniosę tego.

- Odczuwałeś to samo, kiedy rodziła się Julia? - spytał go Brutus.

Juliusz potrząsnął głową.

- Nie pamiętam. Nie, chyba nie. Ale teraz jestem starszy. Jeżeli dziecko umrze, czy będę miał inną szansę?

- Więc jak będzie się nazywał ten twój syn? - Brutus pytał dalej, po części, by odwrócić uwagę Juliusza od lamentów Kleopatry. Nie miał pojęcia o dziwnych rytuałach

towarzyszących narodzinom i to, że Juliusz wcale się nad nimi nie zastanawiał, świadczyło o jego głębokim wzruszeniu.

Pytanie podziałało uspokajająco.

- Ptolemeusz Cezarion - odpowiedział z dumą przyszły ojciec. - Te imiona połączą dwa rody i dwie ojczyzny.

- Pokażesz go, oczywiście, na forum - podpowiedział szybko Brutus.

Juliuszowi pojaśniała twarz.

- Pokażę. Gdy tylko będzie dość silny, by wyruszyć w drogę, zabiorę go do domu.

Zaprosił mnie król Syrii, bym go odwiedził. Wezmę ze sobą Kleopatę. Potem Kreta, być może, albo Cypr, Grecja i w końcu Rzym. Będziemy stać na forum w rzymskim

słońcu, a ja podniosę chłopca ponad głowy tłumu, niech go zobaczą.

-Jeżeli zamierzasz założyć dynastię i stworzyć imperium, spodziewaj się walki -
mruknął Brutus. Juliusz potrząsnął głową.

- Nie teraz, Brutusie. Czy ty nic nie widzisz? Legiony są mi lojalne, a senat
wybierzemy starannie. Czy zdają sobie sprawę, czy nie, imperium już się narodziło.

Poza tym widzisz kogoś, kto by się oparł moim żądaniom? Pompejusz był ostatni.

Brutus potaknął, zamyślony. Oczy mu pociemniały.

Godzinę później Sosigenes, zaskakując strażę, wypadł do nich jak burza. Promieniał, jakby to on był
główną postacią wydarzeń minionej nocy.

- Masz syna, Cezarze, tak jak przepowiedziałem. Zechcesz wejść? Uszczęśliwiony
ojciec klepnął w ramię zwiastuna dobrej wieści

o wiele za mocno i rzucił krótko:

- Prowadź mnie do niego. Natychmiast.

358

Imperator

Brutus nie poszedł za Juliuszem. Został sam, aby rozgłosić szczęśliwe wieści między legionami
oblegającymi pałac od kilku godzin.

Kleopatra leżała w swoim wielkim łożu. Zasłony były odrzucone na bok, aby powietrze miało
swobodny dostęp do matki i dziecka. Wyglądała na zmęczoną i oszołomioną,

bladość twarzy podkreślały czarne cienie pod oczami. Kiedy Juliusz pospieszył do
niej, niewolnica ocierała ją z potu, delikatnie dotykając skóry kawałkiem białego
płótna.

W komnacie królowej tłoczyło się wielu innych, chociaż Juliusz nie zauważał nikogo.

Piersi Kleopatry były obnażone i przy jednej leżało dziecko, jego nadzieja, maleńka twarz
przyciśnięta do miękkiego kobiecego ciała.

Juliusz usiadł na pościeli i pochylił się nad obojgiem, nie zważając na niewolnicę, która szybko
odsunęła się na bok. Kleopatra otworzyła oczy.

- Moja piękna królowa - wyszeptał, uśmiechając się. - Sosigenes powiedział, że to chłopiec.

- Ten stary głupiec jest z siebie bardzo dumny. Ale to prawda, masz syna, Juliuszu.

Juliusz wyciągnął dłoń i delikatnie odsunął ze spoconego czoła kosmyk włosów.

- Czekałem na ciebie przez całe życie - powiedział.

Oczy Kleopatry wypełniły się łzami, ale usta się uśmiechnęły.

- Zdaje się, że potrafię płakać z byle powodu - powiedziała, po czym się skrzywiła; dziecko, ssąc pracowicie, za mocno zacisnęło dżiąsła na nabrzmiałej brodawce. - Twój syn jest silny - dodała.

Juliusz popatrzył na maleńką figurkę, na pół ukrytą w bieli płócien. Dziecko dopiero co opuściło łono matki, było pomarszczone i miało sinawą skórę noworodka. Na

głowce plamka krwi zlepiła włosy tak czarne jak u matki.

- Mój syn musi być silny, zwłaszcza jak będzie tak brzydki jak teraz - dopowiedział

Juliusz i zaśmiał się, gdy Kleopatra pacnęła go nie zajętą dzieckiem ręką.

- Twój syn będzie piękny. Jest twój i mój. Jest nasz. Będzie wielkim królem, Sosigenes mi to przysiągł. Większym niż ty czy ja, Juliuszu.

Rozdział XXXI

359

Pocałował ją delikatnie, a ona z powrotem osunęła się na poduszki i zamknęła oczy.

Juliusz poczuł na sobie czyjś uporczywy wzrok. Odwrócił się i niemal wpadł na jedną z kobiet, które przyjmowały na świat dzieci rodziny królewskiej.

- O co chodzi?

Kleopatra westchnęła, nie otwierając oczu.

- Ona nie mówi po łacinie, Juliuszu.

Kobieta, mrużąc coś pod nosem, wskazała na drzwi.

- Rozumiem - powiedział. - Wrócę, kiedy już dadzą ci odpocząć.

Ścisnął dłoń Kleopatry, wstał i objął wzrokiem swoją rodzinę. Podziękował bogom za

wystarczająco długie życie, by mógł się jej doczekać.

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ XXXII

Wzrym się obudził. Posłańcy na spienionych koniach przynieśli wieści, że Cezar właśnie przybił do brzegu i wraca do domu. Marek Antoniusz nie oddawał się zbożnemu lenistwu podczas tygodni oczekiwania i wszystkie przygotowania poczyniono jak należy. Blisko milion obywateli zapalało lampy na wielkich murach, przygotowywało uczy, szorowało do czysta ulice. Rzym w końcu zrobił się jak nowy. Zboże, chleb i mięso rozdano każdemu obywatelowi. Ogłoszono święto publiczne. Miasto lśniło, a świątynne skrzynie wypełniły się monetami, ofiarowywanymi w podziękę za bezpieczny powrót Cezara. Zmęczonych ciężką pracą było wielu, mimo to każdy wyprostował grzbiet i razem z dziećmi wszyscy nasłuchiwali rogów. To one miały oznajmić jego przybycie.

Brutus, jadąc powoli u boku Juliusza, patrzył na widniejące w oddali miasto. Rzym, porażający samymi rozmiarami. W porównaniu z nim zamorska Aleksandria nie mogła nie wydać się prowincjonalna. Obywatele sprawili, że dla Cezara jego miasto biło blaskiem pod niebiosa. Czy mogliby zrobić więcej na powitanie króla? Brutus ledwo znosił zachwyty i respekt bijące z twarzy Oktawiana wpatzonego w jaśniejący na horyzoncie klejnot. To samo malowało się na twarzach innych, od żołnierzy

Dziesiątego po samego Juliusza. Przychodzili jako zwycięzcy i szli z dumą, do której mieli prawo. Brutus nie mógł żywić ani ich nadziei, ani pysznić się ich chwałą.

Jaką radość mógłby znaleźć w tych murach? Oto człowiek, któremu Juliusz przebaczył zdradę, będą szeptać i pokazywać na nie-

go, kiedy będzie szedł ulicami. Spotka się z matką, pomyślał. Być może, kiedy Serwilia zobaczy Kleopatę, zrozumie, co odciągnęło go od Juliusza. Zaszczypały go oczy.

Zawstydzony, zaciągnął się powietrzem. Wkraczał do wielu miast. Przeżyje i to.

Przetrwa.

Czuł się tak, jakby jechał w pochodzie legionów przez wieki. Syria obdarowała

Juliusza klejnotami i bronią i przyjęła jak jednego ze sprzymierzeńców. Kleopatra nie wysuwała się przed niego. Być może zdawała sobie sprawę z małości jej Juliusza jako króla. Nie kryła zadowolenia z pokazywania Ptolemeusza Cezariona, wciąż

pomarszczonego, czerwonego i malutkiego. Władca Syrii miał wiele dzieci, ale

uhonorował parę, egipską królową i rzymskiego konsula, przedstawiając jej swego

pierworodnego, Heroda, i każąc mu się skłonić przed przywódcą Rzymu. Mały książę

trząsał się z nerwów, Brutus to zapamiętał.

Popatrzył za siebie, tam, gdzie ukryta przed spojrzeniami królowa leżała w

zaprzężonym w woły powozie, wielkim i wygodnym jak komnata. Jej syn był z nią i

irytujące wrzaski dziecka wwiercały się w noc.

Na swój sposób powrót do Rzymu był podobny wielkiemu triumfowi. Pretor Krety

pocałował Juliusza w rękę i prosił go, by się rozgościł w jego domu. Żołnierze

opróżnili z jedzenia i picia prywatne zapasy pretora, ale nie było bójek ani łamania dyscypliny; zdawali się rozumieć dostojność swojej pozycji jako straży Cezara i jego syna. Ich cześć wobec wodza przyprawiała Brutusa o mdłości.

Na początku przeżywał wstrząs, patrząc na władczych mężczyzn klękających przed

Juliuszem. Brutus widział - w dawnych dniach - jak jego przyjaciel przeklina i pluje, i kłóci się z Kaberą czy z Re-niuszem jak bezzębna zezłoszczona starucha. Znał go jako chłopca i służalcze nadszkakiwanie urzędników wydawało mu się czymś

nieprzyzwoitym. Oni nie znali Cezara. Widzieli jedynie czerwony płaszcz i zastępy

żołnierzy. Zaczytywali się sprawozdaniami i słyszeli o jego zwycięstwach, które

nałożyły maskę wielkości na twarz małego człowieka. Brutus widział, z jaką

przyjemnością Juliusz przyjmuje ich zabiegi, i to zżerało go od środka jak robaki.

Najgorzej było w Grecji, gdzie Brutusa znano. Możliwe, że pozycja zajmowana w

Aleksandrii przesłoniła mu rzeczywistość. Za-

Rozdział XXXII

365

pomniał, jak to boli, kiedy przyjaciele odwracają się plecami, a inni szydzą, widząc go u boku Juliusza. Jednym z nich był Labienus. Ten wyraźnie się bawił powrotem

Brutusa do łask rzymskiego wodza.

Gdyby zwyciężył Pompejusz, Brutus doczekałby się nagrody, wiedział to. Ubiegałby się, być może, o stanowisko konsula, a zmienni w swych politycznych sympatiach obywatele oddaliby głosy na człowieka, który przedkładał Rzym nad przyjaźń, człowieka, który ocalił ich przed tyranem. Jedną bitwą pod Farsalos mógł odmienić swoje życie. Mógł je pchnąć na nową ścieżkę. To właśnie boli najbardziej, powiedział sobie. Nie przebaczenie, nie, tylko to, że miał to wszystko w zasięgu ręki.

Droga do Rzymu nie świeciła pustkami. Marek Antoniusz wysłał z miasta legion pod dowództwem Ahenobarbusa, aby obstawić bruk tak daleko na zachód, jak starczało szeregów. Każda para, kiedy Juliusz ją mijał, prężyła się i oddawała honory. Oni także zrobili, co do nich należało, zauważył niechętnie Brutus. Rzym był bezpieczny pod nieobecność Juliusza. Dokonałaby się swego rodzaju sprawiedliwość, gdyby miasto zostało zaatakowane właśnie wtedy, kiedy Juliusz, ignorując swoje obowiązki, podróżował po Nilu, ale bogowie obdarzyli Rzym pokojem, jak gdyby i oni chcieli odpocząć, zanim Juliusz chwyci za wodze raz jeszcze.

Grecy, próbując nowej rebelii, wybrali najmniej odpowiedni moment, i walki rozpoczęły się wraz z przybyciem Juliusza. Brutus prawie współczuł ludziom, którzy powstali przeciw rzymskim władcom. Labienus mógł sam zakończyć sprawę, mimo to Juliusz interweniował. Mówiło się w szeregach, że jako pierwszy w Rzymie właściwie

podchodzi do swoich powinności i bierze odpowiedzialność za to, by żaden kraj nie

wymknął się spod jego rozkazów i czujnego oka. Brutus skłaniał się bardziej ku myśli, że chodziło o pokazanie Kleopatrze, co potrafią jego legiony.

Bitwa była niepoważna w porównaniu z tymi, jakie już mieli za sobą. Juliusz

przyjechał ze swoimi dowódcami i królową tam, gdzie zebrała się grecka armia.

Brutus zadrżał na wspomnienie tłumu ryczących wojowników, pędzących w górę wzgórza ku rzymskim pozycjom. Oczywiście, nim dotarli na szczyt, byli zmęczeni.

Rebelia trwała nie dłużej niż cztery godziny i Rzymianie zostawili za sobą kolejne trupy.

366

Imperator

Flota ostatecznie przybiła do brzegu w Ostii, na zachód od miasta. Juliusz uklęknął, by pocałować ziemię. Legiony wzniosły mu owację, a przyjęcie, jakie zgotowały mijane wsie i miasteczka, było zapowiedzią ekscytacji, jaka ogarnęła Rzym. Tłoczono się i

przepychano, żeby go obrzucić choć jednym spojrzeniem. Każdy ubrał się w co miał

najlepszego, a kobiety splotły włosy z większą dbałością niż na święto Dobrej Bogini.

Dzieci trzymano w górze, tak wysoko, jak on miał trzymać syna na forum.

Tymczasem konie wyczuły ogólne podniecenie i podrzucały łbami, rżąc i parszając na

zmianę. Owacje zrobiły się głośniejsze, kiedy podeszli pod sam Rzym i pod zachodnie bramy stojące przed nimi otworem. Mury były obstawione obywatelami, ale legiony

nie złamały dyscypliny i nie odwzajemniły powitalnych gestów. Legioniści, których

nagle odeszło wieloletnie zmęczenie, szczyrzyli zęby i patrzyli na pochodnie i mury takim wzrokiem, jakby każdy zobaczył miasto po raz pierwszy.

W podcieniach bram, przybrany w białe togi, stał senat. Ciekawe, pomyślał Brutus, co ci ludzie powiedzą na plany Juliusza. Czy starcza im wyobraźni, jaką to siłę witają z taką ufnością? Jeżeli któryś z nich oczekiwał, że wiek wypali w Juliuszu ogień, to

szybko się rozczaruje. Ogień się nie wypalił, a Juliusz, z Kleopatram i synem u boku, był

odmłodzony jak za sprawą czarów. Rzym powinien zadrzeć, pomyślał, ale Cynceron nie

jest głupcem. Senator na pewno się bał, ale w takiej chwili nikt na świecie nie

przemówiłby ostrzegawczym głosem. Czasami lepiej pozwolić, by fala przelała się nad tobą, i dopiero potem się podnieść.

Rogi zabrzmiały, najpierw u bram, potem na każdej ulicy miasta. Przykładano do ust i dęto w każdą sztukę brązu. Juliusz spiął konia, by wysunąć się o pół kroku przed

pierwszy szereg Dziesiątego. Nie pochylił głowy pod łukiem sklepienia i podniósł

dłoń, by powitać ludzi napierających zewsząd i z każdej strony. Był w domu.

Juliusz stał na stopniach senatu, na wprost zatłoczonego forum. Podniósł ramię,

prosząc o ciszę, ale cisza nie zapadła. Dał znak dwóm swoim ludziom, by zadać w

legionowe rogi, ponad zgiełkiem, ale nawet wtedy tłum nie od razu przycichł.

Popatrzył na Marka Antoniusza i obaj mężczyźni wymienili uśmiechy.

Rozdział XXXII

367

Forum wreszcie umilkło, ale Juliusz stał, upajając się samym miejscem i widokiem

rozpościerającego się wokół Rzymu. Schody były pełne twarzy ludzi, których znał od

lat. Świątynie i budynki wokół forum lśniły w świetle późnego lata.

- Nigdzie indziej w świecie nie ma takiego drugiego miasta jak to - powiedział w

końcu. Jego głos popłynął echem przez tłumy wyciągające w jego stronę głowy i szyje.

- Widziałem Galię. Widziałem Azję Mniejszą. Widziałem Grecję i Hiszpanię, i

Brytanię. Szedłem przez miasta Aleksandra, oglądałem najwspanialsze klejnoty i

słuchałem o najdziwniejszych bogach. Na wszystkich tych lądach słyszałem rzymskie

głosy i widziałem rzymskie dłonie uprawiające ziemię, sprzedające i kupujące, dłonie mężczyzn i kobiet zarządzających sobie życie. Zetknąłem się z rzymskim prawem,

poznałem, co to rzymski honor w krajach tak odległych, że wydają się jak sen na

jawie. To miasto karmi świat.

Pochylił głowę, kiedy zaczęli wiwatować, ale kiedy wydawało się, że nie przestaną,

rozkazał żołnierzom uderzyć trzonami włóczni o kamienie forum.

- Napawa mnie smutkiem sprowadzenie do domu doczesnych szczątków Pompejusza.

Nie zginął od mojego miecza i jego odejście to czarny dzień dla tego miasta. Ci, którzy go zabili, zostali ukarani i bogowie nie pozwolą im zapomnieć zapłaconej ceny. Niech płaczą wiecznie za podniesienie ręki na Rzymianina. W nadchodzących latach

odpowiemy im, jak na to zasłużyli! Ci z was, którzy przemierzają morza ze swoimi towarami, będą pod stałą ochroną naszego miasta. Jeżeli pochwycą was wrogowie, powiecie im, że jesteście obywatelami Rzymu i niech się boją gromu, którym odpowiemy za jedną kroplę waszej krwi. Grom uderzy w waszej obronie, bądźcie pewni. Przysięgam to wszystkim.

Podniósł dłoń wcześniej, nim forum przemówiło tysiącami głosów. Niecierpliwił się. Chciał powiedzieć im więcej. Widział przyszłość, którą mógł im podarować razem z Kleopatrami, tak jasną i doskonałą jak najprostsze słowa.

- Nagradzam darowaniem kary wszystkich, którzy podnieśli ramię przeciw mnie w ostatniej domowej wojnie. Tak jak przebaczyłem ludziom z Korfinium i Grecji, wybaczam wszystkim innym, którzy wypełniali swoje obowiązki i dbali o swój honor zgodnie ze

368

Imperator

swoim sumieniem. Jesteśmy braćmi i siostrami tej samej krwi. Od dziś zaczynamy nowy ład. Zapomnijmy o przeszłości. Nie jestem Sullą ani jego następcą, bym szukał wrogów za każdymi drzwiami. Mam dla Rzymu inne marzenia.

Przerwał, świadomy obecności senatorów i ich nadsluchujących każdego słowa uszu.

- Bogowie pobłogosławili mój ród synem z królewskiej krwi Egiptu. Przyniosłem go tutaj, byście powitali go, tak jak powitaliście mnie.

Jedna ze służ Kleopatry wyszła z dzieckiem do przodu i Juliusz wziął syna w ramiona.

Chłopiec zaczął krzyczeć zdumiewająco głośno. Echo krzyku poniosło się wzdłuż i w poprzek forum, a sam krzyk rozdarł serce Kalpurnii. Człowiek, którego wielbiła, był dumny z syna innej. Straciła go. Odwróciła się i odeszła.

Obywatele Rzymu wykrzyczeli swoją aprobatę, kiedy Juliusz obracał się na wszystkie strony, by pokazać dziecko wszystkim oczom. Ich emocje zawsze były na jego usługach. Juliusz wiedział, że kochają widowiska nade wszystko. Roześmiał się głośno, zadowolony z ich odpowiedzi, nim zwrócił syna w ręce niezadowolonej piastunki. Reakcja tłumu wystraszyła dziecko i kobieta, tuląc je w objęciach, skryła się za senatorami.

- Marzę o świecie, w którym rzymskie sądy będą sądzić według rzymskich praw od najdalszych krańców Afryki po skute lodem kraje północy. Będziecie opowiadać swoim dzieciom, że byliście tutaj, kiedy wrócił Cezar. Powiecie im, że nowy świat rozpoczął nowe życie właśnie tamtego dnia. My sprawimy, że będzie naprawdę nowy i większy niż ten, który przeminął.

Uciszył ich raz jeszcze ruchem dłoni.

-To wszystko nie przyjdzie za darmo czy bez trudu. Dobry rzymski pot i nawet krew będą się łąły tak długo, aż nastanie złoty wiek dla naszych dzieci i dzieci naszych dzieci. Nie boję się ceny. Nie boję się pracy. Nie boję się tych rzeczy, ponieważ jestem obywatelem Rzymu, największego miasta na świecie.

Odwrócił się od zgłębku ich okrzyków, prawie promieniejąc radością. Z ust senatorów za jego plecami zniknęły uśmiechy. Oczy im stwardniały i robiły się coraz zimniejsze, gdy tymczasem na forum łąły się potoki słów, zapalając płomienie w sercach

motłochu.

i Rozdział XXXII

369

Wielu spośród starszych wiekiem mężczyzn zastanawiało się w duchu, czy nad tym

człowiekiem da się w ogóle zapanować.

Po aplauzie i pompatycznych przemówieniach, kiedy nadszedł wieczór, gmach senatu zdawał się rozbrzmiewać głosami duchów. Świętowanie miało się ciągnąć całymi dniami. Cyceron, siedząc samotnie w cieniu, słyszał przez grube mury stłumiony śmiech i dawne pieśni. W nadchodzących dniach zanosilo się na niewiele spokojnych chwil czy czasu na rozmyślania, przynajmniej do chwili, kiedy zabraknie wina.

Zastanawiał się, jak wiele dzieci zostanie poczętych w całym mieście i jak wiele z nich zostanie nazwanych imieniem człowieka, którego dzisiaj czcił Rzym.

Westchnął. U jego stóp leżała amfora z jego własnych piwnic, jeszcze nie otwarta.

Zamierzał być pierwszym, który wypije za zdrowie Cezara, ale jakoś o tym zapomniał, wsłuchując się w wiejący przez miasto świeży wiatr. Republika w końcu umarła, a

tragedią było to, że nikt chyba tego nie zauważał. To, czego tacy ludzie jak Pompejusz czy Sulla nie mogli osiągnąć za pomocą strachu i armii, Cezar zdobył kilkoma

zgrabnymi słowami, zamieniając w gruzy tradycję stuleci.

Kiedy Juliusz wstał, aby powitać nobilów, Cyceron miał jeszcze nadzieję. Śmierć

Pompejusza nie splamiła jego rąk i Marek Tulliusz pomyślał, że starą ugodę z obywatelami da się jeszcze odnowić.

Ta krucha wiara trwała ledwo parę chwil. Prawa Rzymu miały ograniczać władzę i wpływy, tak żeby żaden człowiek nie mógł zanadto się wynieść ponad siebie równych.

Nawet za dni krwawej pożogi starczyło sił, by ściągnąć wodze Mariuszowi czy Sulli.

Cezar dokonał tego, czego nie było mu wolno, daleko od Rzymu. Pozdrowił

senatorów, jakby byli petentami, podczas gdy tłum na zewnątrz skandował jego imię.

Cyceron nie znajdował w sercu miłości do ludu własnego miasta. Teoretycznie był dumny z gorliwego uczestnictwa w wolnych wyborach, tego fundamentu republiki.

Uprawnienia senatu zawsze więcej na nich zyskiwały, niż traciły. Jednak w końcu ci sami obywatele znaleźli sobie przywódcę na własną rękę. Teraz Cezara nic nie mogło

powstrzymać. Jeżeli mogło kiedykolwiek.

Cycon pokręcił głową, przypominając sobie, jak Juliusz przyjął oklepane mowy senatorów. Pozwolił im mówić, ale kiedy sam się podniósł, republika opadła z niego jak złuszczonej skóry. Skrybom omdlały ręce do czasu, kiedy skończył, a tym głupcom, którzy powitali go jak zbawcę, wreszcie otworzyły się oczy.

Cycon miał wrażenie, że zgiełk miasta otacza gmach senatu; zadrżał na myśl o wyjściu na zewnątrz, w pijany tłum. Jakie by to miało znaczenie, gdyby ten tłum wysłuchał mowy Cezara? Obiecał urządzić Rzym na nowo. Nowe forum. Wspaniałe świątynie. Szerokie ulice. Monety bite z galijskiego złota. Jego poplecznicy zajmą wszystkie miejsca w senacie, jego legiony dostaną najlepsze ziemie i weterani staną się bogaczami. Zaplanował cztery triumfy w nadchodzących miesiącach, więcej, niż

udało się odbyć jakiegokolwiek wodzowi Rzymu. Bogowie, temu nie było końca!

Cycon rozpaczliwie pragnął usłyszeć pośród wszystkich obietnic jakiś sygnał, że

Juliusz potrzebuje senatu. Wystarczyłoby jedno jedyne słowo, by uratować ich

godność, ale to słowo nie padło. Snuł wizję przyszłości i nie przyszło mu na myśl, że każdym wypowiedzianym zdaniem coraz bardziej odgradza się i uwalnia od nich.

To nie było tak, jak sobie zaplanowali. Kiedy Marek Antoniusz przeczytał listy

Juliusza, przysłane z Egiptu, posprzeczekali się, w jaki sposób Rzym powinien uczcić

swego największego wodza. Po cichu każdy się zastanawiał, czy ten wódz w ogóle

zaakceptuje senat. Cycon głosował razem z innymi, by uczynić go dyktatorem na

dziesięć lat, rzecz bez precedensu w historii. O ideach republiki milczano. To było wszystko, co mogli zrobić.

Juliusz pokiwał głową na wieści, jakby niczego innego się nie spodziewał, i Cycon popadł w rozpacz. Nie przeoczył momentu, kiedy Juliusz podniósł syna wysoko, na

oczach nienasyconego tłumy, nie przeoczył znaczenia takiego gestu. Ten człowiek nie miał nikogo, kto byłby mu równy i kto by mu położył na ramieniu ostrzegawczą dłoń.

Ciekawe, pomyślał, czy Cezar włączy do triumfalnego przejazdu chłopca i szepnie mu do ucha: „Pamiętaj, jesteś śmiertelny”.

Drzwi z brązu skrzypnęły i Cynceron szarpnął się do przodu, by zobaczyć, kto waży się zakłócić prywatność senatu. Czy na zewnątrz zabrakło straży? Nie byłby zdziwiony,

gdyby mu powiedziano, że zatracili się w pićiu, a rozhisteryzowany tłum wdeptał ich w wymiociny w korytarzach ich władców.

Rozdział XXXII

371

- Kto tam? - zawołał, zawstydzony drzeniem własnego głosu. To nerwowy ton starca, pomyślał z goryczą.

- Swetoniusz - padła odpowiedź. - Szukałem cię w domu, ale Terencja powiedziała, że nie wróciłeś. Martwi się o ciebie.

Cynceron westchnął głośno, z ulgą pomieszaną z irytacją.

- Czy w tym mieście człowiek nie może mieć chwili spokoju? -zapytał burkliwie.

- Nie powinieneś siedzieć po ciemku - odpowiedział Swetoniusz, wyłaniając się z mroków. Przytłoczony atmosferą klęski, nie od razu napotkał wzrok Cyncerona. On też tam był, on też słyszał mowę Cezara.

Na zewnątrz ktoś zaintonował starą pieśń o utraconej miłości, a tłum na forum dołączył do samotnego pieśniarza. Spontaniczny chór głosów śpiewał nierówno, mimo to pięknie. Cyncerona kusiło, by wyjść na dwór i dorzucić do nich swój, dawno zdarty, i stać się częścią tamtej beztroski, nim nowy dzień przywróci twardą rzeczywistość.

Swetoniusz przechylił głowę, także nasłuchując.

- Nie znają go - wyszeptał. Jego oczy, w półmroku, były jak dwa cienie. - A więc mamy być jego sługami? Czy to wszystko, cośmy osiągnęli?

Cynceron otrząsnął się z zadumy.

- W tym mieście trzeba umieć być cierpliwym, senatorze. Ono przetrwa nas i naszą śmierć.

Swetoniusz parsknął pogardliwie.

-A co to mnie obchodzi? Słyszałeś, jakie ma plany, Cynceronie. Potaknąłeś im razem ze wszystkimi innymi, którzy nie śmieli się odezwać.

- Ty też milczałeś - przypomniał mu starszy mężczyzna.

- Sam, co miałbym powiedzieć? - jęknął młodszy.

- Może każdy czuł się sam, tak jak ty.

- On nas potrzebuje, aby móc rządzić. Czy myśli, że nasze kolonie będą się rządzić samodzielnie? Usłyszałeś jedno słowo podzięką za naszą pracę, kiedy jego tu nie było? Usłyszałeś? Bo ja nie.

Płaczliwy ton rozzłościł Cyncerona. Przypomniały mu się własne dzieci.

- On nas nie potrzebuje - warknął. - Jesteś w stanie to zrozu-

372

Imperator

mieć? Jego armie są lojalne wyłącznie jemu, a to on, nie kto inny, przywdział na siebie płaszcz władzy. My jesteśmy ostatnim żarem Rzymu i ten żar podsycamy do życia

własnym oddechem. Wielcy mężowie wymarli.

Na forum pieśń sięgnęła ostatnich przejmujących tonów, potem wybuchła nowa fala owacji.

- Więc co mamy robić? - spytał Swetoniusz.

Cynceron się skrzywił. Nie lubił głosu o jękliwych tonacjach i długo nie odpowiadał.

- Znajdziemy jakiś sposób, by go ze sobą związać- mruknął w końcu. - Ludzie dzisiaj go kochają, ale jutro? Wydadzą pieniądze, które im rozdał, a wtedy samymi

marzeniami nie nakarmią bruchów. Złotymi obietnicami też. Może będą nas potrzebować raz jeszcze.

Potarł sandałem o wypolerowaną posadzkę. Słabość młodszego mężczyzny złościła go nieodmiennie, ale złość napędzała myśli.

- Kto inny może zatwierdzić prawa, których żąda, czy nagrodzić go zaszczytami? One nie biorą się z samego krzyku na forum. To, co odsuwa od siebie, może powrócić z jeszcze większą siłą. Ten człowiek ignoruje dorobek stuleci.

- A -więc taka jest twoja odpowiedź? - Swetoniusz niedwuznacznie szydził. - Nasz opór ma polegać na zatwierdzaniu każdego prawa, czy tak? Na dalszym nagradzaniu i biciu pokłonów?

Cyceron był wściekły, ale potrafił nad sobą panować. Miał teraz tak niewielu sprzymierzeńców. Nawet miernota w postaci Swetoniusza była nie do pogardzenia.

-Jeśli sprzeciwimy się jego woli, zmiecie nas, to wszystko. Ten budynek w ciągu paru godzin wypełni się mężczyznami bardziej skłonny do przytakiwania. Co zyskamy na takim posunięciu? -Przerwał. Otarł z twarzy pot. - Nie możemy dopuścić, by spostrzegł, że radzi sobie bez nas. On już to podejrzewa, ale jego umysł jeszcze wszystkiego nie przetrawił. Gdyby mu się powiedziało, że może rozwiązać senat przez zwykły kaprys, byłby przerażony. Poruszamy się po cienkiej linie, choć dopóki stanowimy jedno ciało, jest nadzieja. Jeśli go zmusimy do ujawnienia zamiarów, nie ma żadnej.

- Boisz się go - powiedział Swetoniusz.

- Tobie radzę to samo - odpowiedział Cyceron.

ROZDZIAŁ XXXIII

Vv ogrodach, które kiedyś należały do Mariusza, Juliusz siedział przy fontannie, pocierając kciukiem grubą złotą monetę. Brutus, poddając się nastrojowi chwili, ogryzał z mięsa nogę kury. Codzienne spotkanie w senacie już się na pewno rozpoczęło, ale ani jeden, ani drugi nie czuł potrzeby pośpiechu. Rzym nawiedziły

nietypowe dla tej pory roku upały. Wiosna miała przyjść nie dalej jak za miesiąc, krótkie dni powinny być wilgotne i zimne, ale zamiast tego wody Tybru opadły i miasto cierpiało duchotę od rana do nocy. Tego dnia, podczas gdy Rzym się przypiekał, Juliusz i Brutus najedli się do syta i wyspali. Chłód wieczoru miał rozproszyć przyjemne rozleniwienie, ale na razie obaj cieszyli się i nim, i słońcem, i każdy był pogrążony w swoich myślach.

Brutus wyciągnął dłoń po monetę. Chrząknął, podniósł aureusa pod słońce.

- Wyglądasz trochę szczuplej niż w rzeczywistości. I chyba masz więcej włosów - zauważył złośliwie i odrzucił pieniądze.

Juliusz mimo woli dotknął głowy.

- Czasami wciąż mnie to zadziwia - powiedział. - Ten kawałek złota będzie podróżował przez tysiące mil, przez tysiące obcych dłoni. Możliwe, że jeszcze długo po mnie ktoś będzie wymieniał kopię mojej twarzy za jakieś siodło czy pług.

Brutus uniósł brew.

- Oczywiście to twarz będzie coś warta, nie złoto.

- Niech ci będzie, ale dziwnie jest pomyśleć o mężczyznach i kobietach, których nigdy nie spotkam, którzy nawet nigdy nie widzie-374

Imperator

li Rzymu, ale którzy będą nosić moją twarz w swoich sakiewkach. Mam nadzieję, że spojrzą na nią, nim ją na coś wymienią.

- Za dużo oczekujesz po ludziach. Zawsze taki byłeś - zauważył całkiem serio Brutus. -

Oni wezmą ziemię i złoto, wszystko, co im dasz, a za rok wrócą upomnieć się o więcej.

Juliusz zasłonił dłonią zmęczone oczy.

- Znów te kolonie? Słyszałem, co wygaduje Swetoniusz. Nazwał przekupstwem obdarzanie godnością biednych Rzymian. Powiedz mi, co to za krzywda dla człowieka dostać skrawek ziemi i na dokładkę parę monet, aby mógł jej wyrwać pierwsze ziarno?

Z własnych zasobów dają osiemdziesiąt tysięcy nowych nadziei na lepsze życie, i kto protestuje? Oczywiście senat, kilka setek wydelikacyonowanych bogaczy. - Parsknął

oburzony. - Minął rok, Brutusie, a czy ktoś z obdarowanych powrócił? Czy zamienił się w żebraka na forum? Nie widziałem żadnego. - Zmarszczył surowo czoło. Czekał na zaprzeczenie.

Brutus wzruszył ramionami i rzucił przez ramię ogryzioną kość. Wylądowała w fontannie.

- Mnie, jak mam być szczery, nigdy nie obchodził ich los. Jedni będą przymierać głodem czy przegrają w kości to, co im dałeś. Inni będą kradli albo dokonywali rozbojów. Może jakiś tyś przeżyje pierwszy rok, zajmując się rzemiosłem, na którym się nie znają. Rzym, tak czy inaczej, ma mniej żebraków, co jest całkiem miłe.

Tu nie będę się z tobą spierał.

- Swetoniusz określił to mianem „odważne, choć niesłuszne”, jakby to był dziecinny wymysł.

- Ale senat nie próbował cię powstrzymać.

- Nie ośmieliłby się! - warknął Juliusz. - Tych, którzy mają głowy otwarte, mógłbym policzyć na palcach jednej ręki. Reszta to płaszczący się głupcy. Nie patrzą dalej ponad własną próżność.

Brutus spojrział ostro na człowieka, którego znał od lat.

- Czy mogą być inni? Tworzą senat, jakiego chciałeś. Wznoszą ci w Rzymie posągi i wymyślają nowe zaszczyty, a za co? Za twoje jedno aprobujące kiwnięcie głową.

Oczekujesz pasjonujących debat, kiedy za jedno nieopatrzne słowo twoje strażę

wywlekają ich na zewnątrz? To ty zrobiłeś ich takimi, jacy są, Juliuszu. - Jeszcze raz sięgnął po aureusa. Przeczytał napis. - Zrobili cię „dyktatorem

Rozdział XXXIII

375

dożywoćnim”, a teraz usiłują znaleźć jeszcze ładniejsze słowa, by ozłocić twoje imię.

To cię mdli, prawda? Mdli bardzo. Juliusz westchnął.

- Zasłużyłem sobie na wszystko, o czym tylko mogą pomyśleć. Powiedz, tak czy nie? -

spytał ponagląco. W oczach miał łód i Brutus odwrócił głowę. - Powiedz mi, gdzie i w czym, od chwili powrotu, przecenilem swoje możliwości. Czy moje obietnice nie

zostały spełnione? Zapytaj Dziesiątego czy Czwartego, którym kiedyś dowodziłeś. Im nie przeszkadzają ani nie szkodzą moje stanowiska.

Słowa były gniewne i Brutus wolał nie dolewać oliwy do ognia. Juliusz obdarzył go większą swobodą działania niż kogokolwiek, większą nawet niż Marka Antoniusza, ale to nie był ktoś mu równy.

- Zrobiłeś to, coś zapowiedział - stwierdził bezstronnie.

Oczy Juliuszowi się zwęziły. Podejrzewał kpinę, ale po chwili twarz mu się rozpozodziła i Brutus z ulgi spłynął potem.

-To był dobry rok. - Juliusz uśmiechnął się i potaknął sam sobie. - Moj syn rośnie.

Myślę też, że po jakimś czasie ludzie zaakceptują Kleopatę.

Brutus ugryzł się w język. Wiedział, że temat jest delikatny. Obywatele życzliwie przyjęli nowo wzniesioną świątynię ku czci Wenus. W dniu jej poświęcenia przybyli tłumnie, aby podziwiać dzieło i zostawić ofiary. Ale rzymska bogini miała twarz egipskiej królowej. Ku wściekłości Juliusza ktoś zbezczescił posąg, doraa-lowując na nim złote brodawki. Trzeba było wystawić stałe straże i wyznaczono nagrodę za wskazanie imienia odpowiedzialnych za tę zbrodnię. Jak dotychczas nikt się po nią nie zgłosił.

Brutus nie śmiał spojrzeć na Juliusza. Bał się, że mars na twarzy wodza mógłby go rozśmieszyć. Potrafił wyznaczać sobie granice, kiedy jego gorycz potrzebowała jakiegoś ujścia. Drażnienie się z próżnością Juliusza było niebezpieczną zabawą, oddawał się jej jedynie wtedy, gdy nie wytrzymał jednostajnego ciągu świąt i

triumfów.

Mocno zacisnął palce. Zastanawiał się, czy obywatele w ogóle są złażnieni uczciwej nudy normalnego życia. Miasto nie miało wprawy, by się oprzeć dyktatorowi, kiedy ten ogłaszał kolejne wielkie zawody czy nagle decydował, że jego najświeższy triumf będzie

376

Imperator

trwał tydzień. Obywatele zawsze byli gotowi wznosić owacje i pić, ile im dano, ale Brutus potrafił sobie wyobrazić wymuszony ton ich głosów, co odpowiadało jego własnemu niezadowoleniu.

Podczas triumfu z przyjemnością obejrzał sceny z Galii, z zawszonym

Wercyngetoryksem, ciągniętym łańcuchami na publiczną egzekucję. To jemu, Brutusowi, przydzielono najlepsze miejsce, by mógł być świadkiem wykrwawiania się wilków i dzika. Nawet położono tamę na Tybrze, by wypełnić cyrk wodą splamioną czerwienią walczących na jej powierzchni okrętów. Senat odpowiedział rozpaczliwym szaleństwem, nadając Cezarowi tytuł Liberator („Wyzwoliciel”) i Pater Patriae („Ojciec Ojczyzny”). Jego ostatni posąg nosił tablicę Deo Invicto, „Bogu Niezwyciężonemu”, i kiedy Brutus to zobaczył, upił się do nieprzytomności i stracił dwa dni z życia.

Bywały chwile, kiedy myślał, że powinien dosiąść konia i opuścić Rzym. Juliusz obsypał go wystarczającą ilością złota i bogactw, by mógł kupić sobie dom i żyć w luksusie. Kiedy robiło mu się niedobrze od tego wszystkiego, marzył o wypłynięciu za morza, na krańce świata, tam, gdzie nie sięgała hojna dłoń i gdzie znalazłby własny sposób na życie. Nie wiedział, czy istnieje jeszcze takie miejsce. Nie mógł odwrócić myśli od Juliusza jak dziecko do swędzącego strupa i z przerażającym

zafascynowaniem zagłębiał się w nowe otchłanie niedoli.

- Idziesz do senatu? - spytał, by przerwać milczenie. Juliusz wydał wargi.

- Mówisz o targowisku, gdzie za jednego miedziaka mogę kupić tysiąc słów? Nie, mam do napisania listy do królów Partii. Nie zapomniałem o tych, którzy spowodowali śmierć Krassusa i jego syna. To stary dług, ale ja go spłcę w imieniu tych, którzy nie mogą mówić.

- Pomyślałem, że wciąż jesteś pijany przyjemnościami Rzymu - powiedział cicho Brutus. - Czy znów chwytasz w nozdrza wiosenny wiatr?

- Być może. Mogę sobie być starym wojennym weteranem, mój przyjacielu, ale imperium nie zbuduje się samym siedzeniem w senacie. Mnie muszą widzieć.

- Dziesiąty to już starzy ludzie - odrzekł Brutus. - Nigdy bym w to nie uwierzył, ale ruszyli do tych swoich gospodarstw i domów, które im dałeś, nie spojrzawszy za siebie.

/

Rozdział XXXIII

377

Juliusz prychnął.

- Do przelewania krwi są nowi ludzie, Brutusie. Nowe legiony, które nigdy nie słyszały wojennych rogów czy nie maszerowały do ostatniego tchu, tak jak my. Co miałbym według ciebie robić po moim ostatnim triumfie? Siedzieć i się uśmiechać, i czekać, aż dorośnie mój syn? Nie jestem człowiekiem na spokojne czasy. Nigdy nim nie byłem.

Ale wiesz - ciągnął weselej - czeka nas jeszcze egipski triumf. Za kilka godzin pojawi się tu tłum skrybów i budowniczych, którzy go zaplanują. - Juliusz zapatrzył się przed siebie, rozważając zatrzymanie wszelkiej aktywności w Rzymie raz jeszcze. - To będzie największe widowisko w historii miasta, Brutusie, zapewniam cię.

- Jak to możliwe, po ostatnim? Ulica wciąż mówi o morskiej bitwie na Polu Marsowym

- powiedział Brutus, pamiętając, by ukryć obrzydzenie.

Olbrzymia kamienna misa była dostatecznie płytka, by każdy mógł zobaczyć martwe ciała, które przywarły do dna jak ciemne korale. W małych łupinkach galer pojmani wojownicy walczyli z pospolitymi przestępcami i skazanymi na śmierć. Bezbarwna

woda zamieniła się w gęstą zupę, a kiedy spuszczone ją na powrót do Tybru, nawet rzeka zrobiła się czerwona. Potem odór gnijących ciał pełzył przez Rzym całymi dniami.

Juliusz klepnął go po ramieniu, podnosząc się i przeciągając leniwie.

- Mam coś na myśli, jeśli chodzi o mój następny. - Zdawało się, że jest bliski wyjawienia swoich planów, ale skończyło się na cichym chichocie. - Zapewnię ci miejsce na forum podczas punktu kulminacyjnego. Powinieneś przyprowadzić ze sobą tę swoją nową żonę.

Brutus przytaknął. Wiedział, że nie przyprowadzi. Ale był ciekaw, czy jego matka zechce oglądać tę jego paradę, tę jego królową i to jego nadęte ego raz jeszcze.

- Czekam z niecierpliwością - powiedział.

Kiedy obrady senatu się skończyły, Marek Antoniusz ruszył przez forum prosto do domu Juliusza. Miał za plecami sześciu uzbrojonych liktorów, chociaż ledwo ich zauważał, tak samo jak rozstępujący się w pośpiechu przed nimi tłum.

378

Imperator

Pod nieobecność Juliusza spodziewał się bardziej ożywionej dyskusji niż zwykle. Jak się okazało, powinien mieć więcej rozumu. Puste miejsce okazało się większą groźbą niż obecność tego człowieka. Wszyscy wiedzieli, że Juliusz otrzymuje szczegółowe relacje z każdego posiedzenia. Jego skrybowie notowali najbardziej bezmyślne wypowiedzi i ustawiczny szelest i poskrzypywanie przyborów do pisania wyprawiało z równowagi nawet takich jak Cynceron.

Bywały chwile, kiedy temat dyskusji przywracał obradom trochę dawnej uczciwości i żaru. Juliusz zniósł system podatkowy w rzymskich koloniach, przekazując prawo do zbierania opłat miejscowym poborcom mniej więcej w dziesięciu prowincjach. Grecy,

po ostatniej nieudanej rebelii, nie byli tacy głupi, by wyzbyć się nieoczekiwanych przychodów, ale pretor Hiszpanii wybrał się do Rzymu ze skargą na wzrost korupcji. Tego rodzaju sprawami żył senat przed wojną domową i podczas sporów i kłótni o szczegóły i nad kolejnymi propozycjami często zapomniano o powściągnięciu języka. Marek Antoniusz wciąż miał przed oczami scenę, kiedy Kasjusz zasugerował, że problem tkwi w samym systemie, i powędrował spojrzeniem do skryby, który wiernie zapisał jego słowa. Zwiędła twarz senatora pobladła lekko, a jego palce stukały nerwowo po pulpicie. Potem dyskusja zaczęła kuleć i pretor Hiszpanii został odesłany bez żadnych postanowień.

To nie było tak, jak on, Marek Antoniusz, sobie wyśnił, kiedy Juliusz przekazywał mu władzę nad Italią, lata temu. Wojna domowa zmierzała do końca, wrzenie w Rzymie

wygasło i, to prawda, nie zaprowadził wielkich zmian, ale miasto najpierw okrzepło, a potem rozwijało się z dnia na dzień. Rzemieślnicy i kupcy ubiegający się

o prawa do uprawiania zawodu mogli być pewni, że prośby są rozpatrywane stosownie do zasług. Senat przekazał trudne kwestie prawnicze sądom i akceptował wyroki bez względu na to, czy mu się podobały, czy nie. On sam pracował ciężiej niż kiedykolwiek

i czerpał cichą satysfakcję ze spokoju i porządku w mieście.

To się zmieniło po powrocie Juliusza. Sądy dalej funkcjonowały, ale nikt nie odważyłby się wnieść oskarżenia przeciw komuś, kto cieszył się względami dyktatora.

Rządy prawa w zasadzie przestały istnieć i Markowi Antoniuszowi robiło się niedobrze od nadmiaru

Rozdział XXXIII

379

ostrożności. Spędził z Cynceronem wiele wieczorów na wspólnych dyskusjach, choć nie w obecności sług. Juliusz miał szpiegów w całym Rzymie i rzadko znajdowało się

człowieka, który na tyle nie dbał o własne życie, by był skłonny mówić źle o dyktatorze, nawet prywatnie i w domowym zaciszu.

To był długi rok, pomyślał Marek Antoniusz, idąc w górę wzgórza. Dłuższy niż jakikolwiek inny w rzymskiej historii. Nowy kalendarz wywołał w mieście wrzawę nieporozumień i doprowadził do chaosu. Juliusz oświadczył, że tak ma być przez czterysta czterdzieści pięć dni, dopóki jego nowe miesiące nie wejdą w życie.

Nietypowe lato, które przyszło zimą, wydawało się jeszcze jednym symptomem zamętu, tak jakby same pory roku czyjaś ręka wytrąciła z równowagi. Uśmiechając się krzywo, Marek Antoniusz przypomniał sobie narzekania Cyserona, że nawet planety i gwiazdy muszą być posłuszne rozkazom Cezara.

Dawniej miasto zatrudniłoby astronomów z całego świata, by uwiarygodnić lub odrzucić idee, z którymi Juliusz wrócił z Egiptu. Zamiast tego senatorowie szli w zawody, który pierwszy przyjmie nowy system, i imiona tych pierwszych dotarły do uszu dyktatora.

Marek Antoniusz westchnął, stając pod bramami dawnej posiadłości Mariusza. Wódz z Galii pogardzałby pochlebczą postawą, która spadła na dostojny senat jak zaraza.

Uznałby jego godność przez wzgląd na tradycję, jeśli nie z jakiegoś innego powodu.

Wciągnął powietrze w płuca i zacisnął palce na grzbiecie nosa. Człowiek, którego znał, mógłby jeszcze zmienić skórę. Taką miał nadzieję. To, że po powrocie do miasta

dawny Juliusz odrobinę oszalał, jeszcze o niczym nie świadczyło. Był pijany sukcesem odniesionym w wojnie domowej. Upajał się spółdzeniem syna. Z drogi od bitwy do

bitwy wskoczył prosto w wir -wielkiego miasta, które czciło go jak jakiegoś boga. Coś takiego mogło zawrócić w głowie każdemu, ale Marek Antoniusz pamiętał go z

czasów, kiedy Galia była ogarnięta pożarami wojny, a on wciąż wypatrywał sygnałów, że najgorsze już jest za nimi.

Liktorów zostawił na ulicy. Wolał nie drażnić dyktatora Rzymu; wolał przejść przez

ogrody w pojedynkę. Juliusz czekał na niego wewnątrz. Objął go ramieniem i mimo protestów rozkazał przynieść schłodzone lodem napoje i przekąski. Był

podenerwowany,

380

Imperator

Marek Antoniusz zauważył to natychmiast. Trzymał puchar wina w trzęsącej się dłoni.

Nieznacznie, ale jednak.

- Mój najświeższy triumf jest prawie gotowy - powiedział po tym, jak obaj rozsiadli się wygodnie. - Mam zaszczyt zaprosić cię na widowisko.

Brutus leżał na brzuchu. Pojękiwał cicho pod mocnymi palcami, które

rozmasowywały jego stare blizny i twarde jak kamień mięśnie. Wieczór był chłodny i

spokojny, a dom jego matki mimo upływu lat wciąż zatrudniał najładniejsze w mieście twarze i najpo-
nętniejsze ciała. Przyzwyczył się przychodzić i wychodzić o każdej

porze dnia i nocy i kobiety pracujące dla Serwili dobrze znały jego nastroje.

Dziewczyna, która się nim zajmowała, nie wypowiedziała ani słowa, od kiedy

rozebrany do naga położył się na długiej ławie, a długie ramiona zwisały mu aż do

podłogi. Brutus poczuł pieczęć zaproszenia pod uciskiem naoliwionych dłoni, ale

nie odpowiedział. Jego myśli za bardzo zdominowało uczucie gniewu i rozpacz, aby

mógł znaleźć ukojenie w jej wprawnych objęciach.

Otworzył oczy na odgłos lekkich kroków. Serwilia uśmiechnęła się ironicznie na widok nagiego
ciała syna.

- Dziękuję, Talio, możesz odejść - powiedziała.

Kiedy za spłoszoną dziewczyną zamknęły się drzwi, Brutus, nieskrępowany

obecnością matki, usiadł na ławie i uniósł brwi w niemym pytaniu. Nie był

zadowolony z nieoczekiwanego najścia. Matka, podobnie jak pracujące dla niej

kobiety, znała jego nastroje i kiedy się u niej zjawiał, nie zakłócała jego prywatności.

Złamanie niepisanej umowy mogło być zapowiedzią czegoś niezwykłego.

Serwilia zarzuciła barwienie siwych włosów. Kiedyś luźno puszczone na ramiona, teraz były ściągnięte do tyłu i mocno upięte nad karkiem. Zachowała proste ramiona i plecy, co tak przyciągało oczy mężczyzn w czasach jej młodości, ale wiek wysuszył jej ciało i robiła się coraz chudsza i coraz bardziej żylasta. Brutus ją kochał, a

przynajmniej tak mu się zdawało. Kochał za jej godność i za to, że nie dała się zepsuć Rzymowi.

Była na forum, kiedy Juliusz chwalił się swoim synem, ale gdy Brutus przyszedł do niej owego wieczoru, okazała chłodną powściągliwość. Uszanował to i gotów był wziąć za dobrą monetę, gdyby

Rozdział XXXIII

381

nie krótka chwila, kiedy na wspomnienie Juliusza w jej oczach zapalił się ogień.

Dotknęła wielkiej perły, którą zawsze nosiła na szyi, i popatrzyła w dal. Za daleko, by Brutus mógł jej towarzyszyć.

- Powinieneś się ubrać, synu, czekają na ciebie goście — powiedziała teraz i podała mu leżącą obok, starannie złożoną togę. - Nosisz ją na nagie ciało?

Brutus wzruszył ramionami.

- Wtedy, kiedy jest gorąco. Co to za goście? Nikt nie wie, że jestem tutaj.

- Żadnych imion, Brutusie, jeszcze nie teraz. To ja ich tu zaprosiłam.

Brutus popatrzył na matkę ze złością i zahaczył spojrzeniem o leżący na stole sztylet.

- Serwilio, nie uczestniczę w tym, co się dzieje w mieście. Czy ci ludzie mają ze sobą broń?

- Nie są niebezpieczni. Nie dla ciebie. Uznałam, że mógłbyś posłuchać, co mają do powiedzenia. Potem ich wyprowadzę i Talia dokończy swojej powinności. Albo możesz towarzyszyć mi przy posiłku w moich komnatach.

- Do czego zmierzasz, matko? - Głos Brutusa stwardniał. - Czyżbyś mnie nie znała?

Mnie nie bawią żadne tajemnice.

- Zobacz się z nimi. Wysłuchaj ich. To wszystko. - Patrzyła w milczeniu, jak chowa

sztylet pod togę, a potem spojrzała mu prosto w twarz. - Wyglądasz na silnego

mężczyznę, Brutusie. Twoje lata dały ci więcej niż tylko blizny. Przyślę ich tu.

Chwilę później drzwi otworzyły się szeroko i do środka weszło dwóch senatorów.

Brutus rozpoznał ich natychmiast. Oczy zwięziły mu się podejrzeniem. Swetoniusz i

Kasjusz. Wyraźnie sztywni z napięcia.

- Dlaczego szukacie mnie w domu mojej matki? Stało się coś ważnego? - Skrzyżował

ramiona, tak by prawa dłoń była blisko rękojeści sztyletu.

Kasjusz przemówił pierwszy.

-A gdzie, poza tym miejscem, znajdziesz w Rzymie jakąś prywatność?

Szyja mężczyzny zapulsowała sznurami żył. Brutus się zastanawiał, czy matka mogła

być aż tak głupia, by zaprosić zabójców do

382

Imperator

własnego domu. Senator był nadzwyczaj zdenerwowany i spięty, to było widać. Brutus

odstąpił krok do tyłu.

- A więc słucham. Z czym przychodzicie?

Wskazał na ławę. Nie spuszczał z nich oczu, kiedy siadali, i nie dołączył do nich. Na wszelki wypadek wolał mieć swobodę ruchu. Instykt nakazywał mu ostrożność, a

uwierająca w biodro twarda rękojeść dodawała odwagi.

-W sprawie, w której przychodzimy, nie mamy imion - przestrzegł Kasjusz. - Na

zewnątrz jest ciemno. Nikt nas nie widział. I nie było żadnego spotkania. - Napięta twarz człowieka rozciągnęła się w nieprzyjemnym uśmiechu.

- No, dalej - warknął Brutus. - Moja matka kupiła wam u mnie tylko kilka minut.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i Kasjusz przełknął nerwowo.

Swetoniusz odchrząknął.

-Jest w mieście paru takich, którzy nie zapomnieli republiki -powiedział. - Takich, których nie cieszy, że senat jest traktowany jak sługi.

Brutus wziął krótki oddech. Zaczynał rozumieć.

- Dalej.

- Ci, którzy kochają Rzym, mogą być niezadowoleni, że w rękach jednego człowieka skupia się aż tyle władzy - rzucił jednym tchem Swetoniusz. Spod linii włosów spływały mu po czole i policzkach grube krople potu. - Nie chcą nowej dynastii królów. Nie chcą, by wyrosła na przekupstwie i obcej krwi.

Słowa zawisły w powietrzu. Brutus wpatrywał się w posłańców. W głowie wirowały mu myśli. Jak dalece Serwilia odgadywała ich zamiary? Ci dwaj ryzykują życie swoje i jego. Wystarczy, by któraś z kobiet podsłuchiwała przez ścianę.

- Zaczekajcie - powiedział i rzucił się ku drzwiom.

Nagły ruch wprowadził Kasjusza i Swetoniusza w widoczną panikę. Brutus szarpnął za klamkę; na zewnątrz, w głębi korytarza siedziała jego matka. Serwilia wstała i podeszła do syna.

- Uczestniczysz w tym? - spytał cicho.

- Urządziłam wam spotkanie. Reszta należy do ciebie.

Brutus popatrzył w błyszczące oczy matki. Zrozumiał, że jej chłód to maska.

Rozdział XXXIII

383

-Wysłuchaj ich - zaczęła raz jeszcze, widząc jego wahanie.

-Jesteśmy sami?

Przytaknęła.

- Nikt nie wie, że tu przyszli ani że się z tobą widzieli. Wiem, bo to mój dom.

Brutus się skrzywił.

- Mogą nas wszystkich zabić.

- Po prostu ich posłuchaj, proszę - powiedziała.

Zamknął drzwi i wrócił do senatorów. Wiedział, czego chcą, ale jak mógł ogarnąć tę wiedzę rozumem w jednej chwili?

- Dalej - warknął w stronę Swetoniusza raz jeszcze.

- Mówię dla dobra Rzymu - powtórzył starą formułkę Swetoniusz. - Chcemy, byś do nas dołączył w tej sprawie.

- W jakiej? - spytał ponagłajaco Brutus. - Wymów te słowa albo wychodź.

Swetoniusz sapnął.

- W sprawie śmierci. Chcemy, byś nam pomógł przywrócić władzę senatu. Tam są słabi ludzie, którzy będą głosować na nowego króla, jeśli się ich nie powstrzyma.

Brutusa ogarnął nienaturalny strach. Zrobiło mu się zimno. Nie mógł zażądać, by któryś z tych dwóch wymówił tamto imię. Nie wiedział, czy by zniósł samo jego brzmienie.

- Ilu jest z wami?

Swetoniusz i Kasjusz wymienili ostrzegawcze spojrzenia.

- Może lepiej, byś tego na razie nie wiedział - rzucił ostro Kasjusz. - Nie usłyszeliśmy twojej odpowiedzi.

Brutus milczał.

- Musisz ją dać. To konieczność. Zaszliśmy za daleko, by odstąpić od raz podjętych zamiarów.

Brutus popatrzył na obu mężczyzn. Wiedział, że odmowa równa się śmierci. Na zewnątrz czają się łucznicy i któraś strzała go przeszyje, gdy tylko stanie w drzwiach.

On by to tak zaplanował.

Nieważne. Wiedział od początku, co powie.

-Jestem właściwym człowiekiem - powiedział szeptem. Twarze mężczyzn zaczęły się odprężyć. - Trzeba zachować ostrożność, ale matki nie chcę w to wciągać. Wynajmę inny dom na spotkania.

-Myślałem... - zaczął Swetoniusz.

384

Imperator

Brutus uciszył go niedbałym machnięciem.

- Nie. Jestem właściwym człowiekiem i to ja wami pokieruję. Nie będę kładł głowy pod topór dla głupców i tajemnic. Jak mamy to zrobić, zrobmy dobrze. - Przerwał.

Wziął głęboki oddech. - Jeżeli mamy ryzykować życie dla dobra Rzymu, to się spieszymy. Wiosną planuje wyruszyć przeciw Partom, a to znaczy, że nie będzie go tutaj przez lata.

Kasjusz uśmiechnął się triumfalnie. Wstał i wyciągnął dłoń.

- Republika jest warta życia - powiedział, kiedy Brutus ścisnął jego kościste palce.

ROZDZIAŁ XXXIV

.Tłatki róż, rozsypywane z dachów milionami, płynęły przez powietrze nad triumfalnym pochodem dyktatora. Obywatele Rzymu, oczarowani, wyciągali po nie dłonie jak dzieci. Tygodniami wędrowali do miasta ze swoich gospodarstw i domów, przyciągani powabem sławy i widowiska. Cena za łóżko wzrosła, ale Juliusz obdarował każdą rodzinę workiem srebra, dzbanem słodkiej oliwy i ziarnem na chleb. Miasto było przesiąknięte zapachem wypieków, kiedy wstali o świcie, by popatrzeć, jak Juliusz składa w świątyni Jowisza ofiarę z białego byka. Znaki wróżyły dobrze i tego się spodziewał.

Do zorganizowania triumfu zatrudnił setki, od dawnych legionowych poszukiwaczy przygód, obsługujących dzikie afrykańskie zwierzęta, po kamieniarzy, którym

powierzył zadanie odtworzenia Aleksandrii w Rzymie. Posągi egipskich bogów stały wzdłuż ulic przez całe miasto i do południa były obwieszane wspinającymi się na nie gromadnie dziećmi.

Stare ulice nabrały odświętnej atmosfery. Każde skrzyżowanie ozdobiono jasnymi proporcami wesoło powiewającymi nad miastem. O zmroku wiele przyszlých narzeczonych miało przyjść do Juliusza z podziękowaniem za tkaniny na suknie ślubne. Tymczasem Rzym był pomieszaniem kolorów i hałasu.

Kolumna, która przewijała się przez główne ulice, w południe była dłuższa niż na milę i obrzeżona nieprzerwanym sznurem wiwatujących obywateli. Żołnierzy Dziesiątego i

Czwartego odwołano z zasłużonego latami wojen odpoczynku, aby osobiście poprowa-

386

Imperator

dzili Juliusza przez miasto. Maszerowali jak bohaterowie, i ci, którzy znali ich historię, okazywali wdzięczność na widok mężczyzn, zdobywców Galii i pogromców Pompejusza spod greckiego Far-salos.

Gładiatorzy nosili na głowach pióra sokołów i skóry szakali, podczas gdy prowadzone na łańcuchach lamparty pluły złośliwie i wyrywały się ku uciesze tłumu.

W samym sercu pochodu znajdowała się jego duma, wielki powóz, wyższy niż dwadzieścia stóp, z jednym sfinksem z przodu, drugim z tyłu, zaprzężony w osiemdziesiąt potrząsających długimi grzywami białych koni. Juliusz i Kleopatra siedzieli razem, na podwyższeniu otoczonym poręczą, rozpierani radością z udanego widowiska. Królowa miała na sobie krwistoczerwoną szatę, która pokazywała, że jej brzuch odzyskał dawną jędrność. Królewskie powieki były umalowane na czarno, a włosy przeplecione złotem. W uszach i na szyi błyszcząły rubiny, stosowne do takiego święta. Różane płatki unosiły się wokół obojga, a Juliusz był w swoim żywiole, pokazując królowej Egiptu wspaniałości Rzymu. Aureusy z jego podobizną spadały

jak deszcz prosto w wyciągnięte ręce poniżej, darmowe wino lało się strumieniami, darmowe jedzenie napychało do syta brzuch każdego obywatela.

Kleopatra, nie dowierzając gustom posłańców Juliusza, sama posłała po najzręczniejsze tancerki ze świątyń Egiptu. Tysiąc urodziwych twarzy wirowało w rytm dziwnej muzyki jej ojczyzny, a nieprzebrane tłumy doceniły urodę obnażonych nóg. Tancerki miały w dłoniach tłące się pałeczki kadzideł, od których po ulicach snuły się wstążki dymu i gryzły w oczy cierpkie zapachy. Takie szaleństwo pobudzało zmysły i Kleopatra z uciechy nie mogła się nie śmiać na głos. Cezar to właściwy wybór.

Jego lud umiał głośno wyrażać swoje zachwyty, a ją zachwycało życie w takim mieście.

Ile energii było w tych ludziach! To oni budowali galery i mosty i kładli wodociągi przez setki mil. Falujący tłum nie myślał o przekraczaniu rzek, przepaści i oceanów i niesieniu światu swoich towarów. Z jego łona wychodzili żołnierze twardzi jak żelazo, i to oni wykonywali całą pracę.

Jej syn, otoczony takimi ludźmi, będzie bezpieczny, była tego pewna. Egipt będzie bezpieczny.

j

Rozdział XXXIV

387

Przejazd przez Rzym zabrał im godziny, ale tłumy wciąż nie miały dość widoków ani dźwięków z innego kontynentu. Myśliwi uwięzili olbrzymiego goryla, który nigdy nie widział Nilu. Zwierzę pokrzykiwało na obywateli, kiedy przyglądali mu się w podziwie, odskakując ze strachu i śmiejąc się na widok potężnych ramion bijących bezsilnie o solidne pręty. Juliusz zaplanował walkę potwora z grupą mężczyzn uzbrojonych w miecze w cyrku na Polu Marsowym, a nie było lepszej zachęty do oglądania widowiska niż jego wściekłość. Jego ludzie kochali nowinki i dla ich uciechy kazał sprowadzić z Afryki najdziwniejsze zwierzęta.

Kiedy u wylotu ulicy raz jeszcze ukazało się forum, Kleopatra wycofała się za zasłony powozu, miejsce wyłożone jedwabiem i złotem, kołyszące się kojącym, jednostajnym

ruchem. Niewolnicy czekali tam na jej każde skinienie, z zimnymi napojami i jedzeniem, chociaż jej syn spał bezpiecznie w dawnym domu Mariusza. Kilkoma szybkimi ruchami wyswobodziła się z sukni, stanęła naga i wyciągnęła ramiona po strój jeszcze bardziej bogaty. Rubiny przyozdobiły piersi, nadgarstki i kostki u nóg - wielkie szmaragdy ze srebrnymi zapięciami. Kiedy niewolnice ją ubierały i dotykały oczu świeżym kohlem, dzwoniły malutkie dzwoneczki. Niech patrzą na królową, którą znalazł sobie Juliusz, pomyślała. Niech zazdroszczą.

Na ulicy muzyka jej ludzi nabrzmiewała coraz bardziej. Kleopatra zrobiła kilka tanecznych kroków zapamiętanych z dzieciństwa, napierając na drewnianą podłogę małą, wysoko sklepioną stopą. Usłyszała śmiech Juliusza i okręciła się w kółko. Niech się napatrzy. -Wzniosę do ciebie toast najlepszym winem Rzymu, kiedy to się skończy - powiedział. W oczach miał czułość. - Daj im się zobaczyć teraz, kiedy zejdem do nich.

Kleopatra skłoniła głowę.

-Jak sobie życzysz, panie.

Uśmiechnął się w odpowiedzi na jej udawaną uniżoność i pokazał się publiczności.

Konie zatrzymano, a dumni żołnierze Dziesiątego zrobili mu przejście na podwyższenie z pojedynczym miejscem do siedzenia. Juliusz zwlekał chwilę na szczycie schodów, ciesząc się widokiem zatłoczonego forum, oglądanego z wyjątkowo wysokiego miejsca.

388

Imperator

Kleopatra wyszła zza zasłon. Tłum, widząc jej nowe szaty i ozdoby, wzniosł nową owację. Juliusz obrzucił swoją królową ukradkowym spojrzeniem. Chciałby wiedzieć, jak wiele rzymskich matron pośle nowe zamówienia do szwaczek, ledwo wstanie nowy

dzień.

Kiedy dotknął stopą ziemi, Dziesiąty zaintonował smutną legionową pieśń, której nie słyszał nie wiadomo od jak dawna. Egipscy muzycy ucichli i nad forum popłynęły

głębokie głosy, wspominające stare batalie jego młodości. Juliusz nie planował tej odsłony triumfu. Poczul, że szczypią go oczy. Szedł między wymierzonymi w niebo włóczyniami, między ludźmi, którzy znali go lepiej niż ktokolwiek.

Kiedy kroczył po bruku, szeregi się za nim zamknęły[^] a tłum ruszył do przodu. Tłum tych, którzy znali słowa pieśni; w ich śpiewie i w śpiewie tysiąca gardeł starych żołnierzy utonęły nawet nieustające owacje. To nie mogło nie poruszyć serca wodza.

Marek Antoniusz już stał na podwyższeniu i Juliusza przeszyły dreszcze. Niemal ostatnim wysiłkiem woli dobrnął do celu i uśmiechnął się do ludu rzymskiego, który przyszedł wyrazić uznanie za jego życie.

Pieśń ucichła wraz z ostatnią linijką powtórzoną trzy razy i ciszę, która zapadła, rozdarł potężny ryk.

Juliusz popatrzył na Marka Antoniusza. Wiedział, że nadszedł czas. Podniósł dłonie, jakby chciał tłum uspokoić, gdy tymczasem do przodu wysunął się Marek Antoniusz.

Juliusz stał spokojnie, ale oszalałe serce przyprawiało go o zawrót głowy.

Marek Antoniusz trzymał w dłoniach koronę, prostą złotą opaskę. Juliusz popatrzył ponad tłumem, gdy spoczęła na jego głowie, słuchając i nasłuchując zmiany w głosach Rzymu.

Zachwyt i krzyki zaczęły cichnąć, kiedy każdy zobaczył, co się stało. Juliusz czekał tak długo, jak mógł, boleśnie świadomy reakcji tłumy. Z gorzkim uśmiechem zmusił się

do zdjęcia korony chwilę wcześniej, nim owacje załamały się do końca. Błady z napięcia złożył ją z powrotem w dłonie Marka Antoniusza.

Zmiana była natychmiastowa. Tłum odpowiedział falą dźwięków niby namacalną siłą.

Juliusz ledwo mógł myśleć pośród ich ryków, chociaż piersi już zaczęły mu wzbierać furia.

Na schodach senatu grupa młodych mężczyzn wymieniła ostroż-

Rozdział XXXIV

389

ne spojrzenia. Swetoniusz zmarszczył podejrzliwie czoło, a Kasjusz ścisnął czyjeś ramię. Nie wznosili owacji i nie krzyczeli z całą resztą. Stanowili oazę ciszy pośród głośnego forum. Ich oczy były zimne, wzrok twardy.

Marek Antoniusz zdawał się nie rozumieć reakcji tłumu i wysuwając się znów do przodu, znów wcisnął koronę na czoło Juliusza. Cezar podniósł dłoń, by dotknąć miękkiego metalu. Wiedział, że chcą mu odmówić raz jeszcze. Jego nadzieje były pogrzebane, ale widowisko musiało trwać.

Zwrócił złoto Markowi Antoniuszowi.

- Dostyc - mruknął przez zęby, chociaż jego głos i tak ginął w tysiącach innych.

Marek Antoniusz nie słyszał ostrzeżenia. Kiedy Juliusz poprosił, by go ukoronować na forum, bał się najgorszego. Teraz, kiedy zobaczył, że to miała być manifestacja na

cześć zwolenników republiki, niemal wpadł w histerię z podniecenia. Śmiejąc się, wznosił koronę w górę po raz trzeci, ale Juliusz przestał panować nad sobą.

- Dotknij tym czymś mojej głowy raz jeszcze, a nigdy więcej nie zobaczysz Rzymu - warknął, sprawiając, że Marek Antoniusz cofnął się zmieszany.

Twarz Juliusza naznaczył gniew. Bogowie jedynie wiedzieli, co miał im teraz powiedzieć. Mowa, którą przygotował, zależała od zaakceptowania korony. Nie wiedział, gdzie tkwił błąd; wiedział, że nie może przyjąć złotej opaski po raz trzeci.

Niech myślą, że to wielka gra, nic więcej. Popatrzył tam, gdzie nad motłochem stała Kleopatra. Twarze obojga wyrażały rozczarowanie. Znała jego nadzieje i tego, że rozsypały się w gruz na jej oczach, nie mógł znieść.

Nic nie rozumiejący tłum uspokoił się wreszcie, czekając na jego mowę. Juliusz stał jak zamroczony. Usiłował znaleźć jakieś słowa.

- Nadejdzie dzień, kiedy Rzym zaakceptuje króla raz jeszcze - powiedział w końcu. -

Ale to nie stanie się dzisiaj.

Zagłuszyli go, a on ukrył gniew i rozczarowanie. Nie miał nic więcej do powiedzenia.

Zszedł na dół, nie czekając, aż jego Dziesiąty ponownie zrobi przejście, ale po tym, co zobaczyli, ludzie ustępowali z drogi w strachu i dostojnie.

Juliusz płonął z upokorzenia. Triumf jeszcze się nie skończył.

390

Imperator

Konie i klatki, tancerki i powozy torowały sobie drogę na jego nowe forum i na koniec widowiska przy świątyni Wenus. Przysiągł sobie w duchu, że jeśli tam tłum nie doceni należycie jego dzieła, poleje się krew, nim dzień się skończy.

Kiedy fala ludzka parła naprzód, samotna postać w srebrnej zbroi obróciła się twarzą ku schodom senatu, tam gdzie bieleły togi krwiożerczych sępów. Znał ich dobrze.

Wiedział o wiele lepiej niż oni, co Juliusz próbował zrobić, i ta wiedza umocniła jego postanowienie i dodała mu sił. Rzym będzie oczyszczony, a on znajdzie swoją ścieżkę, na którą już nigdy nie padnie cień Cezara.

Nim przyjdzie wiosna, Juliusz odejdzie z miasta. To powinno nastąpić szybko.

Serwilia leżała w ciemnościach, niezdolna zasnąć. Zimowe dni w końcu zrobiły się zimne i kalendarz Juliusza zaczął się z końcem lutego, sprowadzając deszcz na spieczone upałem miasto. Słyszała, jak uderza o dach nad głową i spływa do ścieków ulicznych, splukując kurz.

Jej dom był spokojny, ostatni klienci wrócili do swoich domów godziny temu. Sen powinien przyjść łatwo, ale zamiast tego bolące stawy nie mogły się uspokoić, a w głowie kłębiły się myśli.

Nie chciała o nim pamiętać, ale wspomnienia nasuwały się same, a ich blask był jedynym pocieszeniem starzejącego się ciała. Przyłapywała się na tym, że nawet w słońcu jej myśli wracały do innych czasów, w nocy jednak nie było niczego, co by

mogło powstrzymać falę wspomnień, które jedno za drugim wślizgiwało się do jej umęczonych snów.

Kochała go tam, w Hiszpanii, u podnóża obalonego posągu Aleksandra. On należał do niej, ciałem i duszą. Ona do niego. Wtedy spalał się w miłości do niej, ale potem jego miłość wypaliły okrutne doświadczenia.

Westchnęła, otuliła się szczerzej przed chłodem. Nie było nadziei na odpoczynek, nie tej nocy. Może tak być powinno, że właśnie tę noc spędza na myślach o nim.

Wciąż miała przed oczami jego twarz, kiedy unosił w górę syna. Upragnionego od lat, wymarzonego, wiedziała o tym lepiej niż kto inny. Gdyby zauważył ją w tłumie, nie poznałby starej białowłosej

Rozdział XXXIV

391

kobiety. W chwili, kiedy jego serce rozpierała największa radość, ona całym sercem go nienawidziła. Brutus poznał płytkość jego miłości. Przełknęła gorzkość na myśl, jak

kiedyś wstawiała się za synem, który go zdradził, który przeszedł na stronę

Pompejusza. Przerażona tą zdradą nie słuchała jego ostrzeżeń, że Juliusz nigdy jej nie potrzebował tak, jak ona jego.

Nie dbała o pompatyczne argumenty ludzi takich jak Swetoniusz i Kasjusz. Ich zżerała zazdrość, choć zasłaniaли się honorem. Byli zanadto mierni, by kochać republikę, czy nawet rozumieć, co kiedyś znaczyła. Powinni raczej wstać i powiedzieć, że go

nienawidzą, ponieważ ich nie zauważa. To próżność i duma poprowadzi ich sztylety.

Wiedziała to tak dobrze, jak dobrze znała serca mężczyzn. Bawili się w te swoje hasła i naszeptywania, spotykali w podcieniach bram i cieniach nocy, ale prawda nie

przerażała jej tak jak ich. Jej nienawiść była czysta.

Przesunęła dłonią po pomarszczonej twarzy, zaskoczona łzami. Oto rzeczywistość

skradzionych jej lat, pomyślała. Zabrały jej radość, a jedyne, co zostawiły, to gorzki ból i próżne łyżki.

Ile wziął żon, by z jego nasienia wyrosło życie? Ani razu nie poprosił o to ją,

prostytutkę. Ani razu, nawet kiedy jej łono było płodne, a jej ciało jędrne i silne. Setki razy korzystał

z jej wiedzy przeciw swoim wrogom. Chroniła go i przy niej był

bezpieczny, a teraz została zapomniana. Chude palce zacisnęły się na płótnie pościeli, kiedy pomyślała o jego dumie z syna. Płaci się w życiu za wszystko.

Fala deszczu poniosła się przez miasto i Serwilia zapłakała raz jeszcze. O świcie idów marcowych Rzym będzie czysty. Przeszłość już nigdy nie zakłóci jej snu.

ROZDZIAŁ XXXV

Juliusz szedł przez budzące się miasto do senatu. Syn zakłócił mu nocny odpoczynek płaczem i teraz, kiedy patrzył na stragany i rozkładających towary kupców, oczy miał czerwone z niewyspania.

Lubił Rzym w pierwszych chwilach po deszczu, kiedy powietrze pachniało świeżością i czystością, a nadchodzący dzień zapowiadał się obiecująco. Wiatr był zimny, ale

Juliusz miał na sobie płaszcz, a pod nim grubą tunikę, i z przyjemnością zaciągał się każdym oddechem.

Spokoju pierwszych godzin dnia nie mąciły kroki żadnych straży. Nie potrzebował liktorów, aby marszczyli czoła na jego obywateli, mijających ich pospiesznie i ze spuszczonej oczami. Mogli nie akceptować korony ofiarowanej przez Marka

Antoniusza, ale człowiek był nietykalny. Nie bał się ich, tak jak się bali ludzie pokroju Sulli i Pompejusza. Tamci, przerażeni tą samą siłą, która wyniosła ich do władzy,

traktowali obywateli tak, jak się traktuje nierozumne gwałtowne dzieci. On nie

potrzebował ochrony. Westchnął, idąc dalej kamiennych chodnikiem, zatopiony w myślach.

Gdyby nie Kleopatra, mógłby opuścić Rzym miesiąc wcześniej. Z odległości tysięcy

mil kochał swoje miasto miłością idealną. Potrafił mówić o nim z takim samym

uniesieniem, jak mówił o Aleksandrii, Kartaginie czy Atenach, wielkich ośrodkach

dawnych imperiów. Odległość w jakiś sposób dodawała tajemniczego uroku trudnej

mrówczej rzeczywistości. Kiedy Rzym zostawał tysiące mil na zachód, łatwiej było

dostrzec chwałę jego uczonych, pomysłowość obywateli i wprawne ręce

rzemieślników. W dusznej atmosfere-

Rozdział XXXV

393

rze miłkiego współzawodnictwa i próżności senatu nie pamiętało się o takich rzeczach. Jedno i drugie dzieliła przepaść nie do przebycia. Kiedy ogarniała go rozpacz, miasto jego narodzin pokazywało mu swoją najbrzydszą twarz. Życie tonęło w brudzie uliczek i za kilka miedziaków można było kupić kobietę, mężczyznę czy dziecko. Podczas upałów stolica imperium cuchnęła jak otwarty ściek, a w mrozy tysiące umierały z głodu, a następne znajdowały się na krawędzi przeżycia. To były chwile, kiedy tracił dech w piersiach. Kiedy trudna prawda burzyła spokój jego serca. Wtedy myślał o jednym: odjechać i zostawić za sobą wszystko.

Posiadać władzę i moc dokonywać zmian na początku było doznaniem odurzającym.

Cokolwiek przyszło mu na myśl, mogło być zrobione, stworzone albo odtworzone na nowo. Ale ta radość trwała krótko, jak wiele innych. Wciąż był złałkniiony czegoś, czego nie umiał do końca określić, i kiedy świeżo upieczeni dowódcy przyszl z wieściami o niepokojach w Partii, nie odesłał ich z niczym. Marek Antoniusz mógł rządzić

Rzymem raz jeszcze; może Oktawian. Ten ostatni zasłużył sobie na prawo odcisnięcia na mieście swojego piętna, a mały Cezarion jeszcze długo będzie potrzebował silnych protektorów. A więc, Oktawian, zdecydował w myślach i wyobraził sobie promieniejącą zaskoczeniem minę młodego człowieka.

Za murami miasta legiony młodych mężczyzn czekały, by wy-maszerować na Partów.

W obliczu tak wielu młodzieńczych nadziei Juliusza opuścił niepokój. Jeszcze nie zrobiono z nich cyników. Jeszcze noszą nie więcej niż miecz i tarczę Rzymu, pomyślał, jeszcze idą przez życie po omacku. Kiedy ruszą na wschód, zabiorą ze sobą wyidealizowany obraz miasta, jego najczystsą część. To ten obraz przeprowadzi ich przez ból i żołnierską poniewierkę. Każe wytrwać w dyscyplinie, kiedy zobaczą nadchodzącą śmierć i kiedy nagle rozumieją, że śmierć nie zbacza z drogi. Każdy z

niech doda wartość do tego, co zostawił za sobą. Będą mówić: „Za coś takiego mogę oddać życie”. I oddadzą. Bez tych młodych mężczyzn, stojących na Polu, nie byłoby w mieście żadnych wartości.

Niedawno Brutus go spytał, czy uderza mu do głowy wiosenne powietrze. Uśmiechnął się. To prawda, myśl o nowej kampanii rozgrzewała mu krew na nowo. Wykorzystał swój czas w Rzymie. Jego triumf będą pamiętać przez pokolenia i senat uczcił go jak nikogo

394

Imperator

w historii. Za jego, Juliusza, tytuły, Scypion Afrykański dałby sobie odciąć prawe ramię. Mariusz, jego wuj, byłby zachwycony każdą chwilą.

Nie zdążył dotrzeć do stóp wzgórza, kiedy zobaczył samotną postać w todzie tak białej jak wiosenny szron. Ściągnął brwi. Mężczyzna szedł w jego stronę. Czy bez niego nic nie potrafią zrobić? Jaka to sprawa jest aż tak nagląca i trudna, że muszą wytrącać go z równowagi wcześniej, nim dzień się zaczął? Senator podszedł bliżej i skłonił głowę.

To był Kasjusz.

- Cezarze, senat wyznaczył posiedzenie na rano, w teatrze Pompejusza. Mam cię o tym zawiadomić.

- Stało się coś? - rzucił ze złością Juliusz.

- Idy marcowe to rocznica dnia, kiedy Pompejusz został konsulem, panie.

Postanowiono uhonorować w ten sposób jego rodzinę. Postanowienie podjęto pod twoją nieobecność. Martwiłem się, że mógłbym cię nie znaleźć, i...

- Wystarczy... - warknął Juliusz. - Nie mam czasu wczytywać się w każde słowo każdej wygłoszonej mowy.

Kasjusz pochylił głowę w ukłonie raz jeszcze i Juliusz zdusił w sobie złość na intruza.

Zrównując krok za najbliższym przejściem z kamieni, obaj skręcili w prawo, w stronę Kapitolu.

Nagle Juliusz się zatrzymał.

- Co z tobą, panie? - spytał Kasjusz.

- Nic, już nic. Przypomniał mi się pewien stary człowiek, którego znałem dawno temu.

- Rozumiem, panie - padła półprzytomna odpowiedź.

- Pocisz się, Kasjuszu - zauważył Juliusz. - Powinieneś więcej chodzić. Dla zdrowia.

- To chłód, panie, nic więcej - odpowiedział Kasjusz, wbijając wzrok przed siebie.

Teatr Pompejusza, od czasu ukończenia, był wielokrotnie używany jako drugi gmach

senatu. Mógł pomieścić nawet grubo przesadzone liczby nowych senatorów, których

Juliusz wprowadził na urząd od czasu powrotu do miasta. W debatowaniu z

najważniejszymi obywatelami Rzymu u stóp posągu Pompejusza zawsze widział

pewną przyjemność. Jak duch unosił się nad nimi wszystkimi

Rozdział XXXV

395

idealnie wykonany odlew, który uchwycił surowe rysy człowieka w jego najlepszych

latach.

Juliusz był zdziwiony. Słońce już weszło, ale przy głównym wejściu stało nie więcej niż kilku senatorów. Na jego widok dwóch oderwało się od reszty i weszło do środka.

Juliusz zmarszczył czoło na myśl o czekającej go pracy. Kiedy był młody,

przysłuchiwał się dyskusjom w senacie z uczuciem podobnym do grozy. Kiedy był

młody, stawali na rostrze wielcy mężowie. Dominowali nad innymi i zmieniali Rzym

potęgą własnych myśli i słów. Zainspirowali go, a on im dorównał.

To tragiczne, że bohaterowie stracili dawny blask, który kiedyś wyłaczał ich twarze.

Możliwe, że ludzie niższego stanu, wprowadzeni przez niego w szeregi nobilów,

jeszcze milczą tchórzliwie, kiedy stanowi się jakieś prawo. Choć możliwe również, że o wielkich sprawach tego wieku już zdecydowano. Możliwe, że widział ostatnie wielkie

postaci chodzące po ulicach Rzymu. Tamci mężczyźni byli dostatecznie silni, aby

kwestionować ograniczenia republiki. Echa ich bitew dawno przebrzmiały, ale to u

nich pobierał nauki, i nieważne, czy nosi koronę czy nie.

Minął wejście, ledwo skinąwszy tym, którzy stali wokół w szarym świetle. Zajął miejsce na ławie blisko środkowego podium. Dzisiaj będzie mówił. Być może jeszcze raz spróbuje im uzmysłwić potrzebę poszerzania terytoriów Rzymu. Będzie mówił, chociaż oni wydają się głusi na jego słowa i ślepi na idee. Rzym nigdy nie powinien zadowalać się tym, co raz złożono mu u stóp. Ile razy widział małe rebelie ogarniające kraj płomieniem? Ile razy wypróbowywano siły senatu od zewnątrz? Pamiętał

Mitylenę, pamiętał Syrię. Pamiętał tamte jastrzębie, które czekały, by Rzym choć raz uspił swoją czujność.

Na świecie żyło tysiące pomniejszych królów, którzy zginali kolana i pochylali głowy, wciąż czyhając na moment słabości. Tylko głupiec mógł im dać coś takiego. Gdyby

rzymscy wodzowie kiedykolwiek zatrzymali się w miejscu i powiedzieli: „Doszliśmy dostatecznie daleko”, byłby to koniec milionów, które oddały życie, aby Rzym doszedł do tego miejsca.

Juliusz, pogrążony w myślach, nie zauważył Tiliusza Cymbra zmierzającego ku niemu wzdłuż łuku ław. Kiedy młodszy mężczy-

396

Imperator

zna złapał go za togę i rozchylił ją jednym szarpnięciem, Juliusz uznał ten gest za niefortunne potknięcie.

Ale Cymber, z twarzą nagle stężałą, trzymał go dalej. Juliusz zapłonął gniewem.

Ścisnął szpony palców tamtego obiema dłońmi, by je od siebie oderwać.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknął na napastnika, usiłując wstać.

Kątem oka zobaczył obracające się ku niemu twarze; pozostali mężczyźni ruszali mu z pomocą. Był wściekły, ale wiedział, że wystarczy poczekać chwilę, a Cymber zostanie odciągnięty. Karą za położenie ręki na nim była śmierć, a w jego sercu nie będzie

miejsca na litość.

Cymber był młody i silny; Juliusz, od tysięcy mil marszu, suchy jak stary dąb. Ręce mu się trzęsły z wysiłku, ale nie mógł oderwać niezmordowanych palców, które

zaczęły się na jego szyi.

Mężczyźni, którzy mieli przynieść mu pomoc, otoczyli najbliższe ławy. Ich gardła zachłysnęły się krzykiem. Juliusz zobaczył, jak Swetoniusz, o czerwonej, oszalałej z emocji twarzy, sięga po sztylet, i serce mu zamarło. W końcu zrozumiał, co się wydarzyło. Cymber się uśmiechnął, widząc to. Wzmocnił uścisk i czekał na cios Swetoniusza.

Juliusz rozglądał się wokół rozpaczliwie. Kogo miałby zawołać? Gdzie się podziewa Cyron? Gdzie Brutus? Gdzie jest Oktawian czy Marek Antoniusz? Krzyknął, jak mógł najgłośniejszy, ale Swetoniusz już kreślił ostrzem sztyletu krwawe linie na jego ramieniu. Dwaj inni odepchnęli Cymbra. W ich oczach była żądza mordy i Juliusz zawołał o pomoc raz jeszcze. Czuł, jak sztylet wchodzi mu między żebra. Czuł, jak wychodzi i jak znów go wbijają.

Któryś z mężczyzn upadł na niego, wchodząc w drogę innym. Juliuszowi na moment udało się stanąć na nogi i w ostatniej chwili zasłonić ramieniem szyję. Wymierzone w nią ostrze rozcięło dłoń. Juliusz, wepchnięty z powrotem w ławę naporem powarkujących ciał, krzyknął z bólu.

Krew była wszędzie. Plamiła białe togi i rozbryzgiwała się na twarzach. Juliusz pomyślał o synu. Przeraził się. Co oni z nim zrobią? W śmiertelnej udręce pchnął jednego z napastników coraz słabszym ramieniem. Opadał z sił. Prawie nie czuł, jak sztylety, raz za razem, dziurawią mu podrygujące spazmatycznie nogi.

396

Imperator

zna złapał go za togę i rozchylił ją jednym szarpnięciem, Juliusz uznał ten gest za niefortunne potknięcie.

Ale Cymber, z twarzą nagle stężałą, trzymał go dalej. Juliusz zapłonął gniewem.

Ścisnął szpony palców tamtego obiema dłońmi, by je od siebie oderwać.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknął na napastnika, usiłując wstać.

Kątem oka zobaczył obracające się ku niemu twarze; pozostali mężczyźni ruszali mu z pomocą. Był wściekły, ale wiedział, że wystarczy poczekać chwilę, a Cymber zostanie odciągnięty. Karą za położenie ręki na nim była śmierć, a w jego sercu nie będzie

miejsca na litość.

Cymber był młody i silny; Juliusz, od tysięcy mil marszu, suchy jak stary dąb. Ręce mu się trzęsły z wysiłku, ale nie mógł oderwać niezmordowanych palców, które

zaczisnęły się na jego szyi.

Mężczyźni, którzy mieli przynieść mu pomoc, otoczyli najbliższe ławy. Ich gardła

zachłysnęły się krzykiem. Juliusz zobaczył, jak Swetoniusz, o czerwonej, oszalałej z emocji twarzy, sięga po sztylet, i serce mu zamarło. W końcu zrozumiał, co się

wydarzyło. Cymber się uśmiechnął, widząc to. Wzmocnił uścisk i czekał na cios Swetoniusza.

Juliusz rozglądał się wokół rozpaczliwie. Kogo miałby zawołać? Gdzie się podziewa

Cyron? Gdzie Brutus? Gdzie jest Oktawian czy Marek Antoniusz? Krzyknął, jak mógł

najgłośniej, ale Swetoniusz już kreślił ostrzem sztyletu krwawe linie na jego ramieniu.

Dwaj inni odepchnęli Cymbra. W ich oczach była żądza mordy i Juliusz zawołał o

pomoc raz jeszcze. Czuł, jak sztylet wchodzi mu między żebra. Czuł, jak wychodzi i jak znów go wbijają.

Któryś z mężczyzn upadł na niego, wchodząc w drogę innym. Juliuszowi na moment

udało się stanąć na nogi i w ostatniej chwili zasłonić ramieniem szyję. Wymierzone w nią ostrze rozcięło dłoń. Juliusz, wepchnięty z powrotem w ławę naporem

powarkujących ciał, krzyknął z bólu.

Krew była wszędzie. Plamiła białe togi i rozbryzgiwała się na twarzach. Juliusz

pomyślał o synu. Przeraził się. Co oni z nim zrobią? W śmiertelnej udręce pchnął

jednego z napastników coraz słabszym ramieniem. Opadał z sił. Prawie nie czuł, jak

sztylety, raz za razem, dziurawią mu podrygujące spazmatycznie nogi.

Nie przestał wzywać pomocy. Wiedział, że potrafiłby przeżyć, nawet gdyby pocięto mu ciało na części. Zawezwany Oktawian poraziłby strachem te oszalałe z nienawiści, wyjące zwierzęta.

Dwóch, o szakalich, jak mu się wydawało, twarzach, chwyciło go mocno za śliskie od krwi ramiona. Pęcherzyki gorącego płynu zabulgotały w kącikach zaschniętych od krzyku ust. Opadał z sił coraz bardziej i zdjęty rozpaczą, mógł jedynie patrzeć, jak dyszą mu w twarz gorącymi oddechami.

- Powstrzymajcie się - usłyszał z bliska czyjś głos.

Zakrwawione ręce po raz kolejny pchnęły swoją ofiarę na oparcie ławy. Juliusz się odwrócił, w męce nadziei, by zobaczyć, kto ich powstrzymał.

Środkiem teatru szedł Brutus. Ręce ścisnął za plecami. Juliusz poczuł ulgę, ale wtedy prawa dłoń starego przyjaciela wysunęła się do przodu. W niej, jak w tyłu innych dłoniach, też tkwił sztylet i Juliusz osunął się w ławie załamany. Wszystkie rany krwawiły, choć każdy zmysł wołał o życie. Przez chwilę był wolny; wrogowie, na życzenie Brutusa, odstąpili o krok, i mógłby stanąć do walki. Gdyby mógł stanąć na nogi.

- Ty też, Brutusie? - wyszeptał.

Brutus wszedł między ławy i wymierzył sztylet w jego twarz. W oczach miał smutek i triumf. Juliusz nie mógł na to patrzeć.

- Tak, ja też.

- Więc zabij mnie szybko. Nie mogę żyć, wiedząc o tym.

Inni mężczyźni odstąpili do tyłu, zdjęci grozą na widok krwi, którą sami przelali.

Juliusz nie patrzył na nich. Powoli, nie spuszczać oczu z Brutusa, sięgnął do fałd swojej togi i podciągnął ją w górę.

Brutus wiedział, że to gest pogardy. Juliusz gardził nimi wszystkimi. Pochylił głowę, skrzyżował pod tkaniną trzęsące się ramiona i znieruchomiał. Czekał na śmierć.

Brutus na sekundę obnażył zęby, potem pchnął sztyletem przez togę, prosto w serce.

Groza odstąpiła zabójców i dołączyli do niego, kłując skurczoną postać, aż ciało osunęło się na bok. Życie dobiegło końca.

Kiedy Brutus patrzył po ciasnym kręgu mężczyzn w rozbrzmiewającym echem teatrze, szmer zdyszanych oddechów wydał mu

398

Imperator

się jedynym dźwiękiem na świecie. Wszystkie oczy spoczywały na zwłokach wciśniętych między ławy i lśniących krwią. Ta sama krew poplamiała twarze zabójców, ramiona i ręce i zlepiła im włosy.

- Nareszcie nie żyje - mruknął Swetoniusz. Czuł, że ledwo trzyma się na nogach, ale to było prawdziwe szaleństwo i miał prawo zmęczyć się i zdenerwować. - I co teraz?

Mężczyźni, którzy doszli aż do tego miejsca, popatrzyli na Brutusa. Oczekiwali odpowiedzi.

- Teraz wyjdziemy - odpowiedział drżącym głosem Brutus. - Wyjdziemy i pójdziemy do senatu. Powiemy im, co zrobiliśmy. Usunęliśmy tyrana z Rzymu i nie będziemy się tego wstydzić.

Zobaczył, że Swetoniusz ociera swój sztylet do czysta. Wyciągnął dłoń. Powstrzymał go.

- Nie będziemy zacierać śladów. Niech krew świadczy o honorze tych, którzy mieli odwagę powstać przeciw tyranowi. Uratowaliśmy republikę i pokażemy to. Teraz, kiedy odszedł, Rzym zacznie zdrowieć.

Oczy mu błyszczały, kiedy popatrzył na szczątki człowieka, którego znał i kochał od dziecka.

- Uczymy go w śmierci - powiedział, ledwo poruszając ustami.

Ci, którzy byli najbliżej drzwi, zaczęli wychodzić i Brutus wyszedł z nimi. Reszta, rzucając spojrzenia na tę scenę, tak jakby każdy chciał się upewnić o jej realności, ruszyła ich śladem.

Ze splamionymi krwią dłońmi szli po starych ulicach Rzymu. Szli dumnie.

V

NOTA HISTORYCZNA

Cjajusz Juliusz Cezar został zapamiętany przez potomnych nie tylko jako niezwykle wódz. To prawda, niewielu innych mogło i może się z nim równać pod względem strategicznych uzdolnień czy charyzmy, ale to tylko część całej opowieści.

Republikański Rzym mógłby przekształcić się w imperium bez udziału Juliusza

Cezara, ale mógłby również zostać rozdarty wewnętrznie. W jednej z najsurowszych

szkół w historii Cezar zdobył prymat, ostatecznie rozprawiając się, pod Farsalos, z Pompejuszem i jego sławą. Jego życie było pomostem między dwiema epokami

historycznymi; przyspieszyło powstanie imperium.

Swoją karierą udowadnia doskonale zrozumienie istoty polityki, władzy i manipulacji.

Nie twierdzą, że wymyślił pojęcie propagandy, ale na pewno był jednym z jej

największych i najwcześniejszych propagatorów. Kopanie dołków pod Pompejuszem

przez obnoszenie się z własnym miłosierdziem było zamierzoną polityką, w myśl tego, co napisał w jednym ze swoich listów: „Niech to będzie nowy sposób odnoszenia

zwycięstw; łagodnością i wspaniałomyślnością zabezpieczmy się sami!”

Pompejusz nigdy nie rozumiał takiego postępowania, choć Cy-ceron najwyraźniej

Juliusza przejrzał, przynajmniej po części. Nazywał taką politykę „podstępna

łaskawością” i mówił, że „powstrzymując się od wyrządzenia jakiegoś zła, wzbudza wdzięczność, która każe zapomnieć o wcześniejszym wyrządzeniu innego”.

Pompejusz był na pozycjach przegranych od samego początku wojny domowej, kiedy

zażądał powrotu wodza z Galii do Rzymu,

Imperator

w pojedynkę, bez wsparcia jego legionów. Cezar spędził noc nad Rubikonem, zastanawiając się, czy wojna domowa i wynikłe z niej straty są warte jego życia. Z charakterystyczną wiarą w siebie zdecydował się na przekroczenie rzeki z legionami i uderzył błyskawicznym atakiem na południe. Kompletnie zaskoczony Pompejusz nie był w stanie obronić miasta i spiesząc się z odjazdem, nawet zapomniał opróżnić skarbiec. Nie było to zbyt istotne. Olbrzymie ilości złota, które Cezar przywiózł z Galii, zdewaluowały rzymskiego aureusa o zdumiewające trzydzieści procent.

Opisany przeze mnie incydent podczas święta na cześć bogini zwanej Bona Dea

istotnie się wydarzył, łącznie z tym, że Publiusz, by uniknąć rozpoznania, przebrał się za kobietę. Sąd faktycznie oczyścił go z zarzutu cudzołóstwa, ale Cezar i tak rozwiódł

się z Pompeją, mówiąc, że „żona Cezara musi być ponad wszelkie podejrzenia”.

Niewątpliwie coraz częściej myślał o zapewnieniu sobie spadkobiercy i zdawał sobie sprawę, że legalność jego syna nie może być kwestionowana.

Dla dobra fabuły i jej długości pominąłem bitwy w Hiszpanii i Afryce, kiedy to Juliusz i jego wodzowie rozbili legiony lojalne Pompejuszowi. Wyruszając za Pompejuszem

do Grecji, Juliusz przekazał władzę nad Italią Markowi Antoniuszowi, i to był powód, dla którego Marek Brutus zdradził go pierwszy raz w życiu i przeszedł na stronę

Pompejusza, stając do walki przeciw staremu przyjacielowi. Juliusz wydał rozkazy, by, jeśli to będzie możliwe, oszczędzono go, co dla mnie jest jedną z najbardziej

wzruszających odsłon w całej historii. Wybaczenie Brutusowi po takiej zdradzie

ukazuje wielkość Cezara jak nic innego.

Juliusz wylądował w Orikum, na zachodnim wybrzeżu Grecji. Nie włączyłem do

swojej opowieści faktu, że musiał wrócić do Italii w małej łodzi, by sprowadzić więcej żołnierzy. Po drodze spotkał ich sztorm i podobno Cezar miał powiedzieć załodze, by się nie bała, ponieważ wiezie „Cezara i jego szczęśliwy los”. Zawsze wierzył w swoje szczęście i wygląda na to, że ta wiara przeprowadziła go cało przez wszystkie

wydarzenia jego życia. Zdołał odebrać Pompejuszowi władzę nad Dyrrachium po jednym z wyczerpujących nocnych marszów.

Nota historyczna

401

Chociaż centurion Decymus jest postacią fikcyjną, jeden z dowódców Cezara, pojmany, rzeczywiście odebrał sobie życie, mówiąc, że przyzwyczajono go do obdzielania łaską i że nie zwykł korzystać z cudzej. Oto pogarda, jaką można sobie jedynie wyobrazić. Inna drobna zmiana wiąże się z żoną Cyncerona. Podczas wojny domowej Terencja w rzeczywistości była w Rzymie. Nie popłynęła do Grecji razem z mężem i senatem.

Upadek Pompejusza mógł być po części spowodowany jakąś chorobą, która chyba go rzeczywiście toczyła, albo po prostu faktem, że zmierzył się z rzymskim wrogiem o najbardziej zdumiewających dokonaniach spośród wszystkich żyjących wodzów.

Mogło też być tak, że towarzyszący mu senat stanowił większe utrudnienie, niżby się nam zdawało. Tak czy inaczej Pompejusz miał dwa razy liczniejszą armię i co

najmniej czterokrotnie więcej jazdy. Nie musiał wznosić fortyfikacji i prowadzić wojny defensywnej.

W pewnym momencie Pompejusz był bliski zwycięstwa. Rzeczywiście doszło do zgubnego dla Cezara oskrzydającego ataku na siły wroga. Jedna z atakujących jednostek trafiła na nieoczekiwaną przeszkodę, co spowodowało, że kohorty Cezara zostały rozgromione. Cezar chwycił proporzec i usiłował zmobilizować uciekających

legionistów, ale ci go ominęli i na placu boju został sam. Pompejusz, przekonany, że zastawiono na niego pułapkę, nie ścigał uciekających sił, co Juliusz skomentował

następująco: „Dzisiaj zwycięstwo mogłoby należeć do naszych przeciwników, gdyby dowodził nimi ktoś, kto wie, jak się zwycięża”. Sam w tym pogromie stracił

dziewięciuset sześćdziesięciu żołnierzy. Ci, których wzięto do niewoli, zostali zabici z rozkazu Labienusa. Pompejusz stracił najlepszą sposobność, jaką kiedykolwiek miał.

Towarzyszący Pompejuszowi senatorowie nie mogli się pogodzić z jego niechęcią do zwarcia się z wrogiem. Żądali, by prowadził ofensywną wojnę, i ostatecznie się z nimi zgodził.

Pod Farsalos Pompejusz dowodził oddziałami z Hiszpanii i Syrii, Galii i Macedonii, jak również rzymskimi legionistami. Cezar oblicza jazdę Pompejusza na siedem tysięcy, chociaż prawdopodobnie przesadza.

Interesujący incydent dotyczący zatrzymania przez Pompejusza jego pierwszej linii jest dobrze udokumentowany, chociaż różne

402

Imperator

źródła dopatrują się różnych przyczyn. Ja uważam (opierając się na tym, że linie

Pompejusza były głębokie na dziesięć szeregów), że morale jego ludzi było

przerazająco niskie, a on sam nie mógł nie widzieć nerwowości w szeregach na widok

zbliżającej się armii Cezara. Rzecz jasna, to wyjątkowo marna decyzja, jeśli chodzi o wodza, który stłumił powstanie Spartakusa i oczyścił Morze Śródziemne z piratów w

czterdzieści dni. Prawdziwego stanu umysłu Pompejusza nie poznamy już nigdy. Jego

prywatne listy zostały w jego obozie i Juliusz kazał je spalić, nawet nie rzuciwszy na nie okiem.

Odtworzyłem główne wydarzenia spod Farsalos tak dokładnie, jak przekazali je

historycy. Pompejusz użył swojej jazdy do rozbicia prawego skrzydła Cezara.

Przeformowanie szeregów i nawrócenie końmi zajęło jeźdźcom Pompejusza sporo

czasu i mniejsza siła Cezara wykorzystała to, zaatakowała ich od tyłu i wepchnęła we własne linie. Wyborowi Cezara parli dalej, aby unieszkodliwić łuczników i uderzyć na skrzydło i tyły linii Pompejusza. Krótco po tym nastąpił całkowity pogrom.

Naturalnie nasuwającym się wnioskiem w odniesieniu do Farsalos jest to, że Cezar

nie powinien wygrać. Pompejusz miał miażdżącą przewagę poza tym, że jego ludzie

czuli respekt przed weteranami z Galii. Juliusz, o czym należy pamiętać, był prawomocnie wybranym konsulem i miał za sobą całą listę nadzwyczajnych, bezprecedensowych pokazów swej wspaniałomyślności. Korfinium to tylko jeden z przykładów w wojnie domowej. Korfinium, miejsce, gdzie przebaczył ludziom, którzy walczyli przeciw niemu. Jego polityka zmierzała do podkopania autorytetu Pompejusza na polu bitwy i to, jak się wydaje, dało oczekiwane rezultaty. Jestem przekonany, że Farsalos jest w jednakowym stopniu triumfem propagandy i wnikliwości umysłu, jak militarnego zwycięstwa.

Cezar rzeczywiście został na nabrzeżu Aleksandrii obdarowany wazą zawierającą głowę Pompejusza. Egipcjanie nie chcieli, by Rzymianie prowadzili wojnę na ich ziemiach, chociaż ten wysiłek okazał się daremny. Juliusz podobno zapłakał nad śmiercią Pompejusza, chociaż jaka była prawdziwa przyczyna łez, możemy jedynie zgadywać.

Aleksandria, którą widział Cezar, jest stracona dla współczesnego świata. Tak samo jak latarnia na Faros, jeden z siedmiu cudów

Nota historyczna

403

świata, która już nie istnieje, większość ulic i budynków wspomnianych w tej książce obecnie znajduje się pod wodą. Współczesne wykopaliska wciąż odkrywają posągi

Kleopatry i jej syna, którego miała z Cezarem, Ptolemeusza Cezariona.

Może to nie jest zaskakujące, że rzymski konsul, który większość dorosłego życia spędził na polach bitwy, nagle gotów był poświęcić wszystko na widok

dwudziestoletniej Kleopatry. Opowieść

o przyniesieniu jej do Cezara przez jej greckiego sługę jest dobrze udokumentowana, chociaż pewne źródła mówią, że to była długa skrzynia, a nie zrolowany dywan.

Kleopatra rzeczywiście była potomkinią Ptolemeusza, jednego z wodzów Aleksandra.

Władła pięcioma językami i była pierwszą ze swego rodu, która znała biegle język egipski. Za jej czasów Aleksandria była prawdziwą mieszanką kultur, z greckimi kolumnadami

i egipskimi posągami na ulicach, takich jak Droga Kanopska.

Eunuch, który miał tak wielki udział w sprawowaniu nadzoru nad młodym

Ptolemeuszem, w rzeczywistości nazywał się Potejnos. Zmieniłem mu imię, ponieważ

za bardzo kojarzyło mi się z Porfirio-sem, którego lubiłem. Panek w rzeczywistości

znaczy „wąż”, i takie imię wydało mi się właściwe w odniesieniu do sytuacji. Cezar zwrócił Cypr Egipcjanom w ramach negocjacji po pojmaniu króla--chłopca. Scena, w

której młody Ptolemeusz płacze i wzbrania się opuścić pałac-kwaterę Rzymian, jest

prawdziwa. Także jest prawdą, że z chwilą dotarcia do swojej armii i przywdziania

szat królewskich, trzynastoletni król zarządził natychmiastowy atak. Ostatecznie nie przeżył jednak walki o władzę w Aleksandrii.

Zwłoki Aleksandra Wielkiego także zaginęły, chociaż w czasach Cezara znajdowały się w Aleksandrii, w szklanej trumnie, tak jak to opisałem. Były pokryte listkami złota i, zważywszy na jego egipski status - faraona i boga - były prawdopodobnie

zabalsamowane.

Nad małżeństwem Cezara i Kalpurnii, zawartym w 59 roku przed naszą erą, ledwo się

prześliznąłem. Kleopatra z kolei, do czasu, nim zjawiała się w Rzymie, była także

poślubiona drugiemu, młodszemu bratu. Oczywiście między formalnymi związkami a

prawdziwym uczuciem była olbrzymia różnica.

Juliusz Cezar, podczas swojej imponującej podróży powrotnej do Rzymu, naprawdę

spotkał Heroda, syna króla Syrii. To ten He-

rod, już jako król, rozkazał zabić każde pierworodne dziecko płci męskiej, aby nie spełniła się przepowiednia o narodzeniu Chrystusa.

Słynny wers Veni, vidi, vici, „Przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem”, wziął się z trwającej cztery godziny bitwy z synem Mitrydatesa w Grecji. Gdyby nie to powiedzenie, bitwa byłaby jednym z zapomnianych momentów historii.

Marek Antoniusz próbował trzy razy ukoronować Juliusza, ale doszło do tego podczas luperkaliów, w lutym, a nie podczas triumfu egipskiego. Historycy mówią, że Juliusz stracił panowanie nad sobą za trzecim razem, być może dlatego, że tłum nie przyklasnął widokowi korony na jego głowie.

Mimo jej braku senat obsypał Cezara bezprzykładowymi zaszczytami. Tak jak nazywano go „Dyktatorem dożywotnim”, „Wyzwolicielem” i „Ojcem ojczyzny”, podobnie przyznano mu prawo do boskości. Wzniesiono mu posąg ze słowami „Bóg Niezwyciężony”. Obdarzono go prawem noszenia regaliów dawnych królów.

Dzisiaj trudno dociec powodów takich i tylu zaszczytów. Być może były to celowe działania ludzi takich jak Cynceron. Być może chodziło o to, by Cezar posunął się za daleko i zraził do siebie uwielbiających go obywateli. Ewentualnie, czego nie można wykluczyć, takie szczególne wyróżnienia mogły być jedynym sposobem, by Cezar zechciał liczyć się z senatem. Kasjusz, jak się uważa, wciągnął Brutusa do spisku, wyjawiając mu go i ostrzegając, że senat może uczynić Juliusza królem. To również może być prawdą.

Śmierć Cezara nastąpiła podczas idów marcowych w 44 roku przed naszą erą. Senat rzeczywiście spotkał się wtedy w teatrze Pompejusza, chociaż liczba świadków zabójstwa nie jest znana. Po dłuższym namyśle nie włączyłem do powieści tego, że Cezarowi wręczono zwój papirusów ostrzegający go przed spiskiem. Człowiek, który przekazał go w jego ręce, był wcześniej zatrudniony przez Brutusa i zawsze będzie można podejrzewać, że za ostrzeżeniem stał sam Brutus, człowiek o tak samo złożonym charakterze jak Cezar. Ta rzecz nigdy nie była przytaczana i uznałem to za niepotrzebną

komplikację.

Tiliusz Cymber przytrzymał Cezara. Pierwszy cios wymierzył

Nota historyczna

405

mu Kaśka - pierwszy z dwudziestu trzech innych. Tylko jeden był śmiertelny, co świadczy o chaosie, jaki zapanował wśród napastników. Cezar walczył dopóty, dopóki nie zobaczył, że wśród zabójców jest Brutus. Potem zarzucił togę na głowę i znieruchomiał, aż zabójcy dokończyli dzieła. Odwagi takiego czynu nie da się opisać.

Noc wcześniej Cezar podobno miał powiedzieć, że woli szybki koniec niż mękę choroby czy słabości. Możliwe, że martwiła go jego epilepsja, ale człowiek nie może wyglądać śmierci i jednocześnie planować kampanię przeciw Partom. Ani nie może

zaprzestać walki o życie wtedy, kiedy ma - w końcu - wytęsknionego syna. Historyk

Swetoniusz twierdzi, że umierając, Cezar miał pięćdziesiąt pięć lat, chociaż ta liczba nie może być pewna, jeżeli data jego urodzin nie jest znana.

Juliusz Cezar w testamencie nazwał Oktawiana swoim spadkobiercą. Jedną z największych tragedii jest to, że Oktawian nie pozwolił Ptolemeuszowi Cezarionowi dożyć wieku męskiego. Po zabójstwie Cezara Kleopatra uciekła do Egiptu, ale to nie ocaliło ani jej, ani jej młodego syna. Może to prawda, że ci, którzy dzierżą władzę, nie pozwalają dorosnąć przyszłym wrogom, zabójstwo Cezariona jednak wydaje się aktem szczególnie bezlitosnym.

Historia jest pełna opowieści o ludziach, których wojny wyniosły na szczyty władzy - tylko po to, by ich imperia rozbiły się o ich śmierć. Cezar osiągnął w Rzymie pozycję, jakiej na taką skalę nie zdobył nikt inny. Wykorzystał swą władzę do wprowadzenia

nowego kalendarza, nadał obywatelstwo wszystkim lekarzom i nauczycielom i zapewnił osiemdziesięciu tysiącom najbiedniejszych start życiowy w rzymskich prowincjach. Dał każdemu Rzymianinowi trzysta sestercji, ziarno i oliwę. Jego legiony wzbogaciły się po ostatniego żołnierza. Każdy centurion otrzymał dziesięć tysięcy

srebrnych monet. Jego triumfy były nieporównywalne z niczymi innymi. Spiętrzył wody Tybru i napełnił nim wielki sztuczny zbiornik na Polu Marsowym, by urządzić tam gwałtowną „bitwę morską”. Na jego ucztach gościły dziesiątki tysięcy ludzi. Być może jednak jego największa fortuna przypadła w udziale Oktawianowi, który przyjął imiona Gajusz Juliusz Cezar, ku jego czci, a później był znany jako August. To jego silna dłoń powołała do życia najdłużej trwające

406

Imperator

imperium, jakie świat kiedykolwiek znał. August był pierwszym cesarzem, ale to Juliusz Cezar przygotował mu tron.

Nigdy nie potrafiłem uwierzyć, że Brutus brał udział w zabójstwie Juliusza Cezara jedynie przez pragnienie odrestaurowania republiki. Taki powód z pewnością podał i kazał wybić monety, które sławiły wydarzenia idów marcowych. Myślę, że pewną rolę odegrały zawile stosunki z Serwilią, uwypuklone przez to, że Juliusz w końcu spłodził spadkobiercę. Serwilią przeżyła Juliusza. Przeżyła również syna i po bitwie pod Filippi sprowadziła jego prochy do Rzymu.

Jedna ze zmian, którą wprowadziłem na strony tej opowieści, także ma wpływ na motywy postępowania Brutusa. Córka Cezara pierwotnie była obiecana Brutusowi i miał to być związek, który pomógłby mu się przebić do rzymskich elit. Juliusz, nieodmienny pragmatyk, zerwał zaręczyny, aby oddać Julię Pompejuszowi. To bardziej ludzkie powody do zdrady, ale najsilniejszym, być może, były zawiedzione nadzieje Brutusa i głęboko skrywana zazdrość w stosunku do przyjaciela. Tym, co przepełniło czarę goryczy, mogło być po prostu publiczne wybaczenie mu zdrady po bitwie pod Farsalos. Dla Brutusa, jak podejrzewam, coś takiego było nie do zniesienia.

Nazwałem tę serię „Imperator”, ponieważ zamierzałem pokazać, jak epoka ludzi takich jak Mariusz, Katon, Sulla i Juliusz Cezar tworzyła przyszłe imperium. Tytuł

Imperator był nadawany każdemu zwycięskiemu wodzowi. Juliusz nie musiał zostać ukoronowany, ale to on wprowadził imperium w historię świata.

W najbliższych latach być może napiszę opowieść o pokłosiu mordu dokonanego na Juliuszu. Ani jeden człowiek, który stał z zakrwawionymi dłońmi w teatrze Pompejusza, nie umarł śmiercią naturalną. Na swój sposób ich historia jest równie godna opowiedzenia jak każda inna. Odłożmy ją jednak na właściwą chwilę.

Conn Iggulden